

PRZEGLĄD POLSKI.

ROK XI.

Kwartał II.

(Październik, Listopad, Grudzień).

Ogólnego zbioru tom 42.



W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DUKARNI »CZASU«
pod zarządem J. Zakocińskiego.

1876.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie II.

	str.
Obecne prześladowanie religii katolickiej w Prusach	3, 255, 323
Nasze stosunki (Emigracya Chłopska), przez Stanisława Koźmiana	39
Chów koni w Austrii, przez Henryka Lisickiego	70
Posadnica Marta, dramat historyczny w 5 aktach, przez Paulina Świącieckiego	163, 364
Walka Kazimierza Jagiellończyka z Maciejem Korwinem o koronę czeską, przez Juliana Sutowicza	288
Pierwsza próba powieść przez Z. D.	389
Henryka Siemiradzkiego „Żywe pochodnie Nerona,” przez C.	499
Do „Reformy stosunków wiejskich,” I. O Reorganizacyi administracyi kraju przez Stanisława Tarnowskiego	437
Przegląd literacki, przez Stanisława Tomkowicza, Dr. P. Stanisława Tarnowskiego, Bernarda Kalickiego, i Hugona Zatheya	105, 281
1) Straszewski Maurycy: Jan Śniadecki; Jego stanowisko it. d.	
2) Ks. Król Michał: Sieroty Zebrzydowskiego.	
3) Monsieur Thadée de Soplica.	
4) Wickenberg Almasy: Marina.	
5) Dr. Hen, Struve: Cechy charakterystyczne filozofii.	
6) J. Martinów: Le Saint-Siège et la Russie au XVI siecle.	
7) Fr. Schiller: Wallenstein.	
8) Tadeusz Oksza Orzechowski: Wspomnienia po ś. p. Karolu Kaczkowskim.	
Kronika bibliograficzna krajowa i zagraniczna	131
Listy z Wielkopolski, przez Epsilon	142
Jeszcze słowo przed wyborami, przez Józefa Szujskiego	145
Przegląd polityczny	152, 305, 471
Przegląd ekonomiczny przez Alfreda Szczepańskiego	485
Wanda hr, Caboga	156
Józef Szermentowski i Paulin Świąciecki	317
August Bielowski, wspomnienie pośmiertne, przez Józefa Szujskiego	317
Maurycy Mann, B. Podczaszyński, K. F. Skobel	484

OBECNE PRZEŚLADOWANIE RELIGII KATOLICKIEJ W PRUSACH.

(Ciąg dalszy).

Prawo o banicyi duchownych.

Chociaż to prawo później zostało wniesione do rady związkowej i do parlamentu niemieckiego, niż prawa o zarządzie biskupstw wakujących i o deklaracyi i dodatku do prawa z dnia 11 Maja 1873 do sejmu pruskiego, zaczynamy jednak od niego z powodu, że wprzód zostało uchwalone, sankcyonowane i publikowane. Prawo to stawia nam uderzający i przerażający dowód, do czego błędne i wszelkiej prawdy niezmiennie pozbawione wyobrażenia o wolności tych nawet doprowadzić mogą, którzy jej służyć mniemają i godło jej na swej wywieszają chorągwi. Jedynie tylko „*la loi des suspects*“ z czasów rewolucyi francuzkiej może tworzyć jakąś analogią w nowszych czasach z tym potworem konstytucyjnej wolności niemieckiej. Rosyjskie ukazy skazujące winowajców rzeczywistych lub urojonych, o tyle mniej obrażają i policzkują prawdę, niż wymienione prawo, o ile są wyrazem woli jedynowładzy, nie zdobią się szatą kłamanej i sponiewieranej wolności, oświaty

i postępu. Krótkie to prawo, składające się z 5 tylko paragrafów na wieczną hańbę jego autorów przytaczamy w całości w tym kształcie, w jakim wyszło z pod obrad parlamentu niemieckiego i sankcjonowaniem zostało:

„Prawo o zapobieżeniu nieprawemu wykonywaniu urzędów kościelnych.

§ 1. Duchownemu lub innemu słudze kościoła, który na mocy sądowego wyroku z urzędu swego złożony został, a mimo to dopuszcza się potem uczynku, z którego się pokazuje, że posiadanie odjętego mu urzędu sobie przyznaje, może za rozporządzeniem krajowej władzy policyjnej pobyt w pewnych okręgach albo miejscach być zakazany lub naznaczony.

Jeżeli uczynek ten nosi na sobie wyraźne piętno przywłaszczania sobie urzędu, lub faktycznego wykonywania tegoż, lub jeżeli sobie wbrew rozporządzeniu policyi postępuje, natenczas może być rozkazem centralnej władzy państwa, do którego należy, pozbawiony swoich praw obywatelskich i z granic cesarstwa wydalony.

§ 2. Przepisy § 1 stosują się także do tych osób, które za wykonywanie urzędowe funkcji urzędu kościelnego, który im wbrew przepisom prawnym został powierzony, lub przez nich samych objęty, prawomocnie na karę skazane zostały.

§ 3. W rozporządzeniu tem (§§ 1, 2) powinny być powody do użycia tego środka wymienione.

Jeżeli dotknięty tą karą twierdzi, że się zarzuconego mu uczynku nie dopuścił, lub takowy niema znamion określonego w § 1 uczynku, natenczas wolno mu w ciągu ośmiu dni od doręczenia mu rozporządzenia odwołać się do sądowego orzeczenia.

Kompetentnym w tych sprawach jest trybunał dla spraw kościelnych w tych państwach, w których istnieje; w innych zaś państwach związkowych najwyższy trybunał karny.

Trybunał rozstrzyga, czy apelant dopuścił się oznaczonego w § 1 uczynku. Jeżeli zostanie udowodnionem, że nie masz uczynku, wskutek którego prawo dozwala wydać takie rozporządzenie, natenczas władza, która je wydała, powinna je znieść.

Apelacya ta musi być przez apelanta w formie sądowie lub notaryalnie poświadczonej podpisana i kompetentnemu sądowi doręczona.

W postępowaniu mają być zastosowane przepisy, jakimi się odnośny trybunał rządzi. Potrzebne zmiany i uzupełnienia trybunał sam ustanowi, dopóki prawne uregulowanie nie nastąpi. Prawnie ustanowione w postępowaniu terminu może trybunał podług swojego zdania skrócić.

Apelacya ta w tym tylko razie zawiesza wykonanie wydanego rozporządzenia, jeżeli takowe wyrzeka wydalenie z kraju. W takim razie można apelantowi aż do decyzji trybunału w pewnych obwodach pobytu zakazać lub mu go naznaczyć.

§ 4. Osoby, które stósownie do przepisów niniejszej ustawy postradały prawo obywatelstwa w jednym z krajów do związku należących, tracą toż prawo i w każdym innym państwie związkowym i nie mogą odzyskać prawa obywatelstwa w żadnym z państw związkowych bez zezwolenia rady związku.

§ 5. Osobom, które z powodu wykonywania funkcji urzędu kościelnego, który im wbrew przepisom prawnym powierzony lub przez nie objęty został, do śledztwa pociągnięte zostaną, może władza policyjna po rozpoczęciu śledztwa aż do prawomocnego ukończenia procesu w pewnych okręgach i miejscach pobytu zabronić.

Jeszcze nie upłynęły całkiem dwa lata od proskrypcyi Jezuitów, a już podobny los spotkał biskupów i duchownych katolickich w całych Prusach. Taka jest nieubłagana logika złych i fałszywych zasad i dokonanych na ich fundamencie faktów.

Cel i motywa tego prawa są jasne, nie będą przeto wymagały tak obszernego objaśnienia, jak prawa roku 1873. Nadto fałsz i kłamstwo, z których cała ta tkanina spleciona, jużesmy wyżej przy przedstawieniu praw zeszłorocznych scharakteryzowali. W dalszym ciągu tej logiki kłamstwa nie potrzebujemy powtarzać tego, co czytelnik sam z łatwością znajdzie.

Jak wszystkie prawa polityczno-kościelne pruskie, tak i co dopiero przytoczone odznaczają się brakiem jasności i ściśłości. Z tego powodu przytaczamy w kilku słowach katego-

rye duchownych, do których przepisy tego prawa zastosowane być mogą z nadmienieniem, że nie było jeszcze przypadku, w którymby policya z danej sobie władzy nie korzystała, chociaż prawo tylko ją upoważnia, a nie zobowiązuje.

1) Wszyscy biskupi i kapłani, którzy przez nowo ustanowiony trybunał zostaną z urzędu złożeni, mogą być:

- a) *internowani* t. j. może im policya przeznaczyć pewne miejsce pobytu bez troszczenia się o ich utrzymanie. Tak biskupa Paderbornskiego internowano w fortecy Wesel, tak kardynał i arcybiskup Ledóchowski miał pierwotkowo być na mieszkanie wywieziony do Torgau.
- b) *externowani* t. j. może ich policya wydalić z pewnych prowincyj, dyecezyj, powiatów i parafij. Na mocy tego przepisu zakazano kardynałowi Ledóchowskiemu pobytu w W. Ks. Poznańskim i w Szląsku.
- c) *expatrywani* czyli wygnani z kraju i pozbawieni praw przysługujących krajowcom.

2) Wszyscy biskupi i kapłani, którzy prawomocnym wyrokiem za przestąpienie któregośkolwiek przepisów praw majowych lub innych na kary skazani zostali, podlegają tym samym karom wyżej pod a) b) i c) wymienionym, tak samo, jak ci, którzy zostali złożeni z urzędu.

3) Biskupi i kapłani, przeciw którym wytoczono śledztwo o przekroczenie praw majowych, mogą być aż do ukończenia śledztwa i wydania przeciw nim prawomocnego wyroku externowani czyli z pewnych prowincyj lub powiatów kraju wydalen. Tak ks. biskupowi Janiszewskiemu, skoro został wypuszczony z więzienia Koźmińskiego, zabroniono pobytu w W. Ks. Poznańskim, w Szląsku, w departamentach: Frankfurckim n/O, Królewieckim, Gdańskim i Malborskim i wywieziono go do Berlina z powodu, że za bierzmowanie toczył się jeszcze przeciw niemu proces w najwyższej instancji i wyrok nie był prawomocny; Ks. biskupowi Cybichowskiemu, który w pierwszej instancji za święcenie w Wielki Czwartek olejów na 9 miesięcy więzienia został skazany i nie apelował — chociaż za cztery dni stawał się już wyrok pierwszej instancji prawomocnym — zabroniono pobytu w W. Ks. Poznańskim i wywieziono go do Szląska. Tak postępowała policya bez wyjątku ze wszystkimi duchownymi, lubo, jakeśmy już nadmienili, nie

zobowiązywało ją prawo, tylko ją do tego kroku w razie potrzeby upoważniało. Do jakich zawikłań i zamieszkań dawała ta samowolność policyi powód, przytoczymy dwa tylko przykłady, aby później związku rzeczy nie przerywać.

Podług prawa miało takie wydalenie trwać tylko przez czas procesu tak, że z zapadnięciem prawomocnego wyroku wydalenie się kończy. Tymczasem prawo nie przewidywało, że tu dwie władze, sądowa i policyjna razem działają, i nie zobowiązało ich do wzajemnego w tej mierze znoszenia się. Cóż ztąd wynikło? Sąd po zapadnięciu prawomocnego wyroku nie miał obowiązku wezwania naczelnego prezesa do odwołania dekretu externacyi i nie wzywał. Nie mając zaś wiadomości o pobycie externowanego, a następnie sposobności publikowania mu wyroku, ścigał go listami gończemi, jak najpospolitszych zbrodniarzy. Externowany zaś nie mógł powracać, bo ryzykował, że go na każdym miejscu żandarm lub inny policyant przytrzyma. Tak sobie postąpiono z Ks. biskupem Janiszewskim, w którego sprawie naczelny prezes dopiero w sześć miesięcy po wyroku dekret externacyi odwołał. Gorsze jeszcze konfuzye zachodziły z tymi duchownymi wydalonymi, których sąd wzywał na termina, a gdy się stawili, policya ich znowu wyrzucała. W ten sposób Ks. Chiżyński, proboszcz Leszczyński, po trzykroć się stawiał i po trzykroć przez policyą został wydalony. X. Bąk, wikaryusz w Książu, podobnego doznał losu. Prawa wyjątkowe, a tak dorywczo i szalauputnie kute, noszą na sobie prócz wewnętrznego fałszu wyraźne ślady niedołęstwa i wadliwości prawodawczej.

Pierwiastkowy projekt przez rząd pruski do rady związkowej wniesiony miał imię właściwe: prawo o wygnaniu nieposłusznych duchownych. Rada związku, w której tylko reprezentant najmniejszego państwa, księstwa Reuss, głos opozycji przeciw temu prawu podniósł, wstydziła się tego haniebnego imienia i dała mu to, które dziś nosi: o zapobieżeniu nieprawemu wykonywaniu urzędów kościelnych. Członkowie parlamentu bawarscy należący do frakcyi centrum, skoro się tylko dowiedzieli, że prawo tej treści zostało radzie związkowej przedłożone, udali się z prośbą do króla bawarskiego, aby reprezentantowi Bawaryi nakazał w radzie związkowej temu prawu się oprzeć, a mianowicie z tego powodu, że się

sprzeciwia prawom bawarskim specjalnym o naturalizacji. Krok ich był daremny.

Co do samej treści prawa jeszcze jedną robimy uwagę. Paragraf 3, który od dekretu policyi pozwala uciec się o pomoc do sądu, jest wymysłem liberałów, który miał wątpliwości sumienia „liberalnego“ tą fałszywą pożątaną prawną zaspokoić. Ten tylko, który sam chciał być oszukanym, mógł się tym pozorem łudzić. W oczach bowiem uczciwego człowieka jest ta igraszka swawolna z poważnemi formami sprawiedliwości nikczemną obłudą.

Najpierw wiadomą było rzeczą całemu światu, że ustanowionego majowemi prawami trybunału dla spraw duchownych żaden biskup, żaden kapłan katolicki, dopóki jest członkiem Kościoła katolickiego, nie uzna, że zatem w żadnym razie do niego apelować nie będzie. Jakoż do dziś dnia nie było jeszcze przypadku, aby się z pomiędzy tylu set ukaranych kapłanów choć jeden do niego był odwołał. Przez pomyłkę tylko udał się ks. Sołtysiński, do którego niesłusznie policya § 5 zastósowała, do sądu powiatowego w Inowrocławiu, który sprawę tę odesłał do trybunału dla spraw kościelnych, jako do sądu jedynie w tej mierze kompetentnego. Nie można zatem przypadku tego uważać za istotną apelacją w myśli tego prawa. Poprawka zatem pseudoliberałów, która wobec wielkiej publiczności ich „liberalne“ stanowisko miało wziąć w obronę, utworzyła illuzoryjną instancją na papierze, której w rzeczywistości nie było i nie ma.

Powtóre, kompetencya sądu jest podług tego prawa bardzo ograniczona. Wolno mu bowiem zająć się tylko konstataowaniem faktu, na którym się dekret policyi opiera, ale nie wolno mu wcale wdawać się w kwestyą, czy w pojedyńczym przypadku ma policya słuszny powód lub nie, do użycia przyznanej jej prawom władzy, a zatem właściwa kwestya polityczna, o którą tu głównie chodzi, wyjęta jest zupełnie z pod kognicyi sądu. Jakąż więc taka apelacya ma wartość?

Po trzecie, chociażby wyżej przytoczonych nie było powodów, któżby z duchownych mógł być tak naiwnym, aby przypuszczał, że w trybunale wyjątkowym, wyłącznie prawie do ścigania duchowieństwa katolickiego ustanowionym, który w rzeczy samej jest tylko komisją egzekucyjną ministra

spraw duchownych, przeciw temuż ministrowi, przeciw naczelnemu prezesowi znajdzie sprawiedliwość? Nie o wymiar sprawiedliwości przeto chodziło pseudoliberalom, którzy tę poprawkę wnieśli, ale jedynie o oszukanie opinii publicznej. Słusznie zatem poseł Windhorst w końcu swej wyczerpującej tę materią mowy, mianej dnia 23 kwietnia, zdarł nielitościwie z tego prawa tę nikczemną maskę obłudy temi słowy:

„Nareszcie, panowie, coś potworniejszego nad tę rewizyą dekretów policyjnych przez instytucyą sądową, trudno sobie wyobrazić. Pomysł ten absolutnie muszę odrzucić. Dla opieki wolności niczem bowiem nie jest, niczem innem, jak garścią piasku na zasypianie oczu. Dla sądów zaś jest korupcyą. Dość już mamy niebezpieczeństw zagrażających sądom naszym zepsuciem. Z pomiędzy wielu tego rodzaju powodów wymieniam tylko ten jeden, że je rząd często powołuje do sądzienia o rzeczach, którym zbywa na odpowiedniej materii dla czynności sędziego. Jakoż w rzeczy samej cała ta poprawka należy do kategorii owych ozdób, o których już książę kanclerz powiedział, że się o nie w radzie związkowej prawnicy skwapliwie ubiegali, kiedy chodziło o przeprowadzenie pewnych zmian pierwsiastkowego projektu rządu pruskiego. To wywieszenie fałszywego godła, panowie, nic nie pomoże, gwałt nie przestanie być gwałtem dla tego, że sądy będą miały polecenie go wyrzec i wykonać, gwałt nie przestanie dla tego być gwałtem, że go w ramy prawa oprawicie, że mu formę prawa nadacie — on mimo to gwałtem jest i być nim nie przestanie. Wszystko, co w tej mierze czynić zamyślacie, jest *czystym, prostym i oczywistym aktem gwałtu*.“

Celem tego prawa, przez rząd pruski i radę związkową jawnie w motywach i w mowach wypowiedzianym było złamanie oporu biskupów i „zależnego od nich duchowieństwa“, jaki prawom majowym stawiali. „Aby ustawicznemu, mówią motywa, sprawowaniu niedozwolonych prawnie funkcij urzędowych, które z zasadniczej negacyi praw krajowych wypływa, skutecznie zapobiec, potrzeba koniecznie surowszych środków ze skutkami prewencyjnemi, które będą w stanie zatamować sposoby i drogi rokoszowi, zagrażającemu istniejący porządek prawny.“ Oto cel tego prawa. Chodzi zatem o mechaniczne czyli gwałtowne uniemożliwienie sprawowania funkcij czysto

religijnych, jeśli ich duchowny nie chce wykonywać z ramienia rządu, ale na mocy posłannictwa Kościoła. Karanym przeto ma być nie tylko duchowny, który się przepisom prawa tego nie poddaje, ale ciężej jeszcze dyecezya i parafie, pozbawione nabożeństwa, sakramentów św. i wszelkich pociech religijnych. Nie jestże to oczywisty interdykt przez rząd protestancki rzucony na parafie, dyecezye, a z czasem na całą ludność katolicką kraju? Nie przebijają się tu widocznie intencya obudzenia w masach ludu nieukontentowania przeciw biskupom i duchownym, którzy, jak to już minister Falk przy zapowiedzi nowych praw wyrzekł, nie mają względu ani litości nad wiernym ludem katolickim i o zaspokojenie jego potrzeb religijnych się nie troszczą? Tu się tylko ta intencya przebijają; w przyszłych prawach znajdzie wyraz nad miarę dobitny.

Celem tego prawa było złamanie oporu biskupów i „zależnego od nich duchowieństwa,“ a powodem do ich wydania opór sam. Motywa powiadają, że nowe uregulowanie stosunku Kościoła do państwa w Prusiech, które zresztą Kościołowi potrzebną niezależność pozostawia i w zasadzie zgodnem jest z prawodawstwem innych, katolickich nawet krajów, wywołało tak silny opór biskupów katolickich i zależnego od nich duchowieństwa, iż z biernego zamienia się na czynny, na rokosz zupełny, zagrażający bezpieczeństwu prawa i porządkowi państwa całego. „Jest to, powiadają motywa dalej, jawnym faktem, że opór stawiany pruskim prawom majowym nie jest tyle wymierzonym przeciw pojedyńczym ich przepisom, ile raczej przeciw prawu w ogólności, gdyż naczelnicy rzymsko-katolickiego Kościoła nie chcą państwu przyznać prawa samodzielnego zakreszania zewnętrznych granic Kościołom i stosunku do siebie w drodze prawodawstwa.“ Co tu motywa w krótkich wypowiedziach słowach, rozprowadzili obszerniej w czasie rozpraw parlamentarnych tak minister sprawiedliwości Leonhardt i komisarz ministeryalny Förster, jak mowcy parlamentarni, którzy w obronie prawa tego występowali. Jednem słowem, wszyscy zwolennicy tego prawa opierają się w swoim rozumowaniu jedni wyraźnie, drudzy *implicite* na zasadzie, że państwo jest niejako instancją ponad Kościołem i ma prawo na własną rękę rozstrzygać, co należy do obrębu Kościoła, a co nie, co należy do jego spraw zewnętrznych, a co do we-

wewnętrznych. Jest to stanowisko państwa absolutnego, o którym wyżej była mowa, przeciwne Kościołowi i wogóle chrześcijaństwu.

Oczywistem kłamstwem jest, co twierdzą motywa, a co w czasie rozpraw tylekrotnie z krzesel ministeryalnych powtarzano, że biskupi stawiają opór nie tylko pojedynczym przepisom praw majowych, ale nadto „z zasady prawa w ogólności.“ Potwarze te miotano ciągle, aby publiczność nie obeznaną dokładnie z przedmiotem utrzymywać w rozdrażnieniu nieustannem przeciw „ultramontanom.“ Cóż bowiem potulnych nawet i spokojnych mieszkańców kraju mogło przeciw Kościołowi katolickiemu i jego wyznawcom więcej oburzać, jak przekonanie, że katolicy nie uznają świeckiej powagi państwa, że się domagają przywileju nieposłuszeństwa? Rozum prostego nawet człowieka, a zwłaszcza protestanta, który i w rzeczach religii przywykł przyjmować z uległością rozkazy króla, jako najwyższej instancyi religijnej, nie pojmował, dlaczego katolicy domagają się jakichś przywilejów w tej mierze. Warstwy zaś ludności, w których wiadomości i uczucia religijne już całkiem wyięgbione zostały, tem mniej mogły pojąć, jak katolicy dla czczych urojeń, dla jakichś ideałów mogą się rządowi opierać i sami na skutki okropne nieposłuszeństwa się narażać. Uważali to zatem za fanatyzm wywołany przez biskupów i duchowieństwo katolickie. To uporczywe i nieustannie przez usta ministrów i inne urzędowe organa powtarzane kłamstwo zamieniło się w masach nieprzychylnych Kościołowi w dogmat. Jedni tylko katolicy nie dali się wywieść w pole. Chociażby nie donośne głosy członków frakcyi centrum, to już ostatnia odezwa z lutego wszystkich biskupów dostatecznym dla nich była dowodem, po której stronie prawda.

Prócz tego fałszywego zarzutu powtarza się z równą uporczywością i drugi, że opór biskupów przekroczył granice biernego i zamienił się w „rokosz,“ w „otwartą rewoltę,“ że zatem postępowanie ich jest wogóle niezgodne z nauką ewangelii, którą ogłaszają. I na ten zarzut odpowiedzieli w swej odezwie biskupi sami. Lecz ponieważ zarzut ten powtarza się przy następnych prawach z większą jeszcze gwałtownością i twierdzeniem, że postępowanie to biskupów niezgodnem jest

z nauką Chrystusa Pana, nie omieszkamy go cokolwiek później osobno w kilku słowach objaśnić.

Jak poprzednie w tym kierunku uchwalone prawa, tak i obecne wniesiono do parlamentu wkrótce przed jego rozpuszczeniem, aby pod naciskiem rządu pruskiego i krótkości czasu nie było nawet dostatecznej sposobności do namysłu i rozwagi. Parlament nie uznał nawet za rzecz stosowną, aby prawo takiej doniosłości, jak obecne, które tysiące wiernych i zasłużonych krajowi obywatele na najdotkliwsze szykany policyi i nareszcie na wygnanie skazuje, poddać pierwszej pod ścisłejsze obrady komisji. Sam przebieg sprawy tej dziwny i charakterystyczny. Rząd pruski postępuje w tej rzeczy tak, jak gdyby parlament niemiecki był tylko sekcją sejmu pruskiego, a to w innych kwestjach pyszne i napuszone ciało prawodawcze pozwoliło się tak traktować.

Prawa bowiem majowe uchwalone zostały przez sejm pruski i wydane dla Prus, nie zaś dla cesarstwa niemieckiego. Wypadało przeto, choćby tylko dla zachowania przyzwoitości, nie dla gruntownego roztrząśnienia rzeczy, przedłożyć je parlamentowi, od którego żądano pomocy, przedłożyć całą sprawę do rozpoznania. Prawa przecież majowe były jedynym powodem do wniesienia ustawy o banicyi. Rząd pruski nie poczuwał się do obowiązku zachowania tej przyzwoitości, a parlament nie uczuł nawet tej obelgi ani potrzeby obeznania się z przedmiotem, o którym miał wyrokować. Są to prawdziwie niesłychane wybryki systemu reprezentacyjnego, które go w oczach rozsądku dyskredytują. Bez gruntownej zatem informacji, bez poprzednich obrad komisyjnych zajął się parlament na schyłku sesji 21 kwietnia w pierwszym czytaniu tem prawem. Dnia 22 był inny przedmiot na porządku obrad, prawo zatem o banicyi przetrzepane zostało dnia 23, 24 i obok trzeciego czytania prawa prasowego dnia 25 kwietnia, w dniu rozpuszczenia parlamentu, ostatecznie uchwalone. Nie zupełne cztery dni rozpraw wystarczyło, aby kilka tysięcy duchownych poddać pod prawo proskrypcyi i 14 milionów katolików narażić na interdikt rządowy. Obrady odbywały się z taką szybkością i szalaputnością, jak gdyby się nad głowami wszystkim paliło.

Rozprawy rozpoczął imieniem rady związkowej dyrektor ministerjalny Förster argumentami, któreśmy już, mówiąc o motywach, przytoczyli. Z frakcyi centrum dostał się w tym dniu pierwszy do głosu Reichensperger August i przywitał ten projekt temi słowy: „Projekt ten domaga się od nas rzeczy, które jeszcze przed kilku laty były niepodobne, a które i dziś na czołe każdego prawdziwie wolność miłującego człowieka rumieniec wstydu i oburzenia wycisnąć powinny... Projekt ten skazuje na wygnanie duchownych, którzy względem *pewnych*, a mówiąc ściślej, względem jednego prawa takie same zajęli stanowisko, jak Luter na sejmie w Wormacyi... Ten projekt spoczywa na tej samej zasadzie, co prawo przeciw Jezuitom, ale myślicieź niem cesarstwo uratować? Myślicieź, że to będzie w dziewiętnastym wieku podobnem, o co się w Jerozolimie, w cesarskim Rzymie, w Wormacyi daremnie kuszono? Myślicieź, że proskrypcyą zdołacie głos sumienia przytłumić? Alboż to inny jest głos, nie głos sumienia, który tych mężów w taką odwagę i siłę uzbraja, że swoje świetne położenie społeczne zamieniają na celę więzienną?... Po takim prawie gilotyny tylko jeszcze spodziewać się można.“

Po Reichenspergerze przemawiali za przyjęciem tego prawa minister sprawiedliwości Leonhardt, znany „starokatolik“ Schulte i postępowiec Saucken (Tarputschen). Stanowisko, jakie względem tego prawa zajęli postępowcy, którzy we wszystkich kierunkach wyuzdanej dopominali się wolności, jest z wielu miar ciekawe. Prawo samo było z zasadami w rzeczywistej sprzeczności, a cel prawa, tępienie Kościoła katolickiego, nader pożądaný. Zasady „cel uświęca środki,“ o którą tak niesprawiedliwie oskarżali i oskarżają Jezuitów, sami się chwycili. Usiłowali ją tylko upozorować sofizmatami. „My chcemy, woła pan Saucken, wolności religijnej dla każdego indywiduum, ale nie wolności dla Kościoła.“ Znany to wprowadzić frazes nihilistów i zwolenników idei państwa absolutnego; ale zapytajmy się tylko o treść, o znaczenie tego szumu słów. Mająż te słowa znaczyć, że postępowcy dobijają się wolności dla każdego indywiduum wyznawania religii, jaka mu się podoba? Nie. Bo w Prusach i w całych Niemczech, w całym świecie prawie, jeśli wyjmie my Rosyą i Azyą, wolno każdemu wyznawać religią, jaką chce, w Prusach wolno mu nawet nie

przyznawać się do żadnej. Dalej, jeśli indywiduum ma wolność wyznawania religii, jaką chce, jeśli ma wolność nie wyznawania żadnej, nie wierzenia w nic, jakim prawem logiki mogą mu odmawiać wolności wyznawania pewnej religii, jak religii chrześcijańskiej, katolickiej, której bez Kościoła wcale nie masz na świecie? Czyż to także nie jest dziełem wolności indywidualnej? Czyż istnieją, czyż mogą istnieć prawa, któreby zmuszały indywidua do wyznawania religii katolickiej? Nie. Cóż tedy znaczą te szumne wyrazy o wolności indywidualnej? Nic innego, jak w imię wolności, iż tak powiem, od wszelkiej religii, czyli w imię wyzucia się z wszelkiej religii, w imię *bezreligii*, znosić wolność religijną, odmawiać wolności religijnej tym, którzy mają religią, którzy wyznają pewną religią i podług jej prawideł żyć pragną. Wszystko tedy podług zasad tych obywatelowi kraju wolno: wolno mu nie wierzyć w Chrystusa, w Boga, w żadną prawdę Boską, wieczną, niezmienną, w tej negacyi ma wolność nieograniczoną. Ale wierzyć w Boga, w Chrystusa, w objawioną naukę boską, uznać i poddać się przykazaniom Boskim — to jest krępowaniem wolności człowieka, to jest niewolą, z której postępowcy niemieccy i inni ludzkość wyswobodzić pragną. To są niezbędne konsekwencye idei „państwa absolutnego.“ Czyż inaczej było w cesarskim Rzymie pogańskim? Czyż w nim nie były pod opieką prawa wszystkie religie i systemata najniedorzeczniejsze, a jedna religia chrześcijańska nie znalazła w nim miejsca — *non licet esse christianos*? Jestże dziś inaczej? Wszystkie sekty krom jednych Mormonów, o których u nas nie słyhać jeszcze, mają zupełną wolność i swobodę — jednym tylko katolikom powtarzają ciągle: *non licet esse catholicos*. Taka zgodność następstw nie jest rzeczą wcale przypadkową, ale najoczywistszym dowodem, że i pryncypalne zasady, z których te następstwa wynikają koniecznie, są te same. Czy rząd i przywódcy jego w tem prześladowaniu z zupełną świadomością rzeczy nad wywrotem chrystyanizmu pracują, w to nie wchodzę, ale że wszelkich używają środków, aby do szczytu religią chrześcijańską wykorzeńić, jest rzeczą pewną. Niekonsekwentne zatrzymywanie się na pewnych punktach w tym pochodzie zniszczenia może być tylko albo skutkiem niedopatrzania niezbędnych następstw, albo maskowaniem zamiarów wobec silnych jeszcze przeko-

nań chrześcijańskich w masach ludu. Oto są sofizmata postęp-
powców, jakimi głosowanie swoje wobec wyborców swoich
przyozdobili, i klucz do wytłómaczenia niepojętego na pozór
w tej kwestyi postępowania.

Przeciw temu prawu przemawiali jeszcze w tym dniu
prócz Reichenspergera, Buss i Bayrhammer.

W drugim czytaniu dnia 23 kwietnia zajął najpierw głos
pan Minnigerode, członek tak zwanej frakcyi konserwator-
skiej i przemawiał za prawem. Kręcił się wprawdzie w tej
niewłaściwej jego zasadom pozycyi i wypowiedział, że ma
wprawdzie ważne wątpliwości i skrupuły do pokonania w tej
sprawie, ale nie może tego dopuścić, aby rząd pruski został
przez „ultramontanów“ pobity; z tego powodu musi mimo
wielkich wątpliwości głosować za tem prawem i rządowi pru-
skiemu przyjsć w walce w pomoc. Tym argumentem, patryo-
tycznemi frazesami przystrojonym, okrywała większa część
obrońców tego potwornego prawa swój wstyd wobec samych
siebie i wobec świata.

Po nim dostał się do głosu poseł Windhorst (Meppen).
Lubo ten znakomity przywódzca frakcyi centrum z miejsca swego
zwykł był przemawiać, tym jednakże razem wstąpił na trybunę.
W pewnem przekonaniu, że mało członków z jego frakcyi
będzie się mogło dostać do głosu, starał się argumenta rządu
i jego obrońców z właściwą sobie ciętością i ironią pozbijać
i w swej długiej mowie objąć wszystko, co w parlamencie
przeciw temu ohydному prawu wypowiedzieć było można.
Najnielitościwiej wychłostał swoją krytyką Schultego i konser-
watora Minnigerode. Przetrząsnąwszy cały przebieg tego
prześladowania i pasmo kłamstw, na których się opierano,
a w szczególności teraz jeszcze przytoczoną przez Schultego,
jako fałszywy powód do tej walki, nieomylność papieża, wyka-
zawszy, jak dawniej stosunki pomiędzy Kościołem a państwem
regulowano, oświadcza, że po takich gwałtach, jakich się teraz
na mocy prawodawstwa majowego rząd na sumieniach katoli-
ków dopuszcza, najwłaściwszem wyjściem z tego labiryntu
byłoby ogłoszenie zupełnego rozłączenia Kościoła od państwa
na wzór Zjednoczonych Stanów północnej Ameryki, a zwłaszcza
teraz po wprowadzeniu prawa o małżeństwach cywilnych i znie-
sieniu prawnego obowiązku chrztu, wskutek czego wszelka sty-

czność pomiędzy Kościołem a państwem przecięta została. „Nie mogę, powiada w tym związku dalej, właściwie pojąć, jaki może mieć państwo interes, złożywszy w ręce swoich władz upoważnienie do zawierania małżeństw, zwolniwszy mieszkańców od obowiązku chrztu, zniósłszy przy zawieraniu małżeństw wszelkie różnice wyznań religijnych, jaki, mówię, może mieć interes, jakie prawo, twierdzić, że inne funkcyje duchowne nie mogą być wykonywane bez jego pozwolenia. Jakiż bowiem interes państwu, jakim niebezpieczeństwem wogóle zagraża państwu odprawianie mszy św. lub innego nabożeństwa, jakim niebezpieczeństwem grozi mu sprawowanie sakramentów śś., jakim niebezpieczeństwem grozi mu kapłan, kiedy na polu bitwy lub w czasie epidemii lub wogóle w czasie chorób spieszy do umierających, aby ich pocieszyć i przygotować na tę trudną przeprawę do wieczności? Nie czujecie, panowie, że po odebraniu duchownym funkcyj państwowych, niepojętą jest dla *zdrowego rozumu ludzkiego rzecz*, aby odprawianie modlitwy, udzielanie nauki religii, czyli, aby ten, który odprawia modlitwę, udziela naukę religii, potrzebował do tego pozwolenia od państwa? Albo czyż chcecie koniecznie stanowić, aby w takim tylko wolno było przyjmować zakroju sakramenta, jaki się każdorazowemu ministrowi spraw duchownych spodoba? Pan dyrektor ministeryalny powiedział nam wprawdzie z wielkim przyciskiem, że prawa majowe żadnego aktu religijnego nie dotyczą, że w tej mierze najzupełniejszą zostawiają wolność. Ale, panowie, ja przynajmniej nie rozumiem takiej wolności, jeśli duchownych za wykonywanie właśnie tych aktów religijnych, aktów, które nic wspólnego nie mają z państwem, do więzień wtrącacie.... Tak, prawa majowe obrażają ciężko, ba znoszą nawet całkiem dogmata Kościoła katolickiego, bo chcą koniecznie hierarchią jego, która spoczywa na podstawie dogmatu, na podstawie prymatu, na podstawie posłannictwa, jakie biskupi i duchowni od papieża odbierają, od władzy świeckiej zawiśłą uczynić. Podług niego naczelny prezes zajmuje miejsce biskupów, a Heineccius z swoimi radcami miejsce papieża. Jest-to prezydent znanego trybunału. To jest ciężkiem pogwałceniem dogmatu, a jeżeli tego pan dyrektor ministeryalny nie pojmuje, to zaiste potrzebną byłoby rzeczą, aby mu który z kanonistów naszej Izby dał stosowną

lekcją.... Mówicie, panowie, że chcecie pokoju; myślicież istotnie, że temi środkami, które teraz macie uchwalić, cel ten osiągniecie? Zapewniam was, że używając wyrazu pana dyrektora ministeryalnego, mimo ostrości tej broni, celu waszego jednak nie dopniecie. Katolicy i wierzący protestanci mają to przekonanie, że na okup wiary żadna ofiara nie jest drogą, nawet ofiara życia. Mylicie się bardzo, jeśli mniemacie, że wy nam kapłanów przysyłać możecie. Mylicie się, jeśli mniemacie, że ich przyjmiemy — że pozbawieni prawdziwych kapłanów, nie potrafimy potrzebie zaradzić. Macie moc utrudniać nam nasze położenie, macie moc dokuczyć nam, macie moc zranić serce nasze, ale wydrzeć nam wiarę naszą, nie macie mocy; a gdy nam świątynie nasze pozamykacie, zgromadzać się będziemy po lasach; tak będziemy o sobie radzić, jak katolicy Francyi za panowania Jakóbinów pierwszej klasy.“

Przemówienie posła Joerga przeciw prawu odznaczało się także i gorącością i dokładną znajomością rzeczy, ale ograniczało się po największej części na stosunki bawarskie, a mianowicie na prawodawstwo o naturalizacyi.

Z wszystkich mowców, którzy tak w imieniu rady związkowej, jak z łona parlamentu za tem prawem przemawiali, odznaczył się tonem przyzwoitości i przedmiotowem przedstawieniem rzeczy poseł Miquel. Fałszywość jednak pryncypalnej zasady, na której się opierał, t. j. wszechwładztwo państwa, nie dozwoliło mu dotrzeć do zupełnej prawdy. Musiał także ostatecznie na tem zakończyć, że „nie może rządu pruskiego zostawić na koszu i musi mu nieść pomoc.“

Dnia 24 kwietnia po zakończeniu rozpraw dorwał się jeszcze poseł Niegolewski do głosu i w kilku trafnych słowach scharakteryzował okrucieństwo tego prawa, a w szczególności § 5, który duchownego przy rozpoczęciu śledztwa, a zatem pierwej, nim вина jego skonstatowaną zostanie, karą wygnania obkłada.

W dniu 25 kwietnia, w którym parlament rozpuszczony został, przyszedł jeszcze do głosu jeden z najcelniejszych mowców frakcyi centrum, Mallinckrodt. Dostał się na mównicę po „starokatolicku“ Voelk, przy trzeciem czytaniu. Poseł ten bystrego i przenikliwego rozumu, jak niemniej potężnej wymowy, miał teraz sposobność streszczenia i odparcia wszystkich

za utrzymaniem tego prawa przytoczonych argumentów. Każdemu obrońcy tej okrutnej a mizernej ramoty prawodawczej dał odpawę, na jaką sobie zasłużył. W jakim tonie cierpkości toczyły się już rozprawy przy końcu, niech posłuży za dowód kilka słów charakterystyki mowy posła Hinschiusa, profesora uniwersytetu berlińskiego i jednego z ojców praw majowych. „Co do przemówienia posła Hinschiusa, powiada Mallinckrodt, przyznacie mi panowie zapewne wszyscy, że mowa jego była raczej szczekaniem niż kąsaniem. Na twierdzenie jego, że masy ludu nie są zdolne rozpoznać i ocenić granicy czyli stosunku pomiędzy Kościołem a państwem, jedną tylko robię uwagę. Gdyby masy były powołane wykładać umiejętnie z katedry ten przedmiot, nie podołałyby niewątpliwie temu zadaniu, ale kiedy chodzi o tak dotykane dla nas rzeczy, na które patrzymy, kiedy chodzi np. o ocenienie, czy człowiek przez Kościół ekskomunikowany, a przez państwo za biskupa katolickiego uroczyste uznany, ma prawo do sprawowania duchownych funkcji katolickich, to każde dziecko do szkółki elementarnej uczęszczające ma tyle rozpoznania, aby właściwą dać na to odpowiedź.“

Na zarzut, szczególnie przez członków rady związkowej kilkakrotnie używany, a nawet i przez posła Miquela powtórzony, że duchowni słuchają raczej głosu papieża, niż ojczyzny, a zatem sami się na wygnanie skazują, odpowiada: „Jeśli to jest prawdą, jeśli my się wyrzekamy naszej ojczyzny przez to, że się silnie trzymamy centrum jedności Kościoła katolickiego, w takim razie nasi i wasi przodkowie już od czasów św. Bonifacego zupełnie się swej ojczyzny wyrzekli. Takimi dowodami nie godzi się nas częstować. Mówicie dalej: prawa majowe muszą być wykonane. Czemu? Ponieważ istnieją. Nie, panowie, ja powiadam, że prawa majowe powinny być zniesione, ponieważ nie nie warte. Któryż tedy argument jest słuszniejszy? Mniemam przeto, że przedewszystkiem zależeć powinno na rozpoznaniu ich treści, bo sama egzystencja ich niczego nie dowodzi.“

Zdanie przez ministra sprawiedliwości Leonhardta wypowiedziane, a potem kilkakrotnie przez innych powtarzane: „kto się wypiera praw państwa, tego się także i państwo wypiera,“ zbija następującymi słowy: „słuszna jest, że stowa-

rzyszenie, do którego przystęp jest wolny, oświadcza: kto statutów moich nie przyjmuje, tego wykluczam; ale zastosowanie tego zdania do stosunków państwa jest rzeczą najprzewrotniejszą. Zdanie bowiem to zawiera w sobie konsekwencye wiodące koniecznie do banicyi, jaka w starożytnym Rzymie za czasów Maryusza i Sulli panowała. Któż bowiem zasadniczo zaprzecza państwu prawa? Biskupi tylko? Duchowni tylko? Nie, panowie, wszyscy katolicy, którzy prawdziwymi są członkami Kościoła katolickiego, zaprzeczają, aby państwo miało prawo domagać się posłuszeństwa od Kościoła dla każdej jego ustawy bez względu na jej treść. Zaprzeczają stanowczo, aby państwo *wyłącznie* i *jedynie* piastowało najwyższą władzę, i twierdzą, że w rzeczach kościelnych Kościół także ma najwyższą władzę. Wypędźcie tedy, panowie, wszystkich katolików albo przyznajcie, że w postępowaniu waszem nie masz konsekwencyi i zastanówcie się cokolwiek nad tem, czy podstawa, na której przedłożone prawo opieracie, zdoła wytrzymać krytykę rozumu.“

Po roztrząśnieniu innych jeszcze argumentów i przytaczanych, a opacznie zastosowanych faktów kończy temi słowy: „Widzicie: że mimo groźnych środków rządowych, mimo zaciętej nienawiści stronnictw, wszystkie jednak elementa wyznające wiarę Chrystusową, coraz ściślej się z sobą łączą. Mniemaliście, że walczyście przeciw biskupom tylko, przeciw chwiejącym się i słabym biskupom, liczyliście na to, że duchowieństwo hurtem i cwałem do obozu waszego garnąć się będzie. Mylne wasze rachuby, panowie! Dziś już doświadczenie udowodniło, że duchowieństwo silnie trzyma z swoimi przewodnikami. Mówiliście i myśleliście sobie dalej, że tylko z duchownymi macie sprawę; — nie, panowie, tak samo, jak z duchownymi, macie i z świeckimi do czynienia, i kto tylko chce mieć oczy i użyć ich, aby widzieć, ma dziś już dosyć sposobności, aby się o prawdziwości tego przekonać. Widzicie w naszych zachodnich okolicach stanowczą decyzją, spokojne wyczekiwanie, zdeterminowaną wolę, z jakimi na najłżejszą oznakę tyśiące się poruszają i spieszą, aby przed bramą więzienia pasterza swojego pożegnać i dać mu to zaspakajające zapewnienie, że i na przypadek, gdyby pastorału swego nie mógł już w ręce swojej trzymać, spokojnym być może, że

wtenczas nawet, kiedy nadejdzie chwila przez nas przewidywana, w której następstwa kroków, jakie rząd już uczynił, sprowadzą na liczne parafie osierocenie i pozbawią je pasterzy, że, mówię, i wtenczas mogą biskupi z pewnością liczyć na stateczne dotrzymanie Kościołowi wierności ze strony ludu katolickiego. Panowie! gdybyście mieli sposobność być świadkami tego, sądzę, żeby się w was zaczęło budzić przekonanie, że tu nie chodzi o walkę z pojedynczemi osobami, ale o walkę pryncypalnej zasady z zasadą. Tu chodzi o walkę wiary chrześcijańskiej z filozofią, pozbawioną podstawy chrześcijańskiej i o tyle, o ile się tej podstawy pozbawiła, a to, co wśród tej walki na jaw wystąpiło, zjawienie się księcia Bismarka, jakkolwiek potężne, jest jednak tylko przemijającym zjawiskiem. Jest-to wprawdzie potężna osobistość, ale wobec walki zasad cały świat poruszających, słaba jak trzcina; i jeżeli mniemacie, że tę walkę tak mizernem prawem, jak obecne o banicyi, do pomyślnego doprowadzicie końca, to fałszywe robicie rachuby i dowodzicie, że nie znacie skutków chrześcijańskich przekonań. Dziwnem to jest zjawiskiem, że cierpienia rodzą gotowość do cierpień, i skoro ujrzymy naszych pasterzy w więzieniach, więzach lub na wygnaniu, mniemacie, że zbywać będzie na gotowości do narażenia się także na los podobny? A jeśli duchowni za przykładem tym poszli i idą, nie wzdrygną się na to i świeccy, a wasz środek banicyi nic nie pomoże. Będziecie musieli jeszcze ostrzejszej użyć broni! Zastanówcie się, jaką broń chcecie przygotować! My zaś tymczasem myślimy: „Per crucem ad lucem.“

Mowa ta była w trzeciem czytaniu podobnie, jak w pierwszym Reichenspergera, a w drugim Windhorsta, największej doniosłości. Wyższość tę niezaprzeczoną w dyskusyi frakcyi centrum czuły nawet liberalne stronnictwa i prasa ich, jak gazeta Vossa i Volks-Ztg. nie mogły się wstrzymać od wyrażenia ubolewania swego nad tem, że mowcy liberalnych stronnictw nie zdołali ani znajomością rzeczy, ani wymową sprostać członkom frakcyi centrum. Lecz cóż w tem dziwnego? Katolicy bronili prawdy, a pseudoliberalny kłamstwa. O ile pierwsza podnosiła przyrodzony talent, o tyle go ostatecznie osłabiało. Że jednak mimo tej niezaprzeczonej wyższości moralnej, ich mowy i usiłowania w parlamencie najmniejszego nie odniosły skutku,

nikogo, kto zna skład stronnictw, ich usposobienie i nacisk z góry, zadziwić nie może. Gdyby prawda sama, gdyby Zbawiciel sam wpośród nich był stanął i do nich przemawiał, zostałby tak samo skazany, a Barabasz na wolność puszczony, jak niegdyś w Jerozolimie.

Lecz chociaż mowy tych mężów ani na rząd, ani na parlament żadnego nie wywołały wpływu, miały jednak dla katolików nieocenioną wartość. Tu znajdowały w sercach odgłos i oświecały tych, którzy jeszcze całej bezdennej przepaści, do jakiej to prześladowanie wiedzie, nie pojmowali. Głosy te miały tem wyższą cenę, że uciśniona i nieustannemi procesami trapiąca prasa katolicka nie była w stanie z taką swobodą i mocą tych ważnych kwestyj roztrząsać, jak to mogli czynić posłowie z mownicy.

Z polskich posłów dostał się jeszcze ostatniego dnia do głosu ks. dziekan Kegel. Lecz Izba długimi obradami znużona i wyglądająca na rozpuszczenie, które tego samego dnia jeszcze nastąpiło, tak była w czasie jego mowy niespokojna, że nawet słów jego zrozumieć nie było można.

Po tej stosunkowo do rzeczy krótkiej walce parlamentarnej, został projekt 214 przeciw 108 głosami przyjęty, a 4go maja przez cesarza sankcyonowany. Tak został rząd pruski podobnie jak przeciw Francyi, nie tylko własną armią, ale posiłkami całego cesarstwa niemieckiego do walki przeciw Kościołowi katolickiemu uzbrojony.

Bierny opór biskupów i duchowieństwa.

Jużeśmy nadmienili wyżej, jak mylnie i opacznie oceniono opór biskupów i duchowieństwa, który prawom majowym stawili. Zarzuty te, wypowiedziane tylekrotnie przez ministra spraw duchownych, księcia Kanclerza i rozmaite organa rządowe, powtarzają się przy następnych prawodawstwach ustawicznie. Ułatwimy sobie przeto dalsze przedstawienie sprawy, jeśli w krótkości rzecz tę wyjaśnimy osobno, aby się i w tym punkcie przekonać, jak się wszędzie przebija idea „absolutnego państwa“ i nieprzerwane pasmo kłamstwa, którem prawdę przytłumić usiłowano.

Idea „państwa absolutnego“ czyli państwa, które się mieni być Bogiem, absolutem, wymaga konsekwentnie dla swych praw, rozporządzeń i przepisów także bezwzględnego czyli absolutnego posłuszeństwa. Wobec takiego wyobrażenia o państwie nabierają prawa państwa w jego terytorjum znaczenia przykazań Bożych. Rząd pruski najwydatniej myśl tę wyraził w zająciu z biskupem Warmińskim, o którym wyżej była już mowa. Jednem słowem prawo państwa, które nie uznaje Boga ani przykazań Jego nad sobą, jest wyrazem najwyższej czyli absolutnej woli, której konsekwentnie absolutne powinno odpowiadać posłuszeństwo.

Takiego posłuszeństwa domagał się także rząd od biskupów, duchownych i katolików względem praw majowych, bez względu na ich wyobrażenia i przekonania religijne. Biskupi zatem, nim prawa te formalnie przyszedły do skutku, oświadczyli jawnie i uroczyście, że do wykonania tych praw, które złożonej przez nich przysiędze i sumieniu się sprzeciwiają, ręki przyłożyć nie są w stanie. Co uroczyście zapowiedzieli, tego także sumiennie dotrzymani. Nie dopuścili się żadnego prawem Bożem zakazanego uczynku, do jakiego ich te prawa surowemi karami zmuszały, ani nie opuścili prawem Bożem nakazanego, jaki im te prawa spełnić zakazywały. Natomiast następstwa czyli kary, jakie prawa majowe za ich posłuszeństwo Bogu statecznie dotrzymywane wymierzyły na nich, przyjęli na siebie z pokorą bez oporu. Nie bronili się, nie użyli gwałtu, gdy ich obdzierano z mienia, wtrącano do więzienia i wypędzano z ich diecezji lub z kraju, chociaż wykonanie tych kar często połączone było z dotkliwem dokuczaniem i upokarzaniem. Co więcej, upominali jeszcze wiernych, aby wszystkie krzywdy, jakich przez usunięcie ich pasterzy życie ich religijne dozna i przez wypędzenie zakonów już doznało, znieśli z cierpliwością i gwałtem gwałtu nie odpierali. Takiem postępowaniem postawili się nietylko sami na stanowisku biernego oporu, ale przyczynili się nadto słowem i przykładem do tego, że i lud katolicki mimo dokuczliwego drażnienia, mimo ustawicznego jątżenia ran jego, na niem się utrzymał.

Chociaż to zachowanie się biskupów było znane, w ich odezwach i listach pasterskich tylokrotnie wyraźnie wy-

powiedziane i ściśle określone, nie wahał się rząd pruski jednak wbrew oczywistej prawdzie zarzucać im publicznie, że są „buntownikami“, „rewolucjonistami.“ Opinia całego świata, tak katolickiego jak akatolickiego, zadała temu urzędowemu twierdzeniu kłam i z uwielbieniem tylko wyrażała się o zachowaniu się episkopatu katolickiego Prus. Zresztą rząd sam faktycznie udowodnił, że zarzuty jego były i są nieprawdziwe. Bo jeśli miał takie przekonanie o postępowaniu biskupów istotnie, jakie publicznie i urzędownie wypowiadał, czemuż im jako „buntownikom“ nie wytoczył procesu? Czemuż ich o zdradę kraju nie oskarżył? Możnaż rozsądnie przypuścić, że rząd, który biskupów i kapłanów katolickich za przekraczanie przepisów praw majowych takim samym rodzajem więzienia karał, jak pospolitych zbrodniarzy, byłby w tej mierze ochraniał biskupów i nie karał ich za zbrodnię stanu, gdyby tylko był mógł, gdyby sam był wierzył w prawdziwość zarzutu, jaki urzędownie biskupom robił? Co więcej, rządby się był dopuścił karygodnego niedbalstwa względem całej monarchii, gdyby tego nie był uczynił. A jeśli tego mimo swej zawziętości przeciw biskupom katolickim jednak nie zrobił, udowodnił najwyraźniej sam nieprawdziwość swoich zarzutów.

Kilkakrotnie powtarzane twierdzenia ministra spraw duchownych, że „opór bierny biskupów przedzierzgał się w czynny,“ jest także obliczony na złudzenie publiczności większej, która nie zwykła się sama nad rzeczą zastanawiać. Przepisy bowiem praw majowych jedne nakazują pewne uczynki, a drugie zakazują. Nakazują np. biskupom, aby seminarya duchowne poddali pod dozór zupełny rządu i praw swoich biskupich rzekli się na rzecz naczelnego prezesa — tego nie uczynili i nie czynią; zachowanie się ich w tej mierze jest bierne, ujemne — to każdy zrozumie. Lecz przepisy tych praw zakazują także wiele uczynków, które biskupi i kapłani mają obowiązek spełnić. Zakazują np. święcić na kapłanów tych kandydatów duchownych, którzy nie złożyli egzaminu rządowego, zakazują używać w razie potrzeby kar kanonicznych, a pewnym categoryom duchownych odprawiać mszy św., sprawować sakramenta śś., odwiedzać chorych i t. p. Wobec tych przepisów zakazujących występują pozornie biskupi i kapłani czynnie, jeśli wbrew zakazowi święcą, bierzmują, a duchowni

msze odprawiają, sakramenta administrują itd. Ale godziż się takie postępowanie nazwać oporem czynnym? Czynność bowiem ta odnosi się do powinności, do której biskup lub kapłan w sumieniu jest obowiązany, ale nie do zwierzchności świeckiej; względem niej jest zachowanie się ich tak samo biernem, jak było w stosunku do przepisów nakazujących. Bo gdy władza świecka za wykonanie zakazanych uczynków pociąga ich do kary, nie stawili jej i nie stawiają czynnego oporu, nie odpierają gwałtem gwałtu, ale się poddają jej egzekucyi bez oporu. Czyż Chrystus Pan, czyż apostołowie Jego inaczej sobie postępowali? Czyż usłuchali zakazu rady żydowskiej i nie ogłaszali ewangelii? A któż się poważył dotychczas ich opór nazwać oporem czynnym, buntem?

Cóżto bowiem jest bunt, rokosz, rewolucya? Podług definicyi Stahla „jest-to użycie fizycznego gwałtu przeciw zwierzchności, bądźto, aby ją zmusić do wykonania lub zaniechania pewnych aktów, bądźto, aby ją całkiem strącić.“ Nie tu jest pora roztrząsać kwestyą, czy w ogóle i pod jakimi warunkami godzi się narodowi — pojedynczym indywiduum nigdy — podnieść broń przeciw tyranii i gwałtem odebrać jej władzę, której nie używała dla dobra pospolitego, ale na jego szkodę. — Ś. Tomasz z Akwinu, Bellarmin, Suarez i inni określają warunki usprawiedliwiające krok taki—ale pytam się, czy biskupi i kapłani w obecnem prześladowaniu dopuścili się buntu czyli rewolucyi? Nie. Od samego początku postavili się na stanowisku samego Zbawiciela, apostołów, męczenników i wyznawców, którzy im drogę przez tyle wieków trwającego prześladowania pewną i niewątpliwą wskazali. Nie potrzebowali w tej mierze błąkać się, bo mieli od wieków tor już utarty.

Różnica przeto pomiędzy drogą, którą obrali biskupi, a rewolucyą, jest zbyt jasna, aby je można mieszać i pomącić. Znakomity profesor nauk politycznych, Stahl, tak rozróżnia opór bierny od buntu: „Co innego jest rokosz, a co innego opór bierny. Bierny opór na tem się zasadza, że człowiek nie czyni tego, co zwierzchność nakazuje, ani opuszcza tego, co zakazuje, podobnie jak pierwsi chrześcijanie, wbrew nakazowi zwierzchności, nie składali ofiar bałwanom, i wbrew zakazowi, nie przestali ewangelii opowiadać. Różni się przeto

istotą swoją od czynnego oporu, gdyż pierwszy zaczepia władzę zwierzchności, przeszkadza w spełnieniu pewnych uczynków, ostatni zaś odmawia własnego udziału, czyto biernego, czy czynnego. Niemniej różni się naturą swą od wypowiedzenia posłuszeństwa, albowiem sprzeciwia się tylko pewnym przykazaniom, a nie uchyla się od uznania zwierzchności w ogóle. — Opór bierny jest pod pewnemi okolicznościami dozwolony, a nawet nakazany. Albowiem wszystkie uczynki człowieka w ogóle zawisłe są nietylko od państwa, ale także bezpośrednio i od Boga. Jeżeli tedy przykazanie zwierzchności sprzeciwia się przykazaniu Bożemu, natenczas ma poddany obowiązek odmówienia jej posłuszeństwa podług słów: „Więcej trzeba słuchać Boga, niż ludzi.“ (D. A. 5, 29). Tym sposobem nie przywłaszcza sobie władzy sądzenia zwierzchności, wyrokowania o niej, ale wydaje jedynie sąd o własnem swoim sumieniu. Lecz oznaczenie granicy, gdzie się kończy powinność względem zewnętrznego przykazania zwierzchności, a zaczyna powinność względem wewnętrznego przykazania Bożego, tego nie może człowiekowi państwo ani przez swoje prawa, ani przez swoją zwierzchność powiedzieć, albowiem to jest właśnie granicą państwa, o tem dowiedzieć się tylko może przez przykazanie Boże, jak je w sumieniu swoim pojmuje. Jestto potęga osobistości, która przez węzeł, łączący ją bezpośrednio z Bogiem, stoi zarazem ponad państwem; w niej znajduje powaga państwa ten opór, który nie jest oporem przeciw porządkowi państwa.“

Tak mówi o tej rzeczy wierzący protestant, którego najwyższym sędzią w tej materji jest jego indywidualne sumienie. Skoro mu jego własne sumienie, jego osobiste przekonanie powiada, że to lub owo sprzeciwia się woli Bożej, już go upoważnia do odmówienia posłuszeństwa rządowi. O ileż rządy wyższą i pewniejszą mają rękojmię w sumieniu katolika, które ma *nieomylnego* regulatora w Kościele! Na tym właśnie punkcie oparł kardynał Manning, arcybiskup Westminsterki, cały swój dowód przeciw byłemu ministrowi Gladstone, który śmiało robił katolikom zarzut, że z powodu ich wiary w nieomylność Kościoła czyli papieża, nie mogą być wiernymi poddanymi państwa. Jeśli bowiem wszelka powaga państwa znajduje granice swej władzy w sumieniu człowieka, co skutecznie zaprzeczyć, sprzeciwia się zarówno przykazaniu Boskiemu, jak prawu

przyrodzonemu, natenczas powinni ci nawet, którzy nie wierzą w nieomylność i w Boską instytucję Kościoła i po ludzku tylko rzeczy oceniają, pewniejszą widzieć rękojmię słuszności w oznaczeniu tej granicy przez Kościół i jego wyrok, aniżeli przez prywatne, indywidualne sumienie, które tysiącnym ulec może błędowi.

Z tego się pokazuje jasno, że chrześcijańska powinność posłuszeństwa względem zwierzchności świeckiej tak daleko tylko sięga, jak państwo ma prawo rozkazywać, po za tym obrębem ustaje posłuszeństwo, bo tam się także kończy prawna władza państwa. Człowiek bowiem nie jest własnością państwa z ciałem i duszą, bo zostaje w stosunku do państwa, ale nie mniej także i do Boga. Poseł Reichensperger udowodnił w jednej z mów swoich parlamentarnych, że tę zasadę prawo krajowe pruskie w części II, tyt. 11, §§ 30 i 31 jak najwyraźniej uznaje, że nie godzi się nikogo zmuszać, aby coś uczynił przeciw swemu przekonaniu, lubo następstwom ztąd wynikającym poddać się musi. Cóż biskupi katoliccy Prus zrobili innego?

Co w niepohamowanych swoich zapędach rząd pruski względem biskupów katolickich wypowiedział, to prasa i mowy pseudoliberalów parlamentarne w zaciętości walki zgeneralizowały i posunęły się w wyciąganych konsekwencyach tego doktryneryzmu jeszcze dalej. Twierdzili bowiem i dowodzili wśród rozpraw, że prawo jest „jedynem prywatnem i publicznem sumieniem,” że się musi konsekwentnie „bezwzględne i nieograniczonego domagać posłuszeństwa.“ W imię zatem wolności dopominano się takiego morderstwa wolności. Bo trudno wymarzyć myśl, któraby, gdyby została urzeczywistniona, gruntowniej i radykalniej zabijała wolność, godność i zacność natury ludzkiej, jak ta doktryna pogańsko-panteistyczna. Rząd pruski, który się w tory tej fałszywej doktryny zapędził, postawił zadanie, jakiemu nie podoła. Opór ten bierny jest mu bardzo niewygodny i jak się zdaje, znieść go wcale nie może. Prześladowanie biskupów i duchownych, choćby się jeszcze bardziej srożyło, niż dotąd, nic nie pomoże, bo to są pojedyncze tylko objawy prawd chrześcijańskich, a nawet prawa przyrodzonego. Aby zatem opór taki gruntownie wytepić i zupełnie złamać, trzeba pierwaj chrystyanizm do szczytu wykorzenić, trzebaby wszelkie źródła jego nauki zatamować, wszystkie

egzemplarze Starego a mianowicie Nowego Testamentu popalić i nowych wydań zakazać. Bo gdzież ta prawda wznioślejszy i świętszy znajduje wzór, silniejsze i zrozumialsze uzasadnienie, jak na boskiej osobie samego Zbawiciela? Apostołowie, św. Szczepan i wszyscy męczennicy prawdę tę krwią swoją w dziejach ludzkości zapisali. Trudno zatem będzie rządowi pruskiemu świat cały przekonać, że to byli buntownicy — tak samo nie zdoła udowodnić tego i o katolickich biskupach Prus. Co więcej, gdyby nawet miało być rzeczą podobną ten głos wolności chrześcijańskiej przytłumić, to niepodobną będzie rzeczą na długo przygłuszyć głos przyrodzonego prawa, które się przez usta Sokratesa już odezwało do jego sędziów: „Miłuję, szanuję was, ale jednak więcej będę słuchać Boga, niż was.“

Prawo, chociażby formalnie było zupełnem, skoro mu nie dostaje niezbędnych warunków materyalnych, od których moc i siła zobowiązująca zawisła, jednym słowem, jeśli nie jest wyrazem sprawiedliwości odwiecznej, ale jej się wręcz sprzeciwia, traci jednak swoją moc i siłę i nie zobowiązuje, chyba przemocą. Absolutne, bezwzględne posłuszeństwo, może tylko mieć znaczenie w stosunku człowieka do Boga, w każdym zaś innym stosunku jest sprzecznością, sprzeciwia się prawdom logiki, bo władza każdego innego prawodawcy ograniczona jest przyrodzeniem i prawem, jakie jej przysługuje. Niektórzy z nowszych profesorów nauk politycznych, jak Bluntschli i Schulze, którzy się zaczynają otrząsać z jarzma Hegłowskiego, przyznają się jawnie do tej zasady i nauczają, że prawo przekraczające granice władzy państwa nie zobowiązuje nikogo. Jak władza Prus ustaje za granicą pruską, tak tem więcej kończy się z granicą doczesności, po za którą jest dziedzina religii. Miałże tedy rząd pruski, nawet ze stanowiska umiejętności, a za nim cała prasa liberalna słuszny powód do podniesienia tak przerażliwego krzyku przeciw encyklice Ojca św. z dnia 5 lutego 1875, a mianowicie przeciw tym słowom: „*illas leges irritas esse, utpote quae divinae ecclesiae institutioni adversantur?*“ Słowa te odnoszą się do praw wydanych w roku 1874, które zaraz poznamy. Czyż te wyrazy wypowiadają jakieś roszczenia sobie władzy świeckiej nad Prusami? Nie. Ojciec św. poprostu poucza katolików, oświadczając im, że te prawa pod względem kościelnym wcale ich nie zobowiązują. Czemu? Bo rząd świecki

przekroczył wydaniem tych praw granice swej władzy i wdarł się w dziedzinę, która do obřębu jego prawodawstwa wcale nie należy. Tę prawdę od wieków już wypowiedział św. Augustyn i św. Tomasz z Akwinu, że prawa takie raczej są gwałtem aniżeli prawami — *magis sunt violentiae quam leges; quia, sicut Augustinus dicit: lex esse non videtur, quae justa non fuerit*; a teraz zaczynają tego samego nauczać i uczeni niemieccy. A jednak mimo oczywistości tej prawdy, przytoczone słowa tej encykliki miały, jak wiarogodne osoby zaręczają, zdecydować króla do wniesienia w przyszłym roku do Izb owego haniebnego prawa o odjęciu duchownym dochodów, które im rząd na mocy wyraźnych tytułów prawnych obowiązany był płacić.

Że rząd pruski na seryo tę szaloną teorią o bezwzględnem posłuszeństwie przeprowadzić zamyślał, dowodzi tego najoczywiściej przedłożona w przeszłym roku parlamentowi niemieckiemu nowella do prawa karnego, która paragrafami 110 i 111 każde usprawiedliwienie lub pochwalenie nieposłuszeństwa bez względu na to, czy biernego czy czynnego, poddawała karze więzienia lub domu karnego od 2 do 10 lat. Parlament jednakże odrzucił tę nowellę podobnie, jak w poprzedzającym roku § 20 proponowanego prawa prasowego, który tę samą zawierał zasadę.

Podług tych zasad możemy należycie ocenić znaczenie zmiany, jaką rozporządzeniem z dnia 6 grudnia 1873 w dotychczasowej rocie przysięgi przez biskupów składanej wprowadzono przez dodatek: *„prawa krajowe sumiennie zachować.“* Przedmiotowo nie zawiera wprawdzie ten dodatek nic zdrożnego i niebezpiecznego, ale rzeczywisty powód, który go wywołał, a nadto prawa, które już wyszły, nadają mu znaczenie, którego z sumieniem chrześcijańskim, a nawet z przyrodzoną uczciwością człowieka pogodzić nie można. Usiłuje bowiem przysięgą zobowiązać sumienie człowieka, aby mógł przeciw głosowi sumienia działać, gdyż wymaga po nim zobowiązania się pod przysięgą do poddania się nie tylko prawom obecnie istniejącym, ale nadto i tym, które w przyszłości wydane być mogą, bez względu na to, czy są zgodne z sumieniem i nauką wiary katalickiej lub nie. Takiej przysięgi żaden chrześcijanin, żaden uczciwy człowiek złożyć nie może,

a tem mniej biskup, który ma pewne powinności względem Kościoła do wypełnienia. Albo godził się biskupowi katolickiemu przysiąc, że nie chce i nie będzie ewangelii św. ogłaszać, sakramentów śś. sprawować, jak tylko za pozwoleniem naczelnego prezesa? Godził się biskupowi zrzec się pod przysięgą powinności i prawa kształcenia i wychowywania swoich duchownych na rzecz ministra spraw duchownych, akatolika, a może i niechrześcijanina? Możeż biskup katolicki pod przysięgą się zobowiązać, że jurysdykcji i władzy dyscyplinarnej papieża uznawać nie będzie? Możeż biskup katolicki pod przysięgą się zobowiązać, że wyrok trybunału świeckiego składający go z urzędu biskupiego uzna i do niego się zastosuje? Byłżeby jeszcze biskupem katolickim rzeczywiście, gdyby się tego miał dopuścić?

Opór zatem biskupów bierny, jaki dotąd prawom tym stawili i stawiają, jest prawidłami moralności chrześcijańskiej i przyrodzonej nawet nie tylko usprawiedliwiony, ale nawet wśród okoliczności obecnych nakazany.

Pomijamy tu opór przeciw prawu o pojedynkach, opór redaktorów, którzy nie chcą swych korespondentów wymienić, bo nam się rzecz zbyt jasną wydaje i dalszej ilustracji nie potrzebuje.

Do tego, cośmy tu w tej materyi powiedzieli, odwoływać się będziemy później, a mianowicie przy prawie z dnia 22 kwietnia 1876 o zatrzymaniu biskupstwom i duchownym przy należnych dochodów.

Prawo o zarządzie wakujących biskupstw katolickich z dnia 20 Maja 1874.

Prawo to podobnie jak i następne, zawierające deklaracyą i uzupełnienie prawa z dnia 11 Maja 1873, jest tylko wprowadzeniem dalszych konsekwencyj z zasad praw majowych zeszłego roku wydanych i wywołanego przez nie oporu ze strony biskupów, duchowieństwa i w ogólności ludności katolickiej. Rząd pruski, chociaż miał zrzeczność dostatecznego przekonania się, że opór ten stawia mu cała ludność katolicka, nie sami tylko biskupi i duchowni, nie myślał jednak

o odwołaniu, ale, jakżeśmy się wyżej przy przedstawieniu agitacji wyborczej przekonali, postanowił w rozpoczętem przesładowaniu iść dalej. Do tego mógł tylko mieć dwa powody. Albo liczył na to z pewnością, że opór ten, który tyle dotkliwych strat, cierpień, upokorzeń na duchowieństwo, na hierarchią kościelną, a na wiernych katolików rozliczne niedogodności, a nawet ciężkie materyalne szkody ściąga, ustawicznym i nieprzerwanym uciskiem z czasem przełamie, bo masy ludu po wywietrzeniu pierwszego uniesienia, grozy tej na długo nie wytrzymają; albo, korzystając z tego oporu, chętnie surowszych użył środków, aby tem pewniej i prędzej zamierzony cel osiągnąć t. j. wytopienie Kościoła katolickiego w Prusiech względnie w Niemczech. Jeżeli niema widoków zniszczenia Kościoła katolickiego powoli przez zatrucie jego ducha, przez odjęcie mu środków odmładzania i odradzania się w następnych generacjach, natenczas trzeba dokazać tego gwałtem. Pierwsza rachuba już go omyliła zupełnie — „starokatolicy“ nie sprowadzą mu posiłków, o którychby warto było mówić; druga jest w ręku Boga. Jakkolwiek bowiem katolicy wierzą na mocy wyraźnych słów Zbawiciela, że Kościół w ogólności trwać będzie aż do skończenia świata, to jednak nie mają przyrzeczenia, że tej właśnie części jego, która się znajduje w Prusiech, „bramy piekielne nie zwyciężą.“

Motywow do tego i następnego prawa nie będziemy roztrząsać ściślej. To bowiem, cośmy powiedzieli o motywach do praw majowych w ogólności, a o opozycji biskupów w szczególności, jest dostatecznem, aby zrozumieć, w jaki sposób rząd prawa te umotywował. „Bunt,“ „rokosz biskupów“ przeciw państwu, przeciw rządowi i to temu państwu, temu rządowi, który świetnemi zwycięstwami oręża niemieckiego rozproszone, podzielone Niemcy zjednoczył i do najwyższej potęgi przyprowadził, cóż to za zbrodnia niesłychana! Jakież prawa mogłyby się wydawać zbyt surowe na takich zuchwalców! Do uzasadnienia tego prawa nie potrzebował się zatem rząd tak męczyć w tej tkaninie kłamstwa, jak przy prawach przeszłorocznych — tu wystarczyło jedno kłamstwo w rozmaitych tonach powtarzane: „bunt biskupów.“ Taki argument przekonał odrazu i większość Izby i zaprzedałą od dawna opinią publiczną.

„Stanowisko, mówią motywa pomiędzy innemi, jakie rzymski episkopat wraz z swoimi zwolennikami wobec tych praw (majowych) zajął, wznieca obawę, że opór ten przeciw prawom państwa posunie się do tego stopnia, iż wyrokowi królewskiego trybunału, któryby służył kościoła, a w szczególności biskupa złożył z urzędu, odmówi uznania i posłuszeństwa.“ Do utrzymania tego rodzaju wyroków musi rząd choćby najsurowszych użyć środków, aby posłuszeństwo dla nich wymusić.

To było głównym powodem do wniesienia tych praw. Celem zaś ich najbliższym utrzymanie powagi rządu. Podług zasad prawa kościelnego bowiem będzie złożenie biskupa z urzędu przez sąd świecki uważane za „*sedes impedita*“, nie zaś za „*sedes vacans*“. Prawa tego zadaniem jest uznanie złożenia biskupa z urzędu i to „*ab officio et beneficio*“ czyli rzeczywistej sedyswakancyi, jak gdyby śmierć zaszła, na wszystkich urządach biskupich i wogóle na całym duchowieństwie wymusić. Konsystorze zatem, Kapituły, jednym słowem całe duchowieństwo miało wbrew nauce Kościoła, wbrew świeżo, bo z roku 1862 wydanemu dekretowi Stolicy Apostolskiej, wbrew przysięgom, któremi byli i są związani i które rządowi są znane, wbrew, mówię, temu wszystkiemu uznać, że skutkiem wyroku świeckiego trybunału nastąpiła sedyswakancya tak samo, jak gdyby biskup ich był umarł! Co więcej, Kapituły mają przystąpić do wyboru administratora lub biskupa.

O wykonanie takiego wyroku na osobie złożonego z swej stolicy biskupa, nie chodziło w tem prawie; do urzeczywistnienia tego dekretu wystarczały przepisy prawa zeszlórocznego z dnia 12 Maja. Teraz chodziło o to, aby następstwa tego złożenia przeprowadzić w całej dyecezyi, a mianowicie:

- 1) o przerwanie wszelkich urzędowych stosunków urzędników biskupich i duchownych w ogólności z biskupem złożonym ze swej stolicy, tudzież o sposoby ustanowienia administratora, a w razie potrzeby biskupa;

- 2) o dopilnowanie praw państwa w czasie intermisyjnego zarządu dyecezyi, a mianowicie o rękojmię, aby rząd ten trzymał się ściśle przepisów prawa;

- 3) o ustanowienie jakiegokolwiek administratora dyece-

zyi z ramienia rządu w razie, gdyby kapituły stanowczo odmówiły przystąpienia do wyboru administratora lub biskupa;

a) na ten przypadek, który nie trudno było przewidzieć, stanowi zarząd majątku biskupstwa całego, instytutów doń należących i legatów, tudzież dozór nad zarządem majątków i funduszków wszystkich kościołów dyecezyi;

b) upoważnia w dziki prawdziwie sposób patronów i parafian do obsadzania wakujących posad plebańskich.

Przepisy odnoszące się do ostatniej kategorii są szczególnie na słabości mas ludu obliczone i wzywają je prosto do buntu przeciw Kościołowi, a mianowicie przeciw biskupom i duchownym, którzy je przez swoją opozycją pozbawiają sakramentów, nabożeństwa i wogóle zaspokojenia potrzeb religijnych.

Skoro projekt do tego prawa, do Izby poselskiej wniesiony, dostał się do wiadomości publicznej, powstały wszystkie kapituły Prus i zanosły do Izby petycyę o odrzucenie tego prawa, oświadczając otwarcie, że nigdy i pod żadnym warunkiem przepisom tego prawa, które surowemi karami zmusza członków kapituł do łamania przysięgi i egzystencją Kościoła znosi, poddać się nie myślą. Petycyę te były raczej protestacyami, niż petycyami. Kapituła Lineburska dołączyła do swej petycyi obszerny i gruntowny wywód prawny i teologiczny, wyjaśniający, że to prawo z gruntu wywraca Boską budowę Kościoła katolickiego i nigdy na uznanie ze strony katolików liczyć nie może, jak gdyby rządowi pruskiemu i większości Izb było rzeczywiście chodziło o zapoznanie się z rzeczą i o wymiar sprawiedliwości dla katolików. Wszystkie zaś inne kapituły ograniczyły się na stanowczem i krótkim oświadczeniu, że ustawa ta sprzeciwia się wprost Boskiej misji Kościoła, zmusza je do oczywistego łamania przysięgi i dla tego nigdy się do jej przepisów nie zastosują. Członkowie wszystkich kapituł, z wyjątkiem jednego Dulińskiego w Gnieźnie, podpisali te petycyę.

Prawo to takiej jest doniosłości, iż uważamy za rzecz potrzebną do zrozumienia dalszego przebiegu prześladowania przytoczyć je całkowicie. Natomiast prawo z dnia 21 Maja 1874 obejmujące deklaracyą i uzupełnienie prawa z dnia 11 Maja 1873 pomijamy z powodu, że to, cośmy wyżej powie-

dzieli o wyrokach sądu Średzkiego i innych, wystarcza do zorientowania się w tej rzeczy. Z tej przyczyny i motywa do tego prawa, krom znanych już oskarżeń rzucanych na biskupów o „buntowanie się przeciw prawom państwa“ nie ciekawego nie zawierają. Prawa tego nie oddała także Izba pod obrady komisji specjalnej, ale je przyjęła na krótkim toporzystku in pleno.

Prawo o zarządzie wakujących biskupstw katolickich brzmi w tłumaczeniu:

§ 1. „W biskupstwie katolickiem, którego stolica wakuje, mogą połączone z urzędem biskupiem prawa i czynności, tak w ogólności jak w szczególności, o ile się nie odnoszą do zarządu majątku, aż do objęcia rządów przez biskupa uznanego przez państwo, tylko w miarę przepisów niniejszego prawa być wykonywane.

§ 2. Kto biskupie prawa i czynności paragrafem 1 określone chce wykonywać, powinien o tem naczelnego prezesa tej prowincyi, w której stolica wakująca się znajduje, piśmiennie zawiadomić, oznaczyć obręb tych praw, które chce wykonywać i udowodnić, że ma do tego upoważnienie ze strony kościoła, tudzież że posiada te osobiste własności, od których prawo z dnia 11 Maja 1873 piastowanie urzędu kościelnego zawisłem czyni. Zarazem powinien oświadczyć, że jest gotów złożyć królowi przysięgę wierności i nią się zobowiązać do zachowywania praw państwa.

§ 3. W ciągu dni dziesięciu po odebraniu tego piśmienego oświadczenia może naczelnny prezes założyć protest przeciw wykonywaniu w paragrafie 1 oznaczonych biskupich praw i czynności. Do założenia tego protestu stosują się przepisy paragrafu 16 prawa z dnia 11 Maja 1873 z tą zmianą, że apelacya do trybunału dla spraw kościelnych tylko w ciągu dziesięciu dni jest dozwolona.

Jeżeli protest założony nie zostanie, albo go trybunał dla spraw kościelnych odrzuci, natenczas nastąpi odebranie przez naczelnego prezesa przepisanej w § 2 przysięgi lub przez komisarza przezeń mianowanego.

§ 4. Kto przed złożeniem przysięgi biskupie prawa lub czynności w paragrafie 1 oznaczone wykonywa, zostanie ukarany więzieniem od sześciu miesięcy do dwóch lat.

Ta sama kara spotyka osobistego zastępcę lub pełnomocnika biskupiego (wikaryusza jeneralnego, oficyała i t. d.), który po opróżnieniu stolicy biskupiej nie przestaje biskupich praw lub czynności wykonywać, chociaż określonego paragrafami 2 i 3 upoważnienia do ich wykonywania nie uzyskał.

Wykonane zaś przez niego akty pozbawione są skutków prawnych.

§ 5. Słudzy kościoła, którzy na mocy rozporządzenia lub upoważnienia biskupa przez państwo nieuznanego lub z urzędu złożonego, lub osoby, która wbrew przepisom niniejszej ustawy biskupie prawa lub czynności wykonywa, lub mianowanych przez te osoby zastępców urzędowe akty spełnią, zostaną ukarani grzywnami aż do wysokości stu talarów, detencją lub więzieniem całego roku, a jeśli na mocy takiego upoważnienia biskupie prawa lub czynności wykonane zostały, więzieniem od sześciu miesięcy do dwóch lat.

§ 6. Jeżeli posada biskupa wskutek sądowego wyroku zawakuje, powinien naczelný prezes kapituły katedralną do natychmiastowego wyboru administratora biskupstwa (wikaryusza kapitulnego) wezwać.

Jeżeli naczelný prezes w ciągu dni dziesięciu o dokonanym wyborze nie zostanie zawiadomiony, lub jeżeli w przeciągu drugich dni dziesięciu odebranie przysięgi od wybranego nie nastąpi, w takim razie minister spraw duchownych zamianuje komisarza, który majątek biskupa ruchomy i nieruchomy, tudzież majątek pod jego zostający zarządem lub każdorazowego biskupa, pod swoją opiekę i zarząd zabiera. Środków przymusowych, gdyby były potrzebne do oddania tego majątku komisarzowi, użyje naczelný prezes.

Tenże (naczelný prezes) ma prawo jeszcze przed zamianowaniem komisarza i równocześnie z wezwaniem kapituły oznaczony wyżej majątek pod swoją opiekę i swój zarząd zagarnąć i w razie potrzeby środków przymusowych użyć.

§ 7. Przepisy paragrafu 6 mają być także zastosowane:

- 1) jeżeli w przypadku, w którym posada biskupia wskutek sądowego wyroku zawakuje, administrator biskupstwa urząd złoży, a nowy biskup przez państwo uznany posady jeszcze nie obejmie, tudzież

2) jeżeli w innych przypadkach zawakowania stolicy biskupiej osoby nie posiadające atrybucyi w paragrafach 2 i 3 określonych biskupie prawa lub czynności wykonywają.

§ 8. Przepisy paragrafu 6 o ustanowieniu komisarza do zarządu wymienionego tam majątku oraz o zagarnięciu tegoż majątku, powinny być zastosowane do wszystkich przypadków, w których wakująca stolica biskupia w przeciągu roku od zawakowania uznanym przez państwo biskupem na nowo obsadzona nie zostanie.

Minister spraw duchownych ma władzę termin ten przedłużyć.

§ 9. Władza administracyjna biskupa przechodzi na komisarza. Z majątku tego zabierają się przedewszystkiem koszty na administracyą.

Komisarz ten zastępuje stolicę biskupią czyli biskupa na zewnątrz we wszystkich sprawach prawnych dotyczących majątku. On prowadzi zarząd biskupi i utrzymuje dozór nad majątkiem kościelnym w całej dyecezyi, do którego należą majątki plebanów, wikaryuszów, kapelanów — i legaty, oraz majątek na cele kościelne poświęcony.

Wobec osób trzecich służy komisarzowi za legitymacyą dokument jego nominacyi podpisem i pieczęcią opatrzony. Ta sama legitymacya wystarcza na wszystkie przypadki, w których prawo wymaga pełnomocnictwa, albo sądowego, notaryalnego lub innego pełnomocnictwa.

§ 10. Zarząd komisarza kończy się, skoro stósownie do przepisów niniejszego prawa ważnie ustanowiony administrator (wikaryusz kapitulny) rządy dyecezyi obejmie, lub biskup przez państwo uznany na stolicy znowu zasiędzie.

Za swoje administracyą odpowiada komisarz tylko swej przełożonej władzy, a rachunki przez niego składane podlegają tylko rewizyi królewskiej najwyższej Izby obrachunkowej stosownie do przepisu paragrafu 10 Nr. 2 prawa z 27 Marca 1872 (Zbiór praw 1872, str. 278). Żadnej innej odpowiedzialności niema i nikomu innemu rachunków nie składa.

§ 11. Naczelnny prezes powinien ustanowienie podług przepisów niniejszego prawa administratora dyecezyi, oraz nominacyą komisarza z wymienieniem dnia rozpoczęcia i expiracyi urzędowania przez organ rządowy (Staatsanzeiger), tu-

dzień przez wszystkie urzędowe i powiatowe dzienniki, jakie w dyecezyi wychodzą, podać do publicznej wiadomości.

§ 12. Zastosowanie paragrafów 6 aż do 11 nie jest wykluczone na ten przypadek, gdyby kapituła na czas sedyswakancyi miała wybrać osobnego administratora majątku (ekonoma) lub sama na siebie ten zarząd przyjęła lub gdyby osobny w tej mierze urząd biskupi istniał.

§ 13. Podczas zarządu komisarza w przypadkach objętych paragrafami 6 i 7, jest ten, któremu na mocy prawa patronatu lub innego prawnego tytułu w razie zawakowania jakiego urzędu duchownego służy prawo prezentacyi (nominacyi lub propozycyi), upoważniony na przypadek wakansu do obsadzenia na nowo tego urzędu i starania się o zastępstwo.

§ 14. Jeżeli uprawniony do tego zrobi z tej atrybucyi użytek, w takim razie powinny być przepisy prawa z dnia 11 Maja 1873 zastosowane do niego. Kary zagrożone paragrafem 22, ustępem 1 przełożonemu duchownemu, któryby wbrew prawa urząd duchowny powierzył, spadają w tym razie na uprawnionego.

§ 15. Jeżeli uprawniony w ciągu dwóch miesięcy, licząc od chwili, w której prawnie mógł to uczynić, o zastępstwo się nie postara lub w ciągu roku posady nie obsadzi na nowo, w takim razie przechodzi jego upoważnienie na gminę czy to parafialną, czy filialną, czy kapliczną.

Atrybucye określone paragrafem 13 mają gminy czyli parafie w tych wszystkich przypadkach, w których nie ma nikogo, kto by miał prawo prezentowania.

§ 16. W razie, gdzie warunki paragrafu 15 zajdą, zwołuje łandrat (Amtmann), w miastach burmistrz, na wniosek dziesięciu przynajmniej pełnoletnich członków gminy, prawa obywatelskie posiadających, którzy nie są zależni od głowy rodziny mającej także prawo wyboru, wszystkich członków parafii, którzy posiadają dopiero co wymienione warunki, celem powzięcia uchwały co do urządzenia zastępstwa lub obsadzenia na nowo wakującej posady.

Do ważności uchwały potrzebna jest nadpołowiczna większość głosów obecnych na zgromadzeniu parafian.

Dokładniejsze przepisy tego postępowania wyda naczelnny prezes.

§ 17. Jeżeli wybór przyjdzie do skutku, w takim razie ma być podług prawidła paragrafu 16 wybrany reprezentant, który ma wybranemu w ten sposób duchownemu posadę powierzyć. Za postępowanie swoje bierze reprezentant na siebie odpowiedzialność wobec przepisów paragrafu 14.

§ 18. Jeżeli w przypadkach objętych paragrafami 13 aż do 17 naczelny prezes protestu nie założy lub takowy przez trybunał dla spraw kościelnych odrzuconym zostanie, w takim razie kapłan wybrany prawnie i ważnie posadę duchowną obejmuje.

§ 19. Jeżeli przed dniem, w którym niniejsze prawo mocy zobowiązującej nabierze, posada biskupia wskutek sądowego wyroku zawakuje, w takim razie przepisy niniejszego prawa do przypadku tego zastosowane być powinny.

§ 20. Gdzie w prawie niniejszem jest mowa o biskupie, stolicy, posadzie biskupiej, urzędzie biskupim i t. d. lub o biskupstwie, rozumie się pod tym wyrazem także i arcybiskup, księżę biskup, oraz ich stolice, urzędy, posady, biskupstwa i t. d.

Przez wyraz praw połączonych z urzędem biskupim i duchownych czynności rozumieją się w duchu niniejszego prawa, tak wszystkie w urzędzie biskupim zawarte, jak na mocy delegacyi wykonywane prawa i czynności.

§ 21. Minister spraw duchownych ma polecenie prawa te wykonać.

Rząd pruski nie jest skąpy w prawodawstwie wogóle, ale w wojnie z „ultramontanami“ wysilił się w tej mierze do zbytku. Ileż to obejmowały paragrafów przeszłoroczne prawa majowe. Tegoroczna zaś deklaracja ich zawiera 11 artykułów. Słusznie przeto już w przeszłym roku powiedział poseł Reichensperger, że to zbytek gorliwości, gdyż te wszystkie paragrafy można objąć tym jednym: „Religia katolicka w Prusiech zakazana.“ Już tego wstydził się rząd wypowiedzieć, musiał przeto takimi krętymi drogami do celu swojego dążyć.

Prawodawstwo roku 1873 głównie miało na celu zatrucie ducha katolickiego w duchowieństwie i skorumpowanie hierarchii kościelnej. Co nie chciało trucizny przyjąć ani korupcyi się poddać, nad tem zawiśł miecz trybunału dla spraw kościelnych. Lecz w kilka miesięcy po wydaniu tych praw okazał się miecz ten tępy i bezskutecznym. Trzeba go było za-

ostrzyć, aby cięcia jego były skuteczne. Katolicy od samego początku zwracali Izbie i rządowi uwagę, że na tej pochyłości nie zdołają się zatrzymać, chyba na gilotynie. Prestrogi były daremne. Powaga rządu i skompromitowanej Izby wymaga koniecznie, aby coute qui coute wyroki trybunału utrzymać. Konsekwencya złego jeszcze do fałszywszych doprowadziła kroków.

Prawo, o którym mowa, usiłuje zatruć nie tylko duchowieństwo, ale i wiernych. Rzuca bowiem rządowy interdykt na parafie, a z czasem na całe dyecezye i powiada katolikom: Wasi biskupi i duchowni z nimi trzymający są buntownikami, z ich winy pozbawieni jesteście nabożeństwa, sakramentów i posługi duchownej. Odstąpcie ich, a damy wam wszelką wolność, możecie sobie podług waszej woli duchownych wybierać i posady im dawać bez papieża, bez biskupa, jednym słowem bez większej powagi duchownej. W taki sposób otrząśnięcie się najłatwiej z interdyktu. Tym zaś duchownym, którzy się już wyzuli z czci i wiary ukazuje to prawo z jednej strony donośne beneficja, wygodne i swobodne życie, a z drugiej strony bezkarność za złamanie Bogu i Kościołowi wiary, za wszystkie świętokradztwa, jakich się ulegając pokusie, dopuszczają.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NASZE STOSUNKI.

Emigracya Chłopska, obraz ludowy w pięciu aktach, uwieńczony na konkursie dramatycznym krakowskim 1876 roku, napisał
Władysław Ludwik Anczyc. Warszawa, nakładem i drukiem
J. Ungra. 1877 roku.

Jest u nas sprawa, nad którą zastanawia się nie wielu, którą wielu zapoznaje, w której wszyscy za mało działamy, a która przecież ma tę właściwość, że poruszona wznieca namiętności, powszechnie budzi zajęcie, a temu co ją poruszyło, nadaje moc i znaczenie, nadaje jakąś niezwykłą żywotność. Pochodzi to ztąd niewątpliwie, że jest to najważniejsza, najpierwsza u nas sprawa, sprawa nad sprawami, że w niej strezczają się nasze stosunki, że ona jest podstawą naszego bytu, a zarazem polem naszych największych błędów i głównych grzechów, tak w przeszłości jak w teraźniejszości, a przecież jedynem polem, na którym zapewnić możemy naszą przyszłość.

Począwszy od starego Rzymu wszędzie sprawy agraryjne pierwszorzędny wywierały wpływ na losy państw i społeczeństw; rzecz godna uwagi, że w Polsce, w kraju przeważnie rolniczym, w kraju, którego cały byt od wsi i roli zależał, który nie znał co handel i przemysł, który nie świecił ani sztukami pięknymi, ani wspaniałemi miastami, ani polityką, który ostatecznie był wyłącznie rolniczym, tak mało zawsze zwracano w nim uwagę na stosunki agraryjne, tak je lekko-
myślnie zaniedbywano i lekceważono sobie! Nic też dziwnego,

że ta Polska była słabą i ubogą, że w końcu upadła. Runął gmach, bo zapomniano o fundamentach.

W dalekiej przeszłości jeden Kazimierz Wielki, ten prawdziwy statysta, tknięty przeczuciem, czy też, że orlim wzrokiem przejrzał przyszłość, baczność zwrócił uwagę na stosunki agraryjne i usiłował oprzeć potęgę Polski, bodaj czy nie na jednej możliwej podstawie, bo na chłopie. Zbawcza myśl rzucana w dzieje nasze przez wielkiego króla, pozostała przecież bezpłodną i od owego czasu zapoznawano, zaniedbywano u nas zawsze stosunki agraryjne, nie rozumiano i nie rozwiązano dotąd tego, co dziś jeszcze stoi przed naszym pokoleniem jako — kwestya włościańska. Wprawdzie zrywano się od czasu do czasu nerwowo do jej załatwienia lub polepszenia, ale niestety zawsze i w każdej epoce — za późno, zostawiając zadanie do rozwiązania wrogom lub wrogim okolicznościom, a dopiero gdy sprawa ta krwawemi w naszych dziejach zapisała się zgłoskami, odczuto jej ważność i doniosłość; lecz że je odczuto pod wpływem strachu i przerażenia, brakło dotąd odwagi spojrzenia jej oko w oko i siły czy też szczerzej chęci do usunięcia jej widma, zadośćuczynieniem jej rzeczywistym potrzebom. I oto po dzień dzisiejszy kwestya włościańska w innej, odmiennej formie, nie przestała być najważniejszą, najżywotniejszą sprawą naszą, a jak dawniej tak i dzisiaj przez nie wielu zrozumiana, przez wszystkich zaniedbywana, przez zaślepionych zapoznawana, przez zdrowo myślących gorąco umiłowana, przez namiętnych zniechęcona, jest ona rakiem grożącym całemu organizmowi, z którego wyleczyć go trzeba koniecznie, aby mu przywrócić i na długie czasy zapewnić zdrowie. Natura rdzennych stosunków, podstawy bytu społeczeństw nie zmieniają się. Jak zapoznanie w przeszłości ważności stosunków agraryjnych doprowadziło do upadku politycznego, tak dalsze zaniedbywanie kwestyi włościańskiej, doprowadzić może do zagłady narodowości, a jak w przekonaniu największego króla naszego już przed wiekami stosunki agraryjne były dla nas najważniejszymi, tak dziś w sumieniu uczciwych i w pojęciach rozumnych kwestya włościańska jest wszystkim. Jeżeli dawniej była ona podstawą bytu ekonomicznego i politycznego państwa, to dziś jest ona przedewszystkiem treścią bytu narodowego. Jeżeli wieś nasza pozostanie

polską nie tylko mową, ale duchem i wiarą, nie zginie Polska. Oto zadanie teraźniejszości, oto zagadka przyszłości. Nic więc dziwnego, że wszystko co się wsi polskiej dotyczy, że wszystko co o niej do nas przemawia, nabiera wielkiej doniosłości; nic dziwnego, że gdy wieś polska ukaże się nawet na scenie, tłumy ściągają widzów. Świadczy to o jej ważności, nieispożytej sile, o jej ożywczem w naszym społeczeństwie powołaniu.

Jeżeli chcemy zastanowić się poważnie, jeżeli chcemy zgłębić rzeczywiście a nie dla wypowiedzenia kilku pięknych frazesów, nasze stosunki, nasze obecne położenie, nasze na przyszłość nadzieje, zaiste nie zaglądamy do nielicznych miast naszych, nie rozpatrujemy się jako wiecznie naiwni turyści po Europie, ale idźmy do wsi polskiej, ale zajrzyjmy do chałupy, do dworu, do szkoły, do Kościoła parafialnego i do karczmy, skoro zniesienie propinacyi zachowało ją nam jeszcze na ćwierć wieku. Tam czytamy i uczymy się stanu Polski, ztamtąd wysnuwamy nasze programy; niech tam się kształcą nasi mężowie stanu, tam badajmy, czem jesteśmy i czem być możemy.

Po długiej przerwie zajrzał znowu do wsi polskiej pisarz popularny, który więcej może intuicyą jak praktyką przeniknął ją na wskrós, poznał dokładnie i umiał odczuć ją w każdej ważniejszej chwili jej bytu, słowem autor *Chłopów Arystokratów*. Już dawniej wiadomem było, że pan Anczyk jest jedynym u nas autorem dramatycznym sztuk ludowych, że z wyjątkiem zaledwie więcej szczęśliwych jak zasłużonych *Krakowiaków i Górali*, jego tylko sztuki ludowe utrzymywały się — i rzecz godna uwagi — nie starzały się na scenie. Było to tem dziwniejsze, że utwory pana Anczyka były zwykle okolicznościowemi, że odnosiły się do jednej chwili, do jednego epizodu życia wiejskiego i stosunków włościańskich. Wglądawszy jednak bliżej w treść tych utworów, łatwo odszukać przyczynę ich świeżości; oto w każdym ludowym obrazku p. Anczyka tkwi prawda społeczna wysnuta z głębszej psychologicznej przyczyny. I tak w najmisterniejszym, w owych *Chłopach Arystokratach*, które od razu zrobiły imię autorowi, bardzo po prostu ale tem silniej rozwinięta i dobitnie wyłożona, jest niezbędna, nieunikniona konieczność nierówności w świecie, a ta odwieczna prawda o tyle jaśniejszą

się tam wydaje, że wypływa nie z jakiejś sztucznej teorii lub stronnicyzmy namiętności, ale wprost z duszy, z natury ludzkiej podlegającej we wszystkich swych okazach nieubłaganemu prawu odznaczania i wywyższania się. Pan Anczyc biorąc najniższe warstwy pod psychologiczny mikroskop i wykładając na nich popularnie niepopularną naukę nierówności społecznych, stworzył ostrą a żywą satyrę wszystkich teoryj o zatarciu różnicy stanów, a jego *Chłopi Arystokraci*, z panią Koguciną na czele, pozostaną na zawsze najwyborniejszą parodią demokratycznych abstrakcyj. W innych jego mniejszej wartości utworach, napotykamy także prawdy społeczne, może więcej lokalne, oparte raczej na narodowej jak na ogólnej psychologii. W *Łobzowianach* góruje pewnik, że polski lud wiejski w gruncie jest dobry, a tylko łatwo daje się obalamucić na własną szkodę złowrogim wpływem Protazego, tego warchoła niższego rzędu; w *Błazku opętanym*, że nie ma większej nedorzecznosci, jak chcieć wyjść ze swojego stanu, że kwestya włościańska u nas nie da się rozwiązać, przemieniając chłopą w coś innego, lecz właśnie pozostawiając go chłopem, a polepszając jego byt moralny i materyalny. Są to odwieczne prawdy i dla tego utwory, którym dały początek, nie starzeją się, dla tego nie pomylimy się, twierdząc, że nawet przy odmiennych stosunkach i wydostakaleniu form scenicznych, ludowe sztuki pana Anczyca przedstawiane będą dopóty, dopóki istnieć będzie teatr polski. Prawda wewnętrzna góruje tu nad formą, a to właśnie jest znamieniem dzieł, zdolnych przetrwać własną epokę.

Z wszystkich dzielnych umysłów, które u nas w ten lub ów sposób zajmowały się sprawą włościańską, najpraktyczniejszym może jest p. Anczyc, bo szuka on naprawy złego nie tyle w poprawie instytucyi jak obyczajów. Pan Anczyc przytem badał i bada kwestyę włościańską na gruncie, na którym ona najdrastycznie się przedstawia, na rozpalonym dotąd jeszcze gruncie galicyjskim, nic więc dziwnego, że utwory jego mają w sobie siłę dramatyczną.

Z wyjątkami oczywiście, w licznych dramatycznych próbach polskich, najlepszymi są tytuły. Dziwnie bogatą i trafną pod tym względem obdarzeni są pomysłowością nasi autorzy, równie jak talentem zawiedzenia nadziei, obudzonych tytułem.

Przeciwnie rzecz się ma z *Emigracją Chłopską* p. Anczyca: o wiele więcej jest ona warta od tytułu. Sporadyczny i, miejmy nadzieję, przemijający fakt emigracyi ludu wiejskiego do Ameryki, z którego powstał tytuł utworu, nie byłby wystarczyl do utworzenia pięciu aktów zajmującego i doniosłego dzieła, ale fakt ten jako zatrważający objaw, jako wymowny dowód, „że coś źle się dzieje“ w naszych wiejskich stosunkach, mógł dać assumpt bystremu umysłowi do wytoczenia przed publicznością żywotnej, pierwszorzędnej sprawy stosunków wiejskich. Z umysłu nazywamy ją sprawą stosunków wiejskich a nie włościańskich, bo dziś nie idzie już o samego chłopą, ale o wieś polską, o wszystkie jej części składowe, o chałupę, dwór, kościół, szkołę i karczmę, a przede wszystkim o ziemię polską! Zadania tego dopełnił p. Anczyca i zamiast, jakby się z tytułu zdawać mogło, przedstawić tylko wyjazd włościan naszych do Ameryki, roztoczył on przed nami z niezrównanym talentem, obrazowo, z prawdą przede wszystkim, stan obecny stosunków wiejskich i to właśnie nadaje wyższe społeczne i narodowe znaczenie utworowi p. Anczyca, znaczenie, które tą siłą instynktu, jaka wyrabia się pod każdym zbyt uciśnieniem, tak wybornie rozumiała publiczność warszawska, spiesząca tłumnie i z prawdziwym entuzjazmem na przedstawienia *Emigracyi Chłopskiej* do ogródkowego teatryku w *Tivoli*.

Żeby chłop polski a szczególnie galicyjski, tak przywiązany do ziemi i zagonu, tak ich żądny i chciwy, że nawet zdolny zbrodni, aby je osiąść, żeby chłop ten, któremu dotąd trudno było przenieść się z jednej wsi do drugiej, emigrował lekkomyślnie a chętnie za ocean, zaiste musiało zajść coś niedobrego, w każdym razie dla nas zastraszającego w stosunkach wiejskich. Opowiadano nam, że obecnie często się zdarza, iż parobek opuszcza bez powodu służbę, a zapytany, czy to czyni dla tego, że mu jest źle, odpowiada, że wcale nie dla tego, ale dla tego, że *mu się cnie*. Nie dla innej przyczyny emigruje chłop do Ameryki; wyjeżdża, bo w rodzinnej wiosce *cnie mu się!* Tęsknotę za krajem, za wsią, która dręczyła polskiego chłopą nawet w niedalekiej podróży, zastępuje zwolna owo *cnienie*, które nie jest czem innem, jak niedojrzałą aspiracją za jakimś źle określonym innym bytem, kiełkującą

w biednej włościańskiej mózgownicy, pod wpływem dzisiejszych wyobrażeń, dzisiejszych pojęć społecznych, ekonomicznych i religijnych a raczej antireligijnych, które dosięgają nawet do wsi polskiej i już na nią działają tem łatwiej, im łatwiejsze są środki komunikacyi i rozpowszechniania wyobrażeń. Wieś polska zmieniała się widocznie pod dalekim na pozór wpływem nowoczesnej tak nazwanej cywilizacyi; zmieniała się wieś galicyjska po wpływem nowych instytucyj konstytucyjnych i autonomicznych, a zbadać ten nowy jej stan, zgłębić go i do niego zastosować działanie, jest pierwszym dla nas obowiązkiem. Tego w granicach, które sobie nakreślił, dokonał p. Anczyc *Emigracyą Chłopską*. Idźmy więc za nim przez ten czyściec naszych stosunków, w którym dotąd pokutuje myśl narodowa, aby także poznać i zastanowić się nad tem, co się stało z wsią naszą od czasu, jak po wielkich przewrotach dokładnie poznaliśmy ją w *Chłopach Arystokratach*. Pan Anczyc to przewodnik pewny i doświadczony, bo go nie zaślepia ani namiętność, ani interes, ani z góry powzięta myśl stronnicza, nie zbłądzimy więc idąc za nim; wskaże on nam rzeczywiste fakta i doprowadzi nas do prawdziwych, żywych postaci.

I.

Hogarthowski to prawdziwie obraz pierwsza scena w karczmie, lecz tak na wskrós polski i galicyjski, że oddaćby go mógł jedynie pędzel Kossaka lub ten, który malował jarmark na Kleparzu. Przykry to widok, bo odrazu przedstawia nam najważniejszą u nas sprawę, rzuconą na pastwę wszystkich złych wpływów, wszystkich złych namiętności i gorzałki, której znaczenie w stosunkach wiejskich nie wiele zmieniło się od czasów pani Koguciny i Szczeponka; widok tem przykrzejszy, że na mocy uchwały wolnej reprezentacyi kraju, stan ten trwać ma niezmienny przez ćwierć wieku. Smutkiem zaiste przejmujące serce widok tego strasznego odosobnienia chłopu polskiego od wszelkiego zbawionego i dobrego wpływu i oddania go na pastwę arendarza Mendla i adjunkta Sroczi! Powstaje tu żałosne pytanie, ażali na to nie ma rady? Ażali szukając sumiennie i odważnie, nie byłaby się rada dawno znalazła? Dlaczego u nas tylko karczma zachowała znamiona ohydy, których nie

ma w innych społeczeństwach, dla czego dotąd nie zdarto z niej tych znamion? Dla dopełnienia dzikiego obrazu, scena ta kończy się bitką, w której jako rozjemca nie kto inny występuje jak Mendel, jedna z najwybitniejszych, najlepiej trafionych postaci dramatu; występuje on pod godłem „mało to macie kłopotu z Polakami,“ a z rozejmu korzysta natychmiast, traktując na zgodę wódką i zapisując ją na rachunek na pół już pijanego wójta Benedykta Cypury. Wyborna postać ten Benedykt Cypura, który nie ma własnego zdania nigdy i przyświadcza wszystkim, a tylko nadęty jest swoim wójtowskim urzędem; typ, który odnajdujemy w polskim społeczeństwie od dołu do góry, a który u góry drabiny w kontuszu, czamarze czy surducie widzi zawsze rzeczy z jednej ale i z drugiej strony, i nie mogąc się nigdy ostatecznie zdecydować między dwoma zapatrywaniem, pchniętym bywa w końcu przez pierwszego lepszego śmiałka lub przez wypadki.

Na głos trąbki pocztowej przybyłej z Tarnowa, karczma się wypróżnia; zostaje się tylko roztropny i pocciwy Jędrzej z Mendlem. Tu zawieszuje się prawdziwy wątek intrygi, tu Mendel napomyka Jędrzejowi o dobrym interesie, który w osobie pana Schultze ma przybyć z Tarnowa; ten interes, to po prostu sprzedaż gruntu Mendlowi i wyjazd do Ameryki pod opiekunictwem skrzydłami Schultzego. Z rozmowy tej pokazuje się, że grunt i chałupa Jędrzeja już są w zastawie u Mendla, że nawet parę morgów tego gruntu sprzedanych, i tu występuje to, co nazwiemy prawdziwym dramatycznym interesem sztuki — wywłaszczenie polskiego żywiołu z ziemi. Wywłaszczenie nie tylko chłopów ale i szlachcica, jak się to później pokazuje! Wywłaszczenie polskiej ludności z ziemi, oto motyw tragiczny *Emigracyi Chłopskiej*, której epizodem tylko jest wychodźstwo do Ameryki. Sprawa to zaprawdę ważna, której losy rozgrywają się obecnie na całym obszarze Polski, tak dobrze pod panowaniem rosyjskiem, jak W. Księstwie Poznańskiem i w Galicyi! „Tak wszyscy kapiejemy, za dziesięć lat tu już ani jednego chłopów gospodarza we wsi nie będzie, wszystkie grunta przejdą do żydów,“ mówi Jędrzej do Mendla, a w tych prostych słowach zawarta jest cała groza, cała tragiczność sztuki i położenia naszego, które zaiste nadają i sztuce i położeniu dostateczne znaczenie, aby obudzić zajęcie

i uwagę, aby przejąć dreszczem słuchaczy. Nie idzie już dziś o to, jakim ma być chłop, ale czy będzie chłop polski; nie idzie o to, aby mniej lub więcej wygodnie urządzić stosunek większej własności do mniejszej, ale idzie o spieszne, energiczne ratowanie na ziemi polskiej polskiego żywiołu! Potężny to motyw, bo dotyczy losu dwudziestomilionowego narodu i on to nadaje dramatowi przez cały jego bieg niezwykłą podniosłość. Dla głębiej myślących niebezpieczeństwo dość jest groźne, aby pojęły całą jego doniosłość a dla płytszych i krócej widzących umysłów niech starczy własny interes, sprawa robotnika i złowroga we wsi konkurencya obcych żywiołów. I wcale nie wychodzi do Ameryki — które możnaby sobie lekceważyć — jest tu wyłącznym czynnikiem wywłaszczającym polski żywioł z ziemi; występują tu na jaw wszystkie groźne symptomata, które potęgują znaczenie owego — jakeśmy go nazwali — tragicznego motywu: ubożenie, bałamuczenie i demoralizacya ludu, brak nad nim należytej opieki, pijaństwo, lichwa i wciśkające się żydowstwo, które dla dopełnienia dzieła wzywa na pomoc niemiecki żywioł. Staje tu przed nami w całej nagości owa kwestya żydowska, której nie rozwiązaliśmy ani humanitarnemi teoryami, ani wściekłemi napaściami na żywioł, który stał się w naszym społeczeństwie potęgą. Nie przewidywał wielki król, który chciał uzacnić i podnieść chłopą polskiego, gdy ulegając słabości, od której pokazuje się, najwięksi ludzie nie są wolni, hojnie obdarzał u nas, naród żydowski, że on właśnie stanie się kiedyś najgroźniejszym niebezpieczeństwem dla tego stanu, który nad inne umiłował, bo widział w nim przyszłość i podstawę bytu państwa, stworzonego przez rycerskiego ojca a uporządkowanego i urządnego jego potężnym rozumem stanu. Takie bywają w dziejach srogie igraszki losu.

Jednym z najoryginalniejszych pomysłów autora jest rodzaj proroczej halucynacyi, w jaką Lajbel, młodziutki syn Mendla wpada pod wpływem zarówno tego, co go otacza, jak fanatyzmu zaczerpniętego zapewne w talmudzie, lub może w jakim dzienniku wydawanym pod opieką *Szomer Izraela*. Ten nieoceniony Lajbel przedstawia żydowstwo przyszłości w Galicyi. Jak niegdyś, w napadzie dobrego humoru, przez który przecież smutne przebija przecucie, Niemcewicz tak dowcipnie przepowiedział przewagę Izraela w Warszawie, aż do

koligacenia się z nim rodów hetmańskich; tak dziś Lajbel p. Anczyca, tknięty natchnieniem, opowiada rodzicom przyszłość Galicyi. Jest to jeden z najgłębiej pomyślanych momentów sztuki, a że zwykle ginie w przedstawieniach, powtarzamy go w całości. Co to za wyborny pomysł, że nie przebiegły, zręczny i zawsze trochę dyplomatyczny żyd pierwszy spowiada się z najgłębszych myśli, ale naiwny bachorek, który przed polską publicznością odgrywa tu istną rolę *d'un enfant terrible*:

Mendel. Rifke! Kikste jaki to mądry schajgiec. On swego tate nie wierzy. On będzie miał całe wieś. On tu będzie dziedzic.

Lajbel. Joj tatele, wsistkich chałup i gruntów i lasów będzie nase — zidowskie.

Ryfke. Wsistkich gojmów powipędzasz Lajbele!

Lajbel. Nie mame, uni będą zostać.

Ryfke. Wie hajst? A na co tobie gojmów?

Lajbele. One mnie będą robić panczyznę — oni będą u mnie koniów — Last — Vieh!

Ryfke (zadziwiona). Oj waj! Aj waj! das ist a kop wie a Majlech Schlojme.

Mendel (zachwycony). Wie a Majlech Schlojme!

Lajbel. Ny tate — ja sobie tak miszlę — My mieli Kaanan, to my tam wsistkie miasty i ziemię i bidło i wsiów zabierali Kaananitom. No tam teraz panują Terken. Izrael nie ma ani wojsko, ani okrętów, żeby im odbierać. Adonaj nas kocha, to nam za Kaanan daje Galicyę. Zid wojsko nie ma, ale ma *geld*, to lepsze jak wojsko. My za ten *geld* będziemy Galicyanom zabrać i wsiów i miastów i gruntów i lasów jak Kaananitom i tu jest dla nas das *gelobte Land*.

Ryfke. Aj waj! Aj waj! On tak mądrze gada, wie a rabinerf in Neu-Sandetz.

Mendel. Hast recht Lajbele! Już w Krakowie, we Lwowie większa część domów nasze. W małe miasteczki wsistko nasze, po wsiach mamy już dużo dworów i chłopskich gospodarstw. Gojmy i resztę przechulają, przepiją. Trzeba żeby nie mieli ani jeden dom, ani jeden mórg ziemi i tak będzie, bo my mamy *geld* a oni datles.

Tę rozczulającą scenę familijną, przerywa Schultze, Prusak, agent towarzystwa hamburgskiego wywozu emigrantów,

przejęty całą ważnością *kulturkampfu*. Tego to właśnie Schultzego wzywa Mendel do pomocy i do podziału łupów w walce o wywłaszczenie z ziemi żywiołu polskiego. Co za imponujące przymierze, nierównie prawdziwsze, naturalniejsze i silniejsze od trójcesarskiego i niezawodnie dla nas groźniejsze! Przymierze judaizmu z *kulturkampferem* przeciw ziemi polskiej! Co krok więc napotykamy w ramach tego ludowego obrazu, głębszą myśl, głębsze zbadanie położenia, co chwila tryska z niego jasne światło na nasze stosunki.

Scena i wypowiedziane z niej żywe słowo, mają to do siebie, że silniej, skuteczniej, wypukle że tak powiemy wyrażają prawdy chwili, prawdy, o których wszyscy wiedzą, które wszyscy instynktownie czują, aczkolwiek wielu niechce się do nich przyznać. Jedną z takich prawd wypowiedza zwięźle i w sposób uderzający pan Schultze podczas rozmowy o namawianiu chłopów do emigracji:

Mendel. Mnie tu przeszkadza jeden chłop i ksiądz.

Schultze. Och diese verdammte Pfaffen, ten czarny international, ich naprzód trzeba zgnieść, a jak świat będzie bezwyznaniowy, to nasz element zwycięży.

Z pod serca wypowiedział te słowa Schultze; są one rozwiązaniem zagadki postępowania ks. Bismarka z Kościołem a tkwi w nich cała głębokość, nie tyle teologiczna, jak praktyczna *kulturkampfu*. Tylko prawdziwy talent umie w ten sposób streścić wielką chwilową prawdę. W tych słowach włożonych w usta Schultzego, p. Anczyce wypowiedział całą spójnię między wiarą a sprawą narodową u nas, cały że tak się wyrazimy, interes polityczny kwestyi religijnej w Polsce; te słowa to jakby błyskawica, która winna wśród ciemności oświecić, najwięcej zaślepionych, odosobnionych apostatów bezwyznaniowości u nas i pozytywistów warszawskich i liberałów poznańskich, chcących wbrew logice oczywistości i nauce dnia każdego, w samym siedlisku najzaciętszej walki, rozłączać jeszcze sprawę katolicyzmu od sprawy polskiej! Niech wiedzą, że nikt inny z ich warcholstwa nie skorzysta, tylko Schultze i Mendel!

P. Anczyce umie w potrzebie władać gryzącą ironią; dowodem tego rozmowa dwóch szakałów wietrzących już świeże mięso ofiary.

Schultze. Tutejsza barbarzyńska, próżniacka, pijacka, zabobonna rasa musi ustąpić naszemu narodowi, który ma przeznaczenie rządzić światem. Sławenska rasa musi iść precz albo zginać, bo to jest: *Der Kampf um Dasein*.

Mendel. Pan Schultze wielki niemiecki patriota — większy jak Prinz Bismark. Pan musi wiele zarabiać przy ten Transatlantische Dampfer-transport-Gesellschaft — kiedy tak pracuje dla niemiecki element!

Wyborne warknięcie jednego szakala na drugiego podczas skradania się do żeru.

Po ułożeniu planu namowy chłopów do emigracyi między Mendlem a Schultzem, i po scenach miłosnych między młodzieżą wiejską, które z natury utworu podrzędne zajmują miejsce, ale do których przecież jako swat mięsza się niezbędny Mendel, wchodzi — jak do pułapki — cała gromada ze świeżo przybyłym Matusem, który jeździł do Lwowa szpiegować posłów włościańskich. Tu znowu nowy obraz, tu przedstawia się nam wieś, a raczej główna jej kwatera karczma, pod wpływem nowych konstytucyjnych i autonomicznych instytucyj.

Instytucye autonomiczne, które dotąd do tego nam tylko posłużyły, abyśmy mieli najpierwej o co się upominać, a potem na co narzekać; instytucye te, których należycie zużytkować nie umiano, mogą być w szczegółach wadliwe, mogą nawet drogo kosztować, ale to pewna, że zbliżają do siebie warstwy społeczne, że je ocierają o sprawę publiczną i bądź co bądź rdzeniem swem, wrodzoną siłą, osłabiają nie jeden zły kierunek, nie jeden zły wpływ, jeżeli jeszcze same nie wytwarzają coś dodatniego. Tym to instytucyom przypisać należy może nie wielkie, ale ostatecznie jakie takie osłabienie niezgody i nienawiści, które przez tak długie lata niszczyły i ubezwładniały wieś galicyjską. Jakichżeby to zbawiennych skutków w tym kierunku oczekiwać można, gdyby zetknięcie było częstsze, a szczególnie gdyby było oparte na rzeczywistym gruncie interesów gminy. Żal przejmuję, widząc, że dotąd tego nieznacznego ale ważnego zwrotu należycie zużytkować nie umiano. W *Emigracyi Chłopskiej* mniej drastycznie niż w *Chłopach Arystokratach*, występują waśnie chałupy z dworem, nienawiść,

żądze i zazdrość i w tem odcieniu ocenić należy tę trafność, to poczucie, z jakimi pan Anczyc odczuwa każdą epokę, każdą chwilę stosunków wiejskich. Rozdział jest jeżeli nie mniejszy, to mniej krzyczący i mniej krzykliwy; przyczynia się do tego znacznie roztropne i rozumne stanowisko, które kraj zajął wobec monarchii i dynastyi, przyczynia się głównie zwrot pomyślny, który nastąpił w wyobrażeniach i poglądach na ten kraj dynastyi i życzliwego mu monarchy. Główne więc złe już nie tam, a.e w ciągłym spaczeniu wyobrażeń chłopów w skutku braku nad nimi opieki moralnej wyższych warstw społecznych, ale w tem, że pomimo sprzyjających okoliczności, rozdziału nie zastąpiło jeszcze połączenie. Nienawiść i zło-wrogie żądze ucichły, pozostały podejrzliwość i niedowierzanie. Przedstawicielami ich są silnie naszkicowana postać Bartka Kozicy, urlopnika — ulubiony temat pana Anczyca — i Matusowa, wyborczy typ uporu i zawziętości kobiecej; Matusowa zawsze w złym humorze, zawsze niezadowolniona i podejrzliwa, a która nawet w Ameryce nie dowierza księżom i panom i podejrzywa o chęć powrotu do pańszczyzny. Cała przecież długa przestrzeń czasu oddziela i odróżnia Matusową od Koguciny; Kogucina czuła w sobie powołanie do pań-skości, chciała koniecznie być Kogucińską i rozsiadać się na kanapach dworskich salonów, ale ani pomyślała o opuszczeniu wsi rodzinnej; chciała być panią ale u siebie, na swoich śmieciach. Matusową trapi także żądza wywyższenia się, żądza dobrobytu bez pracy, ale w niej nie ma już nawet zwierzęcego przywiązania do rodzinnych miejsc; jej horyzont rozszerzył się i gotowa wsiąść na *Schif* i płynąć do *Milorku*, byle się zbogacić, byle jej było lepiej. Tu czuć się daje wpływ wyobrażeń dzisiejszych, który i do wsi polskiej doszedł, nimeśmy się spostrzegli, wpływ kosmopolityczno-pozytywno-bezwyznaniowych teoryj i praktyk. „Ja nie wiem, co z was za ludzie, mówi uczciwy i stary Jędrzej do młodszej generacyi, wy młodzi. Was nic nie obchodzi, ani wieś swoja, ani ojczyzna, ani kościół, kaj się chrzcicieś, ani święta religia, ani rodzina — jeno ciekacie za tym groszem, a chcielibyście go mieć przez pracy.“ Słowa te wskazują dzisiejsze niebezpieczeństwa, grożące stosunkom wiejskim. To już nie bezwiedny jak dawniej

socjalizm i komunizm, to coś potworniejszego, bo kosmopolityzm i pozytywizm ogarniające wiejskie warstwy.

Doskonale podniósł p. Anczyc znaczenie zetknięcia się w życiu publicznem włościan z wyższymi warstwami, a podobno w skutku zapewnień wielu posłów, wcale w dobrem świetle przedstawia on postępowanie chłopów zasiadających w sejmie. Matus pojechał do Lwowa — niezawodnie podjudziła go żona — z programem wstecznym, stykającym się dziwnie z dążeniami pewnych chłopofobów, z programem, który oczywiście prócz pańszczyzny a z dodatkiem oddania na własność gromadzie propinacyi, cofa się aż do błogosławionych czasów pańszczyźnianych; wedle tego programu ani szkoły, ani drogi, ani rady powiatowe nie są potrzebne. Z wielkiem Matusa i słuchającej sprawozdania gromady zdziwieniem, natrafił na opór i zupełnie inne zapatrywania się posłów włościan, którzy odwykli nieco od podejrzliwości a zrozumieli zbawienność i szkoły i drogi; na co chór otaczający Matusa odpowiada niestety:

A pocóżeście tam Matusie jechali,

Kiejście nie wskurali — jeszcze się z was śmiali,
i odpowiadać będzie w ten sposób tak długo, dopóki nie we Lwowie, ale w gminie nie nastąpi naprawa naszych stosunków.

Matus zawiedziony w swych nadziejach we Lwowie, zwraca się do Ameryki, z kąd nadeszły od krewnych namowy i zachęta. O tem Koguciak a nawet Kogucina nie byliby pomyśleli. Pod urokiem złota p. Schultzego, namów Mendla, złego humoru Matusowej, wojackiej awanturniczości Kozicy, braku zdania wójta a w skutku słowiańskiej słabości moralnej połączonej z tegością fizyczną, układa się plan wyjazdu do Ameryki, układa się ta Argonautów wyprawa za — dobrobytem. Groza dramatyczna wzrasta na widok gruntów, które Mendel zagarnia po wyjeżdżających. Chytry Kozica chce dwie naraz upiec pieczenie, chce dobrobytu w Ameryce, ale przedtem chciałby okraść pana Schultze, który po rozejściu się gromady spoczywa w przyległej izbie na laurach walnej wygranej *Kulturkampfu*. Aby dopiąć celu, Kozica, nie bardzo jak się pokazuje logiczny, chce podpalić karcznię i z popiołów wydość część złota pięciomiliardowej kontrybucyi; lecz przebieglejszy oczywiście od niego Mendel spostrzega się i udając, że żandarmom otwiera drzwi, zmusza urlopnika do ucieczki

przez okno, przed dopełnieniem wandalizmu komuny paryskiej na polskiej karczmie. „Nu mądry ty Bartek, ale Mendel mądrzejszy,“ mówi z całą świadomością swej wyższości sprzymierzeniec Schultzego. Dobre sceniczne zakończenie tego pierwszego aktu nie jest może dostatecznie umotywowane; chyba że się opiera na owej manii podpalania, która podobno ogarnia nieraz rozbałamuconych wiejskich warcholów, tak że ulegają jej namiętnie, co w Tarnowskim dało powód sądom przysięgłych do energicznego karania licznych tego rodzaju zbrodniarzy, czem przecież w części zaradzono złemu.

Drugi akt podzielony jest na dwie odsłony. W tych odsłonach są niezawodnie długości i tak scenicznie jak i artystycznie byłyby one zyskały, gdyby autor połączył je był w jedną. W pierwszej przygotowuje się wyjazd do Ameryki, a z każdą chwilą wzrasta groza tego, cośmy nazwali tragicznym motywem sztuki—wywłaszczenie polskiego żywiołu z ziemi. Mendel ułożył i ułatwił wyjazd, ułatwił interes Schultzego i sam przed sobą taki robi obrachunek: „Piętnaście morgów od Matusa, jedenaście od Skorupy, dziewięć od Cepury — moich mam szesnaście, to pięćdziesiąt jeden. Żeby jeszcze wykpić od Jędrka, te stery morgów co moich gruntów przedzielają — tobym miał jakby mały folwark dla Leibeleg.“ Otóż i powolne, mniej może optymistyczne, ale praktyczniejsze wykonanie słynnego w pierwszym akcie programu natchnionego Leibela. Ale właśnie Jędrzej Czapla zacofany konserwatysta i idealista, jakiś tam może Stańczyk w sukmanie, od wódki przysięgał, o Ameryce nie chce ani słyszeć, w słowa księdza proboszcza, który odradza wyjazd, wierzy i innych odmawia i przestrzega, a chociaż zadłużony u Mendla, nie ufa mu ani *krzty*. Cóż tu z nim począć? Przekonać go niepodobna, a więc trzeba go zakrzyczeć, zniszczyć do reszty, spalić nawet, byle go zmusić do milczenia, a grunt jego zagarnąć. Mendel zaostrożny, zaprzebiegły, aby sam się narażał, ale mistrz on w posługiwaniu się słabościami i złemi namiętnościami, a zna wybornie naturę polską i gra na niej jak artysta na klawiszach; udaje się więc do Kozicy — z którym pomimo epizodu z poprzedniego aktu — wcale dobre łączą go stosunki, do Kozicy zawsze pochopnego do awantur i podlegającego manii podpalania; zręcznie łudzac go nadzieją zysku, podsuwa mu myśl spalania

chałupy Jędrzeja, a wśród wrzawy nadbiegającej gromady na widok pożaru zapada zasłona.

W drugiej odsłonie tego aktu zbiera się — przy karczmie oczywiście — cała gromada wędrujących ptaków; zdaje się jakby nie mieli czego żałować odjeżdżając, jakby nic drogiego lub choćby miłego nie zostawili za sobą. Wtem zjawia się — nareszcie — Starża, właściciel większy, nareszcie powtarzamy, bo doprawdy aż przykro było, że go dotąd nigdzie nie spotkałeś, nigdzie nie dostrzegłeś, że zdawał się najmniejszego nie brać udziału w tych dramatycznych zawikłaniach, w których rozstrzygały się losy ludu i ziemi polskiej. Przybywa przecież; roztropny i nie zły człowiek ten pan Starża, znać tylko, że zakłopotany, widocznie nie w świetnych interesach, być może, że także siedzi w kieszeni Mendla.

W ostatniej chwili usiłuje on odwieść włościan od zgubnej do Ameryki pielgrzymki, przemawia i do ich serca i do ich rozumu, ale Wojtek Paprotka wręcz mu odpowiada: „A jak Wielmożnemu Panu idzie o to, że będzie mniej najemnika we wsi, to przecież ludzi na ograniczy nie braknie.“ Nawet takiego pocziwego i Bogu ducha winnego Starży przestrogi są jeszcze podejrzone; chłop upatruje w nich przedewszystkiem własny większego właściciela interes; znać przyzwyczał się do tego a nie odwykł; znać że drażliwa i tak drażniąca sprawa najmu stoi drastycznie między chłopem i panem, jakby daleki odblask pańszczyzny. Najwymowniej zbija rozumowania pana Starży Matusowa, a z jej argumentacyi Szymek konkluduje „kieby tak wszyckich jednako obdzielić jak w Hameryce,“ na co zgadza się Starża, ale pod warunkiem, żeby gospodarze obdzielili także komorników. „Cie! hola! woła na to Paweł, a cóż komornik ma do gospodarza, czy mu to syn albo brat, żeby mu dawał grunt zadarmo.“ Jakby żywcem wzięte z *Chłopów Arystokratów*, bo to właśnie jedna z tych nieśmiertelnych prawd, które się nie starzeją, i które zawsze i wszędzie powtarzają się. Rady Starży nie wstrzymują emigrantów i aż serce się ściska, widząc jak małym, jak żadnym jest dotąd wpływ jego na postanowienia gromady, a jak jednocześnie wzrósł wpływ Mendla, tej głównej sprężyny całego działania. A dobry pocziwy ten Starża, ofiaruje drzewo na odbudowanie spalonej chałupy Jędrzeja, widocznie zajmuje się

losem włościan w każdej ważniejszej chwili i w takiej chwili występuje względem nich opatrnościowo, chociaż przyznaje, „że sam jest w złych interesach.“ Prócz Jędrzeja, wójta i kilku innych, odjeżdżają wszyscy do Ameryki, a Kozica z Matusową stoją na czele wyprawy. Pozostają: Jędrzej w rękach Mendla, Wójt z grubym u niego rachunkiem za wódkę i Starża „w złych interesach.“

II.

Trzeci i czwarty akt dzieją się w Ameryce. Do poprzednich aktów przywiązywał urok prawdy, urok szlachetnego realizmu, podniesionego wciąż wyższą myślą, wzniosłem dążeniem i poezją miłości; wszystko tam wystawione tak jak jest rzeczywiście, a nie jak wymarzyćby to mogła wyobraźnia, wszystko tam uderzające ścisłą prawdą od mowy ludowej i łamanego języka wiejskich żydów, do najtajniejszych uczuć i usposobień ludu wiejskiego. Nie jeden z widzów zadawał sobie pytanie, czy pod temi względami Ameryka nie stanie się dla autora skopułem, czy potrafi on z równą swobodą i prawdą oddać lokalny koloryt i umieścić w tym obcym krajoobrazie biedny nasz lud, błakający się i szukający — dobrobytu. Jeżeli były powątpiewania, to je zwycięsko usuwał pan Anczyce w trzecim i czwartym akcie i tu znowu intuicyą talentu przedstawił on różne sceny z życia amerykańskiego i wybornie wplótł w nie epizody z życia naszych chłopów emigrantów, a wszystko połączył organicznie, mądrą miłością ludu wiejskiego, szlachetną troską o nasze stosunki społeczne. Z dziwną werwą i siłą odmalował on życie amerykańskie na ulicy, na placach publicznych, do czego niezawodnie pomocną mu była wyborna obyczajowa komedia p. Sardou *Stryj Sam*, z której w zeszłym roku *Przegląd Polski* obszerną zdał sprawę. Z niemniejszą bystrością sprowadził autor zetknięcie się obyczajów amerykańskich z ich antypodami, z obyczajami i wyobrażeniami wiejskiego ludu polskiego. Trzeci akt wypełniają sceny, w których na różne motywa, wyzyskiwani są przez Schulzego, to znów przez rodowitych Jankesów, nasi politowania

godni emigranci, tak dobrze przewrotny Kozica, jak próżna Kaśka i potulniejsi Szymek i Wojtek. Doskonale oddaną tu jest oswiałość ludu naszego, znajdującego się raptem wśród innych obyczajów i odmiennych okoliczności; wystawieni są oni nie tylko na zamachy ze strony przewrotności ludzkiej, ale także przypadku. Przebrany przez Schultzego dla reklamy w modne stroje Szymek, wybornie wyraża stan duszy tych istot, wyrwanych z właściwej im atmosfery mówiąc: „Mnie w tem kusem ubraniu okrutnie przeciwnie, zda mi się żem oblepiony gliną.“ Skoro chłopci nasi nie dotykają się zakłętego gruntu galicyjskiego, przebudza się dobra w nich natura i wszystkie dodatnie jej strony objawiają się w czułem powitaniu Szymka z Wojtkiem, w tęsknocie za rodzinnymi miejscami, w zdrowych zdaniach o obyczajach amerykańskich. Trzeba było przenieść chłopca galicyjskiego do Nowego świata, zdala od wpływu Mendla, zdala od złowrogich wspomnień, aby wykazać całą jego wartość. Wśród różnych amerykańskich zatargów, w których włóścianie nasi wyzyskiwani są na wszelkie sposoby, jeden z nich Wojtek pada ofiarą ślepego trafu, pada od kuli rewolwerowej Schultzego, który mierzył do swego antagonisty Diksona. Chłop polski, ginący od kuli Niemca na ziemi amerykańskiej, ginący marnie i przypadkiem, to żałosna ilustracja rozprężenia naszych stosunków, rozsypki, w skutku której trwonimy to w ten, to w ów sposób najżywotniejsze, najlepsze siły nasze. Poczciwość chłopskiej natury potęguje się w tej wzruszającej scenie, jednej z ładnych, dramatu. „Oj mój Boże! woła umierający Wojtek, do Szymka, który go nie odstępuje... już nie ujrzę swoich ani wioski... Szymku! kiebyś chociaż zkąd sprowadził księdza, żeby mnie wysłuchał... Umierać na kraju świata przez spowiedzi... przez świętych Sakramentów... Zmów choć ty pacierz nademną... a pochowaj mnie i krzyżyk postaw na grobie... tak jak u nas w Galicyji.“ I cóż temu człowiekowi w ostatniej chwili przypomina ojczyznę, co Polskę? Wrodzone, zakorzenione uczucie religijne, które tą prostą wymową swoją najświetniejszą jest odpowiedzią na wszystkie u nas bezwyznaniowe zachcianki. To nie ultramontanizm, to poprostu patryotyzm. Ładna to prawdziwie i rozrzewniająca scena, widok tego chłopca polskiego, ginącego marnie za oceanem, zdala od Polski, a wspominającego o swej ziemi, o ojczyźnie, bo nie zapomniał

o Bogu i tego drugiego, który go nie opuszcza do ostatniej chwili, który zanosząc się od łez żegna go znakiem krzyża świętego!

Akt czwarty pod względem artystycznym i poetycznym jest najpiękniejszy; tu bystry spostrzegacz, sumienny badacz naszych stosunków, przemienia się w poetę, w rzetelnego lirnika, tu rodzajowy malarz staje się, że tak powiemy, malarzem religijnym. Kozica zawsze opętany przez złego ducha, przesiąknięty jeszcze naukami Mendla, umówił się z Diksonem i Willmersem, aby napaść i zrabować polskie folwarki, założone od niedawna przez emigrantów. Podnosi się kurtyna i widzimy chałupę amerykańską, zamieszkałą przez polskich chłopów; po chwili poznajemy nieprzebraną Matusową zawsze w złym humorze i owego Matusa, co to na zwiady jeździł do Lwowa, córkę jego Baškę, która pogardziła jeszcze w Galicyi afektami Kozicy. Krzątają się wszyscy od stołu do komina, gdy w tem wchodzi jakiś Amerykanin, kupiec, jak mówi, na pszenicę; źle jakoś bardzo patrzy mu z oczu. W parę minut otwierają się drzwi; to także nasi znajomi z placu przed karczmą, którzy przybywają w odwiedzinach do Matusów, Pawłowa i Paweł Kruk. Pawłowa przyniosła „kołaca i trochę gruszek suszonych jeszcze z Galicyi.“ Krzątanie się około stołu coraz większe, dopomagają gospodarstwu przybyli goście, tylko ów kupiec siedzi ponury na boku. Matus stawia snopy w czterech rogach izby, Matusowa podkłada siano pod obrus, a w jednej chwili wszyscy kłękają przed oknem — gwiazda zabłysła! To wilija! Wilija polska obchodzona przez chłopów tarnowskich na amerykańskiej ziemi, wśród Indian, dziewiczych lasów, na krańcach puszczy! Wstali wszyscy i odmówili pacierz, w tem Paweł wyjmie coś z zanadru. Co to takiego? To opłatek, polski opłatek, przywieziony z Galicyi. Na ten widok gromadka emigrantów rozczula się, rzucają się w objęcia jedno drugiego, chcą zaśpiewać *Anioł pasterzom mówił*, ale zalewają się łzami a z nimi widzowie! Religijne uczucie zespolone z narodową tradycją połączyły w jednej chwili tę gromadkę przez szeregi ocean ze wsią polską. Matus zbliża się do siedzącego na boku kupca Amerykanina i tłumacząc mu zwyczaj narodowy, chce się z nim opłatkiem przełamać, lecz kupiec odpycha opłatek. „Ludzie darujcie, woła, bom ja niegodny łotr, zbój

i złodziej,“ zrzuca perukę, przyprawione faworyty, pada na kolana; to Bartek Kozica, który sam najlepiej tłómaczy, co się z nim w tej chwili stało: „Jam tu przyszedł was wyśpiegować, zrabować, podpalić a może i zabić. Ale jakim ujźrał ten stół siankiem nakryty, te snopy w kącie i tę wieczerzę — jakżeście mi podali opłatek, tak zmięknęła dusza... proszę was strzelcie mi w łeb, jak psu wściekłemu.“ Religijno-narodowa tradycja, krusząca zatwardziałego grzesznika, łamiąca ostatecznie zakorzeniony wpływ Mendla, wydobywająca na wierzch wszystkie pocziwe strony zbłąkanej i obalamuconej duszy polskiego chłopca, to zaprawdę głęboka myśl, to nie tylko piękny efekt sceniczny, ale także psychiczna prawda, to niezawodnie, moralnie i poetycznie najwznioślejsza chwila dramatu. To nauka, na czem winniśmy oprzeć wychowanie ludu, co mamy w nim pielegnować i zachowywać troskliwie, jeżeli chcemy, aby tak za oceanem, jak wśród burz, które wstrząsają naszym społeczeństwem, lud ten pozostał na zawsze polskim! Trudno doprawdy opisać wrażenia tej sceny; takie rzeczy odczuwa się, ale nie opisuje.

Napad przebranych za Indyan amerykańskich rzeźmieszków, którym kierować miał Bartek, a który teraz przestrzegłszy Matusów pierwszy chciałby ich obronić, przerywa uroczystą chwilę polskiej wili na amerykańskim stepie. Walka przecież nie równa, chłopci nasi ulec muszą przeważającej sile i znów jak tyle razy, popłynie krew polska gdzieś na krańcu świata. Wtem zjawia się opatrnościowo, jakby jakaś postać z *Nieboskiej komedyi*, Juliusz Starża, syn tego Starży, co tak uczciwie odradzał wyjazdu do Ameryki, ukazuje się z bronią w ręku z orszakiem i jak anioł opiekuńczy ratuje już skazaną na nieochybną śmierć gromadkę polskich włościan. Najpiękniejsze marzenia Zygmunta ziszczone w sztuce! Juliusz, któremu towarzyszy Antek, zakochany zawsze w Baśce, otrzymuje dla niego jej rękę; zmiękczył on bowiem pięknym czynem nawet serce Matusowej, która przestała mniemać, że panowie myślą tylko o przywróceniu pańszczyzny, wszystkich zjednał sobie, a w końcu tych, którzy niczego w Ameryce dorobić się nie mogli, zabiera z sobą do Galicyi. Śliczną i prawdziwie opatrnościową rolę odgrywa ten Juliusz, a gdy w tem miejscu zasłona spada, widzom zdawać się może, że

mieli jakiś piękny sen, ale niestety nie mogą uwierzyć, aby to była rzeczywistość.

III.

Piąty akt przenosi nas znowu do Galicyi na ten dobrze nam znany plac między kościołem, chałupą Jędrzeja i karczma, i wprowadza nas powtórnie w sam środek naszych stosunków wiejskich. Nić dramatyczna, przeciągnięta przez cały utwor — wywłaszczenie żywiołu polskiego z ziemi, wiąże go organicznie z całością, a motyw ten tragiczny, spotęgowany w tym końcowym akcie, nadaje prawdziwą grozę całej sytuacji. Ostatni ten akt jest może najobfitszy w głębokie spostrzeżenia i doniosłe nauki. Pięknie, może nawet nieco za idealnie rozpoczyna się on. Jędrzej, ktorego chałupa dzięki pomocy Starzy, z popiołów powstała, mówi pacierz „I nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego, amen.“ Starża przezywa mu: „Dzień dobry Jędrzeju, wy przy pacierzu a ja z kościoła.“ Połączenie szlachty polskiej z ludem polskim w modlitwie. Zawiazuje się między nimi patryarchalna rozmowa nad zobopólną biedą, dowiadujemy się z niej, że brat starszy Starży, „zmęczony stosunkami w Poznańskiem, sprzedał majątek i wyniósł się do Ameryki,“ a Juliusz Starża udał się tam po spadek; dowiadujemy się, że dziś właśnie Mendel ma wystawić na licytacją grunt i chałupę Jędrzeja, że Starża przegrawszy jakiś proces, widzi się także zagrożonym licytacją swojego majątku, „podajcie mi rękę Jędrzeju i szlachcic i chłop pójda ze swego dziedzictwa odwiecznego z torbami.“ Piętrzy się tu groza tragiczna, a w tych prostych słowach, w tej prostej sytuacji jest jej zaprawdę tyle co w *Edypie*! I nasuwa się pytanie, ażali i tu nie ciąży jaka wina, jakaś fatalność, która tę ziemię i zamieszkały na niej naród chłoscze nieubłaganie, ściga wciąż i popycha w objęcia Eumenie!

Prostym chłopskim rozumem Jędrzej dostrzega pięte achillesową położenia; nie zważając czy urazi czy rozgniewa, w rozmowie o żydach mówi: „Już to przez urazy, ale i pa-

nowie jesteście winni, poco im puszczacie karczmy? "Starża, który może w sejmie głosował za zniesieniem propinacyi, bro- ni się od zarzutu. „Mój Jędrzeju... oni się na tem lepiej zna- ją — nasz płacąc połowę tego co żyd płaci, jeszcze nie po- trafi wyjść na swoim," na co nieubłagany w swej prawdo- mowności Jędrzej, odpowiada słowy, które istotnie przeraża- jący kreślą obraz: „to się wie ze nie potrafi... ale dla czego?... bo ludzi nie rozpija — nie borguje, na lichwę nie pożyczą, a z czeladzią dworską porozumienia nie ma, żeby pana krzyw- dziła. Za te kilka setek, co dziedzic więcej weźmie, to sobie i chłopom na kilka tysięcy krzywdy zrobi. Kieby panowie nie puscali im karcem, toby harendarze musieli się wziąć do innej pracy, nasby nie gubili, a uczciwym żydom nie robili wstydu.“

A przecież p. Anczyc nie jest wcale żydożercą, ma on względem Izraela pewne dyplomatyczne zastrzeżenia. Ten sam Jędrzej wyżej mówił: „I dziś który doktor albo kupiec w mie- ście porządny, albo rzemieślnik, który ma oświatę i kocha swój kraj, to całkiem inakszy człowiek.“ W innem znów miej- scu jest nawet komplement, dotąd na szczęście zasłużony dla warszawskich żydów. Ale p. Anczyc piętkuje w wysokim sto- pniu demoralizującą sytuacją, stworzoną cichą konniwencją pewnych warstw z brutalną chciwością i brudnym podstępem wiejskiego żydostwa. Smutną rozmowę między Starżą i Ję- drzejem przerywa istne spadnięcie szarańczy, napad, przed którym dziś nam bronić się trzeba, jak niegdyś bronili się nasi ojcowie, przed napadami Tatarów lub Turków! Oto zajeż- dza przed karczmę tradycyjalny wózek żydowski, a z niego wysiadają rycerze uzbrojeni weksłami i nakazami płatniczemi: Mendel, Jankiel, Chaim, Szmul, Icek, Fajbuś! Cała armia no- woczesnych krzyżaków a sprzymierzeńców dawnych, przyjeż- dzająca jednokonną bryczką zdobywać ziemię polską. Przywiózł ich Mendel z Tarnowa na licytacją najprzód gruntu Jędrzeja a potem folwarku Starży. Nie domyślając się tak prędkiego ciosu Starza, pyta: „A nie przynieśliście co dla mnie?“ na co Mendel wydostaje zwitek papierów i kolejno podaje je Starży. „Jako nie? jest... jest (wydobywa zwitek papierów). Tu jest palet egzekucyjny na podatek gruntowy... tu rachunek adwo- kata.. tu kara za kontrawencyę stępla... tu nakaz od Towa-

rzystwo kredytowe za zaległych rat, a tu wezwanie od Bank hipoteczne.“ Żywy obraz stanu interesów szlachcica polskiego! Jego nigdy nie czeka dobra wiadomość; nieład, brak punktualności i Mendel wiecznie dostarczają mu złych, groźnych wieści. Mendel w tym zwitku wręczył Starży akt zejścia szlachcica polskiego a on będzie wykonawcą testamentu.

Po rozmowie między żydami, w której po zniesieniu dawnych, nowy na jaw wychodzi przywilej w słowach Mendla: „Ale przecież ja tu Jankła do wsi nie wpuszczę, bo to moja wieś... to wieś mojego Leibele“ — słowach popartych wykrzyknikiem zawsze natchnionego Leibele: „jak wyrosnę to i Jankła ztąd wypędzę.“ Następuje jedna z najwyborniejszych scen, pełna żywego realizmu a przecież tragiczna, scena licytacji najprzód chłopą, potem szlachcica polskiego, w której przybyli z Tarnowa żydzi i Mendel podnoszą cenę kupna po grajcarze. W żadnem może miejscu komizm i tragiczność nie stykają się tak żywo, jak tutaj. Już, już, chałupa Jędrzeja i folwark Starży przejść mają w ręce żydowskie, już ma się zakończyć tragicznie dla żywiołu polskiego ta walka, trwająca przez pięć aktów, gdy w tem ukazuje się Juliusz Starża, składa potrzebne *vadium*, ratuje najpierwej chłopą polskiego od zagłady a następnie własnego ojca. Słysząc tylko zgrzytanie szakali, którym wyrwano ofiarę, gdy już mieli ją rozszarpać. Chłop polski zbawiony przez panicza, przez młodą generacją!

Tu się zaczyna chwila sprawiedliwości, niestety tylko w sztuce. Juliusz zdobywszy majątek w Ameryce, przybył na czas, przybył, aby uratować to, o czem tak słusznie stary Starża mówi: „Gdyby każdy z nas zachował zagon rodzinny, zostawiony przez dziadów w spuściznie, tobyśmy i całości nie zmarnowali.“ Juliusz przywiózł z sobą Baškę i Antka i z pozwoleniem Jędrzeja żeni ich. Nareszcie wybija godzina kary dla zatwardziałych złoczyńców. Juliusz woła Mendla, wyrzuca mu jego niegodziwości i naciera na niego, aby choć w części naprawił złe, którego był sprawcą. Mendel z początku dość grzeczny, stawia opór i tu przebudza się w nim żyd nowoczesny, żyd nie używający ale nadużywający równouprawnienia, żyd nieucywilizowany ale rozzuchwalony, żyd wiedeński z galicyjskimi pejsami. Jest to jeden ze znakomitych zwrotów w sztuce, rzecz uchwycona na gorącym uczynku; pod naciskiem

wyrzutów i groźb Juliusza, *Mendel* (zrazu przerażony, potem nabiera czelności i mówi zuchwale): „Kto złodziej? kto podpalacz?! Co pan sobie miśli, że mnie tak krzywduje... Czi pan miśli, że to dawnych polskich czasów... co wolno było lada katolikowi żyda wimiślać?... tych czasów to już się skończyło.... Teraz ja taki dobry jak pan... Ja pana będę skarżyć do sąd karny za obrazę honoru.“ Tego nie umiałby był powiedzieć szynkarz w *Chłopach Arystokratach*. To postęp. Lecz jakby jakie duchy powracające z tamtego świata, stają przed Mendlem jako świadkowie jego występków Antek i dawny jego wspólnik Bartek Kozica, dziś skruszony, nawrócony, chcący sam pokutować za winy, byle Mendel „poszedł pod przysięgłych.“ Mendel przyparty do muru, jak Shylok w czwartym akcie, aby ratować się i uzyskać bezkarność, przyjąć musi liczne stawiane mu warunki, ale jak shakespeareowski żyd zawahał się i załamentował na warunek przyjęcia chrztu, tak galicyjski żyd cofa się przed koniecznością wypuszczenia z rąk zagrabionych gruntów. Ulec przecież musi i poddać się konieczności.

Widzimy, że do końca myśl główna, motyw tragiczny—walka o polską ziemię, góruje i rozwiązuje zawikłanie dramatyczne tego utworu, pełnego życia i głębokiej nauki o naszych stosunkach.

IV.

Tak ze streszczenia głównej myśli utworu, jak licznych z umysłu poczynionych, bo wnioskujących w sam głębi naszych stosunków, przytoczeń, widzimy, że p. Anczyc dotknął w *Emigracyi Chłopskiej* wszystkich najżywotniejszych naszego społeczeństwa spraw, już tem samem, że skreślił obraz obecny wsi naszej. To właśnie nadaje temu utworowi wyjątkowe znaczenie. Przedstawił on w sposób żywy, czasem drastyczny, wszystkie nasze rany, wszystkie te niezłatwione sprawy, które są główną przyczyną naszej niemocy; wskazał on, że rdzeń naszego bytu, że przyszłość nasza znajduje się zawsze we wsi polskiej, aczkolwiek wielce tam jest zagrożoną. Przesunął przed oczami publiczności i zmusił tę publiczność mało myślącą i mniej jeszcze czytającą, do zastanowienia się naprzemian nad

sprawą włościańską, nad propinacją, nad kierunkiem bezwyznaniowym, nad grożącą na całym obszarze Polski germanizacją, nad pieką u nas kwestyą żydowską, nad lichwą, nad poprawą ustaw gminnych, a organicznie złączył wszystkie te sprawy najważniejszą — utrzymanie się żywiołu polskiego przy ziemi — tem *być albo nie być* tegoczesnej Polski. Przystąpił on do tej pracy bez złudzeń, to też dzieło jego ma w sobie siłę prawdy; zaiste powstał z tego obraz nad miarę przykry, przerażający, powiemy nawet bolesny, ale mogący być skutecznym. Prawda, niestety, o naszych stosunkach jest tak smutną, tak gorzką, że pomimo znanego humoru pana Anczyca, którym hojnie szafował w *Emigracyi Chłopskiej*, wcale nie chce się śmiać, wychodząc z tego przedstawienia; jest w niem cały smutek naszego obecnego położenia i coś więcej, bo upokorzenie. Widzimy tam naród, który utraciwszy najdroższą na tym świecie rzecz, byt polityczny, zeszedł już do tego, że teraz walczyć musi o posiadanie każdej piędzi ziemi, walczyć zarówno ze złowrogimi żywiołami, jak z własnymi zakorzenionymi wadami, widzimy jak zwolna ze zwyciężonych zamieniamy się w Pariasów; jak z każdym dniem grunt usuwa się pod naszymi nogami. A czy dostatecznie, czy rozumnie umiemy się bronić przed wywłaszczeniem? Czy potrafimy uniknąć losu Pariasów? Niestety, odpowiedzi na te zapytania są jeszcze straszne dla nas niewiadomemi. Pan Anczyc wskazuje wprawdzie lekarstwo na złe w reformie radykalnej, nietylko ustaw ale obyczajów, w naprawie stosunków wiejskich idącej z góry, ale te rady nie są jeszcze odpowiedzią na owe ważne zapytania, aby ją odnaleźć, trzeba by wiedzieć, czy społeczeństwo, które z takim zapałem przyklaskuje panu Anczycowi, gotowe pójść za nim, za jego radą, za jego przykładem, czy gotowe, jednym słowem, pójść do wsi polskiej i tam sumiennie, energicznie, z poświęceniem szukać ratunku sprawy polskiej. A złe się dzieje w tej wsi właśnie dla tego, że za mało, że nie dość gorąco a roztropnie zajmujemy się nią. Widzimy, jak tam od czasów *Chłopów Arystokratów* wzrósł tylko wpływ Mendla, jak żadnym, nijakim jest wpływ dworu i szlachcica. Zatrważające to dziś więcej jak dawniej, już dla tego, że dziś nie mamy nawet odwiecznej a kiedyś rzeczywistej wymówki złowrogiej tendencji rządu. — A gdyby nie rząd! dziś już mó-

wić nie możemy. Rząd ten jest niemal w naszych rękach, w każdym razie rząd dziś nie waśni, a bodaj nawet czyby nie życzył sobie płodnej zgody. A przecież wyznajmy szczerze, czyśmy dostatecznie skorzystali z tych wyjątkowych, z tych nad wszelki wyraz pomyślnych okoliczności?! Czy raczej nie zmarnowaliśmy ich dotąd, skoro obróciły się tylko na korzyść wpływu Mendla! Doprawdy, że widząc to nie wiedzieć, co myśleć, czy że nie umiemy, czy że nie chcemy!?

Jest w całym przebiegu dramatu myśl piękna nad inne, piękna bo prawdziwa i uczciwa. Między licznymi postaciami chłopskimi, nie ma ani jednej złej z gruntu; wszystkie te natury są dobre, tylko zepsute złowrogami wpływami, a brakiem dobrych; w odmiennych warunkach dodatnie ich strony biorą górę. Są to natury moralnie słabe, ale nie złe; psuje je naprzemian wpływ Mendla, złoto Schultzego, wódka, lichwa, a nadewszystko brak zdrowych przeciwdziałających czynników. Najgorszy z nich Bartek Kozica, nawraca się zupełnie, stanowczo pod ciepłym uczuciem religijnych i wspomnień rodzinnych. Głęboka to i poetyczna myśl. Lud polski to wyborny materiał, ale łatwo spacyfikować go można, zużytkować go należyście dotąd nie umiano, a prawdę tę wyraża wybornie Jędrzej kiedy mówi do Starzy: „Ej oni nie są z natury źli — jeno źli ludzie w głowie im przewracają.“ A więc niech dobrzy raz przecież zajmą się szczerze, sumiennie losem tego ludu, a wygrana może być jeszcze po naszej stronie; niech społeczeństwo nasze uzna tę prawdę, iż aby być silnym i zdrowym, oprzeć się musi na silnym i zdrowym stanie chłopskim, a rozwiąże ono ponurą zagadkę naszego bytu narodowego. Dotąd przecież wszystko niemal jest tu jeszcze do zrobienia, a robi się za mało. Oby znów nie zabrzmiało niebawem złowrogie — za późno! Cel i zadanie to samo co dawniej; czasy, stosunki i środki działania zmienione. Jeżeli gdzieindziej przeważny wpływ wyobrażeń materialistycznych obniżył poziom moralny, to jednocześnie podniósł bogactwo i byt materialny. We wsi polskiej rzecz się ma przeciwnie; sięgające aż do niej wyobrażenia tegoczesne sprowadzają ubóstwo, wywłaszczenie i emigracją do Ameryki. Czasy się zmieniły od *Chłopów Arystokratów*, już nie jak wtedy przychodzi bronić się wyższym warstwom, większej własności, szlachcie, przed niechęcią, podej-

zeniami, rozbudzoną chciwością lub rozkiełzanemi namiętnościami ludu wiejskiego. nie idzie już nawet o lasy i pastwiska, nie: teraz idzie o coś innego, bo o to, aby ziemia pozostała w ręku ludu, aby go nie zastąpiły lub nie przygłuszyły inne obce żywioły, teraz idzie o to, aby tak chłop jak szlachcic nie zostali wywłaszczeni, aby nie zginęli, idzie o wspólną obronę, a więc jest to ostatnia godzina stanowczego połączenia się, pod grozą utraty resztek bytu. Chwila ważna, godzina uroczysta, w której przypada naszemu pokoleniu zadanie, zawiązanie na nowo tradycyi Kazimierzowskiej i oparcia naszej przyszłości na ludzie wiejskim. Kto ma to zadanie spełnić? Nie kto inny, jak ten, który je w *Emigracyi chłopskiej* spełnia — Juliusz Starża.

Bijącem w oczy i widocznem jest, że Juliusz Starża występuje zawsze w dramacie jako *Deus ex machina*. W sztuce ludowej nie jest to bynajmniej błędem już dla tego, że lud przypuszcza zwykle bezpośrednie mieszanie się opatrności w sprawy ludzkie; tem samem taki *Deus ex machina* jest w podobnych utworach scenicznie prawdopodobnym, bo opartym na psychologicznem usposobieniu ludu. Ale tutaj ta ciągła opatrnościowa rola Juliusza, to jego — jakby z umysłu źle umotywowane — ukazywanie się na scenie, jako zbawcy zstępującego z obłoków w złych chwilach, wyraża — może nawet bez zamiaru autora — głęboką narodową prawdę czy przywarę i nie co innego, jak owo polskie — *jakoś to będzie!* Wszystko już stracone, grunt i chałupa Jędrzeja mają się dostać w ręce żydowskie, folwark Starży odłużony idzie na sprzedaż, wieś wydłwniona w skutku wyjazdu włościan do Ameryki, a przecież — *jakoś to będzie!* i w samej rzeczy ukazuje się — *jakoś to będzie* pod postacią nie wujaszka ale synalka z Ameryki, unikat zaiste u nas, który wszystko ratuje, zawiązuje na nowo, tak że — *jakoś to będzie!* Mimowolnie, czy nie, uchwycony przez autora rys ten narodowy jest wyborowy, charakteryzuje on doskonale to wieczne spuszczenie się na coś nieokreślonego, na szczęście, a nie radzenie złemu, siłą woli, hartem duszy, pracą, rozumem, reformą, dopóki czas, dopóki można; to niekorzystanie z okoliczności, ale spuszczenie się na wypadki. A przecież nie radzilibyśmy zbyt ufać pojawianiu się takich z komedyi postaci! Jeżeli Juliusz pana Anczyca przy-

padkowo przedstawia sławetne — *jakoś to będzie!* to rzeczywiście przedstawia on zupełnie coś innego. Przedstawia on należną, konieczną opiekę wyższych warstw i wypowiedzmy ten wyraz — szlachty — nad ludem wiejskim. W *Emigracyi Chłopskiej* pana Anczyca szlachta zaiste ukazuje się zawsze i wszędzie jakby opromieniona poezją Zygmunta Krasińskiego; ślicznie to wygląda w obrazie, a świadczy o szlachetnych, o zacnych dążnościach autora. Ale p. Anczyc sceną willi dowiódł nam, że jest poetą! W przedstawieniu szlachcica polskiego we wsi polskiej, widzimy nie tylko że jest poetą, ale że i poetyzować umie, że będąc wybornym znawcą stosunków tegoczesnych, umie także zagrać muzykę, która chyba jest muzyką przyszłości. Juliusz przedstawia tu oczywiście cały stan, całą warstwę społeczną, a widząc, z jaką troskliwością, z jaką umiejętnością zajmuje się losem ludu wiejskiego, jak w każdym niebezpieczeństwie, w każdej potrzebie przychodzi mu z ratunkiem i pomocą, uderzmy się w piersi i wyznajmy, że nie jest, niestety, zgodnym z rzeczywistością. Pan Anczyc chciał niewątpliwie przedstawić w Juliuszu i w starym Starzy nie tyle to, co jest, jak to, co być powinno, chciał wyśpiewać jedyną możliwą przyszłość, jedyne zbawienie, wskazać ratunek! Gdyby w tej części utworu p. Anczyc był mniej poetyzował, a chciał więcej pozostać realistą, zamiast wprowadzać Juliusza szlachcica, powinien był przedstawić jednego z tych paniczków chłopomanów, dla których sprawa włościańska jest rozrywką, może kaprysem lub *sportem*. Taka postać bliższąby była rzeczywistości i prędzej z nią spotkać się można u nas, bo to właśnie jest nieszczęściem, że nie ma dotąd środka między chłopomanią a chłopofobią, że nie ma u nas tej ciągłej pieczołowitości, tego praktycznego zajęcia się stosunkami włościańskimi, które Juliusz przedstawia w *Emigracyi Chłopskiej*; i dla tego to zapewne ten Juliusz wydaje się na scenie nieco mdłym i jakby chodził na szczudłach. Nie jest on postacią rzeczywistą.

Zarzucono p. Anczycowi, że chcąc odstraszyć od emigracji do Ameryki, nie dość odstraszący przedstawił obraz bytu żywiołu polskiego za oceanem, że popełnił poniekąd niekonsekwencją, bo właśnie ratunek przybywa z Ameryki, bo i Matuśowie i Pawłowie zostają tam ostatecznie i znajdują o wiele

lepszby byt jak w Galicyi, że tem samem sztuka ta zamiast odwoǳić od emigracyi, mogłaby do niej zachęcić i zły wywrzeć wpływ pod tym względem na masy wiejskie. Przede-wszystkiem niech nam wolno będzie powątpiewać o podobnym bezpośrednim wpływie na masy wiejskie. Inne jest zadanie takich jak *Emigracya Chłopska* utworów, oto poruszenie ży-wotnych, pięknych spraw, wykazanie środków ratunku, obu-dzenie zajęcia w wyższych myślących warstwach, zapukanie do ich sumienia i rozumu i pobudzenie ich do zastanowienia się, do rozpoznania położenia, do działania. Taki niezawodnie jest cel *Emigracyi Chłopskiej* p. Anczyca. Przerzucić ona po-winna uwagę publiczną z tysiąca drobnych, mniej ważnych lub niewczesnych spraw na najważniejszą, na — reformę stosunków wiejskich. Ci, którzy chcą, aby p. Anczyc inaczej przedstawiał położenie emigrantów w Ameryce, żądają, aby dla tendencyi rozminął się z prawdą, żeby zatem popełnił i estetyczny i spo-łeczny błąd.

Matusowie i Pawłowie dorobili się napozór lepszego bytu materyalnego, lecz mimo tego źle im w Ameryce, otoczeni są tysiącami niebezpieczeństw, a przede-wszystkiem nie dobrze im wśród wstrętnych im obyczajów i zwyczajów, tęskno i smutno na duszy; „no jest ci chleb bo jest, mówi Matus... ale za to tak się cnie... tak markotno .. że mi już wszystko obrzydło... ja tu długo nie pożyję.“ Słowem nie są oni tam szczęśliwi i w tem głęboka jest nauka, że ostatecznie chłop nasz nie jest żywiołem kosmopolitycznym, że jest z krwi i kości pol-skim, że jeżeli czasem mu się *cnie* w Galicyi i wśród jej sto-sunków, to stokroć więcej *cnie* mu się za wsią i ojczyzną. Za-pewne, że chałupa Matusów w Ameryce, sprzęty domowe, całe gospodarstwo lepiej nierównie i pokaźniej wyglądają jak w Ga-licyi, ale to dobrobyt względny, świadczący tylko o nędzy ga-licyjskiej. A ostatecznie jeżeli chłop polski umiał na puszczy zdobyć sobie byt, jeżeli znać tam jego dzielną pracę, dowodzi to tylko, ile on jest wart, jaki to materyał, co zdolny zrobić, gdy go nie gnębi lichwa, nie demoralizuje karczma, nie prześladowe żyd; to nauka, co byśmy z niego zrobić mogli, gdy-byśmy chcieli i umieli usunąć szkodliwe wpływy a zastąpić je zbawieniami, gdybyśmy się szczerze wzięli do — reformy sto-sunków wiejskich.

Tak w całości, jak w szczegółach utwor, p. Anczyca budzi rzeczywiście, wielkie zajęcie. Pomimo niezaprzeczonego, wyjątkowego talentu dramatyzowania stosunków wiejskich, pomimo wybornej przyprawy, która tak bardzo jest potrzebną, aby publiczność połknęła i strawiła najzdrowszy pokarm, pomimo humoru i dowcipu, wielkiej znajomości sceny i jej wymagań, pomimo że nagromadzonych tu jest tysiące drobiazgów, które bawią i wabią: tańce, wozy, żydowskie budki, Indyanie, Murzyni, Chińczycy, strzały rewolwerowe, pożary i śpiewy ludowe, pomimo tego wszystkiego nie zwykłe to zjawisko, aby sztuka, w której przez pięć długich aktów, niemal wyłącznie występują chłopci i żydzi, do tego stopnia zajmowała, przywiązywała do siebie, przyciągała i niepamiętną na scenach polskich liczbę razy powtarzaną była, przy ciągłym udziale publiczności. Pierwszy autor przyzna nam, że nawet jego wyjątkowy talent, nie tłumaczy tego wyjątkowego powodzenia; tłumaczy je jedynie ważność poruszanej sprawy, sięgającej aż do bytu narodowego całego społeczeństwa, doniosłość przedmiotu i ta prawda, że u nas treścią wszystkiego są stosunki wiejskie. Siła przedmiotu nadała mocy i autorowi i utworowi.

Nie ma w nim patryotycznych frazesów, skoro mógł być drukowanym obecnie w Warszawie, a przecież jest w nim najrętsza i najprawdziwsza miłość ojczyzny.

W przedstawieniu stosunków naszych w głównej myśli, we wskazanych środkach zaradczych, poszedł p. Anczyca wiernie a bez powziętego z góry zamiaru, lecz kierując się rzeczywistością położenia, za programem posłów krakowskich, wyraził on i przedstawił stan rzeczy tak, jak się na niego zapatrywał zawsze *Przegląd Polski*; w roztroprnym konserwatyzmie, opartym na niezbędnych reformach, prześcignął on wszystkich. Wypowiedział on posłów krakowskich i naszą myśl tem samem, że wykazując groźne niebezpieczeństwa, postawił jako najpierwszą, najważniejszą, najwięcej naglącą sprawę, reformy stosunków wiejskich, obowiązek dla wyższych warstw, wzięcia w niej inicjatywy. Konkluzye *Emigracyi Chłopskiej* prowadzą wprost do reform administracyjnych, objętych wnioskiem pana Dunajewskiego, nakazując dążyć do gminy zbiorowej, której, zdaniem naszym, zbornym punktem winna być parafia, nakazując mnożyć szkoły oparte na podstawie chrześcijań-

skiej, usunąć lichwę, pijaństwo i karczmę taką, jaką ona jest dzisiaj, a to wszystko w celu zapewnienia wyższym warstwom przynależnego im we wsi wpływu moralnego, przywrócenia w niej harmonii społecznej, równowagi ekonomicznej, ulżenia ciężarów niższemu warstwowi i uratowania ziemi polskiej od nowego rozbioru i zaboru. Podwójną więc w tej chwili ma dla nas ten utwór ważność, raz dla tego, że wyraża prawdy, w imię których od początku i już przed dziesięciu laty walczyliśmy, powtóre, że się ukazał właśnie w przededniu nowych ogólnych do sejmu wyborów. *Emigracya Chłopska* pana Anczyca jest poniekąd istnym programem wyborczym, w każdym razie jest to doskonałe zwierciadło, w którym wyborcy i kandydaci ujrzyć mogą prawdziwy stan naszych stosunków.

Co do nas przypatrzwszy się im i zastanowiwszy się nad nimi zimno i sumiennie, wywieszamy program wyborczy, streszczający się w słowach: reforma stosunków wiejskich! Reforma nie już stosunków włościańskich, ale wiejskich. I niech nikt nie myśli, że powoduje nami jakiś chorobliwy sentymentalizm, nie, to poprostu egoizm; to nie sielanka, to polityka, jedyna polityka nasza, bo każdej polityki pierwszym zadaniem jest bronić ziemi ojczystej. My nie chcemy rzeczy niemożliwych, nie żądamy niepotrzebnych ofiar lub poświęceń, uwzględniamy trudności, ale z drugiej strony nie możemy się pogodzić z myślą, aby społeczeństwo polskie zmarnowało w sprawie najważniejszej najpomyślniejsze okoliczności, w jakich się kiedykolwiek znalazło na całym obszarze Polski, od rozbioru. My chcemy, aby szlachta zdobyła sobie niezbędny dla dobra sprawy wpływ nad ludem wiejskim, aby jak dawniej tak i teraz stała na straży ziemi polskiej; chcemy iść dalej drogą, którą wśród nierównie gorszych warunków wskazał naszemu pokoleniu nigdy nie wygasłej między nami pamięci Andrzej Zamoyski, po której tak pewnym krokiem stąpił margrabia Wielopolski, na której przewodniczył nam z taką wiarą i zapałem Adam Potocki!

Dlatego od tego programu nie odstępimy i nie porzucimy go dla żadnego innego, dopóki ziemia zagrożoną będzie u nas, dopóki moralny i materyalny byt polskiego lądu wiejskiego zapewnionym nie będzie. Nie przyjmujemy żadnego innego programu, chociażby politycznie uśmiechał się nam, dopóki nie będziemy pewni, że tak jak w Czechach, myśl naro-

dowa i przedstawiające ją wyższe warstwy, opierają się na ludzie wiejskim; nie przyjmujemy przedtem żadnego innego programu, bo przekonani jesteśmy, że tamten najprzód przeprowadzić trzeba, aby każdy inny postawić skutecznie, bo nie chcemy rozpoczynać walki z tym lub owym, mniej nam przychylnym w Wiedniu systemem, dopóki w Tarnowskim lub Jasielskim grozi nam Mendel i Schultze.

Kończymy zatem hasłem! reforma stosunków wiejskich.

A tak przed wyborami jak po wyborach hasło to nie przestanie być naszym, chociażbyśmy mieli znowu napotkać na gniew jednych, na odstępstwo drugich, na obojętność ogółu, chociażbyśmy mieli na tę nutę tańczyć sami, jak Sowietnik na balu u senatora.

Chcemy reformy stosunków wiejskich, bo nie chcemy, aby znowu zmarnowano nadchodzących sześć lat, a myśl główną naszego życzenia dokładnie wyraża prosta zwrotka, którą kończy się *Emigracya Chłopska*:

Wy Panowie, co nauki więcej od nas macie,
Zbliźcie się też więcej sercem ku wieśniaczek chacie,
W Sejmie, w Radach powiatowych siłami wspólnemi
Pracujmy wraz, a gorliwie dla szczęścia tej ziemi.

St. Koźmian.

CHÓW KONI W AUSTRYI.

Die Pferdezucht-Frage in den im Reichsrathe vertretenen Königreichen
und Ländern von Ladislaus Graf Rozwadowski.

La question hippique en Autriche. Lettre adressée à S. E. le Comte
L. Rozwadowski.

Kwestya chowu koni, tak ściśle związana z rolnictwem i bogactwem krajowem, nabrała podwójnego znaczenia z wprowadzeniem obowiązku ogólnej służby wojskowej i pomnożeniem sił zbrojnych wszystkich państw europejskich. Zawsze i wszędzie armia była wielkim konsumentem produkcyi koni. Z wyjątkiem Rosyi i Austrii, gdzie produkcyja miejscowa przynajmniej liczebnie na potrzeby armii wystarczała, wszystkie państwa zmuszone były remonty kawaleryjskie i konie pociągowe w znacznej części kupować zagranicą. Obecnie potrzebowanie się zwiększyło, produkcyja zaś nie jest w stanie pójść naprzód jednym skokiem i żądaniu zadość uczynić, gdyż zależy od warunków, które zmienić często nie w sile człowieka. Od wielu lat rządy nie szczędziły usiłowań około podniesienia chowu koni, nie mogąc dojść do zamierzonego celu. W wielu krajach i okolicach, mianowicie pod względem kultury stojących wysoko, produkcyja doszła do *maximum*, albo

przyjęła kierunek wyłączny, klimatem i naturą gruntu wskazany; tego *maximum* nie przejdzie, od tego kierunku nie odstąpi i nie da więcej jak daje. Tak się dzieje w Anglii, prawie w całej Francyi, w większej części Niemiec. Tylko Rosya i Austria mogą produkcją koni i liczebnie i co do jakości rozwinąć i stać się obfitem źródłem, z którego Europa czerpać będzie, z wielkim i nieomylnym dla producenta zyskiem.

Dla naszego kraju jest to punkt nader ważny. Konie galicyjskie mają ustaloną i powszechną reputacyą, są poszukiwane w Wiedniu jako tak zwane jukiery, lekkie konie kareciane i konie frontowe; są wysoko cenione w kawalerii niemieckiej, dla kawalerii francuskiej kupowanoby je chętnie, gdyby znaleziono dostateczną ilość. Jednem słowem możemy być pewni kupca i dobrej sprzedaży, byleśmy tylko towaru dostarczyli. Cały sęk w tem, że o dobry towar, o towar odpowiadający dzisiejszym wymaganiom, nader trudno w Galicyi. Co lepsze, wychodzi z kraju; zostają konie złe, bezwarunkowo drogie w stosunku do wartości, pomimo tego nieopłacające kosztów wychowania producentowi. Co do ilości i co do jakości produkcji koni stoimy, pomimo najkorzystniejszych warunków, niepospolicie nisko, z naszą własną oczywistą szkodą.

Zmiana na lepsze nie jest ani niepodobną, ani nawet trudną do osiągnięcia. Galicya ma klimat i grunt do chowu koni wyborny, pastwisk i paszy podostatkiem, obfity materiał w kłaczach posiadających bardzo dużo krwi od wielu pokoleń, dobrej lub łatwej do poprawienia budowy, wielkiej wytrzymałości i wypróbowanego zdrowia, w końcu pewność korzystnego zbycia produktu. Idzie więc o ożywienie produkcji i nadanie jej właściwego kierunku, o trafne zastosowanie i zużycie pomocy rządowej, o wyjście hodujących z nałogowej rutyny. Zamiast jak dotąd hodować na ślepo, ze zwyczaju i nałogu, ze stratą, trzeba hodować ze znajomością celu i środków, z zamięłowaniem prawdziwym i z rachunkiem.

Co prawda, o chów krajowy w kraju nikt się tak bardzo nie troszczy. Pomoc rządowa ma swój tryb według szematu kroczący; nie jest taką, jakąby być powinna, ani jakąby być mogła, bo nikt się o to nie upomina, nie szturmuje, bo w końcu chów krajowy z niej należycie nie korzysta, i tego, co jest, nie umie wyzyskać. Sejm o ptaszęta tak tro-

skliwy, chowem koni się nie zajmuje, choćby mógł bardzo łatwo wiele dobrego uczynić; nawet o ścisłe wykonanie istniejących przepisów nigdy się nie dopominano. Towarzystwo chowu koni bardzo mało robiło i robi, dla dziewięćdziesięciu dziewięciu przyczyn, z których najgłówniejsza ta, że u nas wszelkie stowarzyszenia zaledwie wegetują z biedą. Wszystko więc spoczywa na inicjatywie prywatnej, czyli co u nas na jedno wychodzi — na opiece Boskiej. Nie ma ani jednej książki po polsku praktycznie napisanej, z której hodujący mógłby się coś dowiedzieć lub nauczyć; nie ma również pisma specjalnie, albo przynajmniej w części sprawą hodowli krajowej zajmującego się. Dzienniki uprawiają wyłącznie wielką politykę, chociaż w naszym kraju, w naszych warunkach, możnaby bezpiecznie poświęcić stale trochę miejsca na traktowanie kwestyj rolniczych i z rolnictwem związek mających, bez uszczerbku dla pisma i dla czytelnika, który znajdowałby wprawdzie mniej nieco pokarmu i podniety dla gapiowstwa politycznego, lecz zdobyłby za to niejedną wiadomość pożyteczną lub potrzebną. Żaden dziennik galicyjski nie ocenił należycie tak pięknego i chwalebnego przedsięwzięcia, jakim jest wydawana w Warszawie *Encyklopedia rolnicza*, opracowana gruntownie, starannie, nawet znakomicie, przez obywateli wiejskich. Dzieło bez przesady przynoszące zaszczyt literaturze, dające chlubne świadectwo inteligencji i pracowitości obywatelstwa polskiego nie dostąpiło honoru, jakiego dziennikarstwo nie zwykło odmawiać pierwszej lepszej ramocie drukowanej. Milezeniem również pominięto na czele wymienioną broszurę hr. Rozwadowskiego, z rzadką znajomością rzeczy napisaną i traktującą sprawę, która Galicyą bezpośrednio i żywo obchodzi.

Kiedy w r. 1869 stadniny rządowe austriackie przeszły pod zawiadywanie ministerstwa rolnictwa, autor doświadczony i inteligentny hodownik, jeden z najpierwszych znawców koni w kraju naszym, stanął na czele tego zarządu. W ciągu kilkoletniego urzędowania hr. Rozwadowski miał najlepszą sposobność zbadać przyjęty system pomocy rządowej i stan chowu w całej Austrii, i w swej broszurze przedstawia program reformy, której potrzebę konieczną rząd i hodujący zarówno oddawna uznali.

Jak długo stadniny rządowe zależały od ministerium wojny, cały system dążył do wyprodukowania w zakładach stadnych rządowych jak największej ilości ogierów, które następnie po całej Austrii na stacye rozdzielane i rozsyłane bywały. Naturalnie miano na oku szczególnie remonty, mniej troszcząc się przez długi czas o chów czystej krwi i pół krwi. Ze zmianą naczelnika zarządu zmieniał się zwykle i system chowu. Przecięciowo chów w stadach rządowych nie dawał zadawalniających z małemi wyjątkami rezultatów. Wybór reproduktorów rozsyłanych na stacye bywał rzadko stosowny, często nie odpowiadał wcale warunkom miejscowym, prócz tego zarząd nie zwracał uwagi na tryb przyjęty przez chodujących w krzyżowaniach i wychowaniu młodzieży.

Po przejęciu stadnin w zakres ministerstwa rolnictwa, wprowadzono do zarządu element bardzo ważny i zbawienny, krajowe komisye chowu koni i zwyczaj zwoływania od czasu do czasu znawców i hodowników z całej Austrii na ankiety ogólne, albo w pewnym oznaczonym celu. Był to pierwszy krok do przeprowadzenia rzeczywistej reformy, bo taki czynnik doradczy jest niezbędny do ułożenia wyrozumowanego, racjonalnego programu, który dotąd każe czekać na siebie, także dla dziewięćdziesięciu dziewięciu przyczyn, a najprzód dlatego, że brakło inicjatywy z góry, jedynie w razie danym skutecznej. Zarząd stadnin w biórokratycznym porządku zawisł od ministerstwa rolnictwa, bióra zaś z inicjatywą same występować nie zwykły, a minister, członek gabinetu parlamentarnego, nigdy nie wie dnia ani godziny, kiedy ministrem być przestanie i przedstawia zwykle jakąś cyfrę parlamentarną; może być nim czasem człowiek fachowy, ale może być także prawnik albo poeta. Zresztą rolnik fachowy nie zawsze ma zamiłowanie konia i znajomość przedmiotu. W ciągu trzechletniego urzędowania hr. Rozwadowskiego, siedm razy teka rolnictwa przechodziła z rąk do rąk, i między innemi spoczywała dość długo w rękach Dra Schaefflego. Ten z pewnością miał co innego do roboty, jak myśleć o poprawie rasy koni w Austrii. Inni ministrowie pozostawali zbyt krótko w urzędzie, aby rozpocząć i dokonać dzieła wymagającego czasu i pracy, albo też ważność i potrzebę reformy na polu im obcem zapoznawali. W najlepszym razie, nawet wtenczas, kiedy

u steru stoi człowiek z rzeczą obeznany, który rzeczywiście chce coś zrobić i wie, co i jak ma robić, nawet wtenczas los hodowli krajowej jest bardzo niepewny, gdyż zależy od jednej osoby, której zmiana zwykła pociągać za sobą zmianę całego kierunku. Żeby temu zapobiec, proponuje hr. Rozwadowski utworzenie z boku i pod prezydencją ministra, stałego komitetu złożonego z doświadczonych hodowców i specjalistów, oraz delegata Jockey-klubu, inspektora, stad rządowych i koniuszych krajowych, którego zadaniem będzie postawić zasady i oznaczyć kierunek hodowli, przeprowadzić systematyczną organizacją stad rządowych i we wszystkich ważnych kwestiach orzekać. Tym sposobem możnaby osiągnąć w najkrótszym czasie ujęcie kierunku hodowli w jednolity system uwzględniający miejscowe potrzeby rozmaitych prowincyj, niezależny od przewrotów parlamentarnych i zmian osób. Taki komitet byłby naturalnym i najlepszym pośrednikiem między rządem i hodującymi, oraz między parlamentem i ministrem, który na powagę komitetu mógłby się przy żądaniu kredytów powoływać. We Francyi *Rada stadnin*, w tym duchu za cesarstwa utworzona, wielkie oddała usługi.

Dalej proponuje autor podział wszystkich prowincyj na grupy z koniuszym krajowym (*Landesstallmeister*) na czele, któremu następne czynności powierzone będą:

1. przeprowadzenie spisów koni i podział na okręgi (*Zuchtgebiete*) podług miejscowych warunków chowu;
2. zaprowadzenie rejestrów obejmujących spis klaczy i młodzięzy otrzymanych i chowanych po za obrębem jednolitych stad, oraz reproduktorów rządowych i przez rząd subwencyonowanych lub licencyonowanych (*Landesregister*);
3. rozdział reproduktorów rządowych po stacyach, wynajmowanie takowych i oznaczenie taks;
4. doroczny rozdział nagród, subwencyi i licencyi;
5. ranżerowanie (*Brakirung*) ogierów rządowych;
6. zakupno ogierów krajowego chowu na reproduktorów (*Landesbeschäler*) przeznaczonych, wspólnie z komentem stacyi i z przybraniem dwóch biegłych.

Następnie radzi hr. Rozwadowski stada rządowe połączyć w jedno ciało pod zarządem jeneralnego inspektora, teo-

retycznie i praktycznie wykształconego, aby tym sposobem położyć koniec ustawicznemu błędzeniu bez celu i ciągłym eksperymentom bez skutku, jak to dotąd ma miejsce.

„Nie ma nic szkodliwszego — mówi autor — nad ciągłą zmianą ludzi stadami kierujących i za tem idące ciągłe zmiany systematu, przy czem dobre z mniej dobrem bywa razem usunięte, i w skutek czego niepodobna osądzić i wypróbować wartości przyjętej metody. Mniej szkodliwem jest konsekwentne utrzymanie wadliwej nawet pod pewnym względem metody chowu, niż ciągle przeskakiwanie od jednego systematu do drugiego.

„Wiadomo, że w hodowli koni trzeba czekać lata, aby się przekonać o rezultacie przedsięwziętych usiłowań. Zanim to nastąpi, przychodzi zmiana naczelnika stada; ustępujący najczęściej zapomina udzielić swemu następcy własnego planu; nowo przybyły zmienia metodę krzyżowania, nie czekając na rezultat pracy poprzednika, i tak powstaje w hodowli chaos, wśród którego o racjonalnym, systematycznym chowie mowy być nie może.

„Prowadzenie takich stad, jak Radowce i Piber, złożonych z importowanego materiału, wymaga nie tylko znawstwa, ale przede wszystkim na długim doświadczeniu opartej nauki zootechnicznej i agronomicznych wiadomości.

„Hodownik musi wiedzieć, w jaki sposób wychowuje się ten lub ów gatunek koni, i oprócz znawstwa i teorii powinien posiadać w tym względzie na długim doświadczeniu oparte wiadomości. Powinien umieć zastosować chów do klimatu i gruntu, powinien wiedzieć, jak klimat i grunt na chów oddziałują, winien być w stanie obrać stosowną paszę i zastosować odpowiednio intensywne i ekstensywne wychowanie; umieć przywrócić i utrzymać równowagę między masą i nerwami, wiedzieć, kiedy trzeba krew odświeżyć a kiedy przytłumić, bez uciekania się do krzyżowania z krwią nazbyt mieszaną. Obok tego potrzebne mu są wiadomości agronomiczne do przygotowania właściwych gatunków paszy, do poprawienia łąk i pastwisk. Nadto winien znać obce stada i zasady chowu w innych krajach przyjęte, oraz sposób zastosowania tychże, aby nie potrzebował ucie-

„kać się do eksperymentów w kwestyach dawno gdzieindziej „rozstrzygniętych i tylko dla niego jeszcze wątpliwych.“

Przytoczony ustęp wybornie streszcza zakres wiadomości niezbędnych dla każdego hodownika na większą skalę, tem bardziej zaś dla ludzi, którym powierzone jest prowadzenie stadnin rządowych i kierunek hodowli krajowej. Zakres ten jest obszerny, trudny do nabycia w kraju, gdzie jak w Austrii nie ma ani jednego speeyalnego zakładu naukowego, którego szanowny autor słusznie się domaga. We Francyi *Szkoła stadnin* (L'Ecole des Haras) i szkoły fachowe przy głównych stacyach urządzone, oddały znakomite usługi. Z nich administracya czerpie wykształconych i zdolnych urzędników, którzy następnie najzbawienniejszy wpływ na hodowlę krajową wywierają. Naukowe traktowanie przedmiotu sprawiło wysokie wydoskonalenie teoryi i wyjątkowe bogactwo literatury hipicznej, będącej obfitem źródłem wiadomości dla wszystkich otwartem i przystępnem.

W końcu proponuje hr. Rozwadowski rozdział pomocy rządowej dla chowu czystej krwi niesionej w ten sposób, aby rząd zajmował się zakupnem reproduktorów w kraju i zagranicą, subwencya zaś dla wyścigów przeznaczona, oddaną była pod pewnemi warunkami do rozporządzenia Jockey-klubu, którego specjalnością są wyścigi.

Organizacya przez autora skreślona jest nader prosta i praktyczna. U góry komitet fachowy, opatrzony prawem inicjatywy, ponoszący moralną odpowiedzialność, wyznacza kierunek pomocy rządowej i działania na hodowlę krajową. Pod nim jeneralny inspektor stad rządowych prowadzi chów w zakładach rządowych; koniuszowie krajowi czuwają nad potrzebami prowincyj i zastosowują ogólne zasady podług warunków miejscowych. Wreszcie Jockey-klub reguluje za pomocą wyścigów chów czystej krwi.

Wielkie państwa kontynentalne, Austrya, Rosya, Niemcy, po części Francya, trzymają się jednego i tego samego systematu pomocy rządowej. Rząd utrzymuje stada, produkuje i zakupuje w kraju i zagranicą ogiery na użytek prywatnej hodowli, udziela premij i nagród.

We Francyi za drugiego cesarstwa zniesiono stada rządowe, co wiele krzyku w swoim czasie sprawiło, w rezultacie jednak nader korzystnem się okazało. Odkąd rząd przestał sam produkować, kupuje ogiery lepsze bez porównania taniej i jest w stanie większe sumy obracać na zakup kosztownych reproduktorów pierwszej klasy, dla przemysłu prywatnej nader cennych. Gdzieindziej, mianowicie w Austrii zniesienie stad rządowych obecnie jest niemożliwem, gdyż hodowla prywatna nie potrafi zastąpić produkcji rządowej. Ostatecznym celem jednak nie może być co innego, jak zupełne zniesienie stad rządowych, lub przynajmniej zredukowanie do *minimum* rządowej produkcji, przez rozwinięcie hodowli krajowej.

W kraju tak różnorodnym pod względem gruntu, kultury i chowu, jak Austria, nader trudno zadość uczynić wszystkim potrzebom i dostarczyć hodowli krajowej dostateczną ilość odpowiednich reproduktorów. Skutkiem częstych zmian systematu, częścią wskutek chęci dogodzenia najrozmaitszym wymaganiom, utworzono w zakładach rządowych nieskończoną mnogość typów odmiennych, oraz sprowadzano niemal ze wszystkich krajów świata okazy najrozmaitszych ras i gatunków. Są konie czystej krwi angielskiej, konie półkrwi najrozmaitszego pochodzenia, anglonormandzkie, meklemburskie, hanowerskie, duńskie, dalej norfolki, suffolki, pinzgauery, araby oryginalne i krajowe, wreszcie konie tak zwane wschodnie, mieszane pochodzące z niezliczonych krzyżowań mało znanych, w których przeważa typ i krew orientalna. Pośród takiej mozaiki hodujący wybiera zwykle podług mody lub własnego upodobania, bez racjonalnej przyczyny, nie wiedząc najczęściej, dla czego i po co.

Co do ogierów czystej krwi angielskiej, wiadomo, że służą do podwójnego celu: do chowu koni wyścigowych, oraz do produkcji zwierząt użytkowych i krzyżowania. Powstały ztąd dwie kategorie reproduktorów: do pierwszej należą indywidua pochodzące z kilku familij na torze wyścigowym wslawionych, u których pochodzenie i szybkość główną gra rolę; do drugiej indywidua z mniej świetnym rodowodem, na turfie nieznane lub trzymające podrzędne miejsce. Pierwsze są rzadkie i drogie; dążenie do szybkości każe

zwracać mniej uwagi na wytrwałość, regularną budowę i przy-
mioty w koniu użytkowym potrzebne. Z tych powodów import
stał się nader trudnym, nadto zaś egzemplarze tego gatunku,
jeżeli się okazały do chowu wyścigowego niezdatne, bardzo często
w krzyżowaniu dają najgorszy rezultat. Przeciwnicy czystej
krwi angielskiej czerpią w tem najgłówniejsze przeciw niej
argumenta, choć winy gdzieindziej szukać trzeba. W począt-
kach, kiedy na kontynencie zaczęto chować konie wyścigowe,
importowano z pośpiechem, bez dostatecznych środków ma-
teryalnych, mając na oku więcej ilość niż jakość, jednym sło-
wem sprowadzano zbyt wiele towaru zbrakowanego w Anglii.
Nie więc dziwnego, że skutek nie odpowiedział oczekiwaniom.
Dotąd jeszcze przychodzą na kontynent z Anglii reproduktory
indywidualnie wadliwe, ale należące do pewnych wielkich
i rzadkich familij, których krew jest na turfie poszukiwana,
lub do innych familij potrzebną. Niedawno np. Prusacy za-
płacili sześć tysięcy gwinei za brata *Blair Athol*, nazwiskiem
Breadalbane, bo ma w rodowodzie największe nazwiska: *Stock-*
well, *Melbourne*, *Gladiator*, *Plenipotentiary*, *Whalebone*, *Brea-*
dalbane reprodukuje się na turfie lepiej, niż się spodziewać
było wolno, lecz że koni użytkowych wydać nie zdolny, to
pewna; co znowu nie przeszkadza, żeby jego wnuki i praw-
wnuki, poprawione doborem silnych matek, nie miały odda-
wać wybornych usług. — Chów wyścigowy ma odrębne
warunki, do których trzeba się stosować; import ogierów wy-
ścigowych jest nieodbitcie potrzebny, ale z nim winien iść
w parze import reproduktorów drugiej kategorii, odznaczają-
cych się przedewszystkiem silną i regularną budową, masą
ciała, zdrowiem i pięknnością akcyi. Takie ogiery znajdują
się dość łatwo w Anglii, mianowicie w Irlandyi, są stosun-
kowo tanie i nie rzadko płodzą wyścigowców pierwszej kla-
sy. Prócz tego chów czystej krwi w Austrii może dostarczyć
wybornych reproduktorów tej kategorii, bardzo stosownych
dla klaczy krajowych.

Ogiery, pod mianem koni półkrwi z Anglii importowane,
są z bardzo małym wyjątkiem czystej krwi. Noszą miano
półkrwi dlatego, że nie figurują w *Stud-Book'u*, albo w skut-
ku jakiejs plamy w rodowodzie, albo też w skutek przypad-
kowego czy umyślnego opuszczenia jednego z przodków w re-

jestrze ¹⁾. Właściwie należą one do ogierów czystej krwi drugiej kategorii. Jeżeli są rzeczywiście półkrwi, wartość ich zawisała od krzyżowania, z jakiego powstały; w Anglii zdarzają się już tylko przypadkowo i na kontynencie nie są obfite. Jeśli pochodzą z rodziców w ciągu kilku pokoleń stosownie dobieranych, bez przymieszania krwi pospolitej, jeśli krew i masa jest w nich w równowadze, reprodukuja się w pewnych warunkach wybornie i wraz z krwią czystą stanowią podstawę racjonalnego chowu.

Meklemburgi i hanowery powstały z krzyżowania rasy miejscowej, przeważnie limfatycznej, z czystą krwią angielską. Jako konie użytkowe są poszukiwane na targu dla wzrostu, form okazałych, spokojnego temperamentu i stosunkowo niskiej ceny. Jako reproduktory są absolutnie bez żadnej wartości, a nawet szkodliwe, tkwi w nich bowiem pierwiastek destrukcyjny, limfa tak głęboko zakorzeniona, że jej ani krew ani intensywne wychowanie nie wyruguje. Limfa nie znaczy bynajmniej masy, zatrzuwa organizm, usposabia do chorób oczu, płuc, skóry, niszczy szybkość i wytrzymałość.

Anglonormandy, bez porównania wyżej stojące od poprzednich pod względem krwi i przymiotów indywidualnych, w rzędzie reproduktorów do krzyżowania przeznaczonych, trzymają nieoznaczone i zagadkowe miejsce. Od niejakiego czasu weszły w modę we Francyi i Austrii; hr. Rozwadowski założył w Piber całe stado anglonormandzkie. Przyszłość okaże, czy się tam przyjmie, lecz wynik krzyżowania z innymi gatunkami koni będzie zawsze niepewny i wątpliwy. Najprzód ród ten powstał i utrzymuje się w wyjątkowych

¹⁾ Dawniej szczególnie właściciele stad często umyślnie kłacze czystej krwi nie zapisywali w *Stud-Book'u*, aby dla ich potomstwa zyskać zmniejszenie wagi w wyścigach. Najślawniejsze konie w wyścigach z przeszkodami są oznaczone literami *h. b.* (*half-bred*), z tego powodu lub dla małej plamki w rodowodzie, jak np. *The Colonel* ur. 1863 po *Knight of Kars* od *Boadicea*, po *Faugh a Ballagh* od *Boadicea*, po *Baronet* od *Princess of Wales* od *Modesty*, po *Pill-Garlic*; *Modesty* ur. 1827 półkrwi po *Sancho*, prawie napewno mająca matematycznie więcej niż $\frac{1}{2}$ krwi.

warunkach klimatu i gruntu. Powtórę przyjmując najelastyczniejszą definicyą rasy, nie znajdziemy w anglonormandach kardynalnego warunku — ustalenia. Pierwsze usiłowania poprawy rasy miejscowej w Normandyi datują od Ludwika XVI. Sprowadzono wtenczas z Anglii 24 ogierów półkwi rozmaitej wartości i pochodzenia. Wkrótce potem rewolucya zniosła stada rządowe, chów koni upadł zupełnie w Normandyi jak i w całej Francyi. Po przywróceniu systemu pomocy rządowej za pierwszego cesarstwa, zwrócono się ku krwi oryentalnej i w tej epoce powstały niektóre familie dotąd przechowane, lecz ogół chowu utrzymywał się na bardzo niskiej stopie. Około roku 1830 koń normandzki odznaczał się rzadkim doborem wad budowy i zdrowia: były to konie brzydkie, limfatyczne, rozwlekłe, na słabych nogach, garbonosy ze ściętym zadem, często łykawe (roarer) i dychawiczne. Za Ludwika Filipa dopiero zaczęto systematycznie dolewać czystą krew angielską, która przy obfitem żywieniu i starannem wychowaniu szybko i skutecznie konie normandzkie poprawiła. Ówczesna administracya stadnin, złożona z ludzi znakomicie wykształconych, szczególną opieką otaczała Normandya, dążyła jednak w ogóle do celu zbyt trudnego do osiągnięcia, jeżeli nie z gruntu fałszywego, czysto teoretycznego. Zamiast naśladować Anglików, starać się o produkeyą indywiduów do pewnego, oznaczonego użytku zdolnych, starała się stworzyć nowe, odrębne rasy. Byłto doktrynaryzm swego rodzaju, w teoryi usprawiedliwiony, w praktyce nieszczęśliwy. Obok rasy czystej krwi anglo-arabskiej, miała powstać rasa anglo-normandzka, obie mające niezawodnie udoskonalić wszystkie konie francuzkie i cudów dokazać. Około ćwierć wieku trwały te eksperymenta w stadninach rządowych w *Pompadour* i *Pin*, od czasu do czasu dawały indywidua bez wątpienia znakomite, lecz ostatecznie spełzły na niczem, rezultat nie odpowiedział ani oczekiwaniom, ani kosztom wyłożonym. Chów krajowy w Normandyi odniósł jednak ogromne korzyści, koń anglo-normandzki zbliżył się do typu dzisiejszego, wielkiego karosyera, nadzwyczajnej piękności i wdzięku. Do dziś dnia przecież nie wystarcza sam sobie, nie może się rozplądzać bez pomocy obcej krwi angielskiej i krwi obfitującej w masę. Zostawiony sam sobie wyradza się, staje się pospolitszym,

traci harmonią budowy i piękność pojedynczych części ciała. W ciągłym krzyżowaniu z krwią czystą robi się zanadto wysmukły, lekki i drażliwy. Aby go utrzymać w równowadze, trzeba obcego pierwiastku, przynoszącego siłę i masę. W praktyce okazały się pod tym względem najskuteczniejsze z Anglii importowane tak znane *Roadsters*, czyli właściwie *Trotting-Stallions*, powszechniej znane pod mianem norfolków. Obecnie więc mniej niż kiedykolwiek anglonormandy mogą rościć prawo do tytułu rasy zdolnej inne poprawić. W Austrii kwalifikują się *ex re* wzrostu, budowy i kształtów, tylko do małej liczby matek, i już w drugim najczęściej pokoleniu przyjdzie wrócić się do czystej krwi albo do norfolków. Z matkami tej kategorii ogiery czystej krwi angielskiej silnie zbudowane, lub dobre ogiery półkrwi tego samego typu co anglo-normandy, reprodukują się daleko pewniej; gdyby zaś zaszła potrzeba zrównoważenia krwi i masy, jest ku temu gotowy środek w użyciu norfolków. Z tych wszystkich przyczyn uważamy import anglo-normandów za czysty zbytek, radziłyśmy tylko widzieć upowszechnioną u nas metodę chowu w Normandyi przyjętą.

Tak zwane norfolki są fabrykatem czysto angielskim drobnego chowu w hrabstwach York i Norfolk. Pierwotne ich pochodzenie niewiadome, obecnie rozradzają się według niezawodnej metody, długą praktyką wskazanej. W rodowodach obok małej dozy krwi czystej, napotykać się rozmaite krzyżowania. Produkt jest zawsze ten sam, średniego wzrostu, nieprzechodzący 1m. 57, silnie zbudowany, zwięzły, grubokościasty, masywny, na krótkich nogach, swobodnych ruchów, spokojnego temperamentu, ochoczy do pracy, łatwy w użyciu, nieprzebierający w paszy, równie zdatny pod siodło i do zaprzęgu. Jako reproduktor przelewa wszystkie swoje własności na potomstwo. Jestto ideał konia użytkowego, ztąd w ojczyźnie nosi nazwisko *Roadster*, konia do drogi, i jest bardzo poszukiwanym. Na targu angielskim para takich koni, obdarzonych wielką akcją, dochodzi do bardzo wysokiej ceny. Odkąd zaczęto norfolki sprowadzać na ląd stały na reproduktorów, cena ogierów poszła w górę niezmiernie. W Anglii są używane do krzyżowania, zaledwie wyjątkowo do produkcji koni wierzchowych pod ciężką wagę.

Przychodzimy do najliczniejszej i najdrażliwszej kategorii ogierów rządowych austriackich, do Arabów i koni wschodniego typu. — Importowane Arabby i Arabby krajowego pochodzenia mają wszystkie te same cechy i wady, obfitość krwi, mniej więcej piękną figurę, rodowód nieznany lub wątpliwy, mały wzrost, lekką często słabą budowę, długie i cienkie nogi, wąską, pierś, krzyż rozwlekły, temperament nerwowy. Przyprawdzone ze Wschodu, są najczęściej nieznanego rodu. — Cała nasza wiedza hipologii wschodniej opiera się po największej części na podaniach podróżników, którym brakowało wiadomości fachowych, na legendach i bajkach przez ludzi dobrej woli lub zgoła mistyfikatorów w dobrej wierze albo z umysłu rozsiewanych. Że w Arabii są konie przedoskonałe, to nie ulega wątpliwości, ale takich koni jest niewiele i takie konie w ręce europejskie przypadkiem się dostają. Po dobre konie trzeba się zapuszczać w głąb pustyni, pomiędzy plemiona koczujące, znać język i obyczaj ludzi, spędzić lata całe na miejscu. Arabowie prowadzą wprawdzie rodowody swoich koni, lecz nie dla Europejczyków, tylko do własnego użytku. Przy sprzedaży i szeik, i właściciel i całe pokolenie stanie jak jeden człowiek, żeby kupca oszukać. Na targach wschodnich spotyka się stek koni wszelkiego pochodzenia, w których wybierać trzeba okiem, sądząc po zewnętrznych kształtach, powabnych, lecz wewnętrznej wartości i władzy reprodukcyjnej zwierzęcia miary niedających. Najkosztowniejsze ekspedycje rządowe i prywatne najczęściej pelzły na niczem dla tych powodów. Nadto wyrobiło się w Europie od dawnego czasu amatorstwo konia arabskiego czysto imaginacyjne; stworzono sobie typ idealny, mający nieodmiennie iść w parze z czystością krwi, szukano w koniu arabskim tylko plastycznej piękności i nic więcej. Kupcy z profesji trudniący się importem ze Wschodu, starali się zadowolnić gust klientów i tą drogą przysła do Europy mnogość wyrzutków zachwycających oko rysunkiem i gracyą. Monarchowie wschodni, mianowicie paszowie egipscy, zarzucają dwory podarunkami dobieranemi podług tejże normy, które potem do stad wędrują i ruinują chów krajowy. Są to zwykle mieszance koni egipskich i tureckich z arabskimi wychowane w próżniactwie. Zwierzęta pierwszej klasy do Europy szcze-

śliwym zbiegiem okoliczności wprowadzone, zniknęły wśród potopu miernych i złych, których potomstwo stanowi ogromną większość koni arabskich na stałym lądzie wyprodukowanych w warunkach klimatu, paszy i chowu, ojezystym wprost przeciwnych. Na stworzenie i wydoskonalenie krwi arabskiej złożyły się rozliczne warunki, klimat gorący i suchy, pożywienie skoncentrowane, praca wczesna i twarda. Dwóch pierwszych produkt arabski w naszej strefie nawet w przybliżeniu nie znajdzie, sztuką nie potrafimy mu dać nic podobnego; wykluczony z wyścigów, wzrasta w absolutnej nieczynności, karłowacieje i wyradza się.

Jestto bardzo delikatna materya, przesąd bowiem wko-rzeniony otoczył araby legendową aureolą, której dotąd nao-czne i dotykalne przeświadczenie rozwiąż nie zdołało zupeł-nie. U nas mianowicie panuje wiara w araby w polskich sta-dach wychowane, wiara będąca po prostu zarozumiałością. Odkąd żołnierskie rzemiosło porzuciliśmy, koń stał się przed-miotem zbytowym, rzeczą czystej fantazyi i dyletanckiego upodobania, zaczęło poszło fałszywe znawstwo, oceniające ko-nia z powierzchowności, podług form konwencyonalnych, za potrzebne, bo piękne, przyjętych. Koń na pokaz i na nie wię-cej przeznaczony rzeczywiście nie potrzebuje ani siły, ani wytrzymałości, ani chodów; wystarczy mu piękna głowa, cienka noga, ogon wspaniale odsadzony, maść powabna, włos deli-katny; jeżeli jeszcze wychodzi na dwóch nogach ze stajni, którą jak najrzadziej opuszcza, to wzbudza admiracją bez granic, bo ma *krewność i ogień*. To jest u nas po największej części alfa i omega całego znawstwa. Szukano więc arabsów mających owe oznaki wysokiej krwi, które gnily i gniją wraz z potomstwem w stajniach, rozpowszechniając wszystkie wady najgorsze. — Wyjątkowo niektóre wielkie stada u-miały utrzymać chów konia arabskiego na pewnej wyso-kości; — większość jest bezwarunkowo zdegenerowana ¹⁾.

¹⁾ Znany hipolog francuzki E. Gayot, niegdyś dyrektor admi-nistracyi stad, którego trudno pomówić o anglomaniją, tak się wyraża o chowie orientalnym w Austrii:

„Très-bigarrée, toute la population chevaline de l’Au-triche et de la Hongrie est restée plus ou moins orientale

Nawet najlepsze, ale wychowane bez pracy, są zbyt małego wzrostu, mają wąskie piersi i zady, prostopadłe łopatki, rozwlekłe lędźwie, przedramię krótkie, kości cienkie i okrągłe, słabe pęciny, kopyta małe i wąskie, drażliwy temperament, chody krótkie i drepczące. Do zaprzęgu zupełnie niezdadne, pod wierzchem niezdolne, ale któż konno jeździ?

„pour la forme et pour le fond, c'est-à-dire fort arriérée
 „relativement aux aptitudes larges et développées, qui sont
 „une nécessité chez les peuples dont la civilisation a mar-
 „ché sur tous les points, où de nouveaux besoins sont sor-
 „tis d'un ordre nouveau.

„Et d'abord la race arabe n'a pas été maintenue entière.
 „Là où elle n'a point été mêlée, on a pris au cune mesure
 „pour en constater la valeur, toujours la même; on n'a
 „rien su des qualités des produits, tous ont concouru à la
 „multiplication de la famille sans que les règles d'une sé-
 „lection éclairée aient jamais présidé à la conservation du
 „pur sang. Seule l'hérédité naturelle a fait les frais de
 „la procédure; ce n'était point assez pour conquérir le pur
 „sang. Aussi les familles arabes naturalisées autrichiennes
 „ne sont-elles plus dans leur descendance à la hauteur de
 „celles dont elles sont néanmoins la continuation directe. Nous
 „exprimerons une pensée juste, du moins nous le croyons
 „en le comparant à du vin eventé. La liqueur est restée
 „sans mélange, mais elle a perdu son parfum, ce quelque-
 „chose qui en faisait la force, qui en constituait le prix,
 „qu'un défaut de soin a laissé échapper sans retour. Une
 „éducation plus traditionnelle que raisonnée a fait tomber
 „les produits de ces familles chevalines au dessous du type
 „de la race pure; il n'y a plus en eux ce je ne sais quoi
 „que l'on nomme *sang* et qui est le principe générateur
 „des grandes qualités inhérentes à l'espèce. Au vin sans
 „fumet nous opposons la vie sans chaleur. L'Arabe natu-
 „ralisé de l'Autriche est *un animal éteint, qui ne peut*
 „rien pour l'amélioration des races inférieures, et qui
 „même n'a plus aucun titre pour soutenir sa propre race.
 „Il eût conservé son caractère, son cachet, sa valeur, son
 „autorité héréditaire, si pour le reproduire, on avait judi-
 „cieusement adopté les méthodes usitées en Arabie et en
 „Angleterre, si, laissant le moins possible au hasard, on
 „avait éclairé avec soins toutes les obscurités qui entourent
 „la reproduction et l'élève.“

La Connaissance générale du cheval p. 439.

kwalifikują się tylko do jednej rzeczy — do cyrku. W krzyżowaniu mają jedyną zaletę, że potomstwo ich mało je, i dla tego są bardzo popularne, choć dają produkt nikły i źle płatony. Arabomany sławią inteligencją i dobroć konia wschodniego, który pod tym względem ma stać nieskończenie wyżej od anglika. Jeżeli chodzi o łamane sztuki cyrkowe, to kwestya nie jest rozstrzygniętą, gdyż nikomu dotąd nie przyszło na myśl uczyć konia angielskiego tańczyć walca albo aportować srebrnego talara z kubła wody; jeżeli zaś idzie o włożenie do pracy, to drugi w niczem nie ustąpi pierwszemu; zresztą jestto nie przymiot rasy, lecz rzecz wychowania i dlatego w Anglii najmniejszy i coraz mniejszy jest procent koni narownych i znarowionych, o czem łatwo się przekonać u handlarzy koni w wielkich miastach. Donioślejszym byłby zarzut, że konie wschodnie wolne są od narości kostnych, często trafiających się u koni angielskich, gdyby ten zarzut miał rzeczywistą podstawę. Prawda, mało który koń angielski wyścigowy lub myśliwski nie miał na nogach wizykatoryj lub rozpalonego żelaza, lecz w pustyni również mało który koń nie przechodzi przez operacyą palenia. Naszym arabom ani *blisteru* ani ognia nie potrzeba, dla tej prostej przyczyny, że całe życie nie nie robią, naroście kostne zaś nie są przywilejem rasy, lecz skutkiem pracy szybkiej i twardej. Próżnując zaledwie ostatni — przepraszam za wyrażenie — gałgan dostanie kółków kościanych lub coś podobnego na nogach, i dlatego u nas każdy koneser patrzy naprzód na *czyste nogi* u konia i najlżejszego śladu ostrej maści jak djabła się boi.

Ogiery typu wschodniego, rządowe i prywatne są mieszańcami wyprodukowanymi na oślep, fantastycznej budowy i fantastycznych kształtów; wraz z czystą krwią oryentalną posiadają szczególną siłę przelewania na potomstwo niedostatków i wad budowy.

Najgorliwsi zwolennicy arabszczyzny i konia wschodniego nie przeczą, że nieodpowiada on wymaganiom nowoczesnym pod względem wzrostu i masy ciała. Nie z innego powodu też został wykluczony z chowu racjonalnego i utrzymuje się zaledwie wyjątkowo, bardziej przez przywiązanie do teoretycznej doktryny, niż dla rzeczywistej użyteczności. Teorya

zalecając konia arabskiego jako prototyp czystej krwi w ogólności, ma słuszość bezwzględna, lecz praktyka przeciwnie orzeka. We Francyi ludzie najznakomitsi nauką, jak cytowany przez hr. Rozwadowskiego jeneralny inspektor stadnin p. Perrot de Tannenberg, pisarze jak Houël, Gayot i t. d. bronili i bronią z rzadkim talentem i wytrwałością zasady powrotu do źródła, z którego czysta krew przyszła do Europy, lecz cała ich argumentacya opiera się na oderwanej teorii, na poparcie której nie znajdują dostatecznych faktów, chociaż ich teorye były właśnie stosowane w stadach rządowych francuskich do r. 1852. Wątpliwe powodzenie eksperymentów z wielką konsekwencyą w Pin, Rosière i Pompadour przez ćwierć wieku prawie robionych, nie otworzyło tym panom ocz, że się za mrzonką ubiegali. Hr. Rozwadowski, który sądził potrzebnem użycie ogierów arabskich w stadzie anglo-normandzkim w Piber, cytuje sprawozdanie z premiowania klaczy w Normandyi w r. 1873, w którym jako dowód wyższości krzyżowania z krwią arabską przytoczone są cyfry następne: na 89 klaczy premiowanych w Pin, Alençon i Mesles-sur-Sarthe, 49 klaczy pochodziło w prostej linii po ogierze arabskim nazwiskiem *Massoud* ¹⁾, 6 po *Baszy* ²⁾, 1 od klaczy oryentalnej po *Barsly*. Owe potomstwo Massouda miało jednak w rodowodzie ojców pochodzących od ogiera *Eylau* ur. w 1835 po *Napoleonie* od *Delfiny*, córki Massouda z kla-

¹⁾ *Massoud* ur. 1815 sprowadzony do Francyi 1821 przez p. de Portes, stanowił w stadzie Du Pin do r. 1834, później w Tarbes i Pompadour, zdechł w 1843. Ze wszystkich koni arabskich sprowadzonych do Francyi od początku naszego wieku zostawił najlepszą reputacyą; był małego wzrostu, ale bardzo silnej budowy; reprodukował się równie dobrze w Normandyi i na Południu, z czystą krwią i w krzyżowaniu.

²⁾ *Bacha* ze stajni Napoleona I nieznanego pochodzenia, uważany był za konia tureckiego. Stanowił w Pin od 1811 do 1819. Od niego datują pierwsze krzyżowania racjonalne w Normandyi. Nie zostawił potomstwa czystej krwi.

czy czystej krwi angielskiej. *Napoleon* był rodowity anglik, ur. w 1824 w Irlandyi u p. *Blake* po *Bob-Booty* i *Pope-Mare* po *Waxy-Pope*. Właściwie więc największa liczba premij rozeszła się między klacze pochodzące od ogiera *Eylau*, mającego w sobie więcej krwi angielskiej niż arabskiej, od bardzo dobrego konia wyścigowego, którego ojciec *Napoleon* zaczął biegać w Anglii jako dwulatek i biegał aż do skończonego dziewiątego roku życia¹⁾. Zdania mogą być podzielone co do tego, czy *Massoud* czy *Eylau*, czy arab czy anglik był autorem dobrych przymiotów w klaczach nagrodzonych, lecz w żadnym razie proporecy premij rozdzielonych między bezpośrednie potomstwo ojca, w którym krew angielska przeważała, nie może służyć za oczywisty i niezbity dowód „*qu'il n'y avait que les croisements Arabes pour faire de bons chevaux*.” Wychodząc z tych samych danych, można z równą słusnością powiedzieć *que pour faire de bons chevaux, il n'y a que les croisements Anglais*, gdyż na 89 klaczy premiiowanych, tylko 7 było pochodzenia arabskiego. I tak wszędzie, gdzie tylko fakta obok teorii staną, wyższość krwi angielskiej nad orientalną niezawodnie się okaże.

W niedalekiej przyszłości sama siła rzeczy wyruguje krew orientalną z chowu europejskiego. Faktem jest, iż koń arabski w ojczyźnie staje się coraz rzadszym i gorszym, wskutek długoletniego exportu i zubożenia pokoleń arabskich. Na stałe odświeżanie krwi przez wyborowych reproduktorów pochodzących z pustyni, liczyć już nie można; arab zaś wychowany w Europie, bez częstego powrotu do źródła, wyradza się zarówno pod wpływem klimatu jego naturze przeciwnego i nieczynności, na jaką jest skazany. Pracę w pustyni przez Arabów na młodzież nakładaną, w Europie zastąpić może tylko *training* wyścigowy, lecz w wyścigach koń arabski najlepszy nie ma najmniejszej szansy przeciwko angielskiemu nawet drugorzędnemu. Dla zrównania szans trzeba

¹⁾ *Napoleon* wygrał w 2 latach dwie nagrody, w 3 ośm, w 4 dziewięć, w 6 pięć, w 7 jedną i w 9 jedną; razem 30 nagród, bijąc bardzo dobre konie. Sprowadzony do Francyi w 1834, zdechł w 1858 w 29 roku życia; zostawił 129 źrebiąt czystej krwi.

przyznać koniom arabskim zmniejszenie wagi tak znaczne, że wyścig przestanie być próbą rzeczywistą dla konia arabskiego, czyli, co na jedno wychodzi, zwichnąć całą instytucją wyścigów i zruinować chów czystej krwi angielskiej. Jedyne jeszcze lekarstwo przeciwko zupełnemu skarłowaceniu europejskich arabów upatrywalibyśmy w ustanowieniu osobnych wyścigów przeznaczonych li tylko dla koni arabskich, z wykluczeniem koni innego pochodzenia, lecz ani rządy, ani ludzie prywatni nie zechcą wyrzucać pieniędzy, i to grubych pieniędzy, na experimenta z wielu względów bardziej niż wątpliwego powodzenia. W istniejących warunkach arab europejski będzie się coraz więcej oddalał od pierwotnego typu, nie zyskując żadnych przymiotów ów ubytek wynagradzających, i będzie coraz gorzej reprodukował się w krzyżowaniu, t. j. w swej jedynej specyalności. Koń angielski czystej krwi, kwalifikuje się wybornie do wielu usług, czego dowodem wielka ilość takich koni używanych do polowania lub zaprzęgu, podczas gdy arab co najwięcej przydatny na lekkiego konia wierzchowego, bardzo ograniczonego użytku. Głównem jego powołaniem, służyć do rozplodu w wyjątkowych miejscowościach, wskazanych klimatem, gruntem i jakością koni tam wzrosłych, zbyt przesiąkniętych krwią oryentalną i zdrobniałych, aby zniosły bezpośrednio inną krew, obfitą w materią plastyczną.

Jak źle krew oryentalna spełnia tę funkcję, mamy najlepszy przykład na Austrii, gdzie ona właśnie jest używaną do produkcji konia kawaleryjskiego, którego niższości i niedostatków zbyteczna dowodzić. Francuska szkoła arabomanów ustawicznie powtarza: *le pur sang anglais a tué notre cheval de guerre*; w Austrii podobnego zarzutu nikt koniowi angielskiemu nie zdoła uczynić. Nie anglik to lecz arab dał mały wzrost, zniszczył kości i mięśnie u konia kawaleryjskiego, najprzód indywidualnym wpływem, na podobieństwo rdzy zjadającym materią plastyczną, a następnie tem, że ułatwia fałszywą metodę wychowania młodzieży, polegającą na głodzeniu źrebiąt, w czem hodujący czysty zysk upatrują. Jest to błędne koło, z którego wyjść należy co prędzej w interesie produkcji i armii. W tym celu byłoby pożądanem najprzód usunięcie z pomiędzy reproduktorów rządowych

wschodniego typu wszystkich indywiduów wątpliwego pochodzenia i wątpliwej władzy rozplodowej, i następnie oglądnięcie się za nowym typem reproduktora konia wojskowego. Taki typ stworzyłoby można najłatwiej i najprędzej, mniemam, krzyżując nasze araby z norfolkami, których siły i masy rdza wschodnia nie zdoła podkopać przez ciąg kilku pokoleń. Z rozmaitych kombinacyj obu krwi powinny powstać indywidua zdolne płodzić z odpowiedniami matkami krajowemi konia wierzchowego lekkiego, kawaleryjskiego i artyleryjskiego ¹⁾, oraz ogiery najstosowniejsze dla klaczy galicyjskich średniej miary, w prywatnem posiadaniu i w drobnym chowie najliczniej rozsianych, dotąd wydanych na pastwę wschodniej szarańczy. Klacze tej kategorii mają prędzej za wiele niż za mało krwi, lecz są szczupłej budowy i cienkich kości, stanowią jednak wyborny materiał do chowu lekkich. Domorośle ogiery wschodnie do nich używane, często jeszcze cieńsze i niklejsze, zaostrzają w potomstwie obustronne wady rodziców, w skutek czego gatunek koni stopniowo coraz bardziej nikczemniejsze i chów staje się coraz mniej korzystnym, produkuje bowiem w najlepszym razie konie zdadne do najlepszego zaprzęgu i remonty taniej ceny. Jedne i drugie są kwiatem chowu, większość wychodzi na nędzne bronowłoki, nieopłacające ani w połowie kosztów wychowania. Przez filtr orientalny można wlać bezpiecznie w ten gatunek koni czynnik obfity w masę, wszędzie uznany za

¹⁾ Do tego mniemania upoważniają doświadczenia zrobione w Anglii w chowie tak zwanych *ponies*. W ogóle *pony* oznacza konia wzrostu nie przechodzącego 1^m.52 (14 *hands* 2 *inches* miary ang.), lecz najbardziej poszukiwane i płacone są właśnie najwyższej miary, obok pięknej powierzchowności i pięknych ruchów, oraz silnej budowy. Mr. Milward, w hrabstwie Nottingham, trudniący się specjalnie chowem kuców, krzyżuje klacze z gatunku ponysów, pochodzące po największej części po arabie *Borack*, z norfolkami, dolewając od czasu do czasu czystej krwi angielskiej. Jego produkta dochodzą ceny 160 gwinei i wyżej. — W stadach rządowych austriackich, n. p. w Radowcach, bardzo łatwo da się zaprowadzić systematyczne krzyżowanie matek wschodniego typu z norfolkami i następne uszlachetnianie potomstwa powrotem do arabów.

skuteczny i niezawodny, i podnieść tym sposobem wzrost i siłę budowy, bez naruszenia równowagi i przymiotów koniowi galicyjskiemu właściwych.

Tym samym trybem otrzymane ogiery najniższej miary kwalifikują się w końcu na reproduktorów dla chłopskich klaczy w Galicyi.

Nowy typ reproduktora konia wojskowego, usuwając mnogość wschodnich mieszańców, tę funkcją najgorzej spełniających, przyczyni się tem samem do ujednostajnienia typu ogierów prowincjonalnych. Rozmaitość pod tym względem nie stanowi bynajmniej bogactwa, owszem dowodzi braku stałego systemu w chowie i braku pewnych rezultatów, jest wypływem chaosu i chaos dalej rozszerza, nadto utrudnia, często uniemożliwia chów racjonalny.

Chów praktyczny i racjonalny dąży do produkeyi pewnej ograniczonej liczby odmian konia użytkowego, w handlu poszukiwanych, jak najprostszemi środkami; obojętnem dlań jest teoretyczne pojęcie rasy, szuka w koniu przede wszystkim zdolności do usług i budowy odpowiedniej rodzejowi służby. Cywilizacya niwelując coraz bardziej potrzeby człowieka, zredukowała do nader szczupłej cyfry odmiany konia użytkowego. Wogóle biorąc, nowoczesny typ konia użytkowego jest zawsze jeden i ten sam, cała różnica polega we wzroście i objętości ciała. Wyjątek stanowią kolosy, przeznaczone do dźwigania ciężarów lub do paradnych zaprzęgów dworskich, i liliputy, noszące dzieci albo ciągnące miniaturowe powozy, wreszcie konie specjalnych form rzeczy mody będących. Odkąd znikły z powierzchni ziemi ciężkie karoce i liczne pułki pancерnej kawalerji, od poprawy dróg i postępu kultury, koń na model silnego konia czystej krwi angielskiej zbudowany kwalifikuje się zarówno do zaprzęgu i pod siodło, do paradnej czwórki lub pary, do kabrioletu, do polowania i do frontu; mniej szlachetny, niższy wzrostem, pospolitszych kształtów schodzi niżej w hierarchii usług do drogi i do szeregu. Ta jednostajność typu jest podstawą ekonomicznego powodzenia chowu, gdyż każdy koń, byle od przyjętej modły w głównych zarysach się nie oddalał, znajdzie zastosowanie i kupca. Hodujący mierzy zwykle najwyżej, stara się w swoim zakresie wyprodukować najwyższą klasę

i rzadko dopina celu, produkt nie traci przez to zupełnie na wartości, bo przechodzi tylko do innej klasy, w której może dobre miejsce otrzymać. Oczywiście ztąd korzyść dla hodujących, dla rządu zaś oczywisty obowiązek umożliwić dobo-rem reproduktorów jednostajność typu i nie kusić hodującego na bezdroża rozstawianiem po stacyach ogierów płodzących fantastyczne potomstwo, do wyłącznej jakiejś specyalności sposobne. I leży w tem jeszcze jeden powód, dla którego radziłyśmy widzieć po stacyach jak najmniej ojców wschodniego pochodzenia, rzadko jednolitość kształtów przedstawiających, jak niemniej anglo-normandów, wyjątkowo tylko użyć się dających i przy dostatecznej ilości i jakości krwi angielskiej zbytecznych, i nie widzieć wcale ogierów meklem-burskich, hanowerskich i duńskich. Koń czystej krwi angielskiej wystarczy do produkcji koni rosnących wszelkiego rodzaju i do poprawy wszystkich ras odpowiednich mu wzrostem i budową. Wspólnie z norfolkiem zastąpi wybornie egzotyczne egzemplarze półkrwi zagadkowych własności. Arab, dopóki czem lepszym zastąpiony nie będzie, musi być tolerowany jako złe konieczne. Wreszcie koń noryjski (Pinzgauer), wypróbowanej dobroci, potrzebny dla okolic hodujących konie do najcięższego pociągu, zamyka szereg reproduktorów głównych, o których dostateczną ilość i jakość rząd najpierw starać się powinien i w tym celu środków materyalnych nie skąpić.

W imporcie pierwsze miejsce trzymać musi z natury rzeczy zakup czystej krwi w Anglii, co jednak nie przeszkadza, aby konie czystej krwi, w kraju wychowane, silnej i regularnej budowy oraz dobrego pochodzenia nie miały pierwszeństwa przed obcemi tej samej klasy. Tym sposobem rząd zasili krajowy chów czystej krwi i dostarczy hodowli prywatnej ojców zaaklimatyzowanych, reprodukujących się w krzyżowaniu zwykle pewniej od zagranicznych. Podwójna surowość za to winna przodować przy zakupie krajowych produktów pół krwi, tak co do pochodzenia jak i przymiotów indywidualnych, najprzód dla tego, żeby uniknąć ojców podrzędnego gatunku, powtóre, żeby zmusić chów prywatny do starannego krzyżowania, наконец, żeby skłonić hodujących do zwracania uwagi na potrzebę wczesnej i starannej tresury młodzieży,

której właściwym polem jest nie rozplód lecz służba użytkowa. Żrebaki na ogiery rządowe przeznaczone, wyrastają mniej więcej dziko; gdy szanse sprzedaży się zmniejszą, właściciel będzie musiał liczyć się z wymaganiami handlu i stosownie do nich konia wychowywać. Praca zaś wczesna tylko na pożytek późniejszemu reproduktorowi wyjść może.

Nie pozostaje nam jeszcze jak tylko polecić najgoręcej broszurę hr. Rozwadowskiego wszystkim interesującym się kwestyą chowu koni w Austrii i w Galicyi. Hodujący znajdują tam złote wskazówki na nauce i długiem doświadczeniu oparte, nadzwyczaj trafne spostrzeżenia dotyczące się upadku chowu krajowego i racjonalny system podniesienia produkcji, znakomicie obmyślony i opracowany. Szczegółnej uwadze czytelnika polecamy rozdział: *Über den Einkauf und die Verwendung von Zuchtmaterialie*, stosunki galicyjskie nader gruntownie omawiający.

W odpowiedzi na broszurę hr. Rozwadowskiego, ogłosił hr. Ludwik Krasiński list, w którym nie szczędząc hr. Rozwadowskiemu zasłużonych pochwał i komplementów, zarzuca mu, iż „popelił niemal zły uczynek doradzając pozostawienie dyrekeyi chowu czystej krwi i wyścigów Jockey-klubowi.“ P. Krasiński twierdzi bowiem, iż „Jockey-kluby wszędzie oddziaływały pośrednio w najzgubniejszy sposób na jakość koni czystej krwi i pół krwi... i wyniszczyły w krwi czystej przymioty odradzające, że wreszcie pomnożeniem biegów dla koni trzechletnich, dopuszczeniem do wyścigów dwulatków, zmniejszeniem wagi, skróceniem dystansów, zamiast poprawiać psują coraz bardziej konia czystej krwi.“

Czy rzeczywiście Towarzystwa wyścigowe tak bardzo grzeszyły i grzeszą, czy rzeczywiście zrujnowały chów czystej krwi? Na to pytanie można odpowiedzieć nie inaczej jak rozstrzygając inne, ważniejsze i donioślejsze: czy koń angielski nowoczesny rzeczywiście stracił na wartości pod względem przymiotów indywidualnych i władzy reprodukcyjnej?

W tej mierze największej wagi jest i być musi opinia Anglików, którzy nie bawiąc się w teorye i deklamacye, mają zwyczaj zestawiać fakta. W Anglii zaś zdania są zbyt podzielone, aby ztąd ostateczne wnioski wyciągać.

Hr. Krasieński przytacza jako powagę *le célèbre* Mr. Stonehenge, lecz cytuje właściwie podług książki francuzkiej p. t. *Le Cheval et son cavalier* p. le Cte de Lagondie, będącej kompilacją starego wydania Stonehenge'a i innych autorów, nadto opuszcza w cytacyach ustępy znacznie osłabiające doniosłość miejsc przytoczonych ¹⁾.

Z całości tekstu francuzkiego nie wypada bynajmniej, aby Stonehenge miał twierdzić, że koń angielski bezwarunkowo się wyrodził, zdegenerował i stracił dawną wartość; powiada on tylko, że wyścigowiec nowoczesny zmienił typ, zbliżył się do form dwulatka, nabrał wzrostu i długości linii, i że dojrzewa wcześniej, z czego wyciąga wniosek, iż trwałością niedorównywa swoim poprzednikom, które później do zupełnego rozwinięcia dochodziły. W oryginalnej edycji *The Horse* z r. 1875, rozdział *Early maturity* (Maturité prématurée u francuzkiego kompilatora) jest zupełnie zmieniony ²⁾, za to znajduje się inny rozdział nowy, *Comparative Stoutness* zawierający ciekawe fakta, z których wypływa, że koń nowoczesny wcale trwałością dawnemu nie ustępuje. Naturalnie mowa ta o trwałości wyścigowej, przymiocie bardzo względnym, na który nie ma pewnej danej miary. I tak:

¹⁾ Opuszcza n. p. co następuje: Les chevaux de course ne doivent pas néanmoins être considérés comme réellement dégénérés, par ce qu'ils sont plus tôt mûrs qu'autrefois, mais il n'y a pas de doute que leur type n'ait été modifié par l'attention que l'on a mise à produire cette particularité (la maturité prématurée) Lagondie T. I. p. 45, par. 30.

²⁾ Traktuje o wpływie wcześniejszej dojrzałości na konstytucję fizyczną konia. Wcześniejszej dojrzałości autor przypisuje trudność trenowania koni dzisiejszych ze względu na stan nóg, przytacza jednak przykład *Thormanby* na dowód, że koń dzisiejszy nie ustępuje dawniejszemu.

- Carlisle Gelding* (1720—1731) zaczął biegać w 5 latach, biegał przez lat 13, razy 34, wygrał 25 nagród.
- Black Chance* (1737—1746) zaczęła biegać w 5 latach, biegała przez lat 10, razy 30, wygrała 25 nagród.
- Independence* (1826—1835) zaczęła biegać w 2 latach, biegała przez lat 10, razy 84, wygrała 40 nagród.
- Catherina* (1832—1841) zaczęła biegać w 2 latach, biegała przez lat 10, razy 177, wygrała 79 nagród.
- Fisherman* (1855—1859) zaczął biegać w 2 latach, biegał przez lat 5, razy 120, wygrał 70 nagród.
- Rataplan* (1852—1854) zaczął biegać w 2 latach, biegał przez lat 4, razy 72, wygrał 43 nagród, z tych w 4 roku 18 na 29 biegów, i w 5-tym 20 na 33 biegów.
- Garry-Owen* ur. 1837 roku biegał do 1849, razy 73, wygrał 36 nagród.

Widzimy więc, że koń może zacząć biegać wcześniej, pomimo tego biegać długo i często. Sama długość kariery wyścigowej nie nie znaczy, bo *Fisherman* w ciągu lat 5 biegał razy 120, podczas gdy *Catherina* przez lat 10 biegała razy 177. *Rataplan* znowu biegał w 4 i 5-tym roku częściej i lepiej niż *Fisherman*. *Carlisle Gelding* biegał przez lat 13, bo nie miał nic innego, jako wałach, do roboty na tej ziemi, lecz już w tej epoce ogiery nie biegały dłużej nigdy nad 4, co najwięcej 5 lat. Mnożąc do nieskończoności cytacye z kalendarza wyścigowego angielskiego, nie dojdzie się do rezultatu mogącego kwestyą rozstrzygnąć. W pierwszej połowie naszego wieku nie rzadkie są przykłady długiej kariery wyścigowej między klaczami; jeżeli powtarzają się coraz rzadziej, to nie dla mniejszej trwałości koni dzisiejszej, lecz z tej przyczyny głównie, iż wymagania produkcyi stają się coraz obszerniejsze, wszystkie więc indywidua zdolne do rozplodu najpóźniej około 6-go roku przechodzą do stad.

Od dość dawna toczy się w Anglii spór o wartość konia nowoczesnego. Lord Redesdale i admirał Rous długo korespondowali ze sobą w tej materyi; pierwszy utrzymywał, że koń dzisiejszy nie wart konia z początku i połowy przeszłego wieku; drugi twierdził, że sławny *Flying Childers*, używający legendowej reputacyi, równa się formą dzisiejszemu

Sellingplater (koniowi biegającemu wyłącznie w wyścigach t. z. sprzedaży) wartości 40 funtów szterlingów, *Higflyer* i *Eclipse* zaś koniom tejże klasy 200 funt. szterlingów wartości. Ów admirał zaś, to nie byle kto; owszem, choć z tytułu marynarz, to wielka powaga końska i wielka figura, *Steward* czyli dyrektor Jockey-klubu w Newmarket i członek Izby lordów. Wreszcie przed parą laty Izba lordów wybrała osobny komitet w celu zbadania stanu chowu koni w Anglii (Committee on Supply of Horses), przed którym admirał jeszcze dosadniej i pogardliwiej wyrażał się o przeszłowiecznych gwiazdach turfowych. Oponował mu lord Stradbroke, także wielki sportsmen i turfista, i utrzymywał nawet, iż nie ma obecnie w całej Anglii czterech koni zdolnych przebiec w Newmarket dystans zwany *Beacon-course* (4 mile, 1 furlong 135 jardów, czyli 6,765 metrów). Gdzie dwie powagi tak przeciwnie z gruntu twierdzenie rzucają sobie w oczy, tam prawda nieomylnie gdzieindziej leży. Jenerał Peel, właściciel słynnego stada koni czystej krwi, znanego pod nazwą *The Glasgow Stud* ¹⁾ powiada: „Pięćdziesięcioletnie doświadczenie doprowadziło mnie do przekonania, że liczba dobrych koni obecnie się nie zmniejszyła, lecz zwiększyła się ilość „złych w stosunku do ogółu, w skutek zmiany całego systemu „howu. Dawniej właściciel koni wyścigowych był zarazem „hodowcą, posiadał własne matki, własny *paddock*, z największem staraniem sam dobierał ojca do każdej klaczy „i zrebietta zachowywał wyłącznie dla siebie. W owym czasie

¹⁾ Stado nosi nazwisko założyciela, lorda Glasgow, który za życia nigdy koni swego chowu nie sprzedawał i testamentem zakazał sukcesorom jenerałowi Peel i sir G. Payne, ogiery sprzedawać. Jenerał przyjął więc system wynajmowania ogierów. Corocznie w Tattersal około Nowego roku odbywa się licytacya, na który około 15 *Glasgow Stallion's* bywa wynajętych hodującym, przecięciowo po 125 gwinei za sezon. Ogiery te są nadzwyczaj poszukiwane dla wysokiego rodu i nadzwyczaj silnej budowy. Niektóre z nich jak *Rapide Rhône*, *Brother Of R. R.*, *The Drake* przydatne są szczególnie do chowu koni myśliwskich. — Jenerał Peel trudni się chowem koni wyścigowych od roku 1821, wyprodukował między innymi ogiery: *Slane*, *Jon*, *Jonian*, *Orlando*, *Tadmor*, *Kingston*.

„nie było nic trudniejszego jak kupić roczniaka czystej krwi; „teraz dziewięćdziesiątych żrebiąt chowa się wyłącznie w wido- „kach sprzedaży. Kiedy przed niewielką laty pierwszy raz osią- „gnięto wysokie ceny za roczniaki sprzedane z publicznej licy- „tacji, wszyscy rzucili się do produkcyi roczniaków i prawie „w każdej okolicy pozostało stado ku temu celowi założone. „Każdy stara się wychować jak najwięcej roczniaków, posyła „klacze do pierwszego lepszego ogiera, bez względu czy się do „nich nadaje lub nie. — Moję opinią popiera znany fakt, iż „niemal wszystkie wielkie biegi wygrywają konie prywatnego „chowu, chociaż liczba tych koni jest nadzwyczaj małą w pro- „porey do koni pochodzących z wielkich stad publicznych ¹⁾.“ Mamy więc świadectwo człowieka, na którego znajomości rzeczy polegać można, który wyraźnie powiada, że dobry koń nie jest rzadszym niż dawniej, że zmienione warunki chowu przyczyniają się tylko do pomnożenia liczby koni złych.

Pójdźmy do faktów. Od roku 1846—1874 włącznie, czas biegu Derby wynosi stale mniej 3 minut, różnica między czasem najdłuższym i najkrótszym wynosi 18 sekund (*Ellington 3' 4" George Frederick 2' 46"*), dwa razy tylko przeszedł 3 minuty, (*Ellington 3' 4" Daniel O'Rourke 3' 2"*). Czas biegu *Oaks* w tych samych latach wynosi około 2 minut 52 sekund, raz jeden doszedł 3' 4". *St. Leger* przez 56 lat trzyma się w przeciętnej cyfrze 3 minut 25 sekund. Wszystkie trzy biegi gromadzą konie pierwszego rzędu, nadto każdym razem sędzia zwykle trzy lub cztery konie *umieszcza*, różnica zaś między koniem pierwszym i trzecim wynosi za ledwie parę sekund — co wszystko znaczy, że produkcyja koni najwyższej klasy trzyma się na pewnej stałej wysokości. Nadto przynajmniej 25% koni, w tych biegach udział biorących, trzyma niedalekie miejsce w porównaniu z końmi przez sędziego *umieszczonemi*; liczba zaś koni startujących w przecięciu stopniowo, choć powoli, wzrasta. — Wprawdzie hr. Krasiński utrzymuje, iż „dzięki istniejącej praktyce wyścigów, zwycięzca w Derby może nie być w stanie produkować

¹⁾ Evidence of General the Right Honourable Joseph Peel before Select Committee on Supply of Horses. — Parliament. Papers 1873.

dobrych koni użytkowych,“ lecz to jest paradox, albowiem najprzód Derby stanowi cel osobnej gałęzi chowu, powtórnie zwycięzca Derby do chowu koni użytkowych chyba wyjątkowo bywa używany. W przeszłym wieku lord Derby, właściciel *Sir Peter Teazle*, aktem niezwyklej wspaniałości pozwolił używać tego ogiera swoim farmerom do klaczy półkrwi, z którymi rodził przepyszne karosyery. W naszych czasach nikomu nie przyjdzie na myśl posyłać klacze podrzędnej klasy, tembardziej klacze pospolite do zwycięzcy Derby i płacić 50 gwinei lub więcej za skok, nie ma więc żadnego dowodu na to, czy przykład *Sir Peter* może albo nie może powtarzać się teraz. Egzystuje jednak inny fakt powszechnie wiadomy, stwierdzający, że czysta krew wydaje tak dobrze jak dawniej doskonałe konie użytkowe. Najpiękniejsze konie zaprzęgowe w Londynie są czystej krwi; najlepsze *hunter'y* są również czystej krwi; w jednych i drugich płynie nierzadko krew wielkich familij wyścigowych, z których zwycięscy Derby pochodzą. Na dwadzieścia tysięcy koni myśliwskich, utrzymywanych, liczą około trzy tysiące czystej krwi w samych centrach polowań i tak zwanych *flying country*, gdzie rozległe pastwiska, poprzecinane kanałami i baryerami, wymagają koni szybkich i szeroko skaczących. Irlandzkie *huntery* są w znacznej części również notorycznie czystej krwi, chociaż w Stud-Booku nie figurują. Dalej ogromny procent pozostałych jest prawie czystej krwi, z małą plamą w rodowodzie. Każdy z takich koni nosi przecięciowo na polowaniu około 75 kilogramów i pracuje na seryo. Nadto coraz więcej przyjmuje się zwyczaj zaprzęgania *hunterów* w lecie do lekkich powozów; są te konie więc nie tylko silne, ale także spokojne i przydatne do rozmaitej służby.

Mylnie też twierdzi p. Krasiński, iż z powodu upadku krwi czystej, *Roadster* odgrywa obecnie w Anglii rolę amelioracyjną w miejsce konia czystej krwi. *Roadster* jest używany do fabrykacji pewnych typów modnych i poszukiwanych, oraz w wyjątkowych razach do produkeyi *hunterów* pod najcięższą wagę.

Nader słusznie i sprawiedliwie za to potępia autor listu rozpowszechnienie *handicap'ów* na krótką metę, będących prostą grą i zgubnie na chów oddziaływających. One-to przy-

czyniły się do rozmnożenia charciego typu, słabej budowy i wad zdrowia w koniu wyścigowym, jakoteż pośrednio wywołały gorączkową produkcję, powstanie wielkich stad akcyjnych i cały przewrót w chowie, o jakim mówi generał Peel. Wykazy statystyczne pokazują ogromny wzrost liczby koni wyścigowych od 50 lat. Podczas kiedy w roku 1822 biegało w całej Anglii 988 koni, z tych 112 dwulatków, w r. 1870 biegało koni 2,569, czyli przeszło dwa razy więcej, i w tej liczbie samych dwulatków 807. Dodając do tego szalone ceny płacone na aukcyach roczniaków, łatwo pojąć, że chów więcej stara się o ilość towaru pokupnego, niż o jakość i dobroć produkcji ¹⁾.

Gdybyśmy zaczęli rozprawiać szeroko nad przyczynami i skutkami zniesienia biegów podwójnych i potrójnych, skrócenia dystansów, obniżenia wagi i rozpowszechnienia wyścigów dla dwulatków, — zaprowadziłoby nas bardzo daleko, nie doprowadzając do żadnego rezultatu. Są to zmiany wprowadzone głównie samą siłą rzeczy. Pożytek biegów podwójnych zawsze ulegał kwestyi, była to prędzej niepotrzebna komplikacja niż rzeczywista próba. Długość mety i wagę zredukować musiano wskutek wzrostu szybkości koni i *pace* biegu, co przyszło w parze ze zwiększeniem szybkości polowań i służby kawaleryjskiej, oraz ze zmniejszeniem wagi jeźdźców w ogóle. Wyścigi dwulatków nie są wcale nowym wynalazkiem, datują bowiem z przeszłego wieku jeszcze, a doświadczenie uczy, iż przy starannym treningu dwulatek może biegać bez szwanku i szkody na później. — Jeżeli na końcu pokazały się nadużycia, to nie dowodzi przeciw rzeczy samej, bo nadużycia są nieodłączne od ludzkich ro-

¹⁾ W r. 1875 sprzedaż 38 roczniaków z *Cobham-Stud* przyniosła około 15,000 gwinei; 50 roczniaków z *Midle-Park-Stud* przyniosła 12,000 gwinei. Są to dwa największe stada akcyjne, ostatnie trzyma 110 klaczy i 9 ogierów. *Mentmore-Stud* Rotszylda przyniósł za 16 sztuk 9,000 gwinei. W roku 1872 liczono w Anglii 2,853 klaczy czystej krwi i 387 ogierów, w roku następnym zrodziło się 1,741 źrebiąt czystej krwi. W 1875 klaczy czystej krwi 2638, ogierów 329, źrebiąt 1620.

bót. Przeciwnicy wyścigów zaś tylko z nadużyć kuja argumenta i niemi chcą dowieść, że cała instytucja nie nie warta. Nie chcą zaś zwrócić uwagi na to, że szulerska gałąź wyścigów żywi się głównie wyrzutami chowu, które biegają póki im sił starczy i kończą na fiakrze, lecz do chowu już nie wracają.

Wobec mnóstwa dzielnych koni użytkowych czystej krwi i półkrwi, w Anglii i na kontynencie zrodzonych, gołosłowne twierdzenie, że wyścigi rasę zabiły i konia zrujnowały, samo z siebie upada. Typ konia się zmienił, lecz wyobrażenia i wymagania również się zmieniły. Dobry koń jest trudny do znalezienia i drogi, bo potrzebowanie jest wielkie, a produkcja wymaga czasu.

Wracając do Austrii, hr. Krasinski żąda, aby wyścigi dwulatków były zakazane, aby konie trzyletnie biegały dopiero w jesieni, aby największe nagrody dawane były dla koni cztero- i pięcioletnich, aby w końcu rząd zamiast sprzedawać roczniaki czystej krwi, sprzedawał dopiero trzylatki, lub co lepiej czteroletnie konie właścicielom stajni wyścigowych. W teorii taki system ma niezaprzeczenie bardzo dobre strony, ale w praktyce jest niestety mrzonką i tylko mrzonką. O dwulatki spierać się nie będziemy, bo czy one biegają czy nie biegają, dla chowu w Austrii rzecz obojętna, gdyż nagrody są rzadkie i małe. Przeniesienie wyścigów trzechletnich na jesień byłoby nader korzystnem ze względu na trudności treningu wiosennego w naszym klimacie, lecz z kąd wziąć w jesieni w wielkich miastach publiczność napelniającą trybunę i kasę? Przeniesienie wszelkich nagród na konie czteroletnie i starsze celu nie osiągnie, gdyż pójdą one szukać zatrudnienia wcześniejszego za granicą, wróciwszy zaś doznają całej srogości pracy, aby się utrzymać w kondycji, która z wiekiem robi się coraz trudniejszą do osiągnięcia. Chcieć od rządu, aby chował konie aż do czwartego roku i wcześniej nie sprzedawał, jest czystem niepodobieństwem materyalnem, bo cały budżet stadnin utonąłby w otehlani wydatków na utrzymanie czterech klas młodzieży potrzebnych. W końcu wszystko razem równałoby się odosobnieniu chowu czystej krwi w Austrii od reszty Europy

i sprowadzenia chowu do znaczenia kosztownej fantazyi bez jutra i przyszłości.

Już po wydrukowaniu tego co poprzedza, doszło mnie sprawozdanie urzędowe z posiedzeń komisji ankietowej, zwołanej przez ministra rolnictwa w ostatnich dniach maja b. r. ¹⁾. W pracach komisji wzięli udział reprezentanci rozmaitych prowincyj austriackich oraz ludzie fachowi; z Galicyi pp. Atanazy Benoë z Niegowici, hr. Juliusz Dzieduszycki, Edward Dzwonkowski z Gromnika i hr. Jan Tarnowski z Chorzelowa. Za podstawę narad służył program, ułożony w ministerjum rolnictwa w myśl uchwał poprzedniej ankiety.

Plan organizacyjny, przez ankietę uchwalony, zawiera następujące główne punkta:

Utworzenie przy boku ministra rolnictwa stałej komisji fachowej doradczej, której zadaniem będzie orzekać w kwestiach należących do atrybucyi władzy centralnej, jak zarząd stad rządowych, zakupno reproduktorów za granicą, oznaczenie zakresu działania komendantów stacyj itd.;

utrzymanie istniejących komisji krajowych chowu koni, których atrybucye będą przez ministerjum ściśle skreślone;

podział prowincyj austriackich na 5 grup głównych, obejmujących:

- I okolice alpejskie,
- II okolice podalpejskie,
- III Czechy, Morawią, Szląsk, część Niższej Austrii,
- IV Galicyą i Bukowinę,
- V Dalmacyą i Wybrzeża.

Dążenie do utworzenia i utrzymania krajowych typów koni (Landschlägen) czyli w

- Iej grupie ciężkiego konia pociągowego, czyli typu noryjskiego;
- IIej konia pociągowego lżejszego;
- IIIej konia roboczego średniego za pomocą silnych i masywnych ogierów, o ile można ustalonej i wiernie

¹⁾ Verhandlungen der auf den 25 Mai 1876 in das k. k. Ackerbau-Ministerium einberufenen Pferdezücht-Enquete.

reprodukującej się rasy, z wyłączeniem czystej krwi neapolitańskiej i hiszpańskiej;

IVej lekkiego konia powozowego i wierzchowego głównie za pomocą krwi wschodniej;

Vej konia lipizańskiego.

Wyjątek od reguły przyjętej stanowić będzie czysta krew angielska. W IIIej i IVej grupie ogiery czystej krwi angielskiej będą dostarczane dla klaczy, w konskrypcyi osobno oznaczonych, z ograniczoną licencyą.

Rozgraniczenie grup i podział grup na szczegółowe działy dopełnione będą przez krajowe komisye chowu koni.

Instytucya ogierów rządowych pozostanie nadal utrzymana, ostatecznym celem jednak będzie przejście utrzymania ogierów w ręce prywatne. Rząd będzie nateraz starał się o pomnożenie stacyj odpowiednio do potrzeby; oraz ułatwiał nabycie reproduktorów stowarzyszeniom i hodującym.

Ogiery dla Iej grupy przeznaczone będą zakupywane z prywatnego chowu.

Ogiery szlachetne silnego kalibru mają być naprzód szukane w chowie prywatnym, dalej produkowane w stadach rządowych w Radowcach i w Piber, nakoniec w razie potrzeby sprowadzane z zagranicy.

Chów czystej krwi angielskiej pozostawia się osobom prywatnym. Rząd wspierać go będzie odpowiednią ilością nagród wyścigowych.

Czysta krew orientalna ma być produkowaną w Radowcach i importowaną ze Wschodu. Ogierów typu orientального powinien dostarczać chów prywatny i stado w Radowcach, przyczem na silną budowę szczególną należy zwracać uwagę.

Rząd ma się starać o urządzenie naukowych wykładów hipologicznych w wyższej szkole rolniczej i w szkole weterynaryjnej Wiedniu, oraz o urządzenie szkół fachowych i praktycznego nauczania w zakładach ogierów rządowych i w stadach rządowych.

Ankieta uchwaliła dalej szereg rezolucyj, dotyczących się licencyonowania ogierów, premiowania klaczy i młodzieży, konskrypcyi klaczy i ustanowienia ksiąg stadnych, wspierania stowarzyszeń, mających na celu utrzymywania reproduk-

torów, reformy personalu w zakładach ogierów rządowych, ustanowienia tak zwanych *Gauleiter*, ludzi praktycznie z chowem obznajmionych i zdolnych pouczać drobnych hodowców itd.

Wogóle biorąc, uchwały ankiety wypadły bardzo dobrze, dziwnie dobrze nawet ze względu na dość chaotyczne pojęcie rzeczy, jakim odznaczali się najwymowniejsi mowcy. Jakiś dobry geniusz czuwać musiał nad pracami komisji i w krytycznych chwilach potrafił uchronić od rozbicia całą robotę. Jednym z takich niebezpiecznych momentów było rozgraniczenie grup, oraz uchwalenie zasady typów krajowych. Sam zdrowy rozsądek wskazuje, iż matematyczne określenie granic, w których taki a nie inny typ konia ma się chodować — jest poprostu najczystszej wody nonsensem, do tego zaś najwymowniejsza frakcja komisji dążyła. Wymownym i dzielnym usiłowaniami p. Dzwonkowskiego winna Galicya, że jej dano możność hodować coś lepszego nad jukiera, przez zrobienie wyjątku na rzecz czystej krwi angielskiej, o co p. Dzwonkowski musiał długo i wytrwale walczyć, chociaż rzecz sama była jasna jak słońce. Sprawa jednak była nie łatwa, gdyż ślepi zwolennicy *Landszlagów* nie chcieli poświęcać swego widzimisię *interesom rasy huculskiej*. Oni to przeprowadzili najślabszą uchwałę ankiety, tyczącą się III grupy, gdzie silny koń ma być produkowany za pomocą ogierów *o ile można* rasy ustalonej i wiernie reprodukującej się. Odnosi się to do Czech, gdzie koń miejscowy jest niegodziwie wadliwy, i Morawii, gdzie jak świadczy hr. Stockau, znajduje się 17 rozmaitych odmian koni. Będzie to piękny *Landschlag*, pochodzący z mieszaniny takich klaczy z ogierami *o ile można* rasy ustalonej. W takich okolicach tylko czysta krew angielska w stosownej dozie dolana, zdoła konia poprawić; to *o ile można* zaś otwiera furtkę wszelkiego rodzaju reproduktorom, z których jednostajny typ nigdy nie powstanie. Samo postawienie wreszcie zasady *Landszlagów* pociągało za sobą w logicznym porządku wykluczenie ogierów rasy *nieustalonej* czyli właściwie ogierów *do żadnej rasy* nienależących i przez to samo wiernie reprodukować niezdolnych. Program rządowy daleko jaśniej i lepiej kwestyą roz-

strzygał wyznaczając dla tej grupy ogiery *półkrwi ciężkiego kalibru*.

W rozprawach komisji przeważnie z Niemców, a w znacznej części z ludzi fachowych i ludzi nauki złożonej, uderza brak wszelkiej ścisłości w wyrażeniach, oraz zestawieniu przyczyn i skutków, nawet tam, gdzie ścisłość jest nieodzownie potrzebną. Najdowolniejsze stosowanie wyrazu *rasa* prowadziło do ciągłych nieporozumień i sporów *de lana caprina*. Pobieżne traktowanie rezultatów niektórych krzyżowań świeżo wprowadzonych w użycie, pociągało to, że w ważnych punktach po ankiecie wiemy jeszcze mniej niż przed ankietą. I tak, kiedy była mowa o anglonormandach, podniosły się najrozmaitsze głosy; jedne wychwalały produkt z krzyżowania anglonormandów powstały, inne bezwarunkowo ganiły. Nikomu zaś nie przyszło na myśl zapytać o pochodzenie ogierów w kwestyi będących i zbadanie przyczyny, dlaczego takie różnice w produktach zachodziły. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że konie anglonormandzkie rasy ustalonej nie tworzą, że są wynikiem rozmaitych krzyżowań i dlatego tylko wyjątkowo swoje przymioty i własności na potomstwo przelewają.

Z nieopisaną lekkomyślnością postąpiła komisya względem najobszerniejszej i najliczniejszej grupy, dekretując hurtowne użycie dla Galicyi i Bukowiny reproduktorów krwi wschodniej, zakupionych w kraju lub wychowanych w Radowcach. Czem będzie ów zakup w kraju, możemy sądzić z tego, co powiedział hr. Juliusz Dzieduszycki, że najlepsze ogiery w kraju wychowane są jeszcze gorsze od najgorszych z Radowiec. W sprawozdaniu komisji wysłanej do Radowiec stoi czarno na białem, że znaczna część klaczy wschodnich do chowu się nie kwalifikuje, że większą połowę ogierów należy usunąć i lepszymi zastąpić, że pomiędzy młodzieżą wiele indywiduów do niczego niezdatnych. W końcu p. Dzwonkowski opowiadał, że przed dwoma laty krajowa komisya nie znalazła w Galicyi *ani jednego* ogiera arabskiego i musiała po to udawać się do Sławuty. Wymowniejszych argumentów przeciw krwi wschodniej i przeciw uchwale komisji, szukać zbyteczna.

Wprawdzie uchwalono odświeżenie krwi wschodniej importem z ojezyny, ale ta uchwała komisji z całą pewnością najdłużej pozostanie pobożnem życzeniem z tej prostej przyczyny, iż budżet niepozwoili na tak kosztowne przedsięwzięcie, jakim jest wyprawa do Arabii. Wszystkie zaś zakupy, robione w Turcyi albo Egipcie, do niczego nie doprowadzą, krwi nieodświeżą i jeszcze większe zamięszanie spowodują.

Tak, czy owak, chów wschodni w Galicyi runie sam z siebie, wskutek stopniowego a szybkiego nikczemnienia krwi orientalnej na naszym gruncie i w naszych warunkach. *Gute, frische Luft*, w które Galicya podług p. Dzwonkowskiego obfituje, nie ocali tego, co w sobie nie ma żywotności. Będzie to przykre przejście dla kraju, ale konieczne dla uleczenia upartych z arabomanii i z manii chowania więcej żrebiąt, niż ziemia może wyżywić.

Henryk Lisicki.

Przegląd Literacki.

Jan Śniadecki. Jego stanowisko w dziejach oświaty i filozofii w Polsce. Przez Dr. Maurycego Straszewskiego. W Krakowie 1875. Str. III. 323 i LXXVI. in 8vo.

Śniadeccy tak głęboki zostawili ślad w umysłowym życiu narodu, że pisać nie można dziejów porobiorowej oświaty u nas, nie poświęciwszy im obszernego wspomnienia. Jan zwłaszcza, zrazu krakowskiej, a później wileńskiej ozdoba wszechnicy, równy Jędrzejowi miłością kraju i młodzieży, niższy zapewne oryginalnością pomysłów i głębokością badań, ale za to wyższy talentem organizatorskim i administracyjnym, wyższy szerokim zmysłem politycznym, wyższy siłą charakteru, wywarł wpływ ogromny na oświatę kraju, jednakże nie pismami swemi, bo z tych część wielka dopiero wtedy ukazała się, gdy wpływ słynnego astronoma albo już na schyłku był albo nawet ustał zupełnie. Autor przeciwnie, co mu za główny błąd poczytuje w układzie książki, tak się obszedł z *Janem Śniadeckim*, jak gdyby przeważnie był literatem i tylko pismami swemi wzbogacał literaturę. Razi to tem bardziej, że powszechnie wiadomo, jako starszy *Śniadecki* tylko dla praktycznych potrzeb i pobudek brał się do pióra. P. *Straszewski*, czasem to przypominając czytelnikom, najczęściej sam o tem zapominał, za czem poszło, że zbyt obszernie, zbyt drobiazgowo nad niejedną zastanowił się rozprawą, która w małym kółku znajomych przeczytana, nie wywarła prawie żadnego wpływu na oświatę narodową.

Hojność taka byłaby mniej nieprzyjemną, gdyby nie o stanowisko *Śniadeckiego* w dziejach oświaty, lecz jedynie o skrupulatne wyliczenie wszystkich jego zasług piśmienniczych chodziło autorowi. Tutaj zaś stała się ona niepotrzebną roz-

wlekłością, zwiększoną ciągłemi powtarzaniem, w których te same myśli prawie w tych samych słowach i w tym samym wracają porządku. Przy końcu rozdziałów autor streszcza na nowo, czasem kilka razy, co rozwinął poprzednio. Często myśli podrzędne, które dosyć było raz wypowiedzieć, z, wiódcznem powtarza upodobaniem. Ileż razy ostrzega, że *Sniadecki* przeciwne zajmuje miejsce we filozofii, aniżeli *Kant królewiecki*! ileż razy przypomina, że jedynie pod wpływem zewnętrznych, praktycznych powodów *Sniadecki* to lub owo napisał, a nie chcąc żadnej pod tym względem pozostawić wątpliwości, czasem to podwójnie, naprzód słowami *Sniadeckiego*, potem własnymi wyraził.

Zarzut rozwlekłości objaśnię przykładem. Mógł na jednym miejscu p. *Straszewski* krótko i jasno wyłożyć uczonego Wileńczyka zasługi i nowe poglądy w matematyce i astronomii. Tymczasem zupełnie pominąwszy obserwacye astronomiczne, główną przecież podstawę jego sławy zagranicznej, zaczyna od rozprawy „o nauk matematycznych początku“ (str. 55—65); po niej przechodzi większe dzieła matematyczne (str. 68—74), a mimo przyrzeczenia (str. 73), że już skończona rzecz z matematyką, rozbiera mniejsze rozprawy na str. 96 a trzy ostatnie na str. 100 i nast. Taka chronologiczna droga jest niewątpliwie dogodna dla piszącego, ale nużąca dla czytelników, a będąc niestosowną w zwykłej biografii, mniej jeszcze przydatną jest w monografii, mającej rozliczne uczonej działalności promienie zebrać w punkt jeden i w pełnem świetle wystawić. I cóż ztąd, że chronologicznym porządkiem zestawione prace *zdradzają* (t. j. wykazują) *ciekawym jeden objaw umysłowego usposobienia ich autora*. Czytelnicy nie zawsze poznają się na tej *zdradzie*, mają zresztą prawo do wykończonego obrazu. Na cóż ich było skazać na mozolne zbieranie rozrzuconych rysów i szczegółów? Czyż nie lepiej było przy rozprawie „o rozumowaniu rachunkowem,“ którą trafnie nazwał autor „zebraniem zasadniczych myśli *Sniadeckiego* o matematyce,“ wyłożyć pokrótce, co zrobił dla tej nauki i jakie z niej myśli przeniósł do swej filozofii.

Zbyt obszernie rozwodziwszy się nad pismami i pisemkami, musiał autor praktyczną rektora wileńskiego działalność zostawić na drugim miejscu. Tej jednak wpływ na oświatę był daleko ważniejszy i wielu domagał się objaśnień, nawet po znakomitej książce *Balińskiego*. Ten wiele rzeczy wypowiedzieć nie mógł, a innych nie chciał. Spadał więc obowiązek uzupełnienia go na przyszłych biografów czy monografów *Jana Sniadeckiego*. Autor czuł to wybornie a w części nawet i uczynił, jednakże nieszczęśliwe pierwszeństwo, dawane pismom, nie dozwoliło mu przystąpić do niesłychanie ważniejszych pytań praktycznych. Stosunek n. p. astronoma do młodzieży za-

sługiwał na rozbiór obszerniejszy, zwłaszcza rozprawa „o piśmach klasycznych i romantycznych“. Chociaż bardzo jest słaba i zawiera nawet rzeczy „o których niepodobna pojąć, jak mogły wyjść z pod pióra tak wytrawnego“, ma ona większe w dziejach oświaty naszej znaczenie, aniżeli wszystkie pisma matematyczne *Śniadeckiego* razem, bo była jednym z rozpaczliwych strzałów armatnich, z którymi stare Stanisławowskie pokolenie, bardzo rozumne, ale skostniałe, pod lodowatą technicą francuskich i angielskich sensualistów, ustępowało z pola przed nowym pokoleniem Mickiewiczowskim, namiętnem, niesfornem, ale twórczem i mającem w sobie ciepło rodzime. Są to dwa światy, odgródzone od siebie duchową przepaścią, niezdolne zrozumieć siebie nawzajem, jak ubolewał *Kajetan Koźmian*.

Nasuwa się szereg pytań, których nie dotknął Baliński. Jakim sposobem stało się, że system wychowania, ułożony przez komisją edukacyjną i pod wyłączną ludzi Stanisławowskich zostający dyrekcją, wydał pokolenie odmiennych zasad i wyobrażeń? Czy system ten wychowania, dzisiaj jeszcze bezwzględnie chwalony, odpowiadał potrzebom narodowym? Czyż ukryta w nim niereligijność, z której nawet ludzie światlejsi nie zdawali sobie sprawy, nie była głównym powodem, że młode pokolenie poszło błędnymi torami? Nareszcie mógł także *p. Straszewski* stosunek *Śniadeckiego* do *Jezuitów* białoruskich, wystawiony niedokładnie i jednostronnie przez *Balińskiego*, poddać nowemu rozbiorowi, bo i tam chodziło o ważną sprawę krajowej oświaty.

Druga część książki zajmuje się *filozofią Śniadeckiego*. Usiłuje tam autor podnieść znaczenie uczonego rodaka i przyznać mu słuszość przeciw *Kantowi*. W istocie ozią wątpliwą dotąd sławy filozoficznej *Śniadeckiego* jest pytanie: czy zrozumiał *Kanta* i czy miał rację wystąpić przeciw niemu? Autor, choć zdaje się z natury pojednawczego usposobienia, bardziej na stronę *Śniadeckiego* się przechylił. Może w tem posunął się za daleko. Wiedząc, że liczni pisarze z lekceważeniem wyrażali się o jego bohaterze, chciałby mu przywrócić najzupełniejszą sławę. Pamiętajmy jednak, że uwłaczyciele należeli do pokolenia młodego, walczącego zacięcie przeciw staremu, a we wojnie korzysta się z każdej broni. Niesprzyjanie romantyzmowi lub niemieckiej filozofii wystarczało, aby odsądzonym być od wszelkich zasług obywatelskich i naukowych. Wracając dzisiaj te ostatnie, komu się należą, strzeżmy się przesady. Mógł *Śniadecki* nie zrozumieć *Kanta* a być wielkim uczonym i większym jeszcze obywatelem. Wszak nie dla filozofii swojej sławy dążył, lecz dla gruntownej znajomości astronomii, a jeżeli ta za granicą stanowi dotąd główną jego reputacyi podstawę, to nam jego rektorstwo niesłychanie droż-

szem jest, aniżeli oglądanie nieba. Gdybyśmy nawet odsądzili go zupełnie od nazwy filozofa, oddając mu wet za wet, bo tak samo postąpił sobie z *Kantem*, żadna ztąd nie stanie się ujma jego sławie narodowej, jego zasługom w krajowej oświeceniu. *Kant*, wykreślony z katalogu filozofów, spada do rzędu marzycieli, lub nawet sofistów, *Śniadecki*, nawet gdy się okaże, że nie był filozofem, pozostanie na zawsze wytrawnym astronomem i matematykiem, wielkim obywatelem, niezrównanym organizatorem wychowania publicznego.

Dzieła królewieckiego filozofa były niewątpliwie wstrętne *Śniadeckiemu*. Przywykłemu do francuskiej jasności i elegancyi nie bardzo były do smaku styl ciężki i nazwy ciemne; astronomowi, który najlepsze lata swoje strawił na badaniach empirycznych, suche, aprioryczne wywody musiały wydawać się pozbawionemi wszelkiej rzeczywistej podstawy. Tłómaczy to poniekąd *Śniadeckiego*, ale nie uniewinnia, bo w tak ważnej sprawie, jaką jest osądzenie wielkiego myśliciela, nie wolno powodować się jakąś tam antypatyą lub zrażać się trudnościami stylu. Tak błahemi jednak powodując się względami, rektor wileński odsądził *Kanta* od czci i wiary, usiłował jednego z najpokorniejszych i najuczciwszych myślicieli zabić w opinii młodego pokolenia, które przecież bardzo wiele od niego nauczyć się mogło. Paszkwilowi, w tym celu ogłoszonemu, dał napis „o metafizyce“, o której miał bardzo niemetafizyczne pojęcie. *Straszewski* sam wyznaje, że swoich zarzutów nie uzasadnił gruntownie: są one raczej gołosłownie tylko wypowiedziane i to w tonie nader *Kanta* lekceważącym. (str. 219).

Drugim z pism polemicznych z filozofią *Kanta*, jak mówi autor książki (str. 204) a jak mówić nie można, gdyż ani z filozofią nie mógł się sprzeczać *Śniadecki*, ani z *Kantem*, który już był w grobie — jest znana rozprawa „o filozofii“. Mamy w niej dawne zarzuty a nowe obelgi, tem nieprzyjemniejsze, że przeciwnik już nie żył. I znowu wyznaje p. *Straszewski*, że powtarza zarzuty „najczęściej apodyktycznie, bez należytego poparcia, jakoby rodzaj wyroku na obwinionego“ (str. 227). A gdy praca ta wzięła słuszną odprawę w Pamiętniku Lwowskim, ukazał się „przydatek do pisma o filozofii“, wedle p. *Straszewskiego* „najważniejsze i najgruntowniejsze“ pismo w polemice z *Kantem* (t. j. we wystąpieniu przeciw niemu). Zbytnie pobłażając bohaterowi swemu, nie dostrzegł autor, że ta trzecia praca nie więcej warta od dwóch poprzednich. Wartość bowiem jakiejś krytyki nie zależy od kilku choćby uzasadnionych zarzutów, jeżeli te nie głównego błędu, lecz tylko drugorzędnych czepiają się usterków. Mógł *Śniadecki* wykazać kilka stron ujemnych w krytyce czystego rozumu, ale nie zrozumiawszy jej myśli głównej! ani nic ważnego przeciw niej nie przytoczywszy, nie zasługuje

na tytuł poważnego sędziego. Gdyby *p. Straszewski* był mniej rozwlekłym a bardziej surowym dla filozofii wileńskiej, byłby niewątpliwie poznał, że długa obrona *Śniadeckiego*, mimo chwiejności swojej w końcu przyznająca mu rację, w oczach uważnego czytelnika wychodzi na jego potępienie, a obrońcę stawia ze sobą samym w sprzeczności.

Jeżeli *Śniadecki* „nie zadał sobie dosyć pracy, aby *Kanta* do gruntu zgłębić” (str. 213), jeśli „nie był zdolny do wykrycia tej myśli, która we filozofii *Kanta* była rzeczywiście nową” (str. 232) jeżeli czasem myśli *Kanta* fałszywie sobie tłómaczył (str. 238), jeżeli nareszcie „nie dopatrzył się przewodnich myśli we filozofii *Kanta*” (str. 210), to bezstronny czytelnik, byleby rozrzucone tu i owdzie sądy zachował w pamięci, wyciągnie ten wniosek niechybny, że krytyka *Kanta* podjęta przez *Śniadeckiego*, jest bezzasadną i niesprawiedliwą, bo drugi nie zrozumiał pierwszego a nawet nie zadał sobie dosyć pracy, aby go zrozumieć dokładnie.

Rzeczywiście miał *Śniadecki* bardzo liche wykształcenie filozoficzne. Starożytnej filozofii nie znał wcale lub coś o niej połapał z drugiej albo z trzeciej ręki. Nic w jego pismach ani życiu nie pokazuje, że się rozczytał w Platonie i Arystotelesie i tych dwóch największych ludzkiej myśli przedstawicieli przyswoił sobie należycie. Śmiałem pociągnięciem pióra przemazał dzieje helleńskiego i średniowiecznego myślenia, to jest lat dwa tysiące, i poprzestał na kilku francuskich i angielskich sensualistach i naturalistach, dodawszy do nich kilka okrucich z *Leibniza*, kilka nie bardzo lotnych poglądów szkoły szkockiej. Czyż wtedy zdziwimy się, że naukę *Kanta* uważał „za Platonizm, podłatany myślą Pytagorasa, zamieniony na dogmatyzm, zalany wszystkimi brudami scholastycyzmu.”?

Przekonany jest autor, że astronoma naszego nie odpychała w *Kancie* treść nauki, lecz metoda i styl (str. 207). W istocie spotykamy się w „filozofii umysłu ludzkiego” z niejedną myślą godną *Kanta*, zwłaszcza w teorii czucia i pojmowania. Tłómaczę to sobie wpływem Jędrzeja, który będąc fizyologiem lepiej poznał się na *Kancie* i niejedną myśl, której Jan strawić nie mógł w niemieckim oryginale, podsunął mu na nowo pod formą przyjemniejszą. Mimo to sam *Śniadecki* nie byłby zgodził się na sąd *p. Straszewskiego*, gdyż nie tylko dla metody, lecz i dla treści odrzucał naukę *Kanta*, bo mu się zdawała urojona. I dziwna rzecz, że *p. Straszewski* jak często, tak i tym razem sam ze sobą w sprzeczce, to samo mówi na str. 239, zarzucając *Śniadeckiemu*, że nie tylko metodę, lecz i treść nauki Kantowskiej potępił.

Poczytuje *Kantowi* za grzech wielki *p. Straszewski*, że scholastyczną, lub raczej arystotelesową różnicę między materią a formą przeniósł do teorii wiedzy ludzkiej. Powiada ra-

zem ze *Śniadeckim*, że to wyraz ciemny, dwuznaczny, trudny do zrozumienia. Własnym jednak stwierdza przykładem, że łatwiej ganić, aniżeli zrobić lepiej. *Kant* nazwał przestrzeń *formą widzenia*, a p. *Straszewski* sposobem pojmowania (str. 235). Pytam czy *sposób jaśniejszy od formy*? A *Śniadecki*, mający zawsze pretensją do jasności, mówi, że *materyały* pojęć są w stworzeniach świata a *fundament* w konstytucyi duszy. Czyż *materyały* i *fundament* są lepiej określone od *formy* i *materyi*? Jest więcej podobnych wyrażen w *Śniadeckim*, na pozór jasnych, w rzeczy samej ciemnych. Mógł zresztą tu i owdzie *Kant* niesłusznie zastosować do swoich pomysłów scholastycznej kategorii, przez co jednak nic ona nie traci ze swej wartości. *Śniadecki* nie poznał się na niej, gdyż o prawdziwej scholastyce nie miał wyobrażenia; ale dzisiaj po pracach historycznych *Rittera*, *Ueberwega*, *Stoeckla*, *Jourdain'a* i tylu innych, nietylko dla scholastyki wielki szacunek mieć należy, lecz i dla kategorii formy i materyi, która po raz pierwszy uchwycona przez geniusz mędrca ze Staginy, później przez koryfeuszów scholastyki wielce udoskonalona, przeszła do życia kościelnego i wielowiekową ustaliła się tradycją. W każdym sakramencie chrześcijańskim spotykamy się z formą i materją — lekceważyć żadną miarą nie można, co za sobą ma tak ogromną, tak starodawną powagę.

Pomijam wiele innych szczegółów a nawet całą „*filozofią umysłu ludzkiego*.” Trzebaby na nią odpowiedzieć rozprawą, nie kilku stronicami, a powątpiewać się godzi, czy popłacałaby praca taka. Są w niej rozrzucone trafne myśli, ale daleko w niej więcej błędów, z których kilka autor sumiennie wykazał. Na uznanie zasługuje także pilne jej porównanie z książką podobnej treści *Stewart'a*. Punkt jeden chciałbym poruszyć, drażliwe pytanie, czy był *Śniadecki* sensualistą? *Struve* odpowiada, że nim jest, autor zaś stanowczo temu zaprzecza. Inni, którzy pisali o tej sprawie, albo za pierwszym idą, albo za drugim. Sądzę, że tak o *Śniadeckim*, jak o wielu innych filozofach polskich trudno powiedzieć, czem właściwie są. Zdarza się np. że ktoś razem z Bogiem osobistym przyjmuje także konieczność stworzenia. Jakże go przekonasz, że jest panteistą? Wszak wierzy w Boga osobistego. To też nazywając go panteistą, nie mówisz właściwie, czem jest, lecz czem by był, gdyby chciał być konsekwentnym.

W położeniu podobnem są krytycy *Śniadeckiego*. Za młodu był niewątpliwie *sensualistą* a przy schyłku życia raczej nim był, aniżeli nie był. *Struve* ma słuszność, zaliczając go do sensualistów, bo w każdej klasyfikacyi nie patrzy się na kilka rysów wyjątkowych, lecz na sumę przymiotów zasadniczych. Przypuszczał astronom wileński, że człowiek czuje, myśli i chce, z czego wyprowadza odrębność duszy ludzkiej,

bo to *hipoteza*, co wszystko tłómaczy. Nareszcie tworzy sobie człowiek moralny i społeczny porządek, a będąc związany ze światem zewnętrznym, czuje się także związanym z przyczyną wszech rzeczy t. j. Bogiem. Jakże pomawiać *Śniadeckiego* o sensualizm, skoro przyjmuje w człowieku życie duchowe i religijne, a senszualizm tylko zjawiska uznaje zewnętrzne? Jednakże nie prawdą jest, żeby senszualizm wprost negował zjawiska umysłowe, duchowe, wewnętrzne; twierdzi tylko, że między niemi, a zewnętrznemi zjawiskami nie masz istotnej różnicy. Ażeby oczyścić *Śniadeckiego* ze zarzutu senszualizmu, trzeba by wykazać, że fenomena wewnętrzne w jego mniemaniu mają zupełnie inny od zewnętrznych początek. Tego jednak autor nie uczynił. Z drugiej strony nieodróżnianie czucia od pojmowania, niższych zmysłowych władz od wyższych dusznych, nareszcie kategoryczne oświadczenie, że *wszystkie poznawania nasze są tylko dociekaniem, jak się mają jedne ciała względem drugich i względem nas*, usprawiedliwiają dostatecznie zarzut prof. *Struve'go*.

Najczęściej sensualista, byleby chciał być ze sobą w zgodzie, będzie także pozytywistą. Jeżeli pozytywiści uważają *Śniadeckiego* za swego, mają do tego najzupełniejsze prawo. Kto razem z nim cały materyał wiedzy ludzkiej znajduje w zmysłowych wrażeniach, a wrażenia uważa za wypadek stosunku ciał czy do siebie nawzajem czy do czucia naszego, kto nareszcie wszelką wiadomość ludzką za względną uważa, za oderwaną od zjawisk zmysłowych, dlatego istnieją tylko ciała i ciał odmiany, a nie masz pomostu żadnego od wrażeń do prawd niezmiennych, od zjawisk do istot, od materyi do ducha, od świata do Boga.

A *fenomen ogólny*? zapyta czytelnik. *Straszewski* uważa go za jedną z największych zasług *Śniadeckiego*, *Struve* za sofizmat, ja tylko za złudzenie, którem autor „*filozofii umyśłu ludzkiego*“ chciał swemu empiryzmowi dodać nieco idealnej rzeczywistości. Fenomen nigdy nie może być ogólny, ale mogą być fenomenów prawa ogólne. Te jednak według teorii *Śniadeckiego* rozumowi są nieprzystępne, bo nie działają na zmysły. Złudzenie jego tem się tłómaczy, że pojęcie ogólne od kilku zjawisk oderwane, a potem nowemi zjawiskami stwierdzone, wydaje się jemu prawdziwszem od pojęcia, któremu brak takiego potwierdzenia. Natura jednak względna i zmysłowa ogólnego pojęcia przez to wcale się nie zmienia, nie przechodzi w prawdę powszechną, bezwzględną, bo na to potrzebaby wszyskie bez wyjątku fenomena sprawdzić, co dla empiryka istnem jest niepodobieństwem.

Nie mogę w końcu zgodzić się z autorem na to, że w pismach *Śniadeckiego* jest wiele myśli filozoficznych, dzisiaj jeszcze *żywotnich* (str. 314). O jednej z nich, o fenomenie

ogólnym już wspomniałem. Pojęcie zaś filozofii jako osobnej nauki o ludzkim umyśle znosi samą treść filozofii. Empiryczna psychologia należy do nauk ścisłych, przyrodniczych, ale filozofią nie jest. Ta ma główne podwaliny swoje w metafizyce, a metafizyki *Śniadecki* nie znał. Przypuszczał jakąś sumę ogólnych prawd, oderwanych od nauk specjalnych. Któż jednak nie widzi, że na tej drodze nie dochodzi się do metafizyki, lecz co najwięcej do szeregu *metafizyk specjalnych*. Ale te metafizyki specjalne są nowem złudzeniem, bo do wydobywania, że tak powiem, kwintesencji z jakiejś nauki specjalnej, potrzeba już mieć gotową metafizykę, powszechną, któraby przewodniczyła tej trudnej operacji. Zamiany przeto *Śniadeckiego*, przeprowadzone konsekwentnie, doprowadziłyby do najzupełniejszego pozytywizmu, do zniesienia wszelkiej metafizyki. I dopiero po nieczasie przekonaliiby się badacze o prawdziwości głębokiej myśli *Teodora Jouffroy*, iż goła indukcja ani od zjawisk wewnętrznych nie dojdzie do pojęcia duszy, ani od zjawisk zewnętrznych do pojęcia Bóstwa.

Subiaco, w sierpniu.

Dr. P.

Ks. Król Michał, Dr. teol., prałat kap. tarnow. Sieroty Zebrzydowskiego, czyli akademicy krakowscy, powieść historyczno-moralna. Tarnów 1876, 8vo większe, VI. 453.

Tytuł trochę dziwny: „powieść moralna“. Jak gdyby autorowie powieści niemoralnych wypisywali na tytule, że są niemoralnie! Może to ma znaczyć: obyczajowa? O, wcale nie: choć rzecz dzieje się w wieku XVII, obyczajowa strona wzięta jakby z dnia dzisiejszego. Rzeczywiście więc autor chce nas uprzedzić, iż utwór jego jest moralnym, obyczajnym. Nie mamy nic przeciw temu, owszem wdzięczni jesteśmy i bardzoby nas martwiło, gdyby ktoś z powodu tych słów podejrzewał recenzenta o tendencje niezgodne z dobrymi zasadami. Tylko nie możemy przystać na wkraczanie autorów w prawa nasze i pisanie krytyki dzieła w samym tytule. Wszak powieść moralna nie jest osobnym rodzajem powieści, lecz nazwanie to już zawiera ocenę, pochwałę i wychodzi na to samo, jak gdyby kto zatytułował swój utwór: komedia dowcipna, lub tragedia rozczulająca.

Mniejsza o etykietę: przejdźmy do treści. Pomysł wcale dobry i zręczny. W czasie napadu Tatarów na Ukrainę roku 1595, Tadeusz Kordecki majątny szlachcic z Podola u samej granicy ukraińskiej, zebrawszy garstkę okolicznych mie-

szkańców, próbuje stawić hordzie opór. W walce nierównej zwyciężają najeźdźcy, niszczą dom jego i dobytek, zabijają żonę tulącą do łona dwoje małych dzieci, a jego samego uprowadzają w jasyr trwający lat dziesięć. Tymczasem dwoje sierot (które zatem powinnyby być nazwane sierotami Kordeckiego) skaleczonych tylko strzałą, która przeszła matkę, zdołano uratować i oddano pod opiekę wojewody krakowskiego Mikołaja Zebrzydowskiego. Młodsza Zofia wzięta na wychowanie przez wojewodzinę, po tajemniczem teź zniknięciu umieszczoną została w zamku zebrzydowskim pod okiem żony tamtejszego rządcy, tak zwango rejenta i burgrabiego Drągowicza. Starszy zaś Konstanty adoptowany przez szlacheica z okolicy, Sierockiego, kończąc nauki w akademii krakowskiej nie tylko nabył głęboką wiedzę, ale wyrobił się na zacnego i wzorowego młodzieńca. Jego dozorowi oddawano różnych młodszych kolegów, i tym sposobem poznał się i zaprzyjaźnił z synem rejenta zebrzydowskiego Władysławem, którego charakter nadzwyczaj wiele ztąd zyskał. Odwiedziwszy podczas wakacyj swego przyjaciela w Zebrzydowicach, poznaje Konstanty niedawno przybyłą Zofią i wpada na ślad domysłu, iż to może jest właśnie jego siostra. Dlaczego odrazu nie nabył pewności i jakim sposobem nikomu z opiekunów ten stosunek sierót nie jest znanym, rzecz niewytłómaczona; dość że zaledwie miał czas Konstanty zainteresować się młodą osobą, a Władysław nawet zakochać w niej trochę, kiedy zamącił ich ciche życie straszny wypadek.

Było to w chwili rokoszu Zebrzydowskiego; Rzeczpospolita szarpana wojną domową, nie mogła utrzymać porządku publicznego. Na podgórzu karpackiem, w pobliżu samej stolicy rozgościły się bandy opryszków. Okolica prrzd dwoma wiekami osławiona rozbojami Włódkowej Skrzyńskiej i teraz znów jęczała pod strachem kobiety, Maronki, rozbójniczki z Węgier rodem. Ta prowadząc handel kobietami dla Turków w Węgrzech rozgoszonych, zapragnęła posiąść i piękną Zofią. Jednego dnia Zofia zniknęła z zamku Zebrzydowskiego. Poszlaki padły na żyda arendarza; ten naprowadził na ślad opryszków; Konstanty postanowił udać się za niemi w pogoń. Wsparty pomocą boską, prawie cudowną, (a dodajmy w nawiasie: w sposób dziwnie nieprawdopodobny) i wszechstronnem swem wykształceniem, sam prawie bez niczyjego udziału wytropił zbójców, wydarł Zofią z ich gniazda, a ich samych oddał w ręce sprawiedliwości.

Rozgłos jego czynu ściągnął do Krakowa i starca Kordeckiego, który dopiero co zdołał wydostać się z jassyru i odebrał z rąk poczciwych sąsiadów w porządku utrzymaną fortunę. Nam jego przyjazd do stolicy wydaje się trochę naciągany; dobrze jednak, że on się na to inaczej zapatrywał, gdyż byłby

nie poznał swego syna w bohaterze słynnej awantury i swej córki, tą bowiem jest odbita zbójcom ofiara. Wkrótce umiera zostawiając biednym dotąd sierotom znaczny majątek. Zofia przyrzeka swą rękę Władysławowi, Konstanty zostaje księdzem, i jest prawdopodobnie późniejszym bohaterem częstochowskim.

Oto grubej księgi krótka treść, opowiedziana w porządku chronologicznym i oczywiście z opuszczeniem mnóstwa mniej lub więcej zajmujących epizodów, jak historia rokoszu Zebrzydowskiego, przesłuchanie świadków i sprawców napadu i szczególnie wytropienia zbójców.

Jedną z rzeczy nie mniej ciekawych jest historia naszej historii, której dowiadujemy się z przedmowy. Otóż powieść ta nie jest dziełem autora podpisanego, lecz przezeń jedynie do druku została przygotowana. Manuskrypt zaś jej nabył autor (czyli redaktor) od pewnego starca w r. 1846, któremu dostał się w spuściźnie po bardzo wiekowej babce. Pochodzić miał z ruin Lanckorońskiego zamku i datował może z epoki współczesnej zdarzeniom opisywanym. Nie mam zwyczaju czytać sumiennie przedmów, sądząc z Krasickim, że najczęściej są albo zbyt techniczne albo kłamliwe. A cóż dopiero przedmów do powieści. Tym razem odstąpiłem od zwyczaju i nie żałuję tego. Z większą bowiem śmiałością występuje recenzent, gdy ma pewność, iż uwagi jego nie dotyczą znanego z nauki i szanowanego w kraju kapłana dygnitarza, lecz nieznanego autora z przed dwu wieków.

Ks. Prałatowi jeżeli śmielibyśmy co zarzucić, to tylko to, iż zbyt oględnie obszedł się z manuskrytem. Kiedy już nie podał rzeczy żywcem, jak była w rękopisie, lecz zestawiał, uzupełniał, i poprawiał, czemuż nie zadał sobie jeszcze trochę więcej pracy, aby uporządkować i poprawić wszystko co należało. Czemu nie poopuszczał ustępów, zawierających powtórzenia rzeczy już opowiedzianych. Metodą bowiem niewiedomego pisarza było widocznie, każde ważniejsze zdarzenie opisać naprzód, jak gdyby je naocznie był widział, a potem kazać opowiadać przez którego z uczestników, czasem przez kilku po kolei. Prosimy tylko porównać n. p. str. 53 — 56 z opowiadaniem porucznika (str. 83 i następ.) o nieudanym pierwszym napadzie rabusiów na zamek zebrzydowski, wykrycie przez ks. proboszcza udziału arendarza w napadzie (190) i śledztwo z żydem (214), odszukanie zbójców i audyencją u króla, podczas której Konstanty znów to samo opowiada. Takich równoległych ustępów możnaby przytoczyć jeszcze wiele. I dobry to sposób wbijania czytelnikowi w pamięć wybitniejszych szczegółów, tylko że daleko krócej raz rzecz opisawszy, na końcu dodać *bis*.

Dalej czemuż wydawca redagując powieść nie zmienił ustępów, rażących nieprawdopodobieństwem psychologicznym,

jak ów na początku *Oddziału II*, gdzie Konstanty obudzony w nocy alarmem, biciem w dzwony i ogólnym rozruchem w Zebrzydowicach poskoczył ku oknu, „lecz niemogąc się doczekać człowieka coś mogącego o wypadku wiedzieć (sic) położył się i na nowo zasnął.“ Czemuż nie zawołał lub nie wybiegł na dwór, zdrowy, młody człowiek? Dlaczego nie zmodyfikowano takich śmiesznych przesadną pruderyą szczegółów, jak ów, gdy po długich ceregielach uproszona Zofia, aby przyszła do konfrontacyi, mając pokazać bliznę, „spłonęła rumieńcem i oczy sobie zakryła“ gdyż trzeba było przed ojcem i bratem odkryć naga..... „rękę między dłonią a łokciem.“ A wreszcie jakże można było poprawiając błędy polszczyzny, zostawić jeszcze tyle, iż druga książka powstałaby z samego ich spisu. Nie mówiąc o niegramatycznej konstrukcyi zdań i złym szyku słów, wytkniemy tylko na próbkę parę wyrażen jak: *pamiętać i zapomnieć na co, uczciwy* stale zam. pocziwy, w *rokosie* Zebrzydowskiego, *lekcey, wzdychnąłem, obom* zam. obu w śmiech *gruchnąwszy, chmura snuje się na podniebieniu, zkąd ojca wytrzasnąłeś*, przyłożył na wrzoda, *krześć* zam. trzeźwić. Dodajmy do tego już nie złą, ale nieprzyzwoitą korektę, w której przecinki ostały się w środku każdego zdania, lecz za to pomiędzy zdaniami zamiast wykrzykników i dodajmy, że brak zupełny średnika, dwukropka i cudzysłowu, tak że między opowiadaniem a dyalogiem (dość już w samym tekście poplątanych ze sobą), żadnej widomej granicy nie ma, zwłaszcza że *alineę* zawsze w nie swoim miejscu, zbierzmy to wszystko, a łatwo sobie wyobrazić, z jakimi przyjemnościami jest połączone czytanie tego foliału. A wielka szkoda, gdyż naszym zdaniem uczyniwszy wskazane powyżej ulepszenia, można było z łatwością utworzyć z tego materiału książkę o połowę mniejszą, lecz nierównie więcej zajmującą.

St. Tomkowicz.

(„*Poètes illustres de la Pologne au XIX siècle. Adam Mickiewicz. — Monsieur Thadée de Soplica, ou „le dernier procès en Lithuanie sui generis, Récit historique en douze chants, par Adam Mickiewicz. 1ère partie. Paris. Typographie de Plon et Cie. 1876.*)

„*Justum ac tenacem propositi virum*“ nie, jak dawno wiadomo, nie wstrzyma od wykonania szlachetnego przedsięwzięcia. Że ani rozkazy wzburzonego pospólstwa, ani gniewne oblicze tyrana, to nam jeszcze Horacy powiedział. Ale czego

on nie przypuszczał zapewne, a co nam dziś jawnie się pokazuje, to, że są wytrwałości niezłomne, są nieustraszone odwagi, których heroizm, pewien siebie i na wszystko poświęcony, nie ułęknie się niczego, nie cofnie przed niczem i w wzniosłym poczuciu swojej misji dąży do celu, nie zważając na względy straszniejsze jeszcze niż „*das Volk im seinem Wahn*,” niż Mariusz lub Sulla otoczony zgrają liktorów. Mów mu o poszanowaniu rzeczy szanownych, on nic: o czci tego, co jest świętem i powszechnie czczonem, on nic: mów mu o zdrowym rozsądku? on nic; o niedorzeczności, którą popełnia, on jeszcze nic: o śmieszności, którą się okrywa, on wierząc w siebie, a nie wierząc dobrym radom robi swoje: o wstydzie, który ściąga nie już na Polskę i jej literaturę (bo tego nie rozumie), ale na swoją dostojną osobę, on się jeszcze nie zleknie, nie zawaha, i zdaje się, że gdyby nawet „*fractus illabatur orbis*” pan *Charles de Noire Isle* tłómaczyć nie przestanie!

Czytelnicy nasi może sobie przypomną, jak na tem samem miejscu przed kilkoma miesiącami, kiedy wydał *Szwajcaryą* i *Przedświt*, prosiliśmy go i błagali, żeby miał litość nad poetami, których tłómaczy, nad poezją polską i jej dobrą sławą, nad czytelnikiem, nad sobą samym wreszcie, i żeby nie słuchał tej złej wróżki, którą bierze naiwnie za Muzę, a która znęca się nad nim tak niemiłosiernie. Nie było prośby, nie było zaklęcia, któregobyśmy nie byli użyli, nie było względu, któregobyśmy nie poruszyli, argumentu, któregobyśmy nie użyli, żeby trafić do jego głowy lub lepszego może od niej serca, do rozsądku, do pocziwego uczucia, do poszanowania siebie samego, do miłości własnej: od patryotyzmu aż do próżności i egoizmu próbowaliśmy przekonać go w imię wszystkiego, i wszystko nadarmo, wszystko, jak groch od ściany, odbija się od jego niezachwianej stałości, od jego imponującej pewności siebie, i dziś ten osobliwszy w swoim rodzaju bohater sprawy nieszczególnej zaiste, bo sprawy zbłaźnienia polskiej poezji, nie rad jeszcze, że już zbłaźnił przed obcymi Słowackiego i Krasińskiego, błażni Mickiewicza, śmie świętokradzką bezbożną łapą i jego jeszcze dotykać, śmie tłómaczyć na francuskie i drukować *Pana Tadeusza*!

Tylko tyle! Cóż z takim robić? Tłómaczyć mu, kłaść jak łopatą w głowę, że się porywa na nieswoje rzeczy, że nie ma najmniejszego uie już talentu ale wyobrażenia o pisanii, że jak król Midas w złoto, tak on swoim dotknięciem zamienia wszystko w karykaturę, w śmieszność, że grzeszy przeciw piękności i przeciw ojczyźnie, nie zdało się na nic. „Gadaj babo do konia” mówi przysłowie, koń nie usłucha, bo nie zrozumie, i na taki upór, na taką zarozumiałość, połączoną z takim brakiem wszelkiego zmysłu i uczucia, wszelkiej znajomości czy rzeczy czy siebie samego, w zwykłych środkach rady nie ma.

Trzebaby albo przymusu, zakazu, opieki prawa nad literaturą, czego nie ma, albo cudu, a cuda święci tylko, nie proszą ludzi robić umieją. Baba gadała do konia na darmo, ale św. Antoni Padewski, św. Franciszek z Assyżu radzili sobie jakoś w takich razach. Trzebaby prosić którego z nich, albo co jeszcze lepiej biblijnego Balaama, żeby poskromił tę upartą, zuchwałą muzę, i zmusił ją nie do mówienia (broń Boże!) ale do milczenia. Nie będąc świętym ani prorokiem, składamy broń przed jej zapamiętałą istotnie odwagą, kapitulujemy, i umywszy sobie ręce od tej sprawy, do szanownego tłumacza nie stracimy już ani jednego słowa. Nie będziemy powtarzali, cośmy już dość wyraźnie i zrozumiale powiedzieli, że ktoby się naumyślnie na to usadził, nie potrafiłby tłumaczyć gorzej od niego, że takie tłumaczenia są zniewagą polskiej poezji, a przez to krzywdą wyrządzoną Polsce samej, że trzeba być obranym z sumienia, żeby się takiego uczynku dopuścić, że zranionego i powalonego o ziemię lwa może kopać kto chce, ale wiadomo, czem jest ten, kto go kopie: nie, dość już tego: o poważnej, smutnej, oburzającej stronie tych przekładów, która, mieliśmy nadzieję, że trafi przecież do uznania i przekonania tego Pana, mówić już nie będziemy. Niech sobie robi co chce, dopóki jaki święty nie zmiłuje się nad nim i cudu nie robi. Ale dla pociechy czytelnika kilka wyjątków z tego tłumaczenia przecież przytoczyć możemy.

Pan Tadeusz! My to wiemy kochany czytelniku, my, którzy do wierszy i tłumaczenia się nie rwiemy, że nie ma nic w poezji polskiej, coby trudniej od niego na obcy język tłumaczyć się dało: nic, co w obcym języku tak trudno dobrze wydaćby się mogło. Że tak wyłącznie, tak specyficznie polski, Pan Tadeusz nawet w zrozumiałym dla nich języku jeszcze byłby dla cudzoziemców nieprzystępny, a bojąc się czy go ocenić i w nim sobie podobać zdołają, wolelibyśmy, iżby nie znali go wcale, niżby się na nim poznać nie mieli, i profanować nie pochlebniemi uwagami to, co wzniesione jest nad wszelką krytykę. My wiemy, my, co zbyt poezją szanować i znać się na niej umiemy, byśmy niepowołaną ręką targać się na nią śmieli, że tylko wybrany kochanek muz, przez Boga na poetę stworzony człowiek mógłby *Tadeusza* tłumaczyć a nie zepsuć go: że w każdym jego ustępie, w każdym jego słowie jest tyle sztuki, w każdej figurze tyle życia, w każdym opisie tyle mistrzostwa, iż tylko mistrz, tylko wielki artysta mógłby zrobić znośną kopię tych obrazów: że chcąc tłumaczyć *Tadeusza*, trzeba tak prawie jak tłumaczyć Homera, być samemu epikiem, nie w tem znaczeniu, iżby mieć tę samą co on potęgę wyobraźni, ale tak, iżby w formie przez tłumacza nadanej nie ginęła plastyczność i żywość jego pomysłów, postaci i opisów. My to wiemy, i dla tego wahałibyśmy się długo, długo liczy-

libyśmy się z siłami, długo modlilibyśmy się o zdolność i natchnienie, nimbyśmy się do tłumaczenia jego posunąć odważyli. Ale są szczęśliwi, którzy o niczem nie wątpią, a o sobie najmniej, i z lekkim sercem a głową prózną wszelkiego wyobrażenia o sztuce, o stylu, o wierszu, nawet i o gramatyce czasem, zasiadają do stolika z ćwiartką papieru i egzemplarzem poematu przed oczyma, i kontenci z siebie tłumaczą Tadeusza. Mści się też zaraz to bezczelne zuchwalstwo nie na nich niestety! na ich ofierze, na biednym poemacie. W pierwszych pociągach pióra, w pierwszych słowach znać wyraźnie potężny szpon tych lwów literatury, a ich piękna zdolność rozlewa się brudną plamą śmieszności na pierwszej zaraz stronicy, choćby na samym już tytule pomienionego dzieła. Nasz tłumacz naprzykład widocznie długo się namyślał i „tęskniąc sobie zadawał pytanie,“ jak też przetłumaczy na francuskie *ostatni zajazd na Litwie*. Zajazd? hm. Zajazd? to ani proces, ani wyrok, ani rozbój, ani wyprawa, ani nawet angielski czy amerykański *lynch*: jak tu Francuzom dać wyobrażenie, co to jest? Nareszcie znalazł, *εὑρηκα!* Znalazł nowy Archimedes i ucieszył się: znalazł, że sposób jedyny, żeby Francuzom dać wyobrażenie o zajęździe, będzie, wyobrażenia tego nie dać im wcale, tylko dać do zrozumienia, że to sprawa o własność osobliwszego rodzaju. Żeby zaś tego osobliwszego rodzaju długo nie opisywać, co mogłoby być nudnem i w tytule niewłaściwem, uciec się do wybiegu i powiedzieć po łacinie: „*procès sui generis*.“ Będzie wybornie: będzie krótko, a co więcej dowcipnie, humorystycznie. Czytelnik widząc tę wtrąconą łacinę, widząc tę miłą poufałość, w jaką tłumacz zaraz z góry z nim wchodzi, odgadnie łatwo, że nie chodzi tu o jakiś proces skandaliczny lub tragiczny, i usposobi się sam wesoło, widząc że tłumacz wesoło się uśmiecha.

Rzeczywiście, zdaje nam się, że widzimy ten rozkoszny uśmiech zadowolenia z siebie, jaki się rozlał po obliczu tłumacza, kiedy tak szczęśliwie wybrnął z trudności i wynalazł to genialne „*sui generis*.“ Jak on sobie winszował! jak on był z siebie kontent i dumny! jak się cieszył swoim niezrównanym dowcipem, przez który tak gładko się wywinął z tak ciężkiego kłopotu. Niech żyje spryt! bodaj to rozum! czołem przed pisarskim i poetycznym talentem! My, czytelniku miły, my prości ludzie nigdybyśmy nie podobnego wymyśleć nie zdołali, na to trzeba już mieć dar osobny. Ale jak Filaminta czy Beliza z jednego „*quoiqu' on dit*“ przeczuła niezrównaną doskonałość sonetu Trssotina, jak z zachwycenia omal nie wpadła w mdłości, tak my z tego jednego *sui generis* już odgadliśmy, jaki będzie cały przekład Tadeusza, już chcieliśmy, jak ona, tłumacza uściskać, już przed otwarciem książki w uniesieniu klaszczemy w dłonie, powtarzając z roz-

czuleniem i zapalem: *sui generis, sui generis*, ach! *sui generis!*

Istotnie, nie zawiodła nas nadzieja: dzieło godne tytułu, może jeszcze od niego lepsze. Ale cierpliwości, nie odrazu dochodzi się do niego. Przezorny i sumienny tłómacz poprzedził je, gwoli niewiadomości francuskiego czytelnika i dla jego nauki, przedmową, z której tenże nieumiejętny Francuz dowiaduje się wielu rzeczy potrzebnych i ciekawych, jak naprzykład, że król Stanisław August nie umiał dobrze mówić i pisać po polsku (!), że Mickiewicz odcięty był od żywota matki na książce, z której to „*étrange circonstance*,” kobieta pielęgnująca matkę wywróżyła zaraz dziecku świetną przyszłość literacką, że w dzieciństwie swoim Mickiewicz chował się w Kownie, że *Odyssea* opisuje głównie „wdzięki, powaby i słabości kobiety” (*retrace surtout les charmes, attraites et faiblesses de la femme*), że *Tadeusz* napisany był między Paryżem a Rzymem, że cesarz Aleksander I zachwycony talentem Mickiewicza pozwolił mu wyjechać z Rosyi za granicę... i wielu innych pięknych rzeczy. Nam się zdawało, że Stanisław August umiał i nawet bardzo dobrze mówił i pisał po polsku, że cała ta połogowa historia i wróżba dla Francuzów obojętna, że (nie mówiąc już o *Odyssei*) cesarz Aleksander umarł w r. 1825, a Mickiewicz wyjechał za granicę w 1829, ale nie sprzeczamy się oczywiście, wierzymy, że tłómacz wszystko wie najlepiej, i liczymy na to, że kiedyś jeszcze sprostuje on nasze błędne mniemania i nauczy nas: kiedy naprzykład Aleksander umarł a Mikołaj wstąpił na tron rosyjski, tak jak w przedmowie do *Przedświtu* już nas wspaniałomyślnie nauczył, że Rakoczy był *Hospodarem wołoskim*, i wielu innych rzeczy, o których bez niego nie byłoby nam się ani śniło.

Przychodzimy wreszcie do samego poematu. Nie całego niestety! Sześć pierwszych pieśni dopiero dał tłómacz spragnionej, utęsknionej publiczności, a i te nie w zupełności przetłóżył, przynajmniej nie w zupełności wierszem. Skromność jego sprawiła, że nie ufał sobie, nie czuł się na siłach do podjęcia tak wielkiego zadania, i wiele ustępów zostawił w prozaicznym tylko przekładzie, bądź własnym, bądź pożyczonym od pana Krystyna Ostrowskiego. Szkoda jest wielka, niepowetowana: ale szczęściem mamy się jeszcze czem pocieszyć. To co najważniejsze, co najpiękniejsze, to dobroczynny, wspaniałomyślny tłómacz odział w uroczą formę swego wiersza i tak nam do podziwiania podał.

Jakżeż bo nie podziwiać, kiedy się widzi tak szczęśliwe przerobienia oryginału, jak następujące naprzykład:

„Par un égal miracle,

„Comme lorsque autrefois votre protection

„Daigna rendre la vue, admirable spectacle!

„A mes yeux recouvrant lumière et vision,
 „Et remerciant Dieu de la grâce divine
 „Par ma mère obtenue aux pieds de votre autel.“

Admirable spectacle! nie ma co mówić. Czytelnik nie tylko poznaje z przyjemnością żywcem oddany ustęp „jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,“ ale jeszcze w dodatku dowiaduje się, że mały Mickiewicz w przypadku swoim stracił wzrok (dziwny zaiste skutek przewrócenia!), przypatruje się z pobożnem zbudowaniem, jak *vision* rymuje z *protection*, dziwi się, że oczy odzyskując „la vision“ dziękowały Bogu, uczy się składać dzięki „Bogu“ za jego łaskę „boską,“ i jeszcze dla rozrywki może się z ciekawością pytać, co było „obtenu aux pieds de l'autel,“ czy łaska, czy matka? Admirable, prawdziwie „admirable spectacle!“ A to dopiero sam początek, cóż będzie dalej?!

Dalej, i aż do końca, talent tłumacza jest sobie wszędzie równym, nigdy się nie zaprzecza ani nie zmniejsza. Nie będziemy się zatrzymywać nad tem, jak tłumacz opisując dwór Soplicowski, „le manoir d'un brave gentilhomme,“ radzi sobie przemyślnie na potrzebę rymu, dodając to, o czem Mickiewicz nieroztropnie zapomniał

„je vous dirai plus tard de quel nom il se nomme.“:

ani unosić się nie będziemy, choć nie brak nam powodu ani ochoty, nad stylem prawdziwie poetycznym, jakim tłumacz opisuje gospodarstwo Sędziego, obfitość „des céréales, albo

„D'outils neufs en tout genre, instruments et charrues
 „A l'exploitation des terres concourant,
 „Ameublissant le sol fertile en parts congrues.“

I to pominąć musimy niestety, że Tadeusz jak Hipolit w Fedrze jedzie „sur un char,“ że zajeżdża przed klassyczny *péristyle*, że jego rumaki (sic! „coursiers“) były „doux et beaux“, i wiele innych piękności. Ale tego już żadnym sposobem pominąć nie możemy, że pokoik Zosi i jego „nieporządek miły“ jak mówi Mickiewicz, „trahissait à l'envi la docte Muse en tout.“ Tego już Mickiewicz nie mówił: i gdyby dziś mógł usłyszeć, że jego biedną Zosię opisuje ktoś jako uczoną Mużę, zdziwiłby się zapewne niepomału.

Otóż przykład, jak tłumacz niezdolny, niezręczny, nie rozumiejący co tłumaczy, nie umiejący władać językiem ani wierszem, kiedy sobie z rymem rady dać nie może, nadstawia konceptem! Jak Mefisto uczy studenta w Fauście, że gdzie myśli zabraknie „da stellt ein Wort zur rechten Zeit sich ein,“ tak tu, gdzie rymu brak, w sam czas na to miejsce nasunie się: głupstwo! I czy to ten jeden raz tylko? Nie, przy-

padków podobnych jest bez liku, „ile piasku w morzu, ile dziur w przetaku“ tyle głupstw. Głupstw w *Pannu Tadeuszu!!!*

Możnaby jeszcze wspomnieć, jak Zosia biegnąc po ogródku zostawiała na piasku ślady swego wielkiego palca (orteil), jak goście jedli „chołodziec litewski“ „*en un silence extrême*,“ jak Telimena „tocząc się jak bilardowa kula“ „*en vitesse rivale*“ sparła się na ramieniu „*du jeune conscrit!*“ (Zkąd i dla czego Tadeusz został rekrutem? Nie rozumiesz czytelniku? To dowcip. Dowcip tłómacza, który ci tym sposobem daje do poznania dwie rzeczy: 1^o że Tadeusz jest nowicjuszem w miłości, 2^o, że jest rekrutem nowo zaciągniętym w szeregi wielbicieli Telimeny). Znowu głupstwo, i znowu dla rymu! Gdzieś tam o parę wierszy wyżej napisał *habit*, i do tego *habit* nie mogąc wyszukać rymu, dorobił *conscrit*, zaiste szczęśliwie! Ale to wszystko jeszcze mało. Proszę zgadnąć, jak ten genialny tłómacz przełożył „chart bez ogona jest to szlachcic bez urzędu.“ „Daremnie mówić, niktby muzie nie uwierzył,“ trzeba przytoczyć dosłownie:

„Chien sans queue est pareil à noble mal à l'aise.“

Mal à l'aise? Człowiek myśli, łamie sobie głowę, co to może znaczyć, czy może przypadkiem, i dla czego pies bez ogona podobny ma być do szlachcica, którego brzuch boli? Myślałby i do śmierci, i do sądnego dnia, a nie domyśliłby się nigdy, gdyby znowu szlachetny autor nie przyszedł na pomoc jego tępemu objęciu odsyłaczem, w którym naucza że „chart bez ogona“ i „szlachcic bez urzędu“ dałby się przetłómaczyć na francuskie wierniej lecz rubaszniej („plus juste, mais plus grivois“) przez:

Chien sans queue est pareil à noble c.. sans chaise.“

Na to wszystko ustaje, i podziwienie najgorętsze, i krytyka najśmielsza i najmniej parlamentarna, muszą onieміć, nie znajdując godnych słów admiracyi pour ce spectacle admirable!

Co się może dziać w głowie człowieka, który taką rzecz napisze, i jeszcze powie, że to byłoby wierniejszem oddaniem myśli Mickiewicza?

Z zalem wielkim wyrzec się musimy przyjemności i chłuby wskazania wszystkich piękności tego jedyne go w swoim rodzaju przekładu. „Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy,“ kto z nadludzkiem męstwem zmóc zdoła wszystkie przeszkody stylu, wiersza i dodatków i przedrzeć się do tego matecznika geniuszu, w którym lęgną się podobne temu arcydzieła? Ktoby zaś zuchwale zerwał się na tę heroiczną imprezę, ten jak ów „ogar zaciekły w pogoni“ „uciekałby sko-

wycząc z obłąkanym wzrokiem,“ i „długo potem drżałby strachem opętany.“ Nie tak odważni i ambitni przestańmy na skromniejszej roli tego myśliciela, co krąży koło puszczy litewskich łoża „i rybaka, który ledwie u brzegów nawiedza dno morza:“ a możemy być pewni, że i u brzegów ułowimy nie jedną perłę. I tak, nie szukając długo, znajdujemy zaraz w drugiej księdze bardzo ładny opis tego arbuza, co w ogródku Zosi wtoczył się między buraki czerwone

De sa tige éloignée, un citrouille mûre
„Étale effrontément son ventre jaune et laid
Aux raves d'un beau rouge, ignorant s'il leur plaît.“

Dynia nie wiedząca, czy jej brzuch podoba się burakom, to dopiero opisowość, to ożywienie martwej natury, to szczęśliwa inspiracya. To znowu po raz nie pierwszy ale też i nie ostatni, głupstwo dla rymu.

A przy *śniadaniu* znowu co za niespodzianki coraz nowe! Telimena naprzykład, kiedy się skarży na sąsiedztwo czynownika i psiarni, powiada, że było jej bardzo nieprzyjemnie słuchać „cris et jurons du chien et du gratte-papier.“ Szkoda wielka, że nie mówi, jak ten pies kłął, czy po rosyjsku: „sukin syn“, czy może po polsku: „psia...? A w dalszym ciągu kiedy opowiada o śmierci swego kochanka Bonończyka, i o wyższej interwencji Wielkiego Łowczego, wyraża się z taką gramatyczną niedokładnością, że przysięgaby można, iż Łowczy czynownika kazał powiesić:

„Celui-ci (Wielki Łowczy) rudoyant l'employé mal appris
Le tança vertement, fit appeler un sbire:
Le monstre fut pendu!

Szczęściem później przychodzi objaśnienie, że pan tego monstrum (czynownik) poszedł na miesiąc do więzienia: ale układ gramatyczny tego okresu upoważnia czytelnika do mniemania, że powieszonem monstrum był nie pies, lecz człowiek.

Już to nie przyznając sobie prawa do sądzenia francuszczyzny tłómacza, musimy przecież wyznać nieśmiało, że ma ona swoje osobne wdzięki i zalety, które nas czasem dziwią. Jednym z większych jest opuszczanie artykułu, umyślne czy przypadkowe, ale tak częste, że wydaje się prawie systematycznym. Wiemy, że wielcy mistrze stylu pozwalają sobie niekiedy na tę licencją bardzo niezwykłą w francuskim języku. Ale tacy wiedzą, gdzie, kiedy i jak mogą od reguł odstąpić a przeciw prawom języka nie wykroczyć, i mają ten szczęśliwy instynkt czy przywilej, że wyjątek, na który sobie pozwalają, będzie nie błędem lecz ozdobą stylu. Kto zaś wielkim stylistą

nie jest, ten niech się lepiej na licencye nie puszcza, bo naraża się na to niebezpieczeństwo, że pomijając właściwy temu językowi rodzajnik, nie będzie pisał tak jak wielcy zawołani pisarze, ale raczej tak, jak mówią po francusku murzyni.

Dodawszy jeszcze, że w końcu tej drugiej księgi Telimena wychodząc do lasu mówi: „A votre question je vous laisse, messieurs“ a potem zwraca się do Tadeusza

et lançant une oeillade

En coulisse à Thadée, elle ajoute: „Ainsi qu'aux passions
Qui vous dominent trop.“

(Gdzie to jest w oryginale? a potem ten wiersz bez kadencyi i miary „en coulisse à Thadée elle ajoute: ainsi qu'aux passions!“ — przejdźmy do księgi trzeciej.

Jak grzybów w Soplicowskim lesie, tak tu piękności było wbród. Po lesie błądzą te figury, które Mickiewicz opisywał jako elizejskie cienie, a jego tłómacz jako „*penseurs idéalistes*“: na ziemi rosną grzyby, o jakich Mickiewiczowi nigdy się nie śniło. Tłómacz zna nawet ich *kuchenne* a co dziwniejsza *moralne* przymioty: wie że jakiś *mousseron* jest „*excellent à la crème*“, a że nasz prosty grzyb prawdziwy żyje w najczulszej przyjaźni z brzozaami (*le ceps, ami tendre au bouleau*). Wie on i wiele innych jeszcze rzeczy ciekawych, których Mickiewicz ani się domyślał; jak naprzykład, że ów *romans francuski*, który Telimena otworzyła w Świątyni Dumania, zachwycał ją i upajał „*parlant aux passions, désarmant la raison*“, że ten koniec jej trzewika, który z pod sukni wyglądał, „*excitait le désir du regard libertin*“, a ona sama wyglądała nie „jak pstra gąsienica, gdy wpłźnie na zielony liść klonu“, ale jak

„*nymphé, déesse ou femme, attendant au repos*
„*un vaillant chevalier, paladin ou héros*.“

Brawo! Z jakim talentem, z jaką sztuką zręczny tłómacz umie załamać się i obiema nogami wpaść w błoto tam, gdzie Mickiewicz prześlizgał, przesuwając się lekko jak Sylf; jak umie wyraźnie, rubasznie, grubijańsko nazwać po imieniu to co tamten tak dowcipnie i subtelnie dawał do domysłu, to zobaczymy jeszcze później, w księdze piątej. Teraz spieszymy podziwiać talent opisywania i obrazowania, drzewa i chmury. Zaczyna się od tego, że Telimena i Hrabia na wyścigi wychwalają drzewa zagraniczne „*leur goût, saveur, et qualités gourmandes!*“ Tadeusz wtedy

„n'y tint plus de rage, avala sa colère,
Et, la maîtrisant, dit, beau d'inspiration,
Contemplant la forêt de sa patrie austère
Qu'il aimait dans son coeur certe avec passion.“

Jak mógł n'y tenant plus de rage avaler sa colère, a potem opanowawszy ten gniew wybuchnąć znowu, to już sekret tłumacza. Dość że zaczyna się krytyka drzew południowych

„la fleur en jonc (!) épuisant l'aloès,
„Ou le citronnier nain aux feuilles si luisantes
„Aux pommes d'or, ventru, bossu, *faisant florès*“ (!)

i dowodzenie, że:

„notre bouleau pleureur est bien plus *honorable*!

Hrabia odpowiada na to: „na całej północy gdzie był pejzażysta który „*au regard non myope*,“ Telimena wtrąca że Orłowski malował wszystko w Polsce „ce cher pays si beau dans sa rudesse,“ a wreszcie przychodzą chmury, z których jedna „*porte en apanage*“ deszcze i grady, druga ma grzbiet kosmaty (velu), a w końcu „prodige et merveille“ wszystkie zmieszały się razem i zamieniły w okręt „complet de la proue à la poupe.“

Łatwo zgadnąć, że księga czwarta, jedna z najbogatszych w zdumiewające piękności, i tu świecić musi między innymi szczególną obfitością wdzięków. Oto na przykład zaraz „miasto Wilno które w lasach siedzi“ podobne jest do wilka „natchnionego.“ Zbudowane:

„Entre ours et sanglier, pareille au loup d'hiver,
Inspiré par un rêve“ etc

Dalej wiewiórka „gajów tanecznicza,“ podobna do dragona bawarskiego, „*imitant le plumet d'un dragon Bavaois*.“ O czym ten Mickiewicz myślał, kiedy nie powiedział nawet tego, czy kirysyer, do którego pióra porównał ogon zawieszony nad wiewiórką, był bawarskim, czy pruskim, czy może austriackim? Co za niedokładność! co za brak plastyczności i obrazowości! Szczęście jego, że miał tłumacza, który błędy jego poprawiał a sławę ratował. Kirysyer był bawarski oczywiście, nie mógł być innym, i pojąć trudno, jak mogliśmy tego dotychczas nie zgadnąć! Ale to zawsze tak, prawdy najprostsze a jasne jak słońce, leżą nieznane ograniczonemu tłumowi, dopóki ich geniusz nie podniesie i nie pokaże. Tak było z jajkiem Kolumba, tak dziś jest z wiewiórką i z jej uderzającym

podobieństwem do bawarskiego, powtórzmy jeszcze że do bawarskiego i tylko bawarskiego dragona.

Karczma znowu „z przodu jak korab, z tyłu jak świątynia,“ oprócz tych jeszcze porównana jest do orzecha. Ma dwie połowy „de noix doubles coquilles,“ a tłumacz zawsze dokładniejszy i lepiej rzeczy świadomy od poety, wie nietylko to, że podobna była do „żyda, gdy modląc się kiwa,“ ale i to jeszcze, że ten żyd był rabinem

„la grande auberge, en somme, au loin paraît sur terre
„comme en dévotion un vieux rabbin *profès!*“

Co się dzieje w karczmie, nad tem zatrzymać się byłoby za długo, ale jeden klejnot z tej sceny przecież należy się wydobyć na widok publiczny. Jest nim Napoleon zażywający tabakę podczas bitwy. W tłumaczeniu cesarz nie przestaje na zażywaniu, ale estetycznie zapycha sobie nos tabaką:

„Lorsque Napoléon présent à la bataille
„Se bourrait de tañac, c'est qu'il était gagnant!“

i dalej znowu pod Austerlitz na widok pierzchających nieprzyjacioł:

„le grand homme narquois
„les voyant partir, bourra son nez de suite.“

Pomijamy matecznik i początek polowania; pilno nam do tej dramatycznej chwili, kiedy niedźwiedź trzymając w łapach „un vieux chêne en ruine,“ atakuje Hrabiego i Tadeusza.

„Il lève sa patte énorme, et sur eux *sans défense*
„S'elance avec fureur.“

Kto *sans défense*? Zdawałoby się że niedźwiedź. Wreszcie pada straszliwy zwierz trafiony w samą mordeczkę „atteint en plein *museau*“ i zaczyna się muzyka Wojskiego, cała przepyszna, ale w zakończeniu zwłaszcza tłumacz przeszedł sam siebie, bo już nie tłumaczył nawet, ale w natchnieniu parafrazował, a po części nawet na własną rękę tworzył. Oto ten ustęp niezrównany, w którym aniołowie wdychają z rozkoszą dźwięki podobne do błyszczących meteorów:

„Autant d'arbres au bois, autant de cors sonores
„Répétaient la chanson en chœur au firmament;
„La note ailée allait, pareille aux météores
„Qui luisent radieux et brillent un moment,
„Se fondre dans les airs, affaiblie, épurée,
„Par les anges aux cieux doucement aspirée.“

Przy tej wzniosłości wszystko zblednąć musi, nawet śniadanie myśliwskie, choć i to ma swoje niepospolite zalety. Piękny naprzykład jest sędzia, kiedy „*avec aménité*“ nalewa gościom wódkę „*dans la chopine*“: piękna uwaga, że kto chce się poznać na rozkoszach polowania i śniadania w lesie, ten musi być

„accessible aux penchants
„*de l'agreste nature (!)*, en avoir la manie.“

Ale najpiękniejszy ze wszystkiego bigos, bigos, który u Mickiewicza krótko i poprostu „jak kamfora ginie,“ tu znika w nader dowcipnem i malowniczem porównaniu:

„le bigos disparaît en poltron (!)
„Se mettant à l'abri dans le sombre oesophage“ (!)

Ten bigos „uciekający jak tchórz i szukający schronienia w kanale pokarmowym,“ to przecież jest jedno z głupstw najbardziej kolosalnych, fenomenalnych, piramidalnych, jakie spotkać można w literaturze świata. I ten, ten, ten... nie wiemy jak powiedzieć, żeby go nazwać grzecznie, ten... *Charles de Noire-Isle* pakuje je w *Pana Tadeusza!* i kontent i spokojny i uśmiecha się sam do siebie, i zaciera ręce z radości podziwiając swój talent i dowcip. Czyż nieszczęśliwy nie ma nic ani nikogo na świecie? Że nic w sobie, o tem przekonał nas dostatecznie, ale koło siebie czyż nie ma nikogo, ktoby przez przyjaźń, a choćby tylko przez miłość bliźniego wstrzymywał go od pisania i drukowania? Nikogo? ani przyjaciela, któryby się nad nim zlitował, ani krewnego, któryby nad nim miał wpływ i opiekę, ani żony, ani dzieci, którym czwarte przykazanie nakazywałoby niszczyć jego manuskrypta? Jeżeli tak jest, jeżeli on tak nieszczęśliwy, to doprawdy nie mamy ochoty śmiać się z niego dłużej, a gotowibyśmy go żałować. Żałować czasu, pieniędzy, może nawet dobrej intencji, tak nędźnie zmarnowanych. Bo zdaje się, że ten biedny człowiek miałby dobrą chęć, możeby i potrafił co dobrego zrobić, gdyby go kto oświecił i prowadził. Same te tłómaczenia, te grzechy swojego żywota, popełnił oczywiście w dobrej myśli, w miłym złudzeniu, że oddaje usługę polskiej poezyi. Szkoda prawdziwie. Tyle jest na tym świecie do roboty rzeczy dobrych, do których nie trzeba ani rozumu, ani talentu, nic, tylko dobrej woli, czasu i pieniędzy. Gdyby to, co wydał na druk i papier, był rozdał między ubogich, gdyby czas, jaki na swoje wiersze zmarnował, był obrócił na wyszukiwanie, wspomaganie, pocieszanie nieszczęśliwych; gdyby, jeżeli już koniecznie pisać musi, był tłómaczył na polskie jaką dobrą francuską książkę treści naukowej lub moralnej: — jak jego życie

byłoby zapełnione i pożyteczne, jak on sam szanowny? Ale przyszła nieszczęsna przekłeta zarozumiałość, wmówiła w niego, że ma zdolność do wiersza i zrobiła go śmiesznym nad wszelki wyraz i pojęcie. Dla niego słuszną karą, ale dla nas wstyd niezasłużony, i szkoda, szkoda jego dobrych chęci, z których mogło być coś dobrego.

Chcielibyśmy już dać mu pokój, ale jest jeden jeszcze ustęp, którego darować mu nie można. Każdy wie, pamięta i podziwia, jak Mickiewicz opisując czułe stosunki Tadeusza z Telimeną, zachowuje taką miarę, taki delikatny takt, taką szlachetną i wykwinną estetyczną dyskrecją, że ani jednym słowem nie obrazi niewinności lub przyzwoitości, a nie wyrażnie nie mówiąc, wszystko doskonale daje do zrozumienia. Szanowny tłómacz zrozumiał: ale, czy kontent, że zrozumiał, chce się bystrością swoją pochwalić, czy sądzi, że czytelnik nie tak domyślny i mądry jak on, potrzebuje, żeby mu wszystko powiedziano otwarcie i łopatą w głowę włożono, chce w tych ustępach być jasnym, zrozumiałym i dosadnym. I robi z nich coś tak grubego, coś tak zmysłowego, coś tak karczemnego, nagiego, nieprzyzwoitego, cynicznego, że na ukaranie jego ustęp ten przytaczając, przestrzegamy czytelników, że w głośnem czytaniu przy kobietach lepiej go omijać.

Te „plany dyplomatyczne Telimeny“ i powody, dla których postanowiła Hrabiemu „zręcznie podsunąć Zosię,“ a sama trzymać się Tadeusza:

„Moins gâtés que les vieux, plus purs, les jeunes coeurs
 „Se livrent aux plaisirs que l'amour leur révèle;
 „Pleins d'adoration pour la tendre beauté,
 „Qui, les initiant aux suprêmes délices
 „Aux transports du délire et de la volupté
 „Domine leur esprit, *savourant leurs prémices (!)*
 „Les hommes, avec l'âge aigris, désabusés
 „De toute illusion, la trouvant décevante,
 „Moins sensibles, ayant goût, chair, et sens blasés
 „*Jouissent sans pudeur* d'une maîtresse aimante,
 „La délaissant après sans scrupule ou remords
 „Lorsqu' ils ont épuisé *leur puissance et leur corps*“ (!)

To zrobił z tego ładnego tak lekkiego porównania:

„Tylko stary pijanica, kiedy spali trzewa,
 „Brzydzi się trunkiem, którym nazbyt się zalewa.“

A co zrobił z Telimeną, o której Mickiewicz mówi tylko, że „rozum i wielkie doświadczenie miała“! U niego jest ona po prostu i otwarcie:

„une femme d'expérience
ayant mordu souvent au fruit de la science“ (!)

I w końcu rezolwuje się ta Telimena wszelkimi sposobami zatrzymać przy sobie

„le jeune adolescent, „conquis la nuit dernière“!

To wszystko być mogło; może ona kosztowała zakazanego owocu, może nawet często, może i ten ostatni dodatek nie jest potwarzą, ale czy trzeba o tem mówić? czy godzi się być tak grubijańskim i cynicznym, gdzie Mickiewicz powiedział tylko, że Telimena chciała „użyć świata, póki służy lata“?

Dość tych przykładów. Sądzimy że wystarczą. O reszcie powiemy tylko, że całość i każdy ustęp i każdy wiersz z osobna są tych przytoczonych miejsc godne: że nieudolniejszego, gorszego, nędzniejszego, bardziej ograniczonego tłumaczenia nie widzieliśmy nigdy i nigdzie w życiu. I powtórzmy jeszcze, cośmy już powiedzieli z powodu tłumaczeń *Szwajcaryi* i *Przedświt*, że to jest rzecz bardzo smutna: że jaki dziennik rosyjski lub francuski przez Rosyą płacony, mógłby wybornie z tego tłumaczenia skorzystać, żeby polskich poetów i poezją wyśmiać, wydrwić, wykpić przed całą Europą, która czytając, takie z naszych poetów wyjątki, choćby nie chciała, musiałaby uwierzyć, że ci poeci są ostatni, najgorsi, najgłupszy na świecie. Na to jednak radę jakąś znaleźć trzeba. Z tłumaczem próżno mówić: kto takie tłumaczenia może drukować, ten oczywiście nie może nic zrozumieć. Ale szukając na niego rady, natrafiamy na pomysł, nie wiemy czy dobry, ale jedyny, jaki nam się w tej chwili nasuwa, i może przecież niezupełnie niepraktyczny. Oto raz, żeby pan Władysław Mickiewicz, który oczywiście przyzwolenia swego na takie tłumaczenie dzieł ojca dać nie mógł, jako syn i spadkobierca poety pozwał tłumacza do sądu, i na mocy wyroku zniszczył edycją naruszającą jego prawa własności. Gdyby zaś to stać się nie mogło, wtedy zdaniem naszym powinna krakowska Akademia Umiejętności, która reprezentuje na zewnątrz polską oświatę i literaturę, ująć się za sprofanowaną poezją, i wszystkie ciała uczone, z któremi jest w stosunkach, ostrzec urzędownie, że tłumaczenia pana *Charles de Noire-Isle* fałszują zupełnie ducha i formę oryginałów, że przeciw nim protestuje i w razie potrzeby prosi, ażeby za granicą uważane były za niewiarogodne, nieprawdziwe i żadne.

Kończąc, zapytujemy sami siebie, czy czytelnicy nie powiedzą, że pisaliśmy zbyt ostro i szczerze. Że szczerze i ostro, to prawda, ale tego „zbyt“ sumienie nam niewyrzuca. Do

ludzi, którzy taką krzywdę i taki wstyd robią naszej literaturze, a na łagodniejsze słowa i formy nie zważają, trzeba mówić otwarcie i wyraźnie, żeby raz przecie zrozumieli co robią. Oszczędzać ich, bawić się w parlamentarne grzeczne eufemizmy, obwijać prawdę w bawełnę, nie zda się na nic. Zresztą skończyliśmy już i jedno tylko słowo mu powiemy, a potem nic więcej. Krasiński pisząc w jednym z swoich listów o apostazy Czajkowskiego, powiada że „ile tylko Polak mógł, tyle zbeczcześcił w sobie ducha polskiego Czajkowski.“ Przerabiamy i stosujemy te jego słowa do pana *Charles de Noire-Isle*, i mówimy mu, że „ile tylko Polak mógł, tyle on zbłąźnił poezję polską swojemi tłumaczeniami.“

St. Tarnowski.

Marina. Ein erzählendes Gedicht von Gräfin Wilhelmine Wickenburg-Almásy. Heidelberg 1876. Verlag von Georg Weiss. Str. 241.

Imię hrabiny Wickenburg, pierwszy raz może w piśmie polskiem tu zapisane, dobrze jest znane i cenione w całych Niemczech. Niemcy, podobnie jak i my, z niedowierzaniem przyjmujący poetyczne utwory kobiet, poznawszy niepospolity i niesztuczny talent autorki, wysoko cenić ją zaczęli i nazywają ją nawet — nie poetką, lecz poetą — a to dlatego, że nie ma w jej dziełach ani śladu czułościowości i drobiazgowości, którą jedne — ani znowu owej napuszystej, przesadnej teźyzny i udanej siły i namiętności, któremi błyszczeć chciały inne autorki. Owszem we wszystkim jest miara, prawda, prostota. Pomysły prawdziwie poetyczne wykonane są z prawdziwie artystycznym talentem. Cóż więcej można powiedzieć na pochwałę poety w czasach posuchy powszechnej i powszechnego w poezyi kłamstwa, udanych uśmiechów i nieszczerých żalów. Stosuje się to do wszystkich utworów autorki, jak *Erlebtes und Erdachtes, Gedichte, Emmanuel d'Astorga*, ale najbardziej do najnowszego i najobszerniejszego poematu, o którym mówić chcemy. Kto „*Marinę*“ przeczyta, dozna, równie jak i piszący te słowa, bardzo przyjemnej niespodzianki.

Prescotta Historia zdobycia Meksyku nasunęła autorce przedmiot. Dwa światy widzimy przed sobą. Społeczeństwo pierwotne, chwalcące bogów swoich w spokoju i zadowoleniu — i zdobywców europejskich, którzy przerywają tę ciszę, przynosząc godło zbawienia, ale zarazem wojnę i zniszczenie pochłaniające wszystko, co zastają. Biedne, szlachetne dziewczę, *Malinche*, stoi niejako na pograniczu tych dwóch światów.

Z pierwszym łączy ją pochodzenie, krew, przywiązanie — z drugim miłość dziwna, bezwiedna, namiętna dla bohatera, który ocalił jej życie, gdy miała być na ofiarę bogom spaloną, który jej mówił o Bogu prawdziwym i o miłości bliźniego.

Du hobst mich ja empor mit sanften Armen
Und wecktest mich zur schönsten Wirklichkeit,
Zu neuem Leben fühl' ich mich erwarmen,
Zu einem Leben, ewig dir geweiht!

Und als zuerst mit engelmildem Wort
Vom Gott der Liebe du zu mir gesprochen,
Der auch dem Niedrigsten ein sicherer Hort,
Dem wir als Opfer nur die Liebe weih'n,
Da war ein neuer Tag mir angebrochen. (Str. 19)

Malinche zostaje tłumaczem Hernanda Corteza w pochodzie do stolicy kraju, a gdy spostrzegła, że on nie broni miłości, jak się spodziewała, lecz ogniem i mieczem drogę sobie torował, doznaje rozczarowania i zgryzot sumienia, że swoich zdradziła.

Wenn auch geboten durch der Liebe Macht,
Die üble That, sie lohnt sich immer schlecht!
Die Strafe d'rum ertrag' ich meiner Thaten,
Die Vaterstadt hab' ich um dich verrathen
Und der Verrätherin geschieht ihr Recht! (str. 237)

Walka więc serca i duszy odmalowana tu obok walki zdobywczej. W pierwszej jest prawda i głębokość, w drugiej jest siła i świetność. Koloryt bogaty, język i wiersz ładny — słowem poemat cały stanąć może obok najpiękniejszych powieści epickich literatury niemieckiej, która w każdym innym kierunku tak bogata, w tym właśnie najmniej może wydała talentów.

Hugo Zathej.

Kronika bibliograficzna.

I. POLSKA.

Tatomir Lucyan. Geografia Galicyi. Wydanie drugie, przejrzone i uzupełnione. Lwów 1876. Nakładem K. Wilda, str. 173. w 8ce. Rada szkolna krajowa zakupiła 500 egzemplarzy dzieła dla umożliwienia niskiej ceny (1 fi).

Jest to książka w całym znaczeniu tego słowa — wyborna. Przeznaczona właściwie dla seminariów nauczycielskich, powinna być w ręku każdego, kto w jakiegokolwiek mierze o geograficznych i statystycznych stosunkach naszej prowincyi poinformować się zechce. Układ bardzo porządnym i jasnym, daty na najlepszych źródłach oparte, a przytem wykład prawdziwie zajmujący, zalecają tę pracę sumienną. Takich książek szkolnych mało w bogatszych nawet literaturach. Autor opisał między innemi charakter, zwyczaje i obyczaje różnych mieszkańców Galicyi i zestawil ważniejsze wspomnienia historyczne, wiążące się do każdej miejscowości. O wartości tej książki świadczy także wobec stagnacyi handlu księgarskiego rychłe okazanie się drugiego, a jakżeśmy pewni, nie ostatniego wydania. P. Tatomir znany jest oddawna jako pracownik na zaniedbanym u nas polu geografii — ale tę pracę jego uważamy za najlepszą.

Sawczyński Zygmunt. Benjamin Franklin, Jerzy Wasington. Żywoty opracowane przez .. W stuletnią rocznicę ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki. Dochód czysty na bursy dla synów nauczycieli szkół ludowych. Lwów 1876. Nakładem Towarzystwa pedagogicznego. w. 8ka str. 108.

Od książki przeznaczonej dla młodzieży wymagamy, żeby była po 1e nauczająca, 2e zajmująca, 3e poprawnym napisana językiem. Książek takich mamy niestety mało, pomimo, że piśmiennictwo w pisma dla młodzieży obfituje. Pochodzi to ztąd, że znakomici pisarze na poważniejszych i wdzięczniejszych, jak

sądzi, polach, pracując, w popularnym i pedagogicznym kierunku sił swoich doświadczać nie chcieli. Książka powyższa dopełnia wszystkich wyżej podanych warunków jak najsumiennie, a jakkolwiek autor w przedmowie za tłumaczenie ją ogłasza, widzimy i w sposobie opowiadania i w układzie zalety, których nawet oryginał nie ma. Pragniemy, żeby to dziełko było w rękach naszej młodzieży, tembardziej, że i nazwiska Franklina i Wasyngtona więcej są u nas znane, niż czyny ich i prace.

Pieniążek Czesław. Messyanizm i Towiańszczyzna — w ogólnym zarysie. Lwów 1877. Nakładem redakcyi „Tygodnia.“ m 8ka str. 169.

Wolski Kalikst. Do Ameryki i w Ameryce. Podróże, szkice obyczajowe i obrazki z życia mieszkańców Ameryki. Lwów 1876. Nakładem J. P. Pillera. Główny skład u K. Wilda. w. 8ka. str. 391.

Sprawozdanie Dyrekcyi c. k. wyższej szkoły realnej w Jarosławiu za rok szkolny 1876.

Treść. 1) O stopniowaniu przymiotników w języku polskim przez nauczyciela Rom. A. Bobina, 2) Wiadomości szkolne podane przez Dyrektora Wojciecha Kornickiego.

Sprawozdanie Dyrekcyi c. k. gimnazjum akademickiego za rok szkolny 1875/6. Lwów. Z drukarni Towarzystwa imienia Szewczeni. Zawiera 1) Ważniejsze wzory mechanicznej teoryi ciepła, w szczególności dla gazów, przez Dr Emila Sawickiego. Str. 67. 2) Rzeczy szkolne str. XXV.

Nowodworski Michał X. Encyklopedia kościelna według teologicznej Encyklopedyi Wetzera i Weltego z licznemi jej dopełnieniami, przy współpracownictwie kilkunastu duchownych i świeckich osób, wydana przez ... Tom VIII. (Ibas-Jezuaci). Warszawa, w drukarni Czerwińskiego i Spł. 1876. str. 627.

Matuszewicz Marcin, Kasztelan Brzesko-Litewski. Pamiętniki 1714—1765. Wydał Adolf Pawiński. Warszawa. Skład gł. w księgarni Gebettnera i Wolffa. 1876. 4 tomy.

Źródła dziejowe. Tom I zawiera: Krzysztofa Grzymułtowskiego Wojewody Poznańskiego Listy i mowy. Wydał Al. Jabłonowski. Cena rs. 1 kp. 80. Warszawa, w drukarni E. Skińskiego 1876. str. CXX i 152.

Niemcewicz Julian Ursyn. Pamiętniki. Dziennik pobytu za granicą od d. 21 lipca 1831 r. do 20 maja 1841 r. Według autografu w Bibliotece Tow. Histor.-Literackiego w Paryżu. Tom I 1831—1832. Poznań. Nakładem księgarni Jana Konst. Żupańskiego 1876. str. 583. Tomów będzie razem pięć. Recenzją podamy.

J. Dzierzkowski i Wł. Sabowski. Chrzest polski. Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach. We Lwowie. Nakładem księgarni polskiej 1877. str. 624.

Thackeray W. M. Targowisko próżności. Powieść. Przekład Brunona Dobrowolskiego. Lwów. Księgarnia Polska 1876. Tom I str. 374. Tom II str. 514. Przekład dobry.

Rogosz Józef. Tak być musiało. Powieść. Lwów. Nakładem Redakcyi „Tygodnia.“ 1876 str. 284.

Rogosz Józef. Artur Grottger — Jan Matejko. Studya o sztuce w Polsce. Lwów. Nakładem i drukiem Redakcyi „Tygodnia“ 1876. str. 189.

Romanowicz Tadeusz. Sprawa polska i sprawa wschodnia. (Przedruk z „Dziennika Polskiego“). Lwów 1876. str. 39. Nakład autora.

Kloss Karol. Cajas Gracchus, trybun. Dramat w czterech aktach z prologiem, oryginalnie napisany. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt 1876. str. 128.

Marrené Walerya. O pracy. Odczyt miany w Warszawie na korzyść osad rolnych dla małoletnich przestępców. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1876. str. 41.

Fraenkel I. E. Talmud i jego zasady. Odpowiedź na dzieło Prof. Dra Augusta Rohlinga p. t. Żyd talmudyczny czyli zgubne zasady Talmudyzmu. Z niemieck. przekł. N. Landes. Lwów. F. H. Richter. 1876. str. 72.

Pod pozorem odpowiedzi na dzieło Dra Rohlinga o „Żydzie talmudycznym“ jest to stek bezczelnych kłamstw i bezecnych napaści na religią chrześcijańską. Że się to piśmidło wylęć mogło w jakiejś żydowsko-liberalnej głowie — nie dziwi nas tyle, ile to, że znalazł się człowiek, który na język polski przełożył tę ramotę a już zgoła pojąć nie możemy, że tym człowiekiem jest Dyrektor szkoły i członek c. k. stryjskiej Rady szkolnej okręgowej.

U. U. Robert Schuman o Fryderyku Chopinie. Studium „spisane dla własnego pouczenia się.“ Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1876. str. 49.

Szuman H. Rys życia i działalności Karola *Libelta*. Wspomnienie pośmiertne na rocznicę śmierci jego spisał... Dochód przeznaczony na stypendyum K. Libelta. Poznań. Nakładem „Dziennika Poznańskiego,“ (z którego praca przedrukowana) 1876. Str. 35. Z portretem wybornie na drzewie rytym.

Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta zapowiada nowe krytyczne wydanie dzieł Juliusza Słowackiego, przejrzone przez prof. Dr. Antoniego Małeckiego. Obietnicę przyjęliśmy z radością i z upragnieniem wyglądamy jej spełnienia, spodziewając się, że będzie staranniejsze i dokładniejsze, niż wydanie dzieł Z. Krasieńskiego, które niedorównało temu, co zapowiadano. Przekonani jesteśmy, że szanowny prof. Małecki, który znakomitem dziełem o J. Słowackim i wydaniem pism jego pośmiertnych zasłużył się pamięci poety i publiczności, ogłosi

pisma poety za życia jego wydane osobno, i w porządku chronologicznym, nie mieszając ich z pismami po śmierci wydanymi, które można dołączyć do zupełnego zbioru pism, ale na końcu — *osobno*.

II. FRANCUSKA.

Marius Topin. Louis XIII et Richelieu, étude historique accompagnée de lettres inédites du roi au cardinal de Richelieu. Paris 1876.

Tradycye i odziedziczone sądy nigdy ani zupełnie fałszywemi, ani też absolutnie prawdziwemi nie są. Nowa metoda historyczna wyświeciła nie jeden szczegół, przedstawiła niejedną postać daleko dokładniej, ale pomimo tego nie zmieniła o wiele ogólnego poglądu. Prawda ta daje się zastosować do powyżej wymienionej książki p. Topin. Autor to znany i słusznie używający sławy zdolnego historyka. Jego prace nad Ludwikiem XIV rzuciły wiele nowego światła na zawiłkiania dyplomatyczne tego panowania; a zagadkowa postać znana pod nazwą „l'homme au masque de fer“ przez niego dopiero wyjaśnioną została. Teraz najnowszą swą pracę osnuł u podstawie zbioru listów Ludwika XIII do kardynała Richelieu, przechowanego w archiwum Spraw zagranicznych. Największą więc część jego książki zajmują te właśnie listy i pisma królewskie, poprzedzone zawsze krótką treścią historycznych wypadków, do których się odnoszą. Wśród tego dość liczne materiały nie jedna się znajdzie rzecz ciekawa, a często trafny sąd autora, okazujący niepospolitego pisarza, zwróci uwagę czytelnika na niejedną dotąd moiej znany szczegół. Ale za to twierdzenie, które p. Topin zaraz w pierwszej części swej książki udowodnić usiłuje, jakoby „Ludwik XIII był *najpewniejszym pomocnikiem i najszczerzym przyjacielem* kardynała,“ którego „osobę o tyle kochał, o ile podziwiał geniusz,“ wydaje się nam za śmiałe. Ludwik XIII był z natury egoistą, nie kochał nikogo, nie wyjąwszy matki i żony, przyjaciół często opuszczał, a nawet właśnie przewaga kardynała Richelieu ciążyła mu nieraz, tak że aż szukał zastępcy dla niego pomiędzy jego nieprzyjaciółmi. Dobro Francyi jedynie, które miał zawsze na oku, nie dozwalało mu opuszczać tego człowieka, który w tak trudnych okolicznościach był jedynym, opatrnościowym niemal. To też to zrozumienie tego, co krajowi w danej chwili było potrzebnem, stanowić zawsze będzie główną zasługę Ludwika. Brał on wprawdzie udział w sprawach wszystkich publicznych, bo i samemu kardynałowi o to chodzić musiało, aby go w wiadomości tychże spraw utrzy-

mywać, ale nawet listy przytoczone przez p. Topin jasno wskazują, jak mu wszelkiej prawie umysłowej wyższości brakowało. Patryotyzm i pewna znajomość sztuki wojennej — oto zalety, któremi się odznaczał syn Henryka IV. A co do wzajemnego stosunku króla do potężnego ministra, to ten najlepiej chyba odrysowuje się w pewnej charakterystycznej anegdotce. Opowiadają bowiem, że Ludwik XIII i Richelieu spotkali się kiedyś przed jakimiś drzwiami; król wtedy miał się odezwać do swego ministra w tonie okazującym pewne nieukontentowanie: „Idź naprzód kardynale, przecież ty jesteś tu panem.“ Na to Richelieu pochwycił pochodnię z ręki służącego i odrzekł idąc naprzód: „Do usług W. K. M., ale aby słuchać i pełnić obowiązki najniższego pokojowca.“

Saint-René Taillandier: Le Général Philippe de Ségure, sa vie et son temps. Paris 1875.

Znany dobrze autor szkiców historycznych i literackich, pełnych wdzięku, umieszczanych po większej części w *Revue des Deux-Mondes*, obdarzył nas tem nowem studyum, opartem głównie na niedawno wydanych *pamiętnikach generała Filipa Ségura*. Sam p. Saint-René Taillandier powiada bardzo słusznie, że były dwa sposoby ocenienia pamiętników generała Ségura: można było uważać je jako zwyczajną książkę, wykazać niedokładności tej książki, naznaczyć wady w układzie i stylu, brak naturalności i giętkości w wysłowieniu, a obok tego ustępy przepyszne, pełne zapału i rycerskiej wymowy; albo też trzeba było na boku zostawić autora, a dotrzeć do człowieka i tego odrysować od stóp do głowy. Tego ostatniego sposobu użył uczony profesor i przedstawił nam szlachetną i męską postać bohatera z napoleońskich czasów, którego „przeciwność czy tryumfy jakby nad samą naturą wyższym uczyniły.“ Przy tej sposobności mamy odmalowany z całą prawdą i słuszością psychologiczny obraz Napoleona Wielkiego; a osobiście w rozdziale zatytułowanym: *Napoléon jugé par Ségur*, rzucił nam autor dużo nowego światła na postać pierwszego cesarza.

III. ANGIELSKA.

Creiton M., the age of Elizabeth. Londyn 1876. Zbiór: „Epochs of Modern History“ ed. by Edward E. Morris and J. Surters Phillpotts, tem dziełkiem niepospolicie zbogaconym został. Jak w publikacjach poprzednich, tak i tu badanie źródeł oryginalnych, zużytkowanie odnośnej literatury, i zwięzły

a żywy sposób przedstawienia łączą się w całość, której zaletę nie tyle stanowią nowe poglądy, co zręczne ugrupowanie i trafne oświetlenie przedmiotu. (Lit. Centralblatt 1876 N. 31.)

IV. NIEMIECKA.

Duboc Dr. Julius, Das Leben ohne Gott, Untersuchung über den ethischen Gehalt des Atheismus. Hanower 1875.

Jest to próba (stojąca w związku z ostatniem dziełem Dawida Straussa) rozciągnięcia ateizmu i na dziedzinę praktyczną, próba zbudowania nauki o obowiązkach i cnotach na podstawie „nowej wiary“, a raczej na braku wszelkiej podstawy dla użytku niewidzialnej gminy wyznawców, których autor obejmuje zbiorową nazwą „my“. Dzieli się książka na część teoretyczną i praktyczną, i zawiera wyznanie, że autorowi chodziło nie tyle o to „co być powinno, ile o to co być może i jest... nie o objawienie czegoś gotowego, lecz o wskazanie tych miejsc, w których należałoby położyć kamienie fundamentalne“ nowej etyki. Zresztą sam zmuszony jest dać świadectwo, iż „dawna wiara“ ma w swem zastosowaniu charakter bardziej jednolity. (Kryt. podaje Gegenwart 1876. N. 28).

Allgemeine deutsche Biographie, wydawana pod kierunkiem R. bar. v. Liliencron i prof. Wegele.

Przedsięwzięcie zaprojektowane przez Rankego przed laty, a wprowadzone w życie 1868 już zaczęło wydawać owoce. Wyszły dotąd 3 tomy dzieła mającego objąć biografie wszystkich Niemców (mężczyzn i kobiet), którzy pod jakimkolwiek względem zasłużyli na pamięć potomności. Przeszło 400 osób, między nimi największe powagi umysłowe, biorą udział w pracy olbrzymiej. Do każdego artykułu, w powsz. niem. Biogr. jest człowiek fachowy. Tysiąc biografij od A do Carlowitz dozwala nam osądzić zakrój dzieła. Każden z artykułów naturalnie różnych co do wartości i ważności, lecz zawsze gruntownie opracowanych podpisany jest imieniem autora. Pochlebstwo i polemika zarówno są wykluczone, równie wzmianki o żyjących. Niektóre artykuły można śmiało polecić jako wyborne *Essays* n. p. „Bach“ opracowany przez Liliencrona i Riehla. Rozchodzi się przeszło 2000 egzempl. (Ocenę podaje Gegenwart N. 30).

Dalm Felix, Ein Kampf um Rom, historischer Roman. 4 tomy. Lipsk 1876.

„Obrazy z 6 wieku ubrane w szatę powieści“ tak kwalifikuje autor ten utwór, którego rzeczywiście romansem historycznym zwać nie można: Akcja główna nie jest wcale fikcją na tle dziejowem, lecz historia stanowi właściwą istotę opowiadania. Za temat wzięto dzieje Ostrogotów, zaczawszy od

ostatnich chwil Teodoricha aż do upadku państwa. Opowiadanie zaczyna się r. 526 i obejmuje lat 30. Jakkolwiek słusznie zarzucićby można, że na romans za wiele historyi, a na historią zbyt dużo dowolności, gdyż jeden z główniejszych działaczy, Rzymianin Cethegus jest postacią całkiem zmyśloną, bo nawet autor poważa się przytaczać cytaty z historyków zupełnie sfałszowane, wszakże te wady zmazane są wielkimi zaletami jak: styl wyborny, niezrównana żywość opowiadania, trafność charakteryzowania różnorodnych czynników dziejowych, tryskające prawdą przedstawianie licznych narodów, które w grę wchodzi, śliczne opisy miejsc i krajów i zrozumienie epoki. (Kryt. podaje Gegenwart 1876 N. 31).

Payer Julius, Die oesterreichisch-ungarische Polar-expedition von 1872—74.

Jestto opis a raczej sprawozdanie z ostatniej wyprawy podbiegunowej, która taki ogromny interes wzbudziła i Payerowi europejską sławę przyniosła. Dzieło to o 800 stronicach, obejmuje nie tylko wyprawę z r. 1872—74 lecz i dawniejsze 2, w których autor brał udział. Chociaż nie osiągnięto właściwego celu, odkrycie najlepszej z dotąd znanych drogi do bieguna i nieznanego kraju Franciszka Józefa, nie tylko daje wskazówki ważne przyszłym podróżnikom, lecz ogromnie wzbogaca ogólną wiedzę naszą o ziemi. Payer, który już poprzednimi dziełami swemi o Alpach wykazał głęboką znajomość orografii, przez wielki swój talent do rysunku krajobrazowego umiał w licznych drzeworytach zupełnie uprzytomnić czytelnikowi przyrodę podbiegunową. Dzieło łączące dwie wielkie zalety: ścisłość naukową z popularnością, cieszy się ogromnym pokupem. (Gegenwart 1876 N. 31).

Zwiedineck-Südenhorst, Geschichte der religiösen Bewegung in Inner-Oesterreich im 18 Jahrh. Wiedeń 1875.

Książka ta zapełnia brak w historii protestantyzmu w Austrii. Autor dowodzi, że protestantyzm przez postępowanie salcburskich biskupów sił nabrał, i że pruski wpływ w tem roli nie odgrywał. Owszem, bojaźń Prus, obawa, aby emigracja protestantów nowego zasobu i przybytku potęgi Prusom nie sprowadziła, kierowała polityką Austrii. Nie zarzucono wprawdzie pod Karolem VI i Maryą Teresą zasady utrzymywania czysto katolickiego państwa, lecz starano się i niekatolickie siły monarchii zachować, wprowadzając zamiast emigracyi transmigracyą protestantów, mianowicie do Siedmiogrodu. Zajmujące są badania autora nad stosunkiem ówczesnym państwa do kościoła. (Lit. Centralbl. 1876 N. 29.)

Reumont Alfr.-Geschichte Toscana's seit dem Ende des florentischen Freistaats. 1 Theil: die Medici J. 1530—1737 Gotha 1876.

Jest to 37 poszyt zbiorowej powszechnej „historii państw europejskich“ wydawanej staraniem Heerena, Ukerta i Giesbrechta, i ma niejako uzupełniać historią Włoch, opracowaną tam poprzednio przez Henryka Leo, lecz tylko aż do końca 15 wieku. Reumont, jeden z najznakomitszych znawców rzeczy włoskich całkowiec opanował swój przedmiot. Złożył on w tem dziele wyniki swych długoletnich badań nad ulubionym przedmiotem, a zwłaszcza z ciepłem i zamiłowaniem opracował rozdziały traktujące o umiejętności, sztuce, literaturze i obyczajach. Strona polityczna również świetnie jest przedstawiona, i doskonale uwidoczniło przyczyny, dla których Florencya za Medyceuszów osiągnęła znaczenie nie proporcjonalne do małej potęgi państwa materyjalnej. Stanowisko autora jest kościelne. (Lit. Centralbl. 1876 N. 29).

Lorenz Ott, drei Bücher Geschichte u. Politik. Berlin. 1876.

Dzieło to wyszło jako IV tom „Biblioteki dla Umiejętności i Literatury“. Jest to zbiór rozpraw, które w różnych czasach pojedynczo się ukazywały. Cały materyał podzielony na 3 księgi, z których najwięcej nowych rzeczy zawiera pierwsza pod tytułem: państwo i kościół. Znajdujemy tam rozdziały: o wolności kościoła i wyborze biskupów, o stosunku Cesarza Fryderyka II do kościoła, o kanclerzu i kancelaryi państwa w Niemczech, o wyborze papieża, o Jezuitach, o założeniu szkoły państwowej w Austryi, o karach kościelnych w średnich wiekach. Księga druga „do historii czasów nowszych i najnowszych“ mieści szkice o historykach angielskich i niemieckich piszących historią Anglii w 16 i 17 wieku, o Cesarzu Józefie II i powstaniu belgijskiem, o lordzie Palmerstonie, o wyrobieniu się konstytucyi angielskiej, o Ludwiku I bawarskim w związku z biografiami Seppa i Heigla. Księga III „Krytyczne badania historii 13 i 14 wieku“ zajmuje się przeważnie dziejami Austryi. (Lit. Centralbl. 1876 N. 29).

Kunst u. Künstler des Mittelalters u. der Neuzeit. Biographien und Charakteristiken, herausgegeben von Rob. Dohme. Lipsk 1875.

Dzieło to zbiorowe na podobieństwo Karola Blanc „vie des peintres“ wychodzi pod redakcją Dohmego w pojedynczych zeszytach, zawierających prócz kilku w związku stojących biografij, po kilka drzeworytów nowych i wcale dobrych. Jakkolwiek dla większej publiczności przeznaczone, zachowało ono ściśle naukowy charakter; pod względem jednolitości ustępuje niezawodnie pierwowzorowi francuskiemu. W 11 dotąd wyszłych zeszytach do najlepszych prac należą artykuły: Einhart (Dolimego), Bernwart, Tuotilo, niemieccy budowniczowie katedr (Alwina Schultz). Sztuka średniowieczna wszakże innego potrzebuje traktowania w dziele popularnem, a biogra-

ficzna historia sztuki właściwie tylko do nowszych czasów da się użyć. Pod względem utrafienia stosownego tonu podnieść wypada artykuły: Luca Signorelli i Soddoma (R. Vischera), Lucas von Leyden (A. Rosenberga) Watteau i Boucher (wydawcy samego). (Lit. Centralblatt 1876 N. 29).

Frenzel Karl, Renaissance und Rococo. Studien Berlin. 1876.

Książka ta należy do najlepszych publikacyj „ogólnego stowarzyszenia dla literatury niemieckiej“; nietylko czytelnikowi przyjemność sprawia ale i poucza. Nie jestto historia Renesansu i Rococo, ani wyczerpujące ich przedstawienie; celem autora uwidocznienie istoty tych dwóch kierunków kilkoma charakterystycznymi postaciami lub zjawiskami, jakby ilustracjami. Całość rozpada się na pojedyncze szkice, których połączenie stanowią tylko pewne zapatrywania autora, i które już po części były drukowane. Wszędzie widać nietylko znawstwo, lecz głęboki sąd i talent w przedstawieniu. Nie będąc samodzielnym badaczem, doskonale autor umie badania innych zużytkować i dla niespecjalistów uprzystępnąć. Zaczawszy od Petrarki, Lorenza Medici, Vittoryi Colonna i Michała Anioła, przez komedye Shakespeara dochodzimy do charakterystyki Wawrzyńca Sterne, Diderota, Salonów paryskich, Holbacha, Helwetiusa, a wreszcie do słynnych cudotwórców i szarlatanów niedalekiego nam czasu. (Lit. Centralblatt 1876 Nr. 29).

Hausrath Dr. A., David Friedrich Strauss und die Theologie seiner Zeit. Heidelberg 1876.

Jestto pierwszy tom biografii Straussa; drugi ma się wkrótce ukazać. Książka rozpada się na 4 części: 1) Wstęp historyczny, 2) Życie Jezusa, 3) Spór co do Życia Jezusa, 4) Wezwanie na profesora w Zürich. Osobny rozdział jest pod tytułem „słabe strony stanowiska Strausowskiego“ i przedstawia to stanowisko jako „überwundener Standpunkt“. Najbardziej zajmującą może jest część 4ta, w której jest wyczerpujące opowiadanie o szczegółach powołania Straussa do Zürich.

Siebeck Dr Herman, das Wesen der ästhetischen Anschauung. Psychologische Untersuchungen zur Theorie des Schönen u. der Kunst. Berlin 1875.

Praca ta oparta na Herbartowsko Steintalowskiej nauce o appercepcyi, zawiera nader ważne i zajmujące badania psychologiczne i estetyczne, z których korzystać mogą nietylko ludzie fachowi lecz i szersze koło czytelników z przyjemnością.

Winckler Joh., die periodische Presse Oesterreichs. Eine historisch-statistische Studie. Wiedeń 1875.

Praca, której trudności i zasługi niepotrzeba podnosić, dzieli się na 3 części. W pierwszej daje autor historyczny pogląd na dziennikarstwo austriackie od początku aż do 1848 r. W drugiej zebrany jest w systematyczną całość materiały

historyczny w tabelach, które nakształt, roczników podają tytuł, treść, miejsce, język, i ilość rocznych numerów w pojedynczych po sobie następujących latach i to jako całość aż do r. 1862, poczem dzielą się wiadomości podane na oddział „historyczno-genetyczny“ i „statystyczno-analityczny“. Szkoda, że autor widocznie nie mogąc opanować olbrzymiego przedmiotu, często zmienia metodę traktowania rzeczy i niejedną popełnia niekonsekwencyą; wolelibyśmy także, aby cały zastęp pism peryodycznych (w sumie 2592) zebrany był w jednej tabeli i przy każdym tytule krótka historia się znajdowała, podczas gdy teraz każdego dziennika historii trzeba szukać po 26 rocznych spisach. Na ocenienie tendencji autora trzeba by specyjalnego studyum o tem dziele.

Biedermann Karl, Deutschland im 18 Jahrhundert. Tom 2gi, część 2ga, oddział 2gi. Lipsk 1875.

Po 8 latach przerwy ukazał się dalszy ciąg niepospolitego dzieła, które zaliczyć trzeba do fundamentalnych prac około historii Niemiec w 18 wieku. Część niniejsza pod tytułem: stosunki umysłowe, obyczajowe i towarzyskie w drugiej połowie wieku, skreśla ożywienie literatury przez Fryderyka W. i jego własną działalność, zajmuje się Lessingiem jako przedstawicielem nowo powstałej realistycznej poezyi, i daje wszechstronną charakterystykę tak zwanej „Sturm- und Drangperiode“. Dzieło Biedermanna, który tu za cel obrał uwydatnienie najściślejszego związku między literaturą piękną a całym życiem i kulturą narodu, jest więcej niż historią literatury; znajdujemy tam raczej ogólny obraz epoki życia narodowego w całej jego różnobarwności, aniżeli wyczerpującą ocenę poszczególnych indywiduów wybitnych. Metoda i zapatrywania Biedermanna występują tu w całym świetle. Fryderyk W., Lessing, filozofia realistyczna 18 wieku i przeciwieństwo jej absolutne panowanie podmiotowości w „Sturm- und Drangperiode“, wszystkie te czynniki jeszcze może nigdy nie były tak głęboko zrozumiane i tak mistrzowsko przedstawione. Największą zaś zaletą dzieła wszechstronność. (Lit. Centralblatt 1876 N. 30.)

Schiller's Briefwechsel mit dem Herzog Friedrich Christian von Schleswig-Holstein-Augustenburg. Eingeleitet u. herausgegeben von Max Müller. Berlin 1875.

Jestto przedruk poprawny korespondencyi Schillera z duńskim swym dobroczyńcą, przedruk staranny, który atoli nie jest wolny od dotkliwych luk. (Według Lit. Centralblatt N. 32.)

LIST Z WIELKOPOLSKI.

Pzez trzy miesiące prawie uwaga ogólna zwróconą była u nas na sprawę przyszlých wyborów do sejmu i parlamentu. W każdym powiecie odbyły się zebrania przedwyborcze, na których obierano sześciu kandydatów do sejmu i sześciu do parlamentu. W kilku powiatach i w Poznaniu odbyły z tego powodu uprzedzenia stronnice, które przeniósłszy się do dzienników, rozdzieliły na nowo nasze społeczeństwo na dwa obozy: na liberalny i t. n. ultramontański. Spór nasz bardzo pożądany był żywiołowi niemieckiemu, który zbyt wczesnie cieszył się z tego rozbicia, sądząc, że pracujemy *pour le roi de Prusse*.

Pierwszy krok do zgody uczyniło stronnictwo katolickie, zwołując wiec na dzień 6 września do Poznania. Zebrało się około 1000 osób duchowieństwa, szlachty i ludu nawet z dalszych okolic Wielkopolski. Z Prus Zachodnich przybył X. Orliński, z Szlązka X. Riemel i p. Nowak, redaktor katolickiej gazety „Schlesische Volkszeitung,” wychodzącej w Wrocławiu. P. Henryk Krzyżanowski, były poseł, w słowach pięknych przedstawił program katolicki, zbił zarzuty, jakie *Dziennik Poznański* czynił w ostatnich czasach ultramontańskiemu stronnictwu. *Prawodawstwo państwowe powinno się opierać na prawie Bożem, praca zaś narodowa na przeszłości i ciągłości tradycji,* — oto główna treść przemówienia p. Krzyżanowskiego. O jednej z najbardziej u nas palących kwestyj, t. j. o kwestyi szkolnej mówił X. Dr. Wartenberg z Pawłowa, znany mowca wiecowy. W sposób przystępny i zrozumiały nawet dla prostaczka uwydatnił różnicę między szkołami symultannemi a wyznaniowemi. Trzeba dążyć do tego, mówił mowca, aby dla szkoły wywalczyć taką wolność, jaką się cieszy Francya, Anglia i Irlandya. X. Dr. Kantecki mówił o dziennikarstwie.

P. Franciszek Dr. Chłapowski, który przez kilka lat pracował z korzyścią około moralnego i materyalnego podniesienia ludu na Górnym Szlązku, miał rzecz o czytelnich ludowych. W końcu przyjęto następujące cztery rezolucye:

1) ze względu na przyszłe wybory obowiązkiem jest każdego, by zachował solidarność;

2) bronić trzeba szkół wyznaniowych i polskiego języka jako wykładowego; trzeba się domagać u Rządu, by naukę religii udzielali księża, mający *ad hoc* misyą kanoniczną;

3) oświatę ludową trzeba rozszerzać za pomocą bibliotek ludowych;

4) zgromadzeni uchwalają, że popierać będą dziennikarstwo katolickie.

Prócz tego postanowiono zapytać się p. Dr. Zygmunta Szuldrzyńskiego, co się stało z adresem do Cesarza w sprawie języka polskiego. Wiadomo bowiem, że 30 maja odbył się wiec w tej sprawie w Poznaniu i że tamże uchwalono wysłać adres do Króla.

Ważnem jest także postanowienie, aby na przyszłość co rok w miesiącu wrześniu zwoływać podobne zebrania.

Wysłano adres do Ojca św. i do X. kardynała Ledóchowskiego.

Na zebraniu nie widzieliśmy tych, którzy się liczą do partii liberalnej.

Wiec ten udowodnił, że nietylko „księżkowie“, „ko-horta demagogów duchownych“, należy do partii katolickiej i w jej duchu działa, lecz także lud, mieszczenie i szlachta. Że stronnictwo katolickie jest bardzo silne, przekonało nas o tem zebranie przedwyborcze, odbyte 15 września w Poznaniu. Mimo różnych sposobów i sposobików użytych przez przeciwników, większość katolicka przeprowadziła do sejmu i parlamentu kandydatów, których proponowała, a na czele X. biskupa Janiszewskiego; do parlamentu zaś na pierwszym miejscu p. Dr. Niegolewskiego.

Dzień też 15 września pamiętnym będzie dla tych wszystkich, którzy widząc „znaki czasu“, zgromadzili się pod sztandarem polsko-katolickim.

Walka kulturalna, jak już donosiłem, wydalila z Jasnej Góry pod Gostyniem księży Filipinów. Obecnie p. Massenbach, zarządca majątku obu dyecezyj, i jego adlatus Perkuhn, obłożyli aresztem wsie Błażejewo, Grenzewo i Bodzewo, należące dotychczas do tej kongregacyi. Ten sam los spotkał i zabudowania klasztorne i sam klasztor, który zamknięto. Administratorem z ramienia rządu mianowany jest rotmistrz pozasłużbowy Oven z Zbąszynia. Częstka dochodu ma służyć na utrzymanie siedmiu księży Filipinów, reszta ma wpływać do mieszka państwowego. Krok ten p. Massenbacha jest dla nas

zagadkowy. Wedle dokumentu fundacyjnego bowiem dobra te mają wrócić do rodziny Mycielskich w razie, gdyby przestały służyć celowi, na jaki zostały przeznaczone; mimo to państwo pruskie mając za godło „*sum cuique*,” anektuje własność obcą! P. Massenbach naśladuje w tym razie mimowoli przykład Bolesława V, księcia opolskiego, który na wezwanie Husytów pozbawiwszy Paulinów w Głogówku na Górnym Ślązku dóbr, oddał im dokumenta mówiąc: „*servate vobis litteras, et ego bona tenebo*.” Państwo Mycielscy, jak słyszę, sprawę tę wytoczą przed forum sądowe, które bez wątpienia uzna słuszość ich pretensyi wobec wyraźnego i jasnego zastrzeżenia dokumentu fundacyjnego. Rząd pruski jest wogóle mistrzem w anektowaniu dóbr kościelnych. Gdy „*Kulturkampf*“ wybuchł, począł naczelny prezes oddawać majątki opróżnionych probostw w administracyą komisarzom policyjnym, burmistrzom i innym osobistościom, będącym „*in odore*” przyjaźni dla państwa. Na tem majątek kościelny wielce ucierpiał, gdyż panowie administratorzy za trudy i swą pracę pobierali z kasy kościelnej wielkie nieraz pensye.

Ofiarą praw majowych padł znowu znany ks. Bąk z Książa, gdzie jest proboszcz państwowy p. Kubeczak. Za to, że nie mogąc w kościele, w domu prywatnym odprawiał nabożeństwo, skazał go sąd Śremski na 40 dni więzienia i kazał przyaresztować na jednej ze stacyj kolei żelaznej.

Przeciw ks. Różańskiemu z Góry toczył się w trybunale dla spraw kościelnych w Berlinie 13 września proces w celu złożenia go z urzędu, lecz — rzecz dziwna, wniosek ministerstwa królewskiego został przez kolegium odrzucony! Jest to pierwszy wypadek tego rodzaju. P. Guenther, naczelny prezes, który wniosek ten przesłał do trybunału, udowodnił znowu, że zbyt gorliwym jest rycerzem w „walce kulturalnej“.

Urzędowy *Deutscher Reichsanzeiger* w Berlinie z dnia 11 września w Nrze 214 umieszcza list po łacinie, który przesłał ks. Kardynał ks. Brenkowi w Piaskach. Ks. Arcybiskup wzywa ks. Brenka, który uznał prawa majowe, by w 90 dniach naprawił zgorszenie, by odwołał uznanie praw państwowych piśmiennie wobec dziekana i dwóch świadków: w razie uporu ipso facto jest suspendowany i surowsze jeszcze spotkają go kary. Ks. Brenk dokument ten posłał rządowi wraz z odpowiedzią, jaką dał ks. Kardynałowi. Ze względu na formę i ku wiecznej rzeczy pamiętce przytaczamy ją:

„Eminencyo!

Admonicją Waszej Eminencyi otrzymałem dnia 8 lipca w Piaskach i oddałem ją, jak słuszną i sprawiedliwą, wysokiemu królewskiemu rządowi do dalszej decyzji.“

Odpowiedź ta komentarza nie potrzebuje.

Rząd do owego dokumentu ks. Kardynała zdaje się przywiązywać wagę. Umieścił go na naczelnem miejscu w swym organie a jak donoszą gazety berlińskie, sekretarz ministerstwa czynił w tym względzie przedstawienia posłowi włoskiemu u dworu berlińskiego. Prócz tego dyrekcyja poczty w Bydgoszczy rozesłała do poczt będących w jej obwodzie fac-simile adresu do ks. Brenka z zawezwaniem, by listy mające na adresie charakter pisma ks. Kardynała przesyłały prokuratorom. Już u ks. Matuszewskiego w Gniewkowie odbyła policyę rewizyą, gdyż rząd podejrzywa tego kapłana, iż to on przysłał ks. Brenkowi rozporządzenie ks. Kardynała. Rezultat rewizyi jednak nie był pomyślny, gdyż nic nie znaleziono.

Gazety katolickie domyślają się, że rząd przez wydrukowanie w *Reichsanzeigerze* listu ks. Arcybiskupa do Brenka chce pokazać tworzącej się partyi konserwatywnej, iż powinna wymazać z swego programu ustęp, w którym jest przycisk położony na konieczność rewizyi nowych ustaw kościelno-politycznych. Dokument ten ma dowieść konserwatystom, że Rzym nie chce zgody z państwem, że przekracza zakres swych przywilejów.

Mówiąc już o cenzurach kościelnych nałożonych na księży apostatów, wspominam także i o tem, że dawniejszy proboszcz mogilnicki ks. Suszczyński, który wziął „ślub“ cywilny z panną Gajewską, został wyłączony ze społeczności kościelnej. Dokument ekskomunikacyjny ze względu na nasze opłakane stosunki umieszczony jest w gazecie francuskiej „le Monde.“ Mimo to ks. Suszczyński uważa się za prawowitego dziekana mogilnickiego, jednak księża oczywiście na żądanie i rozkazy tego pana nie zważają.

P. S. Cesarz 28 sierpnia podpisał ustawę o języku urzędowym. Adresy na nic się nie zdały. Nowe to prawo znosi język polski w sprawach sądowych i w czynnościach z innemi urzędami. Dla okolic przeważnie polskich dozwala prawo używania języka polskiego przez pięć lat, po upływie zaś tego czasu językiem urzędowym będzie wyłącznie niemiecki.

Bolesny to cios dla nas, ale... i ten zniesiemy z męstwem.

Epsilon.

Jeszcze słowo przed wyborami.

LIST DO PANA PAWŁA POPIELA

przez J. Szujskiego.

Nie dziw się Szanowny Panie, że na list Twój do p. Koźmiana pisany odpisuje Ci kto inny, a raczej bierze z niego assumpt do dalszej o polskiej biedzie i o — wyborach pogadanki. *Przegląd polski* chociaż marzący zawsze o potężnym batogu, którymby woźnica jakiś piastowski niesforne nasze stadko do lepszych zagonił przeznaczeń, był o tyle w wewnętrznym swoim ustroju prawym synem Rzeczypospolitej, że przyjaciele jego i redaktorzy, związani raczej wspólnością pewnych antypatyj, a pewnych rzeczy gorącą i szczerą miłością, niż jednolitym systemem środków politycznych, szli współcześnie razem i osobno, wyrozumiali dla siebie na tę odmienność pomysłów, chwilowych zapatrywań, wrażeń, którym jeden i drugi mógł ulegać, złączeni tylko wiarą wzajemną, że każdy chce jak najlepiej dla publicznej sprawy, że stanie za zdaniem swoim i kolegów, że mu nie o chwilowy poklask, ale o rzecz samą chodzić będzie. Tak i dzisiaj, nie wacham się wcale zgodzić się z zdaniem wyrażonem przez Ciebie, Szanowny Panie, że zasady, których broniliśmy w *Przeglądzie*, pobitemi nie zostały, a dodać nawet więcej, że i *Przegląd* pobitym nie został — chociaż twierdzenie to pozostaje w niezgodzie z tem, co mój zacny kolega, p. Stanisław Tarnowski, twierdził w ostatnim politycznym artykule swoim. Wedle też woluntaryuszowskiej tradycji w piśmie naszym istniejącej, odpisuję na list, wystosowany przez Ciebie do drugiego kolegi p. Stanisława Koźmiana, chociaż, aby przypomnieć znowu ową dawną korespondencyą między nami, wywołaną Twoim listem do ś. p. Jerzego Lubomirskiego, pełną dla mnie miłych wspomnień, bo nad mało-

duszną a zgubną często w skutkach próżnostkę kousekwency, przenosiłem i przenoszę zawsze prostoduszne, sumienne zejście z błędnej drogi — chociaż, aby mówiąc o sprawach kraju przed szerszą publicznością, mieć przed sobą człowieka, którego od dawna ceniąc wysoko dla jego cnót i rozumu, miałem na ostatniej sesji sejmowej sposobność poznać jako jednego z najsu-
mienniejszych pracowników około sprawy publicznej i najmniej uprzedzonych słuchaczy cudzych argumentacji.

Jakby na potwierdzenie mojej charakterystyki *Przeglądu polskiego*, jego luźności i znowu magnetycznego przyciągania się, w jakim zostają myśli małego kółka jego, adresat Twój, Szanowny Panie, wystąpił w niniejszym zeszycie z artykułem, którego myśl główna jest punktem wyjścia mojej odpowiedzi na Twój list! Mówiąc o „Emigracyi chłopskiej“ An-
czyca, poruszył on nadzwyczaj dobitnie smutny stan naszych narodowych stosunków, przedstawił nagi fakt grożącego nam upadku i uczynił zarządzenie o ile można temu złemu, programem na przyszłość, programem przyszłego sejmu. Ja zaczepiając o Twoje twierdzenia, że nie zostały pobite zasady nasze, za które walczyliśmy, zaczepiając o moje twierdzenie, że i *Przegląd* pobitym nie został, miałem rozpocząć i rozpoczynam też od smutnego stwierdzenia faktu, że trudno cieszyć się zwycięstwem zasad i niepobiciem *Przeglądu*., skoro kraj, skoro byt narodowy, uciierały tak wiele i na tę też praktyczną drogę, jakby temu zaradzić, około czego ugrupować przyszłe usiłowanie nasze chciałbym zwrócić ostatnią przedwyborczą, ku Tobie zwróconą pogadankę w *Przeglądzie*.

Dotknę też najprzód zarzutu Twego, że *Przegląd* jak sowietnik na balu u Senatora chciał tańczyć sam i dla tego szerszej podstawy nie zyskał, stronnictwa nie stworzył, w czyny płodnym nie był. Zgoda, że do stworzenia stronnictwa trzeba zasad, a *Przegląd*, jak twierdzisz, powoli tylko do dobrych przychodził, ale trzeba także czegoś więcej, trzeba przedmiotu czynnej pracy, trzeba jej rozdziału i organizacyi, trzeba praktycznego dla zasad ruchu, trzeba puszczenia w ruch maszyny złożonej z wielu kółek i szlachetnego współdziałania do jednego dobrze obmyślanego i zaopatrzonego w środki celu. Otóż „hic Rhodus hic salta“ w naszych stosunkach, Szanowny Panie: na ludziach rozumnych nam nie zbywa, na wyznawcach stałych i uczciwych zasad także nie, przeciętna opinia ludzi poważnych pomimo krzyku dzienników i lichej jednodniowej literatury jest zachowawczą, katolicką i tradycyjnie narodową, nawet na masy większe dawna frazeologia mniej już wpływa wobec ewidencji naszego położenia i z tej też przyczyny to, co na pozór niepopularne, często przez bazgraczy z błotem

mieszane: „Czas,“ „Przegląd polski“ niezawodnie doznaje większego szacunku, uchodzi za większą powagę, niż przeciwnicy — tylko że ci rozumni ludzie, ci trafnych zasad wyznawcy nie mogli się dotąd zdobyć na więcej, jak na działanie ochronne i odporne, nie zdobyli się *na zgrupowanie się śmiało i czynne około pewnego szeregu zadań społecznych, konsekwentnie i z wytrwałością przeprowadzonych, na postawienie dodatniego celu*, któryby porwał, zagrzał, rozbudził i ożywił, któryby dotknął skutecznie tych wszystkich czynników życia, jakimi społeczeństwo stoi i porusza się.

Na Zachodzie dają tego przykład owe wrogo przeciw sobie stojące stronnictwa, które w liście swoim wskazujesz. Nie podzielam zdania, aby massonowie kierowali liberalnym, mój Boże! poco tu tajnych towarzystw dla jawnego, uorganizowanego, w odtylcówki i armaty opatrzonego pogaństwa Zachodu, którego cielcem: omnipotencya państwa i idący za nią socyalizm. To pewna, że jak to rozporządza tysiącznemi środkami, tak przeciwnie stronnictwo oddaje się najczynniejszej pracy, porusza tysiącami głów i serc, przekonaniem prowadzonych. Zasada i wyznawstwo nie wystarcza, trzeba czynu i ustawnego działania. Otóż i w naszych stosunkach, znacznie różnych jak sam Szanowny Pan uważasz, w kraju, gdzie nie przyszło do tego „rozdarcia na obozy,“ obok zasad trzeba pracy, trzeba hasła poruszającego, przy którymbyśmy się znaleźć mogli, trzeba coś zgodnie w zakresie naszej woli i pracy położonego *chcieć* — aby kraj ratować, wydzwignąć, posunąć do lepszego bytu.

Podnosisz Szanowny Panie wiele zadań sejmowych, mówisz o gminie i szkole, o reorganizacyi administracyjnej, ale co mnie zadziwiło przedewszystkiem, to że z zwyczajną sobie dobitnością nie podnosisz i nie nazywasz po imieniu najbliższych zadań, a szczególniejszy tylko nacisk kłaść się zdajesz na utrzymanie hierarchicznej sejmu w społeczeństwie powagi. Otóż zdaje mi się, że ta powaga utrzymać się nie da, jeżeli już nie sejm cały, nie cała nawet większość polska (nie trzeba sobie robić illuzyi) ale znamienity odcień tej większości nie będzie czegoś gorąco *chciał*, nie będzie w stanie wypowiedzieć hasła, któreby kraj do sejmu przywiązało, porwało, zajęło, skłoniło, aby od tego odcienia brał wskazówkę i komendę. Nie mniemam, abyś mnie chciał o chęć wypowiedzenia popularnego hasła podejrywać nie mniemam, abym potrzebował dowodzić, że pod takim hasłem nie rozumiem ani wznowienia rezolucyi, ani siarczystego manifestu o nieprzedawnionych prawach, ani adresu pełnego lamentu nad bezpośredniemi wyborami, ani żadnej rzeczy, która zwala odpowiedzialność za nasz stan na jakiegokolwiek „obce potencye!“ Owszem, pierwszym warunkiem zbawienności kierunku, który wskazać chciałbym,

byłoby zawsze *położenie go w granicach naszych sił, naszej możności, naszej pracy, naszej ostrożnej i bez przechwałek polityki na zewnątrz*. Hasło takie dałoby się wyciągnąć z tej charakterystyki naszych potrzeb, którą dajesz: *Et haec facienda et illa non omittenda*, z ogarnięcia ich w tej wielkiej i smutnej całości, jaką S. Koźmian w swoim artykule przedstawił.

Słusznie twierdzisz szanowny Panie, że nieprzyszło u nas do rozdarcia na dwa obozy, bo obozy takie dane tylko społeczeństwom w pełni bytu i siły, jak społeczeństwa zachodnie! My wszyscy stanowimy tylko *jeden obóz* ściśnięty nieprzejrzanymi tłumami z zachodu i wschodu płynących wojsk oblegających, które pragną naszej zagłady. Ożywia je wszystkie narodowa i religijna do nas nienawiść, rozporządzają zaś strasznym środkiem: wyższością kultury, pracy, spójności, wiedzy, organizacyi. To co pomiędzy nami samemi nazywać się zwykło drugim obozem, to albo zbiegi, co dali za przegraną i przysięgli na kosmopolityzm, albo szaleńcy, którzy myślą, że wywieszeniem tej samej chorągwi, co nieprzyjaciele, ujdą zagłady, albo małoduszni demoralizatorowie, którzy nas naprzód chcą godzić z nieuchronnym losem. Tymczasem jakież jedyne zbawcze hasło obłożonych? *Et haec facienda et illa non omittenda!* Niewolno nam pod zdradą zagrożonej chorągwi wyrzucać za wały obozu niczego, co stanowi naszą siłę, nasz kapitał pozostały, naszą naturalną społeczną i narodową podstawę, owszem podnosić, wzmacniać, utwierdzać tę najsilniejszą broń odporną, a żeśmy słabsi, żeśmy mniej doświadczeni, mniej pracowici, mniej wytrwali, mniej spojni, trzeba nam uczyć się enót i sposobów przeciwnika. Nietrzeba chorować na Zachód i jego walki, trzeba się uczyć od Zachodu, co jego siłą a go. tować na walkę z nim, na walkę z mnogimi jego sojusznikami to, co naszą siłą odziedziczoną i co naszą siłą zdobytą. *Et haec facienda et illa non omittenda.*

A więc zgoda przedewszystkiem z tem potępieniem bezwyznaniowego kierunku, którym niech się trują — nieprzyjaciele nasi. Zgoda na czynne działanie około zespolenia się z ludem na łonie kościoła, wszędzie gdzie się po temu zdarzy sposobność, szczególnie w tym zaniedbanym często wiejskim kościele, w religijnem bractwie, w uczynkach miłosierdzia. Skuteczniejsze to i dla kościoła i dla Polski niż przejmowanie jakiegoś fabrykowanego na prędce legitymizmu, dla którego materiału u nas niema, niż np. niewinne zresztą sympatye do Don Karlosa! Zgoda na czynne zajęcie się szkołami i użycie wszelkich możliwych środków, aby od góry do dołu, szerzyły naukę bez domieszki zgubnych tendencyj, aby żyły duchem trafnej pedagogiki i dydaktyki skutecznej, poważne na zewnątrz, gdzie na nie tak niechętnie patrzą, nauko-

wemi rezultatami, na wewnątrz zarówno moralnością jak nauką. Owszem! cała siła intelligencyjna kraju, hojne środki materialne niech podsycają krynicę wiedzy i środków wiedzy, która jeżeli żyje sama dla siebie, niemyśląc o karierze i blade, zawsze jest potęgą dla tego, co ją użyje, czy to państwo, czy naród, czy kościół średniowieczny. Przy zamkniętych innych polach działania, tam pole dla polskiej ambicji; przy takim niskim poziomie wiadomości, jak u nas, to sposób zyskania zastępu ludzi zdolnych w różnych kierunkach a tegich i skutecznie w obywatelskiem życiu działających. Ale zabezpieczwszy wyżyny społeczne, trzeba zejść do gruntu i tam rozpocząć budowę. Czas powiedzieć, że wahanie się długie z podjęciem *reformy gminnej*, było małodusznością bez granic, hołdem wygodnictwu klasy oświeconej, kuszeniem do złego dobrych instynktów naszego ludu przez pozostawienie w jego rękach, niezdolnych niestety dotąd, tyłu najważniejszych interesów bezpieczeństwa, zdrowia i dobrobytu gminnego. Czas powiedzieć, że rozdział obszaru dworskiego od gminy bez ujęcia obu odwiecznie złączonych czynników w zdrowy wspólny organizm wzajemnie się wspierający — jeżeli na razie był rozsądnym palliatywem, zdążającym do zablźnienia ran społecznych, dzisiaj — przedłużając się od roku do roku. staje się *egoistycznym konserwaryzmem* tych, którzy wiedzieć powinni: że z szlachtą polską, polski lud! A im groźniej szerzy się tego ludu wywłaszczenie, im srożej narażoną dusza jego przez propagandę szyzmy, im głębiej on mimo wolności tu i owdzie upada, tem większa odpowiedzialność tych, którzy nie chcą się spotkać z światą i sukmaną przy jednym radnym stole, gdzie go poznają bliżej, gdzie mu pomogą skuteczniej, niż przy jedynem dzisiaj zetknięciu się w Radzie powiatowej lub nad stolikiem, gdzie się tygodniową roboczną płaci!

Nie przytaczam tylekroć omawianych argumentów jak: potrzeba pośpiechu, aby nam kto inny gminy nie zorganizował, jak nietrwałość całej dzisiejszej organizacji autonomicznej! Powtarzaliśmy je do syta. Nowym niech będzie argument przemawiający do sumienia; trzeba tego chcieć, bo to więcej jak potrzeba, to za długo odkładany obowiązek, jeżeli jest jeszcze obowiązek płynący z dewizy: Z szlachtą polską polski lud!

Jak chcieć, jak przeprowadzić, nie nasza rzecz. Znamy jeden projekt oparty zarówno na swojskich jak obcych wzorach, sięgający też i wyżej: w sprawę reformy administracji krajowej: projekt Dunajewskiego. Walka o szczegóły przedwczesna, kanwa, na której osnutą ma być dyskusja, gotowa, wyszła z rąk kilku doświadczonych, rozumnych i głęboko kraj miłujących ludzi. Nie mniemam aby to nie wystarczało, jeżeli się *chce* a chcieć trzeba. W dalszej budowie wniosku co chwila

spotyka się potracone najważniejsze kwestye naszego rozwoju w przyszłości: zamianę problematycznej przy zmianie stosunków, autonomii na zasadę udziału w rządzie, zasadę *spółrządu*; uchylenie dualizmu władz a więc na dole współdziałanie z *ludem*, na górze współdziałanie z *rządem*. Czy w tem niema głęboko obmyślanej higieny na dwie nasze choroby, na zatrącenie *zgody* społecznej i na zatrącenie idei *rządu*? Czy wahać się mamy przed tą kuracją z źle zrozumianego patryotyzmu, któremu się zdaje, że społeczeństwo wtedy tylko rządu potrzebuje, gdy ma swój własny, który niepamięta, że na nie nie przydałoby się zyskanie nawet własnego rządu, gdyby wszelka tradycya jego wygasła?

Trzeba zatem chcieć — *faciendum, non omittendum!* A ileż takich rzeczy pozostaje jeszcze! Pozostaje cała olbrzymia, bo fizycznie najważniejsza kwestya ekonomiczna: zagrożenie własności większej i mniejszej, sprawy rolnictwa i przemysłu! Powiedział ktoś, że ostatnia sesya miała jeden tylko ważny wniosek: wniosek ankiety, zkąd się u nas głód peryodycznie bierze. Jest w tem prawdy nie mało, chociaż zamiast ankiety, wolałbym i tutaj działanie rozumne ludzi z kapitałem, i pracą, nieoparte na sentymentalnej zasadzie bezprocentowej pomocy ale wychodzące z nadziei, że przy dobrym stanie kraju rosną i prywatne fortuny lepiej, niż na giełdzie lub innych spekulacyach... Ale pole to, jako niefachowy i niekapalista opuścić muszę, przypominając tylko, że stronnictwa zagraniczne mają zasadę, wytyczone pola działania i — pieniądze, że zatem skutecznego działania sejmu wtedy tylko spodziewać się można, jeżeli bodaj mniejszość jego polskiej większości będzie chciała silnie tego, co uważa za dobrea mogła — dla tego, czego chce.

Znam jednego przeciwnika strasznego, który temu, o ile mnie się zdaje, dotąd przeszkadzał. Jest to niepewność naszych politycznych stosunków, dzisiaj większa niż kiedykolwiek, dla tego też o niej z szczególniejszym naciskiem wspominam. Ale na tę przeszkodę straszną znam tylko jedno, bardzo gorzkie upomnienie: Niebądźmy słowiańską rodziną, która z założonymi rękami, patrzy się na pożar na widnokręgu a rozpoczyna lament, gdy się do jej własnych chat dostanie. Nie bądźmy słowiańską rodziną, która z palcem na ustach przypatruje się swarom ościennych a potem na ich wzór i podobieństwo kłócić się zaczyna. Bądźmy raz mądrymi po tylu szkodach Polakami, miejmy raz zwrócone na dom oko i muszkułarną pięść, zdolną zarówno do odtrącenia tego, co złe, jak i do zastosowania tego, co zbawienne.

Lakoniczność i pewna nerwowość mego listu mogła Cię zdziwić, Szanowny Panie. Ale wyrozumiesz ją, jeżeli Ci się wypowiadał z spostrzeżenia, że w tem naszym galicyjskiem

życiu od lat dziesięciu, zdaniem mojem, brakowało lakoniczności czynu, zniecierpliwienia nerwowości i choćby odrobiny zapachu. Leżą stosy sprawozdań i mów sejmowych, piętrzą się biblioteki dziennikarskiej bibuły.... a czy to, niewiem tego dokładnie, papier jest złym przewodnikiem elektryczności, czy profuzya słów zabójstwem czynu. mimo wielu krzyków, deklamacyi, racyocynacyi.... nie przebiegła jeszcze tego biednego kraju iskra elektryczna łącząca myśl i wolę, pomysł i wykonanie. Ty Szanowny Panie byłeś niezawodnie w tem dziesięcioleciu jedną z głów wybitnych, choć na uboczu długo zostawianych (także ilustracya Galicyi!) najskąpszych w słowa, a najlapidarniejszych, gdy wewnętrzna znagliła Cię potrzeba. Do Ciebie więc zwrócić mi się przyszło z uwagami, które także, wśród innych moich zajęć, były zadosyćczynieniem gorącej potrzeby wewnętrznej. Chciałbym gorąco aby im się udało pozyskać uwagę tego, który nigdy dla przyjętej zasady nie skąpił czynu i pracy. Wniosków też dalszych, co do wyboru nie ciągnę, do wskazywania i odsuwania przeciwnych kierunków nie idę, nie przyda się to na nic, bo siłą przeszłości, tradycją wyboru po hipotece i powadze prowincjonalnej mają one zapewnione wejście do sejmu. Kończę tem, co treścią mego listu, że utrzymanie powagi sejmu, pożądane okiełznanie kraju przez jego reprezentacyą, aby ciągnął skutecznie pług pracy na niwie ojczystej, aby nie ujrzał się wydziedziczonym i zajechanym cudzą pracą i kulturą — jest wola silna i czynne działanie tych, którzy wiedząc — chcieć i móc powinni.

Zbyszyce 20 Września 1876.

J. Szujski.

Przegląd polityczny.

Kraków 30 września.

Car Aleksander przez dziesięć dni bawił w Warszawie. Po co do Warszawy przyjechał, łamano sobie głowę; nieszczęśliwemu krajowi żadnej ulgi nie przyniósł, konferencyj dyplomatycznych nie było, a jednak pobyt w Warszawie nie był bez celu; chodziło cesarzowi o dowiedzenie Europie, że w sprawie wschodniej nie jest odosobnionym i zrobienie jej tem samem skłonniejszą do przyjęcia petersburskich propozycji w zamierzonej pacyfikacji Wschodu. Niestety Turcja odpowiedź na propozycje mocarstw zwlekała, pan Girardin znowu za zbyt się pospieszył z ogłoszeniem mniemanego układu między Petersburgiem i Berlinem, car Aleksander, autor tej mistyfikacji, nie osiągnie podobno zamierzonego celu!

Car w Warszawie był smutny, gniewny i milczący, pisały dzienniki, hr. Kotzebuemu podobno wyraził swoje niezadowolnienie; przyjeżdża p. Manteufel, car odzyskuje humor, w wesołem usposobieniu odjeżdża do Liwady.

W kilka dni pojawia się w La France, organie p. Emila Girardin, dawnego przyjaciela Rosyi kopia układu zawartego między Rosyą i Prusami; przyjazd Manteufla i nagłe roz pogodzenie cara mają służyć za dowód, że Manteufel coś bardzo przyjaznego przywiózł; tem coś, to porozumienie się zupełne i całkowite Rosyi i Prus w sprawie Wschodniej. Wprawdzie natychmiast z Petersburga zaprzeczono tej wiadomości, p. Girardin jednak obstaje przy swoim, cytuje przykłady, że nie jeden traktat rzeczywisty podawano w wątpliwość, nakoniec oświadcza, że dotąd nie przestanie wierzyć w wiarygodność tego dokumentu, dopóki hr. Adlerberg pod-

pisany na nim swego podpisu nie odwoła. a tu właśnie podpis hr. Adlerberga naprowadza na domysł, że dokument sfałszowany, bo co ten podpis znaczyć ma na traktacie? Zostanie wątpliwość, a z nią i chwiejność w obozie przeciwników polityki rosyjskiej. Pomysł nie był zły, miejscowość dobrze obrana; rozumie się, że w Warszawie każdy ruch, każdy grymas cara ulega drobiazgowemu rozbiorowi, prasa najmniejszy szczegół o jego pobycie roznosi po Europie, powodzenie ułożonej komedyi zdawało się zapewnione, zanadto jednak przyborów popsuło efekt, nagłe przejście cara ze złego w dobry humor i teatralne afiszowanie tej zmiany, jeszcze przed ogłoszeniem mniemanego układu, naprowadzało na myśl, że car tem swoim postępowaniem chce kogoś w błąd wprowadzić, szydło niebawem wyszło z worka. Podobny fortel kompromituje w wysokim stopniu stan dyplomacyi rosyjskiej. Prawda, i Prusy nie zaprzeczyły prawdziwości tego aktu; milczenie z ich strony to może ostatnia rata spłacona na rachunek długu wdzięczności zaciągniętego podczas wojny francuskiej. Dotąd Rosya na wypadek wojny sprzymierzeńca nie ma. Możliwości wojny europejskiej to jednak nie wyklucza. Rosya parta przez żywioły rewolucyjne, które rząd sam poruszał i do życia powołał, może wojnę Turcyi wypowiedzieć, aby te niesforne czynniki zająć gdzieindziej. Dla caratu zdaje się to nawet być koniecznością. Gdyby pokój nagle zawartym został i wszystkim oczekiwaniom Rosyan nie dopisał, co począć z żywiołami, które przyzwyczały się o wszystkim dyskutować, wszystko rozbierać a nawet królów kreować? Nic bardziej ducha rewolucyjnego we Francyi nie podnieciło, jak udział jej w wojnie o niepodległość dzisiejszych Zjednoczonych Stanów Ameryki północnej. To bardzo naturalne, kto życie stawia na hazard, aby pewną ideę urzeczywistnić w obcym kraju, ten tem goręcej pragnie jej tryumfu w własnym domu! Kto wie, czy dzisiejsze zawikłania na Wschodzie większego wpływu nie wywrą na przyszłość Rosyi niż Turcyi? Oprócz tego Rosya stworzyła precedens w prawie międzynarodowem, który kiedyś na jej szkodę może być użytym; jawne zachęcanie i pomoc dana malkontentom tureckim mogą być kiedyś naśladowane i uprawnione własnem jej postępowaniem przez nieprzyjaciół Rosyi w przyszłości. Zawsze dla caratu niebezpieczna gra, jakkolwiekby wyszła z obecnego zawikłania.

Pokojowe usiłowania mocarstw postępują bardzo zwolna, za punkt wyjścia postawiono: *status quo ante* dla Serbii i Czarogóry; dla Bosnii, Herzogowiny i Bułgaryi szeroka autonomia administracyjna. Na wyjście to zgodziła się i Rosya; chodzi o to, jak teraz ten ogólny punkt wyjścia zostanie przez każde poszczególne państwo sformułowany i określony. Austria zezwolić nie może na taki stan rzeczy, któryby jej własnym

interesom zagrażał, dla Węgier szczególnie na pół niepodległe państewka słowiańskie u ich granic, byłyby zabójcze, Austrii taki stan rzeczy możnaby tylko narzucić po ciężkiej i nieszczęśliwej dla niej wojnie. Wojna z Rosyą w takim razie byłaby nieuniknioną. W przewidywaniu możliwości tej wojny sprawę ugodową między obydwoma połowami monarchii odroczone do stycznia p. r., aby wewnętrznymi rozterkami nie rozrywać sił i uwagi państwa, nie zachęcać i uzuchwalać wrogów. Węgrzy grożą Unią osobistą; pięknieby wyszli, gdyby w podobnem położeniu, jak obecne, tylko unia osobista łączyła ich z Cislitawią, i druga połowa monarchii zadecydowała, że to sprawa czysto węgierska, która jej w niczem nie obchodzi, a zatem posiłku w ludziach i pieniądzach odmawia. Ten argument powinien im zachcianki Unii osobistej raz na zawsze wybić z głowy!

Smutny widok przedstawia Anglia w tak trudnych okolicznościach jak obecne; usadowienie się Rosyi nad Bosforem jest równie zabójcze dla Anglii jak sąsiedztwo Rosyi bezpośrednio czy pośrednio dla Węgier, cóż się tam jednak dzieje? Kiedy mądry i dzielny gabinet torysów robi największe wysiłenia dla zabezpieczenia interesów angielskich, przeciwnicy gabinetu Whigi i liberały zbierają metyngi i agituja przeciw Turcyi, a bodaj czy nie za Rosyą. Gdyby tu w grze było przynajmniej poczucie ludzkości, dałoby się to jeszcze pojąć, okrucieństwa Turków mogą wzbudzić oburzenie, mogą na chwilę nakazać nawet milczenie interesom indywidualnym, ale okrucieństwa większe, srozsze popełniano i w Polsce a wtedy Whigi i liberały milczeli. Nie o ludzkość tu więc idzie, ale o zwalenie gabinetu, o zaspokojenie ambicyj stronnicych chociażby ze zgubą państwa. Takie stawianie interesów koteryjnych nad interes państwa, zgubiło Polskę; nazywano to chorobą specyficzną polską, pokazuje się jednak, że zbytek wolności wszędzie jednakowo się manifestuje, a cudze nieszczęście nikogo rozumu nie uczy.

Tu i owdzie czytać można było w tych czasach, że JEx. hr. Al. Potocki zamierza podać się do dymisji z namiestnikostwa, w skutku przebytej ciężkiej choroby. Wieściom tym zgoła nie dajemy wiary. Bezwątpienia nie można brać za złe, że się zdrowie poratować pragnie, są jednak chwile i położenia, gdzie wytrwać na stanowisku potrzeba. JEx. pan namiestnik miał sposobność przekonać się, jak zdrowie i życie jego drogiem jest dla kraju, powszechne modły we wszystkich zakątkach prowincyi na intencye jego wyzdrowienia dostatecznie dowodzą, że kraj nie tylko z jego urzędowania jest zadowolony, ale pragnie jak najdłużej widzieć go na tej posadzie. Brak jego u steru rządu krajowego zawszeby się dał uczuć, cóż dopiero w wilią wyborów do sejmu i podczas opróżnienia posady

marszałka, a w przededniu może ważnych wypadków. W takim położeniu kraj bez naczelnika posiadającego zupełne zaufanie współobywateli wszystkich warstw społecznych i wyznań religijnych, a zarazem monarchy, zostać nie może i nie powinien; najważniejszych interesów prowincyi narażać nie można; po patryotyzmie hr. Potockiego spodziewamy się, że gdyby nawet pogłoska ta miała być prawdziwą, choć w części od zamiaru odstąpi i wytrwa na stanowisku, na które go zaufanie Korony powołało, a zaufanie narodu utrzymać pragnie; wytrwa, chociażby rekonwalescencya nie pozwoliła mu przez jakiś czas trudnić się sprawami administracyjnymi.

L. Powidaj.

WANDA HR. CABOGA.

Na dniu wczorajszym złożono do grobu w Biłce zwłoki Wandy z hrabiów Potockich hrabiny Caboga. Nie mogłem pospieszyć oddać ostatniej posługi pani, z którą łączyły mnie stosunki przez lat 46. Nie potrzebuje ona pośmiertnego świadectwa, dosyć pozostałych pomników jej pracy świadczy o niej, ale potrzeba może dla obecnego pokolenia szczegółów ciekawych, bo odnoszących się do składu społecznego, który przeszedł, a może w niej miał swój ostatni wyraz. Panie zacne, matrony, są i będą u nas: ale Pani Polskiej już nie będzie: bo nie ma sfery, w którejby się kształcić, ani nawet takiej, w którejby żyć mogła. Znakomite nasze damy w końcu ostatniego i początku obecnego stulecia wydały wiele kobiet, prawdziwie niepospolitego rozumu, ogłady i powagi. Można powiedzieć, że wykształceniem, rozumem, a może charakterem górowały nad mężczyznami. To było nieszczęściem nie małym: nie ma czego żałować, że dzisiejsze pokolenie kobiet właściwiej zastósowane do powołania, jakie zajmować z natury powinny. Ale tak było. Sapieżanki, córki kanclerza litewskiego, a znałem ich trzy: Sołtykowa ex-podstolina koronna, Sewerynowa Potocka i Jelska, odznaczały się, zwłaszcza dwie pierwsze, dowcipem i urokiem, a dosyć spojrzeć na miniaturę Isabeja pani Sewerynowej, aby odgadnąć jaki w tej osobie był urok, a w tej głowie zapas fantazyi. Pani Sewerynowa miała cztery córki: Paulina Żubieńska, Emma Strzyżewska, Seweryna Colloredo i naszą Wandę. Wszystkie choć z różnem bardzo usposobieniem, pełne bystrego dowcipu i silnego umysłu. Chowwały się te panie w początku wieku w Lubelskiem około Puław w czasach heroicznych Napoleonów wojen. W Puław

wach po upadku ojczyzny pocieszano się życiem naukowym, poezją, poprawą stanu włościan, zachowaniem pamiątek krajowych. Dogorywał Książnin, pracował Piramowicz, bawił wiele Ignacy Potocki, Matuszewicz, ogniste wiersze swoje pisał Woronicz, budowano świątynię Sybilli, a dla rozrywki w ogrodach Puławskich obyczajem zeszłego wieku powtarzały się mitologiczno — sielankowe festyny i przedstawiania. Grono kobiet uroczych otaczało panią i córki tego domu: Monika Dębowska, Teresa Kicka, Laura Potocka, że pominię wiele innych, składały się na to, aby z Puław zrobić jakby zaczarowaną wyspę, która więziła młodzież co przedniejszą w kraju, przyciągniętą powagą i gościnnością X. Generała. Córki pani Sewerynowej w tem kole się chowały. Kurów, Celejów, Markuszów były to majątki Potockich: wszędzie ogrody, pałace, wszędzie życie toczyło się wspaniale, tradycyjnie, ale i lekko-myślnie. Jak zwykle u nas każde usiłowanie z nadzieją służenia ojczyźnie, tak wojny napoleońskie obudziły i uszlachetniły ducha. Te panie, co bóstwa Olimpu nawykły przedstawiać, poczuły od razu wartość poświęcenia. Franciszek Żubieński na prawem skrzydle szwadronu Kozietulskiego pierwszy przechodzi przez Sommo Sierre, a Paulina Potocka daje mu swoją rękę. Strzyżewski w kilkanaście koni zabiera batalion austriacki w Galicyi r. 1809, Emma Potocka oświadcza, że gotowa nagrodzić męstwo dzielnego porucznika. Takie były czasy, a wyryły takie wrażenie w sercu i pamięci Wandy Potockiej, że do późnych, do ostatnich lat, corocznie odwiedzała tamte strony, chodziła pomiędzy ogromnemi wierzbami Cilejowskiej grobli, przejeżdżała przez Kurów. Czy odwiedzali Puławy? niewiem: może im serca brakło; i wierzę, bo moje o mało nie pękło, kiedy lat temu 30 wstąpiwszy do Puław, szedłem do tego przekształconego pałacu, do tego zbezczeszczonego ogrodu, i czytałem na skale pod dębem wiersz Woronicza kończący się słowy:

„Sadził je ręką własną dla swojego syna
Nestor nasz, późne plemię rodu Gedymina.“

Dęby zastałem ale nie dla wnuka: „polluerunt.“ Wnuk choć umarł na obcej ziemi, żyje w sercu rodaków pamięcią najprzód ciągłego i bezprzykładnego poświęcenia, a w końcu dobrodziejstw wygnańcom świadczonych. Wanda Potocka po krótkiem pozyciu z Wielopolskim poszła za Uruskiego. Poznałem ją właśnie co wdową Uruską. Wówczas z wolna zaczęła pracować w znacznym majątku, aby ludności wiejskiej nieść pomoc materyalną i moralną pociechę. Szpitale, szkoły, sale ochrony, fundacye następowały po sobie z hojnością, którą tylko rząd doskonały mógł wytlómaczyć. W rzeczy samej dla siebie nader oszczędna, tylko na miłosierne uczynki rozrzutną była. „*Dives pauperibus, pau-*

pera sibi.“ Z natury dusza kochająca i potrzebująca współczucia, weszła w związki małżeńskie z generałem feldmarszałkiem Caboga. Hr. Caboga, Raguzanin, na wyłot słowiańska natura i namiętny Słowianin, był zaprawdę godnym wyboru takiej kobiety. Wysokich zdolności wojskowych został dyrektorem inżynierii, godność, którą tylko arcyksiążęta piastować zwykli. Położenie męża powołało ją do Wiednia na mieszkanie. Wypadło to właśnie kiedy po rewolucyi Marcowej i onej pogromie, nastały rządy Schwarzenberga i Bacha. Ciężkie były to dla Polaków lata; do dawnych uprzedzeń przyszła niedarowana nigdy uraza popełnionych na nich w r. 1846 zbrodni. W owym to czasie pokazała się szczególnie czynnie owa gorąca miłość ojczyzny, o której nie mówiłem dotąd. Uważałem zawsze, znając wiele ludzi starych, że ci, którzy znali Polskę przedrozbiorową, goręcej ją kochali niż późniejsze pokolenia. Mówił Zygmunt do Koźmiana: „boś ty zaznał był ojczyzny, a ja tylko proch i kości.“ I mówił słusznie. Pamiętała Kościuszkowskie czasy, miała tradycje sejmu czteroletniego, kochała też przeszłość Polski namiętnie, a wierzyła w jej przyszłość niezachwianie. Dlatego nie tylko w ciężkich czasach każdemu Polakowi służyła w Wiedniu pomocą i opieką, nie tylko za pośrednictwem męża wielkiej liczbie zasłużonej młodzieży wojskowej otwarła karierę, ale począwszy od r. 1830 wszystkie usiłowania o odzyskanie bytu narodowego znajdowały w niej łagodnego sędziego, a często i gwałtownego rzecznika. Wolno i pięknie to kobiecie, która miarą uczucia wypadki ocenia, która nie ma obowiązku politycznie rachować strasznego zmarnowania sił; dla tego często z nią niezgodny, w ocenieniu ludzi i wypadków, oddaje sprawiedliwość temu sercu, które chociaż tak stare, z młodzieńczym zapałem kochało i wierzyło, że prawda nad fałszem, duch nad siłą zwycięży. Po śmierci hr. Caboga powróciła na stałą siedzibę do Lwowa. Ukochała to miasto i tylko letni pobyt w Biłce i coroczna pielgrzymka w Lubelskie odrywały ją z dobrze znanego domu przy ulicy Ormiańskiej. Powstał jej kosztem piękny szpital, obsługiwany darmo przez Siostry miłosierdzia w Milanowie, powstały ochrony, sprowadzono tak zwane służebnice Maryi do Biłki; świątynie Pańskie porządkowały się. A obok tych prac około chwały Pana Boga i dobra bliźniego, czynny ten umysł nie przestawał pracować, nawet kształcić się. Ztąd obznajmiona z literaturą dawną i bieżącą, śledziła pilnie ruch umysłowy i nieprzebrane były ostatnie bogactwa jej rozmowy. Jeżeli słusznie powiedział Stanisław Tarnowski, że Lwów przez śmierć Fredry stracił wiele ze swej powagi i interesu, to poniekąd choć we właściwym stopniu i w innej sferze można to samo powiedzieć o hr. Caboga. Rozszerzając stosunki i działanie swoje do wszystkich warstw społecznych, przez jej salon co-

dziennie przechodziła połowa ludności myślącej Lwowa, a każdy wychodził z nauką albo pod urokiem niepospolitej trafności rozumu i świetności dowcipu. Od lat kilku srogą i bolesną dotknięta chorobą, panowała nad nią naprzód zapewne cierpliwością i rezygnacją chrześcijańską, ale także żywotnością interesu do wszystkiego, co dobre, wzniosłe, piękne. Ztąd szczególniejszy pociąg jej rozmowy i pytam: kto tam kiedy się nudził, komu było pilno wychodzić od tej pani pochyłonej wiekiem i cierpieniem, a której oko tylko błyskało życiem a słowo dowcipem. Kto nieznał pani Caboga dobrze, żałować może, iż nie wszedł w stosunek duchowy z najciekawszą i najrzadszą indywidualnością: kto jej nie widział przynajmniej, ten nie zobaczy więcej typu pani polskiej i chrześcijańskiej.

* * *

Oprócz tej szlachetnej pani, która drugim łązy ocierała, zabrała nam tego miesiąca nieubłagana śmierć dwóch zdolnych i pełnych nadziei pracowników, którym świat często łązy wyciskał, prawie w sile w kwiecie wieku: *Józefa Szermentowskiego* w Paryżu i *Paulina Święcickiego* we Lwowie. Prace malarskie Szermentowskiego, mamy nadzieję, oceni pióro fachowe, o Paulinie Święcickim podamy wiadomość w przyszłym numerze, w którym drukować zaczniemy piękny jego dramat p. t. *Posadnica Marta*. Cześć ich pamięci.

Redakcyo.

POSADNICA MARTA.

DRAMAT HISTORYCZNY W 5 AKTACH

przez

PAULINA ŚWIĘCICKIEGO.

— 2 —

DZIECIE.

członkowie Wielkiej Rady
Nowogrodzkiej.

posłowie Pskowsey.

Rzecz dzieje się w Nowogrodzie w r. 1479.

AKT I.

Ulica tak zwana „Ludin koniec.“

SCENA I.

MNICH, NOWOGRODZIANIE i PAMFIL (stojący przy kulisie).

1. NOWOGRODZIANIN.

Chmury zawisły po nad Nowogrodem.

2. NOWOGRODZIANIN.

Zbiera się tucza.

1. NOWOGRODZIANIN.

Gdy gromy wypadną,
Trudno przed nimi przyjdzie ukryć głowy.

2. NOWOGRODZIANIN.

Nieszczęście wisi w powietrzu.

3. NOWOGRODZIANIN.

O, Chryste!

4. NOWOGRODZIANIN.

Tłómaczą: Burza połamała krzyże,
Nie takie pomnę wzburzenie żywiołów,
A krzyż tkwił mocno... Znak to z nieba dany.

2. NOWOGRODZIANIN.

Z arcybiskupich grobów krew pociekła,
U „Spasa“ same zadzwoniły dzwony;
A takie przytem wydawały jęki,
Że duszę nawskroś przejmowała trwoga.

3. NOWOGRODZIANIN.

Z żalu nad nami jęknęły tak dzwony.

KOBIETA.

A któż nie widział łez Najświętszej Panny!
Z obrazu ciekły w kroplach aż na ziemię.

4. NOWOGRODZIANIN.

O, złe to wróżby!...

MNICH.

I zapowiedź kary.

NOWOGRODZIANIE.

Tak, ciężkie grzechy.

MNICH.

A najcięższy jeden,
Że nas do wojny z Iwanem popchnięto.

1. NOWOGRODZIANIN.

A wszakże Moskwa pierwsza nas napadła.

MNICH.

Nie wierzcie, ludzie; Wielki kniaź, nasz ojciec,
Kocha Nowogród, jako własne dziecię.
To są Nemirów i Boreckich bunt,
Za które niebo cały naród karze.

2. NOWOGRODZIANIN.

Bogu wiadomo: kto winien; On sędzią.
I mój syn poszedł!

MNICH.

Na zgubę. Grzech, bracia,
Toż pomazańcem Wielki kniaź jest Boskim.

4. NOWOGRODZIANIN.

A Matka Boska lała łzy, mówicie.

5. NOWOGRODZIANIN.

Na własne oczy widziałem: krew ciekła.

TLUM.

O, niech nas Nieba mają w swej opiece!

4. NOWOGRODZIANIN.

Czy nowe jakie wieści nie nadeszły?

3. NOWOGRODZIANIN.

Przybyli mówią, że drapieżne ptactwo
Stajami krąży na polach Pogostu,
I czego nigdy nie bywało: wilki
I wszelkie zwierzę drapieżne ucieka
Z lasów strwożone, wyjąc i skowycząc.
Węże też pełzną...

4. NOWOGRODZIANIN.

O niedobre wróżby!

KOBIEŃA.

A tam mój ojciec!

TŁUM.

O, straszna godzino!
 Najświętsza Panno! miej nas w twojej pieczy!
(Rozchodzą się w rozmaite strony).

PAMFIŁ.

Oto są głosy wolnego narodu.
 Taka przygrywka do rozprawy z wrogiem.
 Obyś był stary ogłuchł, zamiast słuchać
 Słów, których ojcem jest upadek ducha.
 I ani jeden nie zawołał: Wolność!
(Odchodzi — po chwili daje się słyszeć głos bębnow).

SCENA II.

KRASEŃ z wolna uchyla drzwi swojego domu.

KRASEŃ.

Biją na trwogę. Co to jest? Czy gore?
(zagląda za kulisy).
 Ze wszystkich „końców“, tłumy ludu biegą
 W stronę Sofijską. Nowe jakieś лихо!
 Głos trąb i bębnow... Mamże biec z innymi?
Głos tubalny za sceną.
 Obywatele! Śpieszcie na Dietiniec.
 Wielkie nieszczęście!

KRASEŃ.

Czy wróg miasto zajął?
 A może nowa rozprawa przed *wiecem*?
 Tak, czy siak, wolę na miejscu pozostać:
 Lepsza wiadomość o guzach, niż guzy,
 A trzy dni temu było ze mną kuso.
 Krzyknąłem: „Moskwa“, bo mi tak radzono,
 Inni zaś, obok, zawrzasnęli: „wolność!“
 I prędzej niżli hasło to do ucha,
 Pięści ich padły na mój łeb i plecy.
 Czart zabierz Moskwę, i rady i wiece!
 Biegnijcie zdrowi — ja zostanę doma.

Jednę mam tylko głowę na mym karku
I tej pod pięści nadstawiać nie myślę.

(*Za sceną głośnie okrzyki.*)

Ho ho! za katy — nielada wołanie! ...

Ziomkowie moi nie żałują gardeł.

Mniemam, że Moskwa nie dotrzyma placu,

Gdy jej Nowogrod włoży w ucho „wolność!“

Mocny jest bęben moskiewski, a pięknie,

Na świętą Zofię pięknie od tych krzyków!

Wciąż bliższe głosy... To ludzkie mrowisko

Roi się gwarnie... Przebiega mnie mrowie!...

Mrówki, mrowisko, mrowie, wszak to zowią

Grą słów podobno. A od gry do tańca

Niezbyt daleko. Dzięki za ochotę!

Bądź zdrów ludku! Zamknę drzwi domostwa,

I za piec wleżę. Pięknie i z za pieca

Wyda się nowa Nowogrodu heca.

(*ucieka*).

SCENA III.

NOWOGRODZIANIE, CZELADIN.

1. NOWOGRODZIANIN.

W gruzy runęła wieża Jarosława,

I dzwon wiecowy zagrzebała sobą.

Tak i Nowogród upadnie, *konczanie*,

I z jego swobód tylko rum zostanie.

Biada nam biada! kara nieba na nas,

Gniewu Bożego palec dotknął naród!...

CZELADIN.

Za czyjeż grzechy karzą nas niebiosa?

Za czyje winy, jeśli nie bojarów.

Skrzynie ich złotem ładowne, w pałacach,

Co tylko Hanza z przepychu znalazła,

Wszystko się zbiegło dostatkiem, nadmiarę.

A z czego złoto i drogie kamienie?

Z krzywdy pospólstwa, z krwawej jego pracy!

Ile tysięcy mrzeć musiało z głodu,

Z nędzy przepadać, by próżniak bojarzyn

Miał na swym stole przyprawę zamorską,
 Wina najdroższe, cukry i korzenie?
 Ile wylano krwawych łez i potu,
 By móc ustroić dumne bojarynie
 W sobole futra, w aksamity drogic?...
 Śmierć pjawkom ludu, śmierć bojarzyskim symom!

4. NOWOGRODZIANIN.

Że wieża padła, nie bojary winni,
 Ale ten murarz, co ją źle budował.

2. NOWOGRODZIANIN (*smutnie*)

Naród wieżycę wznosił Jarosława,
 Więc naród winien.

NOWOGRODZIANIE.

Wszyscy winni. Biada!

3. NOWOGRODZIANIN.

Gniewu Bożego palec groźby pisze
 Krwią na grobowcach arcybiskupów,
 Na Jego rozkaz zajęczały dzwony,
 Przed gniewem Jego w gruzy padła wieża...
 Bóg mówi do nas, a niemasz w narodzie
 Sprawiedliwego, któryby ze znaków
 Odczytał wolę wszechmocnego Stwórcy.

1. NOWOGRODZIANIN.

Święty Zosyma żyje w Nowogrodzie....

NOWOGRODZIANIE.

Tak, do Zosymy!

CZELADIN.

Poco? nierozumni!

Czy aż świętego trzeba, by tłómaczył
 Rzeczy tak jasne, jak słońce na niebie?
 Bóg sprawiedliwy, jeśli grozi komu,
 To winowajcom, a myśmy niewinni,
 Nie nam więc grożą.

NOWOGRODZIANIE.

Tak jest! my niewinni.

CZELADIN.

Nas, lud, z pogardą pany zowią czernią.
 Dobrze! a czarne rodzi białe chleby,
 Bo ziemia czarna; a gdy ta jest wszystkim,

To i czerń na niej wszystkiem być powinna;
 A zatem wola ludu ma być święta...
 Któż z nas chce wojny?

NOWOGRODZIANIE.

Nie chce nikt

CZELADIN.

A zatem. —

Kto pragnie wojny, z takim precz! niech ginie!

3. NOWOGRODZIANIN.

Małoż bojarów, którzy wojny nie chcą?
 A czy ci lepsi?...

NOWOGRODZIANIE.

Milczeć! Niechaj mówi!

CZELADIN.

Pany się kłóć — czerni czuby trzeszczą.
 Nie nam — bojarstwu wojny było trzeba.
 A kto pod kule wrogów poniósł głowy?
 Czerń, a bojary poszli w wojewody!
 Nie tak być winno. Niech bojary idą,
 I żołnierskiego zakosztują chleba:
 My tutaj sami potrafimy rządzić.
 Dla *żytych* ludzi dworzec Jarosława,
 Dla żytych złoty łańcuch posadnika,
 Topór starosty i wojskiego znamię...
 A lud nic nie ma, samę tylko pracę,
 Której owoce wyjada bojaryn,
 Chłopu rzucając jej łupiny — nędzę.
 Pytacie: znaki co znaczą niebieskie?
 One zagubę wieszczą złym wielmożom,
 A lepszą dołę pospolitym ludziom,
 Naszej to krzywdy płakała Przeczysta,
 Na naszą nędzę żaliły się dzwony.
 Jak wieża padła, tak bojarstwo padnie!
 Czas już nam, czerni, wypocząć po trudach,
 W pałacach panów zasiąść za stołami,
 Drogiemi szaty odziać nagie ciało
 I żyć, bo życia nie znają ludyni!

NOWOGRODZIANIE.

On dobrze mówi. Na Pruską! Na Pruską!
 Tam serce panów i ich dusza — skarby.
 Hej! jak się zowiesz zuchu?

CZELADIN.

Jan Czeladin.

NOWOGRODZIANIE.

Hura Czeladin! Prowadź na bojarów!
 Hura na Pruską! Czeladin — na panów!

4. NOWOGRODZIANIN.

Marta Borecka. Posadnica Marta.
 Miejsca dla sławnej córki Nowogrodu!

SCENA IV.

CIŻ i MARTA wchodzi krokiem poważnym.

MARTA.

Dzięki za pamięć. Poznajecie Martę.
 To dobrze: wdowa chrobrego rycerza
 Żyjącym czyny jego przypomina.

NOWOGRODZIANIE (*odkrywszy głowy*).

Izaakowi Boreckiemu sława!

4. NOWOGRODZIANIN.

I wdowie jego, naszej matce sława!

MARTA.

Matką mnie zowiesz, stary. Tak, mam synów,
 I dumną jestem z mego macierzyństwa,
 Bo starszy służy już Nowogrodowi,
 Młodszy do służby publicznej dorasta.
 Ale znam matkę odemnie biedniejszą.
 Ma ona synów, lecz — wyrodne syny!
 Bo gdy jej życiu silny wróg zagraża,
 Gdy w serce godzi, to nędzni synowie
 Nie bronią matki przed zabójczym ciosem;
 Lecz między sobą wiodą bój zażarty,
 I z mieniem życie wydziera brat bratu.
 Tą matką, zgroza! jest nasza ojczyzna.
 Synami tymi, hańba! wy jesteście!

„Na Pruską! Morduj!“ a w krocie tysięcy
Wielki kniaź spieszy, by zniszczyć Nowogród.
Dziki Moskwicin pali nasze włości,
W pień całą ludność naszych miast wycina,
I może jutro stanie u bram miasta,
By cios ostatni zadać narodowi;
A tu lud, hańbo! narodu fundament,
Konary dębu, któremi wrósł w ziemię —
Lud nowogrodzki — w tej strasznej godzinie,
Która umarłym spać nie daje w grobie,
Martwe żywioły pobudza do życia,
Kamieniom każe ciepłą krew przelewać,
Dzwonom wydawać potępieńcze jęki,
Walić się wieżom, łzami płakać drzewom...
Lud w takiej chwili mord niesie swej braci!
Wstańcie szkielety naszych mogiłników,
Zwiejcie się prochy grobowe naddziadów!
Chrzęstnijcie kości, rozmiecone w polu!
Z pobojowiska, z cmentarnej ziemicy
Przybądźcie duchy praojców, i w oczy
Spójrzycie swoim następcom spodlonym.
Mór, głód i wojna! przybywajcie społem,
W śmiertelny uścisk pochwyćcie ich członki,
Bo oni kłamią Bogu, że są wolni.
Rozstąp się ziemio pod zbójców nogami
I w swoich wnętrzach pogrzeb ich! Lazury
Jasnego nieba, dajcie miejsca chmurom,
Niechaj z nich gromy straszliwe wypadną
I roztrzaskają bratobójców głowy!...

3. NOWOGRODZIANIN.

Zaprzestań klątwy, bo zbyt skore nieba,
Jako czyn, chęci ukarać gotowe;
A tu i chęcią nie zgrzeszyli wszyscy.
Trwoga nam głowy omroczyła szaleńcem,
Lecz w sercu naszym, Marto, nie ma zdrady.
Szukamy winnych, bo niebiosą grożą
Zagładą wszystkim. One chcą ofiary!
Wskaż ty nam winnych, a jeśli my winni,

Chętnie oddamy głowy pod nóż kata,
By sprawiedliwi nie cierpieli za nas.

MARTA (*po chwili milczenia*).

Kto winien? Bogu należy odpowiedź.
On sędzią, kara w Jego silnej dłoni,
I kto się wedrzeć zechce w Boskie prawa,
W piekło zapadnie, choćby był aniołem.
Ludzie, zostawmy sąd i karę Bogu;
Z nas dość, gdy pełnić będziemy powinność.
Ojczyzna woła, słuchajcie jej głosu.
Ona zażąda wkrótce od swych synów
Także ofiary, ale dobrowolnej:
Mienia i życia. Znajdziez nas gotowych?
Ozważ się syny na głos swej macierzy?
Pójdąz ochotnie tam, gdzie ona wskaże?
Gdy stanie ołtarz, czy będzie ofiara?...

NOWOGRODDZIANIE.

Śmierć za ojczyznę! umrzemy za wolność.
Świat zna Nowogród, my — Nowogrodzianie!
My wolni ludzie! Za nasze swobody
Zginiemy wszyscy, my naród swobodny!

MARTA (*wznosząc ręce w górę*).

Ty firmamencie, dźwigający światy!
Słońce, co dajesz życie przyrodzeniu!
Niebo i ziemio z wszystkimi żywioły!
Was na świadectwo wzywam tych słów. Świadczenie,
Jako z swej woli, bez żadnej namowy,
Ci ludzie mówią o sobie: „my wolni!“
Niechże, wyznania tego świadek, niebo
Piorunem strzaska nikczemnika głowę,
Który nie umrze, gdy każe ojczyzna!

NOWOGRODZIANIE.

Kłątwa mu nieba, i ziemi przekleństwo,
A nam tak Boże wszechmocny dopomóż!

CZELADIN (*klęka przed Martą*).

Rozgrzesz, bo pierwszy zapragnąłem grzechu,
I pobłogosław na śmierć za ojczyznę.

MARTA

Bóg już rozgrzeszył. Święta Zofia z tobą!
(Głos dzwonu wiecowego).

NOWOGRODZIANIE.

Dzwon, dzwon wiecowy... dzięki Tobie Chryste!
Żyje Nowogród, bo dzwon jego żyje!

MARTA (*zwrócona w stronę miasta*).

Ty, sławy naszej świadku i zwiastunie,
Dzwonie wiecowy, co przez całe wieki
Głosem twym wolnych do obrad przyzywasz,
Co nas ostrzegasz przed niebezpieczeństwem,
Łagodzisz smutki, wlewasz w serca radość,
Druhu nasz dzwonie! bij sercem o serca,
Budź nas z uśpienia, silnie wstrząsaj duszą,
Byśmy, jak nasi ojcowie przesławni
Imienia wolnych godni byli zawsze,
I jako wolni umieli po wieki
Żyć dla ojczyzny i dla niej umierać.

NOWOGRODZIANIE.

„Kto przeciw Bogu i Nowogrodowi?”
Obywatele, na wiec! żyje wolność!
(Wszyscy wychodzą).

Przemiana.

Sala posiedzeń Dumy nowogrodzkiej. W głębi drzwi przez całą
scenę.

SCENA V.

ŁARJONOW.

Budowa gmachu Rzeczypospolitej
Od fundamentu walić się zaczyna,
Bo, podwalina jej, swobodne słowo
Ledwie z imienia znane jest w tej sali.
Jedno dziś wolno mówić w Nowogrodzie:
„Wojna z Iwanem!” Kto innego zdania,
Niechże się strzeże wystąpić z niem jawnie,
Bo go nazwisko zdrajcy nie ominie.
Dbały o honor mój, bez żadnej zmazy,

Kazałem spocząć milczeniu na ustach,
Tylko słuchowi daję pełną wolę.

POSADNIK.

Własny cię pocisk rani, bojarynie,
Bo gdyby było, jako chcesz, by było,
Miejsce twe inny zająłby w tej sali.
Do pochwy zatem z niezręcznem narzędziem,
I, jak zastępcy narodu przystało,
Śmiało myśl twoję wypowiedz! Słuchamy.

ŁARJONOW.

Niech się więc stanie.

(do senatorów)

Nowogrodzka Dumo!

Wysłuchaj słowa sługi sług narodu.
Zagubą naszą jest wojna z Iwanem,
Zbawienie w mirze z wielkim kniazem Moskwy.
Wielki Nowogrod, to wjazdowa brama
Drogi, z Zachodu na Wschód prowadzącej.
Lud jego wszystek — pośrednicy kupi,
I ludem kupców zowią nas od wieków.
Lemiesz i socha prawie nam nieznane,
A broń dla własnej nosimy obrony;
Ni więc narodem rycerskim jesteśmy,
Ni też rolniczym — jesteśmy kupcami.
Co nam da Zachód, niesiemy Wschodowi,
Co nam Wschód zbywa — odprzedajem Hanzie;
Ztąd nasz zysk wszystek i w tem racya bytu.
A gdzież są nasze główne targowiska,
Jeśli nie w Moskwie? Niemcom niepotrzebni,
Litwie zbyteczni — Moskwy się trzymamy,
I ta nas trzyma. Tego nie dość — karmi,
Bo zkadże chleb nasz, jeżeli nie z Moskwy?
Gdy ona zamknie dla nas swoje targi,
Wywozu zboża zabroni na Ilmeń —
Cóż wówczas będzie? nie pomrzemyż z głodu?
Powie kto: „Hanza wesprze nas w potrzebie,
Lecz czem my dla niej jesteśmy bez Moskwy?
Nędzarzem ludów, żebrakami ziemi,
Do której po to tylko ślać okręty,

Aby zebrzących obdzielić jałmużną.
 Kocham Nowogród, bom Nowogrodzianin,
 I pomyślności jego, jak wy, pragnę;
 Toż wołam do was z całej pełni serca:
 Nie kopcie grobu dla miłej ojczyzny!
 Mir z wielkim kniazem, inaczej — zginiemy.
 (Cisza w zgromadzeniu).

ŁOSZYŃSKI.

Czy to, co mówił kupiec Łarjonow,
 Powtórzy tegoż imienia senator?

ŁARJONOW.

Nie zwykłem dwoić słów mych, ni osoby.

ŁOSZYŃSKI.

Milczę, bo kupiec we mnie został w sieni,
 A w sali zasiadł tylko członek Dumy.

ŁARJONOW.

Na świętą Zofię! tej krzywdy nie ścierpię.

ŁOSZYŃSKI.

Na Horodyszczu wciągną ją do księgi.

ARCYBISKUP.

Przez Tróję świętą! nie wszczynajcie sporów.
 Powagą władzy mej arcybiskupiej
 Wzywam zwaśnionych do niezwłocznej zgody!
 Bojar Łarjonow myśl swą wypowiedział,
 Która, że nie w smak poszła Łoszyńskiemu,
 Myślą występłą przeto nie jest jeszcze,
 I krzywdzić za nią nikt go nie ma prawa.
 Ja sam, słuchając bojaryna mowy,
 Wywody jego uznałem słusznemi...
 (Szmer niezadowolenia).

I najzupełniej zgadzam się z ich treścią;
 Dodając jeszcze, jako sługa Boży
 I jego w sprawach kościoła namiestnik,
 Że wojna wszczęta z wielkim kniazem Moskwy
 Jest świętokradzką, bo gdy nie przysięgę,
 Tedy jej równe przyrzeczenie łamię,
 Któreśmy dali: zwierzchność wielkich kniaziów
 Nad Nowogrodem uznawać wieczyście.

ŁOSZYŃSKI (*wśród ogólnego oburzenia*).

Na ojców cienie! Otóż to zniewaga,
Którą ciśnięto w twarz Nowogrodowi.
Co? przyrzeczenia! i jakie? wieczyste!
W którymże roku dane i przyjęte?
Gdzie pergaminy, świadczące o hańbie
Wolnego ludu, co uznał wieczystą
Nad sobą władzę sługę sług mongolskich?
Odwołaj słowa zelżywe Właduko,
Albo ci powiem, żeś dziejów ojczystych
Uczył się w Moskwie lub na Horodyszczu.

LICZNE GŁOSY.

Odwołaj!

ŁARJONOW (*do arcybiskupa*).

Nigdy!

ŁOSZYŃSKI (*groźnie*).

Wzywam!

ARCYBISKUP (*drżąc*).

Od... wo... łuję...

POSADNIK (*ukazując pergamin*).

Oto jest odpis tajemnej umowy
Wielkiego kniazia i dwóch jego braci,
W której najwyższą wiążą się przysięgą
Na zgubę naszej Rzeczypospolitej.
Niech przejrzą pismo ci, co są za kniazem;
A jeśli pragną przyjaźń mu dochować,
Niechże się wcześniej wynoszą do Moskwy,
Bo im Nowogród gościny odmówi.

ŁARJONOW.

Proszę o pismo.

POSADNIK (*podając*).

Masz je, bojarynie.

(*do straży*).

Posłowie Rzeczypospolitej Pskowskiej
Niech wejdą.

SCENA VI.

CIŻ, PATRYKIEWICZ i NASONOW, posłowie.

PATRYKIEWICZ.

Czołem nowogrodzka Dumo!
 Starszemu bratu młodszy śle witanie:
 Nowogrodowi Psków, swobodna ziemia.

POSADNIK.

Nowogród wita młodszy Psków, was posły,
 I rad usłyszysz słowo wolnych ludzi.

PATRYKIEWICZ.

Naszemi usty tak mówi Psków wolny:
 Brat starszy wezwał mnie młodszego brata
 Do wspólnej wojny z wielkim kniazem Moskwy;
 Wezwał przez gońca, nie zaś przez poselstwo,
 Jak gdyby Psków mu był podwładną ziemią.
 Krzywdy niepomny, daje Psków odpowiedź:
 Mir mając z Moskwą, przeciw niej nie stanie
 I przeciw bratu nie podniesie ręki.
 Natomiast gotów swoim wstawiennictwem
 U kniazia Moskwy odwrócić tę klęskę,
 Jaka we wojnie grozi Nowogrodowi.
 Psków radzi jego nie gardzić usługą
 I w czas zażegnać srożącą się burzę.
 To nam, swym posłom, kazał Psków powiedzieć.

(Chwila milczenia).

NEMIR (*p wstając*).

„Serce na Wielkiej, dusza na Wołchowcie!“
 Mawiano dotąd; ale teraz, pono
 Wypadnie duszy wziąć rozbrat z swem sercem,
 Bo źle doradza, złą chce podjąć służbę.
 Nowogród wojny, a Psków pragnie miru,
 Ten chce swobody, a tamten poddaństwa...
 Serceby rade duszę pchnąć do zguby,
 Niechże szczęśliwie pozostaje samo —
 Wolny Nowogród gardzi Pskowa radą!

POSADNIK (*do posłów*).

Długa was droga do nas wieść musiała,
 Skoro nie wiecie, że leży na marach

Ta przyjaźń, z której przyszlście słowami.
 Psków nie jest bratem już Nowogrodowi!
 Na smyczy kniazia kądel to zajadły,
 Który kaleczy nowogrodzkich ludzi.
 Psków, w szkole Moskwy dobrze wyćwiczony,
 Was tu wysła jako posłów miru,
 A jednocześnie pali nasze włości
 I w krwi bezbronnych ostrze stali topi.
 O, godny kniazia Moskwy sprzymierzeniec!
 Niechże wie sługa, że wolnym być przestał,
 I jako taki zasłużył na plagi,
 Które go z ręki naszej nie ominą.
 Na świętą Zofię! wychłoscze Nowogród
 Sługę despoty! orźnie kądla skórę!
 Wyjdźcie z tej sali; nie jesteście posły.
 Tam służba czeka — pacholki! do służby.

SCENA VII.

Po odejściu PATRYKIEWICZA i NASONOWA.

POSADNIK.

Nadzieja teraz Nowogrodu cała
 W narodu sile, w męstwie i wytrwaniu
 I w gotowości do ofiar. Nie wątpię,
 Że wojsko nasze spełni swą powinność:
 Odeprze najazd lub powstrzyma wroga.
 Wtedy nowemi wzmocnim go siłami,
 I, przy pomocy wszechmocnego Boga,
 Wielki Nowogród, jak był — wolnym będzie.
 Gdy zaś Kazimierz król Polski, kniaź Litwy,
 Swoje rycerstwo przyśle nam na pomoc —
 Znajdzie Nowogród i do Moskwy drogę!
 Tam jej żelazne podyktuje prawa,
 I urwie głowę hydrze despotyzmu.
 To nie Nowogród tylko walczy z Moskwą,
 Ale bój z sobą wiodą dwie potęgi:
 Swobody ludów i despotów siły.
 Święta zapowiedź Zbawiciela świata
 Głosi, że anioł swobody zwycięży,

A my pod jego walczymy sztandarem. —
Wolność zwycięży! tem zamykam Dumę.

HEROLD.

Goniec z pola walki.

POSADNIK.

Dla takiego gościa
Nie żal obrady przedłużyć. Niech wejdzie!

SCENA VIII.

CIŻ i GONIEC wchodzi, wprowadzony przez straż.

POSADNIK (*do gońca*).

Ceremoniału powitań zaniechaj,
A użyj czasu na twoją opowieść,
Która już z góry poi nas radością.

GONIEC.

Ciężkie więc brzemie, które z sobą niosłem,
Dwoistym teraz ciężarem mnie tłoczy,
Bolesną bowiem wiadomość przynoszę
O klęsce, którą niebo nas dotknęło.

POSADNIK.

Słowo twe lodem krew nam w żyłach ścina.
Kłęska, powiadasz.... jaka? gdzie i kiedy?

GONIEC.

Dnia trzynastego lipca o południu
Wojska się nasze zeszyły z Moskwy siłą,
U wioski Solcy, nad Szełoni brzegiem.
Niespodziewane było to spotkanie,
Że wróg daleko, wszyscyśmy sądzili.
A chociaż siły mieliśmy zbyt słabe,
Ufni jednakże w świętą sprawę ludu,
Zagrzani męstwem dzielnych naszych wodzów,
Z okrzykiem: „wolność!“ wpadliśmy na wroga.
Prawem ramieniem dowodził Selezeń,
Lewem Borecki, czołem wojska Nemir.
Moskiewska tłuszczą, swoim obyczajem,
Impet natarcia pierwszy wytrzymała;
Za drugim chwiać się poczęły jej szyki;
Aż gdy raz trzeci, z okrzykiem: „za wolność!“

Wpadliśmy, miecze kładąc na ich karki
Wiznęła głośno, i jak na komendę:
Lewo zwrot — plecy podała nam swoje.
Próżno kniaź Chołmski, z chmarą wojewodów,
Krzyczał i krzyczał: „służba!“ na swą tłuszczę,
Ci, jako trzoda, gdy ją lęk napadnie,
Biegli na oślep, waląc się po drodze,
Ścigani przez nas i przez nasze miecze.
Aż dobrą milę ubiegłszy, stanęli,
Nad rzeką Dranią sformowawszy szyki.
A choć połowa Moskwy w boju legła,
Myśmy połową byli jej połowy.
Toż ni Borecki, ni Selezeń-Huba,
Nie chcieli nowej wszczynać z wrogiem bitwy,
Roztropnie radząc: czekać na posiłki,
Które Sawełko wiódł Szczęliem w łodziach.
Ale rycerski Nemir krzyknął na to:
„Wstyd byłby bracia lękać się tej trzody,
Która drży jeszcze po świeżej porażce,
Gotując nogi do nowego biegu!“
Kiedy to mówił, ujrzeliśmy wszyscy
Arcybiskupi pułk dążący ku nam,
Z okrzykiem: „Wolność! Święta Zofia z nami!“
Naówczas wojsko, nieczekając znaku,
Samo ruszyło, i bój wszczął się nowy.
O, wielem widział bitw memi oczyma:
Z Niemcy i Litwą; ale takiej rzezi,
Na jaką wówczas patrzyło się słońce,
Nie znała ziemia, i drugiej nie zazna.
Piers o pierś, oko w przeciwnika oku,
Mieczami z góry siekliśmy się wzajem,
A gdy i mieczom przestrzeni zabrakło —
Za bary z chłopem brał się chłop, i zęby
Wpijano w czaszki, rwąc się pazurami.
Charczenie tylko słyszałeś i wycie...
Jak kiedy dęby pod siekierą padną —
Chłop się przy chłopu kładł i innych walił.
Konając, jeszcze wiedli bój zażarty...
Aż mur z moskiewskich piersi sformowany,

Na który murem parliśmy ciał naszych,
 Zachwiał się, zadrżał, i już runąć w gruzy
 Miał, wolne przejście dając nam zwycięzcom —
 Gdyśmy za sobą usłyszeli: „Ałlach!”
 Chmura Tatarów, sprzymierzonych z Moskwą
 Spadła nam na kark, jak gdyby z obłoków.
 Jedyną jeszcze mieliśmy nadzieję,
 Że pułk władyczny przyjdzie nam z pomocą;
 Lecz pułk się rzezi chłodno przypatrywał...
 Wysłany goniec tę przywiózł odpowiedź
 Od wodza pułku: „Mam wyraźny rozkaz
 Arcybiskupi: niewalczenia z Moskwą.”

SENATOROWIE (*ze zgrozą*).

Arcybiskupi!

GONIEC.

Był to wyrok śmierci.

I śmierć też wzięła nas swoją ofiarę...
 Nemir padł pierwszy; ale przed skonaniem
 Konia mi swego oddał, wyszepnąwszy:
 „Do Nowogrodu!.. coś widział — opowiedz.”
 Spełniłem rozkaz, teraz umrzeć mogę.

(*śłania się na ręce straży*).

POSADNIK (*do straży*).

Żołnierza pieczy powierzyć lekarskiej!
 Najświętsza Panno! to wieści straszliwe.
 Przed sąd narodu stanie winny... (*do straży*) Spieszcie!
 Dzielny ten żołnierz nie powinien umrzeć.
 (Straż wyprowadza gońca. Stołnik podaje pismo Posadnikowi).

SCENA IX.

CIŻ, bez gońca.

POSADNIK (*bierze pismo*).

Pismo starosty Stefana Potyki

(*rozrywa pakiet*)

Wszechmocny Boże! Rusa w ręku wroga.

(*Czyta głosem przerywanym*).

„Kłeska nad Szełonią zupełna, tylko władyczny pułk nie był zaczepiany. Jedni polegli, drudzy dostali się do niewoli. Wielki kniaź, zajmwszy Rusę, rozpoczął sądy. Żołnierzom obcinano uszy, nosy i ręce. Dymitr Borecki, Wasyl Selezeń-Huba, Cyprian Abruz i Jeremi Suchoszczeka — ścięci...

WSZYSCY.

Nieba!

MARTA.

Milcz, serce!

POSADNIK (*placząc*).

Te łzy... te łzy... proszę:

Przebaczcie... Spełniam dalej mą powinność.

(czyta)

„Reszta bojarów i znaczniejszych ludzi pognana do Moskwy. Wielki kniaź idzie na Nowogród“...

Dość już! Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie,

Przed tem umilka wszystko.

(Powstaje, głosem uroczystym)

Zmarłym i pomordowanym braciom naszym pokój wieczny!

WSZYSCY (*powstawszy*).

Wieczny pokój!

POSADNIK.

Obroncom wolności ludu cześć i sława po wieki.

WSZYSCY *j. w.*

Cześć i sława!

POSADNIK (*siada*).

Wróg stanąć może wkrótce u bram miasta...

Rycerstwo nasze uprzedzi go w polu,

Pod Łoszyńskiego dowództwem. Bóg z nami!

Choć ciężką klęskę, powetujem snadnie,

Byle w nas męstwo było i wytrwanie,

I najważniejsze: gotowość do ofiar.

Ojczyzna nasza, jako dobra matka,

Miedzy swe dzieci podzieliła mienie;

A dzisiaj, gdy ją potrzeba przyciska,

Do nas się zwraca... Nie odejdzie z niczem!

Niech wygotuje Dżak ofiarną listę;

Nazwisko moje pierwszy na niej kładę,

Oddając wszystko zboże me ludowi.

ANASTAZYA HRYHOROWICZOWA (*do Djaka, który pisze*).

Półową mienia mojego skarbowi.

1szy SENATOR.

Broń z moich składów.

2gi SENATOR.

Ośm tysięcy rubli.

NEMIR.

Wszystkie me łodzie na wojska usługi.

3ci SENATOR.

Sukno i płótno.

4ty SENATOR.

Sto tysięcy chlebów.

OLGA ŁAZAROWA.

Wszystkie klejnoty.

5ty SENATOR.

Mięso moich rzeźni.

6ty SENATOR.

Pięćdziesiąt haubic.

PAMFIL.

Całe moje mienie.

MARTA.

Ja nic już nie mam. Ziemie me i włości
Są w ręku wroga. Syn mym skarbem całym,
Już jeden tylko.... zaledwie wyrostek:
Tego ci syna oddaję, ojczyzno.

POSADNIK.

Dar godny matki i obywatelki.

(do Djaka).

Ofiarną listę rozesłać po kraju.
Niech będzie dana sposobność każdemu
Złożyć swój datek na ołtarz ojczyzny.

(do straży).

Co tam u bramy?

PODWOJSKI.

Zebrany lud żąda

Wieści wojennych, które doszły Dumę.

POSADNIK.

Słuszne żądanie. Otworzyć podwoje!
Z mych ust się dowie lud o swem nieszczęściu.

(Po otwarciu drzwi do zgromadzonego ludu)
 Nowogrodzianie! Pan nieba i ziemi,
 Karząc, czy tylko doświadczając naród,
 Klęską nas dotknął straszliwą...

LUD.

O, nieba!

POSADNIK.

Wróg nas zwyciężył — Rusa w ręku Moskwy.

LUD (*z okrzykiem grozy*).

Na bój! za wolność. Święta ziemia jęczy
 Dźwigając wroga na sobie. Do broni!

POSADNIK.

Jutro wyruszy nowe wojsko w pole.
 I, da Bóg, klęskę powetujem snadnie;
 Ale któż zdoła wrócić życie czterem
 Wodzom wojsk naszych, których ściał kniaź Moskwy?

LUD.

Stu za jednego! Śmierć najezdzcóm ziemi!
 Obywatele! do broni! do broni!

POSADNIK.

Wielki dzwonniku! uderz w dzwon wiecowy.
 Przed sąd Narodu wzywam cię Władko,
 Byś się z rozkazu twego wytłómaczył
 Danego wojsku: niewalczenia z Moskwą.

ARCYBISKUP (*idąc ku drzwiom*).

Sumienie moje nic mi nie wyrzuca...

PAMFIL.

Nic? nawet zdrady?

ARCYBISKUP.

Bóg świadkiem mej duszy...

POSADNIK.

Naród osądzi.

(Senatorowie wychodzą przez drzwi główne).

LUD (*w miarę ukazania się senatora*).

Niech żyje posadnik!

Bohdan Łoszyński, wódz nasz, niechaj żyje!

Niech żyje Nemir!

MARTA (*na przedzie sceny*).

Pierwsze ciosy padły,
I w moje serce jeden z nich ugodził.
O synu, synu!.. (*po chwili*). Czy to wysłańniki
(*po chwili*).
Owych piorunów, które wypaść mają
Z chmury brzemiennej gniewem Najwyższego,
I zwalić w gruzy gmach naszej wolności?..
Wszystkie w me serce uderzajcie ciosy!
Pioruny! głowę podstawiam wam siwą.
Uderzcie! byle naród został wolny.
(*wychodzi*).

LUD.

Marta! Niech żyje matka Nowogrodu!

MARTA.

Podwójna wdowa, bo męża i syna
Straciłam, obu oddając ojczyźnie.

LUD.

Wieczna im pamięć! tobie Marto sława!

MARTA.

Myślmy o jednym tylko — o ojczyźnie.
Niech żyje wolność!

LUD (*z zapalem*).

Marta i Nowogród!

A K T II.

Namiot Wielkiego Kniazia.

SCENA I.

IWAN i BORODATY (*czyta z wielkiej księgi*).

BORODATY (*czyta*).

„A po śmierci żywot wieczny w niebie“...

IWAN.

Hm! żywot wieczny... Czemu jednak w niebie?
Ojcie duchowny! ciemna twa nauka.

Ja wytłómaczę jaśniej te wyrazy.

Wiecznie żyć znaczy: z równych robić sługi,
A z większych — równych. To znaczy żyć wiecznie!
(Po chwili).

Jak to powiedział car ten, czy tam Cezar?

BORODATY.

„Przyszedł, obaczył, zwyciężył.“ Dosłownie,
W języku Rzymian: „Veni, vidi, vici!“

IWAN.

I wy takiego nazywacie Wielkim?

BORODATY.

Historya uczy...

IWAN.

Łże wasza historya!

Wielki by wyrzekł: „Vici, veni, vidi.“

Jam już zwyciężył, choć dopiero idę.

Duch mój przedemną kroczy i podbija.

Suzdał, Twer, Razań — z równych mi, dziś — sługi;

Jutro Nowogród i Psków pójdą w służbę,

Za tymi Kazań i Astrachań padnie;

Aż prawą rękę położę na Bałtyk,

Na Czarnem lewą; głowę w Świecie Nowym,

A nogi oprę o serce Europy...

I takim Moskwa złoży mnie na mary,

A *requiescat* cały świat zaśpiewa.

Więc najpierw: „vici“ potem: „veni, vidi.“

Popraw historyą, lub nie wierz w Cezara.

BORODATY.

Ogrom wielkości twojej, hosudarze,

Nie dziw, że tłoczy mizernego czerwa,

Jakim ja jestem. Lecz maluczkich wzorem,

Którzy do Boga śmia podnosić czoło,

Pozwolę sobie pokorną uwagę...

Przecież Nowogród...

IWAN.

Tu on jest, w tej garści.

Garść ścisnę — w proch się Nowogród obróci!

BORODATY (*padając na twarz*).

Wielki hosudarze!

SCENA II.

CIŻ i SKOPIN, wchodzi i pada na twarz przed Iwanem.

SKOPIN.

Kniaź Szujski — Hrebenka
Przez wojska twoje, hosudar, pobity
Zaledwie z duszą uciekł z pola bitwy.
(Na dany znak Skopin odchodzi).

IWAN (*do popa*).

Mnie tam nie było, a duch zrobił swoje.

BORODATY.

W proch czołem padam...

IWAN.

Tak pół świata padnie
Przedemną — carem i imperatorem.
Milczenie popie! Weź twe księgi święte,
I czytaj. Myśl ich jest i królów myślą.
Z nich posłuch ludom, a nauka rządcom.

BORODATY (*czyta*).

„Jeden jest pasterz i jedna owczarnia.“

IWAN (*z własnymi myślami*).

Owczarni dosyć na jednym pasterzu.

BORODATY *j. w.*

„Królestwo jego od morza do morza.“

IWAN *j. w.*

Bałtyk i Czarne...

BORODATY *j. w.*

„Hołd mu złożą króle.

Wszystkie narody pod jego stopami.

Tron na koronach i na berłach wsparty.“

IWAN *j. w.*

W głowach Świat Nowy, Europa pod stopą...

BORODATY *j. w.*

„Nad księżyc będzie podwyższon i gwiazdy.

Słońce mu czołem, niebo“...

IWAN (*groźnie — obraca karty*).

Tutaj czytaj!

BORODATY, (*czyta*).

„Miłuj bliźniego, jak samego siebie.“

IWAN.

To nie dla królów!

(obraca kartę).

Tu, na tej stronicy.

BORODATY (*czyta*).

„Co cesarskiego, oddaj cesarzowi.“

IWAN (*powstając*).

Pierwsze biskupstwo twojem jest, mój sługo.

(Borodaty pada do nóg kniaziowi).

SCENA III.

CIŻ i SKOPIN, wchodzi, jak wyżej.

SKOPIN.

Hosudar! w sieni chołopy-bojary,

Dwaj, z Nowogrodu czołem biją tobie,

Prosząc o wielką łaskę posłuchania.

IWAN.

Posły, czy zbiegi?

SKOPIN.

Zbiegi, hosudarze.

IWAN.

Niech staną.

(Do Borodatego, po odejściu Skopina).

Duch im każe iść — i idą.

SCENA IV.

IWAN, BORODATY, UPADYSZ i ŁARJONOW.

IWAN patrzy groźnie na wchodzących, UPADYSZ pada na kolana.

ŁARJONOW, (*po niejakiem wahaniu także klęka*).

Przyjaźni Moskwie i wam hosudarze...

IWAN (*przerywa*).

Sług potrzebuję, a żadnych przyjaciół!

ŁARJONOW (*zmięszany*).

Słudzy my twoi, przybywamy przodem,
Hołd złożyć władcy Nowogrodzkiej ziemi.

IWAN (*daje znak, by powstał*).

Dobrze.

(Do Łarjonowa).

Ty pierwszy, co masz sztywne nogi,
Jakie nowiny z mego Nowogrodu?

ŁARJONOW.

Wielki Nowogród gotów na skinienie
Swojego władcy czynić, co rozkaże.

IWAN (*ponuro*).

Każę mu umrzeć. (*Do Upadysza*). Z kolei, ty drugi,
Co, drżący, skrycie klniesz twojemu przyjściu...
Kto buntów głową w moim Nowogrodzie?

UPADYSZ (*drżący*).

Marta Borecka, wielki hosudarze!

IWAN.

Rycerz w spodnicy, przewodzca babiarzów,
Kobieta głową całego narodu...
To mi to naród! Cóż z arcybiskupem?
Zdjęto mu głowę na wiecu?

UPADYSZ.

Nie, żyje.

Na słowo Marty puszczoney swobodnie.

IWAN.

Ta baba musi mieć głowę na karku:
Bałwanów, w które wierzy lud, nie tyka.
Co jeszcze, febro?

UPADYSZ.

Miastu głód zagraża,
Zapasy zboża na tydzień nie starczą.

IWAN (*do Borodatego*).

Tam duch szafarzy!

(Do Nowogrodzian).

Wiem, co wiedzieć chciałem.

Mysz do dziury!

(Widząc wahanie się Łarjonowa i Upadysza).

Co jeszcze?

UPADYSZ (*pada na kolana*).

Błagamy

Łaski: zostaniem...

IWAN.

Tam was potrzebuję,

Nie tutaj.

ŁARJONOW (*na kolanach*).

Zbiegłym powrót nie jest łatwy,

Paść mogą głowy nasze w Nowogrodzie...

IWAN.

Pan daje rękę, sługa kładnie głowę.

Tam służba, nie tu. A pomnijcie o tem,

Że lubię zdradę, ale zdrajców karzę...

Z czynności swoich oba zdacie sprawę.

Precz!

(Łarjonow i Upadysz wychodzą).

SCENA V.

IWAN i BORODATY.

IWAN (*do Borodatego*).

Wszak i w Rzymie tacy być musieli?..

Przenieś mnie w wieki zamierzchłej przeszłości,

W te wieki, które są waszym podziwem,

A ujrzysz Rzym twój u mych nóg.

(Do kulisy)

Hej. hola!

(Do wojewodów, którzy weszli).

O wschodzie słońca, jutro — na Nowogród!

Przemiana.

(Ulica. Na prawo kościół).

SCENA VI.

SŁAWIN i KRASEŃ spotykają się.

KRASEŃ.

Dzień dobry, kmotrze! jakże się miewamy?

SŁAWIN.

Tak, bez fatygi... jak ci, których mają.

KRASEŃ.

Czy już naprawdę mają nas?

SŁAWIN.

Jak w saku.

KRASEŃ.

Więc: w kształcie ryby, na stół panów Moskwy?

SŁAWIN.

Jak się podoba...

KRASEŃ.

Do diabła! to przykro.

SŁAWIN.

Hm! Nie krzyczałżeś na cały głos: Moskwa!

KRASEŃ.

To prawda, kmotrze! Ale z krzyku: ryba,
I sak, i paszcza moskiewska... To głupio!

SŁAWIN.

Wkrótce usłyszysz kmoterku o szturmie.

KRASEŃ.

Raczej ogłuchnę.

SŁAWIN.

Poczem, Moskal powie:

Sam tu Kraseńku, tłusciutki karasiu!

KRASEŃ.

Do nóg upadam. Kwituję z przyjaźni...

SŁAWIN.

Tak też wisielec mówił do oprawcy.

KRASEŃ.

Hę! Więc myślicie, że nas kniaź oprawi?

SŁAWIN.

W drzewiane ramy, z haczykiem pośrodku.

KRASEŃ.

A król-że polski?

SŁAWIN.

Powie: jaka szkoda,

Że go przed mojem przyjściem powieszono.

KRASEŃ.

Mnie?

SŁAWIN.

Jeśli brzuch twój wtłoczy się w oprawę.

KRASEŃ.

Obyś się własnem udławił prorocstwem!

SŁAWIN.

A ty twem sadłem opasły piecuchu!
Złodziejem jesteś, bo mi czas ukradłeś,
I gdy powiśniesz, tedy pewnie za to.

KRASEŃ (*pokazując na gardło*).

A ty wiś za to! Dokądże tak spieszniesz?

SŁAWIN.

Czwarty fort. Widzisz przecie, żem kanonier.

(*Odchodzi*).

SCENA VII.

KRASEŃ (*sam*).

Zaczekaj! — Odszedł. Szczęśliwej podróży!
Czwarty fort... Raz tam tylko zaglądnąłem:
Kokosz moskiewska, wielkości mej głowy
Znosi tam jaje — żelazne, z naczynką.
Do takiej, panie, zasiąść jajecznicy...
Mróz mnie całego przejmuję do kości!
Pięknych się czasów doczekał Nowogród:
Bomby w niedzielę, w dzień powszedni kule,
A na wielkanoc — pewnie szubienica.
Nie darmo płakał, na ten świat przychodząc...
Gdybyś żył, ojczy — pewniebym cię pozwał!
Trąbka... Cóż znowu?

(*zagłada*)

Przechodzą żołnierze...

Jeszcze mnie z sobą gotowi zaprosić...
Dzięki za zaszczyt! Skryję się za węgiel.

(*Kryje się*).

GŁOS CZELADINA (*za sceną*).

Stój!

KRASEŃ.

Właśniem stanął.

GŁOS CZELADINA.

W kozły broń!

KRASEŃ.

Wybornie!

Są tu i kozły, nie w mej skórze jednak.

SCENA VIII.

CZELADIN i KRASEŃ ukryty.

CZELADIN.

Mam rozkaz: czekać tutaj, u tej studni.
 Pusto jak wymiótł, a wszakże poranek
 Zaczął się dawno. Hej, obywatelu!
 Co się za węglem kryjesz! Sam tu, do mnie
 Na parę słówek. Małą mam prośbęczkę.
 Zbliźże się! Wprawdzie nie jadłem od wczoraj,
 Nie zjem cię jednak...

KRASEŃ (*wychodzi z ukrycia*).

Zbytek łaski panie...

Panie Setniku, jak wnoszę z tej szarfy,

(z emfazą)

Obrońców naszych niechaj niebo strzeże!
 A was szczególnie.

CZELADIN.

Amen, mój ty zuchu!

No śmiało, przystąp.

(Strzał armatni).

KRASEŃ (*padając na ziemię*).

Na Boga! tu padło?

CZELADIN.

Co?

KRASEŃ.

Kula, panie. Czułem ją tu w głowie.

CZELADIN.

Nie, chyba w piętach...

KRASEŃ.

Więc pewnie kontuzya...

CZELADIN.

No, wstawaj tchórze! bo ściagnę pałaszem.
 Stoisz już?

KRASEŃ.

Stoję.

CZELADIN.

Możesz iść?

KRASEŃ.

Już idę.

CZELADIN.

Nie tędy jednak; ale tam! W pobliżu
Widzę piekarnię — przyniesiesz mi chleba.
A, by ci smutno nie było samemu —
Ze mną tam pójdziesz.

KRASEŃ.

Zgoda panie, idę.
(Odchodzi).

SCENA IX.

MARTA I TEODOR wchodzi.

MARTA.

Tu, na tem miejscu, przed piętnastu laty
Twojego ojca zęnałam, mój synu;
Gdy na wyprawę szedł przeciwko wrogom,
Dwudziestą w życiu; przeczuł, że ostatnią.
„Wiem, że nie wrócę — mówił do mnie wówczas.
Ojczyzna żąda ostatniego długu,
Zaciągniętego u niej — żąda życia.
Ty sama odtąd zostaniesz na świecie
Wdową z synami, których masz wychować
Na prawych ziemi tej obywateli.
W spuściźnie synom zostawiam to hasło:
„Żyć dla ojczyzny i dla niej umierać!“
Ty bacz, by zawsze byli jemu wierni.“
Lat już piętnaście.. Starszy syn świadectwo
Dał już swej matce, że dlań matką była.
Teraz ty dziecię, mój mały robaczku,
Włosów mych siwych najdroższa korono,
Czy ty potrafisz... Boże mój! czy zdołasz...
Odwróć odemnie twą lubą twarzyczkę...
Czy będziesz umiał umrzeć?

TEODOR.

Umrę, matko.

MARTA.

Usta twe, dziecię, jak ptak nauczony,
 Straszliwe słowo umieją powtórzyć,
 Którego treści ptaszek nie rozumie...
 Śmierć, to rzecz straszna! Czujeszże ty, dziecię,
 Tu oto, w duszy, całą grozę śmierci?
 Wieszże, co znaczy umrzeć?

TEODOR.

Umrzeć, matko,
 Dla mnie, to: nigdy już ciebie nie widzieć;
 Nie słyszeć głosu, który sercem wstrząsa,
 Nie znać twych pieszczot, rąk twych nie całować,
 Nie patrzeć w oczy, które dla mnie niebem...

MARTA.

Dość, dość już płaczko serdeczna, słowiczku!
 Bo stare serce we łzy się rozplynie.
 Kościół otwarty. Pójdźmy! Tam, me dziecię,
 Pożegnam ciebie, u stóp tronu Boga.
 (Odchodzą do kościoła).

SCENA X.

CZELADIN (*wraca*).

Ten gruby osioł musiał coś straszniego
 Dopatrzyć we mnie, bo jak zajęc czmychnął
 W pierwszą uliczkę, krzycząc, co sił stało:
 „Gwałtu! ratujcie!“ Widziałem, jak głowy
 Naszych mieszczuchów, wyjrzawszy przez okna,
 Kryły się znowu. Czyby na mój widok!...
 W piekarni kromki nie znalazłem chleba.
 Piekarz się złożył: „Zabierz — jęknął — duszę,
 Lecz chleba nie mam!“ Żle coś w Nowogrodzie!
 Śnać kruka czują w powietrzu kurczaki.
 Ha, trudna rada! Trzeba widzę pościć.

SCENA XI.

CZELADIN, MARTA i TEODOR wychodzą z kościoła.

MARTA (*do klęczącego syna*).

Bóg z tobą. Widzę tu oddział żołnierzy
(schodzi ze stopni)

Setniku! Czy cię przysyła Łoszyński?

CZELADIN.

Tak, pani. Z jego rozkazu tu czekam.

MARTA.

Na mego syna... Zabierz go więc sobie.
Twojej i wodza pieczy go poruczam.

CZELADIN.

Pójdź młody zuchu! będę dla cię ojcem.

MARTA.

Ojcem być syna mego... To śmiało!
Lecz dzielny tylko bywa oraz śmiałym.
Bądź ty mu bratem, a więc moim synem;
To dość, bom stara na żonę, żołnierzu.

CZELADIN.

Będę mu bratem, klnę się! Pójdź, sokole!
Z Moskwy krogulcem zmierzmy się wkrótce.
Na świętą Zofię! obetniesz mu szpony.
Boć z oczu patrzy, żeś z Boreckich gniazda!

MARTA.

Chwilę. Twarz twoja, dzielny mój setniku,
Nie jest mi obcą... Pomóż mej pamięci.

CZELADIN.

Jam, pani — smutne wspomnienie — Czelandin,
Który do mordów chciał podmówić tłumy.

MARTA.

Błogosławieństwo nieba tej przemianie!
Spokojną jestem już o głowę dziecka.
Bądź zdrów malutki! Bóg z tobą... Bóg z wami!
Żegnaj, dzieciно...

TEODOR.

Matko! raz ostatni.

(Rzuca się jej na szyję, poczem wybiega).

SCENA XII.

MARTA (*sama*).CZELADIN (*za sceną*).

Baczność! Broń z kozłów! Na ramię!

MARTA.

Ostatni...

Po raz ostatni... A lazury nieba

Żadną się chmurką nie ćmią... Raz ostatni!...

(Wychodzi).

SCENA XIII.

ŁARJONOW I UPADYSZ wchodzą.

ŁARJONOW.

Niebo, czy piekło — co wyjdzie na jedno —

Widocznie wzięło nas obu w opiekę.

Gdyśmy zdołali powrócić do miasta

Tak, że mysz nawet nie wie o wycieczce,

Recte — ucieczce naszej z Nowogrodu.

UPADYSZ.

Jeszcze drzę cały...

ŁARJONOW.

Czego?

UPADYSZ.

Na wspomnienie

Odwiedzin naszych. Ten książ straszny człowiek!

ŁARJONOW.

Bo wielki. Groza — siostrzycą wielkości.

A jaka rozkosz patrzeć w jej oblicze!...

UPADYSZ.

Chętniebym z takiej skwitował rozkoszy.

ŁARJONOW.

Nie kwituj! Pomnisz, z czem nas wysłał w drogę?

„Z czynności swoich oba zdacie sprawę!“

Czuj duch! bo żartów nie ma z takim panem.

UPADYSZ.

Zrobię, co każesz, co tylko w mej mocy...

Ale się śmierci lękam nadzwyczajnie.

Strzeż mojej głowy, bo co wiem — wyśpiewam,
Gdy mnie przycisną... Ja się śmierci boję.

ŁARJONOW (*półgłosem*).

To niezawodnie umrzesz.

(*głośno*).

Przyjacielu!

Odwagi! Wszystko idzie jak najlepiej,
•Gdyby lud, w co już wierzyć dzisiaj trudno,
Chciał trwać w uporze... mam ja na to radę,
Można go środków obrony pozbawić;
Prochownia wszystkiem, a wiesz, że... No, druhu!
Śmiało! odważnie! Zapomnij o śmierci!
Wszakże o tobie ona nie zapomni!

(*Dzwon wiecowy*).

Słyszysz? znów dzwonią! Przekłęte krzykactwo!
Gardła tych ludzi dostają świerzbiączki,
Gdy, chociaż na dzień raz, nie krzykną: „wolność!”
Rzecz ryzykowna; lecz kto zdawać sprawę
Ma z swych czynności, musi tam być. Chodźmy!
Okiem i uchem będziemy wśród tłumu,
Lecz język radzę szczelnie zamknąć w gębie.

(*Wychodzą*).

(*Przemiana*).

Plac wiecowy. W głębi Wołchow, most na rzece. Na prawo kościół św. Zofii, dworzec Jarosława z szerokimi wschodami; posąg Wadyma. Na lewo podwyższone miejsce, ku środkowi mownica.

SCENA XIV.

Tłumy ludu zalegają plac wiecowy.

1. NOWOGRODZIANIN.

Po co nas znowu zwołują?

2. NOWOGRODZIANIN.

Milcz, kruku!

1. NOWOGRODZIANIN.

Mam prawo krakać, tyle widząc ścierwa.

3. NOWOGRODZIANIN.

Pewnie w tej chwili widzisz własne cielsko.

1. NOWOGRODZIANIN.

Nie! w nos mnie bije smród twojego tłuszczu.

4. NOWOGRODZIANIN.

Nie pchaj się, wrono!

DZIECIĘ.

Mamo, ja chcę widzieć

Tego, co złoty łańcuch ma na szyi.

1. NOWOGRODZIANIN.

Obywatelko! wsadź mi go na barki.

Cóż? dobrze teraz widzisz, mała sroczo!

DZIECIĘ.

Widzę, tam biały człowiek jakiś stoi.

KOBIETA.

To posąg, dziecię, wielkiego Wadyma.

5. NOWOGRODZIANIN.

Ludu jak mrówek... Na kogóż czekają?

3. NOWOGRODZIANIN.

Na tych, co płuczą usta po obiedzie.

6. NOWOGRODZIANIN.

Na piekło! hydrę wspomnieliście głodu.

Chcę żreć!

2. NOWOGRODZIANIN.

Zapasy zboża wyczerpane.

6. NOWOGRODZIANIN.

Czart zabierz wszystko, gdy mamy mrzeć z głodu!

5. NOWOGRODZIANIN.

Tysiąc miar żyta sprowadzono wczoraj.

3. NOWOGRODZIANIN.

A Moskwa ciśnie...

1. NOWOGRODZIANIN.

Niech ją pożre piekło!

Łoszyński dobre dał już jej pamiętne,

Cztery tysiące padło tego ścierwa!

6. NOWOGRODZIANIN.

A czterokroć stoi!

2. NOWOGRODZIANIN.

Drzwi się otwierają.

1. NOWOGRODZIANIN.

Przecie. Hej, drudzy! Niech żyje Nowogród!

WSZYSCY.

Niech żyje wolność! Sława i Nowogród!

SCENA XV.

POSADNIK, TYSIĘCZNY, ARCYBISKUP i SENATOROWIE,
wychodzą z dworca Jarosława.

POSADNIK (*z głową odkrytą*).

W imię swobody, której świętym rządóm
Wielki Nowogród od wieków poddany;
W imieniu prawa, które lud stanowi,
Prawdą się rządząc i sprawiedliwością,
Więc rozpoczynam.

TYSIĘCZNY (*uderza swą buławą w kociół*).

Wiec jest rozpoczęty!

ARCYBISKUP.

Błogosławieństwo obradom. Bóg z nami!

POSADNIK.

Nowogrodzianie! swobodny narodzie!
Wielki kniaź Moskwy, Iwan Wasylewicz,
Rzeczpospolitą najechawszy zbrojnie,
Stolicę kraju obległ mnogiem wojskiem
I chce zaguby wolnego narodu.

WSZYSCY.

Śmierć mu nawzajem! Wolność i Nowogród!

POSADNIK.

Nie na to będąc swobodni, by w jarzmo
Poddańcze zginać wolne nasze karki,
Śmierć, lub zwycięstwo wzięliśmy za hasło,
I zbrojną ręką odpieramy napad.
Silny najejdzca, lecz wolność silniejsza:
Drugi już tydzień, jak w krocie tysięcy
Na wały miasta szturmami uderza,
Zawsze odparty, wścieka się i pieni,
I da Bóg wkrótce grób sobie wykopie.
Wolni, na pomoc przyzwaliśmy wolnych:
Wojsko litewskie pewnie już nadciąga,
I pot śmiertelny zlewać musi czoła
Niecnych najejdzców, bo Wielki kniaź Moskwy

Posła swojego śle do Nowogrodu.
Czy wiec chce przyjąć moskiewskiego posła?

LUD.

Precz z nim! Nie chcemy żadnego poselstwa!
Wojna z najeżdzcą! Precz z posłami kata!

2. NOWOGRODZIANIN.

Mniemam, że posła należy wysłuchać.

3. NOWOGRODZIANIN.

Może wiadomość pomyślną przynosi
O dobrowolnem odstąpieniu Moskwy.

LICZNE GŁOSY.

Niech stanie poseł!

INNE GŁOSY.

Precz z nim! Precz z doradcą!

GŁOSY W TŁUMIE.

Niech stanie! Precz z nim! Niechaj poseł stanie!

POSADNIK.

Liczniejsze głosy za przyjęciem posła.

TYSIĘCZNY (*uderza w kociół*).

Nowogród żąda, aby poseł stanął!

(*do straży*).

Wielkoksiażący poseł niechaj stanie!

SCENA XVI.

CIŻ i CHOŁMSKI wchodzi z hełmem na głowie.

CHOŁMSKI (*z mownicy*).

Nowogrodzianie!

LUD.

Z hełmem precz!

LICZNE GŁOSY.

I z posłem!

PAMFIL (*do Chołmskiego*).

Sługo! hołd oddaj wolnemu ludowi.

CHOŁMSKI (*dumnie*)

W mojej osobie hosudar tu stanął.

LUD.

Hełm, albo głowa! czy panu, czy słudze!

POSADNIK.

Zejdź, albo głowę odkryj wojewodo!

CHOŁMSKI.

Majestat pomnieć będzie tę zniewagę,
 Chociaż za podła, by go dosiąć miała. (*zdejmuje hełm*).
 To mówi Wielki książę memi usty:
 Ja, Iwan, władca i pan Nowogrodu...

LUD.

Nie zna Nowogród ni pana ni władcy!
 Nowogród sam jest swoim panem, słuگو!

POSADNIK.

Poseł jak echo: nie mówi — powtarza.
 Kto się nań gniewa — gniewa się na echo.

TYSIĘCZNY (*uderza w kociół*).

W imię wolności! poseł mówić będzie.

CHOŁMSKI.

Tak mówi Iwan, Wielki książę Moskwy:
 Ja, w prostej linii następcą Ruryka.
 Którego uznał swym władcą Nowogród,
 A ta to władza przeszła na mnie ze krwią —
 Chcę i poddanym moim rozkazuję —
 Nowogrodowi i jego wołosciom:
 Nie znać mu pana innego nademnie,
 Nie mieć mu woli innej nad mą wolę,
 I władzy nie mieć ponad moją władzę!
 Spełniać co każę, brać co dać mu zechcę;
 Dać co zażadam, pójść, gdzie ręką skinę;
 Myśleć mą myślą, mówić moją mową;
 Nie rozkazywać, rządzić, ale — słuchać!
 To ja, wielkiego Ruryka następcą
 Nowogrodowi mówię, memu słudze.

(*Straszliwe milczenie*).

To mówi jeszcze książę mojem usty:
 Gdy się Nowogród przedemną ukorzy —
 Tylko połowę wezmę z liczby winnych.
 Gdy zaś trwać zechce dzień jeszcze w swym buncie —
 Winny, niewinny, przed mym gniewem padnie!
 Posłuch i łaska, a gdy bunt, to, sądy!

(*Tłum rozwścieczony rzuca się ku trybunie.*)

MARTA skinieniem wstrzymuje tłumy.
Spokój! milczenie!... Na takie bluźnierstwa
Bóg swym piorunom każe odpowiedzieć.

(*strzał armatni*).

Bóg już przemówił naszych dział gardłami,
Co tysiąc śmierci posłały najejdzcom!
Sługo tyrana! tak przemawia naród,
Lecz tyś tu stanął nie jako niewolnik,
Ale w osobie żywej twego pana,
I, przez twe usta, on nam rzucił hańbę...
Weźże w swe ucho, ty Moskwę tyranie,
I podaj sercu, jeśli je masz w sobie,
Odprawę, którą wolny naród daje:
Psa wścieczonego charczeniem i wyciem,
Ropuchy jadem i smrodami tchórza,
Plwociną były słowa twoje, któreś,
Jak mięso sadłem, kłamstwy naszpikował.
Coś żygnął z paszczy obrzydłej na naród,
To, odżygnięte, znowuć w paszczę pada,
Z przydatkiem klątwy, którą ślemy tobie,
Twemu potomstwu i wszystkim tyranom!
Zelgałeś, mówiąc: że z przodka Ruryka
Idzie twa władza rządu Nowogrodem.
Nie dał ci Ruryk władzy, której nie miał,
Chyba złodziejem był, i cudzą własność
Ukradłszy, swoim oddał ją potomkom.
Ruryk nam służył, lecz nie rządził nami,
Jak nie rządzili ci twoi przodkowie,
Którzy się w twardym przewracają grobie
Na myśl, że bękart imię ich dziedziczy.
Wlep twoje oczy tam, w ten posąg biały.
To Wadym, z ręki Ruryka poległy.
Niemają wody wyciekło Wołchowem,
Słych o Ruryku zginął w Nowogrodzie —
A Wadym żyje! i kamienne usta
Jego — czy słyszysz? szepczą „Iwan kłamie!
Ja świadczę: nigdy nie mieliśmy pana.“
Dobry gospodarz ma psy na obejściu,
By przed złodziejem strzegły jego mienia;

Wiernego stróża karmi on i głaszcze,
 Złego precz pędzi. Tak też i Nowogród:
 Dobrego kniazia, który mu był stróżem,
 Kochał i karmił, złego precz odpędzał,
 I innych kniaziców nie znał i znać nie chce!
 Że byłby kądziel może stać się panem,
 Mógłżeby przeto i ludziom panować?
 Jestże Suzdalem Nowogród, lub Twerą,
 By twoję władzę chciał uznać nad sobą?
 Panuj twej trzodzie, bo to tylko trzoda,
 Ale do ludzi — wara ci, brytanie!
 Kąsać nas możesz, boś napadł bezbronnych,
 Po psiemu, nocą, chyłkiem i z za węgła...
 Ale wiedz o tem, że pójdziesz na łańcuch,
 I kij zajadłość brytana uśmierzy!
 Albo zagaśnie pochodnia wolności,
 Albo jej święty płomień tam zagore,
 Gdzie dziś niewoli drzemie noc ohydna;
 Na grobie naszym tyran Moskwy panem,
 Lub wolność w Moskwie, którą my jej damy.
 Wojna! To zanieś, sługo, swemu panu.

LUD.

„Śmierć lub zwycięstwo! Za wolność, na wroga!
 Kto przeciw Bogu i Nowogrodowi!“
 Wojna z tyranem! Do broni! do broni!

TYSIĘCZNY uderza w kocioł. Cisza.

POSADNIK.

Mówi Nowogród!

TYSIĘCZNY.

Przyjął wiec i naród!

ARCYBISKUP, drząc, błogosławi.

Błogosławieństwo i nieba i ziemi...

CHOŁMSKI.

A więc ostatnie, co mówi kniaź Moskwy:
 Umrze Nowogród!

(Odchodzi otoczony strażą).

SCENA XVII.

CIŻ bez CHOŁMSKIEGO.

POSADNIK.

Na mocy prawa: skończone obrady.

TYSIĘCZNY.

Wiec zakończony!

LUD rozchodząc się

Niechaj żyje wolność!

SCENA XVIII.

MARTA, później POSADNIK.

MARTA na przedsceniu.

Przemoc czy prawo? Bóg, czy szatan panem? .

Co tam w przeznaczeń zapisano księdze:

Tu noc niewoli? czy tam dzień wolności?

Na Wszechmocnego! wolność nie umiera!

POSADNIK strwożony zbliża się do Marty.

Straszna wiadomość! krzyżowi rycerze

Zamknęli drogę poselstwu na Litwę;

Król więc nie z nami...

MARTA silnie ująwszy rękę Posadnika.

Niech lud nie wie o tem!

Posadnik odchodzi.

MARTA.

W walce z szatanem krzyż po tamtej stronie...

Więc śmierć? To umrzeć! Lepsze to, niż łańcuch

Ojczyzno! straszna czeka cię godzina.

A K T III.

Dekoracya bez zmiany. W kościele śpiew uroczysty. Lud zalega plac wiecowy. Na lewo broń, zrzucona na kupe.

SCENA I.

SENATOROWIE wychodzą z sali posiedzeń.

POSADNIK.

W imieniu ludu i na mocy prawa,
Za przodków naszych idąc obyczajem,
Ja, nowogrodzki posadnik —

SENATOROWIE.

My, rada —

POSADNIK.

Sali tej obrad podwoje zamykam.
Nie pierwaj one będą odemknięte,
Aż to, co grozi krajowi, przeminie,
Niech będzie wszystkim znane i każdemu,
Co mówię tutaj głośno i wyraźnie:
Ojczyzna nasza jest w niebezpieczeństwie!
I po raz wtóry: ojczyzna w potrzebie!
Po raz ostatni: Śmierć grozi ojczyźnie!
Tę wielką pieczęć kładę na drzwi sali.
Niech jej naruszać nikt się nie odważa,
Bo zbrodnią będzie taki czyn, i kara
Straszliwa głowy dosięgnie winnego!
Skończono. Teraz w imię Najwyższego,
Na pomoc spiesząc najmilszej ojczyźnie,
Broniąc swych swobód, i życia i mienia —
Obywatele! tę broń poświęconą
Rozbierzcie wszystką, i z Bogiem — na wroga!
My inni — pójdźmy do świątyni Pańskiej
Polecić Bogu siebie i ojczyznę.

Posadnik i senatorowie odchodzą do kościoła, Lud rozbiera
broń. Pożegnania.

SCENA II.

PIERWSZY Z LUDU.

Tu proch i kule.

DRUGI, *(z westchnieniem)*

Wadymie! Wadymie!

TRZECI.

Najświętsza Panno, miej nas w swojej pieczy.

Na bój, za wolność!

MŁODZIEŃCZAK.

Ojcie, matko droga!..

CZWARTY *(nabijając karabin)*

Kulo! trzech na raz.

STARZEC.

Bóg z wami, me dzieci.

DRUGI *(do towarzyszy)*

Wy z czem?

TRZECI.

Z nożami. To wierny towarzysz:

Rzeźnika nigdy nóż nie odstępuje.

CZWARTY *(wywijając młotem)*

Twardsze żelazo, niżli wrogów głowy!

PIĄTY *(uzbrojony kołem)*

Dobry w potrzebie i kół.

SZÓSTY.

A motyka?

Ho! ho! pardonu nie będzie... Bóg z nami.

DRUGI *(do otoczenia)*

Młody Borecki, mówią, zuch nielada.

CZWARTY.

Z dobrego gniazda dobry ptak wylata.

DZIEWCZYNA.

O, Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami!

TRZECI.

Odwagi dziewczko! Nim słońce zapadnie,

Wrócimy tańczyć na twojem weselu.

DRUGI.

Chce Moskwa miodu nowogrodzkiej pszczoły —
Pozna, że nasze żądła djabło ranią!

STARZEC.

Pięknie umiera, kto ginie zwyciężcą.

GŁOS ZA SCENĄ.

Baczność! porządek! formujcie szeregi!

CZELADIN.

Kto nie żołnierzem, niech wraca do domu!

Dzieci do matek! Czas przyjdzie i na was.

GŁOS ZA SCENĄ.

Formuj się! Stawaj! Do wiosła wiosłarze!

„Bóg i Nowogród!“ Z nami Bóg.

WSZYSCY (*spiesząc na miejsca*)

Bóg z nami!

SCENA III.

Z kościoła wychodzą: ARCYBISKUP z DUCHOWIEŃSTWEM,
SENATOROWIE, LUD.

ARCYBISKUP (*do zgromadzonych*)

Błogosławieństwo i nieba i ziemi,

Bóg z obrońcami wolności, Bóg z nami!

On dobrej sprawie pomaga, On wspiera...

Broniąc ojczyzny, bądźcie w jego rękę

Karzącym mieczem. Święta Zofia z wami!

Błogosławieństwo... grzechów odpuszczenie

Imieniem Trójcy przenaświętszej —

Amen po trzykroć. Z wami łaska Nieba!

(*błogosławi*)

POSADNIK.

Uchylcie znamion waszych, chorążowie!

Niech spłynie na nie to błogosławieństwo.

(Marta z innymi wyprowadza z kościoła św. Zosymę).

SCENA IV.

Św. ZOSYMA z chorągwią w rękę do LUDU.

Módlcie się! Serce pokrzepia modlitwa,

Ona najlepszym puklerzem i zbroją.

Bogu się poleć każdy — z Bogiem staniesz.

Błogosławieństwo wam starca na drogę...

Oto chorągiew ludu: święte znamię,
 Pod którym nasi walczyli przodkowie.
 Moc jej cudowna, bo rozpala serca,
 Hartuje dusze, ręką daje siłę.
 Na sam jej widok pierzcha wróg w popłochu,
 Nad kim powiewa, przy tym jest zwycięstwo,
 To święte znamię w godne składam ręce.
 Wystąp Pamfilu. (*Pamfil staje*) Tobie ją oddaję —
 Pełń twą powinność stary wojownik!
 Wy inni... brońcie... Bóg z wami i z nami...
 Stania się na ręce otaczających; duchowni z arcybiskupem od-
 prowadzają go do kościoła.

SCENA V.

PAMFIL, z chorągwią w ręku.

Sto lat nie widział wróg tego znamienia,
 Dzisiaj obaczy i umrze. Bóg z nami!

LUD.

Śmierć lub zwycięstwo! tak nam pomóż Boże!

POSADNIK.

Lądem i wodą sprawić szyk, wodzowie!
 I naprzód!

LUD.

Marta. Cicho! Marta mówi.

MARTA (*od drzwi świątyni*)

Lud na weselne gody spieszy — nocą,
 Na wielką ucztę podąża w tysiącach,
 A wkoło ciemno... Wy, co u ogniska
 Na mężów czekać macie, na swych synów,
 Braci, przyjaciół — starcy i niewiasty!
 Niechaj z was które poda mi pochodnię
 Świętych ołtarzy ogniem zapaloną.
 Jest tu ktoś, godny świecić narodowi,
 Gdy ten się w drogę wybiera śmiertelną.
 (*idzie z pochodnią ku posagowi Wadyma*)

Wadymie! stróžu wolności! Wadymie!
 Sług i tyranów wzgardo i postrachu.
 Nauczycielu ludów: jak żyć mają,
 By nie sług miano nosić, lecz narodu —
 Oto idziemy, pragnąc dowieść świata,
 Żeśmy ci bracia, bo wolność kochamy.
 Ty nam świeć, wielki Nowogrodzianinie!
 Za światłem ducha twego nasze dusze,
 W świetle pochodni twojej nasze oczy.
 Mężny — świeć mężnym! wolny, prowadź wolnych!
 (wkłada pochodnię w rękę posagu)

Wysoko trzymaj to smolne łuczywo,
 I wtedy zgaś je, gdy wrócim — zwycięzcy!
 (Na dany znak, zapalają się ognie na wieżach nowogrodzkich).
 Jasno i widno, aż do serca wroga.
 Jest cel żołnierze — trafiajcie do celu!
 Gdzie Wadym świeci, tam i ciemni widzą.
 Naprzód na wrogów! — goreje pochodnia.

LUD.

Niech żyje Marta, matka Nowogrodu!
 Błogosław dzieciom. Błogosław! błogosław!

MARTA (*po chwili milczenia*).

Niechaj przepada wróg z swymi wspólniki:
 Małodusznością, podejściem i zdradą.
 Piekło ich duszy, tutaj i za grobem!
 Oko, strwożone ciosem z ręki wroga
 Wyplń z orbitów! Zwiędnij serce w piersi,
 Którą strach ściśnie, gdy w nią ostrze godzi!
 Usychaj ręko, gdy miecz, zaniesiony
 Nad głową wroga, lęk powstrzyma w drodze!
 Wytknij się nogo, zwrócona do biegu
 Z obawy śmierci! Sto kul w plecy tchórza,
 I śmierć, i hańba, i klątwa i piekło!
 Podnieście czoła i serca, żołnierze!
 Bo wam przypada walczyć za swobodę,
 Dar najcenniejszy człowieka na ziemi.
 Pioruny oczom, twardość skał ramionom,
 Mieczom, muszkietom pewnośc ciosu śmierci!
 Goleniom miedzi niepodajność, stopom

Granity w miejscu, lot w następowaniu!
 Znój, głód, pragnienie, brak snu, ciężkie rany —
 Nie wiedzą oni waleczni i dzielni —
 I wy też o tem nie wiedzcie, żołnierze!
 Zwycięzcom chwała, zmarłym cześć i pokój —
 Powróćcie z chwałą, lub — legnijcie w grobie
 (najwyższym głosem, z zapamiętałością)
Wrogom śmierć! z nami zwycięstwo i chwała!
 „Żyje Nowogród, póki wolność żyje.“
 Tem błogosławie was na bój.

(Głosy trąb i bębnów).

LUD.

Sygnali...

Bóg z tobą, sławna córo Nowogrodu —
 Przy nas zwycięstwo!

(Biegna na stanowiska).

GŁOSY WODZÓW ZA SCENĄ.

Stawaj! Naprzód! Krokiem!
 (Szeregi ruszają. Słysząc śpiew kościelny).

ŻOŁNIERZE.

Pieśń! pieśń!

GŁOS WODZA.

Pieśniarze! chórem pieśń bojową.

Pieśń bojowa.

Na bój! za wolność!	Na bój za wolność.
Słowianie! Słowianie!	Słowianie, Słowianie!
W ogień — wodę,	Kto napada
Za swobodę.	Ten przepada.
Zginie wróg —	Zginie wróg —
Z nami Bóg!	Z nami Bóg!

Na bój, za wolność!
 Słowianie! Słowianie!
 Gdzie jest męstwo.
 Tam zwycięstwo.
 Zginie wróg,
 Z nami Bóg!

(Śpiew łączy się z nabożnem piением zebranych w kościele).

SCENA VI.

MARTA, później ARCYBISKUP.

MARTA (*przed posągiem Wadyma*).

Śmierć, czy zwycięstwo? odpowiedz, Wadymie!

Milczy kamienny posąg... Niebo milczy...

A serce?.. Cicho! mówi: „nie zwyciężę“

To umrą! Ja im rozkażę i umrą!

ARCYBISKUP (*zbliżywszy się do Marty*).

Woli przeznaczeń nie cofniesz — zginiemy.

MARTA.

Nim tamci zginą, tyś już zginął dawno.

Jeszcze obroży nie ma na twym karku,

Lecz duszę za to skuł łańcuch niewoli.

ARCYBISKUP.

Krzywdzisz mnie Marto. Ja kocham ojczyznę,

Jak ty; lecz widzę — co tajemem dla ciebie:

Bóg nas potępił — próżna walka z Bogiem.

MARTA.

Ale nie z kniazem! nie z najeźdźcą ziemi!

Gdy Bóg chce śmierci wolnego narodu,

Niech ją sam zada, własną swoją ręką.

Niech, jak Sodomę, zapali Nowogród!

Ale sam! nigdy przez swoje narzędzia!..

ARCYBISKUP.

Błuźniesz, niewiasto!

MARTA.

Nie błuźnię, lecz czuję.

Gdybyś miał serce, chociaż takie tylko,

Jakie tu bije, pod tym rąbkiem sukni —

Pojąłbyś słowa, błuźnierzce dla ciebie.

Mówisz: „Bóg z Moskwą“ Nieprawda, władko!

Bóg przeciw wolnym, z ciemiężcami w zgodzie...

To chyba inny zjawił się na niebie!..

Stary Bóg z nami... a nowych — ja nie znam!

(Szybko odchodzi. Arcybiskup żegna się, strwożony).

(Przemiana).

Noc w polu. Burza z deszczem ulewnym, pioruny i huk dział.
Nowogrodzianie błakając się w ciemności -- wchodzą i wychodzą ze sceny.

SCENA VII.

1. NOWOGRODZIANIN.

Szatani chyba walczą takiej nocy.
Świat się stał piekłem... hu! ciemno jak w grobie.

GŁOS ZA SCENĄ.

Ho, ho, żołnierze! Ho, ho, towarzysze!

PIERWSZY (*natyka się na grupę błądzących*).

Duchy, czy ludzie jesteście?

DRUGI.

Kto idzie?

TRZECI.

Niebo upuści wszystkie swe otwarło,
Gromy za gromem lecą... Hej, kto żyje,
Niech mi odpowie: czy świat stoi jeszcze?
(przechodzi).

CZWARTY.

Na świętą Tróję! to chyba dzień sądu.
(natyka się na innych).

Wróg, czy przyjaciel! Zabij, albo ustąp!

DRUGI.

Hej! gdzie ja jestem? Żyję, czy umarłem?

PIĄTY (*stojąc na uboczu*).

W ogniu błyskawic przelatują duchy ..

TRZECI (*wracając*).

O Matko Boża, straszna noc! O, Chryste!

DRUGI.

Zda się bojowa odzywa się trąba...

Gdzież walczą?

GŁOS ZA SCENĄ.

Naprzód!

CZWARTY.

Czemże jest ten rozkaz?

Chyba wie szatan, gdzie: „w tył“ a gdzie „naprzód!“
(woła).

Jest tu kto?

PIERWSZY.

Jestem. Tak przynajmniej sędzę.

CZWARTY.

Kto ma tę pewność, że jeszcze istnieje —
Niech się odezwie!

GŁOSY Z RÓŻNYCH STRON.

Ho, ho! ho, ho! ho, ho!

DRUGI (*woła*).

Kto z Nowogrodem?

GŁOSY.

Nowogród! Nowogród!

CZWARTY.

Do nas tu, do nas! Nowogród! Nowogród!
(schodzą się za głosem).

DRUGI.

Ilu nas tutaj?

PIĄTY.

Jeśli czemu wierzyć można, tej nocy przekłętej, zdaje
się że sporo. A może kto lepiej odpowie odemnie.

TRZECI.

Gdzie jesteśmy?

CZWARTY.

Pytaj mędrszego, panie ciekawski. Ja nie wiem!

GŁOSY.

Ani ja, ani my!

PIĄTY.

W innej części świata może, lub zgoła nie na świecie...
Straszna noc.

TRZECI.

Wieczna noc! Musiało zginąć słońce.

PIERWSZY.

Palec lewej ręki za pianie mego koguta!

CZWARTY.

Ręka po łokieć za moje ciepłe łóżko!

DRUGI.

Czas połknął samego siebie. Wieczna noc!

PIĄTY.

Co pocniemy z sobą?

DRUGI.

Raczej już skończyć. Zapadliśmy w wieczność.

SZÓSTY

Słuchajcie wy, których tak nie widzę twarzy, jak bosych moich nóg... owczarz jestem, i jeszcze wiem o jednej rzeczy.

WSZYSCY.

Mów, mów owcarzu!

SZÓSTY.

Znałem raz młodszą siostrę dzisiejszej nocy — ja i moje owce. — Przy tej była słońcem i pogodą. Gdy przyszła — nie myślałem, że ją dobrze wspomnę kiedy — stanęliśmy zbici w kupę, ja z memi owcami; mówię: ogonem nie ruszyła żadna... i staliśmy tak, aż czart zabrał swoją wnukę, gdy dzień zaczęło.

GŁOSY.

To cóż! to cóż!

SZÓSTY.

Mniemam, że głupi nie będzie teraz owcą, a chyba sam djabeł chciałby być pastuchem!

SIÓDMY.

Ja nim zostanę.

SZÓSTY.

Nie żegnam się, bo zczecziesz. Cóż więc robić mamy?

SIÓDMY.

Kto z brzegu, niech woła Nowogród! i tem innych ściąga; reszta stójcie cicho!

SZÓSTY.

Zgoda czarcie, bo stoję pośrodku; grzecznie jednakże upraszam aszmośei, nie sprowadź wilka na twe stado owiec.

GŁOSY z brzegu stojących.

Nowogród! Nowogród! Mamy naczelnika. Hej, Nowogród!
Okrzyki w rozmaitych stronach. Nowogrodzianie schodzą się.

PIĄTY.

Więc są tu ludzie, przecie... Kto jesteście?

TRZECI.

Włóż parę dobrych okularów i przyjrzyj się. Przekłeta noc!

GŁOS schodzących się.

Hop, hop, hop! Nowogród!

CZWARTY *do przybyłego.*

Zkąd przybywasz?

ÓSMY.

Nie wiem.

CZWARTY.

To tyle, co nic... Ale widziałeś może?...

ÓSMY.

Pioruny i błyskawice.

CZWARTY.

To mało, chociaż bardzo wiele. A wy? a wy?

DZIEWIĄTY.

W głowie mi się miesza, albo widziałem rzecz straszliwą...
Doszliśmy byli do brzegów Wołchowa...

GŁOSY.

Było was zatem więcej!

DZIEWIĄTY.

Tak, lub nie, bo zatraciłem pojęcie liczby; mówię wszelako, że doszliśmy do brzegów rzeki...

SZÓSTY.

Cóżecie tam widzieli, gdy wam kot lub sowa pożyczyły oczu?

DZIEWIĄTY.

Widziała za mnie błyskawica, a jam został ciemny, ujrawszy rzecz nad pojęcie...

SZÓSTY.

I cóżeś widział ty i twoja ciotka wiedźma?

DZIEWIĄTY.

Wołchow płynący nazad do Ilmeniu!

(Nieme przerażenie).

Na grzbiecie swoim dźwigając kamienie, jako skała wielkie, do góry płynął, a okoliczne wzgórza i pagórki skakały wszystkie, jakby poszły w taniec....

SIÓDMY.

Przestań!

DZIEWIĄTY.

Być może, żem tego nie widział, a jednak — widziałem: Wołchów szedł w górę, a skakały wzgórza...

SIÓDMY.

Zaprzestań!

(*Piorun, błyskawica oświeca postać stojącą zdała na wzgórzu*).

WSZYSCY.

Ha!

PIERWSZY.

Widzieliście?

GŁOSY,

Widzieliśmy! Tam była. I tam, i tam: Mara! mara!

(*Nowa błyskawica*).

CZWARTY.

Jeszcze. Białą powiewa chustą... Cicho! głos dolata...

GŁOS MARTY.

Z kim on! Gdzie on! Gdzie lud, gdzie wróg?

TRZECI.

Słyszeliście?

WSZYSCY.

Słyszeliśmy.

TRZECI.

Ducha tylko słyszeć takiej nocy można. Strach!

DRUGI.

Nie widać jej?

GŁOSY.

Nie widać.

CZWARTY.

Zamilkła!

GŁOSY.

Zamilkła. Znikła, znikła mara!

(*Wchodzi Marta*).

SCENA VIII.

(*Wszyscy w przerażeniu*).

Duch, duch, duch!

SIÓDMY.

Stój! kto jesteś?

MARTA

Duch! Tak, duch tylko... Wyście co za jedni?

(*Milczenie*).

SIÓDMY.

Bóg, wiara, chrzest — a kysz! a kysz!

MARTA.

W niebie Bóg! w krwi chrzest, a wemnie jest wiara!
Wy z Nowogrodu!

GŁOSY PRZERAŻONYCH.

To śmierć... Przebacz Boże.

(biją się w piersi).

MARTA.

Nie znam was ludzie, ale wy mnie znacie...
Jam Marta.

GŁOSY.

Marta!

SZÓSTY.

Nie wierz djabłu człecze.
Zwykł on przybierać postać, jaką zechce.

GŁOSY.

O Jezu Chryste!

SIÓDMY.

Duchu, czy niewiasto.
Jesteś-li Martą, czy nią stać się pragniesz,
Przywołaj światło!

(błyskawica).

MARTA.

Oto jest.

WSZYSCY.

To Marta!

INNI.

To duch ! to Marta!

MARTA.

I jedno i drugie.

Czego stoicie tutaj w takiej liczbie?

TRZECI.

To jedno tylko możemy zrobić jeszcze,
Nim, jako ryby, popłyniemy z wodą,
Na różny gromów wsadzeni przez czarta.
Cóż nam innego robić pozostaje
Tej nocy wiecznej, sprzymierzonej z czartem?

MARTA.

A wróg! a walka! Sto rąk — tysiąc wrogów!
Naprzód za wolność! Naprzód w imię Boże!

PIĄTY.

Szatan, czy wiedźma; lecz mówi, jak Marta
Prowadź więc!

SIÓDMY.

Dokąd?

MARTA.

Na wroga! na wroga!

SIÓDMY.

Nikt nie wie: gdzie prawa, a gdzie lewa ręka; a tej
o wrogach śni się. Stać w miejscu, do rana!

MARTA.

Czart by ci język wyrwał, podły tchórze!
Za mną! W tej stronie, słyszę, grają działa.

GŁOSY.

Naprzód, za Martą!

(Rzucają się ku tylnej kurtynie).

Na Boga! tu rzeka...

MARTA.

Za mną!

(Tłum idzie w lewą stronę).

GŁOS.

Stój! przepaść.

(Biegna na prawo).

Stroma ściana skały.

CZWARTY.

W klatkę nas zamknął szatan!

GŁOSY.

Tędy! tędy!

(Biegna w różne strony).

MARTA.

Do mnie, tu do mnie płochliwe jagnięta!
Odwagi tchórze! Tam ojczyzna ginie.

GŁOSY.

My giniem, Marto.

MARTA.

To nasza powinność.

Za mną! Tu droga...

GŁOSY.

Naprzód! naprzód!

(Wybuch miny, wszystkich rzuca o ziemię).

GŁOSY (*po długiej chwili*).

Straszliwy sędzio! zmiłuj się nad nami,

Żywych nas stawisz przed twoje oblicze.

Zmiłuj się, zmiłuj!

MARTA (*na kolanach*).

Boże! Boże w niebie!

Odlóż Twą zemstę, gdy jej cofnąć nie chcesz.

Dzieło zniszczenia Twojej karzącej ręki

Wróg za swe własne wyda, i przed światem

Ciebie, o Panie i nas zelży... Wielki!

Robakom Twojej opieki użyczasz,

Płaz pełzający w Tobie ma mściciela,

A tu lud ginie, cały naród kona!

Poskrom żywioły, strasznie rozszalałe,

Każ spocząć ziemi, która drży i pęka.

Zamknij Twą ręką niebieskie upusty;

Ujmij pioruny, i wichry, i burze,

Rozpal na niebie jasną gwiazd pochodnię,

I ustąp. Walkę stoczymy ostatnią,

Ale nie z Tobą! Nie Tyś wróg — car wrogiem.

Z nim walka... śmierć z nim; ale nie z Twym gniewem.

Módlcie się, módlcie! Bóg jest sprawiedliwy.

WSZYSCY.

Wszechmocny Boże! zmiłuj się nad nami.

GŁOS ZA SCENĄ.

Stracone wszystko. Zdrada, zdrada, zdrada!

Wszystko stracone!

(Wszyscy powstają. Upadysz wbiega na scenę).

SCENA IX.

MARTA.

Stój! I kroku dalej!

O jakiej zdradzie mówisz?

UPADYSZ.

Puść mnie! Zdrada! zdrada!

MARTA.

Trwoga ci zmysły pomieszała... Słuchaj!..

UPADYSZ.

Puście mnie. Zdrada!

MARTA.

Tchórze, albo zdrajco!

Mów: co się stało? lub tem zamknąć usta.

(Grozi mu sztyletem).

UPADYSZ.

Za co mnie zabić chcesz? Ja mówię prawdę.

Czyliż pod wami nie zadrżała ziemia?

Czy nie ogłuszył was huk?.. Wyrzucono,

Mówię wam, wielką prochownię w powietrze.

MARTA.

Chryste! Kto prochy zapalił? Czy Moskwa?..

UPADYSZ.

Nie sędzę; ale prochu już nie mamy,

Czyli: po walce — jak mówi Łarjonow.

(Sławin, który wbiegł przed chwilą i słuchał słów Upadysza, przebijając go nożem).

SCENA X.

SŁAWIN.

Giń, podły zdrajco! tyś zapalił prochy.

UPADYSZ (*padając*).

Oh!

SŁAWIN.

Jam go widział, jam biegł aż tu za nim,

Za jego głosem. Przyjrzę się twojej twarzy...

(Strzela, proch z panewki oświeca twarz Upadysza).

Upadysz!.. Łotrze, wyznaj twoją zdradę,

Zanim do piekła zstąpisz...

UPADYSZ.

Oh... wyznaję...

Bóg sprawiedliwy... Oh, ta kula... Ludzie!

Pomóżcie podnieść głowę... Słowo jeszcze...

Jam był narzędziem w ręku Łarjonowa...
 U wschodniej bramy... warta – jego ludzie...
 Moskwa nią wejdzie... Tam zdrada... O, Chryste!
 (Umiera).

MARTA.

Mężni! Bóg nie chce zaguby narodu.
 Jest was stu... Zdrajca nieprzygotowany...
 Do bramy wschodniej!

WSZYSCY.

Do bramy! do bramy!
 (Bomba zapala dom oddalony).

MARTA.

Błogosławionaś ty, kulo ognista,
 Swoja, czy ręka rzuciła cię wroga!
 (Wskazuje).

Tam wschodnia brama!

SŁAWIN.

Za mną! naprzód!
 (Wszyscy rzucając się za Sławinem).

Zemsta!

Naprzód! Bóg z nami. Nowogród! Nowogród!
 (Wybiegają).
 (Przemiana).

Okopy. Wschód słońca. Bitwa za sceną.

SCENA XI.

GŁOSY WALCZĄCYCH ZA SCENĄ.

Za świętą Zofię! „Za kniazia Iwana!“
 Nowogród! „Moskwa!“ „Za kniazia!“ Za wolność!

MARTA (*przypatrując się bitwie*).

Jako dwa węże, w śmiertelnym uścisku,
 Łamią się nasze zastępy z wrogami:
 Raz wolność górą, to despotyzm górą...

(Pauza).

Dzielny Łoszyński tył zabiera Moskwie...
 Tu, tu rycerze! Ah, jedno natarcie

I jest zwycięstwo. Posadnik uderza...
 Szyki się łamią... Tak, to Chołmski wpada.
 O, czemuż mężem nie jestem! W ten kirys,
 W ten kirys ciosy!.. Ha, powalił jeźdźca...

(Pauza).

Dzielne natarcie! W nogi, dziec tchórzliwa!..
 To działa milczy... Jeden strzał... O, Chryste!
 Oddech mi w piersi zapiera... Chorągiew!..
 Nowe zastępy.. Szyszak... białe pióro...
 To Iwan... Naprzód! Nacieraj Nemirze!
 Chwieję się... Iwan wpada ze swą hordą...
 Wre walka, kipi... działa grają; siekają...
 Piesi i konni, miecz z mieczem... Litości!
 Jam tylko słaba niewiasta... Tam syn mój...
 Ojczyzno! losy twoje na tej szali:
 Jeśli ustąpią... o, jeśli ustąpią...
 Dopomóż Chryste! — Wróg dwoi swe siły,
 Strzały tatarskie zaciemniły niebo...
 Zginęli w dymie i kurzu i strzałach...
 Oko me ciemne, nie dojrzy... (*słucha*) Jęk głuchy.
 Ziemia pod nimi stęka... Straszna chwila!
 Nowogród! „Moskwa!“ płacząc się okrzyki...
 / Który z nich siłę, który trwogę wieści?

(*przypada do ziemi*).

„Nowogród! Moskwa!“ Chryste, oszaleję!
 Cichną... Te coraz głośniejsze, groźniejsze...
 Oh, oh, morderstwo! zabijają naród...

(*z wzniesionemi w niebo rękami*)

Siły niebieskie! tu, w me ręce, wszystkie!
 Na głowy zbójców ciskam was... Zabijcie!
 Mordujcie katów, mordujących naród.
 Siły niebieskie, do mnie, tutaj, do mnie!
 I wy piekielne mocy, przybywajcie!
 Jest żer, jest karmia — dusze potępieńców,
 Którzy anioła wolności krzyżują.
 Do ich dusz brudnych, moja czysta dusza,
 Zbawienie, żywot wieczysty i niebo —
 Za jedno tylko... za jedno... zwycięstwo!

(*pauza*).

Ha! koniec! koniec! dusza wyszła z ciała —
 Zginał Nowogród. Pierzchają w rozsypce.
 Niebo i piekło przeciw nam w przymierzu...
 Śmierć tylko jedna, śmierć już pozostaje...
 Niech się więc stanie!

(uderza w róg. Do straży).

Otworzyć upusty!

(Straż odchodzi).

Tys nam nie skąpił wody o, litosny!
 Kanał po brzegi napęłniły deszcze,
 A resztę Wołchów doda. Niech się leje —
 Dolinę sobą zatopi, i wroga,
 I swoich — wszystko! Ja tak chcę, ja każę!
 Już nie znam woli innej nad mą wolę,
 Nie chcę ni nieba, ni znać w niebie Boga,
 Jak on nas nie znał.

Głosy za sceną.

Hura! Moskwa górą!

SCENA XII.

Uciekający Nowogrodzianie przebiegają scenę.

PIERWSZY.

Kto żyw, uciekaj!

DRUGI.

Przegrana, przegrana!

TRZECI.

Ratujcie życie!

INNI.

Za mury! za mury!

MARTA.

Ha! ha! to śmieszne... Myślą o ratunku,
 Jakby przed śmiercią był jaki uchówek.
 W polu, czy w murach, wszyscy umrzeć muszą,
 I umrą!

(wchodzi na wały).

Jesteś. Witaj mokry grobie!

Lejcie się wody! prędziej, więcej, silniej!
 W bałwany, falo, wspinaj się pod góry,

Urywaj brzegi, zryj ziemię pod stopą,
 Wylizuj grzązkie topiele językiem,
 I kryj ich w nurtach. Żywiej wodo! żywiej!
 Ha, popłoch jaki! Jaki krzyk rozpaczy.
 Wróg odbiegł łupów, i znamion i broni,
 Ucieka... Próżno! woda go dopędzi!
 Nowe upusty dostarczają cieczy.
 By kąpiel była gotowa, a dobra
 Dla świeżych nieba ulubieńców (*przypomniawszy*) Boże!
 A syn! Gdzie syn moj?..

(*po żołnierzy*).

Widzieliście syna?

(*Nikt nie odpowiada. Marta do jednego z żołnierzy*).

Stój, nędzny zbiegu! Pytam cię o syna...

ŻOŁNIERZ.

Ustąp, kobieto! Dość tam legło synów.

MARTA.

On nie mógł polec!

(*do żołnierzy*).

Gdzie mój syn? powiedzcie!

DRUGI ŻOŁNIERZ.

Stał przy mnie, Marto. Widziałem Setnika,

Który go siłą zabrał z pola bitwy.

Musi być w mieście.

(*Wychodzi z innymi*).

Dzięki ci mój bracie.

(*do trzeciego żołnierza*).

Krótko: Łoszyński?

TRZECI ŻOŁNIERZ.

Poległ.

MARTA.

A Posadnik?

CZWARTY ŻOŁNIERZ.

Zginęli wszyscy. I ty zginiesz... Uchodź!

MARTA.

W oczach mi ciemno... nie dojrzę...

(*do piątego żołnierza*).

Żołnierzu!

Jak mniemasz? wszystkich zatopiała woda?

PIĄTY ŻOŁNIERZ.

Spojrzyj tam. Widzisz tę czarną chorągiew?
Tam Iwan.

MARTA.

Piekło! Więc uszedł?

PIĄTY ŻOŁNIERZ.

Jak widzisz.

I wkrótce wejdzie do miasta.

MARTA.

Łżesz, psiuku!

Droga mu leży pod spadzistą górę,
Którą niemożna obejść, ni przeskoczyć.
Zamknął ją pałac Boreckich — mój pałac!
Imieniem władzy, którą mi dał senat,
Każe wam pałac zapalić! Słyszycie?
Głowę mi za to odpowiesz, żołnierzu!
Znam cię: tyś Sławin.

SŁAWIN.

Równie, jak ty Marta.

Własną go ręką zapalę. Strzeż głowy!

(odchodzi).

SCENA XIII.

MARTA sama.

Trzy stopy ziemi starczy na grób... Dobrze!
Ile tych trójek, tyle będzie grobów,
Aż wszyscy legną.

(Zwrócona w stronę chorągwi Iwana).

Panuj nad grobami!

(Dokończenie nastąpi).

WALKA

KAZIMIERZA JAGIELLOŃCZYKA Z MACIEJEM KORWINEM

O KORONĘ CZESKĄ ¹⁾.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ III.

Nie wiadomo, jakie wrażenie ze zgonu Jerzego odniósł dwór polski, t. j. czy złą, czy dobrą upatrywał w nim wróżbę dla swoich widoków. Skutek dowiódł, że pod tym względem był to wypadek całkiem obojętny. Wprawdzie można zarzucić stanom czeskim, że bez porozumienia się z Kazimierzem Jagiellończykiem zapowiedziały na dzień 24 kwietnia sejm królestwa w Pradze dla obioru nowego pana, ignorując tym sposobem elekcyą królewicza Władysława; ale trudno było uważać tę elekcyą za fakt spełniony, skoro Kazimierz nie uczynił zadość jej warunkom. Wreszcie stany poprostu użytkowały ze swego prawa wolnej elekcyi, bynajmniej zaś nie chciały zrobić demonstracyi przeciw dworowi polskiemu; bo chociaż ze swojej strony nie uznawały wyboru Władysława, to jednak i od przyjaciół Macieja żądały unieważnienia wyboru ołomunieckiego.

¹⁾ Patrz Przegląd Polski, wrzesień 1876 r.

go i tylko pod tym warunkiem przypuszczały ich do nowej elekcji ¹⁾. Co do kandydatów, było ich nie mało, albowiem Czesi, mówi Długosz, podzielili się na różne stronnictwa. Jedni byli za Jagiellonami, drudzy za Maciejem Korwinem, inni znowu za cesarzem Fryderykiem. Niektórzy utrakwiści chcieli wynieść na tron Henryka Podiebradzkiego, którego popierał także teść jego Albrecht Achilles, margrabia brandenburski. Byli tacy, co oświadczały się za Ludwikiem XI, królem francuskim, obiecującym podobno wykupić zastawy, i za Ludwikiem, księciem bawarskim, z przyczyny jego wielkich bogactw. Miał nareszcie swoich zwolenników zięć Jerzego Albrecht, książę saski ²⁾. Ale właściwie tylko dwa stronnictwa, t. j. polskie i węgierskie, jako najliczniejsze i najpotężniejsze, mogły stanowić o losach królestwa czeskiego; wszystkie inne, stanowiące razem z polskiem tak zwaną partją narodową, nie miały wcale znaczenia, zwłaszcza że ich kandydaci, z wyjątkiem księcia saskiego, nie czynili nawet zabiegów o koronę. Do polskiego stronnictwa należeli ci wszyscy, którzy jeszcze za życia Jerzego i za jego zgodą pragnęli, by tron po nim dostał się Jagiellonom, wogóle ci sami utrakwiści i katolicy, którzy już raz obrali byli królewicza Władysława, a na czele ich Ścibor Towaczowski. Po stronie Macieja stali członkowie związku katolickiego pod przywództwem Zdenka Sternberga i obu legatów papieżkich, Wawrzyńca Rovarelli i Rudolfa biskupa wrocławskiego.

Na wiadomość o śmierci Jerzego Maciej śpiesznie udał się z Węgier do Berna i tu naradzał się ze swoją partją, co czynić dla osiągnięcia tronu. Rovarella i Rongoni radzili, aby drogą układów i obietnic starał się pociągnąć za sobą przeciwnie stronnictwo; Zdenko Sternberg, oraz inni panowie świeccy życzyli, aby natychmiast ruszył z wojskiem pod Pragę i jako obrany król czeski, zażądał poddania się stolicy i wydania korony. Przemogło jednak zdanie pierwszych doradców, ponieważ narodowe stronnictwo także okazywało skłonność do układów ³⁾. Tymczasem nadszedł termin sejmku elekcyjnego, na

¹⁾ Palacký t. V. cz. I. str. 17.

²⁾ Długosz XIII. 465.

³⁾ Eschenloer II. 217.

który stany licznie się zgromadziły; przyjechał ze świetnym orszakiem i Albrecht saski na wyraźne żądanie Czechów, ażeby pod jego opieką mogli swobodnie odbyć elekcyą. Zawziętsi przeciwnicy Macieja chcieli natychmiast do niej przystąpić, dowodząc, że prawna elekcyja może być dokonana tylko w ratuszu pragskim; kto więc nie przybył do Pragi — a właśnie nie było tam stronników Macieja — ten dobrowolnie się pozbawił prawa wyborczego. Ale większość sejmu oparła się temu, nie chcąc takim postępowaniem wywoływać wojny domowej, i zaprosiła stronnictwo węgierskie do stolicy, obiecując wszystkim bezpieczeństwo osób. Gdy jednak tamci nie usłuchali wezwania, zgromadzenie pragskie zezwoliło na zjazd w Niemieckim Brodzie celem wspólnego oznaczenia miejsca i czasu elekcyi.

Tu 1 maja obie strony ustanowiły powszechny rozejm do św. Jana Chrzciciela, a za miejsce sejmu elekcyjnego, mającego się zacząć 18 maja, obrały miasto Kutnohorę ¹⁾. W oczekiwaniu sejmu król węgierski przeniósł się z Berna do Igławy i tam wysiadując, wabił ku sobie członków przeciwnej partyi obietnicami i darami; jakoż w istocie wielu tym sposobem przeciągnął na swoją stronę ²⁾. Sprowadził nadto królewicza Wiktoryna, sekretnie nawróconego w Węgrzech na katolicyzm, i czynił przez niego jakieś wielce korzystne propozycye bratu jego Henrykowi, z którymi jednak Henryk odeśłał go do sejmu. Legat Rudolf pismami nakłaniał Prażan do poddania się rządowi Macieja, przypominając, jaką świetnością cieszyła się ich stolica, kiedy była posłuszną papieżom, że ani Wiedeń, ani Norymberga, ba! nawet Rzym i Wenecya nie mogły się z nią równać, a jak nisko upadła, gdy uwierzyła fałszywym prorokom! ³⁾. Kiedy się tak krzątała partya węgierska, stronnictwo polskie również nie zasypiało sprawy. W jego imieniu jeździł ktoś do Kazimierza Jagiellończyka, wedle domysłu Palackiego Ścibor Towaczowski z warunkami, dotyczącemi ponownej elekcyi królewicza Władysława, na które

¹⁾ Palacky V. I. 19—20.

²⁾ Długosz XIII. 465—466.

³⁾ Palacky V. I. 22—25.

Kazimierz przystał, i wyprawił trzech posłów do Czech: Pawła Balickiego, Marcina Wrocimowskiego i Dobiesława Lubelczyka z Kurozwąk. Posłowie ci obiecywali, że Kazimierz własnymi siłami bronić będzie granic czeskich, nawet osobiście wyruszy do Węgier przeciw Maciejowi, uwolni Wiktoryna z więzienia, zapłaci długi zmarłego króla i wyjedna Czechom pokój religijny ¹⁾.

W naznaczonym terminie pociągnęły obydwie stronnictwa do Kutnohory ze zbrojnemi orszakami, wynoszącemi przeszło 15,000 głów; na prośbę partii narodowej przybyło także wojsko saskie. Sejm otworzył się 20 maja i trwał do 28 tego miesiąca. Zdenko Sternberg był jednym z pierwszych, którzy wyrazili życzenie, ażeby się Czechy dźwignęły z niedoli pod rządami nowego pana. Lecz jemu i jego poplecznikom zadano nasamprzód pytanie, czy są wolni od zobowiązań, jakie przyjęli na siebie w Ołomuńcu względem obcego monarchy? gdyż inaczej nie będą mogli brać udziału w elekcji. Pytanie to nabawiło ich niemałego kłopotu, z którego wyszli dopiero za przybyciem osobnych posłów węgierskich, mających zalecać Macieja do tronu, co oznaczało niby, że i w jego oczach elekcya ołomuniecka nie uchodziła za dość ważną ²⁾. Gdy przyszło do stawiania kandydatur, otrzymali prym posłowie polscy, których pierwsze posłuchanie publiczne miało miejsce 22 maja. W charakterze mówcy wystąpił Dobiesław Lubelczyk. Mówił o szczepowym i językowym pokrewieństwie Czechów z Polakami, o ich wzajemnem ku sobie przywiązaniu, sięgającym najdalszej przeszłości, wreszcie o szczerej przyjaźni, jaka łączyła Kazimierza Jagiellończyka z Jerzym Podiebradzkim. Temu ostatniemu oddawał wielkie pochwały, że pełen troskliwości o dobro swoich poddanych, szukał sobie następcy w Polsce i znalazł go w osobie królewicza Władysława, który jakkolwiek jeszcze młody, posiada świetne przymioty duszy i ciała. Zapewniał, że Władysław będzie sprawiedliwym królem, zachowa naród czeski przy jego prawach i swobodach, będzie się troszczył o jego sławę i pożytek i spełni warunki, jakie mu na piśmie zostały podane, król Kazimierz zaś weźmie na

¹⁾ Długosz XIII. 466, Palacky V. I. 25—26.

²⁾ Eschenloer II. 217—218; Palacky V, I. 27.

siebie długi Jerzego, które rachowano blisko na 160,000 złotych i postara się w Rzymie o potwierdzenie kompaktatów. Zachęcając w ten sposób Czechów do obioru Władysława, pan Dobiesław nie omieszkiał ostrzec ich przed obiorem Macieja, którego srogie rządy już w samych Węgrzech obudziły powszechne niezadowolenie ¹⁾. Mowa ta podobała się sejmowi, szczególnie rosły serca utrakwistom; lecz partya węgierska słuchała jej z niecierpliwością, a Zdenko Sternberg prawie gwałtem usiłował ją przerwać ²⁾. Drugiego dnia mieli posłuchanie posłowie Macieja: Jan Beckensloer, biskup jagierski, i Czupur, wojewoda siedmiogrodzki. Zabrał głos biskup i mówił naprzód o wielkiej miłości swojego pana ku Czechom, wojnę zaś przezeń wydaną usprawiedliwiał rozkazem Stolicy Apostolskiej, życzeniem cesarza, wreszcie prośbami panów czeskich, którzy dobrowolnie oddali się Maciejowi w opiekę. Dowodził następnie, że sama natura każe Czechom i Węgrom stanowić jedno ciało historyczne, a historia świadczy, że tak było za królów Zygmunta, Albrechta i Władysława. O kompaktatach zamilezał, nadmienił tylko, że jeżeli Czesi będą potrzebowali orędownictwa w Rzymie, wstawi się za nimi Maciej, a jego słowa pewnie więcej zaważą u Ojca świętego, niż czyjekolwiek inne. Najwალniejszym jednak argumentem, którego biskup użył, aby polecić swojego króla względem wyborców, był ten, że Maciej trzyma w ręku przeszło połowę królestwa czeskiego, z kąd żadna potęga ziemska nie potrafi go wyrugować. Łatwo się domyśleć, że te słowa niepomału musiały obrazić narodowe uczucie sejmujących. Przytem bądź że biskup Jan nie posiadał wymowy, bądź że nie umiał dobrze po czesku, Zdenko Sternberg kilkakrotnie próbował go wyręczyć w mówieniu, na co wszyscy się oburzali i ledwie nie przyszło do zamieszania ³⁾. Wkrótce posłowie węgierscy przekonali się, że kandydatura Macieja upadnie i wyjechali z Kutnohory 25 maja. Towarzyszyli im stronnicy

¹⁾ Palacky V. I. 27—28. Znaleźliśmy także w Tekach Naruszewicza mowę tego samego posła, dosyć krótką i nie zawierającą żadnej wzmianki o warunkach elekcji; sądzimy przeto, że albo jest ułamkiem pierwszej mowy, albo jakąś przemową późniejszą. Umieszczamy ją między Dodatkami.

²⁾ Długosz XIII. 466; Eschenloer II. 218.

³⁾ Palacky V. I. 28—29.

węgierscy częścią dla ich obrony, częścią uciekając przed niebezpieczeństwem, gdyż rozeszła się wieść, naturalnie kłamliwa, jakoby Czesi w zмовie z Polakami chcieli zabić Sternberga i Protazego, biskupa ołomunieckiego, a innych zabrać w niewolę ¹⁾. Po ustąpieniu z placu kandydata węgierskiego dali się słyszeć posłowie sascy, którzy zalecali do tronu księcia Albrechta na podstawie jakichś przyrzeczeń, nie wiadomo przez kogo uczynionych mu w Pradze. Ale była to kandydatura efemeryczna, mało przez kogo popierana. Sejm kutnohorski stanowczo się przechylił na stronę królewicza Władysława i 27 maja w południe obwołał go królem czeskim ²⁾. Warunki elekcyi, ułożone w obecności posłów polskich i zatwierdzone przez nich w imieniu przyszłego króla, były następujące: Ponieważ zwyczaj nakazywał, aby królowie czescy byli obierani w Pradze, przeto Władysław miał upewnić Prażan osobnem pismem, że jego elekcyi, odprawiona w Kutnohorze, nie zaszkodzi w przyszłości przywilejowi stolicy. Dalej zobowiązywał się wzorem swoich poprzedników zaprzysiąc kompaktaty i pilnie czuwać nad ich wykonaniem, oraz wyjednać u stolicy apostolskiej te trzy rękojmie pokoju religijnego: potwierdzenie kompaktatów, rychłe obsadzenie arcybiskupstwa pragskiego takim pasterzem, coby kompaktatów przestrzegał, i zdjęcie klątwy z Jerzego, jakoteż ze wszystkich jego stronników, nie narażając ich przy tem na żadne kłopoty i wydatki. Przyrzekał zachować wszystkie stany i osoby królestwa przy prawach, wolnościach i przywilejach, kiedykolwiek im nadanych, a zwłaszcza od czasów Ottokara aż do śmierci Jerzego Podiebradzkiego, i pod żadnym pozorem nie odrywać od korony ziem, miast, zamków lub jakichkolwiek dóbr, owszem starać się o przywrócenie tego, co było oderwanem, jako też nie przypuszczać cudzoziemców do urzędów krajowych, ani do straży miast i zamków. Obiecywał nareszcie utrzymać królowę Joannę i synów Jerzego przy ich dobrach, a te znowu uwolnić od hipotek i długów, któremi obciążył je król nieboszczyk, Wiktorynowi zaś i innym jeńcom czeskim wyjednać wolność, a księciu Albrechtowi saskiemu wynagrodzić koszta wyprawy

¹⁾ Eschenloer II. 219.

²⁾ Długosz XIII. 466; Palacky V. I. 31.

do Czech, które nie były małe, ponieważ Albrecht miał przy sobie blisko 7,000 wojska. Inne punkta, mniej ważne, ściągały się do bicia monety, przechowywania archiwów i klejnotów koronnych, opłacenia dworzan Jerzego itp. ¹⁾. Taka była osnowa paktów konwentów kutnohorskich, które pod względem nałożonych na młodego elekta ciężarów, żywo przypominają nasze pakta konwenta z epoki pojagiellońskiej, kiedy od amatorów korony żądano różnych rzeczy, o które naród sam nie chciał lub nie mógł się kusić. Co gorsza, warunki, podane Władysławowi, nie tylko były ciężkie, lecz jak się z czasem pokazało, wogóle przechodziły jego możność i nieraz wchodziły go w niesnaski z poddanymi.

Gdy stronnictwo węgierskie, wyniosłszy się w popłochu z Kutnohory, zgromadziło się w Igławie około swojego pana, wszyscy, jako też i Maciej, zaczęli nalegać na legata Rovarelłę, aby potwierdził w imieniu papieża elekcyą ołomuniecką, twierdząc, że dalsze odkładanie tego aktu wyszłoby tylko na szkodę katolików. Przy tem Maciej narzekał, że ani Papież, ani cesarz nie wsparli go w wojnie, którą przedsięwziął na ich żądanie; miałaby w końcu, poniosłszy ogromne trudy i wydawszy półtrzecia miliona dukatów, wyrzec się wszelkiej za to nagrody? Legat, zniewolony temi skargami, gdy wreszcie wpływowy Gabryel Rongoni także poparł Macieja, wyrzekł potwierdzenie tego samego dnia, w którym się odbyła elekcyja Władysława, a nazajutrz odprawił z wielką pompą i ze szczególnymi obrzędami stosowne nabożeństwo w katedrze igławskiej ²⁾. Tak więc Czechy dostały dwóch królów i od tej chwili musiały się na nowo gotować do wojny, gdyż nie było wątpliwości, że spór obojga o koronę tylko orężem da się rozstrzygnąć. Dobiesław Lubelczyk zaraz po elekcyi Władysława odwiedził księcia Albrechta, aby pozyskać w nim sprzymierzeńca przeciw Maciejowi; stany czeskie również prosiły księcia, by nie oddalał swojego wojska. Lecz Albrecht nie chciał mieszać się do walki z obawy utracenia korzyści, jakie miał ze swego lenniczego do korony czeskiej stosunku, i wolał, aby

¹⁾ Archiv. cesky IV. 451 — 455; Eschenloer II. 219 — 221, 261 — 263.

²⁾ Eschenloer II. 219, 223; Rajnald 506—507.

współzawodnicy w jakikolwiek sposób się pogodzili. Gdy jednak na to wcale się nie zanosilo, owszem obydwu stronnictwa znowu się wzięły do broni, a przytem między Czechami i Sasami wszczęły się gwałtowne kłótnie, zakończone krwawą utarczką w kopalniach kutnohorskich, Albrecht wyniósł się z Czech, zawarłszy poprzednio umowę z Maciejem tej treści: że skoro papież i cesarz uznają Macieja królem czeskim, uzna go wtedy i Albrecht, a za to dostanie od Macieja w lenno wszystkie posiadłości, jakie temże prawem trzymał za życia Jerzego ¹⁾.

Po dokonaniu elekcyi sejm kutnohorski wyprawił do Polski poselstwo, które miało uroczyście zawiadomić Władysława o jego wyborze, zażądać potwierdzenia paktów konwentów i wezwać go, aby jak najrychlej przybył do kraju. Poselstwo to składali Ścibor Towaczowski, namiestnik morawski, i brat jego Jan, starosta bolesławski, Mikołaj Landsztein, pisarz wielki ziemski, Henryk Śmirzycki, przeor Paweł, Bernard Birka Nasielski, starosta opawski, Bieniasz Kduliniec z Ostromierza; oraz deputowani miasta Pragi. Stanęli w Krakowie 9 czerwca w niedzielę, we czwartek zaś mieli pierwsze posłuchanie, na którym urzędowym sposobem przełożyli cel swego poselstwa. Po krótkim namyśle dwór polski przystał na wszystkie warunki elekcyi, co Władysław osobiście oznajmił posłom w sobotę 15 czerwca w komnacie malowanej zamku krakowskiego. Nazajutrz w obecności Kazimierza Jagiellończyka, wśród liczego zgromadzenia senatorów, szlachty i innych osób posłowie czescy powitali Władysława jako swego pana, a ten przemówił do nich po polsku tak serdecznemi i pięknemi słowy, że do łez rozczulił wszystkich słuchaczy. Oświadczył, że za powszechną zgodą przyjmuje rządy królestwa czeskiego na cześć Wszechmogącego Boga, pomnożenie wiary chrześcijańskiej i zaszczyt plemienia słowiańskiego ²⁾. Wkrótce potem nowo obrany król przystąpił do nominacyi urzędników w swoim królestwie, przyczem po największej części utrzymali się na posadach ci sami, którzy je mieli za życia Jerzego; ważną atoli zmianą było zamianowanie Ścibora Towaczowskiego wielkim kanclerzem królestwa, pomimo że Towaczowski, jakkol-

¹⁾ Eschenloer II. 219; Palacky V. I. 32, 35—36.

²⁾ Długosz XIII. 466—467.

wiek utalentowany i wykształcony, nie koniecznie się kwalifikował do kanclerstwa, źle umiejąc po łacinie. Oczywiście Władysław chciał nagrodzić jego starania około elekcji kutnohorskiej, a zarazem przypodobać się utrakwistom, którzy pod wodzą Towaczowskiego stanowili większość stronnictwa polskiego. Nie zapomniał jednak i o katolikach, bo ważny urząd wielkiego mincarza powierzył Bieniaszowi Weitmilowi, burgrabiemu Karlsztejna, a nauczyciela swojego Długosza, kanonika krakowskiego, zamianował arcybiskupem pragskim ¹⁾. Dzień odjazdu Władysława do Czech naznaczono na 15 lipca, a koronację na 10 sierpnia. Niektórzy z posłów czeskich chcieli mu towarzyszyć, dlatego dłużej zabawili w Krakowie; inni zaś, mianowicie Mikołaj Landstejn i przeor Paweł wrócili do domu w początkach lipca. Razem z nimi wyruszył z Krakowa zastęp wyborowej jazdy polskiej w liczbie 1,200 ludzi pod dowództwem Stanisława Pieniążka, i stanął załogą w Kutnohorze. Do Pragi zaś przybył sekretarz Kazimierza Jagiellończyka Primus ze znacznymi pieniędzmi na opędzenie kosztów koronacji młodego króla i na zaciąg wojska. Przeor Paweł opowiadał swoim ziomkom o uprzejmości Polaków, oraz że przyrzekli popierać Władysława i w tym celu zezwolili na podatki, o jakich dawniej nie słyhać było, i że w taki sposób się wyrażali, jak gdyby oni, Litwini, Rusini i Czesi już tylko jeden naród stanowili ²⁾.

Podatki, o których mowa, uchwalił sejm piotrkowski jeszcze w listopadzie za to, że król po dwudziestokilkoletniem ociąganiu się potwierdził nareszcie w niewątpliwy sposób swobody publiczne ³⁾. Jednakże okoliczność ta nie ujmuje prawdy słowom przeora Pawła, ponieważ ogół narodu stale był ożywiony sympatjami czeskiemi, a sejm, dając pieniądze na wojsko, wiedział, ma się rozumieć, gdzie to wojsko miało być przedewszystkiem użyte. Wolno zatem twierdzić, że sprawa domu królewskiego była zarazem sprawą narodową; za granicą zaś uchodziła nawet za coś większego, za podniesienie się żywiołu słowiańskiego. Tak przynajmniej uważano ją na sej-

¹⁾ Palacky V. I. 40—41.

²⁾ Eschenloer II. 229; Palacky V. I. 43—44.

³⁾ Długosz XIII. 458—459.

mie Rzeszy niemieckiej, otwartym tego roku w drugiej połowie czerwca w Ratyzbonie; mówiono tam o elekcji Władysława to samo, co w r. 1467 w Norymberdze o wezwaniu na tron czeski Kazimierza Jagiellończyka, tj. że królem czeskim, który jest zarazem elektorem cesarstwa, nie może być ani Węgier ani Polak; powinien nim być Niemiec ¹⁾. Ale to gadanie nie mogło szkodzić dworowi polskiemu, naprzód dlatego, że na sejmach niemieckich od niepamiętnych czasów nigdy nie uradzono w sprawach polityki zagranicznej, powtóre, że cesarz, który wspólnie z Kazimierzem Jagiellończykiem podkopywał wówczas władzę Macieja w Węgrzech, nie mógł oczywiście łączyć się z tymi, co nie życzyli panowania Władysława w Czechach; zresztą obecni tam posłowie polscy czuwali nad interesami swojego pana. Z tej więc strony Kazimierz Jagiellończyk był całkiem bezpieczny. Zdaje się, że i ze strony Stolicy Apostolskiej nie spodziewał się opozycji. Rozgłaszano nawet, iż dlatego przyjął w całości pakta konwenta kutnohorskie, że był pewnym zezwolenia papieskiego na punkta, dotyczące kompaktatów. Była to pogłoska fałszywa. Chociaż bowiem w Rzymie w ostatnich czasach, jak widzieliśmy, już się nie wzdrygano na myśl ugody z Jerzym, którego niepodobna było zwalczyć orężem, to jednak po śmierci Jerzego, poprzedzonej na krótko śmiercią drugiego potężnego szermierza husytyzmu, Jana Rokiczany, różnowierstwo czeskie nie mogło liczyć na pobłażliwość Stolicy Apostolskiej. Dlatego papież nie tylko zaprzeczył powyższej pogłosce, lecz wielce nie rad był z elekcji Władysława, że warowała odzyskanie kompaktatów ²⁾. Właśnie Jakób z Dębna i opat Michał już się byli wybrali z Rzymu do Polski, gdy papież otrzymał wiadomość o elekcji. Wrócił ich tedy z drogi i narzekał przed nimi wobec kardynałów, że Władysław za zgodą swojego ojca dał się heretykom wynieść na królestwo z pokrzywdzeniem zasłużonego kościołowi Macieja Korwina. Z tem wszystkim lubo wołał widzieć na tronie czeskim raczej gorliwego o katolicyzm Węgrzyna, aniżeli toleranta Polaka, nie oświadczył się jednak wyraźnie za królem węgierskim i potwierdzenia jego elekcji, wyrzeczonego przez

¹⁾ Palacky V. I. 45.

²⁾ Eschenloer II. 263—264.

Rovarelłę, nie usankcyonował żadnem pismem publicznem. Życzeniem jego było, aby współzawodnicy w jakikolwiek sposób ze sobą się pogodzili, i ofiarował ku temu swoje pośrednictwo, z którem wyprawił do Polski Fabiana Montepoliziano, kleryka Kamery apostołskiej ¹⁾.

Wobec takiego usposobienia dworu rzymskiego, oraz politycznej niemocy Rzeszy niemieckiej zwycięstwo jednego elekta nad drugim zależało od wypadków miejscowych. Otóż pod tym względem Maciej znalazł się w dość trudnem położeniu. Pobudki religijne, dzięki którym przeszło połowa kraju dobrowolnie uznała była jego władzę, dla wielu katolików przestały istnieć, skoro sejm kutnohorski zapewnił koronę prawowiernemu panu. Szlachta świdnicka i jaworska pierwsza oderwała się od Macieja wbrew woli swoich książąt i jawnie przeszła na stronę Władysława ²⁾. Jakie wrażenie uczyniła elekcya kutnohorska na innych Szlązakach i Łużyczanach, dowiadujemy się z przebiegu poselstwa, odprawionego w miesiącu lipcu we Wrocławiu przez niejakiego Benedykta, kanonika gnieźnieńskiego i sekretarza króla polskiego. Benedykt wręczył Wrocławianom listy wierzytelne Kazimierza Jagiellończyka, Władysława i arcybiskupa gnieźnieńskiego, obok tego osobny list od elekta i drugi od Henryka Podiebradzkiego, który z woli sejmu kutnohorskiego sprawował prowizorycznie rządy w Czechach. We wszystkich tych pismach zachęcano Wrocławian do uznania elekcji kutnohorskiej; Władysław upominał ich, aby przybyli do Pragi na jego koronacyą, zapowiedzianą na 10 sierpnia, i złożyli mu hołd, jako prawemu królowi czeskiemu, a za to obiecywał łaskawość i potwierdzenie przywilejów miejskich. Mowa Benedykta, naprzód ustnie wypowiedziana, a potem podana na piśmie, zawierała treściwe przypomnienie stosunku, w jakim król polski zostawał do sprawy czeskiej od chwili, gdy jeden z Jagiellonów został wezwany przez papieża na królestwo czeskie aż do elekcji królewicza Władysława w Kutnohorze. Mówca dowodził, że Kazimierz Jagiellończyk wcale nie odrzucił propozycji uczynionej jego domowi, ale nie chciał z niej korzystać, dopóki mniemał, że mógłby przezto przyło-

¹⁾ Theiner II. 426—427.

²⁾ Historia Wratislaviensis 240—241.

żyć się do nieszczęść królestwa czeskiego, dotkniętego wojną domową; dlatego też nie szczędził starań ku pojednaniu zwądnionych stronnictw. Obecnie zaś, gdy z poprzedniami życzeniami partii katolickiej połączyły się życzenia jej przeciwników, czego dowodem jest właśnie elekcyja kutnohorska, nie już nie przeszkadza pogodzeniu się stronnictw, jak również wprowadzeniu Władysława Jagiellończyka na ofiarowany mu tron czeski. Benedykt zakończył mowę powabnym obrazem pomyślności Wrocławia, skoro Czechy i Polska będą rządzone przez jedną rodzinę królewską, i zalecał miastu, aby dla własnego dobrego usłuchało życzliwych napomnień obu królów. Poselstwo to, jakkolwiek tylko do Wrocławian wystosowane, obchodziło cały Szląsk i Łużyce, ponieważ od czasu wojny domowej Wrocław stał się stolicą katolickiej części królestwa, jak Praga była stolicą jego części husyckiej. Dlatego nie dano Benedyktowi odpowiedzi zaraz, lecz odłożono ją do wspólnego zjazdu Szlązaków i Łużyczan, umyślnie w tym celu zwołanego na 25 lipca do Wrocławia. Ledwie jednak zjazd się zaczął, przyszła wiadomość, że Kazimierz Jagiellończyk uzbroił dwa wojska, z których jedno miało prowadzić Władysława do Czech, drugie zaś wtargnąć do Węgier, i że kilka tysięcy jeźdźnego, a jeszcze więcej pieszego żołnierza ze Szlązka i Łużyc zaciągnęło się pod chorągwie polskie. Strach ogarnął zgromadzenie wrocławskie i odbił się wyrażnie w odpowiedzi, którą biskup Rudolf dał Benedyktowi w imieniu zjazdu. Od pierwszego aż do ostatniego słowa biskup ciągle kładł nacisk na to, że wszystko, co związek katolicki od pięciu lat uczynił, stało się za wolą Stolicy Apostolskiej. Z jej rozkazu ofiarowano naprzód koronę czeską królowi Kazimierzowi; lecz gdy Kazimierz nie przyjął przywiązanych do tego warunków, udano się zawsze z powyższego rozkazu do Macieja Korwina. Z rozporządzenia papieża obrano go następnie w Ołomuńcu królem czeskim i złożono mu hołd we Wrocławiu w obecności legata Rovarelli; również w imieniu papieża ten sam legat potwierdził jego elekcyą w Igławie. Z przedstawionych w ten sposób faktów biskup Rudolf wyprowadził wniosek, że Szlązacy nie mogą uczynić zadość żądaniu Kazimierza Jagiellończyka i jego syna bez narażenia się na gniew Stolicy Apostolskiej, a w oczach swojego króla Macieja i wszystkich zacnych ludzi na zarzut

krzywoprzysięstwa i wiarołomstwa. Dodał wszakże prośbę, aby Kazimierz załatwił tę sprawę środkami pokojowemi za medycyą papieża i cesarza. Ale dwór polski żądał niezwłocznego posłuszeństwa i gotów był wymóc takowe siłą. Benedykt publicznie się odgrażał, że Wrocław będzie wkrótce obleżony, zdobyty i zburzony, tak iż kamień na kamieniu nie zostanie; a groźby jego tem silniejsze wywierały wrażenie, że w tymże czasie kupcy z Krakowa i innych miast polskich pisali do swoich przyjaciół wrocławskich, aby sprzedawali domy i wynosili się z miasta. Przejęci obawą, Wrocławianie postanowili wyprawić do króla Kazimierza poselstwo z prośbą, ażeby się wstrzymał od wojny z Maciejem; gdyby zaś na to nie przystał, ażeby oszczędził przynajmniej petentów, t. j. ich i dwóch książąt szląskich, którzy wzięli udział w tem postanowieniu. Inni książęta wprost oświadczyli, że jeżeli przyjdzie do wojny, nie będą wspierać Macieja. Tylko Łużyczanie mieli ochotę bić się z Polakami, ale dlatego udawali zuchów, że daleko siedzieli od granic polskich ¹⁾.

Tym sposobem wielki związek katolicki zaczął się rozpręgać, bo cel religijny, który wytknęli byli sobie jego członkowie, dla jednych już wcale nie istniał, dla drugich stracił pierwszorzędne swoje znaczenie. Od czasu elekcji kutnohorskiej cel ten widocznie dla wszystkich ustąpił miejsca osobistej sprawie Macieja, której inni także mogli dogadzać raczej dla swoich osobistych widoków, aniżeli ze względu na dobro publiczne, a przy tem ciągle stawiać pytanie: czy się uda? Wartości bowiem takich spraw nie mierzy się ich naturą, ale przedewszystkiem możliwością przeprowadzenia. Wprawdzie Maciej zaraz po obiorze Władysława zaczął się szykować do zbrojnego poparcia swojej elekcji, lecz na razie nie mógł zebrać licznego wojska. Wojna zaś, którą jego stronnicy już w początkach czerwca rozpoczęli z przeciwną partją, ani o krok nie posuwała sprawy naprzód: był to szereg wycieczek, podjazdów i utarczek, na których źle wychodziła tylko bezbronna ludność, ponieważ tym czynom wojennym zwykle towarzyszyły

¹⁾ Eschenloer II. 228—240. W Historia Wratisl. str. 241. poseł Benedykt nazwany jest archidyakonem pomorskim.

mordy, pożogi i rabunki ¹⁾). W takich okolicznościach Maciej ponownie jął się układow z Kazimierzem Jagiellończykiem i wysłał w tym celu do Krakowa biskupa Protazego, już znanego Polakom z poselstwa, odbytego przezeń przed trzema laty. Protazy oświadczył Kazimierzowi, że Maciej tylko dla obrony wiary katolickiej wdał się w wojnę z Czechami, i to na usilne żądanie papieża, cesarza i katolików czeskich; lecz gdy już posiadał większą część kraju i został przez stronnictwo prawowierne obrany królem, ma zatem niewątpliwe do tronu czeskiego prawo, na które Kazimierz nie powinien nastawać. Jeżeli jednak mniema, że i syn jego ma prawo do tego tronu bądź spadkowe, bądź wskutek elekcji, dokonanej przez partya heretycką, przeto dla uniknienia krwawych zatargów Maciej podaje mu do wyboru cztery sposoby załatwienia sprawy. Pierwszy jest ten, ażeby pretensye obu elektów rozstrzygnął papież wspólnie z cesarzem. Drugi sposób: niech Kazimierz odda Władysława w opiekę Maciejowi, a ten będzie go utrzymywać własnym kosztem na swoim dworze i zapewni mu po sobie następstwo nie tylko w Czechach, ale i w Węgrzech, jeżeli sam zejdzie bezpotomnie; wreszcie w dowód dotrzymania obietnicy pozwoli, aby Władysław razem z nim był ukoronowany. Trzeci sposób polega na tem, ażeby dla rozsądzenia sporu zebrała się we Wrocławiu, lub gdziekolwiek indziej komisya z panów polskich, czeskich i węgierskich, a tymczasem stanie rozejm do roku, lub do dwóch lat, i Maciej wyprowadzi z Czech swoje wojsko, obaj zaś obrani królowie jednocześnie zostaną ukoronowani, albo też nie będą obaj koronowani aż do wyroku komisji. Nareszcie jeżeli Kazimierz chce koniecznie dogodzić stronnictwu heretyckiemu, niechże wyprawi syna do Czech na koronacyą, atoli nie tłumniej, jak z tysiącem jazdy, i pod warunkiem, że po koronacyi sprawa pójdzie pod sąd papieski i cesarski. Obok tych wszystkich sposobów, mających bez rozlewu krwi rozstrzygnąć spór o koronę, Protazy ponowił jeszcze dla całkowitego pojednania zwaśnionych dworów dawniejszą prośbę Macieja o rękę królowny Jadwigi.

Po naradzie z bawiącymi w Krakowie posłami sejmu kutohorskiego, panowie polscy odpowiedzieli Protazemu w imie-

¹⁾ Długosz XIII. 466; Eschenloer II. 223.

niu króla, że wszystkie środki, przezeń podane, są do niczego. Elekcyą Władysława nie czyni ujmy Maciejowi, gdyż wiadomo, że jeszcze kilka lat temu, papież Paweł II i katolicy panowie czescy powołali Władysława do tronu, jako prawego dziedzica królów Zygmunta, Albrechta i Władysława Pogrobowca. Wprawdzie królewicz wstrzymał się wówczas od przyjęcia ofiarowanych sobie rządów, jednakże nie wskutek opieszałości, tylko że nie chciał wtrącać królestwa czeskiego w wojnę domową. Jakoż i ojciec jego zawsze się starał o pokój w Czechach, wyjednał katolikom rozejm i byłby dalej trwał w podobnej pracy swojej, pomimo narzekania Jerzego, że tym sposobem wydierał mu z rąk zwycięstwo, gdyby panowie katolicy nie byli się przerzucili na stronę króla węgierskiego. Ile ztąd złego wynikło, wiadomo całemu światu; ubolewa już i ojciec święty, że dla niesłusznej i bezowocnej wojny w Czechach nie przychodzi do skutku obrona chrześcijaństwa od Turków. Obecnie Władysław także nie pragnie rozlewu krwi, niczyjej krzywdy nie chce, ale nie może zrzec się swojego dziedzictwa, ani lekceważyć swojej elekcyi. Dwóch panów bądź koronowanych, bądź niekoronowanych, nie potrzeba Czechom; Władysław zaś, jako dziedzic i król, zgodnie obrany przez tych, co dzierżą w swoim ręku stolicę i koronę, lepsze niż Maciej ma prawo do królestwa. Dla tego wszelkie w tej rzeczy rozjemstwa i komisye byłyby niewłaściwe; nie ma też po co udawać się do sądu papieskiego, bo ojciec święty już dawno uznał Władysława przyrodzonym panem królestwa czeskiego. Tem mniej można myśleć o jakiejś opiece Macieja nad Władysławem; jest to propozycja obrażająca, na którą dwór polski tylko przez powściągliwość nie odpowiada tak, jakby się godziło. Co się tyczy małżeństwa królowny Jadwigi z Maciejem, król Kazimierz nie oświadcza się ani za, ani przeciw, gdyż układy w tej sprawie będą zależały od zachowania się Macieja względem Władysława. Tymczasem radzi Maciejowi, by dobrowolnie zrzekł się pretensyj do królestwa, które się jemu żadnem prawem nie należy, co sam dwukrotnie wyznał: w r. 1468, kiedy przez posługującego pierwszy raz do Polski biskupa Protazego oświadczył, że przybywa do Czech bez szkody praw królewiczów polskich, jedynie ku obronie uciśnionych katolików, i w r. 1469, gdy na zjeździe ołomunie-

kim osobiście powiedział posłom polskim, że wszczął wojnę z Jerzym, aby powetować różne swoje urazy, nie zaś by wydrzeć mu tron, należący się prawnie synom Kazimierza Jagiellończyka. Prosi wreszcie król Kazimierz panów czeskich, trzymających z Maciejem, ażeby namawiali go do słusznego pokoju, którego tak bardzo potrzebuje królestwo czeskie, skołatanе wewnętrznymi wojnami; Władysław zaś życzy, aby w uznaniu prawnej elekcji kutnohorskiej, przybyli na jego koronacją do Pragi. Rozumie się, że biskup Protazy nie był kontent z takiej odprawy i chciał replikować; lecz oznajmiono mu, że innej odpowiedzi nie dostanie, może zatem ruszać do tego, od kogo był przysłany. „Pamiętajcie, rzekł wtedy, że może kiedyś, da Bóg, pożałujecie waszego uporu.“ Polacy odpłacili te słowa hardą pogroźką, mówiąc, że przyjdzie czas, a nawet już przyszedł, kiedy Maciej nietylko w Czechach, ale i w Węgrzech wszystko utraci.“ „Niech nas Bóg strzeże od waszych złych myśli!“ odrzekł biskup. Rozgniewany odjechał z Krakowa 12 lipca, tylko trzy dni strawiwszy na niefortunnem swoim poselstwie ¹⁾).

Nie sam wzgląd na stosunki czeskie skłonił Macieja do uczynienia, a Kazimierza Jagiellończyka do odrzucenia powyższych propozycji. Przybyła Maciejowi jeszcze ta trudność, że nie mógł swojej sprawy osobiście popierać: musiał coby prędzej wracać do Węgier, gdzie spisek przeciw niemu uknuty, tak wielkie przybrał rozmiary, iż zachodziła obawa, aby Maciej nie utracił własnej korony, nimby się obcej doczekał. Wiadomości o tym spisku są wielce niedokładne. Eschenloer mówi, że gdy stany czeskie gotowały się po śmierci Jerzego do obioru nowego króla, arcybiskup Vitez ostrzegał je przez tajemnych wysłańców, aby nie wybierały Macieja, ale raczej Władysława Jagiellończyka, ponieważ Węgrzy ze swojej strony postanowili pozbawić Macieja tronu, a wezwać w jego miejsce Kazimierza, młodszego brata Władysława, o co już stanowczo ułożyli się byli z królem polskim ²⁾. Czy układ już w tym czasie istniał, nie wiemy. Król długo się wahał, zwłaszcza, że niektórzy se-

¹⁾ Eschenloer II, 224—278; Hist. Wratisl. 241; Archiv cesky IV. 455—456.

²⁾ Eschenloer II. 217—218.

natorowie radzili mu, aby zachował Kazimierza dla Polski. W końcu jednak zniewolony częstemi poselstwami Węgrów, szczególnie zaś prośbami Viteza, jego siostrzeńca Pannoniusa i Rajnalda Rozgonyi, przywódców spisku, ażeby im dał Kazimierza za pana, przyrzekł to uczynić ¹⁾. Wrocławianie wcześniej donosili Maciejowi o zdradliwych knowaniach Węgrów; lecz ten udawał, jakoby nie wierzył wieściom, których miejscem urodzenia była jego zdaniem piwiarnia świdnicka we Wrocławiu, i zarzucał donosicielom zbytne tchórzostwo ²⁾. Dopiero gdy kanonicy ostrzychomscy zawiadomili go o stanie rzeczy w Węgrzech, uznał, że nie wypadało dłużej bawić w pogardę niebezpieczeństwa, i 27 czerwca wyjechał z Igławy ³⁾. Co do zamiarów dworu polskiego, te były widoczne już w początkach lipca, jak się pokazuje z szorstkiego pożegnania panów polskich z biskupem Protazym i ze zbrojnych przygotowań, których cel dokładnie podawano na zjeździe wrocławskim. Ale Kazimierzowi podobało się naprzód osadzić na tronie czeskim starszego syna, a potem dopiero na węgierski prowadzić młodszego, bądź że na to drugie nie był jeszcze ostatecznie zdecydowany, bądź że inne jakie powody nie pozwoliły mu załatwić obu spraw za jednym zachodem.

Wyprawa Władysława do Czech nastąpiła nieco później niż była zapowiedziana. Młody król wyruszył z Krakowa 25 lipca z dobrze wyćwiczonym, 7000 jazdy, a 2000 piechoty liczącym wojskiem, którem dowodził Paweł Jasieński, stolnik sandomierski. W orszaku królewskim, oprócz posłów czeskich: było sześciu książąt szląskich, Przemysław toszeński, Wacław rybnicki, Jan Raciborski, Kazimierz cieszyński, Jan gliwicki i Jan zatorski; trzech biskupów: Mikołaj kamieniecki, czyli podolski, Wincenty chełmiński i Paweł laodycejski in partibus; dwóch wojewodów: Stanisław Ostroróg kaliski i Mikołaj z Kutna łęczycki; dziejopis Jan Długosz, urzędnicy dworscy: Jan Synowiec, marszałek dworu, Tomasz Trąbczyński podskarbi, Jan Długosz kuchmistrz, Paweł Gaskowicz, doktor medycyny; osoby stanu rycerskiego: Piotr i Dobiesław z Ku-

¹⁾ Długosz XIII. 470.

²⁾ Eschenloer II. 234.

³⁾ Długosz XIII. 471; Eschenloer II. 223.

rozwał, Jan Tarnowski, Mikołaj Grabski, Piotr Kmita, oraz wielu innych. Kazimierz Jagiellończyk towarzyszył synowi do Charmazów, wioski w okolicy Oświęcima. Tu pożegnał go 29 lipca, po czym zastęp Władysława podążył ku Opawie, ażeby ztamtąd przez Morawy ciągnąć do Pragi. Przybywszy do Opawy 3 sierpnia, król otrzymał list wypowiedni od Zdenka Sternberga, Mikołaja Czupura, wojewody siedmiogrodzkiego, i Franciszka Haga, którzy zgromadziwszy wkoło siebie wszystkim oddziały zaciężne, rozproszone po Czechach i Morawach, rozłożyli się obozem pod Lipnikiem dla zamknięcia drogi Polakom. Władysław chciał przemocą usunąć przeszkodę, ale jego rada inaczej postanowiła: skierowano pochód dalej przez Szląsk północno-zachodnim szlakiem na Niszę ku Kladzku. W pobliżu tego ostatniego miasta, w miejscu, gdzie kamienna figura Chrystusa na wzgórzu odgraniczała Czechy od Szląska, Władysław stanął w dzień ś. Wawrzyńca na ziemi czeskiej. Powitali go licznie zebrani panowie, szlachta, deputowani stolicy, jakoteż innych miast, wreszcie duchowieństwo i ludność Kladzka, z Henrykiem Podiebradzkim na czele. Na uroczyste mowy swoich poddanych, król odpowiedział rozsądnie i przyzwolicie; zatem zsiadłszy z konia, pierwszy raz zaprzysiągł wobec stanów prawa i przywileje swojego królestwa. W Kladzku spędził dwa dni na różnych umowach z Czechami, przedewszystkiem oznaczono dzień jego koronacyi i rozesłano wszędzie zaproszenia na tę uroczystość. Następnie król udał się w dalszą drogę w kierunku Nachodu i Sadowej, a gdy 19 sierpnia zbliżył się do Pragi, na spotkanie jego wyszły procesye duchowieństwa i tłumy ludu. Odprowadzono go wśród radośnych okrzyków do zamku królewskiego na Starem mieście, gdzie mu się przedstawili profesorowie uniwersytetu i darowali ładnie odpisaną i oprawioną biblią, ażeby się z niej nauczył, jak samym sobą i ludem swoim powinien rządzić według przepisów bożych. Obrzędu koronacyi, która się odbyła we czwartek 22 sierpnia w kościele ś. Wita, dopełnił biskup kamieniecki w asystencyi dwóch innych biskupów polskich. Znakomitych gości z zagranicy było bardzo mało: znane źródła wymieniają tylko posłów cesarskich, saskich i brandenburskich, oraz kilku panów węgierskich. Szczegółowe opisy uroczystości, jeżeli były jakie, zaginęły; z tego, co się zacho-

wało, wiadomo tylko, że krajowcy z zapałem witali młodego monarchę i obiecywali sobie pomyślną przyszłość, że po koronacyi król wedle zwyczaju ukazał się w mieście z koroną na głowie, a między ludem rozrzucano drobne pieniądze. Władysław Jagiellończyk rozpoczął swoje panowanie aktem miłosierdzia i tolerancyi: wszystkim, którzy za jego poprzednika uwięzieni byli w królewskich turmach, przywrócił wolność; najliczniej skorzystali z tej łaski sekciarze, nazywani braćmi czeskimi, którzy odtąd zaczęli swobodnie głosić swoją naukę, zwłaszcza pod opieką Towarczowskich. A lubo król co do samego siebie zawsze dawał dowody niewątpliwej prawowierności i gorliwie się starał o podniesienie hierarchii katolickiej, nie pozyskał jednak miru u duchowieństwu katolickiego, które poduszczane przez legata Rovarellę ciągle agitowało na korzyść Macieja. Przybyły do tego kłopoty finansowe: pokazało się bowiem, że długi Jerzego, których spłacenie włożono na Władysława, wynosiły nie 160,000 złotych, jak w Kutnohorze obliczono, ale blisko dwa razy tyle. W miesiącu październiku Władysław odprawił do domu swój orszak polski; wrócił także Długosz, gdyż rozpatrzywszy się w miejscowych stosunkach kościelnych, zrzekł się ofiarowanego sobie arcybiskupstwa pragskiego. Odjeżdżający upominali króla, aby trwał w wierze katolickiej i starał się o przywrócenie jej wyłącznego panowania w Czechach, nie zastawiał dóbr królewskich i duchownych; wreszcie aby się wystrzegał trucizny, nagotowanej mu, jak głoszone, od nieprzyjaciół. Wojsko zaś, które towarzyszyło Władysławowi do Czech, udało się z rozkazu Kazimierza Jagiellończyka pod tem samem dowództwem do Węgier w pomoc drugiemu synowi Kazimierza ¹⁾.

Całkiem nie w porę, bo niezawodnie już po koronacyi Władysława, przybył do Polski Fabjan Montepoliziano, przysłany od papieża w celu pogodzenia Kazimierza Jagiellończyka z Maciejem. Szczegółów tej legacyi nie znamy, wiemy tylko, że się nie powiodła. Również niepomyślnie wypadły usiłowania legata Franciszka Piccolominiego, który z sejmu ratyzbońskiego może na prośby Wrocławian jeździł do Krakowa i na-

¹⁾ Długosz XIII. 468—470; Eschenloer II. 246; Palacky V. I. 46—52.

kłaniał króla do polubownej o koronę czeską ugody z Maciejem ¹⁾. Nie też nie wskórali posłowie wrocławscy, wyprawieni do Krakowa w drugiej połowie sierpnia, wskutek pogroźek kanonika Benedykta. Ci z początkiem ośmielili się zalecać pojednanie królów na warunkach, podawanych przez biskupa Protazego; lecz kiedy dwór polski z pogardą odrzucił niewczesną radę, mówiąc, że inni Szlązacy słuchają głosu rozsądku, tylko Wrocławianie idą za swoim widzimisię, posłowie zaczęli prosić już tylko o pokój dla swoich. Ale Polacy i na to nie przystawali. Dopiero po wielu trudnościach ofiarowali 5 września rozejm od tego dnia do 25 stycznia następnego roku pod warunkiem, ażeby objęte tym rozejmem miasta Wrocław, Namysłów i Nejmarkt, jako też biskupstwo wrocławskie, tudzież księstwo opolskie, oleśnickie, głogowskie, sagańskie, świdnickie i jaworskie i margrabstwo łużyckie z Sześciomiesciem nie udzielały Maciejowi żadnej pomocy, przedewszystkiem w ludziach i pieniądzach, i nie wpuszczały do siebie jego żołnierzy. Krótko mówiąc, Polacy chcieli związać ręce Maciejowi w tych stronach, gdzie on jeszcze najwięcej miał zwolenników, ażeby tem swobodniej działać przeciw niemu w Węgrzech. Ale posłowie nie mieli pełnomocnictw od wszystkich wymienionych tu miast i krajów, a nawet od tych, w czyjem imieniu przemawiali, nie mieli upoważnienia do zawarcia układu. Wzięli więc rzecz ad referendum ²⁾. Za powrotem do domu, niektórzy z nich radzili przyjąć ofiarowany rozejm; lecz Wrocławianom, którzy najpierwsi uznali Macieja królem, wstyd było od niego się odrywać, jakkolwiek cały Szląsk już zwątpił o jego losie i gotów był przechylić się na stronę króla polskiego. Wreszcie sprawa rozejmu obchodziła Szląsk i Łużyce, postanowiono zatem zgromadzić się w październiku we Wrocławiu dla wspólnej narady ³⁾.

Niebezpieczeństwo, grożące Maciejowi w Węgrzech, było w istocie bardzo wielkie. Spisek ogarnął całe królestwo, tak, iż ledwie dziewięć komitatów — a było ich wszystkich blisko siedemdziesiąt pięć — dochowało wiary Maciejowi; wszyscy

¹⁾ Rajnald 508.

²⁾ Eschenloer II. 240—243.

³⁾ Historia Wratislaviensis 244.

też panowie, oprócz Gabryela arcybiskupa koloczeńskiego, palatyna Michała Orszaga i kilku innych, należeli do spisku ¹⁾. Byłto owoc trzyletniej wojny czeskiej, która z jednej strony niszczyła dobrobyt Węgier, wyciągając z nich bez pożytku ogromne sumy, z drugiej odrywała siły węgierskie od obrony południowych granic, gdzie Turcy znowu niemałe poczynili szkody w trzykrotnym tego roku pochodzie do krajów cesarza Fryderyka. Z tej przyczyny powstało przeciw Maciejowi niezadowolenie w masie narodu. Przywódcy ruchu zaś mieli do pomszczenia szczególne urazy, których źródłem była nieukrócona duma króla, oraz to, że nad magnatów często wywyższał ludzi niskiego urodzenia, albo takich, co bezwarunkowo poddawali się jego woli. Arcybiskup Vitez, prymas królestwa, sarkał znowu na niewdzięczność Macieja, który był mu winien wychowanie, a po części i tron, lecz pomimo to nie chciał znosić jego przewagi w radzie i oddawał pierwszeństwo usługniejszemu biskupowi jagierskiemu. Wreszcie obrzydły już prymasowi ciężkie podatki, które Maciej tak na niego, jak na całe duchowieństwo nakładał dla pokrycia kosztów wojny czeskiej, chociaż to działo się zawsze za zgodą, a nawet za poradą legata papieżkiego. Udział w spisku Viteza i innych prałatów, którzy dotychczas osłaniali tron parwenjusza powagą kościoła, był dla Macieja nader dotkliwym ciosem, a malkontentom użyczył wielkiej siły moralnej. Nie ma wątpliwości, że gdyby Kazimierz Jagiellończyk był we właściwym czasie skorzystał z tej okoliczności, Maciej jużby nie panował w Węgrzech, a tem samem i sprawa czeska byłaby ostatecznie załatwioną. Ale stało się inaczej. Dopiero 20 września, gdy Maciej już prawie od trzech miesięcy bawił w Węgrzech, król-wicz Kazimierz wystosował do niego odezwę, w której mieniąc się sam przyrodzonym panem i dziedzicem królestwa węgierskiego, nazywał swojego przeciwnika po prostu Maciejem Hunyadem, uzurpatorem i ciemiężycielem tegoż królestwa, zarzucał mu gwałtowne zawładnięcie tronem i rządy godne takiego początku, a mianowicie okrucieństwo, łamanie swobód publicznych, nieprawne nakładanie podatków i marnowanie ich na cele bezużyteczne, wreszcie zaniedbanie obrony od Turków.

¹⁾ Katona XT. 519—520.

„Wszystko to, prawil królewicz, albo właściwie Vitez, który, jak Eschenloer podaje, był tej odezwy autorem — znosiliśmy z powodu naszego wieku dziecięcego. Ale dziś przyszedłszy do używania rozumu, postanowiliśmy przy pomocy Bożej ująć się za biednym ludem chrześcijańskim. Jakoż wступujemy do tego naszego królestwa, ażeby je z jarzma oswobodzić, a tobie, Macieju Hunyadzie, i wszystkim twoim pomocnikom i stronnikom wypowiadamy niniejszym listem wojnę ¹⁾.“ Trzynastoletni oswobodziciel Węgier dostał od ojca 12000 wojska, w którem obok zaciężnych Polaków i Niemców było 1000 Tatarów, a które miało się wkrótce wzmocnić powracającym z Czech wojskiem Jasieńskiego. Przytem dwór polski rachował niewątpliwie na wybuch powstania w całych Węgrzech za pierwszym ukazaniem się Polaków. Królewicz opuścił Kraków 2 października w towarzystwie ojca, który go odprowadził do Sącza, i następujących celniejszych osób swojego orszaku: Dersława z Rytwan, wojewody sandomierskiego, Jana Tarnowskiego wojnickiego, Stanisława Wątróbki sandeckiego, Stanisława Szydłowieckiego żarnowskiego kasztelanów, Jana z Latoszyna, doktora dekretów, Stanisława z Kurozwąk, kanonika krakowskiego, Spytkę z Melsztyna, Andrzeja Oleśnickiego, Jana z Czyżowa i innych. Naczelnikiem wyprawy był Piotr Dunin z Prawkowic, podkomorzy sandomierski ²⁾.

Tymczasem Maciej z niepospolitą zręcznością i energią wziął się do uratowania swojego tronu. Zawsze udając, jakoby nic nie wiedział o zdradzie, i okazując wielką uprzejmość spiskowym, spieszenie ściągnął ku sobie wszystkie siły zbrojne z Czech i Moraw, oraz część wojska z nad granicy tureckiej, i tak zabezpieczony, zwołał w miesiącu wrześniu sejm królestwa do Budy. Tu jednych panów pozyskał sobie obietnicami i podarunkami, innych znowu udało mu się nastraszyć; najpotężniejszego z nich, Mikołaja Ujlaky, zjednał ofiarowaniem mu tytułu króla bośniackiego. Szlachtę zaspokoił po części uchwałami, które do pewnego stopnia miały ją zasłaniać od nadużyć władzy królewskiej pod względem finansowym i sądowym. Zapewniwszy sobie w ten sposób jeżeli nie przychyl-

¹⁾ Dogiel I. 60—61; Eschenloer II. 246—248.

²⁾ Długosz XIII. 470—471.

ność, to przynajmniej powolność stanów, Maciej oświadczył, że słyszał o szemraniach wprowadzić nie przeciw sobie, ale przeciw urzędnikom królewskim, nadużywającym niby swojej władzy. Zażądał więc od stanów, aby ich jawnie oskarżyły, przyrzekając, że winowajców bronić nie będzie. Ale nikt nie wystąpił ze skargą, dobrze wiedząc, że takie wystąpienie byłoby rzuceniem rękawicy królowi, nie zaś jego urzędnikom; a gdy król nie wspominał o spisku, spiskowym było również wygodnie udawać zadowolonych i niewinnych ¹⁾. Komedia ta, w której Maciej odegrał rolę wspaniałomyślnego monarchy, głęboko upokorzyła malkontentów i sparaliżowała powstanie jeszcze przed wybuchem. Z dobrą zatem wiadomością pojechali posłowie Macieja do Wrocławia, gdzie się właśnie odbywał zjazd, naznaczony na 4 października. Zdaniem wszystkich zguba Macieja była nieuchronną; nie przypuszczano bowiem, ażeby król węgierski, pozbawiony sprzymierzeńców, zagrożony rokoszem w domu, mógł się obronić połączonym siłom Polaków i Czechów. Zjazd, troskliwy już tylko o bezpieczeństwo Szląska, byłby się niewątpliwie poddał woli Kazimierza Jagiellończyka, na co czekał obecny we Wrocławiu poseł polski, gdyby nie owo poselstwo Macieja, które doniosło, że król pojednał się ze swymi panami, nie myślącymi zresztą wcale o zdradzie, a tak za łaską Bożą wyjdzie zwycięsko ze wszystkich kłopotów. Jeden z posłów, Jan książę sagański, przywiózł nadto pieniądze na zaciąg żołnierza i miał rozkaz zajęcia miasta Namysłowa, aby czynić ztąd wycieczki do Polski. Lecz ani Namysłowianie, ani Wrocławianie, którzy nad tamtymi wykonywali pewne zwierzchnictwo, nie przystali na to żądanie, lękając się zemsty Polaków. Samo wreszcie poselstwo Macieja, jakkolwiek ucieszyło Szlązaków, nie rozproszyło ich obaw; dla tego nie odważyli się jeszcze dać odmownej odpowiedzi posłowi polskiemu, lecz zapowiedzieli nowy w tej sprawie zjazd na 23 października ²⁾. Jednakże i na tym drugim zjeździe, na który licznie się zgromadzili reprezentanci Szląska i Łużyc, znowu puszczono rzecz w odwłokę, ponieważ obradujący nie mogli

¹⁾ Długosz XIII. 471. Eschenloer II. 248; Archiv cesky V. 330; Katona XV. 521—530; Palacky V. I. 56.

²⁾ Eschenloer II. 249—250; Historia Wratisl. 244—245.

się na jedno zgodzić: Łużyczanie chcieli wyraźnie oświadczyć się za Maciejem, ale Szlązacy, szczególnie zaś Wrocławianie, zawsze obawiający się zatargów z Polską, a przytem niepewni skutków wojny w Węgrzech, woleli dyplomatyzować na obie strony. Położenie Wrocławian w tym czasie było zaprawdę godnem pożałowania: jarmarków ich nikt nie odwiedzał, wszystkie rzemiosła straciły odbyty; zwłaszcza upadł handel z Polską, jeżeli bowiem który kupiec pokazał się w Polsce, miano go za szpiega i zdrajcę, obdzierano, a nawet zabijano. Straszły ich też niepomału wieści o powodzeniach Polaków w Węgrzech, zwłaszcza, że dokładnych wiadomości ztamtąd od nikogo nie mieli. Niezadługo jednak zaczęli się pocieszać domysłami, że sprawa polska niekoniecznie dobrze stać musiała, skoro Kazimierz Jagiellończyk zakazał swoim udzielania nowin za granicę ¹⁾.

W istocie sprawa bardzo źle poszła. Królewicz Kazimierz, pożegnawszy się z ojcem w Sączu, ciągnął przez Lubowlę i Podoliniec; następnie ominąwszy Koszyce, obsadzone ludźmi Mikołaja Czupura i Emeryka Zapolyi, podążył przez Jagrę i Gyöngyös ku Budzie. Polacy, uważając za swego nieprzyjaciela tylko Macieja, nie zaś naród węgierski, ściśle przestrzegali karności i żadnych szkód nie czynili mieszkańcom; dla tego nikt nie opierał się ich pochodowi. Ale też nikt się z nimi nie łączył: królewicz za późno przybył, kiedy spiskowi byli już moralnie zabici i nie śmieli w otwartem polu się pokazać ²⁾. Tak wojsko polskie doszło 8 listopada do Hatwanu i tu przez jakiś czas zatrzymało się obozem. Lecz odtąd zaczyna się już odwrót. Długosz mówi, że dla braku opału pod Hatwanem obóz został przeniesiony pod miasto Szak. Na tem nowem stanowisku nie zbywało Polakom na żywności i drzewie, a jednak i ztąd cofnęli się ku Nitrze, która na rozkaz arcybiskupa Viteza otworzyła im bramy. Tu przybył do królewicza Kazimierza biskup Pannonius w 200 koni, lecz zabawiwszy kilka dni, wrócił do Ostrzychomia, zkąd był przyjechał. Odwiedziny Pannoniusa, wpuszczenie Polaków do Nitry,

¹⁾ Eschenloer II. 258—259; Hist. Wratisl. 245—246.

²⁾ Długosz XIII. 471; Eschenloer II. 248.

wreszcie wydanie w ich ręce przez Mikołaja Perenyi zamku Stropkowa — to było wszystko, co spiskowi uczynili dla królewicza, za którego przyrzekali niegdyś dać życie. Tymczasem Maciej wyruszył z Budy na czele 16000 wojska i o trzy mile stanął od Polaków; nie śmiał jednak stoczyć bitwy, nie tyle obawiając się nieprzyjaciela, ile raczej wątpiąc o wierności swoich. Spustoszył tylko dobra Viteza i Pannoniusa, jako głównych sprawców wszystkiego złego, po czem rozpuściwszy oddziały węgierskie, z samymi najemnikami wrócił do Budy. Dopiero gdy mu się udało za pośrednictwem panów koronnych zawrzeć 19 grudnia w Ostrzychomiu zgodę z Prymasem, znowu powołał Węgrów do broni i pomaszerował pod Nitrę. Nie szczęście chciało, że na krótko przed tem Niemcy, którzy służyli w wojsku polskim, opuścili je z powodu, że królewicz nie mógł im wypłacić żołdu w umówionym terminie; za ich przykładem poszło nawet wielu dworzan króla polskiego, chociaż ci wszystkiego mieli dostatek. Kazimierz, obawiając się oblężenia i niewoli, zostawił w Nitrze 4000 ludzi pod wodzą Jasińskiego, a sam z resztą wojska w nocy 26 grudnia umknął do Iłowa z takim pośpiechem, chociaż od nikogo nie był ściganym, że sześćdziesiąt wozów ładownych, postępujących za nim bez żadnej straży, stało się pastwą chłopów węgierskich. Zabawiwszy dni kilka w Iłowie, potem w Rozembergu u Piotra Komorowskiego, który kilka zamków posiadał w północnych Węgrzech, Kazimierz wrócił przez Myślenice do Polski i z rozkazu ojca osiadł w Dobczycach, aż nareszcie kiedy król z dworem wybrał się na sejm do Piotrkowa, przybył 19 marca 1472 do Krakowa prawie cichaczem, smutny i zawstydzony. Przyszłość sownie wynagrodziła niefortunnego pretendenta, dając mu zamiast korony węgierskiej koronę w niebie. Winę niepowodzenia zwalali wszyscy na Dersława z Rytwian, który jako najstarszy godnością, używał zapewne największej powagi w otoczeniu królewicza. Ale czy oskarżenie było słusznem, nie wiadomo. Wprawdzie Długosz nie mieści Dersława w liczbie tych, co wierząc jeszcze w zwycięstwo, radzili nie uciekać z Nitry; czy jednak ci, a mianowicie Tarnowski, Wątróbka, Szydłowiecki, Jasiński, Melsztyński i Zbigniew Tęczyński mieli racją? Czy miał też racją Komorowski, który gotów był oddać Kazimierzowi wszystkie swoje zamki, oczywiście chcąc za-

trzymać go w Węgrzech? — na to pytanie źródła nie dostarczają odpowiedzi ¹⁾).

Ucieczka Kazimierza rozstrzygnęła los wyprawy węgierskiej. Jasieński nie mógł bronić Nitry i po kilku potyczkach zawarł z Maciejem w pierwszej połowie stycznia za pośrednictwem biskupa Pannoniusa układ, wskutek którego Polacy opuścili miasto, lecz zatrzymali zamek. Trzystu żołnierzy pod dowództwem Piotra Kota stanęło w nim załogą, Jasieński zaś, wytargowawszy swojemu wojsku wolny odwrót pod warunkiem, że nie będzie czyniło szkód krajowcom, poprowadził je ku Turcowi, w którym, podobnie jak w Iłowie, Michałowie, Lubinie i Stropkowie, załogowały jeszcze polskie oddziały. Ruszył też i Maciej w tę stronę dla zdobycia wymienionych warowni. W drodze chciał napaść Jasieńskiego, raz że czuł się od niego mocniejszym, a potem znowu, że Jasieński nie całkiem spokojnie odbywał odwrót; lecz zaniechał zamiaru, dowiedziawszy się, że wódz polski czekał już nań w szyku bojowym, przygotowany do rozpaczliwej obrony. Po kilkotygodniowym oblężeniu twierdze turzecka, iłowska, michałowska i lubińska poddały się Maciejowi, gdyż Polacy nie mogli się doczekać odsieczy z ojczyzny i kapitulowali, wymówiwszy sobie wolne odejście z bagażami i bronią i przyrzekłszy ze swojej strony oszczędzać ludność. Ale gdy udręczeni głodem, poczęli rabować po wsiach, tem swawolniej, im bliżej byli granic Polski, Maciej kazał gwałt gwałtem odeprzeć; jakoż chłopci węgierscy wielu z nich obdarli i wymordowali. Stropków uniknął oblężenia tak z powodu swojej obronnej pozycji i dzielności załogi, którą dowodził Jan Biały, jak oraz, że dla bliskości granicy polskiej łatwo mógł uzyskać posiłki. Tak więc tylko dwa zamki — stropkowski i nitrzański — świadczyły jeszcze o krótkim pobycie Polaków w Węgrzech. Maciej, donosząc Zdenkowi Sternbergowi o swoich powodzeniach, w następujący sposób się wyrażał: „Zaprawdę, jak żyjemy, nie widzieliśmy jeszcze ludzi głupszych, leniwszych, niestateczniejszych i nikczemniejszych, jak ichmość Polacy; zdaje się, że ta wyprawa, w której ich towarzyszą porozbijano czaszki, należycie ostudziła ich zapał wojenny, tak, iż niejeden z nich w ciągu ca-

¹⁾ Długosz XIII. 471—473, 477, 479; Katona XV. 511—517.

tego roku nie pomyśli o swoim białym jagodniku (soku poziomkowym). Wierzimy, że czytając ten list, z radości trzy razy podskoczysz na jednej nodze ¹⁾." Zapominał Maciej, że właśnie tym głupim i nieczemnym ludziom w znacznej części winien był swoje zwycięstwo, gdyż wielu Polaków służyło w jego wojsku za pieniądze.

¹⁾ Długosz XIII. 477—478; Katona XV. 550; Archiv cesky VI. 49.

(Dokończenie nastąpi).

Julian Sutowicz.

OBECNE PRZEŚLADOWANIE RELIGII KATOLICKIEJ W PRUSACH.

(Ciąg dalszy).

To jest demoralizująca i korupcyjna strona tego prawa, która nie tylko duchownych, ale i lud wierny do buntu przeciw Kościołowi wzywa i na ten przypadek opiekę prawa im przyrzeka. Druga strona nie mniej okrutna zawiera zupełne uniemożliwienie wykonywania funkcij biskupich, a z niem zamknięcie źródła życia religijnego dla katolików. Bo gdzie nie masz władzy biskupiej, tam nie może być ani jurysdykcji duchownej, ani posłannictwa Boskiego, na którym Kościół katolicki spoczywa, a następnie ani ważnego sprawowania sakramentów, ani odradzania się Kościoła na przyszłość, bo któż inny może święcić kapłanów? Jurysdykcyą duchowną przywłaszcza sobie rząd i w pewnych częściach zlewa ją na patronów i na gminy czyli parafie. Nie jestże to najzupełniejszy przewrót nie już całego organizmu Kościoła katolickiego, ale najprostszych zasad chrystyanizmu? Cóż bowiem jest pierwszym, Chrystus Pan i apostołowie Jego, czy gminy chrześcijańskie? Któż zlał na Piotra, Pawła św. apostołstwo, i na cały świat ich wyprawił, Chrystus czy gminy? Któż zasiał pierwszy ziarno

zbawienia i założył gminy chrześcijańskie, jeśli nie apostołowie? Jakżeby tedy mogli odbierać posłannictwo swoje od gmin, które są dziećmi ich pracy i gorliwości apostołskiej? Że gminy czyli parafie w pierwszych wiekach chrześcijańskich wybierały miłych sobie kapłanów na swoich dusz pasterzy i w wielu miejscach do dziś dnia wybierają, któż ze znających dzieje Kościoła o tem nie wie? Ale któż z chrześcijan identyfikował ten wybór z posłannictwem Boskiem, z jurysdykcyą duchowną? Lud wprawdzie wybierał, jak i dziś jeszcze wybiera w niektórych miejscach, i wybranego, podobnie jak patron, przedstawiał biskupowi, a ten mu dopiero dawał jurysdykcyą duchowną do sprawowania urzędu pasterskiego, jeśli go uznał za godnego i uzdatnionego. Lecz praw tych, iż tak powiem, apostołskich, zlewania jurysdykcyi duchownej, nie wykonywały gminy, nie wykonywali patronowie nigdy, bo nie mogli wybrańcowi swojemu dać tego, czego same nie miały i nie mają, to jest władzy duchownej. Przewrotne to postępowanie da się wprawdzie pogodzić z zasadą protestantyzmu ujemną, która jurysdykcyą duchowną idącą od Chrystusa Pana przez Piotra świętego i jego następców neguje, zaprzecza i nie uznaje sakramentu kapłaństwa, ale nigdy z pryncypalną zasadą Kościoła katolickiego. Tymczasem prawo to, jak już tytuł jego dowodzi, wydanem jest wyłącznie dla Kościoła katolickiego. I wobec tego wszystkiego miał rząd czoło ciągle utrzymywać i twierdzić, że się „bynajmniej do spraw wewnętrznych, do wiary Kościoła katolickiego nie miesza.“

Prawo, o którym mowa, przytoczyliśmy w tym kształcie, w jakim wyszło z pod obrad sejmu i sankcyonowaniem zostało. Projekt sam rządowy doznał jednej ważnej zmiany w Izbie poselskiej przez odrzucenie jednego paragrafu, który zbyt wydatnie charakteryzuje usposobienie rządu i zbyt ważny wywarł wpływ na rozprawy nad tem prawem, aby nam się godziło go pominąć. Był to § 13 w pierwsiastkowym projekcie tej treści:

„Jeżeli w przypadkach paragrafami 6 i 7 oznaczonych w ciągu wyznaczonego terminu wybór administratora biskupstwa nie przyjdzie do skutku, a w ciągu dalszych dni czternastu przysięga od wybranego odebrana nie zostanie, w takim razie minister spraw duchownych zatrzymuje wypłatę kompetencyi z kas rządowych przeznaczono-

nej na utrzymanie członków kapituł, którzy mają prawo wyboru, na tak długo, dopóki administrator biskupstwa nie zostanie podług przepisów niniejszego prawa ważnie ustanowiony lub biskup przez rząd uznany na stolicy biskupiej nie zasiędzie.

Minister jednakże jest upoważniony do dania polecenia wypłacenia z kasy rządowej pensyi niektórym pojedynczym członkom kapituły.“

Motywa do tego paragrafu oświadczają, że ten środek przymusu jest koniecznym do zniewolenia członków kapituły, aby przepisom prawa stało się zadość. Ale ponieważ nie chce karać „winnych i niewinnych“ razem, przeto upoważnia ministra do odwrócenia kary od tych członków kapituł, o których ma przekonanie, że są gotowi prawu się poddać.

Prawo to przyszło w pierwszym czytaniu pod obrady dnia 7 lutego. Z pomiędzy szesnastu mowców zapisanych przeciw temu prawu, a 8 za niem, dostało się tylko z każdej strony po dwóch do głosu, poczem zakończono rozprawy w pierwszym czytaniu i oddano ten projekt pod obrady komisji z 21 członków wybranej. Do komisji tej dostało się czterech z frakcyi centrum, jeden z grona polskiego, Stanisław Chłapowski.

Dwa dni poprzednio było w pierwszym czytaniu na porządku obrad prawo o deklaracyi i uzupełnieniu prawa z dnia 11 maja 1873, o którym tu z powodu wyżej już przytoczonego szczegółowo nie mówimy. Lecz ponieważ oba projekta razem do Izby zostały wniesione i w ścisłym z sobą znajdują się związku, przeto mowcy w ciągu rozpraw odwołują się na jedno i drugie, a zwłaszcza, że i rozprawy nad jednym i drugim nieledwie razem się toczyły. Kto się przy skąpo nader wymierzonym czasie do rozpraw nie mógł dostać do głosu podczas dyskusyi nad pierwszym, korzystał ze zręczności przy drugim, aby wypowiedzieć, co miał na sercu. A w jednym i drugim była materya główna ta sama. Robimy tu tę uwagę z tego powodu, aby czytelnika nie wprowadzić w zamieszanie, jeśli się będziemy odwoływać na mowy niektórych posłów bez względu na to, czy o jednym, czy o drugim mówią prawie.

O powodach i celach rządu, dla których za przeprowadzeniem tego prawa obstawał, jużśmy mówili wyżej. Utrzymanie praw majowych zeszłego roku, a z niemi powagi rządu

wobec biernego oporu biskupów, było najgłówniejszym argumentem, około którego motywa i mowy ministra i jego radców się obracają. Burzenie zaś wiernych katolików przeciw biskupom i duchowieństwu służyło za dowód troskliwości rządu o dobro parafian, aby nie byli pozbawieni pasterstwa duchownego. „W paragrafach 14 i następujących, mówią motywa, chodzi o ukonstytuowanie prawa niezbędnej potrzeby na korzyść parafian, którzy z winy przełożonych duchownych pozbawieni zostali pasterzy.“ Szczególniejsza to troskliwość rządu! Po wypędzać prawych pasterzy, a narzucać ludowi wiernemu samozwańców i Judaszów. Zobaczymy później, jak lud katolicki odpowiedział rządowi na to wezwanie do buntu. Mamy tu znowu tę tkaninę kłamstwa, jaka charakteryzuje to całe prześladowanie; z tego powodu nie zatrzymujemy się dłużej nad jego wykazaniem, bo je czytelnik z łatwością sam namaca.

Stanowisko zaś większości Izby, która w ogóle z tych samych prawie członków się składała, co przeszłe, było głównie obroną własnego honoru, obroną dzieła, do którego spełnienia sama się z niesłychaną gorliwością i szalauputnością przyczyniła. Z tego powodu musiała się większość dobrowolnie czy poniewolnie poddać pod komendę rządu i jego piosnkę nucić. Już jej teraz nie chodziło o prawdę, sprawiedliwość i słusność, ale o ratowanie siebie, o utrzymanie się na swoim. To niegodne stanowisko większości dowodzące, jak straszliwą jest konsekwencya złego, wypowiedział pan Wedell-Vehlingsdorf, członek frakcyi konserwatorskiej. Niech własne jego słowa udowodnią, na czem się większość Izby opierała. Nadmieniam, że przemawiał w imieniu swej frakcyi.

„Kto się mógł zdecydować za prawem majowem o kształceniu duchownych i obsadzaniu posad duchownych głosować, ten powinien teraz mojem zdaniem także konsekwencye tego kroku przyjąć, ten musi się zdecydować dać rządowi to, co koniecznie mieć musi, aby nie pozostał z tępą bronią w ręku, ten musi teraz pomagać zaostrzyć tę broń, aby była pożyteczną rządowi do utrzymania powagi państwa. Nie czas się upierać o początek tej walki, teraz niesiemy rządowi pomoc i wsparcie nasze, bo go uważamy za przedstawiciela powagi państwa... Jestem stanowczo tego przekonania, że w obecnej chwili nie ma nic właściwszego do przywrócenia pokoju

nad złożenie dowodu, że w tej nieszczęsnej walce wielkie masy wszystkich stronnictw politycznych, bez względu, bez pytania się o to, kto ten bój wywołał, przychodzą w pomoc rządowi, który przedstawia powagę państwa. Pragniemy, nie zostawić was (do frakcyi centra) w najnniejszej wątpliwości, że stoi przeciwko wam w zwartych szeregach potęga zdecydowana nie iść do Kanossy, zdecydowana walkę tę toczyć dalej, bo sądzi, że tym sposobem najłatwiej pokój osiągnie.“

Cóż to za straszliwa argumentacya! Nie pytać się wcale o to, czy krok ten, który to zamieszanie spowodził, był i jest fałszywy lub nie, czy milionom obywateli kraju wyrządza krzywdę lub nie, czy jest zgodny z zasadami moralności chrześcijańskiej, a nawet przyrodzonej, lub nie, dość, że został zrobiony, a my mamy moc w ręku, więc jej użyjemy. Takiego bezwzględne go zaprzędania się rządowi nie wstydziła się wypowiedzieć frakcyja nosząca imię konserwatorskiej. Czegóż się było po innych pseudoliberalnych spodziewać! Jestto to samo stanowisko, ten sam rodzaj argumentacyi, jakiego się chwytął parlament niemiecki w obronie prawa o banicyi. Na to już wtenczas odpowiedział im trafnie poseł Mallinckrodt słowy, któreśmy już wyżej przytoczyli, że sama egzystencya praw majowych uie uzasadnia niezbędnej potrzeby ich utrzymania, ale przeciwnie przewrotność ich wkłada nieubłagany obowiązek zniesienia.

Prócz tego argumentu bujali mowcy większości Izby po polu oporu i buntu biskupów, który musi być albo ugięty albo złamany, tudzież po „bezwzględnem posłuszeństwie przynależnem prawom państwa.“ Ten przedmiot objaśniliśmy wyżej, dlatego nie mamy potrzeby tu go roztrząsać, a zwłaszcza, że się stał stereotypowym. Zjawisko to zaiste godne tego ducha czasu na wskrós kłamstwem przesiąkniętego, jak ci sami liberały, którzy w roku 1848 na barykadach walczyli i wszystkie rządy wywracali, którzy w czasie konfliktu z rządem od roku 1861 w najzaciętszej stali opozycyi, teraz tak się straszliwie oburzają na nieposłuszeństwo, na opór bierny stawiany rządowi — jak te same usta, którym często zbywało na dość mocnych wyrazach parlamentarnych, jakich używali do scharakteryzowania gwałtów rządu, dziś z kaznodziejskim zapalem bezwzględne ogłaszają posłuszeństwo. Tym obrzydliwym serwilizmem odznaczają się szczególnie reprezentanci „umieję-

tności niemieckiej,“ jak Gneist, Sybel, Hinschius, Treitschke i wielu innych.

To była najpospolitsza broń, której ze wszystkich stron przeciw katolikom używano. Lecz niezbywało także i na takich, którzy znowu sięgali aż do dekretów soboru Watykańskiego i Syllabusa. Niepodobna bowiem było mówić o obecnem prawie bez odnoszenia się do praw majowych i kłamanych powodów, które je wywołały.

Wobec tego stanowiska mieli obrońcy Kościoła zapewnioną wyższość moralną, bo mieli prawdę po swej stronie i wyższość tem wydatniejszą, że prócz tego znajomością rzeczy, a nawet i talentem o wiele przechodzili swoich przeciwników. Tę wyższość musiała im nawet prasa liberalna przyznać.

Tak Piotr Reicheusperger wykazawszy w sesyi odbytej dnia 5 lutego wszystkie fałszywe kroki rządu i większości Izby w tym kierunku zrobione, usprawiedliwiwszy opór biskupów tak wobec przepisów moralności chrześcijańskiej, jak prawa pruskiego, wyrzuca im, że doznali niespodziewanego zawodu i doznają jeszcze sroższego, jeśli na tej fatalnej pozostaną drodze i nie cofną się z niej, dopóki czas: „Jestem przekonany, powiada w tej mierze, że rząd łudził się tą myślą — wypowiedział ją nawet kilkakrotnie, — że biskupi będą się wprawdzie temu prawu opierać, będą się srożyć, ale tego, aby im zamknięto ich „worki,“ aby ich samych „zamknięto,“ do tego się nie posuną. Tegoście nie przypuszczali. Gdym wam, panowie, wśród obrad nad prawami majowemi przeszłego roku ukazał perspektywę, że w skutek tych praw nie dwóch arcybiskupów, jak to było w roku 1837, ale wszystkich biskupów Prus trzeba będzie pozbawić wolności i do więzienia wtrącić, pan minister spraw duchownych załamał ręce z zadziwienia nad taką przesadą słów moich. Moje ówczesne przypuszczenie musi się w nader krótkim czasie spełnić, jeżeli rząd konsekwentnie postępować będzie. Dziś już jest rzeczą udowodnioną, że się rząd niesłychanie pomylił, nie przypuszczając, że episkopat Prus ma tyle zaparcia samego siebie, tyle gotowości do ofiar, ile okazał. Dalsza pomyłka rządu także już dziś jest udowodnioną, pomyłka, że posłuszeństwo duchowieństwa przynależne biskupom tak daleko tylko sięga, jak zabezpieczenie ich beneficjów wobec biskupiej władzy dyscyplinarnej. Spo-

dziewano się, że duchowieństwo rękę ministra spraw duchownych rozkuwającą jego kajdany, z wdzięcznością całować będzie. A jeżeli pan minister, jak jego ruchy pokazują, nie łudził się tą nadzieją, natenczas powinien te wszystkie przewroty, które się dziś spełniły, być mieć przed oczyma. A jeżeli się łudził tą nadzieją, w takim razie popełnił ciężki błąd, najcięższy błąd, jaki osoba rządząca popełnić może: rządzić, to znaczy przewidywać, a kto tego nie umie, ten także nie powinien rządzić... Jestem przeto tego zdania, że rząd królewski od dawna już stanął na rozstajnej drodze Herkulesa, gdzie się zdecydować powinien, czy w prawo czy w lewo statecznie puścić się należy. Sądzę, że obecnym przedstawicielom władzy państwa, którzy już tak głęboko zabrnęli, z trudnością przyjdzie na prawą skierować się drogę, i dlatego jestem przekonany, że ministrowie krajowi i państwu jedyną jeszcze mogą wyświadczyć usługę tym krokiem, że poproszą Najjaśniejszego Pana o następców dla siebie. (Wesołość i brawo). Panowie! Obecni ministrowie zburzyli najpiękniejszy filar uchwały naszego państwa, wolność religii. Sądzę przeto, że tylko przez opuszczenie publicznego zawodu mogą kraj od dalszego zaburzenia i roztoczenia uratować.“

W rozprawach toczących się w pierwszym czytaniu dnia 7 lutego nad prawem o zarządzie wakujących biskupstw katolickich, dostał się do głosu pierwszy poseł Mallinckrodt. Po odparciu argumentów przeciwnych tak ze strony rządu, jak większości przytaczanych z dogmatu nieomyślności, Syllabusa, z oporu biskupów i udowodniwszy, że przez przyjęcie praw majowych popełniłby Kościół samobójstwo na sobie, zwraca się do ustawy samej, a w szczególności do zamiaru utrzymania gwałtem uznania sedyswakancyi w razie złożenia biskupa z urzędu i pomiędzy innemi powiada: „Przypominam sobie, że pewnego razu w tej Izbie zapadła uchwała podobna do twierdzenia, że kuropatwa jest zwierzęciem domowem. Coś takiego można zawyrokować przez wszystkie trzy instancje, a pomimo o to pozostanie kuropatwa w polu. Tak samo można pisać, co się zmieści, że biskup katolicki mocą wyroku przestaje być biskupem, a jednak tego, panowie, nie dokażecie. Można wprawdzie biskupowi przeszkodzić w wypełnianiu powinności powołania jego, n. p. przez wywiezienie go do Ostrowa,

ale sedyswakancyi przez to nie utworzycie. Na to jeden tylko jest sposób, ściąć głowę takiemu biskupowi, tak jak apostołowi Pawłowi. Przykład ten niechaj posłuży posłowi Rychterowi za dowód, do jakiego stopnia apostoł nauczał bezwarunkowego posłuszeństwa względem praw państwa. Uznanie takiego prawa znosi podstawę Kościoła katolickiego. Odsyłam panów w tej mierze do dekretów Soboru Trydenckiego, które orzekają, że obsadzanie stolic biskupich i probostw nie potrzebuje uznania ze strony państwa, a kto je bez przynależnej misyi zajmuje, tego należy uważać za złodzieja i zbójcę, który się wdziera do obcego domu; ci zaś, którzy go uznają, wykluczają się z Kościoła. Widzicie tedy panowie, że to jest szczelnie zamknięte koło, podobnie jak w zajmującej grze w lisa. Lis nie może się nigdzie przedrzeć.“ Przedstawiając spustoszenie, jakie prawo to w Kościele katolickim zrządzi, oświadczają, że katolicy wcale sobie tych okropnych następstw nie tają i śmiało im zaglądają w oczy, że będą skutkiem tego liczne dyecezye i parafie osierocone, że lud katolicki znosi to wprawdzie spokojnie uginając się pod przemocą, ale znosi to „ze zgrzytaniem całego wewnętrznego człowieka“ i kończy temi słowy: „Być może, że rząd już nad tem przemyśliwa, by na jednej z opróżnionych stolic osadzić starokatolickiego biskupa Reinkensa; nie sądźcie jednak, aby lud katolicki uznał pasterza, który inną drogą, nie właściwemi drzwiami wdarł się do domu, i padł na kolana przed człowiekiem, na którym płaszcz powagi zawiesił pan minister wyznań, a towarzyszą mu bagnety. Nie spodziewajcie się także, aby lud w jakiej części przeszedł do Kościoła protestanckiego. To jest czystem niepodobieństwem; nie znalazłby go bowiem, chociażby nawet zapalił latarnię Diogenesa. Część główna ludu katolickiego dochowa swej wiary i umiłuje ją tem goręcej, inna część zdziczeje, a przez tę właśnie część wychowacie sobie ludność, której wściekłe zapędy napieczętują bałwany, pod którymi sami grób znajdziecie. Zapytacie może, w czym tedy pokładamy nasze nadzieje? Otóż ze stanowiska czysto ludzkiego odpowiadam: nie mamy żadnej, lecz lepiej nam uczciwie i szlachetnie polec, niż kark ugiąć pod takie jarzmo niewoli. Ze stanowiska chrześcijańskiego zaś odpowiadam: będziemy się modlić i z zupełnem zaufaniem liczymy na wszechmocność Boga.“

Z tych kilku ustępów pozna czytelnik, z jaką odwagą, determinacją i znajomością rzeczy katolicy przemawiali. Wyciągnęli od razu wszystkie konsekwencye z zasad, na których te prawa spoczywają i jak w przeszłym roku, tak i w tym ukazują im niewątpliwą perspektywę stanu Kościoła i kraju, jaki te prawa zgotować będą musiały.

Obrady w drugim czytaniu rozpoczęły się dnia 5 maja obok innych pomniejszych spraw, które już były przyjęte poprzednio do porządku obrad. Z katolickich członków pierwszy w tym dniu dostał się do głosu August Reichensperger. W długiej swej i gruntownej mowie nie pominął ani jednego argumentu, którego rząd i większość Izby używały. A potem zwracając uwagę na rządowy interdykt, jaki prawo to rzuca na całe dyecezye, powiada, że rząd w swej „ojcowskiej troskliwości o dobro duchowne katolików chce temu zapobiec.“ Ale jakiegoż rząd używa sposobu? Powiada: interdyktowi temu trzeba zapobiec przez wybór, który kapituły mają skutecznić; a jeżeli kapituły z wyżej już przytoczonych powodów nie będą chciały aktu tego spełnić, natenczas trzeba je zmusić przez odjęcie im utrzymania — ale i tu zastrzega sobie minister spraw duchownych prawo, niektórym członkom kapituł należytość kazać wypłacać. Pytam się panów, czy można w bardziej rażący sposób wiarołomstwo i korupcyą przyjmować za zasadę stanu? Pytam się panów, cóż musi ludność katolicka wobec takich faktów sądzić o tylekrotnie wyrażonych życzeniach rządu, że chce duchowieństwa przejętego duchem narodowym? Czyż powolność na rozkazy rządu z pobudki obawy o utrzymanie ma być znamieniem waszego ducha narodowego? Wyznaję, że to jest objaw przerażający tego stanowiska, które rząd zajają; co więcej, nie pojmuję wcale, jak można w prawie umieszczać wymaganie tego rodzaju w celu wywarcia wpływu na kapituły. Jakież już dziś odniósł skutek ten cios wymierzony? Czytaliście w sprawozdaniu komisyi, że wszystkie kapituły całej monarchii założyły protesacyą przeciw przepisom tego prawa.“ Tą samą ciągłą krytyką wykazuje niedorzeczność tych wszystkich paragrafów, które patronom i gminom biskupią władzę duchowną przyznają i wręcz je do apostazy, do schizmy prowokują.

Posel Lieber, także członek frakcyi centrum wziął sobie za specyalne zadanie obronę biernego oporu biskupów katolickich wobec rozlicznych zaczepek i zarzutów, jakie im ze strony przeciwników robiono. Broniąc słuszności i powinności biernego oporu, odwołał się w tej mierze Piotr Reichensperger i Mallinckrodt na przykład i zdanie Lutra, który w tej mierze powinien w ich oczach zasługiwać na powagę. Na to odpowiedział poseł Rychter, pastor protestancki, broniąc Lutra i stawiając go za wzór „sumiennosci, uległości, posłuszeństwa i cierpliwości apostołskiej.“ Pastor ten nie w porę się wybrał. W pośle bowiem Lieberze znalazł przeciwnika, który z pismami Lutra lepiej od niego był obeznany. Z pism rozlicznych tego warchoła kościelnego, politycznego i społecznego, nie trudno było przytoczyć wiele miejsc, które nie tylko opór bierny, ale nawet i czynny czyli rewolucyą, bunt, usprawiedliwiały. Poseł Lieber umiał najdobitniejsze ustępy wyjąć, wykazać, jak Luter w związku z Huttenem i Sickingen konspirował, jak się do wywołania owej straszliwej wojny chłopskiej, do sekty anabaptystów przyczynił, a potem te wszystkie wściekłe wybuchy zachwalstwa i krnąbrności zestawił z wspaniałą odezwą biskupów katolickich Prus, wydaną w lutym po uwięzieniu arcybiskupa Ledóchowskiego, którąśmy wyżej przytoczyli w całości, i pokazał, czym jest ten mniemany wzór „cierpliwości apostołskiej“ w świetle prawdziwej moralności chrześcijańskiej. Z tego powodu była ta mowa ciekawą i zarazem skuteczną, bo odtąd już się nie śmiał nikt odwołać na ten „wzór cierpliwości apostołskiej.“

Jakkolwiek dalsze obrady nad tem prawem bardzo są ciekawe i pouczające, ograniczam się jednak dla uniknienia zbytecznej obszerności na te tylko mowy i ustępy, które na przebieg obrad, na rzecz samę i na ogólną zasługują uwagę. Do tego rodzaju mów należy krótkie przemówienie posła Mallinckrodta w specyalnej dyskusyi nad paragrafem 7, które się przeważnie przyczyniło do odrzucenia paragrafu 13. Wprawdzie inni posłowie deprawacyą, do jakiej ten paragraf wzywa, wytknęli także, ale nie z taką nieubłaganą ścisłością logiczną i siłą, jak Mallinckrodt. Ustęp tej mowy brzmi dosłownie:

„Prócz tego poczytuję sobie za obowiązek zwrócić pana ministra uwagę na inne pole, na którem się te paragrafy bar-

dzo obszernie rozpościerają; jest to pole, które nie tyle należy do prawodawstwa, ile raczej do zasad moralności. Proszę tylko uobecnić sobie położenie członków kapituły, o których tu chodzi. Połowa z nich składa się z wybrańców rządu, bo rząd ma prawo połowę osób przedstawiać na te posady, wyszukanych z całego duchowieństwa, a zatem wybranych i zaszczyconych zaufaniem rządu. Osoby te przez rząd wybrane i prezentowane na kanonie, musiały przed objęciem jeszcze posady zobowiązać się przysięgą, że powinności urzędu swego zgodnie z przepisami prawa kanonicznego wypełniać będą. O tem rząd wie, do wypełniania tych powinności rząd sam te osoby wskazał. Dalej, w komisji przyznano, a rząd temu nie zaprzeczył, że przepisy prawa kanonicznego zakazują członkom kapituły przystępować do wyboru administratora biskupstwa, dopóki stolica biskupia podług prawideł prawa kanonicznego nie zawakuje. O tem rząd wiedział. Do zbytku powiedziały nam to i rządowi wszystkie kapituły monarchii i udowodniły to twierdzenie w podaniach, które mamy drukowane w ręku. Dość, że nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż tak urząd, jak przysięga zakazuje członkom kapituł, w skutek złożenia wyrokiem sądownym biskupa z stolicy, wybierać administratora biskupstwa lub nowego biskupa. Proszę to pod ścisłą wziąć uwagę. Kanonicy zaś mają kompetencje, które, jak to rząd sam przyznał — w komisji przynajmniej wyraźnie to komisarz rządowy uznał — nie mają bynajmniej charakteru pensji rządowej, ale charakter *dotacyj*, któremi te posady na mocy traktatów uposażone zostały, i do tego dotacyj, które podług tychże układów powinny na losach fiskusowych być zabezpieczone, tak, iż te dotacje są zupełną własnością odnośnych kapituł. Dość, że tu bynajmniej nie chodzi o pensyę. Zastanówcie się jeszcze, panowie, nad tem, że cel, do którego paragrafy 6 i 7 zmierzają, t. j. ustanowienie rządowego komisarza do zarządu majątku dyecezalnego, łatwo może być osiągnięty wprost, gdyż rząd potrzebuje tylko powiedzieć: po złożeniu biskupa z urzędu przechodzi administracja majątku na rządowego komisarza, dopóki biskupstwo na nowo obsadzone nie zostanie. Tego rząd nie czyni, ale obiera sobie drogę, o której wie, że jest czczą tylko formą — bo to tylokrotnie było tu wypowiedziane — t. j. tę drogę: Wezwać ze strony rządu kanoników, aby przystąpili

do wyboru, to znaczy, aby się dopuścili uczynku, którego im ich urząd i przysięga spełnić nie pozwala; jest to zatem wezwanie kanoników przez naczelnego prezesa do oczywistego złamania przysięgi. (Słuchajcie! Słuchajcie!) Wezwanie to jest całkiem zbytecznym środkiem do celu, który rząd osiągnąć pragnie. Przekonacie się z treści jednego z następujących paragrafów, jak z 13go, że rząd wcale nie zaprzestał na wezwaniu członków kapituły do spełnienia tego niegodziwego aktu, ale ich do niego przymusza groźbą uszkodzenia ich na majątku, i do tego groźbą tem zdrożniejszą, że rząd nie odbiera im dobrodziejstwa, które od jego dobrej woli zawisło, ale wyrządza im szkodę na majątku przez łamanie własnego obowiązku prawnego. (Bardzo słusznie!) Rząd gwałci własny obowiązek prawny, aby członków kapituł na majątku pokrzywdzić, a to czyni w tym znowu celu, aby ich do spełnienia niegodziwego aktu, do złamania przysięgi zmusić. (bardzo słusznie! słuchajcie! słuchajcie! Na lewicy śmiech) To jest wywód ściśle logiczny z faktów, które mamy przed sobą. Będę oczekiwać, czy kto zdoła wywód ten obalić.

Możecie mi tu zarzucić: Tak, ale prawa państwa muszą być wykonane. To jest wszystko, co mi odpowiedzieć możecie. Donośniejsze argumenta przeciw temu wywodowi szalenie są drogie: a na ten zarzut odpowiadam wam: Bardzo dobrze! Przypuściwszy z waszego stanowiska, że prawa te musicie wykonać, to przecież ztąd wcale nie wynika, aby to było rzeczą dobrą, używać do tego środków, które ze wszech miar są środkami niemoralnemi; (bardzo słusznie!) boć tego zaprzeczyć nie jesteście w stanie, że zmuszanie kogoś do gwałcenia powinności jest ze wszech miar uczynkiem niemoralnym, bez wszelkiego względu na cel, jaki przez to ma być osiągnięty; chociażby cel był najświętszy, najlepszy, środek ten jednak pozostanie złym, a o tyle więcej jeszcze nagannym, że do dopięcia celu, o który chodzi, nie jest niezbędnie potrzebnym.

Przedstawcie sobie żywo przed oczy, w jaki sposób musi tego rodzaju postępowanie rządu, którego zadaniem jest przyświecać krajowi wzorową moralnością i sprawiedliwością — oddziaływać na kraj, jeśli na takie wzory moralności patrzeć będzie; przedstawcie sobie przed oczy, panowie, i odpowiedzialność, która także i na was spada, jeśli się do tego przyczyni-

niacie, jeśli pomagacie kuć żelazo do takich uczynków. To są rzeczy, których potem naprawić nie można... Jakiż to będzie miało skutek na poważanie rządu w kraju, którego rząd niezbędnie potrzebuje, jeśli ma mieć trwałość w kraju.“

Niewątpliwie wskutek tego wyводу porobili niektórzy członkowie frakcyj liberalnych poprawki do tego paragrafu, a minister korzystając z tej okoliczności, oświadczył w dalszej dyskusyi, że się woli raczej zrzec tego paragrafu całkiem, aniżeli podane wnioski przyjąć. Tym sposobem upadł § 13, ale z nim nie upadła zasada bezecna, na której to całe prawodawstwo spoczywa. A zresztą upadł tylko na chwilę, bo w r. 1875 przywrócono go w daleko obszerniejszych rozmiarach przez prawo, na mocy którego rząd wszelkie wypłaty płynące z dotacyj i innych tytułów prawnych wszystkim duchownym zatrzymał.

W rozprawach toczonych dnia 6 maja nad tym przedmiotem ciekawą jest mowa posła Schroedera (Lippstadt), także członka frakcyi centrum, który sobie wziął za zadanie, wytknąć korupcyą, do jakiej prześladowanie Kościoła katolickiego dało i ciągle daje powód. Do sądów nawet wprowadza rząd tę deprawacyą i przytacza w tej mierze następujący przykład: W sądzie tarnowskim, w górnym Szląsku, został pleban Paul i kapelan Sobel po dwakroć o przekroczenie praw majowych oskarżony i po dwakroć przez tenże sąd uwolniony. „Było to powiada, przy końcu przeszłego roku. W tem kolegium sądowem zasiadał — trudno było złożyć je odpowiedniej — jeden żyd, jeden katolik i jeden protestant. O ile wiadomo, zapadły te wyroki jednomyślnie... W lutym r. b. wydano nagle z tego kolegium dwóch członków, i odtąd ci sami dwaj kapłani, Paul i Sobel, gdy ich o takie same przekroczenia praw majowych znowu oskarżono, zostali na kary skazani.“ Z tego przykładu przeszedł na cierpką nader krytykę § 13.

Prócz mowców, z którychśmy krótkie przytoczyli ustępy, zajmowali jeszcze inni głos i z równą dzielnością i dosadnością bronili sprawy Kościoła i zarazem sprawy wolności w ogóle, jak Windhorst, który kilkakrotnie przemawiał i żadnego prawie paragrafu bez ciętej opozycyi nie przepuścił, Reichensperger, Baudri, Loe, prezydent stowarzyszenia katolików mogunckiego, Schorlemer-Alst i w. i. Ostatni szczególnie przemawiał

zwykle bardzo dobitnie i umiał zdania swoje trafnie i dosadnie przykłady popierać. I tak odpierając n. p. fałszywą a w rozmaitych kształtach powtarzaną zasadę bezwzględności posłuszeństwa, powiada pomiędzy innemi: „Wobec tego, co motywa o poddaniu się prawom mówią, rzucam kwestyą: Godziż się wszelkim prawom na ślepo się poddać? Przypominam wam, że Nero wydał prawo nakazujące jego koniowi cześć boską oddawać, że on i wielu jego następców nakazywali bałwanom ofiary składać; że konwent francuski zabronił wyznawać religią chrześcijańską, a boginię rozumu na ołtarzu osadził. Chcecież tedy robić wyrzuty tym, którzy się takim szalonym prawom państwa nie poddali, albo macież odwagę pochwalać kary, jakimi dręczono tych, którzy się tego rodzaju prawom poddać nie chcieli?“ Cała frakcyja centrum, a szczególnie katolicy bronili z gorącą wiarą, głębokiem przeświadczeniem, gruntowną znajomością rzeczy i wysokim talentem wymowy, której prawda dodawała mocy i uniesienia. Zasługa tych mężów tem jest znakomitszą, skutek ich niezmordowanej pracy tem zbawienniejszy, tem pożądanjszy, że podnosili głos swój odważnie i dawali świadectwo prawdzie, kiedy biskupi już się odzywać nie mogli, prasa katolicka uciemniona i procesami ścigana ludności katolickiej o doniosłości i okropności zamachów na religią dostatecznie oświecać nie była w stanie. Wartość przeto mów tych była tem wyższa i droższa, że wypowiedziane z mównicy mogły się, bez przeszkody ze strony prokuratora stawianej, po całym kraju rozchodzić.

„Grzechemby było“ powiedział poseł Czarliński, nie brać udziału w tej walce, która się toczy o najwyższe dobra człowieka.“ Jakoż posłowie polscy licznie i żywo walczyli w szeregach obrońców religii i wolności. Pierwszy z nich, Czarliński, dostał się 4 maja do głosu i w mowie swej natchnionej nie krasomowczym talentem, ale gorącą miłością religii i ojczyzny określił wyraźnie stanowisko, jakie Polacy względem tej kwestyi zajmują.

Dnia 7go maja przemówił ks. Jażdżewski daleko trafniej i lepiej, niż w przeszłym roku przy interpelacyi Łubieńskiego. Zdanie zaraz na wstępie powiedziane, że „celem nowego prawodawstwa pruskiego nie jest obrona słabszego przeciw mocniejszemu, ale zgnębienie, zgniecenie słabszego“ do-

brze scharakteryzowało tak postępowanie rządu, jak większości Izby. A ponieważ już krążyły wieści o wyroku zapadłym przeciw arcybiskupowi Ledóchowskiemu, przeto obaj mówcy nie omieszkali z pryncypem oświadczyć, że wyrok ten dla nich żadnego niema i mieć nie będzie znaczenia, że złożonego z urzędu tak samo po wyroku będą uważać za arcybiskupa Gnieźnieńskiego i Poznańskiego, jak go uznawali przed wyrokiem.

Dnia 8 maja wystąpił poseł Thokarski i przemówił bez ozdób krasomówstwa, ale szczerze i gorąco. Zapowiadając Izbie, że się napróżno uwodzi nadzieją, jakoby proponowanymi środkami lud nasz katolicki do schizmy doprowadzić zdołała, powiada, iż sam ma syna, który słucha teologii i dla dochowania wierności powołaniu swemu będzie może musiał do Ameryki wyjechać. Lecz i ten los przenosi nad przeniewierzenie się Kościołowi. „Wyrzekłbym się, powiada w końcu, mego syna, gdyby miał zostać rządowym duchownym i wypowiedział posłuszeństwo prawowitemu biskupowi.“

Dnia 9 maja dostało się jeszcze dwóch Polaków do głosu, poseł Wierzbński i ks. Dr Respądek. Przemówienie pierwszego nie ze wszystkiem zadowolniło niektóre opinie w Księstwie. Niezadowolenie to nie jest niczem usprawiedliwione. Niesłusznem bowiem jest wymaganie, aby wszyscy mówcy z tego samego stanowiska przemawiali i w jeden tylko punkt godzili, kiedy jest wiele innych złych i niegodziwych, które także zwalczać należy. Mojem zdaniem poseł Wierzbński przemówił tym razem krótko, ale bardzo dobrze. Stanowisko polskie i katolickie trafnie i wydatnie zmanifestował. Że mówił głównie ze stanowiska wolności, cóż to ma rzeczy uwłaczać, o którą chodziło? W Izbie panów przemawiał pan Greinert w przeszłym roku także z tego samego stanowiska, a jakie wrażenie sprawiła jego mowa? Owszem poczytujemy mu za zasługę, że ze stanowiska prawdziwej przemawiając wolności, korzystał z tej zręczności, aby się wyprzeć wszelkiej wspólności z pseudoliberalizmem niemieckim. Odpierając np. owoce takiej fałszywej wolności i postępu, powiada bardzo słusznie: „Nie, panowie, te prawa nie są postępem, nie są też, jak mówicie rozszerzeniem wolności, ale jej ścieśnieniem i negacją. Bo gdzie Kościół nie jest wolny, gdzie sumienie nie jest wolne,

tam o żadnej wolności nie może być mowy, bo sumienia nie mogą być wolne wobec praw, które wychowanie młodzieży, naukę religii naciągają do chwilowego kierunku każdorazowej polityki rządowej. Rząd utrzymuje, że go Kościół chce zrobić słuźalcem hierarchii, od obcych wpływów zależnej — zamiarem zaś jest rządu, a to widoczna, zniżyć Kościół do roli słuźebnicy, a siebie zrobić wszechwładnym.“ W mowie tej przebijają się ta prawdziwa myśl, że wolności nie można poniewierać na jednym punkcie bez uszkodzenia jej w ogólności.

Ostatni z Polaków przemówił w tej materii ks. Dr Respądek. Obrady zbliżały się już do końca, rzecz była ze strony katolików, o ile tylko podobno, wyczerpana. Z tego powodu ks. Respądek streścił w krótkiej, częstemi oklaskami ze strony centrum przerywanej mowie, główne przeciw tym prawom argumenta i kilku trafniemi zwrotami uwydatnił stanowisko katolickie Polaków i narodowe. Przytaczamy koniec tego przemówienia, który dostatecznie charakteryzuje całość: „Panowie! Straciliśmy wiele, co człowiekowi drogiego jest na ziemi, pozostały nam przecież trzy jeszcze drogie dobra: miłość prawdy, nieposzlakowany narodowy charakter i wierność dla naszych ołtarzy. Dóbr tych, panowie, nie oddamy za nic mimo groźb z góry i pokus z dołu. (Brawo!) Chylimy czoła przed Bogiem i Jego wolą, chylimy chętnie czoła przed powagą praw sprawiedliwych, ale nigdy nie upadniemy na kolana przed władzą państwa, targającą się nawet na nasze sumienia! Że zaś stanowczo trzymamy się naszych zasad, dowodzi pomiędzy innemi cela pod Nrem 25 w Ostrowie i 50 duchownych częścią uwięzionych, częścią wyfantowanych, a za którymi pójdą jeszcze i sta, jeżeli tego będzie potrzeba. (Brawo! z prawicy)... Kończę następującemi słowy: Naród, który nie zdradza swej wiary, może być prześladowanym, ale nie może być zbezczeszczonym (Bardzo dobrze! z centrum). Biskup z ewangelią w ręku może być wtrąconym do więzienia, może być zapożyczanym, ale nigdy zwyciężonym!“ (Żywe oklaski)

Ani rządowi, ani Izbie nie chodziło, jak to już wiemy, ani o prawdę, ani o sprawiedliwość, a tem mniej o wolność, ale o przeparcie gwałtem swego. Ze zwykłą przeto większością prawa te w trzeciem czytaniu przyjęte zostały.

Dnia 13 maja już się nad temi prawami rozpoczęły

obradę w Izbie panów bez poprzedniego roztrząśnienia ich w komisji, a dnia 16 maja już się zakończyły przyjęciem obu praw. Od czasu wzmocnienia liberalnego elementu Izby panów przez nominacje królewskie, stała ona się tylko echem Izby poselskiej. Wyczerpujących argumentów tak z jednej jak z drugiej strony, któremi wojowano w Izbie poselskiej, nie powtarzam więcej, bo stanowisko rządu i większości Izby do opozycji jest to samo. W obronie Kościoła występowali nie tylko katolicy, jak hr. Brühl, Senfft v. Pilsach, hr. Landsberg-Vehlen, hr. Hompesch-Rurich, ale i protestanci niektórzy, jak hr. Lippe i Manteuffel.

Z polskich członków Izby panów przemawiali przeciw tym prawom hr. Zygmunt Skórzewski dnia 13 maja i hr. Józef Mielżyński dnia 15 maja. Przemówienia ich były niekiedy silne i dosadnie. Hr. Skórzewski np. powiada pomiędzy innymi: „Podczas, kiedy p. minister wykonywa za pośrednictwem prawa, które rozbieramy, napaść na ogólne dobro rodu ludzkiego, obudza w nas pewien rodzaj politowania, bo istotnie bardzo głęboko upadł. Zadaniem jego obecnie, wymuszać wiarołomstwo i przełamywać zaprzysiężone przyrzeczenia opozycyjnego duchowieństwa. Środkami, jakich do tego celu używa, są przekupstwo i groźba. I znajdzie garstkę odszczepieńców; ale niepodobna mu będzie przyjąć ich z innem uczuciem, jak uczucie, którego się doznaje na widok żołnierza, który zbiegł z pod swojej chorągwi podczas bitwy.“

Hr. Józef Mielżyński zakończył swoje przemówienie temi słowami: „Z dumą jako Polak zwracam uwagę na słowa naszego wielkiego króla Stefana Batorego: „„Bóg zastrzegł sobie trzy rzeczy: stworzyć coś z niczego, przyszłość przewidywać i sumieniami władać.““ Przejmijcie się temi słowami i nie nakładajcie kajdan na sumienia.“

Dnia 16 maja wyszły te prawa z pod obrad sejmowych, a już 20 maja zostało sankcyonowane w Wiesbaden prawo o zarządzie wakujących biskupstw katolickich, a drugie, zawierające deklaracyą i uzupełnienie prawa majowego o wychowaniu duchownych i obsadzaniu posad dnia 21 maja. Wszystkie zatem trzy prawa tegoroczne noszą także fatalną datę miesiąca maja, tak, iż je można wraz z przeszłorocznemi nazwać „prawami majowymi.“

Skutki praw roku 1874.

Jak prawa same roku 1874 nie tworzą odrębnej całości ale są tylko konsekwencyą praw zeszłorocznych, tak i skutki ich nie są w każdym przypadku odrębne, ale krzyżują się ze skutkami praw poprzednich. Różnica jest jednakże wielka ta, że rząd został w obfitszą i ostrzejszą broń opatrzony i zamiast jednego trzy od razu wymierzać może ciosy na każdego przestępcę „majestatu“ prawa. Pouczony doświadczeniem, uniknął rząd w ostatnich prawach śmieszności, na jaką go ustanowienie w zeszłorocznych prawach tak wygórowanych i szalonych kar pieniężnych naraziło. Nie był bowiem w stanie ani ustanowionych wyrokami sum pieniężnych wyekwować, ani ich karą więzienia zastąpić. Sumy bowiem w krótkim czasie urosły nieomal w krocie, a prawo karne dłużej nad dwa lata nikogo więzić nie pozwalało. Z tego powodu stanowią prawa roku 1874 tylko karę więzienia, ale strasznie wygórowaną, bo najniższa jest sześć miesięcy. Każdy przeto akt duchowny, należący do charakteru biskupiego, zagrożony jest karą sześciomiesięcznego więzienia, a prócz tego internowania lub externowania i nadto banicyi. Po ludzku sądząc, zdawaćby się musiało, że tak misternie uorganizowanym gwałtem zdoła rząd tak lekkomyślnie wywołany opór złamać i skruszyć. Tymczasem i te nowo założone miny fundamentu, na którym ten opór spoczywa, wzruszyć nawet nie zdołały. Co więcej, uszedł jednej śmieszności, a popadł w dziesięć innych, jak to zobaczymy przy wyborach i narzucaniu parafiom na plebanów zaprzędanych mu kapłanów.

Nadmieniamy tu jeszcze, że § 19 tego prawa, który jego przepisy dozwala zastosować na przyszłość, jest, jak się z tem rząd wcale nie tał, wymierzony przeciw arcybiskupowi Ledóchowskiemu. Rząd bowiem już mu był proces o złożenie go z urzędu wytoczył, a wyrok mógł lada dzień zapaść, a zatem pierw, nim wszystkie powagi prawodawcze na jedno się zgodały, co w rzeczy samej nastąpiło. Trzeba więc było zapobiec temu, aby arcybiskup ani jego dyecezye grozy tego prawa nie

uszły. Jakąż prawa fabrykowane dla chwilowych okoliczności mogą mieć wartość wewnętrzną!

Że się tu więcej zajmujemy przedmiotem tych praw okrutnych, niż szczegółowem ich przeprowadzeniem, pojmie czytelnik łatwo. Kto bowiem powyżmie wyobrażenie dokładne o doniosłości i okrucieństwie prawa, nie będzie mu trudno zrozumieć, jakie spustoszenie musiało w Kościele zrządzić jego zastosowanie, a zwłaszcza, gdy rozważy, że wykonawcy tego prawa również zaciętymi są nieprzyjaciołmi religii katolickiej, jak sami prawodawcy. To jest okoliczność ważna, której w tym dramacie nigdy nie można spuścić z oka. Pojedyncze zaś przypadki zastosowania tych przepisów uwydatniają wprawdzie ich znaczenie i okrucieństwo, ale nie dają wyobrażenia zupełnego o całości, ani nie wykazują dostatecznie zamiaru rządu zupełnego wytępienia Kościoła katolickiego. Nadto każda taka pojedyncza sprawa jeszcze jest w biegu, jeszcze się rozwija i do zupełnego nie doszła końca, nie może także w zupełności być przedstawiona. Na jedną bowiem osobę spadnie kara tym lub owym paragrafem zagrożona, a później dziesięć innych tak, iż prześladowanie wcale się nie kończy. X. biskup np. Janiszewski skarany raz za przekroczenie prawa z d. 14 maja 1873 r., potem za przekroczenie prawa z dnia 11 maja tegoż roku, później za przekroczenie prawa z dnia 21 maja 1874 roku, i nareszcie w czasie, kiedy odsiadyuje więzienie, wytaczają mu proces o odprawianie mszy św. w Berlinie i robią wniosek o złożenie go z urzędów. A prócz tego zachodzi wśród przebiegu każdej sprawy wiele drażliwych okoliczności, o których wcale mówić nie można bez narażenia rzeczy i osób na dotkliwsze jeszcze ciosy. Z tych powodów ograniczymy się na przedstawieniu ważniejszych tylko wypadków lub takich, które wydatnie charakteryzują te prawa i jego tendencye, a resztę pozostawiamy czasowi.

Jednym z najdotkliwszych ciosów dla kapituły i diecezji gnieźnieńskiej było uwięzienie, a później śmierć szanownego i wielce zasłużonego X. kanonika Wojciechowskiego. Kapłan ten zacny był przez wiele lat nauczycielem religii i regensem alumnatu przy gimnazjum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, później regensem seminaryum duchownego poznańskiego i nareszcie kanonikiem katedralnym gnieźnieńskim, w któ-

rzym to charakterze zastępował sparaliżowanego oficyała Dorzewskego. Z rozporządzenia przeto arcybiskupa przeznaczył, jak to zwykle się działo, kilku kapłanów bez odniesienia się do naczelnego prezesa, na pewne posady. Za to wytoczono mu kilka procesów, wyfantowano go, sprzedano rzeczy a za resztę kary pieniężnej, której nie zdołano wyeksekwować, wywieziono go na rok do Bydgoszczy do więzienia. Nadmieniamy, że sąd powiatowy gnieźnieński X. kanonika Wojciechowskiego, który się dobrowolnie nie stawił, przez exekutora gwałtem na termin sprowadzić kazał. Dochody jego wszystkie obłożono aresztem i pokrywano nimi niedobór kar pieniężnych tak, iż więzienie zredukowało się na siedm miesięcy. Osoby przestające z nim bliżej, uważały, że więzienie, w którym mu na ruchu całkiem zbywało, szkodliwy na jego zdrowie wpływ wywarło. Jakoż w końcu listopada 1874 roku powrócił z więzienia, a 8 czerwca 1875 po krótkiej chorobie przeniósł się do wieczności. Lekarz, który go miał w swej opiece, utrzymywał, że śmierć ta była niezawodnie skutkiem więzienia. Droga to bardzo ofiara obecnego prześladowania dla obydwoh dyecezyj.

Kapituła i dyecezya poznańska nie długo także czekała na kłęski. X. Janiszewski, sufragan i oficyał poznański, wydał z polecenia arcybiskupa wówczas chorego admonicę do X. Schroettera, który był ów osławiony adres „cesarskich katolików“ także podpisał, aby podpis swój pod zagrożeniem mu cenzur kościelnych cofnął. Była to admonicę druga; pierwszą podpisał arcybiskup sam. Kapłan ten odesłał to pismo podobnie jak pierwsze do naczelnego prezesa, a ten do prokuratora. Na mocy prawa z dnia 14 maja 1873 r. wytoczono arcybiskupowi proces i skazano go na 200 tal. kary lub dwa miesiące więzienia. Za tę drugą admonicę wytoczono X. biskupowi Janiszewskiemu proces i zrobiono mu w skardze zarzut fałszu, jakoby z powodu choroby arcybiskupa nie był miał upoważnienia do wydania tej admonicę. Z ostatniego szczególnie powodu stawiał się biskup Janiszewski na termin osobiście i bronił się sam. Po skończonej rozprawie wniósł prokurator sam o uwolnienie go od kary i kosztów, co sąd także po krótkiej naradzie wyrzekł. Mimo to w tydzień po terminie, który się odbył dnia 3 stycznia 1874 roku, założył,

niewątpliwie z wyższego rozkazu, prokurator apelacją przeciw temu wyrokowi, który na jego własny wniosek został wydany. W drugiej instancji wniósł nadprokurator w terminie dnia 9 marca 1874 r., na który się biskup Janiszewski nie stawił, o 100 tal. kary lub miesiąc więzienia. Tymczasem sąd apelacyjny wyrzekł 300 tal. kary lub 3 miesiące więzienia „za pomoc daną arcybiskupowi w zagrożeniu kary dyscyplinarnej kościelnej.“ Przypadek ten z tego powodu przytaczamy w szczególności, że bardzo wydatnie charakteryzuje sądownictwo pruskie w czasie prześladowania. Arcybiskup, sprawca tego niby „kary godnego uczynku,“ ukarany został 200 tal. lub dwoma miesiącami więzienia, a ten, który mu pomagał do jego spełnienia, 300 tal. lub trzema miesiącami więzienia. Nie dość jeszcze. W lutym roku bieżącego, kiedy te wyroki przez egzekucje i więzienia od dawna wykonane zostały, orzeka nareszcie najwyższy trybunał berliński, że były nieprawne — nie mówię tu wcale niesprawiedliwe, bo o tem nie ma mowy. Dlaczego? Albowiem paragrafy 1, 3 i 5 prawa z dnia 14 maja 1873 r., na mocy których skazanie nastąpiło, nie zabraniają wymierzać cenzur kościelnych, ale je tylko publikować czyli do publicznej wiadomości podawać zakazują, czego w tym przypadku skazani nie uczynili, bo admonicja nie kwalifikuje się wcale do tego rodzaju publikacji. Nabyły one rozgłosu po dziennikach, ale z winy tego, który admonicje odebrał. Do jakiego stopnia dochodzi dowolność władz pruskich w wykonywaniu tych praw i tak już okrutnych, niech jeszcze i ta okoliczność posłuży za dowód, że naczelny prezes w wezwaniu biskupa Janiszewskiego do złożenia swoich urzędów duchownych, któreśmy w pismach publicznych niedawno czytali, jeszcze się na ten nieuzasadniony wyrok odwołuje, jako na powód do złożenia go z urzędów. Wykonanie zatem tych praw posuwa się wogóle z powodów, któreśmy na początku wyświecili, o kilka kroków w okrucieństwie dalej, aniżeli same prawa.

Nie zliczyłbym przykładów, gdybym miał wszystkie przytaczać, w jak dowolny i niczem nieusprawiedliwiony sposób wyrzekały sądy wysokość kar. Te same przekroczenia, które jeden sąd karał 100 lub 200 tal. kary, były w innych sądach karane 5, 10, 20 talarami lub odpowiedniem więzieniem. Różnice te niczem nieusprawiedliwione, wstrząsnęły w ludności

katolickiej do gruntu zaufanie do wymiaru sprawiedliwości w sądach.

Dowolność tę jeszcze w bardziej rażący sposób udowodniły władze administracyjne. W sprawie obsadzenia probostwa w Wieleniu, o czem już wyżej była mowa, ukarał naczelný prezes arcybiskupa raz 500 tal., a drugi raz 1000 tal. Po wywiezieniu arcybiskupa do Ostrowa żąda naczelný prezes od jego oficyała, biskupa Janiszewskiego, na nowo pod zagrożeniem także 500 tal. kary, aby probostwo wieleńskie w ciągu dni 14 obsadził. A gdy temu zadość nie uczynił, ściągnął z niego pod dniem 1 lipca zagrożoną karę przez przyaresztowanie wszystkich jego dochodów. Bez względu na różnicę, jaka zachodzi pomiędzy arcybiskupem a oficyałem tak co do jego władzy, jak i dochodów bez względu na powtórne żądanie, aby oficyał dekret swojego przełożonego obalał, wymierza przeciw niemu tę samą karę, co przeciw pierwszemu. Prócz naczelnego prezesa Wielkiego Księstwa Poznańskiego żaden inny za pierwszym wezwaniem tak wysokiej kary w tych samych przypadkach nie wymierzył. W wrocławskiej i kolońskiej dýecezyi zaczynano od 50 tal., w paderbornskiej od 100, a później 200 tal., teraz w limburskiej od 200 marek. Te fakta dowodzą z jednej strony niesłychanej dowolności wogóle, a z drugiej zapamiętałej zaciętości, z jaką się rząd wziął do prześladowania Kościoła katolickiego w W. Ks. Poznańskim.

Dnia 19 maja został biskup Janiszewski, jak X. kanonik Wojciechowski, za pomaganie arcybiskupowi w nieprawem obsadzeniu posad duchownych, w terminie, na który się nie stawiał, na 2,200 tal. kary lub rok i 3 miesiące więzienia skazany.

Tak stały rzeczy, arcybiskup w więzieniu, jeden z jego oficyałów także, drugi na progu, około 50 duchownych w więzieniu, gdy 9 czerwca zapublikowano wyrok trybunału oddawna już gotowy, składający arcybiskupa ze stolicy równocześnie kapitułom i konsystorzom gnieźnieńskim i poznańskim. Równocześnie z publikacją przybył komisarz naczelnego prezesa, baron Massenbach do konsystorza, w którym się właśnie biskup Janiszewski znajdował, z policją i przyaresztował kasę i całą registraturę. Biskup Janiszewski zaprotestował przeciw gwałtowi ustnie, a po odebraniu piśmiennego zawiadomienia także i na piśmie. W taki sposób zostało po pierwszy raz świeżo

co dopiero ukute prawo na dyecezyach gnieźnieńskiej i poznańskiej zastosowane, i gwałtem tym regularny bieg administracyi duchownej na długi czas przecięto. Wszystkie odtąd akta w imieniu arcybiskupa wykonywane, obłożone zostały surowemi karami, o których wyżej była mowa.

Kapituły obydwie nie ociagały się z daniem odpowiedzi naczelnemu prezesowi na jego wezwanie, aby przystąpiły do wyboru administratora dyecezyi. Wywodów już nie było potrzeba, dlatego odpowiedź była krótka i stanowcza, którą jako dokument przytaczam:

„Jaśnie Wielmożny Pan wezwałś szanownem pismem z d. 9 b. m. Nr. 41/74 podpisaną kapitułę metropolitalną, aby niezwłocznie do wyboru wikaryusza kapitulnego przystąpiła z powodu, że Najprzewielebniejszy Arcybiskup hr. Ledóchowski wyrokiem królewskiego trybunału, dla spraw kościelnych ustanowionego z d. 16 kwietnia r. b., publikowanym zaś dnia 7 maja r. b., został z piastowanego przez siebie dostojęstwa złożony, a następnie stolica arcybiskupia gnieźnieńska i poznańska zawakowała. Tymczasem prawo kościelne katolickie oznacza dokładnie i stanowczo te przypadki, w których opróżnienie stolicy biskupiej ma miejsce i kapituła jedynie nietylko jest uprawnioną, ale nadto zobowiązaną objąć administracyą dyecezyi, resp. wybrać wikaryusza na zawiadowcę biskupstwa. W danym przecież razie stolica arcybiskupia opróżnioną nie została, jak się z wywodów naszego tu w odpisie załączonego podania do obu Izb sejmowych dostatecznie wykazuje. Widzimy się przeto zmuszeni w odpowiedzi na szanowne pismo Jaśnie Wielmożnego Pana oświadczyć, że do wyboru, do którego nas Jaśnie Wielmożny Pan wzywasz, bez obrażenia sumień naszych i złamania przysięgi, przystąpić nie możemy i nie przystąpimy.“

Odpowiedź tę równobrzmiącą z dnia 13 czerwca podpisałi wszyscy członkowie obydwóch kapituł z wyjątkiem jednego X. Dulińskiego.

Że się rząd takiej od kapituł odpowiedzi naprzód spodziewał, jest rzeczą niewątpliwą, bo już przed jej odebraniem miał komisarza do zagrabienia majątku arcybiskupstwa w pogotowiu, jednym słowem był na tę ewentualność przygotowany. Ale co mu bardzo nie miłą było niespodzianką, to jest wystąpienie

duchowieństwa. Zaraz bowiem nazajutrz po ukazaniu się odpowiedzi kapitulnej w pismach publicznych odezwało się duchowieństwo miasta Poznania i dekanatu śremskiego w adresie do kapituły poznańskiej, że podziela z całego serca postępowanie kapituły i „nikogo innego za swego arcypasterza uznać nie może i nie uzna, jak najprzewielebniejszego arcybiskupa hr. Ledóchowskiego.“ Za przykładem tych dwóch dokumentów poszło duchowieństwo obydwóch archidiecezyj z małemi nader wyjątkami. Wkrótce się pokazało, że wyjątki te małe były już wówczas, po największej części zginięmi członkami Kościoła. Bo jakkolwiek nie wszyscy się przeniewierzyli Kościołowi, którzy tego adresu nie podpisali, to jednak w ich tylko liczbie przeniewiercy się znaleźli i znajdują. Niektórzy z nich nie rozumieli doniosłości takiego oświadczenia wobec przewidywanego wprawdzie, ale w każdym razie niezwykłego, ba nawet potwornego faktu i w mizernem zapatrywaniu się na to, co się dzieje, sądzili, że tu o czczą owacyą dla kapituł chodzi. Złe zaś elementa korzystały skwapliwie z tego braku rozpoznania drugich i sprawiły, że i ucziwi kapłani niektórzy znaleźli się w gronie Judaszów, do których w rzeczy samej nie należeli i nie należą.

Tymczasem rzadko co w tym całym przebiegu przesładowania tak dobre i skuteczne zrobiło wrażenie, jak to prawie jednomyślne oświadczenie się duchowieństwa. Fakt ten tem więcej uderzył władze rządowe, ponieważ dwa czy trzy dni przedtem półurzędowe dzienniki, jak Gazeta Kolońska, a za nią Posenerka, umieściły bezecne artykuły o duchowieństwie katolickiem W. Ks. Poznańskiego, przedstawiając ich jako gnuśników, wygodnisiów, których żadna wyższa myśl nie zdolna poruszyć i od życia pogrążonego w zmysłowości oderwać. Ztąd konkludowano, że na zapublikowanie wyroku przeciw arcybiskupowi wszystko z bojaźni utraty swoich beneficjów upadnie na kolana. Duchowieństwo przeto nie mogło w poważniejszy i dobitniejszy sposób zadać kłamstwa tym oszczerstwom, a zwo-dniczych oczekowań rządowych zawieść, jak tem stanowczem i prawie jednomyślnem oświadczeniem, że nawet i w tej groźnej chwili pozostanie Kościołowi wiernem. Odrazu mógł rząd powziąć przekonanie, że nie z samemi kapitułami i biskupami będzie miał do czynienia. Nieocenioną zaś wartość miało

to oświadczenie dla obrońców sprawy Kościoła w sejmie. Poparło to najsilniej wymowne głosy członków frakcyi centra i posłów polskich. Co mówili i zapowiadali, nim jeszcze projekt stał się prawem, spełniło się przy pierwszej próbie nadspodziewanie wcześniej i świetnie. Nadto dało duchowieństwo W. Ks. Poznańskiego piękny przykład tym dyecezyom, które w krótkim czasie podobny los miał spotkać i spotkał. Nie mówię tego w tej myśli, aby w duchowieństwie W. Ks. Poznańskiego podsycać pychę lub duchowieństwu innych dyecezyj ubliżać — byłoby to wogóle, a mianowicie w tej chwili niewłaściwem a nawet grzesznem — bo duchowieństwo innych dyecezyj także swej powinności dopełniło, gdy chwila próby nadeszła, ale jedynie, aby dać świadectwo prawdzie i wykazać, jaką wagę, jakie znaczenie miały te adresy duchowieństwa.

Podczas, kiedy walka tak zacięcie się właśnie toczyła wskutek pierwszego zastosowania praw co dopiero ukutych, obradował sejm prowincjonalny w Poznaniu. Członkowie polscy sejmu patrząc na to, co się dzieje na tumie, nie chcieli być niemymi świadkami spełnionych co dopiero gwałtów na władzy arcybiskupiej i na osobie biskupa Janiszewskiego, który ją właśnie w tej chwili reprezentował. Pod przewodnictwem pana Franciszka Żółtowskiego wybrali się wszyscy członkowie polscy sejmu w deputacyi do biskupa Janiszewskiego i wyrazili mu przez usta naczelnika deputacyi wierność dla Kościoła, a w szczególności dla Stolicy Apostolskiej i żywy udział w losie, który go spotyka. Dnia bowiem 11 czerwca wyfantowano X. biskupa Janiszewskiego tak, iż deputacyą tę w pustych zupełnie przyjmował pokojach. Biskup odpowiadając deputacyi na przemówienie, podziękował za ten pocieszający dowód wierności, zagrzał do wytrwałości i prosił członków deputacyi, aby w tem zamieszaniu pojęć, jakie nowoczesne prawodawstwo sprowadziło, przyjęli na siebie także część apostołstwa, oświecali lud i przewodniczyli mu dobrym przykładem.

Ten wydatny objaw ze strony poważnego grona świeckich łączności z Kościołem, był rządowi tak samo niemiły jak adresy duchowieństwa, a może jeszcze nieznośniejszy. Dowiodła tego żółć, z jaką prasa urzędowa i półurzędowa o nim się wyrażała. Niepojętą jest rzeczą, że Dziennik Poznański miał tę odwagę pierwszy w trąbkę nieprzyjaciół naszych zatrąbić. Rząd

nie mógł się wprawdzie pomścić za tę demonstracją na członkach tej deputacyi, ale za to wywierał i wywiera do dziś dnia nieubłaganą zemstę na biskupie Janiszewskim.

Fakt ten zapisujemy tem chętniej, że wobec zaciętości prześladowania zachowanie się obywateli W. Ks. Poznańskiego było i jest chłodniejsze, niż w innych dyecezyach. Są wprawdzie w tej mierze chlubne i liczne wyjątki, ale przecież zawsze tylko wyjątki, gdy tymczasem w innych prowincjach katolickich, a mianowicie w Westfalii i nad Renem, a nawet i w Prusach Zachodnich bez porównania żywszy biorą w tych wypadkach udział. Tam obok duchowieństwa obywatele stoją na czele ruchu, w W. Ks. Poznańskim po największej części tylko lud. Nie wchodząc wcale w najbliższe powody i przyczyny tego zjawiska, mam pewne przekonanie, że takie nieledwie obojętne zachowanie się obywatelstwa jest z ich nawet stanowiska takim błędem politycznym, który trudno będzie naprawić. Ani stowarzyszenia „oświaty ani gospodarcze“ tak skutecznie nie zdobędą przekonañ i serc ludu naszego, jak dowód oczywisty i jawny, że jedną z nim żyjemy wiarą, i o ratowanie i przechowanie tego najwyższego dobra zarówno z nim dbamy.

Nareszcie po odbytej nader szczelnej rewizyi u X. biskupa Janiszewskiego i prałata Grandkiego, nastąpiło zaareztowanie i wywiezienie X. biskupa Janiszewskiego dnia 27 lipca do Koźmina celem odsiedzenia ośmnastomiesięcznego więzienia. Zabranie jednakże wszystkich jego dochodów na opłacenie kar pieniężnych skróciło więzienie na 7 miesięcy.

(Dokoniczenie nastąpi).

Przegląd Literacki.

Cechy charakterystyczne filozofii i jej znaczenie w porównaniu z innymi naukami. Mowa miana na akcie uroczystym uniwersytetu warszawskiego. Przez Dr. Hen. Struve, prof. Przetłóżył z rosyjskiego Stan. Tomaszewski. Warszawa 1875. Glücksberg. str. 81. 8vo.

1. „Filozofia, jak wiadomo, nie należy do nauk, cieszących się w naszych czasach szczególnem współczuciem.“ Tak ubolewa autor (str. 9) dziełka mającego pewną wartość dla mnóstwa kwestyj w niem podjętych. Żal ten wydaje mi się niesłusznym, bo co innego są filozofowie a co innego filozofia. Nie przeczę, że filozofowie w Niemczech tracą z każdym rokiem czytelników w narodzie a powagi w szkołach, ale nie dowodzi to wcale, że filozofii także ubywa znaczenia, wpływu lub atrakcyi. Od lat trzydziestu, t. j. mniej więcej od wstąpienia na tron Piusa IX i współczesnej mu ery rewolucyjnej mamy przed sobą zdumiewające widowisko. Na pozór wszystkie narody po obu brzegach Atlantyku tak zajęte uprawianiem materialnego dobrobytu, że bezustannie słyszeć się dają skargi na utylitaryzm, na utopienie wszystkich wyższych władz duchowych w nieumiarkowanej chęci zarobku. Ale to pozór tylko. Bo gdy zapytamy, co od lat trzydziestu porusza do gruntu wszystkie rządy i ludy? niewątpliwą usłyszymy odpowiedź, że kwestie duchowe.

2. Panują one wszechwładnie w dziennikach i przeglądach, w teatrach i koncertach, w szkole i kościele, w kongresach i parlamentach. Wszędzie ich pełno, wszędzie poruszają namiętności, w zatrważających rozmiarach. Mieliśmy zrazu wielki dogmat Niepokalanego Poczęcia, potem kwestyą naro-

dowości, potem spór o władzę świecką papieża, potem nieomyślność a przed nią sylabus, obejmujący niemal całą filozofią ludzką. Od lat sześciu nareszcie patrzymy na walkę Kościoła z cezaryzmem. Ileż wrzawy, szamotania się, nienawiści z jednej strony — a spokoju, stałości, poświęcenia z drugiej. Czyż nie dowodzą one zarówno żywości sentymentu jak energii woli. Otóż wielką z nich część oddawszy teologii, która pono zostanie zawsze najpotężniejszą ludzkich interesów sprężyną, nie podobna filozofii odmówić bardzo szerokiego udziału. Nie można traktować teologii nie poruszywszy mnóstwa kwestyj filozoficznych. Jeżeli dzisiaj każdy czytający człowiek po swojemu teologią się zajmuje, musi koniecznie także o filozofią zawadzić. Twierdzenie przeto, że filozofia dzisiaj nie cieszy się szczególnem współczuciem, tak gołosłownie wypowiedziane, jest niewątpliwie błędem.

3. Ale nie tylko dorywczym sposobem, w artykułach dziennikarskich lub publicznych odczytach, w mowach parlamentarnych lub kazaniach przejawia się gorący dla filozofii interes, lecz nawet w samodzielnych, obszernych kreacyach odzywa się ona do publiczności, a liczbą swoich czytelników dowodzi, że nie odzywa się na puszcy. Im więcej fachowi filozofowie tracą na znaczeniu, im mniej budzą zajęcia w nielicznych słuchaczach, tem szerzej rozlewają się pozytywizm, materjalizm, sensualizm. Nie przypuszczane do katedr, przynajmniej w Niemczech i Anglii, wynagradzają sobie tę stratę mnóstwem wydań, o jakich nawet marzyć nie śmieją filozofowie niby fachowi. A liczne sekty socjalistyczne, a loże masonskie, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, czyż nie mają swojej filozofii, swego poglądu na całokształt świata? Równocześnie w Kościele katolickim wielki panuje ruch filozofii. W krajach romańskich, nie zarażonych błędnym systemem józefińskiego wychowania, przestrzegają biskupi, uchwał kościelnych, aby nie przypuszczano do teologii młodzieży, jeżeli wprzód nie wyćwiczyła się gruntownie w chrześcijańskiej filozofii. Ztąd we Francyi, Włoszech, Hiszpanii, Portugalii, Brazylii odrodziła się wszechstronnie filozofia scholastyczna i nie masz tam kapłana, któryby nie znał jej choć w głównych zarysach. A zamięłowanie to ogarnęło także ludzi świeckich: po katolickich uniwersytetach Francyi, Belgii, Anglii, już to średniowieczna już to nowożytna filozofia chrześcijańska uprawiane są z wielkiem powodzeniem. Świadczy o tem prawie bajeczna liczba publikacyj nowych czy przedruków dawnych; zarówno objętością swoją, jak liczbą rozchodzących się egzemplarzy zbijają twierdzenie autora, że *nie-gdy nie była filozofia dotknięta większą liczbą zarzutów, większą pogardą i lekceważeniem, jak właśnie w naszym czasie.* (str. 10).

4. Mimo to prawdą jest, że ogromna liczba specjalistów ma nieprzewyciężony wstręt do filozofii. Mówią, że nie jest nauką, bo nie ma ani szczegółowego, jasno określonego przedmiotu, ani naukowej metody. Od dwóch tych zarzutów, które, jeśli są prawdziwe, uniepodobniają wszelką filozofią, postanowił autor ją obronić. Chciał co więcej okazać, że tylko filozofia ma prawdziwie umiejętną metodę, a nauki specjalne albo jej nie mają albo używają jej instynktowo, nieświadomie. Astronom n. p. posługuje się indukcją i dedukcją, syntezą i analizą, wszelkiego rodzaju wnioskami i pojęciami, przypuszczając z góry, że są to dobre, stałe, nieomyłne prawa myślenia. Ale taka ślepa wiara w prawdziwość i skuteczność ludzkiego rozumu nie zgadza się z wymaganiami krytycznej metody, która nic nie przypuszcza a wszystko rozbiera. „Krytyka nie może istnieć bez zbadania praw myślenia i metod poznania“ (str. 28). Zkąd wynika, że tylko filozofia ma prawdziwie naukową metodę, i położenie samodzielne w duchowej pracy swojej. Samodzielne myślenie jest pierwszą, istotną cechą filozofa. (str. 14). Widocznie autor zbyt obszerne znaczenie nadał samodzielności myślenia. Jeżeli ona koniecznie i jedynie mieści się w naukowem zbadaniu praw myślenia, jasna, że tylko logik lub dyalektyk będą samodzielnymi, na co mało kto się zgodzi. Jak samodzielnym w mówieniu i pisaniu jest ten, kto przestrzega prawideł gramatycznych, choć nigdy nie zgłębiał ich naukowo, tak astronom będzie najzupełniej samodzielnym, rozumując według prawideł logicznych, choć nie zbadał ich istoty lub znaczenia. A nawet logik pisząc o indukcji lub syntezie, używa obu tych praw myślenia w tej samej dobrej wierze, co astronom. Ta tylko między nimi zachodzi różnica, że pierwszy śledzi ruchu myśli, drugi ruchu ciał niebieskich. Samodzielność ich ta sama, bo wychodzą z tego samego przypuszczenia, iż rozum jest skutecznem narzędziem do zdobycia prawdy.

5. Pominąwszy metodę, zarzuca autor naukom specjalnym, że zaczynają od wiary dogmatycznej, od pewnych przypuszczeń, z których nie umieją sobie zdać sprawy. Dla badacza n. p. przyrody świat jest całością harmonijną, o niezmiennych prawach, kombinacją sił i materji, których to pojęć zasadniczych swej nauki ciągle używa, choć ich tłómaczyć nie umie. Matematyk polega na pojęciach przestrzeni, ruchu, czasu, liczby a nie pyta wcale, czy tym pojęciom umysłowym odpowiada jakaś rzeczywistość przedmiotowa. Spodziewałem się, że autor poczyta filozofii za główną zasługę, iż nie robi żadnych przypuszczeń; ale bardzo ostrożnie wyraża się w tej sprawie. Odpowiedziawszy, że idealizm żadnych nie robił przypuszczeń, a empiryzm opierał się na wynikach nauk specjalnych, łączy dwa te kierunki w jednym wspólnym wniosku: *że nie trzeba robić dogmatycznych przypuszczeń lub przynaj-*

mniej ograniczyć ich liczbę wedle możności. (str. 33). Nie dostrzegł, że taka chęć pogodzenia dwóch przeciwnych sobie kierunków podsunęła mu pomysł prawdziwie potworny. Albo filozofia nie robi przypuszczeń żadnych, nie przyjmuje nic pierwszego, prócz nagiego myślenia, jest *voraussetzungslos*, jak autor ją nazywa (str. 32) a wtedy różni się istotnie i głęboko od nauk specjalnych, nie mogących korzystać z tak osobliwego przywileju, albo też, naksztakt innych nauk coś przyjmuje, a wtedy chyba w sumie przypuszczeń, nie zaś w metodzie od nich się różni. Był autor powinien dodać, że pierwsza część alternatywy jest zgoła niepodobną, bo zarówno istota myślenia jak dzieje filozofii przeciw niej świadczą: istota myślenia, bo nie można nicości obrać za pierwszą treść myślenia; dzieje, bo idealisci rozpoczynali zawsze od jakiegoś twierdzenia, które bez dowodów narzucali swym uczniom. Jeżeli przeto specjalista, dajmy na to chemik lub anatom, przypuszcza, że sam jest istotą myślącą a świat zewnątrz niego istnieje rzeczywiście, to trudno zrozumieć, dla czego on mniej ma być samodzielnym w myśleniu od *Spinozy*, zaczynającego od jakiejś substancji, której nikt nie widział; lub od *Hegla* wychodzącego z nieokreślonego bytu, który najprawdopodobniej nigdy nie istniał; lub od *Kartezyusza*, na wstępie wątpliwego o wszystkim, wyjąwszy o tem, że wątpi.

6. Wątpienie wydaje się autorowi *niezbędną krytyczną zasadą filozofii*, (str. 36) a nawet zasady wszystkich nauk specjalnych powinna filozofia poddać wątpieniu i z hipotez zamienić na wiarogodne tezy (str. 37). Zapomniał dodać, że podwójnym sposobem wątpić można: albo bezwzględnie i bezwarunkowo, a wtedy nigdy nie dochodzi się do prawdy, albo rozumnie, pod naczelnem kierownictwem pewnych zasad nieomylnych. Druga ta forma od niepamiętnych czasów była używaną przez wszystkich myślicieli i nie daje filozofii żadnej wyższości nad ścisłemi naukami. Ile razy coś niezwyčajnego widzimy w teleskopie lub mikroskopie, upewniamy się przez powtórzone obserwacye, że to nie przywidzenie żadne, pochodzące z wadliwości szkieł naszych lub rozdrażnienia nerwu widzenia. Jeżeli zaś wątpienie ma rozciągać się do wszelkich przypuszczeń ludzkich (36) t. j. do wszystkich prawd zasadniczych a nawet skontrolować wszystkie nauki, *dając im niezbędną krytyczną podstawę* (str. 40), niewątpliwie nauki na to się nie zgodzą. Takie ochmistrzowanie byłoby i niedogodnem, a dla niektórych nauk, n. p. dla teologii zgubnem. Teologia, mająca w objawieniu i nieomylnych wyrokach Kościoła stałą w badaniach swoich normę, nigdy nie zgodzi się na hegemonią filozofii, choć chętnie korzysta z jej usług — a wszystkie inne nauki poszłyby za jej przykładem. I tutaj czas pomówić o definicji, gdyż

z niej pokaże się, jakie znaczenie i granice autor swej nauce zakreśla.

7. *Ma filozofia być badaniem krytycznem zasadniczych podstaw ludzkiego poznania i dążeniem do wytworzenia na tych podstawach ogólnego poglądu na świat, o ile można zupełnego.* (str. 79). Takie jej pojęcie bardzo jest kosztawe, że nie powiem, ułomne. Zgodziwszy się na to, że pierwszym filozofii zadaniem jest opis i krytyka praw myślenia, czyli logika i krytyka, trudno zrozumieć, dlaczego ma swoją pracę ograniczyć do ogólnego poglądu na świat. Boć świat, suma jestestw stworzonych, jest tylko częścią tego, co jest, a wytłomaczyć się nie da bez Bytu niestworzonego. Tłomaczyć coś, znaczy wykazać jego przyczynę, pozostanie więc świat niewytłomaczoną zagadką, gdy nie wytłomaczymy wprzód jego przyczyny, jego Stwórcę. Albo więc autor nie widzi różnicy między Bytem niezależnym a bytem zależnym, między Bogiem a światem, wnosząc po cichu do literatury stare panteizmu mrzonki, albo przez świat rozumie to, co inni ludzie, sumę zjawisk przyrody, a wtedy był powinien wyraźnie oświadczyć się pozytywistą. W każdym zaś razie mógł zdobyć się na definicyą lepszą, niedwuznaczną, a jeśli nie miał lepszej, mógł pozostać przy starej: *filozofia jest wiedzą ostatnich przyczyn, przyrodzonem światłem nabytą*. W istocie ta tylko definicya jasno określa zarówno przedmiot, jak metodę filozofii. Każda nauka szuka przyczyn, ale żadna nie szuka ostatnich, teologia, zaś choć zajmuje się ostatnimi przyczynami, różni się w metodzie, gdyż nie przyrodzoniem posługuje się światłem, lecz nadprzyrodzone objawienie za podstawę swych badań obiera. Ogólny pogląd nie jest pojęciem godnem filozofii, bo grzeszy brakiem jasnego określenia a wychodzi najczęściej na powierzchowne rozprawianie o wszystkim i niczem, *de omnibus rebus et de quibusdam aliis*. Czyż godzi się skazać filozofią na tak smutną rolę?

8. W końcu poruszę kwestyą, od której zrozumienia zawisły mojem zdaniem przyszłe losy filozofii. Dla wielkiej swej wagi, nie kilku uwag pobieżnych, lecz osobnej, gruntownej domaga się rozprawy, gdy jednak tłomaczy, dlaczego tylu nowożytnych zwolenników filozofii nie może dojść do jasnego o swej nauce wyobrażenia, a mimo sumiennej, wieloletniej pracy ani powstrzymać niefilozoficznych wieku naszego prądów, ani czytającej publiczności przekonać o wartości swoich zamiarów, sądziłem, że wypada poddać ją pod rozwagę szanownemu autorowi i jego kolegom. Ubolewa *p. Struve*, a było to na publicznem zebraniu warszawskiego uniwersytetu, że wzrastająca specjalizacya nauk coraz bardziej roztrąca pierwotną wiedzę ludzką jedność i całość, a uniwersytety, przeniewierzyszy się swej misji powiązania nauk wszystkich w jedną zgo-

dną rodzinę, zamieniły się w bojowisko, na którem nie jedna nauka zamiast poparcia znajduje wspólną nienawiść i krwawo walczyć musi o byt swój i zachowanie, gdy inne zabraniają jej nazywać się nauką. Pominawszy przesadę tej skargi, bo właściwie tylko filozofii niektóre nauki wydały wojnę na zabój, nie trudno zgodzimy się z autorem, że wszechnica powinna mieć jedność wewnętrzną, duszę, że tak powiem, wlewającą życie we wszystkie członki naukowego organizmu. Autor, jak widzieliśmy, chciałby filozofii przekazać to szczytne zadanie, zrobiwszy z niej podstawę wszystkich nauk i dopełnienie zarazem. Łatwo da się zrozumieć, dlaczego teologia nigdy na to się nie zgodzi, a jej przykładem ośmielone inne nauki również stanowczo oprą się prymasowaniu filozofii! Nie ta jest droga do przywrócenia jedności naukowej, do nadania filozofii nowego znaczenia.

9. Podobne zachcianki, wspólne zresztą prawie wszystkim akatolickim filozofom, stąd pochodzą, że nie widzą różnicy między przedchrześcijańską filozofią a nowożytną. Tamta miała inne zadanie do spełniania, będąc jedynym źródłem prawdy, jedyną mistrzynią życia. Dopóki nie było objawienia, ludzie tylko przyrodzoną siłą rozumu mozolnie szukali prawdy najwyższej, a'na około niej, w jej promieniach błędnych, skupiali prawdy drugorzędne. Z przyjściem Chrystusa na ziemię zmieniła się praca filozofii. Odtąd nie szuka ona prawdy, lecz stara się objawioną zrozumieć, wytłómaczyć, zastosować, co jest daleko trudniejszym od pierwszego zadania. Ustąpiła miejsca przedniego teologii, ale za to uzyskała jasność i pewność, jakich nie miała w czasach dawniejszych. Pracując pod jej okiem i w blasku jej pochodni, wprowadziła prawdę chrześcijańską do wszystkich nauk, do sztuk pięknych, do życia jednostek, rodzin i narodów. Utworzyła pod błogosławieństwem Kościoła to, co autor nazywa chrześcijańskim na świat poglądem. Ale jeśli prawda jest, że pogląd ten jest „*zupełny i skończony*“ (str. 64), to filozofia ma tylko dwie drogi przed sobą: albo na podstawie objawienia dalej prowadzić pracę swoją, tak świetnie kontynuowaną przez ośmnaście wieków, albo zapomniawszy o tem, że było objawienie, powrócić do smutnej roli filozofii pogańskiej, która uiby jako Ixion w piekle, toczy głąz na górę, aby zaraz spadał napowrót. Autor, o ile go rozumiem, pragnie drugiego, wtedy jednak nadaremnie pokusi się o podbite nauk specjalnych. Filozofia bez objawienia tego nigdy nie dokaże. Sama będąc buntowniczką, nie ma prawa, aby ktokolwiek jej słuchał. Niechaj sama powróci do jedności z objawieniem, do serdecznego związku z teologią, na czem nie utraci ani z godności, ani samodzielności swojej, a zo-

baczy, jak wszystkie nauki specjalne odrazu jej podadzą dłoń i będą posłuszne jej skinieniom.

Subiaco, w wrześniu 1876.

Dr. P.

Le Saint-Siège et la Russie au XVI siècle p. J. Martinow.

Pracę powyższą zamieściło czasopismo *Études religieuses, philosophiques, historiques et littéraires par des pères de la compagnie de Jésus* w zeszyście wrześniowym z roku bieżącego. Szanowny autor wydobywa z zapomnienia dokument, odnoszący się do sprawy bardzo ważnej, dla nas równie jak dla Rosyi ciekawej, mianowicie do usiłowań Kościoła katolickiego w wieku XVI względem nawrócenia schizmy. Jest to list Alberta Pighiusa, doktora teologii, jednego z uczeńszych dostojników kościelnych swego czasu, wystosowany do papieża Klemensa VII w r. 1523 „o sprawach Moskwy i o łatwości, z jaką naród ten możnaby przywrócić do posłuszeństwa stolicy apostolskiej.“ Więć zapewne znał autor Rosyą, był w niej, rzecz i ludzi badał na miejscu? Bynajmniej. Wszystkie szczegóły biograficzne, które szanowny O. Martinow o Albercie, zwanym zwykle *Campensis* od miejsca swego urodzenia, podaje, dowodzą przeciwnie, że w Rosyi nigdy nie był i być nie mógł; on sam w piśmie swem dowodzi, że kraju nie widział; a tytułem pracy, twierdzeniem: że nawrócenie Rosyi da się uskuteczyć *con facilità*, wyraźne dał świadectwo, iż Moskwy nie znał i o całym narodzie fałszywe miał wyobrażenie.

Mimo to list jego jest pomnikiem ciekawym i na dziś jeszcze bardzo pouczającym. Ważnym jest przez to, że przez długie czasy uważany był za jedyną prawie wskazówkę o ówczesnej Moskwie. Papież Grzegorz XIII, w 60 lat później wysyłając Antoniego Possewina do Iwana Groźnego, doreczył mu z własnej biblioteki egzemplarz listu Alberta, zalecając odczytanie jako ważną wskazówkę o sprawie, do której załatwienia miał przystąpić. Niepodobna, aby zdania tego nie podzielała z papieżami znaczna część świata katolickiego, żeby do czasu sprawdzenia rzeczy na miejscu przez Possewina nie oddawano się takim samym złudzeniom jak *Campensis*.

Zkąd autor przyszedł do tych złudzeń? To właśnie ciekawe, może najciekawsze ze wszystkiego. Stosunki Moskwy ówczesnej z Zachodem europejskim były bardzo rzadkie i bardzo nieliczne, ale były. Widać nawet ze wszystkiego, że ta Moskwa dużo więcej wiedziała o Europie, niżeli Europa o niej,

że jeżeli na dworze papieskim i na innych zachodnich dworach monarszych o Wielkim księciu i o jego narodzie wiedziano bardzo mało i prawie zawsze wszystko bardzo fałszywie, to Wasyli lub Iwan wiedzieli natomiast bardzo dobrze, co im o tych innych dworach wiedzieć potrzebnem było, rozumieli stosunki europejskie doskonale i korzystać z tego umieli. Z perfidią, jednakową zupełnie w wieku XVI jak XIX, miała Moskwa zawsze dwie różne twarze, dwa różne charaktery, dwie wręcz przeciwne natury — jedną dla siebie, drugą dla Europy; postępując całkiem inaczej u siebie, zupełnie co innego głosiła o sobie Europie, a ta Europa w wieku XVI wierzyła z niewiadości, z ignorancyi, zapewne szczerzej, niżeli dziś udaje, że wierzy z politycznych względów, a często ze strachu.

Co książęta moskiewscy doskonale rozumieli, to wpływ, jaki w ówczesnej Europie dwie władze miały: papież i rzymscy cesarze. Do jednych i drugich zwracali się oni przeto zawsze, u jednych i drugich starali się mieć najlepszą opinią, słali do nich legacye, upewniali o swej przyjaźni, wierności, słowem kłamali jak dzisiaj bez zarumienienia, bez zająknięcia, bez obawy, że się to wyda, po swojemu, najbezczelniej. Kumając się z Tatarami i zmawiając przeciw sobie, przysięgali cesarzom, że myślą tylko o wojnie z pogaństwem; nienawidząc katolicyzmu, oddalając się od niego coraz dalej i stanowczej, upewniali papieżów, że pragną powrotu do Kościoła, że do niego zdążają. A jakimi książęta, takim był naród. Jak dzisiejsi czynownicy, potulne i nikczemne narzędzia despotyzmu w domu, za granicą grają rolę ludzi liberalnych, postępowych, toleranckich, i do dziś jeszcze wielu w błąd wprowadzają, tak ówcześni kupcy i posłowie moskiewscy, niewolnicy i ofiary Iwana okrutnego, zagranicą, w zetknięciu z Europejczykami, to tylko mówili o sobie i swoich, co książę mówił królom i dworom. Od takich posłów i kupców czerpiąc swe wiadomości, Albert Pighius z łatwością nabrał przekonań fałszywych. A tem łatwiej przyjął je i uwierzył w nie, że był katolikiem żarliwym, że czuł żywo klęski, które Kościół skutkiem reformacyi poniósł, że rozumiał dobrze, iż te klęski nie łatwo dadzą się powetować, a powetować trzeba było. Pod tym względem wyraża się on całkiem otwarcie. Aby to, co Kościół przez reformacyą utracił, odzyskać, trzeba wielkiego przelewu krwi, wielkich wysileń, i mimo to wszystko, skutek będzie wątpliwym. Na poganach, na Turkach wetować strat, krucyatami podnieść wpływ i znaczenie Kościoła, rzecz także nie łatwa, bardzo niełatwa, zachody ogromne i dziwnie trudne, a skutki znowu wątpliwe. Tymczasem naród liczny, mało znany, gołębi, sam się nasuwa, tylko pociągnąć go ku sobie, przycisnąć do łona, a będzie katolickim, a miliony dusz wrócą do Kościoła,

i tym powrotem zamanifestują zdumionemu światu niespożytą siłę atrakcyjną Kościoła, zawstydzą Lutrów, strachem przejmą Turków, podniosą nie tylko znaczenie, lecz siłę stolicy apostołskiej.

To myśl autora, przekonanie jego szczere, a że naiwne, czyż bardzo temu dziwić się należy? Była zapewne w tem łatwowierność wielka, ażeby wierzyć zapewnieniom Moskwy nieznaney i schizmatyckiej, a nie wierzyć n. p. przestrogom znanych i uczciwych królów polskich. Ale czyż ta łatwowierność nie jest nawet cnotą w porównaniu z tem, jak dziś przyjmują zapewnienia Rosyi, że n. p. idzie jej o obronę uciśnionych, o wolność sumienia i t. p.

Bądź co bądź autor z całą siłą przekonania gorliwego katolika i gorącego zapaśnika w ówczesnych sporach religijnych dowodził papieżowi, że głównem zadaniem jego powinno być nie popieranie wojny z Turcyą, o którą kołatała Polska (choć przynajmniej, żeby to była rzecz dobra, tylko przetrudna), i nie co innego, lecz staranie o nawrócenie Moskwy. Tłumaczając, jakie mają być te starania, wskazuje przede wszystkim jako środek najlepszy przygarnięcie księcia moskiewskiego, opiekowanie się nim, a więc poparcie go przeciw nieprzychylnemu królowi polskiemu (a o to szło jedynie Moskwie), popieranie szczere, chętne, słowem, apostołowanie miłością i — ofiarami.

Klemens VII nie podjął tego zdania. Podjął je inny papież, znacznie późniejszy, do którego przekonania, jak widzieliśmy, trafiło także rozumowanie autora, Grzegorz XIII, a Posssewin zebrał owoce trudu i zachodów. Jego legacya pouczyła stolicę apostołską trochę lepiej o Moskwie, niżeli list Alberta, okazało się, że wskazówka nie całkiem prawdziwa, i poszła też rychło w zapomnienie. Odgrzebując ją dzisiaj, szanowny O. Martinow przysłużył się niewątpliwie, przypominając jeden z mniej pamiętnych szczegółów historycznych, który jednakowoż swego czasu ważył nieraz na szali doniosłych wydarzeń.

B. Kalicki.

„Wallenstein“ *Poemat dramatyczny.* (Warszawa nakład i druk S. Lewentala 1875 r.).

Pomiędzy niedostatkami i dziwnymi fenomenami naszej literatury, jednym z bardzo dziwnych i nieprzyjemnych jest brak porządnych tłumaczeń wielkich poetów niemieckich. Na tyłu ludzi tłumaczących zagraniczne poezye od lat pięciudziesiąt, na tyłu, którzy teraz piszą oryginalne niby, a którzy mając pewną i niepoślednią wcale łatwość i zgrabność wiersza, na

kilka teatrów, które przecież pięknych tragedyj potrzebują, nikt nie zdobył się na to, by przetłumaczyć jak się należy Schillera i Göthego. Kilka wierszyków Göthego i pierwsza scena Don Carlosa przełożona przez Mickiewicza, to za mało, a prócz tego cóż mamy? Nieudolne, straszne tłumaczenia Kamińskiego, których wiersz żadnym sposobem nie daje się deklamować, a styl nie daje poznać nie tylko piękności, ale nawet myśli oryginału, jakiegoś pana Budzyńskiego opłakana *Marya Stuart*, i więcej jeszcze opłakany *Faust* pana Walickiego, oto podobno wszystko. I kiedy przed kilkoma laty grywały się na scenie krakowskiej tragedye Schillera, przypominamy sobie, ile dyrekcya i artyści mieli pracy i trudności, ile trzeba było poprawek, żeby tekst przekładu zrobić przynajmniej możliwym do mówienia, a czasem i do zrozumienia. Spełniono już przedsięwzięcie nierównie większe i trudniejsze; parę miesięcy cierpliwości i wyjdzie z druku przekład Szekspira całkowity, i dobry, zupełnie wystarczający. A Schiller o tyle przystępniejszy może swoim wzniosłym pięknym i tak wyraźnym liryzmem, Schiller nie może doczekać się tłumacza. A przecież gdzie są tragedye od jego tragedyj piękniejsze lub tylko im równe? gdzie takie, w których aktor miałby więcej pola do wykształcenia i pokazania swego talentu, a spektator do wzruszenia i uniesienia? Szekspir i Göthe tylko: ale oprócz tych nie ma przecież nic w literaturze chrześcijańskiego świata, coby się na tem polu do Schillera zbliżyć miało prawo, a i nad tymi dwoma kolosami ma on wyższość niejaką w tym liryzmie właśnie, w tym idealizmie szlachetnym, niezachwianym, nie znajdującym wątpliwości, wahania, ani nawet pytania, który bywa czasem błędem jego dramatów, ale częściej jest ich wdziękiem, który głębokiej znajomości i mądrości życia nie przeszkadza ani ją umniejsza, tylko ją owszem podnosi godząc ją ze wszystkimi prostymi niezmiennymi prawdami ludzkiego sumienia i ze wszystkimi pięknymi wysokimi prawami i pragnieniami ludzkiej duszy.

Nieraz też tęskniliśmy za Schillerem w dobrym pięknym polskim przekładzie i pytaliśmy dlaczego takiego nie ma, nie mogąc dać sobie odpowiedzi. Dziś zaczynamy mieć nadzieję, że on się znajdzie, bo widzimy że znaleźć się może. Bezimienny tłumacz, żałujemy szczerze, że bezimienny, wydał świeżo *Wallensteina*, a jeżeli tłumaczenie to nie ze wszystkim dorównało oryginałowi, jeżeli zwłaszcza w miejscach najczulszych i najwymowniejszych jak pożegnanie Maksa z Teklą lub monolog Tekli, nie ma tej rzewności i tego poetycznego polotu, które są właściwe i jakoby przyrodzone wierszowi Schillera, to ma wiele rzeczywiście i bardzo ważnych warunków dobroci. Wiersz jest piękny, płynny, łatwy, naturalny, a nie jest pospolity; jest w nim energia i jedność wyrażen, jest rym nie spodziewany a nienacią-

gany, jest język piękny i piękny styl prawdziwie poetyczny, poważny, wysoki a prosty. Wierność i dokładność wielka. W głośnem czytaniu wydaje się bardzo dobrze; słowa i wiersze płyną, jedne za drugimi łatwo śmiało i dźwięcznie. Nie wiedząc kto jest tłumacz, nie wiedząc zatem, czy to nie który z dzisiejszych naszych poetów, widzimy przecież po jego wierszu, że to człowiek, co dobrze włada formą, a po ogniu, jaki w wiersze swoje tchnąć umie, po powadze jaką w nich umie zachować, po zręczności, z jaką zawsze ton oryginału oddaje, sądzilibyśmy, że jeżeli poezji na swoją rękę nie pisuje, to nie jest pozbawiony pewnych poetycznych darów, przynajmniej daru formy.

Zaczynając od początku trzeba tłumaczowi wytknąć na-przód opuszczenie wstępu. Domyślamy się powodów; wstęp ten jest okolicznościowy, odnosi się do jakiegoś założenia czy odnowienia teatru w Weimarze; cóż to dziś kogo obchodzić może, a jeszcze w Polsce? Prawda: jednak Niemcy, szanując to co zrobił poeta, uważają ten wstęp zawsze za należący do Wallensteina, żadne wydanie nigdy go nie pominie ani nie oddziela; tłumacze powinni zdaniem naszym uważać ich za powagę, naśladować ich i wydawać przekłady o ile być może zupełnie tak, jak oni wydają swoich poetów. A nadto ten okolicznościowy wstęp jest bardzo piękny, i choć okolicznościowy sam dla siebie godzien tłumaczenia. Dla teatrów jest to zupełnie obojętne, ale czytelnik znawca i miłośnik Schillera nie będzie zupełnie zaspokojony, zawsze będzie czuł jakiś brak, kiedy zobaczy Wallensteina bez wstępu.

Z podziwieniem za to i z bardzo wielką przyjemnością czyta się część pierwszą. Kto wie czy wspaniałe pathos części trzeciej nie jest dla tłumacza łatwiejszem do schwycenia i oddania od tych szorstkości i ostrości powszedniej żołnierskiej mowy, w którą poeta włożył tyle prawdy, tyle naturalności i tyle odcieni. W przekładzie może wachmistrze, strzelcy, kirysyery, kroaci i markietanki mówią językiem cokolwiek bardziej cywilizowanym, cokolwiek bardziej literackim, niż w oryginale, ale zawsze jest w nim tyle życia, tyle prostoty, tyle humoru, koloryt jest tak podobny do tego, którego użył Schiller, że pomimo tych drobnych różnic, jakie w każdym tłumaczeniu zawsze znaleźć się muszą, *Obóz Wallensteina* uważać możemy z chlubą i pociechą za doskonale przetłumaczony na polskie. Z jednym wszakże zastrzeżeniem: kazanie kapucyna, ustęp najzabawniejszy „*locus classicus*“ całości, przełożone jest świetnie, z największą dokładnością, z najszcześliwszym doбором wyrazów, z całą tą pocieszną rubasznnością jaka jest w oryginale. Z wyjątkiem tylko końcowego ustępu. Prawda, że nic trudniejszego, jak oddać w innym języku zwrot, którego cały wdzięk lub dowcip polega w grze wyrazów: ale też na sposób, w jaki ona tutaj oddana została zgodzić się trudno. U Schillera ka-

pucyn robi koncepta z nazwisk *Wallenstein* i *Friedland*, ale robi je bardzo zřęcznie:

„Lässt sich nennen den Wallenstein
 „Ja freilich ist er uns *allen* ein *Stein*
 „Des Anstoszes und Aergernisses:
 „Und solange der Kaiser diesen Friedeland
 „Lässt walten, so wird nicht Fried' im Land.“

Polski tłumacz stara się także o koncept oparty na podobieństwie brzmień przynajmniej jeżeli nie znaczeń, ale brzmienia i znaczenia są zbyt odległe, a koncept wskutku tego tak naciągany, że nawet kapucyn Schillera byłby się przed nim zawahał:

„On się Friedlandem niby nazywa
 „Furfantem zwać go rzecz jest właściwa.
 „I wszyscy mówią o Wallensteinie
 „A Bóg nie powie: *zwałęz go tajnie*.
 „Więc nie będziemy pokoju znali
 „Póki go cesarz jawnie nie zwali.“

Trudność była istotnie wielka. Jakiś *kalambur* być tu musiał; zważywszy, że to kapucyn mówi, mógł on, owszem, może nawet powinien był być złym i kulawym. Nie mając polskiego wyrazu podobnego do *Stein*, oparł tłumacz grę wyrazów na pierwszej połowie nazwiska, do której szukał czegoś podobnego w słowie *walić* i w jego formach. Ale za tem poszło, że musiał dla podobieństwa brzmień wziąć formę dość już naciągniętą „*zwałęz go*,“ i dodać „*Boga*,“ *tajnie*, i „*jawnie*,“ których w oryginale nie ma. Wtrącił więc myśl nową, a skutku, to jest *kalamburu* nie osiągnął. Czy nie lepiej było poszukać go w czem innem niż w tych imionach własnych które się do niego dobrze nadawały w języku niemieckim ale w polskim wcale? W tak trudnych razach lepiej może odstąpić od zupełnej ścisłości, a wymyśleć grę wyrazów zupełnie naturalną i dobrą, niż szukając jej koniecznie w tych samych wyrazach wynaleść zbyt naciąganą i nieprawdopodobną.

Mały ten bład jest jedynym, jakiegośmy w całej pierwszej części *Wallensteina* dostrzegli. Jeżeli o nim mówimy choć się nam małym wydaje, to dlatego, że szpeci on bardzo dobrą i udatną całość, i że bez wielkiej trudności, sądzimy, tłumacz mógłby go czy w drugim wydaniu, czy też bez tego do użytku teatrów poprawić.

W „*Piccolominich*“ wszystko wydało nam się takim, jak być powinno: język, wiersz, styl polski, zawsze dobry i piękny, wierność zupełna, myśl w myśl a nieledwie wiersz w wiersz;

ten zachowany wszędzie ten sam co w oryginale. Z największą ciekawością naturalnie czyta się to, co najpiękniejsze, tę część trzecią, która pomimo wszystkich zdań przeciwnych, pomimo, że Niemcy wynoszą nad nią to *Maryę Stuart*, to *Wilhelma Tella*, wydaje nam się najdoskonalszą, największą, i najbardziej wzruszającą z Schillera tragedyj. Jak tłumacz da sobie radę choćby tylko z tym językiem, którym przemawia Wallenstein? Ma on jakiś sposób mówienia osobny, właściwy gieniuszom i wojownikom, przypominający styl Napoleona, różny zupełnie od sposobu mówienia zwykłych ludzi, Piccolominich, Butlerów, a coś dopiero Terzkych i Illów i wszystkich innych „des Lebens flach alltägliche Gestalten.“ Czy odda tłumacz tę siłę woli i tę mądrość myśli, która w oryginale bije z każdego słowa tego człowieka? czy go nie zmniejszy, czy mu nie zatrze cokolwiek tego piętna gieniusza, bohatera, wielkiego człowieka, które Schiller wycisnął na nim tak wyraźnie? Czy tu uderzenia serca, które w oryginale tak dobrze czasem słychać z pod pancerza Wallensteina nie będą w przekładzie zbyt głośne albo zbyt stłumione? Czy patetyczność najwyższa w świecie a tak naturalna w oryginale będzie taką w tłumaczeniu? Czy ironia hrabiny będzie dość subtelną i dość energiczną razem, a liryzm Tekli i Maksa dość wzniosłym i poetycznym? Oto pytanie jakie sobie zadaje niespokojnie fanatyczny wielbiciel Wallensteina, kiedy bierze do ręki jego przekład polski, z szczerem gorącym pragnieniem, żeby znalazł w nim to wszystko, co widzi w oryginale.

Po przeczytaniu odetchnęliśmy swobodnie. Jest bardzo dobrze, bardzo pięknie; jest Wallenstein prawdziwy, nie wszędzie zapewne na wysokości oryginału, to darmo, nie każdemu dano być Schillerem, a przekłady, w którychby nie piękności nie ubyłoby dadzą się na palcach wyliczyć w literaturach całego świata. Ale jeżeli ten, kto może, będzie zawsze wolał czytać Wallensteina po niemiecku, to nie znający tego języka, a takich jest w Polsce bardzo wielu (nie mówiąc już o kobietach), może czytając go po polsku mieć doskonałe wyobrażenie o jego pięknościach, i wrażenie bardzo przybliżone do tego, jakie sprawia oryginał. Nie porównując go z Wallensteinem Kamińskiego (w którego każdym wierszu znać, że pisany był przez człowieka, który formą nie władał i używał wyrazów i zwrotów dziwacznych łudząc sam siebie, że robi to dla większej energii stylu, naprawdę zaś dlatego, że wyrazów i form prostych do miary i rymu nagiąć nie umiał), ale postawiwszy ten przekład obok dobrych i bardzo dobrych, można się przekonać, że jest on jednym z najlepszych. Jak mamy w polskiej literaturze. Nie tak piękny jak Mickiewicza *Giaur*, lub Słowackiego *Księżę Niezłomny*, które w niczem nie ustępują oryginałom, ani tak jak *Odyseja* Lucyana Siemieńskiego, lub

Agamemnon Szujskiego, piękniejszy jest zdaniem naszym od wychodzącego właśnie przekładu Szekspira. Łatwiejszy był daleko, to prawda: ale też czyta się daleko równiej i przyjemniej, brzmi lepiej, i w przymiotach czy siły, czy wzniosłości czy rzewności bardziej się zbliża do swego oryginału niż tamten do swego.

Akt pierwszy przetłumaczony doskonale, tak, że dwie zaledwie znajdujemy uwagi do zrobienia. Pierwsza, (a odnosi się ona do całej sztuki, nie do tego aktu tylko), ta, że tłumacz powodowany oczywiście trudnościami i koniecznościami przekładu, zgodzenia myśli z prawami polskiej składni i wiersza, i t. p. używa często przymiotników, tam gdzie ich Schiller nie położył. Jest to rzecz bardzo mała na pozór, a z pewnością bardzo godziwa, jednak szkodzi i ona, a zwłaszcza szkodzi w przemowach Wallensteina. Przymiotnik, wyborny i konieczny do cieniowania myśli pociąga przecież za sobą pewną rozciągłość zdań i okresów, która osłabia zawsze ich jędrność i męskość. W buletynach Napoleona nie ma przymiotników, w komentarzach Cezara jest ich bardzo mało; wielki mistrz stylu, Guizot, mawiał że kiedy odczytuje co napisał, wymazuje zawsze wszystkie przymiotniki, a potem zawsze widzi, że ich jest jeszcze za wiele. Kobieta, albo człowiek młody, albo wreszcie umysł artystyczny i subtelny, bawi się z myślą, pieści się nią, lubi ją określać, wykończyć, cieniować: umysł potężny, a dopieroż człowiek działający, nazywa rzecz najprostszym wyrazem, a wszystkie określenia i odcienia odrzuca i pomija jako zbyteczne, bo ich nie potrzebuje, bo one dla niego w tem pojęciu już są zawarte, rozumie je, choć ich nie wyraża. Dlatego mowa Wallensteina w tekście niemieckim bardzo w przymiotniki skąpa, jest poważniejszą, energiczniejszą, wygląda bardziej po męzku i po żołniersku, aniżeli w tekście polskim, gdzie ją przymiotniki zmiękczały a przez to nieco zmniejszały. Dlatego „*nicht die Versuchung von mir wies, das Herz genährt mit diesem Traum*,” brzmi daleko wymowniej, aniżeli po polsku „pokusa słodka” — „sen swawolny,” i podobnie. Tego rodzaju błędów znaleźlibyśmy więcej w całym ciągu sztuki, dlatego, ostrzegłszy na wstępie już ich dalej wytykać nie będziemy. Za to zwrócić musimy uwagę tłumacza na ustęp jeden z pierwszego monologu Wallensteina (Akt I. scena IV), w którym i siły mniej daleko niż w oryginale i nawet niektórych ważnych koniecznych myśli nie znajdujemy:

„Czym chciał naprawdę podjąć to zadanie?

„Nie, nigdy. Tylkom w własnej myśli tworze

„W precudnem widmie miał upodobanie...

Nie mówiąc o tem, że „myśli twory” „przecudne widma” i wszystkie takie amplifikacje słabsze są daleko od prostych

słów „*in dem Gedanken bloss gefiel ich mir*,“ musimy tłumacza zapytać co zrobił z wierszem „*die Freiheit reizte mich und das Vermögen*“ i z drugim „*blieb in der Brust mir nicht der Wille frei*.“ Gdzie one się podziały? Czy to tak można je opuścić albo ukryć gdzieś między innemi? Nie, one są bardzo charakterystyczne, one najlepiej może ze wszystkich tłumaczą stan duszy Wallensteina w tych chwilach, kiedy jeszcze „zdrada nie przestąpiła jego progów,“ one są tym punktem właśnie, z którego „drogi jego życia rozchodzić się zaczęły.“ I dlatego one powinny być bardzo wyraźnie oddane, powinny bić w oczy koniecznie,

Scena z pułkownikiem szwedzkim, i wszystkie następne do końca aktu bardzo szczęśliwie przełożone: a sławna przemowa Hrabiny Terzkiej (w scenie VII) byłaby nawet bardzo świetna, gdyby nie jedno opuszczenie i nie jeden dodatek:

„Und weil er klug sich zu beschneiden weiss
 „Nichts wirklich mehr zu gelten, zu bedeuten,
 „Lässt man ihn scheinen was er mag: er wird
 „Ein grosser Prinz bis zu sein Ende *scheinen*.“

Tego małego jednego a tak wielkiego słówka *scheinen* nie ma w tekście polskim, przez co ironia Hrabiny traci żądkło a jej wymowa swój zwrot najszcześniejszy:

„Dwór uzna dobrem, że się książę bawi
 „W pozorną wielkość, i z pewnością księciu
 „Do samej śmierci jego nie postawi
 „Najmniejszych przeszkód w jego przedsięwzięciu.“

To jest dobrze, ale nie tak jeszcze jakby potrzeba, to jest to samo w gruncie, ale nie tak samo w sposobie.
 Dodatek zaś jest ten:

„Bo czyż jest straszną jakaś wielkość, która
 „Wzrosła nad poziom szczęściem wojowniczem:
 „Ot! tak jak ruchem cesarskiego pióra
 „Wzrasta w Barona człowiek „*co był niczem*.“

Naprzód Hrabina nie pyta tu wcale czy „kto jest strasznym“ albo nie, mówi tylko, że Wallenstein jeżeli złoży dowództwo zniży się do rzędu zwykłych ludzi wyniesionych na czas jakiś w górę szczęściem wojennem i łaską dworu. Powtórę mówi ona, że ta łaska dworu „*mit gleichem Aufwand Freiherrn und Fürsten macht*.“ Gdzież tu „*człowiek co był niczem?*“ Czy Hrabina знаła może ów koncept, że człowiek zaczyna się od barona? z pewnością nie. Czy można Schillerowi

dodawać myśli (a dopieroż dowcipy!) których on nie napisał? Z jeszcze większą pewnością nie. I doprawdy pojąć nie możemy zkąd taka bezbożna licencya u poważnego i dobrego tłumacza.

W akcie drugim, w przepysznym scenie Wallensteina z Maksem, czegoś brak, zwłaszcza w słowach Maksa. Jest to samo, ale ton cokolwiek niższy: trochę mniej ognia, poezyi, liryzmu; jest to bardzo dobra kopia, ale zawsze przecież kopia. Za to ustęp „*Schnellfertig ist die Jugend mit dem Wort*“ przetłumaczony jest bardzo pięknie, a w czwartej scenie sławne opowiadanie Wallensteina o bitwie pod Lützen i o śnie który ją poprzedził, należy do najświetniejszych miejsc przekładu. W drugiej połowie tego aktu rozmowa Oktawa z Isolanim i Butlerem bardzo dobra. W tej ostatniej tylko jeden błąd mały ale przykry. Dla czego Butler mówi „on *mi* zginąć musi?“ Po co to *mi*? Nic nieznośniejszego, nic bardziej rażącego w wierszu, jak te drobne słówka wtrącone dla miary, których myśl nie wymaga a proza nigdy nie używa. Niby nie szkodliwe szkodzą one bardzo. Zdanie staje przez nie nie naturalnem, a autor zawsze podaje się w podejrzenie, że z trudności wiersza prostą drogą wyjść nie umiał. A w tym razie, sądzimy, nie było nic łatwiejszego, jak nadać wierszowi zwrot inny, taki, któryby się obszedł bez tego niepotrzebnego nienaturalnego „*mi*.“

Pożegnanie ojca z synem znowu podobne do sceny Maksa z księciem: dobre, ale o jeden ton niższe, a wyrażenie

„Gdybym miał w synu ujrzeć winowajcę
„Hańby płamiącej tarczę rodu jasną“

długie, trochę zawile, słabsze jest od niemieckiego *dies Brandmal aufdrückst unsers Hauses Adel*.“

Najwięcej może usterków w akcie trzecim: usterki te nie wielkie, najczęściej tylko wyrażenia nie zbyt zgrabne, ale i te szkodzą, bo zawsze psują efekt polskiego wiersza, a czasem zmieniają ton dany przez Schillera. I tak na przykład Wallenstein nie mógł nigdy powiedzieć, że chce „zabawić się *miłe*,“ księżna jest zbyt pieściwa kiedy córce każe „otrząść łzy z *oczq*“ (czemu nie z oczów?) Hrabina mówi prawie bez sensu kiedy zapytana przez Wallensteina co jest Tekli, odpowiada „kocha *syna jego*.“ Że tłumaczowi było łatwo lub potrzebnie do *Piccolominiego* dobrać ten rym, to nie racya. Naprzód już samo to *Piccolominiego*, sześćogłoskowe zakończenie wiersza, jest ciężkie i niezgrabne; a potem odpowiedź taka „kocha *syna jego*“ tylko wtedy miałyby sens, gdyby Hrabina mogła odrazu palcem wskazać obecnego ojca. W innym razie musiała mówić inaczej: albo najprościej, tak jak

jest u Schillera, „*den Piccolomini liebt sie*“ (po polsku *Maksa*, bo *Piccolominiego* jest długie i brzmi źle), albo, jeżeli już ojciec być musiał, to nie mogła mówić zaimkiem o tym ojcu, o którym przedtem mowy nie było, ale musiała powiedzieć że „Tekla kocha syna Oktawa.“ Miejsce to powinienby tłumacz zdaniem naszym koniecznie poprawić zanim Wallenstein w jego przekładzie granym będzie w teatrach.

Efekt tak niezmiernie dramatyczny, tak po mistrzowsku przez Schillera stopniowany, złych wiadomości spadających jedna po drugiej, pułków wypowiadających posłuszeństwo i odjeżdżających z obozu, innych walących orły cesarskie na ziemię, cały ten zły obrót koła fortuny, ta chwila przesilenia, przeważania się losów, wygląda w tłumaczeniu bardzo dobrze, a to co mówi Wallenstein kiedy się dowiedział o podstępie i odstąpieniu Oktawa, nawet bardzo pięknie. W słowach jego o Isolanim jest przymiotnik „*życiowy*“ („*życiowe wrażenia*“), i sam w sobie zły, i tak świeżo ukuty, że choćby dla tego tylko w tym dramacie z dawnych czasów figurować nie powinien (właściwie w dobrej polszczyźnie nie powinien być nigdy).

Wielki monolog (scena XIX), scena z kiryserami, bardzo dobra, z wyjątkiem chyba słów Wallensteina do Butlera kiedy ten zdradliwie przyszedł w obecności żołnierzy donieść o zrzuceniu orłów:

„Z twoją służbistością wściekłą!

„Ha, w grę szatańską gra dziś ze mną piekło“

wszystko to brzmi inaczej, patetyczniej niby a przesadniej niż w oryginale: „*grausam spielt das Glück mit mir.*“

Nieszczęściem to samo powiedzieć trzeba o najpiękniejszych końcowych scenach tego aktu. Potworów, jędz, piekieł, więcej jniż w oryginale, a mniej tej niezrównanej jedynej w świecie czułości Schillera, która tak pięknie odzywa się w słowach Maksa i Tekli, nawet w słowach Wallensteina samego kiedy mięknie i prosi „*Max bleibe bei mir.*“ W ogóle te dwie role, Maksa i Tekli, najmniej udały się w tłumaczeniu, najmniej dają wyobrażenia o sympatycznym i poetycznym wdzięku tych postaci: dają go tyle ile może dać fotografia o nieznanym człowieku. Fotografia, nawet najlepsza, będzie bardzo podobnem ale zawsze szarem odbiciem człowieka. W tym akcie zaś, który jest szczytem pięknej roli Maksa, myśli najwznioślejsze właśnie, słowa najwymowniejsze i najbardziej porywające, o wiele nie dochodzą oryginału. Naprzykład to śliczne „*dem edeln Herzen könnte die schwerste Pflicht die nächste scheinen. Nicht das Grosse, das Menschliche nur geschehe*“ te słowa, któremi biedny Maks spodziewa się jeszcze znaleźć

jakiś ratunek, jakąś wymówkę by nie wypić swojego kielicha goryczy, oddane są niedostatecznie przez:

„Zgadnąć mogę
 „Że twa szlachetna dusza najstraszliwszą
 „Powinność, uznać chce za najprawdziwszą.
 „O! sądz po ludzku!“

Nie lepsze i te „przysięg potęgi“ których Maks nie chce łamać, i zapytanie Wallensteina „chcesz pójść ze mną w koło?“ (*Willst du den Gang mit mir versuchen*): ostatnia zaś rozpaczliwa przemowa Maksa, skrócona nieco, przez to skrócenie nie zyskała na sile.

W akcie czwartym, najmniej może pięknym ze wszystkich, szuka się oczywiście z największym zajęciem końcowego monologu Tekli. Zły on nie jest, jest dobry, a wiersz ostatni „tak kończy wszystko co piękne na ziemi“ nawet szczęśliwy. Ale zamiast zwięzłego a tak wymownego

„*Da kömmt das Schicksal: rauh und kalt*
 „*Fasst es des Freundes zärtliche Gestalt*“

w tłumaczeniu los „miesza się w jej zachwyty błogi“ porywa Maksa „w swoje szpony“ a te przenośnie i te zachwyty tak już zużyte, oklepiane, że stały się prozaicznymi, obniżają i studzą tak słowa Tekli jak i wrażenie czytelnika.

Ostatnie sceny bohatera, rozmowa z Gordonem, z astrologiem, wspomnienia młodości, jego odejście na spoczynek, doskonałe. Byłaby taką i sławna scena z Hrabinią, bo jedna jej część, tam gdzie Wallenstein mówi o przeczuciach śmierci, jest przetłumaczona bardzo pięknie. Ale pierwsza, gdzie mówi o Maksie i rozczula się, ta zostaje daleko za oryginałem. Po niemiecku każdy wiersz, każde słowo jest arcydziełem: nie głębszego jako myśl, nie rzewniejszego jako uczucie. Po polsku wydaje się to zimniejszym i nie tak mądrym. „*Er ist der Glückliche, er hat's vollendet. Für ihn ist keine Zukunft*“ oddane nie zbyt szczęśliwie przez: „Szczęśliwszy zadanie spełnił. Przyszłości mara już nie stanie przed nim.“

„*Wer weiss was uns die nächste Stunde schwarzverschleiert bringt* przez:

„Nam dziś przeznaczono
 „Czy losy czarną nie zaćmią zasłoną
 „Najbliższych godzin naszego istnienia.“

„*Er stand neben mir wie meine Jugend*“:

„On mej młodości wcieleniem był miłym“

„*Des Lebens flach alltägliche Gestalten:*

„Najpospolitsza powszedniość mi rosla
„I ku mych oczu i myśli zdziwieniu
„Stała przedemną wywyższona, wzniosła.“

Trzeba było prościej, jędrniej, a goręcej i rzewniej.

Dalej, i aż do końca jak już powiedzieliśmy wszystko bardzo dobrze. W ostatniej tylko scenie byłoby lepiej, bo wierniej, gdyby Hrabina zamiast „Łaski innego czekam teraz Pana“ mówiła „Łasce większego powierzam się Pana“ (*ich vertraue mich der Gnade eines grösseren Herrn*): — i gdyby odpowiedź jej ostatnia

„Sie denken würdiger von mir als dass sie glau bten
„Ich überlebe meines Hauses Fall“

przetłomaczone było wiernie, a nie w przybliżeniu tylko:

„Pojmiesz to łatwo. Niechęć przeżyć chwili
„Upadku, zstąpić z wyżyn do nicości.“

A w końcu list oddany „księciu Piccolominiemu“ lepiej było podpisać inaczej, bo ten trzeci przypadek przedłuża słowo już w pierwszym bardzo długie i brzmi nieprzyjemnie.

Do tych uwag możeby kto jeszcze dodał pytanie czy dobrze jest tłumaczyć wierszem rymowym rzecz napisaną miarowym? W zasadzie, zapewne, lepiej zawsze naśladować wierne nawet formę oryginału: ale w praktyce, a zwłaszcza w przekładach polskich, bezpieczniej podobno od zasady odstępować. Rym zdaje się być tak przyrodzoną formą polskiego wiersza, o tyle więcej swobody zostawia językowi, miary udają nam się tak rzadko, tyle zresztą powag i wielkich dało już ten przykład, iż żadnym sposobem nie możemy brać za złe bezimiennemu tłumaczowi Wallensteina że go przełożył wierszem rymowym.

Wyliczyliśmy to co mamy za jego uchybienia, w przekonaniu i w nadziei, że wszystkie łatwo dadzą się usunąć. Nie wyliczamy zalet: powiedzieliśmy ogólnie co o nich myślimy, szczegóły wynajdzie czytelnik sam. Powtarzamy tylko kończąc, że szczęśliwi jesteśmy iż jest przecie w polskim języku choć jedna porządnie przetłomaczona tragedia Schillera, iż teatru nasze będą mogły grywać choć tę jedną w tekście, który z wspaniałej poezji nie robi karykatury, iż ci z pomiędzy nas którzy po niemiecku nie umieją będą mogli przecie powziąć wyobrażenie o Schillerze, czytać go z przyjemnością, używać na jego pięknościach, kształcić się na nich.

Tłomacza zaś prosimy gorąco żeby nie ustawał w rozpoczętej drodze. Wszak tylko pierwszy krok kosztuje, a on ten pierwszy już postawił, i to najtrudniejszy, przetłumaczył największe (pod wszystkimi według nas względami) dzieło Schillera. Niechże teraz tych dalszych łatwiejszych kroków nie żałuje: niech ich zrobi tyle ile potrzeba jeżeli nie na całkowity przekład Schillera, to przynajmniej na to by naszym teatrom i literaturze dać Don Carlosa, Maryę Stuart i Wilhelma Tella.

St. Tarnowski.

Wspomnienia z papierów pozostałych po ś. p. Karolu Kaczkowskim, general-sztab. lekarzu wojsk polskich, ułożył Tadeusz Oksza Orzechowski. 2 tomy. Lwów 1876.

Znów przybył jeden pamiętnik do dziejów ostatniej epoki. Kaczkowski urodzony jeszcze w wieku XVIII, znający prawie wszystkie cenniejsze osobistości epoki stanisławowskiej, zaprzyjaźniony z Osińskimi, Niemcewiczami, Potockimi, Czackimi, rozpoczynający karierę pod ministrami Grabowskim i Lubekkim, zarwał jeszcze hartu duszy ludzi z czasów księstwa warszawskiego, podczas gdy jako uczeń szkoły krzemienieckiej i uniwersytetu wileńskiego, a rówieśnik Mickiewicza, przesiąkł na wskrós ideami romantycznymi i istotą swą i kwiatem swej działalności należy do r. 1831. Wytrwały i pracowity jak Chińczyk, sumienny i dokładny jak Niemiec, a rzutki i przedsiębiorczy jak Francuz, pełen gorliwości i poświęcenia jako lekarz, obdarzony niezwykłym u nas duchem organizatorskim, czego się tknie, wszystkiego dokona, wszystko przeprowadzi, nierażając się żadnymi przeszkodami ani przykrościami, z energią i praktycznością, o której już my pogrobowcy nie mamy ani wyobrażenia — a z drugiej strony widzi wszystko przez różowe szkło poezyi i zapału, który był osłodą życia naszym ojcom, a który w ostatnich kilku lat dziesiątkach stał się niestety rośliną egzotyczną w naszym kraju. Biografii Kaczkowskiego powtarzać nie myślimy; występuje ona sama z pamiętnika, a czego tam brakuje, uzupełnił wydawca w artykule zamykającym dzieło. Wystarczy wspomnieć, że własną pracą i zasługą dorobił się stanowiska profesora uniwersytetu warszawskiego, potem naczelnego lekarza armii polskiej roku 1831, a poświęceniem i zdolnością krzyża złotego *virtuti militari* i wielu zaszczytnych tytułów w kraju i zagranicą, gdzie jako uczony imię miał ustalone. A potem... potem poszedł tam, gdzie kończy karierę każdy prawie Polak, który dobrowolnie nie chce emigrować; tam gdzie był niegdyś biskup Soł-

tyk i Wacław Rzewuski, a później Piotrowski, pani Felińska, Jasieńczyk, Helena Skirmuntowa i setki, tysiące, krocie obojej płci i wszelkiego wieku. Było to w r. 1863. Wywiezionym zaś został nasz starzec tak nagle, iż nie miał czasu uporządkować swoich manuskryptów naukowych ani literackich, które też wszystkie bez mała zaginęły. Odnalazło się tylko nieco notatek, jakoby przygotowanych do pamiętnika obejmującego czas od 1808—1831 r. i z tych to fragmentów, a raczej luźnych materyałów wydał p. Orzechowski ułożoną niniejszą książkę, która też życia autora nie wyczerpuje, tylko światło rzuca na część jego działalności, zasług i stosunków.

Że mu wdzięczni za to być winniśmy, nie potrzeba mówić. Jest to nietylko ciekawy przyczynek do historii epoki, charakterystyka wszystkich prawie wybitniejszych figur ówczesnych, lecz i pod względem formy opowiadanie zajmujące i pełne wdzięku. W całym ruchu umysłów brał Kaczkowski żywy udział, do wszystkiego należał, wszystkich znał, zakosztował chleba nie z jednego pieca, a zapatrywania jego są może nie zbyt głębokie, lecz sympatyczne, uczciwe i z talentem wyrażone. Owszem, ze wszystkiego przebija zdolność powieściopisarska. Każde zdarzenie przybiera pod jego piórem formę noweli, a każda osoba cechy typu lub charakteru. Za dalekoby nas zaprowadziło przytaczać charakterystykę nieledwie mistrzowską Czackiego lub Niemcewicza, profesorów wileńskich, Grabowskiego, Lubeckiego, generała Umińskiego, Klaudyny Potockiej, Alojzego Osiańskiego i tylu innych. Jeszcze mniej możemy podać treść ładnych nowel, jak owa o lunatyczce wyleczonej przez małżeństwo, o majorze S. i o jego trzech pojedynkach z miłości, lub wreszcie o owym Józefie Kosie, chirurgu, a potem przez wdzięczność za wyleczenie dobrowolnym służącym Kaczkowskiego, a zarazem kasyerze, który kradł pieniądze z kieszeni nieuważnego pana, aby mu potem w chwili krytycznej niespodziewanie przyjść w pomoc oszczędzoną w ten sposób znaczną sumą. Jest w tych notatkach mowa o wszystkim, co człowieka i Polaka interesuje, jest nawet osobny rozdział o misyi p. Hove, który miał zwyciężonych z 1831 r. namawiać do wychodźstwa do Ameryki, misyi, która nasuwa niejedno porównanie z aktorami „Emigracyi chłopskiej,” ale niestety nie na korzyść bohaterów tej ostatniej ani na korzyść teraźniejszych agentów amerykańskich. Wówczas nie chodziło o chłopów ale o klasę oświeconszą i zamężniejszą i wówczas rząd Stanów Zjednoczonych przejęty sympatją ku wojownikom sztandaru wolności, z otwartą ręką i kieszenią przyjmował wychodźców dając im bezpłatną podróż, 15 akrów ziemi wraz z potrzebami gospodarskimi i 300 fr. — a przecież sam agent dopełniwszy swej misyi urzędowej, prywatnie odradzał wszystkim tego kroku, gdyż sumiennie rozwa-

zając warunki nowego życia i usposobienie nasze, nie widział tam dla nas przyszłości. O ileż w gorszych warunkach dokonywa się emigracja teraźniejsza, a jednak wówczas tak mało znalazło się kandydatów!

Na rozweselenie po tych smutnych uwagach, przytoczymy w końcu próbkę miłego sposobu pisania i swobodnego dowcipu autora. W opisie stosunków wileńskich znajdujemy żywymi farbami malowane portrety koryfeuszów towarzystwa „promienistych,” oraz po kolei wszystkich słynniejszych profesorów. O Jędrzeja Śniadeckiego wesołym humorem następującą anegdotą.

„Był w Wilnie pewien chirurg, araczey felczer, nazwiskiem Maryański, komicznej niezmiernie figury, przejęty caływażnoś społecznego swego stanowiska; mający pretensyą do nauki a zwłaszcza do łaciny, której nie posiadał zgoła. Jędrzej Śniadecki polecał mu od czasu do czasu doglądanie chorych potrzebujących chirurgicznej pomocy, a stale go miał przy sobie do operacyi golenia brody. Maryański pysznił się z tego dowodu zaufania tak uczonego męża i rósł niepomiernie w dumę. Podobne funkcye spełniał on i przy doktorze Szymkiewiczzu.

Pewnego razu zdawał Maryański Szymkiewiczowi raport o jakimś chorym bez nadziei. Wysłuchawszy go do końca rzecze ten ostatni:

— Nic dziwnego, przecież nasz ojciec ś. p. Hipokrates wyraźnie twierdzi: *Neminem captivabimus nisi jure victum*, co znaczy: nie tam sztuka nie poradzi, gdzie natura odmawia pomocy.

— Jak, jak, panie konsyliarzu, z pośpiechem zapytał Maryański, jak się wyraził Hipokrates? To warto tak ważną sentencyą zapamiętać.

Szymkiewicz powtórzył mu po łacinie ów aksjomat prawa cywilnego: nikogo więzić nie będziem, kto nie jest prawnie przekonany.

Z ciepłemi jeszcze słowy wyruszył Maryański do Śniadeckiego, któremu właśnie miał brodę golić, a opowiadając mu wśród tej operacyi o owej niebezpiecznej chorobie, z westchnieniem zakonkludował:

— Cóż robić, *neminem captivabimus nisi jure victum*, jak powiada ś. p. Hipokrates.

Nie zdradziwszy ani na chwilę zadziwienia swego — To pewnie Szymkiewicz nauczył ciebie — zapytał Śniadecki z powagą.

— Tak jest, panie profesorze, konsultowaliśmy razem nad tym wypadkiem, a że on wie, jak ja łacinę chciwie do głowy biorę, szczególnie, gdy się do mojej nauki stosuje, przytoczył więc, co w takim razie ojciec Hipokrates trzyma.

— Kiedyż bo ten Szymkiewicz, z niecierpliwością odpowie Śniadecki, jak się wczyta w jedną kartę, to dalej nie idzie, a przecie tamże trochę dalej jak wół napisane stoi: *Concordia res parvae crescunt, discordia maximae dilabuntur* t. j. w najgorszych wypadkach wezykatorya położona na karku oddala niebezpieczeństwo.

Trafiło to do przekonania Maryańskiego; zapisał sobie w pugilarzesie sentencją i załatwiwszy się ze Śniadeckim, ruszył napowrót do Szymkiewicza.

— Cóż tu robisz, zapytał ten ostatni, czy masz co nowego?

— Bynajmniej, panie konsyliarzu, ale gdy mi ten biedak nie wychodzi z głowy, o którym pan konsyliarz zawyrokował: *neminem captivabimus nisi iure victum*, to pozwolę sobie, bo tu idzie o życie człowieka, przypomnieć panu drugą radę nieboszczyka Hipokratesa: *concordia res parvae erescunt, discordia maximae dilabuntur*. Możeby się jeszcze ją dało ze skutkiem zaaplikować.

— Cóż to znaczy po polsku?

— W najgorszych razach wezykatorya na karku oddala niebezpieczeństwo, odrzekł z uczuciem wewnętrznego zadowolenia Maryański.

— Pewnie ci Śniadecki przypomniał ten aforyzm Hipokratesa. Szalona pamięć u tego człowieka. Rzeczywiście zapomniałem o nim, ale w tym wypadku na nic się to nie przyda, bo twój chory pewnie już Bogu ducha oddał.

Sam Maryański rozniósł to po mieście twierdząc, iż medycyna nie tylko nauki ale i wielkiej przytomności umysłu wymaga. Gdyby był Szymkiewicz, powiadał on, nie zapomniał o tej radzie Hipokratesa, bylibyśmy chorego wyratowali. Pożciwy to człowiek, uczony nawet, przyjemnie z nim pomówić o fachowych rzeczach, ale cóż, kiedy wczytawszy się w jedną kartę, nie widzi co na drugiej stoi. Śniadecki to co innego, wszystko umie na pamięć.

Młodzież podchwyciła te zwierzenia się Maryańskiego i żartom końca nie było.

Takich anegdot jest tysiące rozsianych wśród opowiadania jak kwiatki na tle pięknego trawnika. Ożywiają one i urozmaicają książkę, tak, że gdy zaczniesz czytać, nie chce się przestać aż do ostatniejstronicy. Na dowód jednak, że Kaczkowski umie się i poważnie zapatrywać na świat i zadanie życia ludzkiego, niech posłuży zdanie wzniosłe i szlachetne, którem też przytoczenia zakończymy:

Ciężkie jest powołanie lekarza; przez ileż to trosk i niepokojów przechodzić musi, nieznanym innym, niepojętym przez społeczeństwo. Ale też jakby w nagrodę za nie zsyła mu Bóg

czasem pociechę niedostępną dla innych, możność przyczynienia się do szczęścia ludzi, których na swej drodze spotyka. O, jedna taka chwila, ileż cierpkich i przykrych zatrze wspomnień, jaką błogością i zadowoleniem napawa duszę, ileż dodaje sił do dalszej cierniowej pielgrzymki!

St. Tomkowicz.

Przegląd polityczny.

Kraków 31 października.

Przed miesiącem można było jeszcze spodziewać się a przynajmniej ludzić, że sprawa wchodnia weźmie obrót szczęśliwy. Trudne, a dotąd w historyi nie widziane położenie rządu rosyjskiego, prześcigniętego przez opinię którą sam rozkiełznał i poszczuł, nie mogącego jej powstrzymać ani kierować, i zmuszonego wbrew przekonaniu i woli cesarza i jego kanclerza, wbrew niezbyt pomyślnemu stanowi armii i finansów, brnąć coraz dalej, ażby zabrnął w wojnę której się obawia, pozwalało przypuszczać, że sprawa cała skończy się źle dla Rosyi, a usprawiedliwiałoby nawet poniekąd domysły, czy czasem inne gabinety europejskie, a zwłaszcza te, które dotąd bywały z Rosyą najbardziej zaprzyjaźnione, nie uwikłały jej podstępnie a przynajmniej zawikłać jej się nie dały w sprawę, z której sama sobie zostawiona bez szwanku wyjść nie zdoła, ale straci w niej zawsze część swojej reputacyi potężnego mocarstwa. Widząc, że Rosya stara się w całej Europie o pożyczkę, której zaciągnąć nie może, że Porta (kierowana zapewne przez gabinet angielski) chytrze i złośliwie odpowiada na jej sommacye i ofiaruje sześciomiesięczne zawieszenie broni, słysząc te uporczywie powtarzane protestacye, że Rosya zawsze tylko w porozumieniu z innemi mocarstwami działa i chce działać, słysząc wreszcie pogłoskę (nie sprawdzoną), że swego następcę tronu wysłać miała do Wiednia, Berlina i Londynu, przychodziło się do przekonania, że z Rosyą źle, że ona to czuje sama i że próbuje wszelkich środków, żeby się wydobyć z dołu, w który sama wpaść może wykopawszy

go dla kogo innego. A jeżeli jej źle i ciasno, jeżeli czuje się tak niepewną siebie, to jaki może być powód? Nie obawa Turcyi samej oczywiście, ale obawa, że po za Turcyą stanie przeciw niej Anglia, może i Austria, a przymierze z Włochami tej obawy rozpędzić, tego niebezpieczeństwa zrównoważyć nie zdoła.

Jeżeli zaś Rosya istotnie obawia się wojny z Austryą, to oczywiście wiedzieć musi, że w tej wojnie nikt inny Austrii przeszkadzać nie będzie. Czyli kombinując to wszystko razem, dochodziło się do przypuszczenia, że Rosya nie jest pewną Niemiec, i że ten antagonizm, który między niemi kiedyś wybuchnąć musi, objawia się po raz pierwszy wyraźnie i groźnie.

I rzeczywiście polityka taka, neutralna na pozór, w rzeczy nieprzychylna Rosyi i Austrii, obiecująca sobie, że z osłabienia obudwóch skorzysta, a pod koniec wojny o losach Europy rozstrzygać będzie, byłaby bardzo naturalną, logiczną, wskazaną położeniem Niemiec, i godną trzeźwej silnej głowy niemieckiego kanclerza. „Jestem najpotężniejszym w Europie, ale mam sąsiadów za silnych przecież, a nie mniej wygodnego jak silni sąsiedzi. Jednego trzymam w szachu przez wspomnienia Sadowy, przez austriackich Niemców, przez Włochy, któremi grozić mu mogę, i na teraz, na długo jeszcze, jestem o niego spokojny. Ale drugi ma mil kwadratowych za wiele i za wiele milionów mieszkańców, ma jakąś plemienną nienawiść do Niemców, jakieś barbarzyńskie upodobanie we wszystkim co francuzkie, podobne do zamięłowania murzyna w szklanych paciorkach, i ten sąsiad dotyka moich granic na długiej przestrzeni. Dotychczas bywał prawda bardzo dobrym sąsiadem, wygadaliśmy sobie wzajemnie, raz mi się tylko sprzeciwił. Ale któż zaręczy za przyszłość? kto wie czy kiedyś nie zacięży on na mnie całą wagą swego kolosu? A więc, niech on lepiej zbyt silnym nie będzie: a więc, kiedy Pan Bóg dał, że się zaplątał w bardzo trudną sprawę, to niech się płacze dalej. Nie my zastawiliśmy mu sidła: nie mamy sobie nawet nic do wyrzucenia. Nie o nas bezpośrednio chodzi, możemy więc z honorem i ze skutkiem udawać obojętnych. A jeżeli tym czasem nasz dobry sąsiad i aliant źle wyjdzie na swoich ambitnych zamiarach, nie tylko nie zostanie patronem wielkiej aglomeracyi słowiańskiej, ale da się upokorzyć przez Anglię i Austryę, straci dużo ludzi i pieniędzy, wreszcie zaszczepi sobie niebezpieczny obyczaj pchania cesarza przez poddanych, to tem lepiej. Będziemy mieli spokój i od niego, bo na długie czasy nie będzie mógł wdawać się z nami w zatargi, a nawet jak to raz zrobił, bawić się w opiekuna i obrońcę naszych sąsiadów zachodnich.“

Taką mogła się zdawać myśl i gra dzisiejszego arbitra losów Europy. Ale najnowsze zajścia w sprawie wchodniej dowodzą, że stosunek Prus do Rosyi jeszcze do tego stopnia obawy i przewidywań nie dojrzał. Skoro Rumunia staje po stronie Rosyi, otwiera swoje granice jej wojskom i sama gotuje się do wojny, czego oczywiście bez pozwolenia Prus zrobićby nie śmiała, więc oczywiście stanowisko Prus nie jest neutralnem, ale jest stanowczo Rosyi przychylnem. Z czego znów wynika, że Rosya która przed niedawnym czasem wydawała się izolowaną w Europie i opartą jedynie o kruche przymierze włoskie, ma za sobą plecy silne i może śmiało iść naprzód: że Austria która w razie neutralności Prus mogłaby była iść za własną polityką, teraz nie może sprzeciwiać się widokom Rosyi i będzie zmuszoną dać się przez nią ciągnąć tam gdzie z własnego popędu iśćby nie chciała; czyli, że Rosya rozpocznie swoją akcyę w warunkach dyplomatycznych bardzo szczęśliwych. Czy się te warunki później nie zmienią, czy w razie powodzeń rosyjskich Niemcy nie zechcą położyć im tamy? to rzecz inna, i na to zawsze będzie czas. Ale dzisiejszy stan rzeczy dowodzi, że dotąd jeszcze nienawiść i obawa Austrii jest w Prusiech silniejszą, niż obawa wielkiej potęgi rosyjskiej, dowodzi że „kruk krukowi oka nie wykole.“

I tak stoimy przed zamkniętymi wrotami z których lada dzień wypadnie jeden ze strasznych apokaliptycznych Rycerzy, wojna, wiodąc za sobą innych. Co oni przyniosą, oprócz zwykłych klęsk, mordu, głodu, zniszczenia, zarazy, i jak ta polowa Europy wyglądać będzie kiedy oni przelecą, jaka ziemia w czyjem ręku zostanie, straszne to pytania na których rozwiązanie nie mogąc wpłynąć, możemy je tylko ze smutkiem przewidywać. Ze smutkiem, bo o ile przy neutralności Prus można było przypuszczać pomyślny obrót sprawy wschodniej, o tyle porozumienie Prus z Rosyą musi skończyć się szkodą Europy, szkodą wszystkich interesów katolickich, szkodą Polski i szkodą Austrii. A nie próbując dziś odgadywać tej przyszłości jaka grozić może Polsce lub niektórym jej częściom, trudno już dziś nie wiedzieć, że rzeczy wyglądają groźnie i smutno dla Austrii. W sprawie najniebezpieczniejszej nie móżdź robić tego co się ma za swój interes, ale trzymać się sprzymierzeńców którzy są nieprzyjaciołmi, Włoch pożądanym łakomie Tryestu, Rosyi, która otwarcie mówi o zjednoczeniu Słowian, robić to co oni chcą, z nimi razem, na ich korzyść, a na swoją szkodę, może to konieczność ale konieczność smutna. Uniknąć jej, uprzedzić ją, można było dawno temu, jeszcze w r. 1863. Wtedy był czas ratowania się od Sadowy i od nieuniknionej w przyszłości wojny z Rosyą. Dziś zapóźno: dziś trzeba konieczność przyjąć a z nią te na-

stępstwa które przed stu laty dla swoich potomków przewidywała Marya Teresa.

I rzecz dziwna, czy taki już fatalizm, umysły zdają się oswajać z tą koniecznością, uważać ją nawet za coś dobrego, pożądanego, pożądanego. Rząd opiera się jak może, odpycha myśl powiększeń i okupacyi, ale po za rządem w kołach dworskich, poniżej jego wpubliczności, myśl zajęcia Bośni czy Hercegowiny, myśl akcji wspólnej z Rosyą, zaczyna się jak słyhać podobać w Wiedniu. Sroga nauka odebrana w księstwach Nadelbiańskich poszła w las jak się pokazuje, i znowu może ochotnie pójdzie się na nową wspólną wyprawę, znowu z tryumfem, nie trudnym, zajmie się parę tureckich prowincyj, znowu muzyki wojskowe grać będą jakiś nowy *Gablenz-Marsch* ułożony na pamiątkę tych tryumfów, i znowu potem, w rok, w półtora...

I nie wszyscy w Austrii rozumieją tę prawdę tak prostą, nie wszyscy ją widzą choć jest jasna jak słońce? Jeżeli nie świeża przyszłość to dzisiejsza teraźniejszość powinna by otworzyć im oczy. Rzecz sama w sobie mała i niedorzeczna, demonstracya Peszteńskich studentów na cześć Tureckiego Sułtana czy konsula; ale ten drobny szczegół może dać miarę kłopotów jakieby sobie Austrya wszczepiła gdyby się z bogacić chciała jaką częścią tureckiej spuścizny. I o te kłopoty właśnie chodzi: dla nich to wciągana jest we wspólne akcye i okupacye, których oby jeszcze w ostatniej chwili uniknąć zdołała.

A w tem jej smutnem położeniu najsmutniejsze może to zaślepienie, ten brak politycznego instynktu i względu na interes Państwa, to głośnie odzywanie się interesów partykularnych. W Peszcie strach przed Słowiańszczyzną objawia się wiwatami dla Sułtana: niech się dzieje co chce, byleśmy byli górą nad Słowianami. W Czechach i na Morawie sympatye Słowiańskie objawiają się interpelacyą p. Fanderlika w Radzie Państwa, i mówią: niech się dzieje co chce z Austryą, byle Słowianie postawili na swoim. W Wiedniu wreszcie liberalni Niemcy podnoszą głos w interpelacyi Herbsta i towarzyszy, i mówią: „niech się dzieje co chce z Austryą, byleśmy mieli rozprawy i większość w Reichsracie, a dobry kurs papierów na giełdzie.“

Wśród tych usposobień rząd trzyma się jeszcze i trzyma świadomość austriackich interesów, jak dowodzi odpowiedź jego w Radzie Państwa na rzeczzone dwie interpelacye. Ale prócz niego, wśród tych wszystkich partykularyzmów myślących jedynie o sobie, nie wiedzieć kto myśli o całości, bezpieczeństwie i przyszłości państwa.

Kto? chyba ci, którzy własne dobro upatrując w trwałości i sile tego państwa, obawiają się dla niego zmian, choćby

na pozór i chwilowo korzystnych, które z czasem przyprawiłyby je o szkodę, jeżeli nie o zgubę: Polacy. I trzeba żeby się z tem swoim przekonaniem i stanowiskiem jasno i wyraźnie zmanifestowali. O ile nie mogąc wpłynąć na rozwiązanie kwestyi wschodniej, nie powinniśmy wysuwać się w niej naprzód i wyrwać ze słowem, o tyle milczeć nie możemy, kiedy o niej mówić zaczęto tam gdzie my jesteśmy. Skoro ma być w Radzie państwa dyskusya nad dwiema interpelacyami w sprawie wschodniej, to Delegacya polska do tej dyskusyi zdaniem naszym wchodzić powinna. Wiemy, że sprawa ta dotyka naszych najżywotniejszych interesów, wiemy i wiedzą wszyscy choć tego nie mówią, że jesteśmy niewidzialnym ale bardzo znaczącym w tej sprawie żywiołem; milczeć zatem kiedy mamy trybunę z której mówić możemy, byłoby to niejako dać do myślenia, że tych swoich interesów i swego znaczenia w tej sprawie nie czujemy, byłoby to, jak słusznie rzekł *Czas* w swoim artykule wstępnym z dnia 28 Października, abdykacyą.

Ale w jakim duchu mówić, skoro mówić trzeba i przystoi? Znajdujemy na to wskazówkę w tym samym dzienniku, którego rozum polityczny stwierdził się już tyle razy, a szczególnie że się z nim w pojęciu położenia zupełnie zgadzamy, przytaczamy jego słowa, żeby i nasze także przekonanie najlepiej określić: „Gdyby reprezentanci naszej narodowości w Radzie Państwa dali się popchnąć w jednym lub drugim kierunku, choćby o jeden krok po za afirmacyę powagi i bezpieczeństwa monarchii, stanęłoby musieli wobec najtrudniejszej i najboleśniejszej dla Polaków alternatywy; albo przeciw sprawie niepodległości, sprawie chrześcijańskiej i słowiańskiej, albo w sojuszu z najzaciętszym wrogiem i tępicielem naszej narodowości. Pierwsza jak druga alternatywa, dobrowolnie przez nas wybrana, mogłaby nas wciągnąć w kolej najniebezpieczniejszą nie tylko dla interesu, ale i dla godności narodowej... dlatego... „jedyna w obecnem położeniu afirmacya odpowiednio dla reprezentantów polskich, dałaby się ująć w słowach przestrzegania *status quo* monarchii.“ (*Czas* z 25 października 1876 r. nr. 244). I dalej (28go października nr. 247): „nie nadeszła chwila, żeby tłumaczyć stosunek naszego narodu do Rosyi, Turcyi i Słowiańszczyzny, zgoła wskazywać kierunek polityki polskiej w kwestyi wschodniej“ — my dodalibyśmy tutaj, że wystarczy przypomnieć, iż taki stosunek i taki kierunek polityki jest — „ale“ — mówi dalej *Czas* — „stanęłaby delegacya zawsze na straży naszej narodowej myśli, popierając przedewszystkiem interes monarchii, która narodowości polskiej największe zapewnia bezpieczeństwo.“

A kto wie nawet, czy taki głos w Radzie Państwa nie byłby i praktycznie bardzo przydatnym. Rząd do dziś dnia nie chce okupacyi, nie chce wspólnej akcyi, tak jak my jej

nie chcemy. Minister spraw zagranicznych już choćby tylko jako Węgier chcieć jej nie może. Ale pośród Madjarów zarządzających o interwencji na korzyść Turków, opozycji słowiańskiej, a z trzeciej strony Niemców żądających niemożliwej zupełnej inakcyi, rząd w stanowisku swoim nie ma oparcia żadnego w Izbach, a kto wie jak długo sam jeden zdołałby się na niem utrzymać. Może mu być bardzo na rękę jeżeli jedna frakcyja znacząca w Radzie Państwa podeprze go tak, iżby nie został porwanym na drogę zgubnej dla niego i dla nas okupacyi, do której pchają go wpływy zewnętrzne a nawet i niektóre domowe. Ufając, że minister spraw zagranicznych na tę drogę wejść nie chce, spodziewając się jeszcze, że Austria na nią nie wejść potrafi, zróbmy co od nas zależy, mało czy wiele ale wszystko, żeby ją w dotychczasowym dobrym kierunku umocnić. „Fais ce que dois, advienne que pourra.“

Smutne to hasło ludzi którzy na swoje losy stanowczo wpływać nie mogą, staje nam na myśli, kiedy odwróciwszy oczy od wielkich zawichrzeń europejskich spojrzymy na nasze sprawy domowe, a mianowicie na dokonane świeżo wybory do przyszłego sejmu. Życzymy temu sejmowi z głębi serca i ze wszystkich sił, żeby robił i zrobił co powinien. A życzymy niedłatego, jakoby mniej od poprzednich mógł zrobić, ale że właśnie, jeżeli potrwa, może zrobić od nich i więcej i lepiej. Rezultat wyborów jest tak dobry, tak świetny, tak przechodzący wszelkie najśmielsze nadzieje, że nad radością samą góruje zdziwienie, a po obojgu następuje strach przed wielką, uroczystą, stanowczą ważnością tego sejmu, roli, jaką mu Bóg daje w ręce, i jej skutków. We wszystkich bez wyjątku okręgach wyborczych całej jednej połowy kraju włościanie wybierają do sejmu szlachtę? W drugiej połowie, ruskiej, co o wiele jeszcze dziwniejsze i szczęśliwsze, wybrali włościan zaledwo parę, a zresztą wszędzie prawie Lachów i szlachtę? Świętojurecy, przednia straż schizmatycznej i rosyjskiej propagandy, *der Geist, der stets verneint* wszystko co polskie i co dla kraju dobre, pobici tak że ich ledwo kilku wejdzie do sejmu! Czyżby się Bóg zaczynał nad nami litować, czy przepaść otwarta między nami wiekami adskrypcyi, juryzdykcyi, i pańszczyzny a zalana krwią w roku 1846 zaczynałaby zarastać i równać się, czy doprawdy bylibyśmy przecie zrobili jaki postęp i byli na drodze do zbliżenia, do pojednania, do harmonii społecznej i harmonii uczuć? Nie śmie się wierzyć, a jednak fakt jest dotykalny, niezaprzeczony, a w tym fakcie symptom znaczący: zwycięstwa nie ma ale nieprzyjacieli się zachwiał, nie ma końca, ale jest początek. Czy jest doprawdy? Nie: to dopiero początek początku. Zrobili go chłopci, może nie wszędzie, choć po większej części z świadomością

rzeczy, ale zrobili w całym kraju. Reszta należy do nas i od nas zależy, od tego przyszłego sejmu, żeby to był naprawdę trwały i silny początek ufności i zgody między chłopem a szlachcicem w Galicyi.

I to jest ważność, to jest uroczyste dramatyczne rozstrzygające znaczenie tego sejmu, i to jest strach.

Bo nie możemy tego zaprzeczyć, ani też nie widzieć, że w tej kadencji sejmowej albo zdobędziemy zaufanie włościan na długo, albo je do reszty stracimy. Chłop galicyjski z całej Polski najbardziej względem dawnego pana podejrzliwy i niechętny, na ten raz zawierzył mu zupełnie i powszechnie, zdał na niego wszystkie swoje sprawy, jak żeby mu chciał powiedzieć: „mówisz zawsze o twojej dla mnie dobrej woli, teraz mnie o niej przekonaj.“ Wiem, że nie było między nimi mów ani narad, ale był jakiś podobny u nich popęd, kiedy mówili i nie w jednym miejscu: „wybieraliśmy dotąd chłopów i nie nam z tego nie przyszło, wybierzmy teraz pana, może nam się na co przyda;“ i jest fakt, że bez namysłu i zamiaru wszyscy jak są w całym kraju wystawili nas na próbę. Przydamy im się albo nie, przekonamy ich o naszej dobrej woli, albo nie. W pierwszym razie ta ufność dana niejako z góry, na kredyt, wzrośnie i stanie się początkiem zgody; w drugim ustąpi miejsca niedowierzaniu gorszemu niż dawne; w pierwszym razie będzie początek a może i rękojmia zgody, w drugim większy rozdział i rozbrat, w pierwszym przybędzie nam wiele siły, w drugim stracimy reszki naszej podstawy w kraju, w pierwszym posuniemy się znacznie naprzód, w drugim cofniemy się wstecz dalej niż byliśmy przedtem.

Oto nasze położenie, oto wybór, który mamy przed sobą i który od nas zależy. Ale tylko wybór, nie jego skutki. Te już logicznie i koniecznie zależeć muszą od naszego wyboru i naszego postępowania w przyszłym sejmie.

A więc, czegoż potrzeba, żeby zaufanie chłopu do szlachcica przypadkowo prawie zdobyte zasłużyć i utwierdzić? Trzeba żeby poseł szlachcic, poseł pan, przydał się chłopu w sejmie bardziej od posła chłopu; trzeba żeby ten chłop, który nam dał pełnomocnictwo nieograniczone do reprezentowania go w sejmie, nie zawiódł się na pełnomocniku, żeby zwierzywszy nam zupełnie swoje interesa i potrzeby i zdawszy się nam na łaskę i niełaskę, nietylko w tych swoich potrzebach nie był pokrzywdzonym, ale iżby widział, że o nich pamiętać chcemy a chodzić koło nich umiemy, czyli, trzeba żeby szlachta posłowie chłopscy bronili dobra chłopów lepiej i skuteczniej od chłopów samych.

A kiedy to mówimy, nie mamy na myśli komunizmów ani utopii, nie chcemy rozdawać lasów i pastwisk ani gruntów dworskich dzielić między gromady. Nie żądamy też od

posłów, żeby głosowali przeciw rzeczom dobrym i pożytecznym dlatego, że się one ich wiejskim wyborcom niepodobać mogą. Nie, zdrożnością ani niedorzecznością nie zrobi się nic dobrego. Ale też nie radzimy poprzestać spokojnie na tym wygodnym ogólniku, że poseł jest reprezentantem całego kraju i narodu, a co robi dla dobra ogółu, to już zawiera w sobie dobro wszystkich poszczególnych części. Nie, oprócz ogólnego wspólnego dobra jest wiele szczegółowych pożytków, każdy stan, każda warstwa narodu ma swoje osobne stosunki i z nich wynikające osobne potrzeby. A my, którzy o interesach ziemiańskich, o dobru miast nieraz mówimy, powinniśmy wiedzieć, że swój interes, swoje dobro, ma i chłop. Zatem nie schlebując mu ani mu powszechnego dobra nie poświęcając, robić to co może jego byt polepszyć lub zabezpieczyć. Na tej drodze był sejm, kiedy się starał o ograniczenie lichwy i pijaństwa, a z wdzięcznością uznać nam przychodzi, że rząd daje nam rzetelny dowód dobrej woli, kiedy te dwie ustawy wnosi do Rady Państwa, że ona jeżeli je uchwali, zrobi nam wiele dobrego. Otóż uchwalić to, co w naszym zakresie uchwaleniem być może, wywołać to, co wchodzi w kompetencję Rady Państwa, by ludności wiejskiej materyalnie i moralnie dopomódz, jest najpierwszem i najdonioślejszem zadaniem przyszłego sejmu, najprostszym i najskuteczniejszym sposobem do poprawy naszego społecznego stanu i naszej narodowej słabości. Niech chłop widzi, że sejm czysto polski i przeważnie szlachecki o nim myślał i pamiętał, niech uczuje że mu ulżył. Sposobności nam nie braknie. Nie chodzi o to broń Boże, by jednych dla drugich krzywdzić, i jak mówią rosyjscy filantropowie w Królestwie: „z kąd wziąć to wziąć, byle biednemu kmiotkowi dać;“ ale o to by, jak się wyraził jeden z włościańskich wyborców: „obstawać równo i sprawiedliwie za panami i za chłopami.“ Otóż, jeżeli gdzie w naszych ustawach zachodzi taka nierówność, jeżeli która z nich zbyt ciężko włościan obciąża, zmienić ją i poprawić, choćby nam samym przyszło znosić cokolwiek więcej ciężaru i niewygody; a wiemy wszyscy, że takie ustawy są, na przykład ta drogowa, która od dawina już czeka na poprawę. Do takich, do tej mianowicie wzbąć się zaraz, i słusznym rozkładem ciężarów dać zakład doarej woli, szybkim uchwaleniem zrobić wrażenie na umysł ch włościan. Z krajowemi dodatkami do podatków obchodzić się oszczędnie i ostrożnie; ostrożniej niż kiedyśmy mieli włościan w sejmie obecnych. Nakładać je tylko w mierze najpotrzebniejszej i widocznie zrozumiałej; gdyby się dało co z nich odpisać, byłoby bardzo szczęśliwie. W inne szczegóły wdawać się zawcześnie; te przykłady wystarczą na oznaczenie dążności i zasady, której sejm trzymać się powinien, a którą jest: „dbać o chłopą bardziej i gorliwiej dlatego, że jego

w sejmie nie będzie, pamiętać o jego sprawach i potrzebach, kiedy sam nie będzie mógł ich pilnować.“

Czy ten obowiązek patryotyczny, tę rzecz na której zawiła nasza społeczna harmonia i nasza polityczna siła zrozumiemy jak należy? Daj Boże! Byłoby to dowodem, że nie sami chłopi tylko zmadrzeli i postąpili. Oni dali dowód tego postępu kiedy wybrali oświećszych od siebie, teraz kolej na nas i nasze dowody. Pamiętajmy dobrze, że chwila to ważna, pierwsza od bardzo dawnych czasów, w której lud wiejski dał szlachcie wotum zaufania: ale ta pierwsza jest stanowczą, jest jedyną, bo będzie ostatnią, jeżeli z niej nie skorzystamy żeby to zaufanie pozyskać i ustalić. Bóg sam daje nam w rękę sposobność, z której zrobić możemy bardzo wiele. Albo postawimy się silnie w opinii i ufności włościan, a z tej wyjdziemy wyżej, do ich przychylności, albo odstręczymy ich od siebie na nowo a wtedy może na zawsze. Baczmyż, żeby oni się nie zawiedli, żeby poseł pan istotnie przydał im się bardziej od posła chłopca, żeby danego nam zaufania nie żałowali i nam nie odjęli, a po tych sześciu latach sejmowej kadencji możemy się uczuć o tyle silniejszymi, że je przez całe pokolenia potem błogosławić będziemy. A gdyby i nie sześć lat nawet, gdyby jaki los zawiśnięty sejm ten przerwał, to jedna sesja dobrze w tym duchu użyta, parę uchwał poświęconych ludowi i jego dobru już może poprawić nasze względem niego położenie i zmienić jego o nas mniemanie. Jakiegokolwiek będą zewnętrzne wypadki i jakiegokolwiek obrady tego sejmu, to pewna, że choćby jednego słowa o polityce nie wyrzekł, będzie miał z mocy swojego składu ogromne polityczne zadanie i znaczenie, bo będzie mógł, nie, on będzie musiał siłę polską w Galicyi wzmocnić lub osłabić, oprzeć ją na silnej, na jedynej silnej i stałej podstawie, albo jej tę podstawę usunąć. Nigdy zebranie jego nie było tak uroczystem i tak przejmującym, nigdy odpowiedzialność tak wielką, i nigdy też słuszniej nie dało się posłom powiedzieć „caveant ne quid Respublica detrimenti capiat“ bo nigdy podobno w naszym sejmie nie chodziło tak wyraźnie i tak dotykalnie o Rzeczpospolitą samą. Starajmy się wszyscy, starajmy się wszelkimi siłami, żeby po latach sześciu czy wiele ich Bóg da, lud nas znowu do sejmu posłał, i nie już na próbę jak teraz, ale na dowód że nas ma za swoich posłów prawych i prawdziwych; reprezentujmy go rzetelnie i rzeczywiście, żeby nam w przyszłości reprezentować się dawał; zdobądźmy miejsce w jego ufności i poszanowaniu, (oby kiedyś w jego przywiązaniu), iżbyśmy jego miejsca w sejmach zatrzymać mogli aż do czasu, w którym on wszystkie nasze uczucia i pragnienia podzieli, a wtedy będziemy mogli z miejsc tych ustąpić mu się z sercem wzruszonym i podniesionym, szczęśliwi że możemy „odejść w pokój, bo oczy nasze oglądały zbawienie.“

Miejmy nadzieję, że się na wysokości tego zadania znajdziemy i poczujemy, ale starając się o to nie ręczmy za siebie śmiało, tylko się o to statecznie starajmy. A to wielkie zadanie, które sejmowi wskutku jego składu niespodzianie przypadnie, nie jest jedyną okolicznością, która zwiększając jego odpowiedzialność zmusza go do wielkiej na siebie uwagi. Dotychczas, kiedy Sejm bądź zalegał z robotami, bądź ważnych spraw nie tykał, bądź rozwiązywał nie tak zupełnie dobrze jak był powinien, bądź zrobił jaki krok politycznie błędny, miał wymówkę często dobrą, zawsze pozorną; miał w swoim gronie wielu nieoświeconych i wielu nieprzyjaznych, nie miał dość sił do pracy, a miał na każdym kroku zawady. Dziś ta wymówka ustaje, dziś jeżeli w sejmie robi się co złego lub co dobrego zaniedba, odpowiedzialność spadnie na nas samych. Dziś nikt nie powie i my sami powiedzieć nie będziemy mogli: „to nie nasza wina, to chłopci nie pojmują, to Świętojurcy umyślnie szkodzą.“ Dziś chłopów niema, Świętojursów jak żeby nie było w sejmie, dziś ręce rozwiązane, słowo swobodne, przeszkód wewnętrznych żadnych. O, jaki byłby wstyd i jaki smutek, jaki egzamin słabości i niedojrzałości, gdyby sprawy nasze w sejmie nie poszły teraz rażniej i lepiej niż przedtem! A są tacy, którzy się tego boją, którzy żałują prawie, że księża ruskich i włościan w sejmie nie będzie, bo przewidują, oby mylnie, że rozkiełznany z tego wędzidła, które go narodowym instynktem i interesem przecie jakoś trochę w kupie trzymało, swobodny i pewien zawsze większości polskiej, sejm dopiero pofolguje wszystkim opiniom i odcieniom opinii, i rozbije się na mnóstwo różnych grup kierowanych mnóstwem różnych doktryn i teorii, tak że sam z sobą nigdy do ładu nie trafi, i z tej jednolitej polskiej ogromnej większości robi się chaos, wieża Babel, w której federaliści i liberaliści i rezolucyoniści i rewolucyoniści i reprezentanci wiedeńskiej demokracji i niedobitki polskiej szlachecczyny et Parthi et Medae et AElamitae, mówić będą każdy swoim językiem nie rozumiejąc się nawzajem i ciągnąc każdy w swoją stronę jeden do Sasa drugi do lasa, a czas drogi, a pora sposobna, a swoboda działania, a interes polski, o którym wszyscy mówić będą, zmarnuje się na gadaniu. Czyżby tak źle być miało? Nie: nie wierzymy i nie spodziewamy się, Ale znając naszą naturę, znając wady i nałogi naszego charakteru, znając historię naszych przedrobiorowych i porobiorowych sejmów, zaprzeczyć nie możemy, że smutne doświadczenia przeszłości usprawiedliwiają te czarne wróżby na przyszłość. Zaprzeczmy wróżbom, zawstydzmy wróżbitów, i pokażmy, że nie sam tylko lud wiejski dojrzał i postąpił, że nie potrzeba nam wiecznie obecnej straży i strachu wrogich świętojurskich kozaków, iżbyśmy między sobą o sobie dobrze rozumnie i na pożytek sprawy radzić umieli.

Wszelako pewności nie ma, czy z tej dobrej sposobności równie dobrze skorzystać zdołamy, i dla tego rzekliśmy wyżej że wybory wypadły tak dobrze że aż strach. Ale jeżeli jest cokolwiek niespokojności, to jest w tych wyborach wiele i bardzo wiele pociechy. Przedewszystkiem w świetnie stwierdzonym zdrowym rozsądku ludu. Bo jeżeli nawet w głosowaniu jego nie było zupełnie większej do szlachty ufności, a przecież ona była, to samo zrozumienie, że ludzie nie wykształceni w sejmie pożytecznymi być nie mogą, jest już wielkim postępem. A i o tem przepomnieć się nie godzi, że w wielu, może we wszystkich okręgach, nie jeden wyborca dowiódł takiej znajomości spraw krajowych i tak zdrowego o nich sądu, jakichbyśmy może nie byli u nich przypuścili. A nadto dowiedli jednego jeszcze bardzo wielkiego przymiotu, to jest karności w głosowaniu, wierności w przyrzeczeniu, stałości w raz powziętem zdaniu. Warto uważać, jak tym razem głosy się nie rozstrzeliwały, jak nigdzie prawie nie było potrzeby głosowań powtórnych. Gdzie walka była, tam zawsze prawie było dwóch tylko kandydatów, a każda strona zgodnie i wierne głosowała na swego. Zwycięzca wychodził z urny, ale zwyciężony miał zawsze poważną mniejszość za sobą. I to jest także wyraźną oznaką zwiększonej dojrzałości i wyrobienia się wyborców.

Z radością przychodzi powiedzieć to samo o wyborach miejskich. Nietylko wypadły dobrze, ale i dobrze szły. Nie było takich jak dawniej walk roznamiętnionych osobistością nie było oskarżeń ani replik, nie było tych przedwyborczych burz, które pamiętamy z lat dawniejszych; same nawet zebrania przedwyborcze lwowskie, naszym zdaniem za liczne i za długie, miały cechę pewnej czczości, ale nie były ani burzliwe ani szkodliwe. Rezultat zaś jest ze wszech miar pomyślny, a nie najmniej z tego powodu, że w sejmie będzie kilku posłów Izraelitów wybranych nie dlatego, jakoby byli reprezentantami odrębnej całości, ale dlatego, że są zdolnymi szanownymi ludźmi, dobrymi Polakami i obywatelami.

Z szczególnem zajęciem czekaliśmy wyborów z większej własności. Dawniejszymi czasy nie były one tak ciekawe. Pевна liczba pożądaných w sejmie kandydatów rozdzielała się między obwody, wiedziało się, że ci kandydaci przejdą z pewnością; każdy miał nawet swoje miejsce, z którego tradycyjnie bywał wybranym. Dziś większa część dawnych posłów szlacheckich przeszła w wyborach włościańskich a wyborcy większej własności, pozbawieni swoich kandydatów, w ostatniej chwili musieli oglądać się za nowymi i na nich zgodzić. W chwili, w której piszemy, nie doszła nas jeszcze wiadomość o rezultacie wszystkich wyborów, ale z tych, o których już wiemy, i z nazwisk wielu kandydatów, możemy powziąć dobrą

nadzieję. Spodziewamy się, że te wybory, najłatwiejsze, bo kierowane zawsze jedną patryotyczną myślą, zapełnią luki zastawione jeszcze w składzie Sejmu przez wybory z dwóch innych kuryi, że otworzą wrota nie jednej zdolności dotąd posuniętej, sposobem dla nas wyznajemy niepojętym, jak pan Małecki na przykład, jak pan Sawczyński, poseł od lat tylu, tak potrzebny jako jeden z najlepszych w kraju znawców spraw wychowania, tak niepospolicie wymowny. Że dzięki wyborcom z większej własności ujrzymy w sejmie nie jedną siłę nową, nie jedną zdolność pożądaną. Z wielką radością na przykład czytaliśmy na liście kandydatów nazwisko profesora Tadeusza Pilata, którego lata tylko nie dopuszczały dotąd do krzesła należącego się słusznie jego zdolności, rozległej znajomości stosunków krajowych, i rzeczywistym już oddanym usługom. Kilku nowych posłów w tym rodzaju, a zwłaszcza wziętych z poza koła, zawsze nieco ciasnego, samych „possessionatów“, a będziemy mogli się cieszyć i chlubić, że wybory szlacheckie wypadły w swoim rodzaju tak szczęśliwie jak włościańskie i miejskie. Ufamy, że przed dzisiejszą nocą ta nadzieja zamieni się w pewność, i że można będzie powiedzieć: *„tout est pour le mieux dans le meilleur des:“* Sejmy. Niestety ten skład jego tak pomyślny wygląda na nową ironię losu. Przez piętnaście lat ten sejm ile razy chciał zrobić co dobrego znajdował w sobie samym takie przeszkody że z ich łaski musiał stracić marnie wiele czasu sił i pracy. Teraz przeszkód tych niema, teraz ręce rozwiązane, a bodaj czy nie po niewczasie. *Wer weiss, was uns die nächste Stunde schwarz-verschleiert bringt*, i czy ten sejm swojego sześćoletniego terminu dożyje? Daj Boże, ale jeżeli nawet miałyby się zebrać na jeden raz tylko, niech pamięta, że i jedna dobrze użyta sesja może się przydać, może zostawić pamięć i ślad dobrego wrażenia, jeżeli wrażenie takie wyrzucić potrafi; niech ma przytomną zawsze mądrą maksymę francuzką: *„fais ce que dois“*, i drugą polską Andrzeja Zamoyskiego, który mawiał, że kto by nawet jutro miał umierać powinien pracować tak, jak żeby miał żyć wiecznie.

Od Redakcyi.

AUGUST BIELOWSKI

† 12 października 1876 r.

Rok, który nam zabrał z grona naszego Aleksaudra Fre-drę, poszukał sobie drugiej ofiary w najpoważniejszym z historyków naszej ziemi, Bielowskim. Niespodziewana, nagła śmierć zabrała podeszłego wprawdzie w leciech, ale pełnego czerstwości ducha a pozornie widać i ciała badacza, wśród pracy rozpoczętej nad wydawnictwem III tomu Monumentów historycznych Polski (d. 12 Października). Zastało go rodzina nieżywego w łóżku, gdy właśnie za kilka godzin, z zwyczajną powagą i spokojem, a zarazem z wewnętrznym zadowoleniem dobrze spełnionego obowiązku miał stanąć na mównicy i wśród dorocznego zgromadzenia Zakładu donieść o rozpoczętym nakładem Akademii Monumentów druku, o wysłym świeżo staraniem Zakładu pięknym *Kodeksie tynieckim*, o przybytkach i rosnących zbiorach Zakładu. Nauka w Polsce, nauka dziejów naszych, patrząc na tego, który tak niespodziewanie zasnął snem wiecznym, mogła powiedzieć sobie z boleścią: Straciłam owoce kilku, kilkunastu lat życia tegiego i wytrwałego pracownika, bo któż mu ich, któż ich pracy około historii naszej jeszcze nie sądził?!

August Bielowski był jedną z tych postaci w naszym społeczeństwie w naszej literaturze, które wyobrażały najlepiej przełom jej z doby twórczej, poetycznej w dobę krytyczną, naukową. Rozpoczywał swój zawód pisarski w kraju mało rozbudowanym pod względem życia umysłowego, kraju, któremu długo wystarczała stara urzędowa Gazeta lwowska i dodawane do niej

Rozmaitości. Pierwszym jego objawem na polu literatury polskiej był „Haliczanin“ Chłędowskiego, z r. 1830 się zjawiający a odbijający odrazu to, co poruszało literaturę polską tego czasu; romantyzm i ludowy, trochę słowianofilski kierunek, filozofią niemiecką, nadewszystko zaś gorące uczucia narodowe, których objawy liczyć się musiały z drażliwą cenzurą ówczesną. Fredro ozdabia Haliczanina swoim wizerunkiem, jako najlepsze polecenie ówczesnej literatury galicyjskiej, obok Chłędowskiego, Leszka Borkowskiego, Nabelaka, Kamieńskiego, spotykamy się już w pierwszym tomie z Bielowskim jako poetą. Tej doby poetycznej pomnikiem pozostało piękne tłumaczenie Wyprawy Igora na Połowców i udatna powieść historyczna: Henryk Pobożny.

Niebawem r. 1831 ujrzał poetę w szeregach wojska r. 1831, gdzie przy obsłudze jednej armaty, w jednym sztyku kawalerii lub piechoty stało nieraz po kilka znakomitości literackich, które przez długie potem lata na nieprzyjaciół narodowości, skuteczniejsze od ołowianych miotali pociski.

Na różne drogi, w służbie zawsze jednej, ale jakże różnej co do skuteczności i pożytku, porozpraszali się towarzysze broni po szerokim świecie. August Bielowski był jednym z tych, co bardzo wczesnie wybrał zawód trwałego dla swej ziemi pożytku. Nie rozstając się stanowczo ani z poetycznem życiem swego czasu, czuł on coraz więcej uroku w poszukiwaniach historycznych i zagłębiał się w nich, o ile pozwalały na to ówczesne stosunki i środki naukowe. W r. 1834 i 1838 widzimy go jako redaktora Noworocznika literackiego: Ziewonii, w którym gromadzą się wybitne literatury czerwonoruskiej imiona: Siemieński, Magnuszewski, Goszczyński, Borkowski — występującego z pracą: Piśmiennictwo u Słowian; w r. 1843 wydaje Bielowski z obszernym wstępem poezye Malczewskiego; w r. 1850 czyni pierwszy krok na polu historii badawczej przez swój „Wstęp krytyczny do dziejów Polski.“ hipotezy pracowitej ale fantastycznej a wywołanej niezawodnie gorącą chęcią dania narodowi jak najświetniejszych początków, nie zostało dzisiaj uic; krytyka swoja i obca usunęła ją zupełnie, sam autor się z niej wycofał, ale powstał zawsze około tej książki ruch wielki, który nie był bez dobrych dla naukowej literatury owoców, a Bielowskiego trwale związał z najdawniejszymi pomnikami dziejów naszych. Prócz upadłego przypuszczenia o Miorszu (Dziarswie), prócz narzuconych Kadłubkowi interpretacji, część „Wstępu“ mieszcząca w sobie przegląd pisarzy naszych najdawniejszych, pozostanie zawsze w historii nauki pierwszą poważną próbą zrobienia tego, co dla Czechów uczynił Palacki, dla Niemców Dahlmann i Wattenbach.

Wstęp „był owocem długiej“ piętnastoletniej pracy, nie dziwota, że się Bielowski przywiązał do jej rezultatów, że „jej

broniał jeszcze w „Rzucie oka na dotychczasową pierwotną historję polską“ (1853). Co było w tej pracy obłędem, ustąpić musiało przed światłem krytyki, co było pracą i gruntowną znajomością rzeczy zużytkowanem zostało wybornie w pomnikowym dziele *Monumenta Poloniae historica*.

Po kilku latach mozolnych przygotowań w r. 1864, pojawił się nareszcie tom pierwszy *Monumentów* mieszczący prócz wyjątków z pisarzy obcych, dzieje nasze pierwotne objaśniających, dwa żywoty Ś. Wojciecha, Marcina Galla, kronikę węgiersko-polską i *Latopis Nestora*, redakcyi Bielowskiego i obranego przezeń grona współpracowników, owoc mozolnych jego poszukiwań za kodeksami rozproszonemi po świecie.

W ośm lat potem, *Monumentów* tom IIgi objął Żywociarzy ś. Ottona, Kadłubka, Boguchwałę, Janka z Czarnkowa i znaczną część *Annalów*. Wydaniem Kadłubka, chociaż niewolnem jeszcze od dawnej hipotezy, pod względem staranności, liczby zestawionych kodeksów i tekstów, nieporównanem, zajmował się sam Bielowski. Do niego należał też w *Monumentach* plan całości, poprawność edycyi, mnóstwo objaśnień i dysertacyi w przypisach, on był duszą i motorem całego ogromnego przedsięwzięcia.

Na lata pracy około *Monumentów* przypadało wiele innych: w 1861 wzorowe wydanie i przedmowa do pism Stanisława Żółkiewskiego, redakcyja Biblioteki Ossolińskich (tomów 12 od 1862—1869) i pełne wartości naukowej rozprawy jego tamże: *Królestwo Galicyi*, *Mistrz Wincenty* i jego kronika polska; *Halicko-włodzimirskie księstwo*; *List do Helcla o dyplomacie Mogilnińskim*, *Święty Otto* i jego żywociarze; *Skarb koronny w r. 1730*. Po raz drugi w życiu stawał Bielowski w gronie najznakomitszych sił literackich kraju, jako założyciel pisma, które, pełne cennych prac, wskutek opłakanej obojętności ze strony świata czytającego a raczej nieczytającego, zamkniętem być musiało.

Po ustaniu Biblioteki, rozpoczął Bielowski coroczne sprawozdania Zakładu, zawsze opatrzone cennym jakimś nabytkiem historycznym, jak ostatnie mieszczące pamiętnik Jerzego Ossolińskiego z lat jego młodości.

Wybrany członkiem Akademii Umiejętności, ozdobił Bielowski jej *Pamiętnik*, piękną i gruntowną o Szymonie Szymonowiczu pracą. Jeden z najczynniejszych Akademii członków, niewahający się oddać publiczne świadectwo jej usiłowaniom, gdy najbardziej na nią krzychało warcholstwo, Bielowski przewodniczył gronu członków komisji historycznej we Lwowie, która wspólnie z nim objęła wydawnictwo dalszego ciągu *Monumentów*, przechodzących odtąd w nakład Akademii. Wśród pracy nad III tomem, zostającym pod prasą, zaskoczyła śmierć nieodżałowanego pracownika i badacza.

Bielowski pomimo chybionej hipotezy swojej, która swego czasu dużo hałasu narobiła, szczególnie z przyczyny w związku z nią zostających fragmentów Troja Pompeja, używał powszechnego i dobrze zasłużonego zagranicą szacunku. Znano go wszędzie jako głównego badacza najstarszej historii naszej a gotowość, z jaką mu nadsyłało najrzadsze kodeksa i zawiadomiono o najnowszych odkryciach, świadczyła chlubnie zaufaniu, które budził jako fachowy w zawodzie swoim. Fachowość ta przez ostatnie dwa dziesiątki lat usunęła go z innych pól publicznego życia, zamknęła w kole ścisłej nauki. Nie zmieniała ona jednak jego natury, dostępnej wszystkiemu, co piękne, szlachetne, poruszające. Do pracy nad prastaremi dziejami naszymi wiodły go zawsze jedne pobudki najgorętszych uczuć narodowych. Zasadził on na niej nie tylko chlubę swoją ale swojej ojczyzny, prowadził ją z prawdziwą ofiarnością i poświęceniem, nie myśląc o korzyściach materialnych, owszem własny byt nieraz na szwank wystawiając. Pod tym względem był to uczony dawnego, Lelewelowskiego typu. Zajęty swoją pracą zachował dla literatury i poezji, dla ruchu umysłowego i politycznego najżywsze współczucie, nie przestał być tym, od czego zaczął: idealistą i poetą. Pełna prostoty i szlachetności postać jego górowała nad współczesnemi jako pomnik epoki ubiegłej, przewodziła jako przedstawiciel dążeń dzisiejszych.

Z przyjemnością prawdziwą zapisać należy, że współudział Lwowa w pogrzebie zmarłego, był prawdziwie imponującym. Gdyby śmierć pełnego zasług i dalszą jeszcze pracę obiecującego człowieka nie była przedewszystkiem ciężką boleścią dla kraju, uznanie pośmiertne, którego Bielowski we Lwowie doświadczył, można by nazwać tryumfem cichej pracy, tryumfem nanki. Niech ono będzie zapowiedzią coraz powszechniejszego poczucia, że w ofiarnej pracy spoczywa zagadka naszego przechowania się dla lepszej przyszłości.

J. Szujski.

OBECNE PRZEŚLADOWANIE RELIGII KATOLICKIEJ W PRUSACH.

(Dokończenie).

W sam dzień wywiezienia biskupa Janiszewskiego przybił exekutor na drzwiach jego zapozew na termin w sprawie bierzmowania. Podług zwyczaju od niepamiętnych czasów istniejącego odbywało się w katedrze poznańskiej w uroczystość św. Piotra i Pawła bierzmowanie. Lud katolicki przeczuwając, że może na bardzo długo zostanie pozbawiony sposobności przystępowania do tego sakramentu, zebrał się nadzwyczaj licznie tak, że biskup w wigilią i w samą uroczystość aż do godziny 10 wieczorem bierzmował. O to tedy bierzmowanie wytoczono mu na mocy wyżej przytoczonego prawa z dnia 20 maja 1874 roku proces, wtedy, gdy już był w więzieniu, i skazano go znowu na sześć miesięcy więzienia, które obecnie odsiadyuje w Gnieźnie. Ponieważ X. biskup Janiszewski przeciw wyrokowi pierwszej i drugiej instancji założył apelacyą, proces zatem jeszcze trwał, przeto zaraz po wypuszczeniu go z więzienia wydał naczelny prezes rozkaz wydalenia go z W. Ks. Poznańskiego, Szląska, Prus Zachodnich i znacznej części Wschodnich i z obwodu regencyjnego frankfurckiego.

To nastąpiło na mocy prawa z dnia 4 maja 1874 r. o banicyi, któreśmy w całości przytoczyli wyżej. Podczas zaś kiedy odsiaduje karę, robi naczelný prezes wniosek do trybunału dla spraw kościelnych ustanowionego, o złożenie go z kanonikatu i sufraganii. A gdy się więzienie skończy, może go znowu naczelný prezes albo internować, tj. wskazać mu miejsce pobytu, albo externować, tj. z pewnych prowincyj wydalić. Z tego przykładu pokazuje się dostatecznie, jaką broń dowolną Izby podały rządowi do ręki. Nią uzbrojony może sobie dowolnie wybierać osoby, które mu są niemiłe, i bez końca prześladować.

W Gnieźnie po uwięzieniu ś. p. X. kanonika Wojciechowskiego, objął zarząd dyecezyi X. kanonik Korytkowski. Ledwo kilka aktów jurysdykcyjnych spełnił, wytoczono mu na mocy nowego prawa proces; w czasie jego trwania wywieziono go i zakazano mu pobytu w tych samych prowincjach, co biskupowi Janiszewskiemu, a potem wtrącono go na dziewięć miesięcy do więzienia w Trzemesznie.

X. biskup Cybichowski, sufragan gnieźnieński, został wprowadzie dopiero w roku 1875 skazany na więzienie i wywieziony z W. X. Poznańskiego, ale jest to także ofiara tych praw, o których właśnie mowa, dlatego tu o niej wspomnieć nam należy. Po uwięzieniu X. kanonika Korytkowskiego miała policya podejrzenie, że biskup Cybichowski wykonywa jurysdykcyą delegata Apostolskiego na archidyecezyą gnieźnieńską; został przeto narażony na te wszystkie przykrości, jakie rewizye, stawanie po sądach z sobą przynoszą. Nareszcie za to, że w Wielki Czwartek święcił, jak zwyczajnie, oleje, wytoczono mu proces o wykonywanie praw biskupich i skazano go na 9 miesięcy więzienia. Chociaż X. biskup Cybichowski nie apelował i wyrok ten w ciągu dziesięciu dni stawał się prawomocnym, jednak cztery dni przed prawomocnością wyroku użył naczelný prezes prawa banicyi i kazał go wywieść z X. Poznańskiego. W chwili, kiedy to piszemy, odsiaduje ten dostojnik Kościoła karę więzienia w Gnieźnie. Ten fakt dowodzi najdobitniej, co znaczą tylokrotne zapewniania i zaręczania rządu, że się „do spraw wewnętrznych Kościoła nie miesza.“

Wykonanie tego drakońskiego prawa z dnia 20 maja 1874 rozpoczęło się najpierw w W. X. Poznańskim i to za-

raz na wielkie rozmiary. Duchowieństwo nie było bez pewnych informacji i wskazówek. Biskupi bowiem Prus, skoro prawa te uzyskały sankcyą, zebrali się na konferencyą do Fuldy, która trwała przez 24, 25 i 26 czerwca, celem porozumienia się, jakie wobec nowych praw zająć mają stanowisko, aby o ile możliwości w postępowaniu jednostajność zachować. W konferencyi tej miał udział X. biskup Janiszewski; X. arcybiskup koloński już nie był na tej konferencyi osobiście, gdyż dnia 30 marca został uwięziony.

Do tych wszystkich klęsk, jakie w tym roku spadły na Kościół katolicki w Prusach, dodać należy śmierć pośta Hermana Mallinckrodt, jednego z najdzielniejszych i najgorętszych jego obrońców. Głęboka wiara, znajomość natury i dziejów Kościoła katolickiego połączona z gruntowną znajomością prawodawstwa i administracyi pruskiej — był bowiem przez czas niejaki radcą regencyjnym — i ścisłością logicznego rozumowania nadawały wymowie jego taką siłę przekonywającą, iż ci, którzy jej się ze znanych nam już pobudek opierali, wobec tego głosu prawdy, jaki przez usta jego przemawiał, na wstyd publiczny przynajmniej wystawieni zostali, sami bowiem już wstydu nie mieli. Z tą samą siłą uczucia sprawiedliwości odzywał się kilkakrotnie w sprawie obrony języka polskiego, żądał Bismark jemu i całej frakcyi centrum łączenie się z Polakami, a tem samem z nieprzyjaciołmi państwa zarzucał. Poległ nieledwie na placu boju, bo tuż po bitwach parlamentarnych, które z takim męstwem staczał, w końcu maja.

Niepodobna jeszcze teraz przytoczyć tych wszystkich ofiar, które pod mieczem tych nowych praw padały. Duchowni, których już tak wielka liczba na mocy praw majowych zeszłorocznych ukarana została, byli podobnie jak przytoczone wyżej przykłady dowodzą, skoro tylko opuścili więzienie lub nowy im wytoczono proces, wywożeni najpierw z pewnych powiatów, a później i z całych prowincyj. Wszyscy nieledwie ci, którychśmy już wyżej wymienili, ulegli temu losowi. Było to i jest prawdziwe polowanie na duchownych. Zdawało się i zdaje się dotąd czasem, jak gdyby policya pruska nie miała innego zatrudnienia krom szukania duchownych „niemajowych.“ Celem scharakteryzowania sposobu, w jaki się te egzekucye

odbywały, i wzorowego usposobienia i zachowania się przy tego rodzaju scenach ludu, przytoczę jeden tylko przykład.

X. Ignacy Warmiński — przytaczam umyślnie imię dla różnicy od Teodora, całkiem mu niepodobnego — został wbrew prawom majowym przeznaczony na wikaryusza do Buku. Skoro tylko zaczął obowiązki do swej posady przywiązane pełnić, zaraz na wniosek landrata i prokuratora ścigano go procesami tak samo jak tuż potem i współpracownika jego X. Barcikowskiego. Jak tylko procesa były w biegu, rozkazał mu landrat na mocy prawa o banicyi wynieść się z Buku i nie przebywać w powiecie Bukowskim, Szamotulskim i Poznańskim. X. Warmiński nie ruszył się dobrowolnie z miejsca. Przyszedł tedy rozkaz, aby go miejscowa policya gwałtem wywiozła. Lud tymczasem oblegał jego mieszkanie we dnie i w nocy, ale się zachował spokojnie. Dnia nareszcie 17 lipca przybył rano o 5 żandarm do jego mieszkania z wezwaniem, żeby przybył na policyą, zkąd wywieziony zostanie. Nie uczynił tego, ale nie stawiał oporu, gdy go żandarm schwycił i na policyą zaprowadził. Chodziło teraz o furmankę, którą go żandarm miał wywieść za granicę wymienionych powiatów. W całym miasteczku nikt na ten cel nie chciał dać swoich koni. Ledwo około godziny 11 wzięto gwałtem żydowi, który miał dorożkę, jednego konia, którym go żandarm wywiózł z miejsca. Lud tłumami zgromadzony płakał i zębami zgrzytał, ale czynnego nie stawiał oporu. Żandarm wyjechawszy na wskazaną granicę, chciał z tej biednej furmanki wygnać złożyć na polu. X. Warmiński oparł się temu, a żandarm nie mogąc oporu jego przełamać, przywiózł go aż do najbliższej wioski, gdzie kapłan ten w ubogiej chacie znalazł chwilowe przynajmniej schronienie. Dnia 25 lipca taki sam prawie zaszedł przypadek w Łopienniu z X. wikaryuszem Powałowskim, którego tamtejszy burmistrz miał odstawić na dworzec kolei żelaznej do Gniezna.

Te dwa przykłady niech posłużą za dowód, w jaki sposób prawo o banicyi było i po największej części jest wykonywane, ile przykrości, upokorzeń i udręczeń znosić musieli i muszą kapłani, którzy albo już zostali więzieniem ukarani, albo go dopiero wyczekiwali. Byli to po największej części kapłani młodzi, ale już w tym roku przyszła kolej i na generacye starsze.

Jaki ucisk spowodowało zastosowanie prawa z dnia 20 maja 1874 r. pod względem administracyi majątków kościelnych i plebańskich na duchowieństwo, dziś niepodobna także jeszcze w szczegółach opisać. Ogólne spostrzeżenia dostateczne dadzą wyobrażenie o krzywdzie, jakiej pojedynczy plebani i proboszczowie doznali.

Komisarzy do zarządu majątku kościelnego wyznaczył rząd dwóch, jednego na archidiecezyą poznańską w osobie pana Massenbacha, ówczesnego landrata powiatu poznańskiego, a drugiego na archidiecezyą gnieźnieńską w osobie pana Nollau, landrata gnieźnieńskiego. W chwili, kiedy to piszemy, donoszą pisma publiczne, że pan Nollau urząd ten komisarza złożył na ręce pana Massenbacha, który, za pomocą dotychczasowego prokuratora gnieźnieńskiego Perkuhna, ma także objąć administracyą majątku kościelnego w archidiecezyi gnieźnieńskiej.

Dotychczasowe prawodawstwo pruskie wymagało i wymaga do ważności aktów sądowych wszelkiego rodzaju, które pleban czy to w interesie majątku kościelnego czy plebańskiego spełniał, upoważnienia piśmiennego biskupa dyecezanego lub jego oficyała, a potem potwierdzenia spełnionego aktu. Wszystkie zatem kontrakty dzierżawne gruntów, sprzedaże, pożyczki kapitałów, ich odbieranie i wymazanie z hipotek, wymiana listów zastawnych i odbieranie za wylosowane waluty, uchylanie z obiegu publicznego i puszczanie ich znowu w obieg i t. d., wszystkie tego rodzaju sprawy nabierały wobec prawa wtenczas dopiero ważności, kiedy do nich dał biskup lub jego zastępca, oficyał, upoważnienie resp. potwierdzenie. Miejsce złożonego z urzędu biskupa zajęli w tej mierze na mocy co dopiero wydanego prawa komisarze królewscy. Dla duchowieństwa przeto katolickiego wywołała ta zmiana trudną nader kwestyą, czy im się godzi z przedstawicielem uzurpatora władzy biskupiej wchodzić w tej mierze w styczność urzędową lub nie, czy im się godzi przez opór ten narazić majątek plebański i kościelny na rozliczne i dotkliwe straty, a nie żądać ani upoważnień ani potwierdzeń ani składać rocznych rachunków kasy kościelnej, jak je składali właściwemu biskupowi lub jego oficyałowi czyli konsystorzowi. Duchowieństwo W. X. Poznańskiego poszło z nader małemi wyjątkami

za dobrem i prawdziwym natchnieniem i wołało siebie, majątek plebański i kościelny narazić na straty doczesne, niż znieważyć zasady Kościoła. Postanowiło zatem nie wchodzić z uzurpatorem władzy biskupiej w żadne urzędowe komunikacye, t. j. ani do niego o nic nie wnosić, ani na żadne jego wezwania i zapytania odpowiedzi nie dawać. Opór ten czysto bierny i nie ugięty, ale zdrowiem, egzekucyami, fantowaniem i utratą często całego mienia wielu kapłanów okupiony, należy do najświetniejszych pomników, jakie sobie w ciągu tego prześladowania duchowieństwo archidyecezyi poznańskiej wystawiło. Zobaczmy zaraz, że archidyecezya gnieźnieńska nie była na tak srogie prześladowanie w tej mierze jak poznańska wystawiona, nie miało także jej duchowieństwo tyle sposobności do okazania swego poświęcenia.

Z dwóch do tej administracyi ustanowionych komisarzy, gnieźnieński, pan Nollau, przyjął system łagodny, wymierzał na nieposłusznych kary porządkowe rzadko, a oprócz tego małe, dla tego duchowieństwo archidyecezyi gnieźnieńskiej nie doznało z tej strony ciężkiego prześladowania.

Pan Massenbach, komisarz poznański, przeciwnie, wymierzał kary częste i odrazu najwyższe, do jakich miał prawo, ztąd ucisk dla duchowieństwa częstszy i cięższy. Nie podobna tu wymieniać, ilu kapłanów postradało tym sposobem znaczną część swego mienia, a niektórzy całkowite roczne lub trzyletnie swoje utrzymanie. Dość, że od 9 czerwca 1874 aż do 1 października 1875 r., gdzie prawo o zarządzie majątków kościelnych przez dozory kościelne temu uprawnionemu rabunkowi koniec położyło, ściągnął pan Massenbach z duchownych katolickich dyecezyi poznańskiej przeszło 50,000 talarów kar porządkowych za to, że nie chciało z nim wchodzić w urzędową korespondencyą. Z pojedynczych przykładów jeden tylko przytaczam, aby dać wyobrażenie czytelnikowi o tem, co duchowieństwo, o którym mowa, wycierpiało. X. Theinerta, dziekana śmigielskiego, kilkakrotnie wyfantowano najpierw, zabrano mu i wyprzedano z inwentarza, co tylko miał, pozostawiono mu ze sprzętów domowych to tylko, co do najniezbędniejszych potrzeb człowieka służy, a prócz tego obłożono aresztem wszystkie jego dochody, jako to: dzierżawę z gruntów, meszne i t. p. na przeciąg trzech lat, tak, iż na całe

przyszłe trzy lata żadnego nie ma utrzymania. Takie jest w Księstwie wykonanie prawa.

Czy różnica ta postępowania pomiędzy jednym komisarzem a drugim jest tylko skutkiem osobistego usposobienia charakterów, czy też instrukcyi z góry, nie wiadomo. Wnosić jednakże należy, że ostatnie przypuszczenie jest prawdziwem. Różnica bowiem pomiędzy postępowaniem jednego, a drugiego jest tak uderzająca, iż jej wobec tego samego zwierzchnika, którym jest prezes naczelny i minister spraw duchownych, na karb osobistych skłonności kłaść prawie niepodobna. Najprostsza wydaje się być rzeczą, że rząd sam się chciał z doświadczenia przekonać, która z tych dróg pewniej doprowadzi do celu. Dzięki Bogu i stałości duchowieństwa, że go obiedwie zawiodły. Bo ani ci, którzy byli łagodnie, ani ci, którzy byli okrutnie traktowani, nie uznali w komisarzach uzurpowanej powagi biskupiej.

Jak zatem w administracyi majątku biskupiego i dyecezanego doznał rząd zawodu jak najzupełniejszego w zmuszaniu duchowieństwa do uznania stolicy arcybiskupiej za wakującą, tak niemniej omyliły go oczekiwania i rachuby na słabości i korupcyą mas ludu. Obdarzyć lud nie tylko prawem wyboru swego plebana kosztem patrona, ale nadto władzą misyi kanonicznej kosztem sponiewierania władzy biskupiej, wydawało się rządowi tak zwodniczą dla ludu pokusą, iż jej się oprzeć nie zdoła. I w rzeczy samej jest to jedno, iż tak powiem, z najcudowniejszych zjawisk w tem prześladowaniu. Lud prosty, bez nauki, ale znający katechizm i mający sumienie chrześcijańskie, lepiej rozumiał, niż reprezentanci „umiejętności niemieckiej,” co mu się godzi, a co nie, i odepchnął od siebie stanowczo ten na pozór wspaniały dar, którym rząd ich dusze zatruć usiłuje.

Podług paragrafu 16 wystarcza wniosek dziesięciu pełnoletnich członków parafii do spowodowania w miastach burmistrza, a po wsiach landrata do zwołania parafii całej, wybrania kapłana i powierzenia mu posady duchowej. Czyż podobna lekkomyślniej i swawolniej rzecz takiej wagi, jaką jest pasterstwo kilku tysięcy dusz, rzucić na pastwę namiętności, sporów i kłótni parafian? Jakże łatwo w parafii liczącej kilka tysięcy dusz znaleźć dziesięć indywiduów złych lub lek-

komysłnych, które się dadzą użyć za narzędzie władz rządowych do spełnienia takiego świętokradztwa i zaburzenia całej parafii! Izaliż rząd nie ma tysiąca środków wpływania przez swoje liczne organa, a mianowicie w W. X. Poznańskim przez komisarzy obwodowych na wywołanie takiej burdy w kościele? A chociażby się dziesięciu tylko na zgromadzenie przez landrata zwołane zebrało, jednak większość ich decyduje i może parafii narzucić jakiego zbiega lub „starokatolika“ na duszpasterza, bo większość obecnych na terminie decyduje. Jakże to było wszystko obliczone na obałamucenie sumień, na ujęcie sobie serc i podrażnienie namiętności ludu! Wszystko nadaremnie. Do chwili, w której to piszemy, nie było jeszcze mimo tak licznych wakujących parafij ani jednego przypadku, w którymby się lud był dał obałamucić i z szalonego prawa mu przyznanego korzystał.

W Landsbergu nad Wartą wynalazł wprawdzie wpośród gminy katolickiej landrat 10 indywiduów, które wniosek taki do niego podały, ale jakież nastąpił skutek? Na termin stawili się wszyscy katolicy i oświadczyli prócz dziesięciu zdrajców, że do wyboru nie przystąpią i nie chcą do utrapienia, jakiego już doznają z powodu wydalenia ich prawego pasterza, dodawać jeszcze świętokradztwa. Odtąd nie poważył się rząd wystawiać swojej powagi wobec mas prostego ludu na takie fiasko. Organa jego, a mianowicie komisarze, którzy w ciągłej z ludem zostają styczności, nurtują jak mogą, aby ich skusić do tego aktu, jak nam to wiadomo szczególnie o Parchaniu, alo daremnie. Lud woli znosić największe niedogodności, chodzić o milę drogi na nabożeństwo i do Sakramentów śś., aniżeli przywłaszczać sobie w świętokradzki sposób prawa biskupie. W tym punkcie szczególnie najmniej się rząd spodziewał zawodu.

Udało się wprawdzie rządowi w tych probostwach w Poznańskim, na Szląsku i w Prusach Zachodnich, w których sam ma prawo patronatu, i w Książu, gdzie protestant prawa te wykonywa, przeprowadzić gwałtem przepis paragrafu 13 tego prawa i pod eskortą żandarmów odstępców od Kościoła narzucić parafiom i oddać im dochody plebańskie; ale czyż temi gwałtami choćby o włos wymógł na katolikach uznanie swoich praw? Najemnicy ci siedzą na swoich posadach i zja-

dają ich dochody, ale trzoda ich odbiegła, kościoły ich puste, Sakramentów śś. z rąk ich nikt nie przyjmuje, zmarłych swoich chowają sami parafianie bez kapłana, co więcej, umierający zaklinają pozostałych, aby nie dopuścili, żeby ich zwłokom, kiedy na wieczny spoczynek składane będą, towarzyszył kapłan przeniewierca. Nieszczęśliwi ci parafianie udają się do sąsiednich kościołów i szukają w nich zaspokojenia swoich potrzeb religijnych, a dla tych najemników rządowych mają tylko pogardę. I wieluż udało się rządowi znaleźć takich Judaszów? Na całe W. X. Poznańskie, które jeszcze liczy około 800 duchownych, dwóch, Kubeczaka i Kolanego, Kicka bowiem zapisać sobie musiał ze Szląska, w Prusach zachodnich jednego, w Szląsku na 1200 duchownych, jeśli się nie mylę, pięciu, licząc w to Kicka, w innych zaś prowincjach jeszcze o żadnym przypadku nie słyhać. Cóż to za marny i nikczemny procent? W jakiejż proporcji znajduje się ten procent z zabiegami i wysileniami rządu? Warteż były te wyteżenia, zabiegi, podstępny i kłamstwa takiego rezultatu? Wartoż było deptać najświętsze prawa katolików, burzyć gwałtem Boską konstytucję Kościoła, ranić do żywego serca katolików, łamać traktaty, przyrzeczenia królewskie równające się przysięgom, aby kilku wiarołomcom dać dochody proboszczowskie i wywołać tem zaciętszą, tem stateczniejszą opozycją ludności katolickiej? Z tego wszystkiego pokazuje się dostatecznie, że rząd dalsze musiał i musi mieć cele, o których mówiliśmy na wstępie. Tak wielkich i na przyszłość ryzykownych wysileń nie robiłby rząd dla osiągnięcia takich błahych rezultatów, albowy się z takiej niepomysłnej dla siebie walki coprędzej wycofał, gdyby nie miał innego celu t. j. wytepienia Kościoła katolickiego w Prusach resp. w Niemczech.

Ile na takim przeprowadzeniu praw najniesprawiedliwszych pod słońcem i lud katolicki ucierpiał i do tego czasu cierpi, łatwo w takim położeniu rzeczy zrozumieć. Dość bowiem już dla katolików przykrości być bez kapłana, ale stokroć przykrzej mieć narzuconego sobie gwałtem wiarołomcę i patrzeć codziennie na ten dom Boży, w którym niedawno jeszcze każdy parafianin znajdował pociechę w utrapieniach i boleściach, do którego budowy i ozdoby swoim ciężko za-

pracowanym groszem się przyczyniał, opuszczony i ciąglem świętokradztwem splamiony.

Nie mniej i duchowni narażeni zostali przez te gwałty na rozliczne utrapienia i prześladowania. Wspominam tu tylko X. dziekana Rzeźniewskiego, który dopełniając z prawdziwie chrześcijańską odwagą swej powinności, wyniósł wobec żandar-mów Najświętszy Sakrament z kościoła w Książu w chwili, kiedy progi jego samozwaniec przestępował. Bez oglądania się na to, co nań spadnie, rzucił z wyższego polecenia dnia 6 września w sąsiednim kościółku w Włoskiejewkach ekskomunikę na przestępcę i dał tym krokiem pewne zadośćuczynienie zranionym i zboląłym sercom ludu, który był świadkiem tej świętokradzkiej sceny. Gorliwość kapłańska, takt i odwaga zasługują w X. dziekanie Rzeźniewskim na uwielbienie. Ścigany ze wszech stron przez władze rządowe uległ podobno ciągłym niepokojom i jest ciężką złożony chorobą. Niemniej i X. Bąk, wikaryusz tamtejszy, ucierpiał dla wierności duchownej Kościołowi. Prócz więzienia i wygnania, które zniósł, samo piastowanie urzędu wikaryusza obok samozwańca, jak Kubeczak, jakąż to musi być plagą dla prawego kapłana. Oczywiście wszyscy wierni katolicy, którzy ze zdrajcą Kościoła żadnej nie chcą mieć wspólności, cisną się do wikaryusza, a ten jest przedmiotem zazdrości, nienawiści i zemsty. To samo dzieje się i teraz na Szląsku w Wielkiem Strzelczu (Gross-Strehlitz), gdzie niejaki Mücke w taki sam sposób został proboszczem, jak Kubeczak w Książu. Dwaj wikaryusze tamtejsi muszą zaspakajać potrzeby religijne parafian po domach. Ztąd proboszcz mści się na nich przez denuncyacye i procesa.

Rzucenie publicznie ekskomuniki na księdza Kubeczaka, w którą już samem wdarcie się do kościoła w Książu popadł, wywołało dalsze pasmo prześladowań, X. dziekan bowiem Rzeźniewski wyrzekł ją z upoważnienia „Delegata Apostolskiego.“ Rozpoczęły się tedy od 6 września polowania i gonitwy na owego delegata tak w archidiecezyi gnieźnieńskiej, jak poznańskiej. Zapalczywość policyi śledczej podburzyła jeszcze ekskomunika rzucona w Kwilczu na Kicka. Zawziętość posunęła się po tem zajściu do najwyższego stopnia. W przypuszczeniu, że dziekani, będąc organami wykonawczemi władzy biskupiej, muszą niewątpliwie wiedzieć, kto tę władzę

z ramienia stolicy apostolskiej wykonywa i daje im instrukcye, rzuciły się władze z całą wściekłością na nich. Każdy przeto dziekan był wzywany przed sąd, aby pod przysięgą zeznał, czy wie, kto jest delegatem apostolskim lub nie. Pytań, które im stawiano, było pięć, ale ostatecznie schodzą się z tem jednym: Kto jest delegatem? Zagrożono im więzieniem, gdyby dostatecznej nie dali odpowiedzi. Z początku bronili się dziekani tą trafną uwagą, że zeznania tego czynić nie mogą z tego powodu, iż poszukiwanym delegatem każdy z nich sam być może, a prawo samo uwalnia go od świadczenia przeciw sobie samemu. Sąd jednak apelacyjny wszystkie środki obrony tego rodzaju odrzucił. Wszyscy przeto dziekani, prócz kilku, poszli do więzienia na czas nieograniczony, czyli dopóki zadawałniającej nie dadzą odpowiedzi. Większa część z nich przebyła w tych torturach przeszło pięć miesięcy, a żaden z nich nie zdradził tajemnicy. Z czterdziestu dziekanów obydwóch archidiecezji uszło więzienia czterech nie bez szwanku ich dobrej sławy: X. Dydyński z KłECKA, X. Fabisz z Ostrowa, X. Veith z Brenna i X. Zbierski z ŚLESINA. X. zaś Hilary Koszutski z Mielżyna nie mógł być do więzienia wtrącony z powodu choroby na oczy, a X. Pankowski z powodu, że sam był oskarżony.

Przekroczylibyśmy granice pisma niniejszego o wiele, gdybyśmy mieli opisywać, ile niektórzy z tych kapłanów ponieść musieli przykrości doznanych w więzieniu, jak n. p. X. Tomaszewski z Trzemeszna, X. Hebanowski z Lwówka, a inni na zdrowiu, jak X. Paukan z Inowrocławia i X. Theinert z Goniembic. Pierwszy stracił głos, drugi dostał krwiotoków. Na szczególniejszą zasługuje tu wzmiankę X. Fricke, dziekan i oficyał wałecki, który odmówił także świadectwa przeciw X. biskupowi Janiszewskiemu i za inne jeszcze przekroczenia praw majowych do dziś dnia jeszcze zamieszkuje w więzieniu. Gdy go 31 grudnia w Sypniewie aresztowano, odprowadzili go parafianie w 70 sanek mu towarzysząc dwie mile drogi aż do więzienia samego. Bezskuteczność tego dręczenia ludzi sumien-nych naraziła rząd na skompromitowanie, a urzędnikom, którzy to ściganie wywołali, mianowicie prokuratorowi gnieźnieńskiemu, Perkuhnowi, nie przyniosła oczekiwanych owoców.

Ta stałość i wytrwałość XX. dziekanów obydwóch archidiecezji nabyła i zagranicą zasłużonego rozgłosu i uwiel-

hienia i będzie jedną z najpiękniejszych kart historii tego prześladowania.

Ta stateczna wierność dla Kościoła, jaką okazało duchowieństwo i ludność katolicka, tem większą ma wagę, tem wyższe znaczenie, że nie zbywało na sposobach i środkach do bałamucenia i usiłowania strącenia ich z tego toru. Już Dziennik Poznański, lubo wprost przeciw Kościołowi tak, jak n. p. „Posenerka“ nie występował, to przecież tędy owędy, gdy mu co nie przypadło do gustu, zawadzał o Kościół tak, iż możnaby było w myśl jego bez przesady powiedzieć: Musimy się przeciw tym prawom oświadczyć, nie dla zasad antichrześcijańskich i fałszywych, jakie zawierają, ale dlatego, że posłużą za nowy środek germanizacyi; lecz, gdybyśmy byli w wolnej Polsce, nicbyśmy przeciw nim nie mieli, chyba przeciw niektórym ich przepisom ścieśniającym zbyt znacznie wolność indywidualną. Takie zajmował i zajmuje Dziennik stanowisko. Gazeta Toruńska też się niekiedy krzywo na rzeczy zapatrywała.

Lecz na bezczelność, z jaką wystąpił „Wiarus“, a mianowicie w artykułach „Drogi wyjścia“, brak w istocie przyzwoitego wyrazu. Wychodząc niby ze stanowiska narodowego i patryotycznego, obwinia autor, oczywista prostem tylko twierdzeniem bez najmniejszego dowodu, jak Bismarck i Falk, że „Rzym dał hasło do boju“, który nasze majątki niszczy i do zupełnej nędzy materialnej nas prowadzi. Przedstawia stan w świetle zwątpienia, a nawet rozpaczy i wzywa do odwrotu, do poddania się, aby dochody duchowieństwa ratować, i do oderwania się „politycznie“ od Rzymu. Jestem pewny, że ze zdań w tym artykule wypowiedzianych i w najpospolitszą frazeologią liberalną przybranych, redaktor sam tego obscurnego pisemka, skasowany nauczyciel elementarny, nie był w stanie zdać sobie sprawy, bo widnokrąg jego tak daleko nie sięga. Wolałbym zatem wierzyć, że był jednym z najemników „funduszu gadzinowego“, aniżeli narzędziem jednego z naszych liberałów, który zasad tych cynicznych nie mógł w Dzienniku ogłosić i do propagacyi ich założył sobie organ, który zarówno charakter nasz polski jak katolicki bezceścił. Przebrzmiały jednak te głosy bez wrażenia i bez wpływu na duchowieństwo i wiernych i wyrwały tylko na autorach piętno wzgardy, na ja-

kie sobie zasługuje ten, kto w chwili boju bałamuci umysły, sieje nieufność i zwątpienie.

Przedstawiliśmy w krótkości, o ile można, skutki nowo w roku 1874 wydanych praw przeciw Kościołowi katolickiemu bez wyliczania wszystkich ofiar, które pod ich ciosami padły. Obok wykonywania tych nowych, szło przeprowadzenie praw majowych roku 1873 swoim zwyczajnym trybem. W ciągu tego roku poszli do więzienia prócz niezmiernej liczby duchownych, arcybiskup gnieźnieński i poznański, biskup trewirski, paderbornski, monasterski, arcybiskup koloński, biskup sufragan Janiszewski, zastępcy oficjała XX. kanonicy Wojciechowski i Korytkowski. Zawziętość rządu i władz jego po uzyskaniu nowych zasiłków w świeżem prawodawstwie zdawała się coraz bardziej wzrastać i srożyć. Jak w Księstwie wojowano z dziećmi, tak w Monasterze z niewiastami nawet. Kilkanaście dam z najpierwszych rodzin westfalskich wręczyło biskupowi monasterskiemu adres zawierający wyrazy uszanowania i uwielbienia jego męstwa w obronie Kościoła. Za ten występek musiały stawać przed kratkami sądu i niektóre z nich skazane zostały na kary pieniężne. Prasa cała oficjalna i liberalna nie przestawała umysłów przeciw katolikom burzyć i domagała się głośno jaknajszczelniejszego wykonania praw, które były zarówno jej stronnictwa jak rządu dziełem.

Podczas, kiedy i tak umysły rozdrażnione były przeciw katolikom, dopuścił się szalony jakiś chłopak, bednarczyk, nazwiskiem Kullmann, wystrzałem z pistoletu, zamachu na życie księcia Bismarka, bawiącego u wód w Kissingen dnia 12 lipca. Wiadomo powszechnie, że ksiązę Bismark lekką tylko odniósł ranę w rękę. Lecz ponieważ zbrodniarz ten był katolikiem i nadto znaleziono u niego jedną strofę pieśni na cześć Piusa IX, papieża, przeto cała prasa rządowa i liberalna krzyknęła odrazu z góry, że to sprawa katolików „ultramontanów.“ Biedny nawet jeden pleban z Tyrolu, Hauthaler, który wiedziony chęcią widzenia owego „zbawcy i ulubieńca“ Niemiec, znajdował się w bliskości tej sceny, przypłacił swoją ciekawość aresztowaniem i więzieniem li tylko z tego powodu, że był księdzem. Prasa szczególnie urzędowa, jak n. p. Norddeutsche Ztg., nie wzdrygała się przed rozpoczęciem jeszcze śledztwa rzucać potwarz na biskupów katolickich, a na-

wet na papieża, że są intelektualnymi sprawcami tej zbrodni. Bismarck sam, chociaż fałsz tego obwinienia już był sądownie udowodniony, nie wahał się jednak potem w Izbie poselskiej tego obwinienia rzucić na członków frakcyi centrum, oświadczając, że sami wypierają się wprawdzie tej zbrodni „ale Kullmann trzyma ich jednak silnie za poły.“ To bezczelne rozsiewanie tej potwarzy wbrew oczywistej prawdzie, to tendencyjne i przechodzące wszelkie granice najpospolitszej uczciwości i wstydu wyzyskiwanie tego faktu przeciw katolikom połączone z okolicznościami do dziś dnia nieodgadnionemi, jakie faktowi temu towarzyszyły — nie znaleziono bowiem nigdzie znaku kuli — musiało wywołać podejrzenie, że cały ten zamach był przez przeciwników Kościoła ukartowany i celem zadania mu śmiertelnego ciosu w opinii publicznej Niemiec, wykonany. I nie dziw, że się to zdanie do dziś dnia utrzymuje. Wszystkie zaś dzienniki, które się poważyły zdanie to wypowiedzieć, były na rozkaz rządu przez prokuratorów ścigane i karane. Wypadek ten w tak fałszywy i jadowity sposób po całym kraju rozsiewany, stał się narzędziem do rozpущenia wszystkich furyj namiętności przeciw katolikom. A rząd sam w tym pochodzie wściekłości przodował. Minister spraw wewnętrznych nakazał we wszystkich stowarzyszeniach czeladzi katolickiej w całym kraju odbywać rewizye i zamykać je — Kullmann podobno do jednego z nich przez kilka tygodni należał — minister zaś sprawiedliwości wydał rozporządzenie do wszystkich prokuratorów monarchii, aby jak najbaczniej czuwali nad prasą katolicką czyli „ultramontańską“ i bez miłosierdzia żadnego najmniejszego wykroczenia bezkarnie nie puszczali, jak gdyby się to dotąd już nie było działo. Jednem słowem, ministrowie rozwijali tak skwapliwą gorliwość, jaką zwykli okazywać podrzędni zupełnie urzędnicy swemu przełożonemu, aby mu się przypodobać. Niektórzy pastory protestanccy w Berlinie zalecali swoim parafianom modlitwy dziękczynne za uratowanie tak drogiego im życia. Przez te fale sztucznie rozdmuchanego szału nie zdołał się przebić w pierwszej chwili żaden głos rozsądku. Prości nawet dozorczy więzień rozdrażnieni tym szalem dokuczali tym nieszczęśliwym kapłanom, którzy się wtenczas w więzieniach znajdowali. Nie potrzebu-

jemy przeto opisywać, jak przytoczone okoliczności zaostrzyły miecz prześladowania już dość okrutnego.

Temu to szalowi roznamiętnionemu przypisać należy, że wszystko, co tylko na sobie nosiło znamię katolickie, ^{doznawało} niepokojenia, turbacyi i prześladowania. Tak i dom Karmelitek bosych w Poznaniu nie uszedł turbacyi. Dnia 7 sierpnia niewiedzieć, z jakiego powodu, naszła policya ten klasztor. Gdy przełożona klasztoru wzbraniała się policyantów puścić po za klauzurę, odgrażali się wniść gwałtem. Nareszcie za przybyciem X. prałata Grandkiego otworzono klauzurę i rozpoczęła się od godziny 1 z południa aż pół do szóstej rewizya całego klasztoru i egzamin każdej siostry, czy dobrowolnie w klasztorze pozostaje, czy chce go opuścić i t. p. Oczywiście szukano tak szczerlnie jakiegokolwiek pozorów, jakiejs „zamurowanej zakonnicy“ à la Barbara Ubryk. Ale mimo to, że nic nie znaleziono takiego, coby się nawet policyjnym tylko przepisom sprzeciwiało, jednak im nie przepuszczono, bo nie upłynął jeszcze miesiąc, a już druga przyszła rewizya, i z nią rozkaz opuszczenia Prus. Zacisza zatem modlitwy i umartwienia, których mieszkańcy nikomu w drogę nie wchodzi, bo się świata wyrzekły, nie uszły okrucieństwu tego prześladowania.

Pominięliśmy tu całkiem prawo o małżeństwach cywilnych, które w jednym z paragrafów znosi prawny obowiązek chrześcijańskich rodziców chrzczenia niemowląt. Jakkolwiek i to prawo niewątpliwie ma na celu wyzucie rodziny z charakteru chrześcijańskiego, a tem samem przeciw zasadom chrześcijańskim i Kościołowi katolickiemu było wymierzone, i z tego powodu posłowie katolicy przeciw niemu głosowali, to jednak bezpośrednio nie wpłynęło na prześladowanie katolików. Z tego powodu nie należy także do środków prześladowczych, o których była mowa. Katolicy przyjęli je wprawdzie z odrazą, ale w porównaniu z protestantami obojętnie i dlatego biskupi nie stawili mu żadnego oporu, tylko opatrzyli duchownych i świeckich w instrukcye, jak sobie mają postępować.

Charakterystycznem jest, że właśnie przeciw tym ustawom, którym się katolicy z odrazą, ale bez obawy poniesienia klęsk i strat poddali, protestanci niesłychany krzyk podnieśli, t. j. przeciw ustawie o wystąpieniu z Kościoła z dnia 14 maja

1873 r., o czym jużśmy wyżej wspomnieli, i o małżeństwach cywilnych. Jest to oczywistym dowodem słabości wewnętrznej, którą tylko na zewnątrz prawa cywilne podtrzymywały. Z jednej strony obawa, aby przy jakiej takiej okoliczności nie występowano masami z Kościoła, a z drugiej, że małżeństwa zawierane będą tylko cywilne, a nie wszystkie dzieci będą ochrzczone. Obawy te szczególnie co do małżeństwa cywilnego sprawdziły się zbyt szybko. Na nadzwyczajnym synodzie generalnym w zeszłym roku odbytym, powiada superintendent generalny Schulz z Elben w tej mierze: „Nie masz w prowincyi Saskiej prawie ani jednego miasta znaczniejszego, w któremby było mniej niż 40 do 50 procent małżeństw niekościelnie zawieranych, a w niektórych więcej. W jednym mieście fabrycznem liczącem 18,000 mieszkańców zawarło na 150 małżeństw tylko 13 ten związek kościelnie i w tych przypadkach potrzeba jeszcze było usiłowań starszych i ofiar ze strony duchownych, aby ich do tego kroku skłonić.“ Podobnie się dzieje i ze chrztem. Podług wykazów statystycznych każde piąte dziecko nowo narodzone jest nieochrzczone, w Berlinie i Królewcu każde trzecie dziecko. Zważywszy jeszcze, że wszyscy urzędnicy pod uniknieniem procesu dyscyplinarnego, a wojskowi pod karą dymisyi, muszą dzieci swoje dać ochrzcić, łatwo sobie wystawić, o ileby się liczba pogan pomnożyła, gdyby tej obawy nie było. Takich ewentualności nie obawiali się biskupi katoliccy, nie mieli tedy powodu stawiać tym prawom oporu, i w oczekiwaniach swoich się nie pomylili.

Rok 1875.

Prawa „kościelno-polityczne,“ jak je technicznie nazwano, z lat 1873 i 1874, gdyby w właściwem znaczeniu tego wyrazu mogły być przeprowadzone, wystarczają aż do zbytku, aby na przyszłość zatrzeć ducha Kościoła katolickiego w Prusach i zburzyć jego organizm do szczytu. W czczych formach zewnętrznych, któreby rząd dla uwiedzenia mas ludu był się starał utrzymać, pozostałoby było coś, coby można było nazwać „Kościołem pruskim,“ ale nigdy Kościołem katolickim, a tem samem chrześcijańskim. Ducha i ostateczny wypadek tego prawodawstwa trafnie w kilku wyrazach scharakteryzo-

wał pan Gerlach w mowie mianej dnia 16 marca 1875 przeciw prawu o zatrzymaniu wypłat należących do biskupstw i duchownych katolickich: „Staralem się zrozumieć jasno, jakie autor tych motywów może mieć wyobrażenia o religii i sprawach kościelnych, ale innego nie mogłem znaleźć, jak to: państwo jest Bogiem, a każdoczesowy minister spraw duchownych jego prorokiem.“ Zdawało się przeto, że to pasmo tak obfitego prawodawstwa już skończone i materya wyczerpana zupełnie. Tymczasem rok 1875 przyniósł jeszcze pięć praw do tego zbioru należących: 1) ustawa o zarządzie majątku kościelnego, 2) o wstrzymaniu wypłaty należitości przypadającej rzymsko-katolickim biskupstwom i duchownym z skarbu publicznego, 3) o prawie, jakie stowarzyszenia „starokatolickie“ mają do majątku kościelnego katolików, 4) o zakonach duchownych i podobnych do nich kongregacyi, 5) o zniesieniu artykułów 15, 16 i 18 konstytucyi.

Prócz ustawy najpierw wymienionej, która już w styczniu do Izby poselskiej wniesiona została, były wszystkie inne cztery wtenczas dopiero do łaski marszałkowskiej złożone, kiedy już posłowie i znużeni i zmęczeni wyglądali z upragnieniem końca sesyi. Prawa zatem te zostały, jak wiele poprzednich w tym rodzaju, na krótkiem toporzyску przetrzepane i przyjęte.

Związek tych ustaw z prawami majowemi poprzednich dwóch lat jest oczywisty. Jak pierwsze, tak i te ostatnie są owocem doktryny absolutnego, a tem samem wszechwładnego państwa. Prawa majowe z dwóch lat upłynionych przeistaczają religią katolicką na „pruską“, Kościół katolicki na „pruski“, a tegoroczne obdarzają ten nowy utwór administracyą i biórokracyą pruską, aby zewnętrzny ustrój także odpowiadał rzeczy — wszystko, religia i Kościół ma tylko jedno zadanie: służyć celom państwa, bo ono jest jedynym absolutem, Bogiem. Pod tym względem wypływają i tegoroczne prawa z tego samego źródła, z wszechmocności państwa. Z własnego ramienia narzuca państwo Kościołowi prawa, jako swojej instytucyi, częścią zabiera jego majątek, częścią przywłaszcza sobie zarząd nad jego własnością, nad jego domami Bożymi, pozwala protestantom, wiernym i nie wiernym i żydom decydować o najważniejszych sprawach jego, jednym słowem odmawia Ko-

ściołowi wszelkiego prawa. W doktrynie tej nie masz także, jakżeśmy to wyżej wykazali, dla niego miejsca.

Z drugiej strony zachodzi jednak pomiędzy prawodawstwem dwóch lat ubiegłych, a roku 1875 wielka różnica. O ile tamto naruszało formalnie i materyalnie zasady i nauki objawione kościoła, o tyle tegoroczne obraża formalnie tylko prawo niepodległości Kościoła, wyrządza mu ciężką i krzyżującą krzywdę, ale materyalnie dogmatów nie narusza i nie wdziera się w wewnętrzny organizm Kościoła ani go nie rujnuje. Prawodawstwo roku 1875 nosi na sobie pozór wydatniejszego gwałtu, sroższego i wyraźniejszego okrucieństwa, wybitniejszej samowolności i wyrzeczenia się wszelkich zasad słuszności i sprawiedliwości, aniżeli prawa z dwóch lat poprzednich, ale w rzeczy samej nie zatruwają tak ducha Kościoła i nie wstrząsają tak fundamentami Kościoła i chrześcijaństwa w ogólności, jak poprzednie. Tegoroczne prawa występują wydatniej na jaw dla oka ludzkiego, bo się zajmują przeważnie materyalną, nie zaś idealną stroną Kościoła. Są one tylko uzupełnieniem, zaokrągleniem już gotowego systemu, a oprócz tego wywarciem zemsty haniebnej na przeciwniku niepokonanym na tem polu, na którym zaczepiony został. Powiadają po prostu: nie mogę wam wydrzeć wiary, to wam przynajmniej wydrę to, co mogę, obedrę was z mienia do koszuli i dam odstępcom waszym moc obdzierania was także. To charakteryzuje ustawodawstwo roku 1875.

Cel tych ustaw jest ten sam, co poprzednich. Wszystkie zmierzają do wytępienia religii katolickiej w krajach do monarchii pruskiej należących. Najgłówniejsze środki do tego celu użyte jużemy poznali dostatecznie, nie będziemy przeto mieli potrzeby zatrzymywania się długo nad każdym z tych praw pojedynczo, gdyż kilka uwag wystarczy, aby doniosłość i znaczenie każdego dostatecznie zrozumieć.

1. Prawo o zarządzie majątku kościelnego w parafiach katolickich.

Prawo to, jak wszystkie poprzednie, grzeszy zbytkiem przepisów. Składa się bowiem z 60 paragrafów i regulaminu

wyborczego, obejmującego 14 artykułów. Majątkiem tak do Kościoła, jak do plebana należącym, mają zarządzać dwie korporacje, z których jedna zowie się dozorem kościelnym, a druga reprezentacją parafii. Obiedwie wychodzą oczywiście z wyborów parafialnych. Pierwsza składa się z najmniej 4, a najwięcej z 12 członków; druga zaś z trzy razy tylu członków, a zatem najmniej 12, a najwięcej 36. Każda z tych korporacyj ma pewien określony obręb działania. Pleban jest członkiem dozoru, ale nie może być przewodniczącym i pozbawiony jest tak czynnego jak biernego prawa wyboru.

Te dwie korporacje z członków świeckich czyli parafian złożone administrują cały majątek kościelny i plebański pozornie pod dozorem biskupa. Mówię „pozornie,“ bo w rzeczy samej dozór znajduje się w ręku prezesa regencyi. Biskup bowiem ma tylko prawo porozumiewać się z prezesem regencyi w każdym kroku odnoszącym się do administracji majątku, a w razie różnicy zdań pomiędzy biskupem a prezesem regencyjnym, ostatni decyduje. Obiedwie zatem korporacje przez parafian wybrane, nie mogą bez zezwolenia prezesa regencyi na własną rękę nic zrobić, są zatem tylko narzędziem i organem władzy świeckiej. Przez pośrednictwo zatem tych na pozór niby kościelnych organów objął rząd w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu administracją całego majątku kościelnego we wszystkich dyecezyach katolickich. Poseł Schorlemer-Alst, roztrząsając z ciętą krytyką ten właśnie punkt tego prawa, oświadcza, że rząd nie potrzebował do tego celu tak obszernego aparatu prawodawstwa i mógł dwoma paragrafami rzecz całą objąć: § 1. Cały majątek Kościoła katolickiego bierze rząd pod swoją administracją. § 2. Minister spraw duchownych ma polecenie wykonać to prawo. To jest najkrótsza formuła tej sekularyzacyi. Lecz w rzeczy samej jest to także inną tylko formułą na zdanie powszechnie znane: *„własność jest kradzieżą.“*

Oto cała treść tego obszernego i skomplikowanego prawa. Byłóż to prawo potrzebne, zapyta się najpierw każdy rozsądny? Nie byłóż w dyecezyach katolickich żadnej administracji porządnej majątku kościelnego? Co więcej nie byłóż dozorów kościelnych wcale, składających się z parafian? Nie mieliż zatem parafianie przez pośrednictwo tych dozorów pewnego

udziału w administracji majątku kościelnego? Owszem, wszystko to było i niewątpliwie lepiej, bo praktyczniej, niż obecne prawo przepisuje, urządzone. Organizacya dawniejsza była prostsza, organa jej z większą łatwością i skutecznością mogły się poruszać, aniżeli ta nowa ociążała machina, która w małych parafiach składających się li tylko z ludu roboczego nigdy w bieg nawet rzeczywisty wprowadzoną nie zostanie. Wytykanie szczegółowe wad tej ustawy nie może tu być naszym zadaniem; a zresztą każdy człowiek zdrowego rozumu pojmie, że taki parlamentaryzm, jaki ta ustawa zaprowadza w każdej parafii, w każdej nieomal wiosce, byłby poprostu śmiesznością, gdyby się pod nim cel inny nie ukrywał.

Cóż tedy rząd chciał osiągnąć przez to sekularyzowanie i demokratyzowanie Kościoła? Demokratyzmu Kościół nie ma powodu tak się obawiać, jak monarchie, owszem istnieje i kwitnie w najdemokratyczniejszych republikach, często swobodniej niż w monarchiach. W motywach samych przebija się wyraźnie najbliższy cel tej ustawy t. j. „złamać wpływ duchowieństwa na lud katolicki“ przez wywołanie w nim opozycji przeciw hierarchi kościelnej. Nie powiódł się ten zamiar przez obdarzenie ludu idealną władzą jurysdykcyi biskupiej, jaką mu przyznało prawo z 20 maja 1874; trzeba było próbować, czy się niu uda znieść go przez taką rzecz realną, jaką jest majątek. Każdy przecież chętnie coś chce znaczyć, a coś dopiero po wsiach, gdzie się każdy wyższem prawem czuł obdarzony, niż sam proboszcz, bo miał prawo czynnego i biernego wyboru, którego pasterz jego pozbawiony został.

Dokazałże rząd swego? Udałoż mu się zrewoltować masy ludu katolickiego przeciw Kościołowi i przeciągnąć je do obozu prześladowców? Jak w wszystkich poprzednich przypadkach, tak samo i w obecnym, doznał rząd najzupełniejszego zawodu. Lud przyjął ten dar z niechęcią, jak wszystko, co w tym czasie od rządu wyszło, ale przyjął go z tej pobudki, że wołał sam być stróżem grosza Bogu na ofiarę złożonego, aniżeli puścić go na pastwę rządu. Wyborami swojemi dał rządowi najwymowniejszą odpowiedź, że nie chce być jego narzędziem, jego organem, ale przeciwnie, że chce wobec niego bronić krzywdy Kościołowi wyrządzonej. W całej bowiem monarchii wybrano do tej korporacyi z nader małemi wyjątkami, o któ-

rych wspominać nie warto, najgorliwszych, najwierniejszych katolików. Wszystkie teraz dozory kościelne stanęły przeciw rządowi w tej samej opozycyi, w jakiej się znajdują biskupi i duchowni. Zamiast zniweczyć lub przynajmniej osłabić opozycyą, rozszerzył i wzmocnił ją o sto procent. Z takim przeto podstępem, z takim wyrafinowaniem użyta broń przeciw Kościołowi okazała się nie tylko zupełnie tępą, ale co gorsza, obróciła się przeciw rządowi.

Każdy rząd, chociażby najgorszy, stara się przynajmniej na zewnątrz pozór bezstronności i sprawiedliwości zachować dla własnego honoru. Zaciętość obecnego prześladowania pozbawiła rząd pruski i jego Izby tego nawet pozoru. Tę namacalną i widoczną parcjalność należy tu koniecznie wytknąć, aby jej w zbiorze przymiotów zdobiących rząd pruski nie brakowało.

W roku 1873 wydał król pruski w charakterze najwyższego biskupa pruskiego — *summus episcopus regni* — dla Kościoła ewangelickiego ordynacyą dla ewangelickich gmin kościelnych, synodów i prowincyj (*ewangelische Gemeindeordnung, Synodalordnung und Provincialordnung*). Ordynacya ta zawiera pomiędzy innemi obszerne uregulowanie prawne administracyi majątku kościelnego, zupełnie takie jak prawo, o którym właśnie tu mowa. Rząd, wnosząc tę ordynacyą do Izby poselskiej, oświadczył wyraźnie, że „ciała prawodawcze nie mają prawa tej samej ordynacyi w czemkolwiek zmieniać,“ że ich udział prawodawczy w tej sprawie ogranicza się jedynie na przyznaniu nowo utworzonym korporacyom kościelnym, wyborczym i t. d. prawa osób jurydycznych, które w sprawach majątkowych mogą go na zewnątrz reprezentować. Stanowisko, jakie tu w tym przypadku rząd zajął względem kościoła ewangelickiego, odpowiada zupełnie stosunkowi, jaki rząd w ogóle względem Kościoła zajmować powinien. Kościół przychodzi — w obecnym przypadku król, jako jego najwyższy reprezentant — i oświadcza: organami moimi, które mnie w sprawach majątkowych wobec sądów i innych władz świeckich reprezentować mają, są te, i atrybucye ich takie a takie, chcecie im przyznać prawa osób jurydycznych lub nie? Do tego mają ciała prawodawcze niewątpliwie prawo, mogą przyznać, czego się od nich żąda lub odmówić, lub mogą przyznanie to od pewnych warunków uczynić zawisłem. Ale

narzucać, oktrojować Kościołowi ordynacyą, jaka im się podobą, bez zezwolenia, a co więcej wbrew jego woli, bez zapytania go się nawet, to przechodzi granice ich kompetencji. Jeszcze w roku 1874, kiedy nad tą ewangelicką ordynacyą toczyły się w Izbie rozprawy, zachował rząd względem Kościoła ewangelickiego to normalne stanowisko. Czemuż je w rok potem względem Kościoła katolickiego odwrócił i przewrócił? Czyż biskupi katoliccy, którzy są członkami ściszej i silnej hierarchii kościelnej, nie reprezentują wyraźniej i wydatniej rządów Kościoła katolickiego, aniżeli król w wątpliwym charakterze najwyższego biskupa kraju? Dla czegoż tedy odmówiono tego prawa episkopatowi katolickiemu, które przyznano ewangelickiemu? Uwaga, że w ordynacyi ewangelickiej nietylko o majątku, ale także i o innych sprawach mowa, nie osłabia zarzutu parcjalności bynajmniej, gdyż rząd wyraźnie oświadczył, że „żadna zmiana“ nie jest dozwolona, a zatem i w przepisach odnoszących się do majątku, a powtóre, że § 57 prawa, o którym mowa, także inne zawiera przedmioty prócz majątku.

Chęć demokratyzowania Kościoła katolickiego, a co więcej przypuszczenia o ile możności do niego elementów niekościelnych w porównaniu z ordynacyą ewangelicką górowała tu nad sprawiedliwością. Podług ostatniej (§ 34) przysługuje prawo wyboru tym tylko parafianom, którzy już skończyli 24 rok życia, a w katolickiej niżono wymaganie to aż do 21 roku. Tenże sam paragraf wyklucza od czynnego prawa wyboru tych wszystkich, „którzy przez pogardę słowa Bożego lub nierządne życie publiczne dali zgorszenie, a stateczną poprawą go nie naprawili, tudzież i tych, którzy za niedopełnienie pewnych powinności względem Kościoła podług przepisów prawideł kościelnego prawa wyboru są pozbawieni.“ Paragraf zaś 35 odmawia biernego prawa wyboru czyli zakazuje wybierać na członków dozoru kościelnego lub reprezentantów parafii tych, „którzy uporczywie nie biorą udziału w publicznem nabożeństwie ani w sakramentach, a tem samem nie dają dowodu swej żywej z kościołem łączności.“ Wszystkie te zbawienne, a nawet niezbędne rękojmie pożytecznego działania dla sprawy Kościoła usunął rząd troskliwie z prawa narzuconego Kościołowi katolickiemu. Oczywiście chciał tu zostawić furtkę otwartą

dla „starokatolików,“ szpiegów, nihilistów i t. p., aby ich wpuścić do tych korporacyj, które mają zadanie pilnować dobra Kościoła i zasiać tam właśnie ziarno niezgody i opozycji, gdzie przyjęcie się i wzrost jego Kościołowi najwięcej przynieść mogły szkody.

Że biskupi katolicycy Prus ograniczyli się na protestacyi założonej przeciw temu nowemu gwałtowi, jakie narzucenie mu prawa o zarządzie majątku kościelnego w sobie zawiera a zresztą oporu mu nie stawili i katolikom pozwolili brać udział w tych wyborach, wywołało polemikę przeciwko nim i dało powód do rozmaitego rzeczy ocenienia.

Najpierw biskupi nie uczynili tego na swoje rękę, ale mieli do tego kroku upoważnienie od Stolicy Apostolskiej. Jeżeli biskupi, którzy pozwolili wyzuć się z mienia i pozbawić wolności osobistej dla sprawy Kościoła, dali już zatem dostateczne dowody męstwa chrześcijańskiego i statecznego do Kościoła przywiązania, zgodzili się na takie postępowanie, w takim razie powinni katolicy przynajmniej mieć w nich rękojmię, że i ten krok nie z innych pobudek uczynili, jak tylko z najgłębszego przekonania, że zniesieniem tej krzywdy cięższe od Kościoła chcą odwrócić klęski. W jakim stopniu to postępowanie biskupów niemiłe było rządowi, wyraziła to dostatecznie cała prasa urzędowa i spokrewniona z nią liberalna. A co przeciwnikowi tak bardzo było nie na rękę, musiało w tej chwili być pożądanem dla Kościoła.

Z jakich powodów mogli się biskupi udać w tej mierze do Stolicy Apostolskiej i od niej upoważnienie do takiego postępowania uzyskać, wykazuje to poniekąd rzecz sama, czyli treść ustawy, o której mowa i jej różnica od praw majowych. *Formalnie* obraża wprawdzie ustawa o zarządzie majątku kościelnego w taki sam sposób, jak prawa majowe, zasadę niepodległości Kościoła, bo mu została przez państwo bez jego udziału i zezwolenia narzucona, a tem samem prawo jego egzystencyi niepodległej zaprzeczone: ale *materyalnie* t. j. treść tej ustawy nie zawiera żadnego przepisu, któryby bezpośrednio sprzeciwiał się porządkowi Boskiemu Kościoła, jego nauce wiary i obyczajów, jak prawa majowe. Jest więc pomiędzy niemi z jednej strony zasadnicza zgoda, albowiem wszystkie wypływają z zaprzeczenia Kościołowi prawa niepodległo-

ści, a z drugiej, co do treści samej zasadnicza różnica. Co do pierwszego, t. j. co do odmówienia Kościołowi prawa niepodległości, zawarowali się biskupi protestacyą. Nie przyznali przeto państwu wszechmocnej władzy i narzucenia Kościołowi praw podług swego upodobania. W tej mierze utrzymali się na tem samem stanowisku, jakie zajęli względem praw majowych, i nie ustąpili z niego ani o włos. Tego wymagała po nich absolutnie zasada Kościoła. Co do materyalnej zaś strony tej ustawy czyli co do jej treści, zmienili swoje stanowisko, bo rzecz także była inna. Jakkolwiek bowiem ta ustawa dotkliwem i upokarzającym jest dla Kościoła ograniczeniem, bo go niejako uważa za małoletniego niedorostka, który swoim majątkiem rozporządzać nie umie i potrzebuje opieki i nie ma dla niego tyle nawet względu, ile rządy zwykły okazywać innym korporacyom, jak synagogom żydowskim, Izbom handlowym i t. d., których jako interesantów zwykle pierwej o zdanie pytają, nim statut dla nich wydadzą: — to przecież ustawa ta nie zadaje gwałtu nauce wiary i obyczajów, nie wywraca konstytucyi Kościoła od Boga mu nadanej, nie nakazuje mu spełniać uczynków, jak prawa majowe, sprzeciwiających się wręcz zasadom wiary i obyczajów katolickich. Cierpieć zaś krzywdę, znosić cierpliwie upokorzenie, jest pod pewnemi okolicznościami nietylko rzeczą dozwoloną, ale nawet zbawienną. Znieść przeto ten nowy gwałt, tę niesprawiedliwość, jaką ta ustawa Kościół katolicki w Prusach dotknęła, mogli biskupi, a zwłaszcza, że mieli do tego zezwolenie Stolicy Apostolskiej, bo cierpieć krzywdę nie jest grzechem, owszem może być zasługą. Ale czynić coś takiego, co się wręcz sprzeciwia zasadom wiary, jak tego prawa majowe po biskupach wymagały i wymagają, nie godziło się i nie godzi wcale. Oto zasadnicze powody, jakie Stolica Apostolska i biskupi mieć mogli do innego postępowania względem tego prawa, jak poprzednich. Nie masz tu przeto niekonsekwencyi, o którą ich niesłusznie obwiniano, ale zastosowanie postępowania do odmiennego stanu rzeczy i przez zniesienie cierpliwe krzywdy odwrócenie od Kościoła większego złego.

Że prócz tych zasadniczych powodów, które zwykle na decyzją rzeczy stanowczy wpływ wywierają, mogła Stolica Apostolska i biskupi mieć jeszcze inne podrzędne i praktyczne

do zajęcia odmiennego stanowiska względem tej ustawy, można z pewnością przypuszczać i domyślać się z położenia rzeczy, wśród którego się to wszystko działo. Ale mówić dziś o tem otwarcie, byłoby, jak sądzę, przedwczesnie.

2. Ustawa o wstrzymaniu wypłaty należitości przypadającej rzymsko - katolickim biskupstwom i duchownym ze skarbu publicznego.

Ustawa ta składa się z 16 paragrafów. Treścią jej jest powstrzymanie wypłaty należitości, jakie z skarbu publicznego na mocy tytułu prawnego pobierały wszystkie biskupstwa monarchii i część arcybiskupstwa Pragskiego, Ołomunieckiego, Mogunckiego i Freiburgskiego, które do Prus należą, tudzież wszystkie korporacye, instytuty kościelne i duchowni. Za wypłaty skarbowe uważa to prawo wszystkie także dochody majątku należącego do Kościoła katolickiego, który pod stałą administracją rządu pozostaje. Zatrzymane należitości wtenczas dopiero znowu wypłacać się mają w całym obrębie dyecezyi, kiedy jej biskup (jeśli jeszcze jest) zobowiąże się piśmiennie, że będzie „prawom państwa posłuszny.“ W dyecezyach zaś, których biskupi już z urzędu złożeni zostali, nastąpi to wtenczas, kiedy administrator lub biskup prawnie ustanowionym zostanie. Każdy pojedynczy duchowny, który się piśmiennie zobowiąże zastósować się do praw państwa czyli uznać prawa majowe, może swoją należitość z kasy rządowej odebrać. Prócz tego rząd jest upoważniony kazać te należitości wypłacać tym wszystkim duchownym, którzy czynami swojemi dowodzą, że uznają prawa państwa. Ktoby zaś z tych duchownych, którzy się do tego bezwzględne posłuszeństwa piśmiennie zobowiązali, miał swoje oświadczenie później odwołać, zostanie wyrokiem trybunału dla spraw kościelnych ustanowionego z urzędu złożony. Tym duchownym, którzy tego zobowiązania na piśmie nie wystawią, odmówią władze rządowe egzekucyi w ściąganiu innych należitości kościelnych, jak mesznego i t. p.

Oto główna treść tego prawa głodowego. Pospolicie zowią je Niemcy „Brodkorbgesetz.“ Jak wiarogodna pogłoska niesie, miał król długo się opierać wniesieniu projektu do

tego haniebnego prawa do sejmu tak, iż książę Bismark zaczął znowu grozić dymisyą. Lecz i to nie zdołało wstrętu króla do tego prawa przemóc. Prawo bowiem to zdolne jest obrazić nie tylko uczucie sprawiedliwości króla, ale i każdego człowieka, który jeszcze tych przyrodzonych uczuć w sobie nie zatarł. Ma przeto ta pogłoska wielkie podobieństwo do prawdy, że się chwilami lepsze natchnienia króla temu nowemu cynicznemu gwałtowi opierały. Dopiero Encyklika Ojca św. do biskupów katolickich monarchii pruskiej wydana w materji praw majowych, a mianowicie ustęp ten:

„Ad has enimvero partes Nostri muneri implendas intendimus per hasce litteras aperta testatione denuntiantes omnibus, ad quos ea res pertinet, et universo Catholico orbi, *leges illas irritas esse*, utpote quae divinae Ecclesiae constitutioni prorsus adversantur.“

miał króla zdecydować do tego kroku. Przedstawiono mu, że temi słowy targnął się Ojciec św. na jego majestat, ogłaszając prawa, które on sankcyonował, za nieważne. Ta okoliczność miała przemóc wstręt; wydobył projekt ten z biórka swego, w którym już podobno sześć tygodni leżał, i dał upoważnienie do przedłożenia go Izdom.

Przytoczona co dopiero okoliczność dała niektórym katolikom, a mianowicie tym, którzy sprawy katolickiej w parlamentach bronili, powód do chwilowego utyskiwania na tę Encyklikę, że im ich położenie tak niesłychanie utrudnia. Lecz to uczucie było tylko chwilowe i przemijające. Bo to chwilowe, a zresztą imaginacyjne utrudnienie zostało stokrotnie wynagrodzone podniesieniem ducha katolickiego. Któż bowiem miał słuszniesze prawo do podniesienia głosu przeciw tym gwałtom, jeśli nie ten, który traktat teraz jednostronnie i haniebnie złamany zawierał? Któż miał słuszniesze prawo od papieża powiedzieć: gwałt, krzywda, chociaż przybrane w ormy prawne, nie mają jednak mocy ani powagi prawa i dla tego w sumieniu nie zobowiązują? Wypowiedzenie tej prawdy przez usta najwyższej powagi na świecie mogło być tym, których dotyczyło, nie miłe, ale w rzeczy samej było pożyteczne i zbawienne. Przypuszczenie bowiem, że, gdyby nie ta Encyklika, prawo, o którym mowa, nie byłoby w świat puszczane, spoczywa na bardzo słabym fundamencie. Bo naj-

pierw, kto temu naciskowi uległ, mógł także ulec każdemu innemu, o który Bismarkowi nie trudno. A powtóre, prawo to jest wprawdzie ze względu na rząd, a bardziej jeszcze na dynastją sromotne, ale dla Kościoła o wiele mniej szkodliwe, niż poprzednie. Obdziera Kościół i sługi jego z mienia, ale nie wdziera się w jego wnętrze, jak poprzednie. A zatem i z tego względu Encyklika ta w niczem położenia nie pogorszyła.

Lubo przy przedstawianiu ustaw z roku 1875 nie mamy dostatecznego powodu do zwracania uwagi na rozprawę, roztrząsania motywów i treści, jakieśmy to już nadmienili wyżej, to jednak nie możemy tu pominąć zdarzenia, które wśród rozpraw nad tą ustawą zaszło. Encyklika, o której była mowa, wywołała w całej prasie niemieckiej i w sferach rządowych wielką wrzawę i naraziła dzienniki, które ją oddrukowały, na konfiskaty i procesa. Motywa na str. 8 odwołują się w znacznym ustępie na nią, a minister Falk wyraził się, że ona właśnie „projekt ten do prawa doprowadziła do dojrzałości.“ Z tych wszystkich okoliczności korzystał poseł Wendt, były asessor regencyjny i oficer pruski, członek frakcyi centrum, przy drugim czytaniu. W wybornej swej mowie, którą w tej materji powiedział, zbijając motywa i wywody ministra, oświadcza, że wszyscy się na ten dokument Encykliki odwołują, a nikt go nie zna, jak tylko z artykułów gazeciarskich, wypada przeto koniecznie obeznać z tym dokumentem Izbę i odczytać go w zupełności. Cała lewica poruszyła i oburzyła się na to oświadczenie, a marszałek po cztery razy przedstawiał panu Wendtowi, że Izba z największem niezadowolnieniem słuchać tego będzie i wzywał go, aby od zamiaru tego odstąpił, lubo przepisy regulaminu w obecnym właśnie razie nie upoważniają go do wzbronienia mu tego odczytania. Gdy p. Wendt jednak przy swoim obstawał i zaczął w tłumaczeniu niemieckiem tę Encyklikę całą czytać, powstał nadzwyczajny hałas w Izbie, którą cała prawie lewica przez czas czytania opuściła. Była to jedna z najburzliwszych scen, jakie w parlamentach niemieckich często zachodziły. Odczytanie tej Encykliki w Izbie nadało jej tem większy rozgłos i zgotowało jej przystęp do wszystkich pism publicznych. Fakt ten może posłużyć za dowód, do jakiego stopnia zaciętość stronnictw się posunęła.

Ustawa ta pozbawiła wszystkich biskupów, wszystkie kapituły katedralne i wielu duchownych, a mianowicie tych, których udotowano z zabranych na rzecz skarbu dóbr klasztor-nych, jednym zamachem wszelkiego utrzymania. A ten zabór na czem się opiera? Nie tylko na racyi mocniejszego. Do tego gwałtu dodano jeszcze wiarołomstwo i potarganie najświętszych praw i rękojmi. Skarb bowiem publiczny nie płacił złamanego grosza na potrzeby Kościoła katolickiego. To bowiem, co mu wypłacał, było tylko drobnemi okruchami majątku kościelnego, który na „zasilenie publicznego skarbu“ zabrał, to było prawnem i uroczystem zobowiązaniem się tak wobec traktatów, katolickiej ludności, jak mianowicie wobec Stolicy Apostolskiej, z którą rząd te układy zawarł, a w szczególności bullą „de salute animarum“ która rozkazem gabinetowym z dnia 23 Sierpnia 1821 przez Fryderyka Wilhelma III, ojca dziś panującego króla, za „Statut obowiązujący dla kościoła katolickiego Prus“ uznana i w „Zbiorze Praw“ zamieszczona została. To, mówię, co rząd dotąd Kościołowi katolickiemu wypłacał, nie było jego darem, jego łaską, ale najściślejszą powinnością prawną i moralną taką, jaką ma każdy dłużnik, lub dzierżawca, który wierzycielowi swojemu procenta lub dzierżawę opłaca. Co więcej, te prawne zobowiązania są jeszcze zaręczone najuroczystsze przyrzeczeniami króla, ojca dzisiejszego monarchy i tenorem zaprzysiężonej także przez dzisiejszego króla konstytucyi. Ustawa ta Kościołowi, przeciw któremu jest wymierzona, bez porównania mniej przyniesie szkody, aniżeli dynastyi i wogóle zasadzie monarchicznej. Nic jej tak skutecznie nie pozbawia uroku i zaufania, jak takie prawodawstwo. Jakaż tedy własność pod słońcem może mieć pewniejsze rękojmie, uroczystsze zabezpieczenie i słuszniejsze prawo? Minister przeto Ladenberg powiedział wyraźnie „w swoich objaśnieniach paragrafów konstytucyi odnoszących się do spraw Kościoła,“ że te należytości, które skarb wypłaca na rzecz Kościoła katolickiego, „nie są łaską, ale dopełnieniem dobrze uzasadnionego obowiązku“ „że rząd bez dopuszczenia się *wiarołomstwa* (Treubruch) od obowiązku wypłacania tych należytości zwolnić się nie może.“ Rząd zatem, jak się wyraził jeden członek Izby panów w tej mierze „jest podług praw istniejących dłużnikiem Kościoła.“ Cóżby na to powiedział ka-

zdy wierzyciel, gdyby mu dłużnik należitości wypłacać nie chciał z powodu, że się z nim pogniewał? Czyż socjaliści potrzebowaliby innego prawa przeciw tym wszystkim, którzy więcej mają od nich, gdyby przyszli do mocy? Czyż można ich pochodowi zwycięskiemu lepiej torować drogę, jak takim prawodawstwem?

Zasada, na której się rząd w tej ustawie oparł, nie jest nową; praktykował on ją już od dawna w pojedynczych przypadkach z tym samym cynizmem, co teraz, a mianowicie na biskupach, zatrzymując im dowolnie ich kompetencye, ilekroć razy nie okazali się ich życzeniom powolnymi. Już czasy arcybiskupa Dunina o tem świadczą. Ustawa, o której mowa, zgeneralizowała tylko te pojedyncze barbarzyńskie wybryki przemocy.

Ustawie tej dodaje jeszcze ta okoliczność więcej sromoty i hańby, że rząd sam tak w motywach, jak przez usta księcia Bismarcka, który w obydwóch Izbach mieszał się do dyskusyi, oświadczył, „że sobie wiele skutku po tem prawie nie obiecuje.“ Czemuż je tedy wydaje bez celu? Bez intencji, bez zamiaru osiągnięcia koniecznego dobra pospolitego, wyrządzać komuś tak krzyczącą krzywdę, jakże nazwać taką ustawę inaczej, jak „ustawą szczerzej zemsty.“ Za to wyrażenie przyzwał marszałek Izby poselskiej Reichenspergera do porządku, ale czyż jej rząd sam nie nadał tego charakteru?

Nie mniejszą hańbą okryły się obie Izby sejmu pruskiego przez przyjęcie tego projektu. Jeszcze nie upłynął rok cały bowiem, kiedy Izba poselska odrzuciła § 13 projektu do prawa o zarządzie wakujących biskupstw katolickich. Te środki niemoralne i nieuczciwe przez rząd proponowane do wywierania nacisku na członków kapituł i zmuszania ich do wiarołomstwa, odrzuciła wówczas Izba poselska, a za nią Izba panów, dziś zaś przyjmują je obie Izby. Jakiż to postęp z góry na dół w tych kilku miesiącach! Co uznano za złe i niegodziwe w zastosowaniu na ciasny obręb kapituł, rozciągnięto dziś na całe duchowieństwo, na daleko obszerniejsze rozmiary. Odrzucone i potępione środki korupcyi kapituł rozszerzono tem prawem na wszystkich duchownych. Przyjęciem tej ustawy wystawił sobie sejm pruski zuakomity pomnik w dziejach parlamentaryzmu.

Warto tu jeszcze nadmienić, że profesor prawa Beseler i prezes trybunału dla Prus Wschodnich Gossler, w Izbie panów mieli odwagę za tem prawem przemawiać. Jest to charakterystycznem tak dla „umiejętności niemieckiej“ jak dla obecnego stanu sądownictwa pruskiego.

Szczególniejszą troskliwość o los pseudobiskupa Reinrensa okazał rząd przez to, że w motywach do tej ustawy wyjął go wyraźnie z pod grozy tego prawa, jemu zatem wypłaca rząd przyznaną mu pensyą.

3. Ustawa o prawie, jakie religijne stowarzyszenia „starokatolickie“ mają do majątku kościelnego katolików.

Urzędowa genesis tego prawa różni się od wszystkich poprzednich tą okolicznością, że inicjatywy do niej nie dał rząd, ale wniosek jednego „starokatolika“, Dra Petri. Rząd jednakże przy pierwszym zaraz czytaniu tego projektu oświadczył się przez usta ministra Falka, że się zgadza na wydanie takiego prawa i proponuje, aby projekt ten celem ściślejszego zbadania „oddać do komisji specjalnie do tego wybranej, co także Izba przyjęła. Odpowiedzialność zatem ciąży na rządzie tak samo jak za wszystkie inne tego rodzaju ustawy, bo ją przyjął za swoje, bronił jej w Izbach i przedłożył królowi do sankcji, która nastąpiła dnia 4 Lipca 1875.

Prawo to, jak jego § 1 zapowiada, jest tymczasowe, prowizoryczne, dopóki się stosunki sekty „starokatolickiej“ nie ustalą, składa się z 9 paragrafów. Główną treść jego zawiera § 1, który brzmi: „We wszystkich tych parafiach katolickich, w których *znaczna liczba* członków przystąpi do stowarzyszenia starokatolików, ma być używanie przez nich majątku kościelnego na drodze administracji aż do dalszego postanowienia podług przepisów tego prawa uregulowane.“ Wolno im tedy jako wspólnej własności używać kościołów, cmentarzy, sprzętów kościelnych, jak kielichów, aparatów i t. d. Gdzie są dwa Kościoły, tam naczelny prezes, który wogóle w tych sprawach rozstrzyga, przeznacza jeden z nich na użytek „starokatolików“ i podział sprzętów kościelnych uskutecznia; a gdzie jeden tylko parafia posiada kościół, tam naczelny prezes prze-

znacza godziny, w których „starokatolicy“ mają prawo go używać. Jeżeli zaś pleban sam zostanie „starokatolikiem“, nie wolno go z posady ruszyć. Czy w pewnej parafii jest tylu „starokatolików“, iż liczbę ich można uważać za „znaczną“, rozstrzyga naczelný prezes i odpowiednie wydaje rozporządzenia. W parafii, w której „starokatolicy“ będą mieli większość, przechodzą na nich także wszystkie prawa, jakich dotychczasowa większość katolicka używa. W jakiej mierze przysługuje „starokatolikom“ w proporcji do liczby katolików prawo wspólnej własności, rozstrzyga naczelný prezes, od którego można rekurs założyć do ministra. Decyzye naczelnego prezesa wykonywane być mogą przez policją.

To jest główna treść tych 9 paragrafów — są one ułożone na wzór prawa tego rodzaju Badeńskiego. Jaki cel rząd głównie miał w tem prawie na oku, jest rzeczą jasną; chciał sprzymierzeńców swoich w walce z Kościołem wzmocnić i, o ile możliwości, siać rozterki pomiędzy katolikami, aby ich rozdzielić i osłabić. Z tym zamiarem ani rząd, ani wnioskodawcy nie taili się. Tę stronę główną tego prawa pomijamy tu całkiem, bo z tego, cośmy już wyżej o „starokatolikach“ powiedzieli, łatwo sobie czytelnik sam jasne wyobrażenie o rzeczy zrobi.

Tu zajmujemy się tylko krzywdą materyalną i duchową, jaką ta ustawa katolikom wyrządza. Cóż to jest „znaczną liczbą“, o której decyduje prezes naczelný? Czy 50, 80, 100, 200 jest już „znaczną liczbą“ w myśli tej ustawy? Nie, prawo nic w tej mierze nie powiada; prezes naczelný decyduje samowładnie, którą liczbę uważa za „znaczną.“ Jakaż tu dowolność, luźność, obliczona widocznie na szkodę katolików. Niech nam rzecz całą objaśni świeży przykład, jaki przedstawia parafia Wiesbadeńska w Kwietniu, jeśli się nie mylę, bieżącego roku. Około dwustu, a niechby nawet i trzystu „starokatolików“ tamtejszych podało wnioszek do naczelnego prezesa o przeznaczenie im na wspólną własność Kościoła katolickiego. Po zbadaniu rzeczy uznał naczelný prezes liczbę 200, a jak twierdzą „starokatolicy“, 300 za „znaczną“ i wydał rozporządzenie, że mają prawo używać Kościoła parafialnego od godziny 11—1 i jego sprzętów do swojego nabożeństwa. Katolicka parafia Wiesbadeńska ma tylko ten jeden Kościół, a liczy przeszło 12,000 dusz. Oto proporcya! Lecz na tem nie

koniec. W świątyni, w której ekskomunikowany kapłan, jakim dziś jest każdy „starokatolicki,“ najświętszą ofiarę świętokracko składał, nie wolno katolikom podług najnowszej instrukcyi wydanej dnia 12 Marca 1873 przez nuncjusza Monachijskiego do biskupów Niemiec, nabożeństwa odprawiać i Kościół taki ma być przez biskupa interdykowany. Każde zatem przypuszczenie tych nowych sekciarzy do wspólnej własności, do wspólnego używania Kościoła, równa się zupełnemu wypędzeniu katolików z ich własnego domu Bożego. Dla 200 lub 300 zatem osób, z których niewątpliwie ani $\frac{1}{3}$ na nabożeństwo uczęszczać nie będzie, skoro szła opozycyi przeminie, pozbawiona została tak liczna parafia swojego Kościoła i schodzi się na nabożeństwo do małej kapliczki którą składkami chce rozprzestrzenić. Taki sam przypadek zaszedł w maju t. r. w Królewcu, gdzie także dla garstki „starokatolików“ parafia 5,000 dusz licząca schodzić się musi do prywatnego mieszkania miejscowego proboszcza, aby uczestniczyć ofercie mszy ś. W Dortmund, w Hirschbergu i wielu innych miejscach to samo się dzieje. Pomijam tu gwałty, jakich policya przy odbieraniu tych Kościołów wszędzie prawie użyć musiała, bo katolicy nigdzie dobrowolnie Kościoła swego nie ustąpili, pomijam niewypowiedzianą boleść i rozjątrzenie tych parafian, których cios tego prawa dotknął, pomijam okropność sprawowania Sakramentów śś. po domach prywatnych lub szopach, i pytam się, czy prawo takie nosi na sobie inny charakter, jak upoważnienie i uzbrojenie sekty do zaboru Kościołów i jego sprzętów? Poprzedzające dwa prawa upoważniły rząd do zaboru własności Kościoła i duchownych, a obecne upoważnia sektę za pomocą rządu do zabierania domów Bożych i poświęconych służbie Bożej sprzętów. Lecz i na tem prawie doznał już rząd zawodu i dozna go jeszcze tak jak na wszystkich poprzednich. Sekta „starokatolików“ ani się wzmacnia na wewnątrz, ani się szerzy na zewnątrz.

Że rząd pruski inną ma miarę dla katolików, a inną dla ewangelików, udowodnił to ponownie w kwietniu r. b. wśród obrad nad wydaną przez króla ordynacyą synodalną dla ewangelików. Kiedy rząd tę ustawę na korzyść „starokatolików“ przeciw Kościołowi katolickiemu popierał i z taką surowością dla gmin katolickich wykonywać zaczął, nie przypuszczał pewno, że się sam znajdzie w takim położeniu, jakie katolikom

przygotował. Jakoż jeszcze rok nie upłynął, gdy w komisji obradowano nad ordynacją synodalną dla ewangelików, wnieśli posłowie Virchow i Klotz taki sam projekt do prawa dla dyssydentów ewangelickich, jaki już się stał prawem dla „starokatolików.“ Było to na początku kwietnia r. b. Że projekt ten był taki sam, jak ustawa dla „starokatolików“ wydana, niech posłuży za dowód ta okoliczność, że ją komisarz rządowy w swem przemówieniu nazwał „odpisem ustawy dla starokatolików.“ Naszem zdaniem projekt Virchowa i Klotza był nawet łagodniejszy z powodu, że zastrzega dla tych, którzy się od związku parafialnego odłączają, zatrzymanie tego samego wyznania wiary, podczas gdy „starokatolicy“ przez odrzucenie dogmatu nieomyłności i wyznanie wiary zmienili. Ewangelicy zaś nie chcieli zmieniać stanu wyznania i w ewangelickim kościele nadal pozostać, zupełnie tak, jak to utrzymywali „starokatolicy“, ale chcieli się z rozmaitych powodów wydobyć z pod jurysdykcji kościelnej, jaką ta ordynacja właśnie stanowiła, podobnie jak „starokatolicy“ z pod jurysdykcji hierarchii katolickiej. Zresztą wszystkie inne warunki były te same, nawet owa nieokreślona „liczba znaczna“ została z ustawy „starokatolickiej“ przejęta. Jakież zajmuje rząd stanowisko wobec tego samego projektu zastosowanego do kościoła ewangelickiego? Oświadcza zaraz w komisji przez usta swego komisarza, że projektu tego „przyjąć nie może“ (ist unannehmbar) „ani się do jego przeprowadzenia przyczynić.“ Z jakiego powodu? „Albowiem, powiada rząd, nosi na sobie charakter prowokacyjny i toruje drogę do roztoczenia unii kościoła krajowego (Landeskirche)“. Z tych słów pokazuje się dostatecznie, że rząd z świadomością i z umysłu rzucił w łono Kościoła katolickiego ten ferment prowokacyjny i roztaczający, który w tym roku z taką stanowczością odparł od ewangelickiego. Katolikom miło było widzieć tę stronniczość w tym przypadku tak wybitnie uwydatnioną, o której nie wątpili nigdy. Ten zarzut nieuczciwej parcyalności spada nie mniej na rząd, jak na większość Izby, która ten projekt odrzuciła. Katolicy zaś konsekwentnie głosowali przeciw temu projektowi jak poprzednio przeciw ustawie dla „starokatolików“ wydanej. — Ta okoliczność dowodzi oczywiście, że i żywioły konfesyjne, jakieśmy

to zaraz na wstępie powiedzieli, użyte zostały do walki przeciw Kościołowi katolickiemu.

4. Ustawa o zakonach i podobnych do nich kongregacjach duchownych.

Z ustawą pod liczbą 3 kończą się środki zaboru własności kościelnej, jakkolwiek i wydaną w roku bieżącym ustawę o dozorze nad administracją majątku dyecezalnego należy do tego szeregu policzyć, bo komu nie wolno majątkiem swoim zarządzać, ten nie jest także istotnym jego panem; jego dominium jest ograniczone lub podzielone. Jest to rzecz wprawdzie bardzo uciążliwa i dotkliwa dla Kościoła, ale w porównaniu z tem, co już zaszło, mniejszej wagi.

Ustawa zaś o zakonach i kongregacjach duchownych organizuje zabór własności Kościoła moralnej i idealnej. Kościół ogłoszony do szczętu z dóbr doczesnych, ziemskich, ma być wyzuty i z niebieskich. Państwo absolutne, które jest niebem i ziemią dla człowieka, społeczeństwo żyjące bez wiary w Boga i w żywot wieczny po śmierci, nie może w łonie swoim znieść żywych przedstawicieli tych wielkich prawd, nie może ścierpieć naśladowców żywota Chrystusa, którego się wyrzekło. To jest ostateczną przyczyną wypędzenia z kraju zakonów i kongregacyj duchownych. Mówiliśmy o tym przedmiocie przy okoliczności wydalenia Jezuitów z Niemiec, nie będziemy przeto powtarzać tego.

Ustawa ta składa się tylko z 5 paragrafów. Główna jej treść następująca: Z całego obszaru monarchii pruskiej wykluczone są zakony katolickie i kongregacye duchowne. Licząc od dnia ogłoszenia niniejszej ustawy muszą się wszystkie domy zakonów i kongregacyi w ciągu sześciu miesięcy rozwiązać. Tym tylko zakonom i kongregacyom, które się nauczaniem i wychowaniem młodzieży zajmują, może minister, dopóki potrzebie edukacyi inaczej nie zaradzi, termin rozwiązania domu i opuszczenia monarchii aż do czterech lat przedłużyć. Zakony i kongregacye zajmujące się pielęgnowaniem chorych pozostają wprawdzie, mogą być każdej chwili rozporządzeniem królewskim zniesione, dopóki zaś istnieją może

im minister spraw wewnętrznych i duchownych pozwolić przyjmować nowicyuszów. Wszystkie zakony i kongregacye, które pod temi warunkami jeszcze pozostają w kraju, są pod dozorem rządu. Ministrowie spraw wewnętrznych i duchownych mają polecenie wykonania tej ustawy.

Oto cała treść tego prawa okrutnego, które Kościół katolicki w Prusach pozbawiło domów modlitwy, w których wzrastały i kwitnęły najpiękniejsze cnoty chrześcijańskie, domów miłosierdzia i wychowania chrześcijańskiego. Najciężej dotknął ten cios ludność katolicką Westfalii i prowincyi nadreńskiej, bo te były najbogatsze w tego rodzaju zakłady, straciły zatem najwięcej.

Zatrzymanie domów trudniących się pielęgnowaniem chorych miało nastąpić, jak pogłoska niosła, na wyraźne życzenie króla, który nie mógł zapomnieć, ile te zakony i kongregacye dały dowodów poświęcenia w pielęgnowaniu rannych chorych w czasie ostatnich krwawych kampanij. Ale jakąż im w nagrodę za ich usługi zgotowano exystencją? Byt wiszący na włosku łaski królewskiej, który każdej chwili może się urwać; jestże to królewskiem uznaniem, królewską nagrodą? Co więcej, oddanie ich, a mianowicie kongregacyj niewieścich, pod dozór policyi, jak się oddaje zbrodniarzy wypuszczonych z domu karnego i nierządnicę, to ma być nagrodą ich poświęcenia dla armii pruskiej? A to wykonanie tego dozoru jestże aby jednym słówkiem określone, ograniczone? Czyż świat nie wie, jak policya pruska w tej mierze jest bezwzględna? Jak ostatnia interpelacya posła Franza w Izbie poselskiej dowiodła, nie wzdrygnęła się policya w Olawie na Szląsku, targnąć się na Najświętszy Sakrament, wziąć go gwałtem z ołtarza i zanieść do bióra, czegoż się tedy na biednych zakonnicach nie będzie gotowa dopuścić? Nie dałże już tej brutalności dowodu komisarz policyi Klose w Kolonii na Karmelitkach? Jestże podobieństwo, aby kongregacye niewieście w takim stanie mogły się długo bez szwanku dla dobrej swej sławy utrzymać? Dziś, gdy opuszczają swoje siedziby, płyną za nimi wszędzie łzy i boleści, ale, jeśli zostaną pod dyktando policyi dłużej, a jednak później wydalone będą, któż jest w stanie zaręczyć, że z tą samą chlubą dla Kościoła tę niewdzięczną ziemię pruską opuścić będą musiały? Jakże się policya ma przekonać

czy ta lub owa postulantka może być przyjęta lub nie, czy posiada potrzebne do swego zawodu przymioty lub nie? Czy się ma przedstawić ministrowi spraw wewnętrznych lub jego komisarzowi? Te są kwestye, w które się policya może i będzie wtrącać w sposób, który egzystencyą takich kongregacyj albo uniemożliwiał albo moralnie zniweczy. To jest bardzo delikatny kwiat doskonałości chrześcijańskiej, którego się szorstka ręka policyi dotykać wcale nie powinna. Co zatem z zakonów i kongregacyj duchownych pozostało jeszcze w Prusach, nie ma ani realnej ani moralnej podstawy egzystencji pod przepisami tego prawa.

Nie możemy się tu w dalsze tego przedmiotu zapuszczać szczegóły, ale z tych kilku uwag wyrozumie czytelnik z łatwością, że to jest materya zdolna serce katolickie do żywego poruszyć. Ztąd poszło, że rozprawy nad tą ustawą nabrały charakteru nadzwyczaj zaciętego i rozdrażnionego. Katolicy nie mogli się wstrzymać, aby rządowi i Izbie nie robić najcięższych wyrzutów okrucieństwa, spełnianego na niewinnych i bezbronych zakonnicach. Przemawiali w tej materyi najznakomitsi mowcy frakcyi centrum z gorącością wielką, a z pomiędzy Polaków X. Respądek. Z jaką siłą i mocą bronili katolicy zakonów, a wszczególności sióstr miłosierdzia, niech posłuży za dowód kilka słów hrabiego Praschmy, który pomiędzy innemi powiada: „Poświęcenie się tych szlachetnych istot pielęgnowaniu rannych i chorych oficerów i żołnierzy, niesienie z gotowością ostatniej pociechy i ulgi umierającym, wynagradzanie teraz niecierpliwością, w której nie możecie doczekać chwili wydalenia ich z ojczystego kraju... Gdy się myślą przenoszę w tę chwilę, kiedy te zakonnice, w których gronie znajdują się osoby z najznakomitszych rodzin kraju, a nawet krewne panującego nam domu królewskiego, kraj ojczysty opuszczać będą, natenczas, panowie, przejmuję mnie uczucie boleści i smutku; ale uczuciu temu nakazuje milczenie inne, o wiele potężniejsze uczucie goryczy i wstydu, że widzę ojczyznę moję tak spodloną.“ Te słowa, za które marszałek wezwał hrabiego Praschmę do porządku, dowodzą, do jakiego stopnia ta ustawa, niczem nie usprawiedliwiona i nie umotywowana, jak tylko tajemnymi planami rządu i nienawiścią Kościoła, oburzają uczucia katolików.

Trzy dni obrad 7, 8 i 10 maja wystarczyły, aby kraj cały pozbawić tyłu dobroczynnych instytucyj, których żadnemi innemi siłami zastąpić nie można, tyle niewinnych ofiar w świat wyrzucić i zakrwawić serca ośmiu milionów katolików. Dziś aby potrzebie zaradzić, wysyła rząd indywidua do istniejących jeszcze zakładów katolickich, aby się nauczyły pielęgnować chorych i nabrały wprawy. Jakże okropne wystawia sobie rząd sam świadectwo tym faktem. Z świadomością niszczy rzecz dobrą i zbawienną li tylko dlatego, że jest katolicką.

W Izbie panów bronił prócz katolików i p. Kleist-Retzow gorąco dobrej sprawy zakonów i kongregacyj duchownych, ale także bez skutku.

5. Ustawa o zniesieniu artykułów 15, 16 i 18 konstytucyi.

Ustawa ta, obejmująca jeden tylko paragraf, opiewający, że wymienione artykuły konstytucyi są zniesione, dopełnia niejako ruin zrzędzonych w kościele katolickim. W rzeczy samej gdyby cały przebieg prześladowania tego nie był tak smutnym i bolesnym, byłby projekt ten rządu wniesiony do Izby poselskiej prawdziwym tryumfem dla frakcyi centrum. Od samego bowiem początku tej walki dowodzili członkowie tej frakcyi w najoczywistszy sposób, że całe to prawodawstwo, począwszy już od roku 1872, a wyraźniej od roku 1873, sprzeciwia się wręcz prawom zabezpieczonym Kościołowi artykułami 15, 16 i 18 konstytucyi. Tak rząd jak sejm w swej większości ciągle temu zaprzeczał i przez interpretacye i deklaracye najdziwaczniejsze usiłował ich zgodność z konstytucją wykazać. Jeden z najczynniejszych w tym kierunku członków Izby poselskiej, najemnik rządu i reprezentant umiejętności niemieckiej, profesor Gneist, śmiał 30 stycznia 1873 po zrobionych do tych artykułów deklaracyach powiedzieć, że odtąd „te artykuły konstytucyi powinny być dziesięciorgiem przykazań prawa narodowego.“ Teraz po upływie dwóch lat ten sam wielbiciel „tych dziesięciorga przykazań“ wywraca je znowu i głosuje za zniesieniem tych artykułów konstytucyi. Takie szczegóły dowodzą jak najwydatniej nikczemności tak tych pojedynczych osób, jak całego ciała, które się z większości tego

rodzaju składało. Z tego pokazuje się bowiem, że w ich sumieniu niemasz już nic świętego, nic, coby swawoli człowieka zaporę stawić zdołało. Z tego względu doznali rzeczywiście obrońcy kościoła i konstytucyi najwyższej satysfakcyi, bo nareszcie rząd sam i sejm w swej większości faktem tym przyznał, że prawodawstwem niezgodnem z zasadami konstytucyi wywrócił te artykuły, że przez te wszystkie lata okłamywał w bezczelny sposób siebie i cały kraj. Teraz zaś, kiedy widział, że umysły dość już są wzburzone i obałamuczone, kiedy nie potrzebował się obawiać złego wrażenia, wystąpił dopiero jawnie z tem, co dotąd przed nim tał i kłamstwo swoje nadobną frazeologią odziewał.

Frakcyja centrum, jakkolwiek artykuły te w tym kształcie, jaki przez znaną deklaracyą przybrały, oraz obok praw całkiem im przeciwnych, wartość istotną dla nich utraciły, a z niemi w największej części i konstytucya, występowała jednak z energiczną obroną tych zasad. Słusznie bowiem utrzymywali, że w taki sam sposób, w jaki rząd te najświętsze i najdroższe człowiekowi prawa mógł pozbawić zabezpieczenia, może sobie z wszystkiemi iunemi, jakie konstytucya zawiera, postąpić. W tej mierze broniła ta frakcyja, jakęśmy to już kilkakrotnie nadmienili, nietylko wolności religii, ale wolności wogóle.

Rząd, nie chcąc się wobec całego kraju do fałszywej roli, jaką w czasie tego prawodawstwa odgrywał, otwarcie przyznać, musiał w motywach swoich znowu chwycić się dawnego rzemiosła kłamstwa. „Gdy rząd zaczął, powiadają motywa, regulować stosunek państwa do kościoła, zarzucono mu w każdym kroku, który w tym kierunku zrobił, że wnioski jego sprzeciwiają się wyraźnym przepisom konstytucyi, które stowarzyszeniom religijnym samodzielny zarząd spraw swoich zabezpieczają... Zarzuty te, powtarzane w obydwóch Izbach sejmu i w prasie, tem groźniejszej są wagi, iż nie pokoją ludność, wmawiając w nią, że ciała prawodawcze i rząd wydają prawa przeciwne konstytucyi, które nim jeszcze publikowane zostaną, tak już są scharakteryzowane, iż im słusznie należy stawić opór, bo nie są zgodne z konstytucyą.“

Czyż można zuchwalej policzkować najoczywistszą prawdę, niż to czynią te słowa? Izaliż biskupi stawili opór z powodu

pogwałcenia prawa publicznego w Prusach? Izaliż z tej przyczyny nie poddali się prawom majowym, że się takowe sprzeciwiają konstytucyi? Bynajmniej. Powodem do ich oporu było i jest, że treść tych praw tak pod względem formalnym jak materalnym sprzeciwia się wręcz nauce wiary i obyczajów Kościoła, a następnie ich sumieniu, że wkraczają w dziedzinę, w której państwo i jego prawodawstwo nic niema do mówienia. Oświadczały to tylokrotnie w dokumentach publicznych, podawanych do Izb, rządu i cesarza. Mogłaż być najmniejsza wątpliwość w tej mierze? A jednak rząd nie wahał się w publicznym dokumencie, jakim są motywa, wypowiedzieć to kłamstwo. Przytoczyliśmy ten szczegół na dowód, że od początku do końca posługiwał się rząd kłamstwem w tej sprawie. Kto raz wszedł w taką sieć, a wyjść z niej nie chce, nie może inaczej postępować, bo *abyssus abyssum invocat*.

Tak się fabrykacya środków prześladowania zakończyła. Pozbawiono Kościół katolicki wszelkich praw w Prusach dotąd mu przyznawanych a nawet ich reminiscencyi, bo artykuły skasowane niczem już więcej nie były i zrobiono *tabulam rasam*. Biadaby było Kościołowi, gdyby nie miał innych praw krom tych, które mu łaska rządów daje!

Co rząd pruski mogło spowodować do tego okrutnego prześladowania, jaki cel zamierzał osiągnąć, wykazaliśmy, o ile to dziś podobna, na wstępie. Że się w planach, w rachubach i środkach, w których nie przebierał i przed najbezpieczniejszymi się nie wzdrygał, najzupełniej pomylił i nadspodziewanego doznał zawodu, sam już dziś nie wątpi. Ani Döllingery, Rein-kensy, Michaelisy, ani drakońskie prawa, ani fantowania, więzienia, wydalania z kraju, ani rewoltowania ludności katolickiej nie zdobyły rządowi ani piędzi ziemi na tem terytoryum, które chce opanować. Kościół katolicki w Prusach nie dał się słodką trucizną zatruć, ani złotem zaprzedać. Przemoc łamie i kruszy mechanicznie opór, gdzie go znajdzie, ale nie zwycięża, nie pokonywa, nie zdobywa tego, o co jej chodzi. Inna to walka niż z Austryą i Francją. Tyle wysileń, tyle wyteżeń, tyle spełnionych okrucieństw, tyle pogwałceń najświętszych ludzkości praw i zasad daremnie — gratis, bez rezultatu! Tego, co zamierzał, w najmniejszej odrobinie nie osiągnął, a przygotował sobie w wielkich rozmiarach to, czego nie chciał: głę-

bokie rozdwojenie dopiero co sklejonej jedności, wyniszczenie zupełne zaufania całej jednej trzeciej ludności, które nie tylko dla rządu, ale i dla dynastji jest groźnem, wstrząśnienie wszelkich moralnych fundamentów, na których rządy i społeczeństwa stoją. Po pięciu latach pastwienia się nad bezbronnymi obywatelami własnego kraju taki rezultat!

Dziś stoi rząd na straszliwej drodze rozstajnej tej *tabulae rasae*, jaką stworzył. Iść dalej tą drogą barbarzyństwa, niszczenia i burzenia — czy się z niej wycofać? Pierwsze odpowiada pewno bardziej pysze, zaciętości i ulubionym pomysłem, z którymi trudno się rozstać. Trzeba będzie tedy brnąć w tym wandalizmie coraz dalej. Ale jakież ta droga w końcu ukazuje widoki? Będzież można religią katolicką a z nią i chrystyanizm do szczętu w Prusach wytępić? Jestże reakcja pogańska przeciw chrystyanizmowi w północnych Niemczech tak potężna, iż go przemoże? Długoż jeszcze może opór ten potrwać? Po ludzku sądząc, przynajmniej półtorej, jeśli nie dwie generacye. A jeśli tak, będzież rząd mógł wytrzymać tak długi opór, będzież zawsze konstellacya polityczna tak dla niego pomyslna, iż ten bój z własnymi obywatelami będzie mógł toczyć? Takie są widoki bez względu nawet na Tego, który rządzi światem i każdej chwili może zawołać: dotąd, ale nie dalej!

Z drugiej strony i wycofanie się jest nadzwyczaj trudne, a zwłaszcza, że i osobę króla bez potrzeby w taki wydatny sposób wciągnięto i wmięszano w to prześladowanie. Nie wchodzi tu wcale w drogi i sposoby, jakimi rząd może odwrót rozpocząć i dokonać go, bo ma ich wiele, a naczelnik jego ma w swoim rogu obfitości środków jeszcze więcej, którymi stronnictwa liberalne łatwiej wywieść może w pole, niż mu się to udało z katolikami. Ale przypuszczam, że przyjdzie jakieś porozumienie do skutku; jakąż rząd teraz, po takim długim, swawolnem, powiedziałbym, rozpustnem pastwieniu się nad katolikami, korzyść odniesie? Czyż odzyska utracone zaufanie i zrażone do głębi serca katolików od razu? Mówię tu szczególnie o dyecezyach niemieckich, które w ciężkich przygodach odznaczały się zawsze stateczną wiernością. Nie myślę się z pewnością, jeśli powiem, że generacye miną, nim utracone zaufanie do rządu i dynastji powróci. Ta uwaga nie małą może stanowić trudność do odwrótu. Przełamać zdoła ją tylko

potęga wypadków lub komplikacji politycznych, a wtenczas może być odwrót za późny, a w każdym razie nie przyniesie Prusom wielkiego pożytku, bo katolicy będą wiedzieli, że nie dobrej woli Prus zawdzięczają wyswobodzenie swoje z niewoli.

Rozum jednakże po takim doświadczeniu, a może i względy polityczne nakazują myśleć o odwołaniu. W tej myśli, zdaje mi się, wydanem zostało ostatnie przytoczone prawo, znoszące artykuły konstytucyi, zabezpieczające pewne prawa Kościołowi. Przy przyszłych układach chce mieć rząd ręce zupełnie wolne, i obszerne, niczem nieograniczone pole do targów z Kościołem. Skoro w Prusach Kościół żadnego nie ma prawa, będzie każdą koncesyją ze strony rządu musiał uważać za wielkie dobrodziejstwo tem więcej, że w razie oporu może go obecnymi prawami coraz bardziej uciskać i tą grozą do przyjęcia ofiarowanych koncesyj zmuszać. Przyszłość pokaze, czy domysł ten słuszny.

Kościół zaś, jakkolwiek w najszlachetniejszych członkach swoich wiele już ucierpiał i jeszcze ucierpi, musi wyjść z tej walki z tryumfem, bo ma za sobą obietnice Zbawiciela. Cierpienia, które ponosi, jednają mu z jednej strony zasługę, a z drugiej są nowym zasiewem przyszłości, jak zawsze bywało. Tryumf jego już dziś widoczny. Nigdy nie widział świat takiej ścisłej i serdecznej jedności pomiędzy episkopatem a papieżem, biskupami a duchowieństwem, ludem wiernym, a duchowieństwem, na jaką dziś patrzy w uciśnionych częściach Kościoła. Jest to wspaniały widok dla świata rozbitego dziś w przekonaniach swoich na atomy, a Bogu, pewni jesteśmy, miły. Cóż go tak wzmocniło, podniosło? Prześladowanie. Najzaciętszy nasz nieprzyjaciół targnął się na Kościół i na nas Polaków równocześnie. Mamy i my znaczny udział w znoszeniu prześladowania tego, żyjemy tedy nadzieję, że go będziemy mieli i w tryumfie. Sami nie mamy pewności zwycięstwa, ale bądźmy spokojni, bo ją Kościół ma: *Bramy piekielne nie zwyciężą Go.*

POSADNICA MARTA

DRAMAT HISTORYCZNY W 5 AKTACH

przez

PAULINA ŚWIĘCICKIEGO.

A K T IV.

Obronny wał Dietińca; działa na lawetach.

SCENA I.

MARTA i SŁAWIN.

MARTA.

Czy wszystkie moje spełniono rozkazy?

SŁAWIN.

Wszystkie.

MARTA.

A służy kniazia, z Horodyszcza,
I ich współnicy?

SŁAWIN.

W jedną zbici kupę,
Drżąc oczekują swego przeznaczenia.

MARTA.

Masz mi co jeszcze powiedzieć?

SŁAWIN.

Tak, pani.

Książ Szujski przeszedł na stronę Iwana.

MARTA.

Niech mu smakuje zdrowo chleb moskiewski.

SŁAWIN.

Goście niemieccy opuścili miasto...

MARTA.

Nie mamy czasu bawić ich. Już wszystko?

SŁAWIN.

Władyka krzyżem leży w świętej Zofii,
Dzieci i niewiast jęk rozdziera niebo.
Trwoga umysły wszystkie ogarnęła:
I najdzielniejsi chwieją się... Lud szemrze,
Grozi złamaniem przysięgi. Głód w mieście...
Ostatnią studnię rozwały bomby,
Wąłu usypać w nocy nie zdołano;
W obronnym murze wyłom...

MARTA przerywa.

Dosyć tego!

Gdzie gmach się wali, tam muszą być rysy!
Nie nadużyję waszej cierpliwości:
Do jutra tylko, do nowego słońca...
Poskąp mi nowin. Proszę cię: bądź skąpy,
Bo i uwagę za nie nie zapłacę,
Tak biedną jestem. Strzępy lecą ze mnie,
Żebrać powinnam, tylko nie mam czasu.
Podobno Moskwy parlamentarz czeka?..
Przyjmę go resztką dawnej uprzejmości...
Niech wejdzie. Oczu nie wiąż mu, Sławinie!
Powinien widzieć, co ujrzy. Niech wejdzie!

(Sławin odchodzi; zegar wieżowy bije godzinę).

MARTA sama.

Bije przeznaczeń godzina. Prze-zna-czeń...
Ze znaczeń, zatem, jedno: przeznaczenie,
Tyle znaczące, co te razem wszystkie...
Filozof mógłby snuć ztąd myśli wątek.

Śmierć jest pieczęcią życia dokumentu.
 Dzień jeden... pieczęć przyłożą i — koniec.
 (SKOPIN wchodzi).
 Z czem cię przysyła twój pan, niewolniku?

SCENA III.

MARTA i SKOPIN.

SKOPIN dumnie.

Wielkiego kniazia jestem wojewodą.

MARTA.

Wodzicie woje, jak noc rzezimieszków.
 Lecz mniejsza, kogo wodzisz, wojewodo.
 Mów, czego żadasz?

SKOPIN.

Wydania Dietinca,
 Bo reszta miasta jest już w ręku kniazia.
 Żądam wydania tych wałów.

MARTA.

Zaczekaj...

Chciałabym grzeczną być dla twego pana...
 On żąda pewnie spiesznej odpowiedzi...
 Wszak masz krzesiwo?.. Proszę: skrzesz mi ognia.
(Bierze z rąk Skopina palącą się hupkę).
 Dziękuję.

(Zapala lont i strzela z działa).

Słyszysz? Otrzymał odpowiedź.

Nie potrzebujesz zatem dwoić kroku,
 Niosąc me słowa kniaziowi. Za greczność
 Weźmij tę kiesę. Wszak nie gardzisz złotem!
 Nie gardź i radą: żonę masz i dzieci —
 Nienazbyt głowę wychylaj z taboru:
 Może się spotkać z kulą, wojewodo!
 A kula twardsza od głowy... Spojrz, proszę...
 Tam, przy jaszczyku stoją wasi woje.

(strzela z działa i po chwili)

Powiedźże: gdzie się podzieli te zuchy?

Radzę ci: pomnij o dzieciach i żonie.

(SKOPIN stoi osłupiały — po chwili)

SKOPIN.

Wielka niewiasto! Tobie być carycą,
I na prestole siedzieć, nie tu zmierać.
Ja tu do nóg twych, jak chołop, upadnę,
I nie za złoto...

(odrzuca kiesę)

lecz, żem widział ciebie

Wielką, i żal mi ogromny, że taka
Kobieta umrze, jakby jaka prządka.
Idę i powiem wszystko gosudariu.

(odchodzi)

SCENA IV.

MARTA po odejściu Skopina, do kulisy.

Hej! powiązanych tutaj, na wał, wszystkich!

(z własnymi myślami).

Południe jeszcze daleko. Dość czasu....

*(Straż wprowadza powiązanych Moskali z Horodyszcza
i Nowogrodzian, sprzyjających Moskwie)*

MARTA do straży.

Przywołać popów!

(Za chwilę wchodzi popi)

Wy, ojcowie święci!

Z tymi tam spowiedź odprawcie, komunię..

Dać pomazanie ostatnie — kto żąda...

(Więźniowie i popi odchodzą).

MARTA do kanonierów.

Miara kartaczów w paszcze dział. Gdy braknie —

Użyć siekańców, krzemieni w potrzebie.

(kanonierowie wychodzą)

MARTA, zwrócona ku kulisie.

Strzelcy, na wały! do wieży, łucznicy!

Olej kipiący, ukrop mieć pod ręką,

Kamienie, kłody!.. Niech uderzą w dzwony!

Po cerkwiach modły... wkrótce szturm się zacznie.

A nie zapomnieć o blachach... Niech ślepną,

Słońcem olśnieni i blaskiem. Nieposłuch

Natychmiast karać śmiercią, bez litości.
Każdy na swoje stanowisko. Baczość!

SCENA V.

MARTA, SŁAWIN, później ŻOŁNIERZE.

SŁAWIN.

Nowy wysłannik od wielkiego kniazia.

MARTA.

Biała chorągiew bezpieczną mu tarczą —
Może wejść. Sławin, miej oko na wszystko.

(Wchodzi żołnierz)

ŻOŁNIERZ.

Strach! Wielki książę sam tutaj przybywa.
Poznałem znaki książęce...

MARTA.

To grzecznie!

Po kawalersku, po rycersku nawet...
Konkurent, może, do ręki niewieściej...
Proścież tu, proście pana oblubieńca.
Spłoniona, czekam na miłą gościnę...
A więc: rozmowa przed ślubnym uściskiem...
To czule!

(do obecnych).

Proszę: samych nas zostawcie.

(Sławin i żołnierz odchodzą)

Sam na sam — cudnie! No, zadrżyżę serce!

SCENA VI.

MARTA i IWAN.

IWAN.

To jam jest, lwico!

MARTA

Tak, toś ty, tygrysie!

IWAN, mierzając wzrokiem Martę, gwałtownie.

Cóż ząb?

MARTA.

Stępiony o kość nowogrodzką.

IWAN.

Stępiony, mówisz?..

MARTA.

Twarda kość.

IWAN.

Ząb twardszy:

Na proch was zetnę, i z wiatrem rozwieję!
To głupstwo! Słuchaj... ja nie chcę twej śmierci.

MARTA.

O!..

IWAN.

Mówię: nie chcę! a więc wiem, co mówię.

MARTA.

Zatem: odchodzisz?.. Dobrze, do widzenia!

IWAN.

Właśnie też pora do żartów... Nie zginiesz,
Boś mi potrzebna, i mieć ciebie będę.

MARTA.

Gwałtowny z waści konkurent, tygrysie!
Czemuż przynajmniej nie wdziałeś lwiej skóry?..
Lwice mieć może tylko lew!

IWAN.

Bez żółci!

Jużes za stara na to, by mieć młode.
Inaczej: pewnie mieć byś je musiała...
Nie ciała twego trzeba mi, lecz ducha.

MARTA.

A!..

IWAN

I mieć będę, co żądam. Nie zginiesz!

MARTA.

Kniaziu, mój gościu! Czernieje mi w oczach...
Więc białe w czarne gotowo się zmienić,
L... może ciała twój zapagnę...

IWAN dumnie.

Trwogi nie znałem, nie znam i nie zaznam.
Ona mi obcą tak, jak tobie zdrada.
Wszak prawda: białą tam widzisz chorągiew?

MARTA głucho.

Dalej!

IWAN.

Przez wodę przeszedłem i ogień.
Maszże czem jeszcze powstrzymać mnie w drodze?
Braknie wam chleba i wody i prochu...
Myślisz, że nie wiem o wyłomie w murze?..
Wyłomem wejść, jak bramą.

MARTA.

Nie wejdiesz!

IWAN.

Pewnie aniołom każesz go obronić...

MARTA.

Nie! lecz nie wejdiesz. Ja go zaprę ścianą
Żywego mięsa, a ząb go twój nie tknie.

IWAN.

Mogę być syty... Nie zjem, lecz potargam!

MARTA.

Spojrzyj, gdzie popy kończą pomazanie...
Tam twój namiestnik i stu sprzymierzeńców —
Nimi mur zamknę, i będzie bezpieczny.

IWAN, patrząc ku więźniom.

Wyłom za wielki, by go stu zaparło...
Drugie ci tyle przyślę moich ludzi.
I pierwszy strzelę, że celnie — przyrzekam.

MARTA.

A więc ty pożresz własne swoje dzieci?
Gorszyś niż tygrys.

IWAN.

Czy nie słyszałaś bajek o Kronosie?
I on żarł dzieci, gdy mu było trzeba.
Kto je narody — ma-ż szczędzić stu głupców.

MARTA.

Być może... Dalej!

IWAN.

Daj mi twą rękę.

MARTA.

Nie, póki czysta.

IWAN groźnie.

To ją zbrucz, a. podaj.

Żelazna! Pomnij, żeś tylko kobietą,
I mówi z tobą — z kim nie śmie nikt mówić.

(*Marta ostro patrzy w oczy mówiącemu*)

Sama — upadniesz... Ja stanę przy tobie —

I nie się naszej nie oprze potędze.

Zespól się ze mną, a wstrząśniemy światem,

Do nóg nam padnie. Słyszysz? mnie i tobie!

Wieki przeminą, a tych nie usłyszą

Słów: „mnie i tobie skłoni się świat cały!“

Do mego ducha twój duch — wszystko padnie,

Zostanie tylko — Iwan car i Marta.

MARTA.

O, wszyscy święci! brońcie mnie w potrzebie...

Kusi mnie zemsta straszna... nierozumna...

Ciemno mi, ciemno... Hej, światła! błyskawic!

Słońce do oka, bo czernieje wszystko...

Strój w alabastry kniazia twą chorągiew,

Wykap ją w śniegu, bo mi w oczach czarno..

Uciekaj kniazia! a szybko! a żywo!..

(*upada wysiłona*)

IWAN.

Piekło!

(*do Marty*)

Czyś anioł, czy szatan... Kobieto!

Lepiej, byś była słów tych nie wyrzekła.

Do mnie chorągiew!

(*Wychodzi szybko*).

SCENA VII.

MARTA.

Uchodź! Późno będzie...

(*po odejściu Iwana*)

Teraz zaśpiewaj duszo: „De profundis...“

(*Siedzi zadumana — po chwili*)

Cóż, gdyby kula poszła w ślad za... Ona
 Ma oczy, które chorągwi nie widzą..
 Kula przewini: ciężka, krągła, ślepa,
 Prochem wygnana z swego legowiska
 Przez iskrę... Iskra niewinna... i... padnie!
 Czarczi złą duszę do piekieł pochwycą,
 I... i... Kto iskrę wykrzesze? kto — strzeli?
 Hu! białe płótno tak mi w oczy patrzy...
 A tego wzgórza ominąć nie mogę... patrzy
 Ten wzgórek... Chryste!

(porywa lont)

On na nim. Stańeli...

Stoją... Oh, iskro!... Pal!

(rzuca lont i upada wysiłona)

O, wszyscy święci!

SCENA VIII.

MARTA, TEODOR i SŁAWIN na wałach.

TEODOR wbiega zadyszany.

Matko, o matko! On był tu, w twej mocy?

MARTA głucho.

Był.

TEODOR.

I ztąd odszedł żywy?

MARTA.

Tak.

TEODOR.

O, matko!

Z moich rąk on by...

MARTA porywa się z miejsca.

Ty mi nie klij, dziecko!

Twój ojciec także byłby go wypuścił.

TEODOR.

Chociażby wszyscy mieli zginąć?

MARTA.

Byłby.

Tu, mały! Ucho przyłóż do mej piersi...

Słyszysz?... On musiał odejść. Lecz Borecki...

TEODOR z ogniem.

Byłby go szukał wśród bitwy, i zabił?...
I ja to zrobię! Bywaj zdrowa, matko!

(wybiega).

SCENA IX.

MARTA i SŁAWIN.

MARTA.

Zdrową być... Po co on mi życzył zdrowia?...

Ach, on mnie żegnał... Bywaj zdrow, synaczku!

Bardziej ci zdrowie, niżli mnie potrzebne.

SŁAWIN.

Moskwa ruszyła, jak mniemam: do szturmu.

MARTA ocknąwszy się.

Na stanowiska! Co ma być, to będzie.

Wy brońcie murów, ja wyłom obronę.

(wychodzi).

Przemiana.

Miejsce wyłomu w murze obronnym. Za sceną walka.

SCENA X.

MARTA.

Długo trwa walka. Od wczoraj... nie, dłużej —

Przez całe wieki. — Swoboda z przemocą

Łamią się, łamią i złamać nie mogą.

A ja tu sama stoję u wyłomu,

I, nowy anioł, bramy raju strzegę.

Walka wre ciągle — tam, nie tu. Śmierć wyje,

Ofiar niesyta, wścieka się i pieni...

Krwi, krwi człowieczej! żywych mięs na trupy!

A ja tu sama — anioł u wrót raju.

Śmierć w nie nie wchodzi, wróg zbliżyć się lęka.

Miecz w mojem ręku płomienny... tym mieczem

Drogę przegrodzę, i nikt tu nie wejdzie!

Cisza w koło mnie. A tam co? Zażarta

Walka, bój srogi i śmierć... Ratuj Chryste!

Oni tam zginą bezemnie... Cóż, Marto!
 Jakby nie można spółować istności.
 Tam być i tutaj?... Nuże! duch napoły...
 Dobrze! Połowa ducha i miecz — tu... Wystarczy!
(kładzie miecz na murze)
 Drugie pół ze mną. Śmierci, precz! ja idę.
 Nie umrą!... Z nimi ja będę — nie umrą!
(wybiega).

SCENA XI.

SKOPIN za sceną.

Omijaj wyłom! Drabiny do muru!
 Nie zabij Marty Boreckiej!

GŁOSY DALSZY.

Nie zabij!

(Moskale wchodzą na mur obronny).

PIERWSZY zatykając chorągiew Iwana.

Hura, za kniazia!

INNI.

Za kniazia! za kniazia!

(przebiegają scenę).

DRUGI.

Po djabła kniazia ta baba!

(wybiega).

SKOPIN za sceną.

Nie zabij!

OKRZYKI.

Za kniazia Moskwy! Huraha, za kniazia!

(Żołnierze moskiewscy gościej przeskakują mur. W oddali widać walczących z nimi Nowogrodzian).

MARTA wbiega w oblężeniu.

Zapóźno! Oni umarli... Zapóźno!

(do jednego z żołnierzy moskiewskich)

Zabij mnie, zbójco! Zabij, nie uciekaj!

(żołnierze uciekają przed Martą)

Hej, kule! Żadnaż z was mnie nie dosięgnie?

Co! śmierć ojczyzny przeżyć, i tak trupem

Włóczyć się marą po świecie... Zaczekaj!
 Tu coś w tej czasce błąka się... Zaczekaj!
 Pewnie myśl jakaś... Wskrzeszenie umarłych!
 Ha!...

(silnie)

Wstańcie! wstańcie! tu mordują naród!...
 Gdzie dzwon wiecowy? Zadzwonię — powstaną!
(wybiega).

SCENA XII.

WALKA.

1. NOWOGRODZIANIN.

Hej, za Nowogród! Do mnie!

MOSKWA.

Hura kniaź i Moskwa!

2. NOWOGRODZIANIN.

Jeszcze jednego piekła, za Nowogród!

INNI NOWOGRODZIANIE.

Umrzeć lub zwyciężyć!

MOSKWA.

Huraha za kniazia!

(Walczący usuwają się za scenę).

SCENA XIII.

MARTA wraca.

Niestao żywych, więc do nowej walki
 Wystąpią duchy, i taki bój zawrze,
 Że niebu będzie lęk, aniołom, Bogu!
 Kto śmie powiedzieć: umarł już Nowogród?
 Nowogród żyje... tylko naród... Chryste!...
(upada zemdlona).

Koniec aktu czwartego.

A K T V.

Pobojowisko. Zdała pałacy się Nowogród.

SCENA I.

IWAN, BORODATY, SKOPIN i STRAŻ KSIĄŻĘCA.

IWAN do Skopina.

Jak rozkazałem: nikt nie wszedł przez wyłom?

SKOPIN.

Nikt, hosudarze.

IWAN.

A Marta Borecka

Jest, żywa?

SKOPIN.

Żywa.

IWAN.

Otrąbić zwycięstwo!

SCENA II.

CIŻ i CZELADIN, za nim TEODOR.

CZELADIN wpada na scenę.

Zawczasie jeszcze!

(rzuca oszczep w Iwana).

IWAN zasłoniwszy się puklerzem.

Nawzajem!

(przebija Czeladina oszczepem).

TEODOR wpada na scenę, do Czeladina.

Hej, druhu!

(rzuca się na Iwana, lecz sam upada, zabity przez jednego z żołnierzy Iwana).

IWAN przebija żołnierza, który zabił Teodora.

Giń! Kto ci kazał zabijać to dziecko...

Jak gdyby mogło zrobić mi co złego!

(Nachyla się nad Teodora)

Czyim ty? synu!...

TEODOR.

O, matko! Ojczyzno!

(Umiera).

IWAN do Skopina.

To dzielni ludzie byli, wojewodo!

(*głośno*)

Niech się nie ważą pastwić nad trupami!

(*j. w.*)

Dzielnie walczyli.

(*do popa*)

Ty mówisz, że wstaną

Z martwych... Nie wierzę! Tacy gdyby wstali,

To nowa walka zawrzećby musiała.

(*Konający Czeladina przysuwa się do Teodora i bierze jego rękę.*)

IWAN do popa.

Dobij go, ojcie.

(*Borodaty przebija Czeladina oszczepem.*)

IWAN wskazując trup Czeladina.

O ten, tu naprzykład:

Własnąby goleń urwał, i jak z mieczem

Z niąby się rzucił na mnie, lub na ciebie.

Nie, nie powstaną umarli... Ja nie chcę!

Bo w nowej walce, z tymi — jużbym uległ.

Wieczny im spokój! Niech śpią umarli!...

(*widząc wchodzącą Martę.*)

A, mój zapaśnik!

(*zbliża się do niej.*)

No, cóż teraz, stara?

SCENA III.

CIŻ i MARTA.

MARTA.

Człowieku żywy! nie tykaj mnie trupa...

Umarłą jestem i szukam umarłych.

IWAN.

Tak mówi człowiek, gdy zeń dusza wyjdzie.

(*Do Borodatego*)

Mniemasz, że zmyśla?... Umarła.

BORODATY ironicznie.

A chodzi.

IWAN.

Umarła — mówię, bom ja żyw... Rozumiesz?

MARTA natknąwszy się na trupa Teodora.

Synu, o synu!

(Łka cicho, nachylona nad trupem. Iwan patrzy na nią zadumany).

IWAN.

Tak, miałem przeczucie,

On był jej synem.

(Do straży)

Trupa oddać starej,

Niechaj go złoży w poświęconej ziemi.

(Z własnymi myślami)

Wielkim człowiekiem byłby syn tej matki...

(Przypatruje się trupom Czładina i Teodora).

Te bratnie dłonie skuła śmierć w uścisku.

(Do straży)

Obu na mary położyć. Na cmentarz!

(Do Marty)

Ty pokaż drogę. Znajdę cię w potrzebie.

(Żołnierze kładą trupy na mary).

MARTA do Iwana.

Pochowam dziecko, i w kościele będę,

By się pojednać z Bogiem — starym Bogiem

Przed śmiercią, która zaczeka... Tam będę,

I sama stanę.

(Do trupów)

Na spoczynek, dzieci!

(Żołnierze wynoszą mary, za nimi wychodzi Marta)-

SCENA IV.

CIŻ bez MARTY.

IWAN głośno.

Zaprzestać mordów i grabieży miasta!

(Z własnymi myślami)

To wielki naród — był, i już go nie ma.

(głośno)

Popów z władyką spędzić do soboru!
 Będzie: „Te Deum“ i pogrzeb — i stypa,
 Aż nowe dzieło pocznie się zniszczenia,
 Które prowadzić każe mi...

(Zwraca się do popa).

BORODATY kończy.

Duch Boży.

Przemiana.

*Plac wiecowy. Lud nowogrodzki otoczony wojskiem moskiew-
 skiem. Na tronie siedzi Iwan z berłem w jednym, z mieczem
 w drugim ręku. U stóp tronu klęczą: arcybiskup i znacz-
 niejsi Nowogrodzianie.*

SCENA V.

ARCYBISKUP.

Na imię Boga, w Trójcy jedynego
 Zaklinam ciebie, wielki hosudarze,
 Pomiłuj lud twój!

LUD z jękiem.

Pomiłuj! pomiłuj!

ARCYBISKUP jak wyżej.

O, bądź nam ojcem, władco nasz i panie!
 I odpuść winy, jak je Bóg odpuszcza,
 Każąc miłować nieprzyjaciół. Królu!
 My się korzimy... my do majestatu
 Wołamy twego: okaż zmiłowanie!
 Zaprzestań kary!

LUD.

Pomiłuj! pomiłuj!

*Wołchowem nadpływają trupy, tłum przerażony ucieka
 z nad rzeki.*

GŁOSY w tłumie.

O, Jezu Chryste! o Najświętsza Panno!
 Umarli... Ratuj, Trójco przenajświętsza!

IWAN do swoich ponuro.

Co tam?

Skopin idzie nad rzekę, i wraca za chwilę.

SKOPIN.

Wołchowem przyplynęły trupy.
W wąskie filary mostu się nie mieszczą,
I nad brzeg głowy wystają umarłych.

ARCYBISKUP.

Królu! Umarli błagają wraz z nami,
Pomiłuj, ojcze! ulituj się, panie!

IWAN.

Trupy wychodzą, bo ich jest za mało.

(do swych żołnierzy)

Do rzeki żywych! Umarłych potracą
I spłyną razem. Gdy ciasno — most zwalić!

Żołnierze topią Nowogrodzian.

GŁOSY LUDU.

Oh, oh! antychryst! Przekleństwo! przekleństwo!

Jeden z klęczących przed Iwanem, Nowogrodzianin, powstaje.

NOWOGRODZIANIN.

Za dużo oczy widziały tych zbrodni,
Za dużo, kniaziu! Niech się zamkną wiecznie.

Przebija się.

2. NOWOGRODZIANIN.

Nie ma żyć poco!

(rzuca się do rzeki).

INNI NOWOGRODZIANIE.

Umrzeć! umrzeć! umrzeć!

(rzucają się do wody).

IWAN.

Dość tej kąpieli! Zerwać most — niech płyną!

Żołnierze zrywają most na Wołchowie.

IWAN do Nowogrodzian.

Chołopy, w nogi!

NOWOGRODZIANIE klękają.

IWAN do Borodatego.

Ty, czytaj przysięgę!

CHOŁMSKI do ludu.

Na ziemię raby! W górę prawa ręka,
Za świaszczenniki odmawiać przysięgę!

LUD.

Oh, oh! przysięga! przysięga! przysięga!

STEFAN BORODATY czyta rotę przysięgi:

„Panu nieba i ziemi, Bogu w Trójcy jedynemu, na
„duszę i ciało, na zbawienie przysięgam, wieczne pod-
„daństwo i wierność hosudarowi Iwanowi Wasilewiczowi
„i jego następcom. Amen.“

Nowogrodzianie z jękiem powtarzają słowa przysięgi.

CHOŁMSKI do ludu.

Całuj krzyż z palców!

Lud całuje swe palce na krzyż złożone.

IWAN do znaczniejszych Nowogrodzian.

Wy — berło i krzyże!

*po skończeniu ceremonii, biorąc miecz do ręki mocno,
usiada na tronie.*

Teraz sąd!

NOWOGRODDZIANIE.

O Chryste!

*W miarę jak kogo wskazuje Iwan, żołnierze natychmiast
go chwytają.*

IWAN.

Tych — w dyby!

Głowy tamtym! Chłosta i wygnanie!

(wskazując na lud).

Każdy dziesiąty — nosy precz i uszy!

(Arcybiskup chce przemówić).

IWAN.

Milez niewolniku! Mówi car — Bóg mówi!

(sposstrzega Łarjonowa)

A!

(do siepaczów)

Tego żywcem obedrzeć ze skóry!

Zdradził już swoich, więc mnie zdradzić gotów,
Skórę — i żywcem!

ŁARJONOW oddając się w ręce straży.
 Bóg jest, sprawiedliwy,
 Słusznie mnie karze za zdradę ojczyzny.
(Żołnierze wyprowadzają Łarjonowa).

SCENA VI.

IWAN.

Do carskiej kazny mienie buntowników,
 I monasterskie, kościelne, władyczne!...
 O reszcie później postanowię.

PATRYKIEWICZ występując przed tron.

Kniazziu!

Widzę, że taki los i mej ojczyźnie
 Gotujesz. Pójdzie Psków Nowogrodu śladem.
 Ja, com tu widział jedną śmierć, nie pragnę
 Obaczyć drugiej. Przebacz, Chryste Panie!
(przebija się).

IWAN.

Kto jeszcze, w ślady tego Pskowianina?
 Monarszą łaską zezwalam — niech zginie.
(milczenie).

Co? nikt już! Strzeżże teraz każdy głowy,
 Bo ona do mnie należy.
(do arcybiskupa i znaczniejszych Nowogrodzian)
 Wy za mną!
(Wstaje i przechodząc plac wskazuje po kolei)
 To?

ARCYBISKUP.

Święta Zofia.

(Iwan żegna się — po chwili)

A tam?

ARCYBISKUP drżąc.

Dzwon wiecowy.

(idąc za ruchami ręki Iwana)

Mownica ludu....

IWAN zrównawszy się z posągiem Wadyma.

Posąg czyj?

ARCYBISKUP drżąc.

Wadyma.

IWAN półgłosem do siebie.
Głaz był natchnieniem tych ludzi.

(głośno)

Co w ręku?

ARCYBISKUP.

Pochodnia.

IWAN.

Czemu nie spalona?

ARCYBISKUP.

Zgasła.

IWAN.

Tej nocy....

(do Borodatego)

Prawda? dmuchnąłem i zgasła.

ARCYBISKUP nie słysząc słów Iwana.

Bóg ją zgasił, nie chcąc krwi rozlewu.

IWAN.

Głupiś! Czy Bóg jest twym zakrystyaninem,
By gasił świece?

(wskazuje ręką)

ARCYBISKUP.

Dworzec Jarosława.

IWAN.

Te drzwi?

ARCYBISKUP.

Prowadzą do sali posiedzeń.

IWAN.

Co jest w zamku?

ARCYBISKUP.

Pieczęć posadnika.

IWAN.

Precz z nią! Tę salę otworzyć. Sam wejść.

ARCYBISKUP strwożony.

Wstrzymaj się wielki hosudarze! Wstrzymaj!
Kto się pieczęci tej dotknie, umiera.

IWAN groźnie.

Co!!..

ARCYBISKUP.

Umrze pewnie, kto pieczęć naruszy.

IWAN.

Czy śmierć obrała mieszkanie w pieczęci?
Ja jej komorne wymawiam.

(do arcybiskupa)

Gdzie klucze?

ARCYBISKUP.

U posadnika, a... zginął posadnik.

IWAN.

I?...

ARCYBISKUP.

Kluczów nie ma, wielki hosudarze.

IWAN.

Lecz są topory.

(do żołnierzy)

Hej, wywalić bramę!

(dwóch żołnierzy idzie z toporami).

ARCYBISKUP.

Ci ludzie zginą, przysięgam. O, kniaziu!...,

IWAN.

Topory w bramę!

*(Za pierwszym uderzeniem toporów próg i schody usuwają
się z pod nóg żołnierzy).*

ŻOŁNIERZE padając w przepaść.

Ach!

LUD.

Pożarła ziemia,

Ziemia pożarła świętokradców!

IWAN.

Sztuki!

Dobre dla tych tam głupców, lecz nie dla mnie.

Sprężyna była utajona w zamku,

I schody w ziemię poszły. To dla tłumu!

(do żołnierzy)

Mosty mi rzucić nad tę ciemną dziurę!

Co? drżycie, tchórze? Tu mosty! Sam wejdę.

BORODATY.

Hosudar! inna może być zasadzka....

IWAN.

Wejdę sam — mówię. Mosty nad tę dziurę!
 Co, drzewa nie ma?... Tu, odrzwie cerkiewne!
 Pod stopy cara — zaszczyt~~im~~... Hej, żywo!
*(Żołnierze wyjąwszy drzwi z kościoła św. Zofii, jak kładkę
 kładą je dla przejścia do sali).*

IWAN.

Dobrze. Nikt za mną!

(wbiega do sali i za chwilę powraca)

No i cóż, zające?

Gdzie cuda wasze? Wszak wróciłem cały,

I Jarosława hramotę wynoszę,

(na placu, zwrócony do Nowogrodzian)

I drę ją w oczach waszych, niewolnicy!

Bo Nowogrodu nie ma już na świecie

(drze i depce pargamin).

LUD Z JĘKIEM.

Ach! ach! ostatnie...

*(W tej chwili posąg Wadyma zachwiałwszy się pada w otwór
 zrobiony przez zapadnięcie progu sali i jej schodów).*

LUD.

Wadym! Wadym! Wadym!

CHOŁMSKI.

Hosudar! zdrada! W ziemię pójdziem wszyscy...

Ten plac, być może, cały jest zapadniętą.

IWAN.

Raczej, że ziemia rychłą jest w tem miejscu,

I ciężki kamień stoczył się do dołu.

Pora mu! Był on pierwszym buntownikiem,

I poszedł... Za nim pójdzie wnet ostatni,

I odtąd buntów nie będzie w tej ziemi.

Przyrzekam!

(Wraca do tronu i usiadłszy)

Teraz, kto słowo przemówi,

Głowa precz! Milczeć, i patrzeć i słuchać!

(do arcybiskupa)

Ty, chwiejna trzcino nowogrodzkich buntów,

Ku mnie, to ku nim chyląca swą głowę!

Winienesz kary, będąc wart nagrody...

Jedno i drugie otrzymasz za chwilę
 Wejdź do tej cerkwi, ty wodna istoto,
 I kogo znajdziesz w niej, tego tu prowadź!
(Arcybiskup odchodzi. Jęk dzwonu).

SCENA VII.

LUD usłyszawszy jęk dzwonu.

Dzwon! dzwon wiecowy.

IWAN do Skopina.

Przetrzęsnać tę wieżę!

Kto dzwon potrącił, niech w oknie zawiśnie.

(Skopin odchodzi z żołnierzami. Arcybiskup wyprowadza z kościoła Martę).

SCENA VIII.

LUD.

Ach! ach! ach! Marta...

ARCYBISKUP.

O, Jezu miłośny!

MARTA do arcybiskupa.

Ciężki krzyż, prawda, dźwigać musisz?

ARCYBISKUP.

Ciężki.

MARTA.

I zasłużony, władko. Bóg z tobą!

(do ludu)

Bóg z wami także — po śmierci wolności.

(patrzy w około)

Wszystko, jak widzę, skończone. Jednego

Braknie ci kniaziu: widowiska męki

Marty Boreckiej, buntownicy Marty...

Chciałabym... Widzi Bóg, że męki pragnę,

Za nich, za grzechy moje i ich grzechy.

Wszak to my wolność złożyli do grobu,

Nie ty, co byłeś tu tylko narzędziem

Ręki mściciela. Chciałabym... lecz umrę,

Zanim byś czas miał oddać mnie twym katom...
Wybacz!

(do ludu)

Wy także przebacście mnie grzesznej,
Bom chciała wolność zatrzymać w tej ziemi,
A ziemia nie chce... i oto... łańcuchy...
Odchodzę kniaziu! ostatnia — swobodna!

(konając)

O, Chryste! Naród mój... o, święta wolność!
(umiera).

Lud pada na kolana i bije się w piersi.

SCENA IX.

SKOPIN wraca z żołnierzami.

SKOPIN do kniazia.

Na wieży pusto — serce dzwonu pękło.

(Ujrawszy trupa Marty, pada na kolana)

Wieczny ci pokój, wielki duchu!

IWAN ocknąwszy się z zadumy.

Amen.

(głośno zwrócony do swoich).

Dzwon zrzucić z wieży, i zabrać do Moskwy!

Co ma początek, to się skończyć musi ¹⁾.

K O Ń I E C.

¹⁾ Żałujemy, że zapowiedzianej przez nas, a obiecaniej nam wiadomości o życiu autora dramatu teraz podać nie możemy; powtarzać zaś szczegóły podane przez wszystkie pisma codzienne, uważamy za zbędne (P. R.).

PIERWSZA PRÓBA.

P O W I E Ś Ć.

I.

Ojciec Piotr pomimo dochodów, które mu od lat trzydziestu przynosiła tłusta prebenda, rzadko miewał kurę w rosole, a na kołku w szafie wisały tylko trzy sutanny, z których jedna podobno pamiętała jeszcze uroczysty dzień primicy. Co sobie od ust odejmował, to szło na wyżywienie ubogich, mianowicie dwóch sierót, które się wychowywały w plebanii. Dobry pasterz kochał całą trzódkę wiernych powierzonych jego pieczy, ale Janusz i Helenka to były owe owieczki wybrane, które pielęgnował, na ręku nosił, i dla których gdyby zbłądziły, byłby dziewięćdziesiąt dziewięć innych owieczek opuścił.

Historia tych sierót była krótka i smutna. — Przed laty kilkunastu zamieszkał w miasteczku ojciec Januszek, szewc z profesyi, który w stolicy nauczył się swego kunsztu i przewodzenia między młodszą bracią: — należał do stowarzyszeń rzemieślniczych, prenumerował pisemko ludowe; był silny, barczysty, w niedzielę gdy stanął pod chórem, głową przewyższał tłumy, a głos jego w śpiewie zagłuszał nawet chrapliwy głos organów. W izdebce szewca wisały koło obrazu Matki Boskiej z lampką, litografie Kościuszki i Kilińskiego, i foto-

grafia Hiszpańskiego szewca, do którego nasz pan majster szczyił się podobieństwem. Janusz ojcowskiego szydła nie lubił; wolał przypatrywać się obrazkom rozwieszonym na ścianie, niż robotom na warsztacie: od dzieciństwa coś go już ciągnęło do „drukowanego;“ zbierał z ziemi stare gazety, listy, prosił aby mu czytać, tłómaczyć, opowiadać powiastki.

Znajomość dziecka z ojcem Piotrem zrobiła się — przy butach: majster za obuwie, które robił księdzu, nie chciał nigdy brać zapłaty i co kwartał odsyłał przez Januszka na plebania tę dziesięcinę Kościołowi, w formie nowej pary butów błyszczących, z najcieńszej skórki, polskim fasonem, z cholewami. Przy tej przesyłce zapoznał się ksiądz z dzieckiem i polubił je — uderzyły go bystre oczy i trafne odpowiedzi Januszka: nieraz, spotykając majstra chwalił mu rozum syna, wypytywał czyby już nie czas było posyłać go do szkoły. „Nie trzeba światła chować pod korcem,“ mawiał do niego, „zacznij go posyłać do szkoły, panie Onufry, a w Niedzielę na nauki do mnie, zrobimy z niego człowieka.“ Majster schylił się do nóg księdzu, za pamięć podziękował, a w rok później, gdy ciężko zasłabł, czując zbliżający się koniec, a nie mając krewnych, którymby Januszka mógł powierzyć, ani żadnej opieki, bo go żona dawno już odumarła, kazał biedny ojciec zawołać księdza, i jemu wśród łez powierzył wychowanie jedynaka. W spuściźnie został się po nim niewielki zwitek pieniędzy, gazeta ludowa z lat kilku starannie zebrana, dobre imię i zacny przykład. Januszek ojcu był winien, że dotąd żył w powietrzu zdrowem, od dzieciństwa patrzył na pracę; gdy słyszał śmiech, ten śmiech był serdeczny, gdy widział łzy, to były łzy prawdziwe i gorzkie. Tak wyposażony dostał się na plebanie, gdzie także nic serca jego zepsuć nie mogło.

Stara Małgorzata, siostra księdza, zajęła się ubraniem i jedzeniem dziecka: była to stara panna, nieco głucha, gderliwa i łatwo unosząca się, ale w sercu jej był kącik, do którego Januszek trafić umiał. Słyszał wprawdzie często że dzieci, jak złe zielsko wszędzie wyrastają, że im nigdy nie nastarczy jedzenia i ubrania, ale zawsze miał pełną miseczkę mleka, a dziury w ubraniu starannie były zacerowane. Ojciec Piotr zaś schowawszy pieniądze Januszka na procent, o posyłaniu go do szkoły pomyślał.

W nowej ojczyźnie nie zbywało chłopcu na niczem: było tylko zbyt cicho; nie było widać z okien przechodniów, ani wielkiej ratuszowej wieży, tak jak z okien izby ojcowskiej; cały widok z plebanii były drzewa owocowe, brukowane podwórko i boczne skrzydło kościoła zasłonięte wielką topolą, na której gnieździł się bocian. Czasem zaklekotał bocian, lub uciekł leniwie z topoli, wystraszony krokami kościelnego, który przez podwórko z kadzielnicą lub z brewiarzem pospieszał; zresztą nic nie przerywało ciszy. Szczególniej wolne od nauki poobiednie godziny w niedziele i święta spokojnie upływały Januszkowi: mógł swobodnie dumać pod piecem, liczyć zielone kafle, czytać na podartej szkolnej książeczce; ojciec Piotr tymczasem drzemał, czekając nieszpórów, kanarek w klatce skakał po pałączkach, stary zegar wygłaszał chrapliwie kwandranse, godziny, Januszek najczęściej zasypiał i spadał z ławeczki.

Po kilku latach pobytu na plebanii przybyła wreszcie Januszkowi towarzyszka do zabaw dzieciennych, Helenka, także sierota, licząca zaledwie lat pięć, tyle, ile było potrzeba, aby pamiętać, że te pierwsze lata jej życia nie przeszły na różach.

Za miasteczkiem stał nędzny, murowany dworek, który do rodziców Helenki niegdyś należał; ten dworek i kilka włók piasku stanowiły cały majątek rodzinny. Życie przechodziło tam wśród trosk i kłopotów ustawicznych; lata znaczyły się w kalendarzu domowym tylko przybytkiem lub ubytkiem dziecka, a Helenka była jedynastą z kolei zapisaną na kartce pomiędzy datą zasiewu a wydzierżawienia pastwiska. Biedny ojciec zaczynał drzeć na myśl jedynastu par bucików, potem wykupna sześciu chłopców z wojska, i wyposażenia pięciu córek. Kłopotał się jednak napróżno przyszłością, pracował zawzięcie, był przezorny, ale wypadek pokazał się jeszcze przezorniejszym, a nieszczęście pracowitszem od niego. W pamiętnym roku 185. wybuchła cholera w kraju, i w miasteczku zagnieździła się po ciasnych i brudnych domostwach, całe lato szerząc się bez miłosierdzia, tak że od dawna nie pamiętali ludzie takiej trwogi i takiego lamentu. Choroba dosięgnęła i szlacheckiego dworku, wszyscy mieszkańcy prócz Helenki zostali nią śmiertelnie dotknięci w przeciągu dwóch miesięcy; jak gdyby palec Boży dotknął nieszczęśliwych, wymarła cała rodzina i dworek pustkami stanął. Ostatnia z rodziny umarła

nieszczęśliwa matka, polecając opiekę nad dzieckiem starej słudze i Opatrzności.

Opatrzność wzięła na siebie postać ojca Piotra, który dowiedziawszy się o strasznej klęsce w rodzinie, i o tem, że pozostała sierota nie miała już krewnych, ani innej opieki prócz służącej, sam na ratunek do dworku pospieszył. W domu jak wymiótł nie było nikogo, ojciec Piotr z ciężkiem sercem przeszedł kilka pustych izdebek, nie spotkawszy żywej duszy, wyszedł na podwórze zaczynające trawą porastać, i przy bramce dopiero spostrzegł bawiące się dziecko. Helenka trzymała w ręku gałązkę badyla zerwanego nad rowem, i rozmawiała z suchym kwiatem, a gdy ksiądz zagadał do niej, stanęła niechętnie, patrząc na intruza i przyciskając badyl do serduszka.

— Jak się nazywasz? mówił ojciec Piotr tknięty litością.

Wszystkie pięć paluszków do ust poszło. „Niewiem,“ odparła po namyśle.

— A matka gdzie?

Helenka ręką po za siebie wskazała. Mama w polu? pytał starzec. „Matula w ziemi,“ odparło dziecko poważnie. Ojciec Piotr przyciągnął ją do siebie i smutnie się zadumał. Opatrzność, myślał, stawia to dziecko na mojej drodze; jedną sierotę mam już u siebie, grzechem byłoby zostawić tę bez opieki. Ale tym razem pocziwe zamiary ojca Piotra trafiły na silną opozycją. „Niema i myśleć o czem“ zawyrokowała pani Małgorzata za pierwszym słowem brata o wzięciu Helenki, tyle mi brat Jegomość nasprawdza darmożjadów, że wkrótce samemu nie będzie co jeść.

„Mnie tak mało potrzeba, Małgosiu.“

— I widzę, że się nasz kąt spokojny na ochronkę zamieni, a myśli Jegomość, że się nie znajdą złe języki, co powiedzą że... że...

„Małgorzato“ surowo przerwał ksiądz Piotr, a to „Małgorzato,“ użyte zamiast zdrobniałego: „Małgosiu,“ świadczyło, że i ksiądz Piotr gniewać się umiał. Głęboko dotknięta Małgorzata spuściła oczy i wyszła z pokoju, a w kilka dni później łagodny uśmiech Helenki rozbroił ją do reszty.

Całym majątkiem sieroty było łóżeczko na czerwono malowane, kilka starych gratów i znoszone buciki po braciach i siostrach, w których się jej nóżki gubiły. Dworek został

sprzedany dla spłacenia dłużników, a ojciec Piotr jeszcze nieco grosza uratował i schował do biurka, gdzie obok sumy Januszka posag Helenki wzrastał w procenta. Moralnym posagiem sieroty było wspomnienie prawdziwego nieszczęścia, które się w dziecinny umysł już nie zatarło, to pierwsze zetknięcie się z prawdą życia, z cierpieniem.

W plebanii najwięcej ucieszył się z Helenki Janusz; do zbyt spokojnego raju małego Adama przybywała bowiem Ewa, i to Ewa wprowadzie w łataną spódnicę, ale z jasnymi kręconymi włosami, i niebieskimi oczami, jakby stworzonymi do raju. Sieroty bawiły i uczyły się razem, pod piecem u Małgorzaty, u stopni ołtarza w kościele, w kąciaku zakrystyi, na ławce miejskiej szkółki, na łąkach i polach. W dni letnie wywdzięczając się pani Małgorzacie, wypędzały dzieci gęsi w pole, i paszenie gęsi należało do pięknych dni w ich życiu. Janusz sadowił się pod krzakiem z Helenką i dumał, patrząc na powierzony mu skarb. W skwarne dni lata gorące przypiekało słońce, wszystko zdawało się spać ze znużenia, liście na wpół zwiędłe nie poruszały się na gałązce, czarny pies dzieci drzemał u nóg ich, od czasu do czasu tylko opędzając się od much; wszystko spało, czuwał tylko świerszcz polny, i czuwała myśl w głowce chłopca. Krajobraz, na który Janusz patrzył, nie był zachwycający, całą sceneryą stanowiło kilka suchych badyłów na łące, gdzie nigdzie liść łopianu, żółty kwiat, którego nasienie wiatr przeniósł z sąsiedniej łąki; z prostych pierwiastków złożyła przecież natura całość, która Januszkowi przemawiała do serca. Bo natura jest prawdziwą dla dzieci matką, ona ich uczy z nieprzebraną nigdy cierpliwością, dla ich użytku ma zawsze otwartą księgę; ona ich myśl rozwija widokiem ciągłego postępu, życia, przeobrażania się ziarna w trawę, pączka w kwiat, kwiatu w owoc; natura, widokiem nieba, słońca i ziemi unosi dziecinne serca ku Stworzycielowi, ona brata je z prawdą, której jest obrazem, i uczy używać szczęścia i przyjemności, które nic w sobie nie mają sztucznego. Jak najwięcej dzieciom przebywać na łonie tej wielkiej powszechnej Matki, jak najmniej wśród czterech ścian, nad obrazkami, i wśród zabawek, jak najwięcej wśród drzew, kwiatów, pod gołym niebem. To jest raj, z którego kiedyś wypędzą dziecko do

życia i pracy; jak najdłużej i najczęściej w tym raju mu przebywać.

Januszek pod krzakiem dzikiej róży myślał dużo, a Helenka mu nie przeszkadzała; wiedziona instynktem kobiecym przeczuwała, że mu się podoba milczeniem i tymczasem rozmawiała z czarnym psem owczarskim, albo z gęśmi pani Małgorzaty. W niedzielę, gdy wolno było dzieciom bawić się cały dzień, biegły daleko poza miasteczko, gdzie pałac na wzgórzu wybudowany górował po nad równiną w gęstej drzew koronie. W pałacu mieszkał Hrabia, właściciel miasteczka, którego co niedziela można było widzieć w ławce głównej w kościele, a mimo to dzieci z niedowierzaniem przyglądały się murom pałacu, rozmyślając, kto też mieszka w smukłych wieżyczkach, które widniały zdaleka, ptaki czy ludzie? Z ciekawością podchodziły aż pod same mury zaczarowanego zamku. Czasem przez kraty baryery udało im się wypatrzyć „panicza,” bawiącego się w ogrodzie, a któremu towarzyszyli nieodstępnie bona, guwerner i guwernantka. Dziecko z pałacu było blade, poważne i zamyśłone; gdy czoło opierało o żelazne kraty bramy, zdawało się do niej przyrastać, i trudno go było oderwać z zamyślenia. Małym pastuszkom przypatrywał się równie ciekawie jak oni jemu, ale długi czas znajomość dzieci kończyła się na wspólnem oglądaniu. Duży rów obrośnięty ciernistymi krzakami okalał ogród pałacowy, oddzielając go od pola; dzieci mierzyły ten rów oczami, przyglądały się sobie, robiąc każdy swoje uwagi, i nie odzywając się do siebie. Raz jednak, gdy guwerner zapomniał się na ławeczce z boną, dając przez to wczesny przykład uczniowi, a panicz stał sam u bramy, Janusz ośmielił się i zdjął czapkę. Na jego uśmiech Ludwik, takie było imię malca, odpowiedział cieniem uśmiechu, i chudą rączkę wcisnął pomiędzy szpary ogrodzenia, jakby żądając sojuszu przyjaźni. Janusz zawahał się, popatrzał na rów, który mu się przepaścią wydał, a Ludwik chcąc może zachęcić nowego przyjaciela, pokazał mu zdaleka pomarańczę, którą się bawił przed chwilą. To poskutkowało, Janusz nie dla siebie pożądał owocu, w mgnieniu oka był już w rowie, drapał się w górę po chwili stał już z tej strony bramy zadyszany, z podrapaniem czołem i z zakrwawionemi rękami. Na widok krwi Ludwik nie mógł powstrzymać okrzyku przerażenia, i cofnął

rękę. „To nie paniczu“ wesoło zagadnął Janusz, to tylko krew, to się obmyje.

„Krew, prawdziwa krew?“ powtórzyło dziecko wzruszone i bardzo blade. „Panicz nigdy nie widział?“ „Na obrazku Kaina i Abła. — Pokaż jak to wygląda?“

Te kilka kropli krwi miały się stać cementem przyjaźni między chłopcami. Ludwik milcząco podał pastuszkowi dwie pomarańcze, dając znak, aby jedną zachował dla siebie. Przyszła kolej zadziwienia na Janusza, gdy chciał zęby zatopić w złoty owoc, któremu równego nie widział jeszcze. Ludwik ze śmiechem wytłómaczył mu, że pomarańcza to nie jabłko, że ostrą łupinę zawsze się odrzuca. I tak niewiedząc o tem, dzieci za pierwszym widzeniem, dzieliły się nabytem w dwóch odrębnych światach doświadczeniem. Ludwik pierwszy raz zetknął się z prawdą, Janusz ze zbytkiem.

II.

Ludwik chował się samotnie w pałacu pod okiem matki i wuja swego i opiekuna, hrabiego, dozorowany, pilnowany, pieszczony jak kwiat pod kloszem, pomarańczami bawił się jak piłkami, cukierków już nie lubił, bo mu się przejadły, zabawki go nudziły, bo ich miał pełen pokój. Matka nie lubiła oddalać go od siebie; ogród pałacowy dość był obszerny, cichym zabawom dziecka wystarczał, zresztą hrabina niechętnie wychodziła na świeże powietrze, i najczęściej syna zatrzymywała w pokoju, aby się pod jej okiem bawił. Ludwik lepiej znał kwiaty na dywanie matki, jak te co na łąkach rosną, i częściej patrzył na różową papugę uwięzioną w klatce, jak na wróbla lub jaskółkę; na obrazku umiałby nazwać najgrubsze zwierzę, hipopotama i słonia, ale w rzeczywistości nie wolno było mu zawierać przyjaźni z żadnem zwierzęciem z podwórza, chyba z angielską charciczką w salonie matki; to piesek dobrze wychowany salonowy, i jakby do dekoracyi potrzebny.

Hrabia, wuj i opiekun Ludwika, nie pochwalał wychowania, jakie siostra dawała synowi, ale stanowczego nie miał

głosu. Cicha, podjazdowa wojna trwała ciągle pomiędzy matką Ludwika a hrabią Leonardem, wojna nigdy w otwartą nie przechodząca walkę; gdyż hrabina bała się brata, a pan Leonard tyle dobrodziejstw siostrze wyświadczył, że swej wyższości nigdy nadużyć nie chciał. Po owdowieniu siostry, wiedząc że w złych zostawała interesach, nietylko zaprosił ją do siebie, odstąpił jej pałac na mieszkanie, sam przeniósł się do starych oficyn, ale zajął się gorliwie oczyszczeniem zadłużonego majątku, i kasa jego tymczasem stała otworem dla małych i wielkich grymasów hrabiny. Pan Leonard był dziwakiem; wiele rzeczy nie podobało mu się w trybie życia siostry, ale znosił jak mógł małe z tej strony niedogodności, bo się uznawał jej dłużnikiem. Czytaliśmy gdzieś o czcigodnej jednej matronie, że długi czas piła złe mleko od mleczarki, do której tylko to ją wiązało, że jej darowała krowę. Otóż hrabia w podobnym stosunku znajdował się względem siostry; wiązał go dług delikatności, i żałował ile razy wrodzona otwartość pociągnęła go poza granice cierpliwości, co się dość często trafiało.

Grzeczne sprzeczki pomiędzy bratem a siostrą rozpoczynały się o byle co, o czas, pogodę, wiatr co wieje, słońce co świeci. Hrabina była niewyczerpana w atakach. Raz szło jej o czamare brata, drugi raz o szeroki kapelusz, w którym hrabia wyglądał jak amerykański plantator. Mógłbyś już nie nosić tego panama, mon cher, mówiła, proszę cię, mon cher.

Co to mon cher, mon cher — odrzucał rozdrażniony hrabia piłkę w inną stronę — nie wiem do kogo mówisz? wiesz dobrze, że za każde słowo francuskie płaci się u mnie dziesięć sous do skarbonki ubogich. „Mogę od razu zostawić duże a conto, po francuzku na wpół żartobliwie na wpół z pogardą odparła hrabina, trudno po polsku prowadzić rozmowę *suivie*; nasz papa, książę Jerzy, po polsku do dziś dnia nie umieją, i ty pókiś był za granicą, licho mówiłeś po polsku, a przecież jesteście comme il faut, a przepraszam, masz dziesiątkę.“

Hrabia zacisnąwszy kapelusz na oczy, gwizdał przez kilka chwil po cichu poloneza.

Spór stawał się zaciętszy, gdy już nie szło o kapelusz ani o francuzczyznę, ale o wychowanie Ludwika, o bonę Szwajcarkę, guwernera Francuza, kostiumy szkockie, potrawy delikatne, kosztowne zabawki. Hrabiemu zdawało się, i słusznie,

że miał prawo mieszać się do wychowania jedynaka, był jego dodanym opiekunem, sam się już starzał, i przestał myśleć o żonie, a na Ludwika patrzył jako na spadkobiercę majątku, imienia i zacnych czynów świetnego rodu. Bolało go, że w wychowaniu Ludwika wszystko szło jakoś nie po ludzku, nie po polsku, ale pocziwy pan Leonard reprezentował w domu tylko władzę prawodawczą, władzę egzekucyjną była tu hrabina. Pozory dotąd zdawały się za nią przemawiać. Ludwik był małą doskonałością, a z wychowaniem jego nie było dotąd kłopotu: Na drzewo się nie wdrapał, nie skaleczył się, uczył się przykładnie, a gdy był chory, sam pilnował godzin lekarstwa. Żadnego nie miał grymasu; pierwszą pozorną fantazją butnego jedynaka, była przyjaźń z Januszkiem i prośba, aby otworzono bramę Januszowi i Helence. Nieśmiało, po cichu zwierzył się z tem pragnieniem dawnej piastunce, piastunka powtórzyła bonie, bona guwernantce, aż wreszcie prośba przez wszystkie stadya przeszła do ostatniej instancyi, do matki, i tu na żywy natrafiła opór. Hrabia przytomny dyskusyi, uznał, że słuszność była po stronie Ludwisia, i oświadczył dość ostro siostrze, że z syna nigdy człowieka nie zrobi, jeżeli mu nie pozwoli zetknąć się z życiem, z naturą, z dziećmi rówieśnikami.

— Rówieśnikami, ale nie równymi, mój Lodziu.

— Równymi, równymi. i w czymże on wyższy od tamtego malca? czy mu tytuł doda o ćwierć cala wzrostu? Spójrzij raczej, dodał hrabia namiętym ruchem wskazując na dzieci stojące za bramą, czy mały plebejusz nie jest ślicznym okazem dziecka, silny, pełen życia i zdrowia, nie nie traci przy twym synie; doprawdy, jeden Bóg ich stworzył.

— „Jak z katedry mówisz, mon très cher, łagodnie odparła hrabina, ale to rzeczy nie zmieni, dlaczegożeś się nie ożenił np. z panną... z panną Tankiewiczówną? Mówiono bowiem, że w młodych latach serce zabłądziło z pałaców pod skromną strzechę zagonowego szlachcica.“ Zaostrzone żądło trafiło w serce hrabiego. „Dlaczego, dlaczego? wybuchnął, bo i jam nic nie wart, bo i ja od młodości zarażony jestem chorobą zbytku, fałszu i konwenansów, ot nie mówmy lepiej o mnie.“

Aby ukryć wzruszenie hrabia poparł jeszcze swe rozumowanie żartobliwem przytoczeniem historycznych przykładów egipskiego Sesostrisa i polskich Jagiellończyków. Hrabina tym

razem dała się przekonać, i pozwoliła na zabawę Ludwika z sierotami, polecając bonie, aby paniczowi nie zapominała nigdy wprzód włożyć rękawiczek.

Ustępstwa hrabiny należały do wyjątków; zwykle gdy z opozycją brata rady sobie dać nie mogła i nie miała innych pod ręką argumentów, chwytła się ostatecznej broni, zakrywała oczy batystową chusteczką, aby zataić łzy, a raczej zataić to, że łez nie było. Zaniesienie chusteczki do oczu było w wojennej chwili jakby wywieszeniem chorągwi pokoju. Hrabia na widok łez kobiecych miękł jak воск, i po chwili milczenia odchodził mówiąc: „Już rób co chcesz, tylko nie płacz.“ Ludwiś, który nieraz przytomny był podobnym scenom, nie rozumiejąc wszystkiego, to jedno najmniej rozumiał, czemu mama zakrywa oczy chusteczką, choć nie płacze, bo widział, że po wyjściu wuja matka jego spokojnie wracała do roboty, i oczy miała suche. Co do hrabiego, sumienie bolało go po każdym takim ustępstwie zrobionem dla kobiecej słabości, szukał spokoju w samotności, zamykał się na cztery klucze, albo na pociechę szedł do stajen. Konie były bowiem jedyną jego namiętnością, okna z jego pokoju wychodziły na stajnie, i więcej hrabia o koniach myślał niż o sobie — sam, zadawałniał się prostem jedzeniem, skremnami sprzętami, ale konie miały u niego posadzkę i żłoby kamienne. Pan Leonard dochodził powoli do przekonania, że zwierzęta więcej warte są od ludzi, że z końmi lepiej żyć jak z przyjaciółmi i z kobietami, a z rodzaju ludzkiego lubił tylko dzieci. Hrabina nie była stworzona na to, aby brata z ludzkością pogodzić; mimo często używanej chusteczki, mimo częstego bicia serca i rozdrażnień nerwów, na które chorowała, matka Ludwika serca nie miała i nie mogła dojrzeć, ile pozorne dziwactwa hrabiego ukrywały uczuć głębokich. Jej zaś miłość do rodziny ulegała zmianom rozmaitym: pana Leonarda kochała najbardziej wtedy, gdy go w domu nie było, syna, gdy spał, męża, gdy umarł. Pałac samotny był dla niej klatką, i nieraz myślała jakby się można wydostać na świat szeroki, opuścić brata, ale ozłocić mu pigułkę, i rozstać się z nim w zgodzie, bo potrzebowała jego względów. Przez długi czas dojrzewał plan w sercu pięknej wdowy.

Raz, było to w lat parę po zapoznaniu się Ludwika z Januszem i Helenką, dzieci bawiły się na podwórzu, hrabia na balkonie czytał gazetę, hrabina paliła papierosa patrząc zamyślona na białe chmury, które przeciągały po niebie. Robiła przelotny rachunek sumienia. Cztery lata kończyły się odkąd przybyła pod gościnną strzechę brata. Cztery lata babilońskiej niewoli, powoli dobiegła trzydziestki widując tylko proboszcza miejscowego i kilku sąsiadów; a właśnie dnia tego dojrzała w lustrze na skroni pierwszy włos siwy.

Hrabina strzęsa zamyślona popiół cygaretką na chińską podstawkę i odwróciła się do brata. „Patrz, rzekła wskazując na syna, jak to dziecko rośnie...”

— Jemu wschód, nam zachód, odparł hrabia, wieleż lat ma Ludwik? porachujmy.

— Zdaje mi się, przerwała z lekkim rumieńcem hrabina, niechętna wszelkim rachubom, że byłby wielki czas oddać go do szkół.

— Hrabia głową mowie siostry przytakiwał.

— Oddamy go do szkół, ale, zawołała nagle, ja się z nim nigdy, nigdy, nie rozłączę, ja bym nie przeżyła takiego rozłączenia, na samę myśl...

Chusteczka koronkowa już była na oczach hrabiny; pan Leonard przeszedł się kilka razy po ganku, i lekko położył rękę na jej ramieniu. „Kochane dziecko, rzekł, pomyślimy o tem, możecie się nie rozłączać.”

— Niewiem, cicho i łkając szepnęła hrabina, czy... czy.. ach! Boże! czemuż mój mąż, nie miej mi za złe Boże, że tak wspominam jego świętą pamięć, czemuż był taki nieprzezorny, przez lat kilka tak zaryzykować majątek, a teraz.

— Tylko o to się nigdy nie troszcz, niecierpliwie zagadnął hrabia, który nie lubił rozszerzać się nad kwestyami pieniężnymi; interesa twego syna, da Bóg, będą zupełnie w porządku, zanim dojdzie do pełnoletności, a że tymczasem dochodów nie macie, od czegoż ja jestem? to prawdziwe dobrodziejstwo dla mnie, tylko się o to nie troszcz, możecie się nie rozłączać.

— Hrabina sama nie wierzyła w tak łatwe zwycięstwo. „Szczególniej“ pochwyciła zanadto może skwapliwie, że życie w mieście nie takie drogie — za granicą....

— Dlaczego za granicą? można w kraju.

— Nie takie drogie życie, ciągnęła dalej hrabina, puszczając mimo uwagę brata, im większe miasto, tem tańsze, my kobiety już umiemy zastosować się do wszystkiego, będę chodziła sama na targ z koszyczkiem, wezmę mieszkanko gdzie na uboczu, żadnego zbytku...

— No, no, pomówimy jeszcze o tym targu i o tym koszyczku, roześmiał się hrabia, radźmy gdzie jechać.

• Po krótkiej rozmowie hrabia z westchnieniem poszedł do dzieci, a hrabina lekko przebiegła schody, i poszła na naradę z panną służącą, jaką suknię wziąć na drogę.

III.

Przyjaźń między dziećmi z plebanii a Ludwikiem mogła przez lat parę dojrzeć zupełnie; mimo rękawiczek, które Ludwikowi kładziono do zabawy, prędko zapoznał się z Januszem i Helenką, a co do nich, wrodzona dzieciom swoboda wkrótce przemogła onieśmienie wywołane zrazu wykwinnym strojem małego hrabiego, widokiem ciosowych schodów wiodących do pałacu, na których rzędem stały pomarańczowe drzewa, i rozrośnięte aloesy rozpierały się, zapomniawszy o ojczystej skale. Janusz na wszystko baczne zwracał oko, zauważył, że królestwo Ludwika jest piękne, lecz po jakimś czasie o tyle się ośmielił, że go wyciągnął za bramę, w pole, do siebie. Instynktem uważał sierota szeroki ugor za swoją własność, nikt mu nie zaprzeczał panowania nad badyłami, chwastami i głogiem. Tu robił Janusz Ludwikowi honory swego królestwa, tu Ludwiś pierwszy raz podarł sukienkę, krzyczał głośno, wpadł w błoto, i bawił się jak król, gdy przypadkiem zapomni o powadze purpurowego płaszcza. Tu przez lat kilka nie jedną piękną spędzili godzinę; nieraz Ludwik był Szwedem, a Janusz Polakiem, to znowu Janusz Tatarem lub Turkiem, a Ludwik Ukraińcem. Helenka wtedy służyła za polską pikietę i miała uważać, czy nieprzyjaciel nie nadchodzi, nieprzyjaciel w postaci pana Bonard lub panny Matyldy.

Wśród tych i innych zabaw jak grom z pogodnego nieba spadła na dzieci wiadomość rozłączenia i wyjazdu Ludwika do szkół zagranicę. Trzeba było porzucić pożyczany charakter rycerski Szweda i Tatarą, a zajrzeć rzeczywistości w oczy i zostać sobą samym — studentem. Ludwik był niepokieszony, miał wprawdzie wrócić na przyszły rok, i matka mu obiecała, że co wakacje przywiezie go do wuja; mimo to w dzień wyjazdu nie obeszło się bez płaczu. Janusz o tyle już był człowiekiem, że z suchem okiem pożegnał przyjaciela, ale gdy sam został na drodze, i zapłakana twarz panicza wychylająca się z powozu znikła mu z oczu, Januszek ciężko westchnął, wrócił do plebanii wolno, z spuszczoną głową, i Helenka nawet pocieszyć go nie mogła. Przeczuwał, że dobre czasy już nie powrócą.

Jakoż, w następnym roku Hrabina wprawdzie przywiozła Ludwika na wakacje, ale i Janusz nie mógł tak często chodzić do pałacu, gdyż oprócz nauki w szkółce, ojciec Piotr posyłał go do stolarza, i Ludwik był zajęty; widywali się tylko w kościele zdaleka. Panicz nie wiele się odmienił, wzorowa cenzura, którą Hrabina przywiozła bratu, świadczyła, że nie przestał być grzecznym i pilnym; dziecko mało urosło, było bardzo układne i mówiło już trzema językami, mieszając wszystkiego po trochu, jak w biblijnej Babel. Hrabia musiał uznać, że jest zadowolony.

Tak było przez pierwsze wakacje; gdy drugie nadeszły, napróżno Januszek wyglądał panicza, w kościelnej ławce nie pojawiła się już Hrabina ani jej syn, a Januszek instynktowo czuł, że był ktoś co więcej jeszcze tęskni za Ludwikiem, i z współczuciem patrzył na pana Leonarda modlącego się samotnie w ławce, a którego modlitwę częste przerywały westchnienia.

Zdawałoby się, że jakiś wyrok fatalny rzucony jest na serca poczciwe i zapominające o sobie, jakoby ich zadaniem było tworzyć niewdzięcznych, wywoływać małostki, uwydadniać samolubstwo innych. Taki był już los pana Leonarda, że im więcej dobrodziejstw zasiewał, tem więcej zbierał niewdzięczności. Hrabina zamiast przyjechać, napisała tylko list długi i czuły, w którym uniewinniała się, nadmieniając, że zdrowie Ludwika nadwężone pracą, że potrzebuje kuracyi. „Koehane

dziecko — pisała — nie da się oderwać od książki; poradzono mi, aby z nim koniecznie jechać do Trouville, jadę więc do Trouville z moją najdroższą Terenią, której córeczka także jest delikatna, będziemy dzieci nasze zakopywały w piasku, bierzemy z sobą książki, będziemy żyły cichutko, dozorywały naszych drogich pacjentów, i bądź zupełnie o Ludwisia spokojny. Cieszę się na siedzenie nad morzem, na samotność, rachowanie bałwanów i na sielankowe życie.“

Program sielanki spełnił się tylko co do pierwszej części. Ludwik z małą Irenką bawili się w piasku, i szło im to na zdrowie, ale Hrabina z przyjaciółką nigdy nie przecięły pierwszych kartek przywiezionych książek; nad morzem znalazło się wesołe towarzystwo, którego zadaniem nie było bawić się w sielankę. Koło tego wielkiego i hałaśliwego świata kręcił się mały, dziecinny światek, naśladując z wielką wiernością rnych starszych. Irenka jako piękność dziecinna, była en vogue, Ludwik i kilku innych asystowało jej, a Ludwik, najpewniejszy siebie, wsunął kiedyś dziewczątka w kieszeń fartuszka bilecik dość słodki. Po skończonym sezonie obydwaj światy, wielki i mały, dały sobie rendez-vous w Paryżu. Hrabia w jesieni odebrał list datowany z tamtąd; Hrabina donosiła, że się przeniosła do Paryża dla oszczędności i dla dobra Ludwika, aby kochane dziecko korzystać mogło ze wzorowych szkół francuzkich. Uwagi Hrabiego nic nie pomogły, prawa jego, jako opiekuna, ustąpiły przed prawami matki, i Hrabina została z synem w Paryżu. Na brak listów przynajmniej nie mógł się pan Leonard skarżyć; matka Ludwika pisywała dużo i w drobne wdawała się szczegóły, a najwięcej pisała o oszczędności. Bóg jeden wie, co kosztuje kobiecie oszczędność. Przez oszczędność najęła Hrabina mieszkanko w Paryżu na trzecim piętrze, jak na śmiech, trzy kroki wszerek, trzy wzdłuż, jak naparstek, przez oszczędność nie przyjeżdżała do brata na lato, tylko przepędzała wakacje w jakiejś dziurze nad morzem lub u wód, przez oszczędność nie prowadziła kuchni, jadała w hotelu, a kłopoty drobne praktycznego życia zdała na służbę, nie miała nawet lokaja, tylko pannę, Normandkę, prawdziwą perłę, o czym i Ludwiś miał się wkrótce dowiedzieć — może także przez oszczędność.

Jeden z bardzo oszczędnych ministrów francuzkich zeszłego wieku wyraził się o pieniądzach, że to nie liście na drzewie, gdy raz opadną nie odrosną; ta wielka prawda nigdy nie weszła w rachunek Hrabiny; a Ludwik zapatrzonny na matkę, która nie umiała rozróżnić franka od luidora, nauczył się bawić temi kosztownemi, nieodrastającemi liśćmi, jak morskim piaskiem. Z dziecka powoli wyrastał Ludwik na młodzieńca, nie mając pojęcia o żadnych warunkach prawdziwego bytu. Matka dawniej nie żałowała dziecku ani na akwaryum ze złotemi rybami, ani na małą zbrojownię, kosztowne drobnotki, konika, poneja, ale gdy Ludwik zaczął sięgać wyżej, gdy ładna Normandka chodziła już w coraz droższych sukienkach, a panicz miał klucz podwójny do bramy, Hrabina dopiero spostrzegła, że syna kieszeń dziurawa i pieniądze przez nią lecą bez żadnego porządku. Nie było to wprawdzie nic nowego, był to dalszy rozwój, dawne fantazyje, tylko zastósowane do wieku, ale Hrabina wzięła to za nowy objaw zepsucia, i aby zaspokoić sumienie, kupiła dziecku w księgarni Dentu piękną edycyą Plutarcha, zapisując na pierwszej karcie prośbę i błogosławieństwo macierzyńskie, zalecając Ludwikowi, by się na starożytnych kształcił wzorach. Poczem wszystko wróciło do porządku dziennego.

Hrabina przy tem wszystkiem nie zapominała nigdy o bracie; miłość jej do pana Leonarda objawiała się głównie listami i fotografiami: z kilkunastu lat pobytu Ludwika zagranicą zebrała się w biurku Hrabiego cała kolekcya jego fotografii w rozmaitych pozach, z czapeczką i z gołą głową, siedzący i stojący, z psem u nóg i t. d. Postęp był widoczny w coraz staranniejszem wiązaniu krawata. Pan Leonard nie zawsze rad był fotografiom, jedną przedstawiającą Ludwika ośmnastotetnim młodzieńcem z cylindrem i laseczką w rękę, a z szkiełkiem w oku — podarł i zaczął się coraz usilniej domagać od siostry, aby mu syna przysłała, lub z nim przyjechała do domu. Kilka lat udało się jeszcze hrabinie spolitykować; raz Ludwik był słaby, raz musiał przygotowywać się do egzaminów, wreszcie zrozumiała, że się coś bratu należy, że cierpliwość jego może się skończyć i zerwać jak zbyt naciągnięta struna. Po skończonych naukach Ludwika, doniosła Hrabina, że syn jej świetnie zdał egzamina, i że wkrótce sam

pospieszy uściskać opiekuna. Szczęśliwa matka rozpięła się nieco dłużej o Ludwika, o jego zdolnościach, wzorowem prowadzeniu, szczęściu do ludzi; radość jej z powodu zdania egzaminów to tylko psuło, że sobie chłopiec wzrok nad książkami nadwęgrył; musiał nosić okulary, a to bardzo piękności jednak a szkodziło.

Hrabia kończąc list z szczęśliwą wiadomością, bardzo był wzruszony. „No, no... mówił sam do siebie, przechadzając się po pokoju: nic to nie szkodzi, na rodzinnem powietrzu wyleczymy go od razu — pocziwe dziecko — kochany chłopiec. Pan Leonard musiał się z kimsiś podzielić wielką nowiną, posłał po ojca Piotra, który oddawna był jedynym towarzyszem jego samotności. Przez ostatnie lata nie było dnia, aby ojciec Piotr, wsparty na sękatym kiju, nie szedł odwiedzić kolatora, zjeść z nim obiad, przeczytać gazetę i przedrzymać się na fotelu. Miał czas poznać go, zgłębić jego małe i wielkie nieszczęścia; na wiadomość tedy o powrocie Ludwika ucieszył się serdecznie i sam oświadczył, że odprawi nazajutrz wotywę na intencją szczęśliwego powrotu podróżnika. Na stole znalazła się butelka dobrego węgryna, Hrabia w długą wdał się gawędę i już się dobrze zciemniło, zanim ojciec Piotr do plebanii wrócił, ciesząc się, że dobrą wiadomość niesie Januszowi i Helence.

Na plebanii nie się od lat kilkunastu nie zmieniło; ojciec Piotr zasiadał na dawnym miejscu do brewiarza; pani Małgorzata krzątała się po kątach, tylko zupełnie przygłuchła; zegar znaczył dawnym porządkiem godziny, a w zielonej klatce skakał kanarek, bodaj czy nie prawnuk tego, któremu się Janusz przyglądał za lat dziecinnych. Jedyna znaczną zmianą była w topolach na podwórzu, które już sięgały po za dach plebanii, i w sierotach, które przerastały drzwi niskich pokoiów, a których życie tak jak dawniej jednostajnym upływało trybem.

Janusz od dzieciństwa nie przestał wydeptywać jednej ścieżki wiodącej do szkółki miejskiej, a potem do miejskiego gimnazjum; oczy jego przyzwyczyły się witać słońce wschodzące po nad ratuszową wieżą, a żegnać je zachodzące po za dworek burmistrza otoczony topolami. Małe miasteczko miało się w stosunku do świata, jak jaka stara zapomniana

Łódź na brzegu do okrętu płynącego na pełnem morzu; rzadko dochodził tam odgłos życia, od lat dwudziestu o jednej godzinie zamykały się sklepy, o jednej godzinie kładziono się spać i gaszono światło. Po dziesiątej już chyba pies przeleciał przez rynek, a jeżeli gdzie zamigotały światelka w oknie, to znak był ciężkiej choroby. Wyjątkowo u jednego Januszka świeciło się czasem do północy w pokoiku na strychu, który mu na mieszkanie wyznaczała pani Małgorzata. Janusz siedział nad starą książką, którą mu pan profesor pożyczył, uczył się, chodził po swoim czterołokciowym pałacu, wdychał i znowu do czytania wracał.

Uczone głowy miasteczka dawno młodego chłopca wzięły w opiekę, ale i moralny świat był tu ograniczony i jakby deskami zabity, a widnokrąg ciasny; pan profesor i pan archiwista od lat dwudziestu i więcej przestali iść w takt za postępem, jeżeli go kiedy zaznali. Myśl ich kręciła się koło jednej maleńkiej zgłoski wielkiego alfabetu; pan profesor pracował nad monografią miasteczka, archiwista poświęcił życie sprostowaniu mylnej daty w starej kronice, za którą wszyscy późniejsi poszli dziejopisarze.

Januszowi zaczynało już być duszno w tym ciasnym kąciку świata; z coraz większem roztargnieniem słuchał uczonych prelekcij, niecierpliwiły go książki, których mu profesor pożyczał, a myśl jego wyrывała się po za ograniczone widnokręgi miasteczka, po za szkolne mury i ratuszową wieżę, chciwa nowych widoków i nowego życia. Trafiło się coraz częściej, że Janusz wracał do domu smutny i zamyślony. Helenka, która czekała niecierpliwie odgłosu dobrze znanych kroków na podwórzu, aby podać wieczerzę, dziwiła się zmianie twarzy Janusza, i napróżno starała się go wybadać. Janusz zbywał ją niczem, siadał przy oknie zadumany, patrząc na daleki trakt, który do miasta prowadził, a po którym o tej godzinie przyjeżdżała bryka pocztowa. Janusz śledził okiem prędkiego ruchu pojazdu, który coraz to mniejszy, znikał wreszcie na zakręcie drogi, pozostawiając za sobą tylko lekki tuman kurzu.

Szczęściem umysł młodzieńca nie gubił się nigdy zupełnie w tym tumanie, będącym niejako obrazem jego ma-

rzeń, i prędko wracał do rzeczywistości. W tem już była zasługa pani Małgorzaty i ojca Piotra.

Pani Małgorzata nieraz używała Janusza do robót w domu i w polu; nie należało to do obowiązków sieroty; wszyscy instynktem uznali jego wyższość, zwali go panem Januszem, ale nie pogardzał przeto żadną robotą, a ojciec Piotr rad na to patrzył, że się do każdej pracy wprawia za młodu. Musiał tedy nieraz pomagać Helence w wiązaniu snopków, w rzucaniu żętego zboża do stodoły, w podścielaniu słomy pod krowy, z którymi nasz uczony był oddawna w przyjaźni.

Gospodarstwo ojca Piotra nie było zasobne, a ludzi nie raz do roboty brakło; zakrystyan występował w charakterze włodarza, organista zostawał furmanem, a gdy przypadkiem wypadło księdzu Piotrowi jechać do chorych wtedy, gdy organista uczył dziewcząt nowego chóru, musiał go Janusz zastąpić. Temu niedoborowi w gospodarstwie zawdzięczał niejedno doświadczenie. Przyjechawszy na miejsce do chorego, konie zwykle przywiązywał do płotu, i siedł za ojcem Piotrem do ubogiej izby, klęcząc, z innymi odmawiał modlitwy za konających, z bliska patrzył na nędzę, łzy i śmierć.

Wracano najczęściej wieczorem z takiego objazdu; ksiądz Piotr milczał otulony w płaszcz, bryczka powoli toczyła się po piaskach, gdzie niegdzie na samotnej drodze mijając krzyż drewniany, godło miłości i cierpienia. Mój Boże! wzdychał ojciec Piotr, przerywając wieczorne pacierze, co się to staje z człowiekiem pod koniec jego wędrówki. Patrzeć na śmierć, to uczyć życia, i my tą drogą kiedyś pójdziemy; — no, no — pospieszaj Januszkule, konie jakoś zwolniały, pospieszaj chłopcze, Helenka już czeka z wieczerzą.

W takie dni miała Helenka tę pociechę, że jej brat przybrany był spokojniejszy; mówimy pociechę, gdyż smutek Janusza był jedyną a wielką troską dziewczęcia. Nie mogła go zrozumieć, niegdyś dotrzymywała mu kroku w wycieczkach po polach i łąkach, i teraz w robocie domowej zawsze prześcignęła go w zręczności, ale na moralnej arenie została daleko po za nim. Ani się jej śniło o owym niepokoju, który młodą duszę ucznia napełniał i dla niej owszem świat cały mieścił się w plebanii i widziała obraz całej natury w róży kwitnącej pod oknem, którą pielęgnowała, a która

dostarczała jej kwiatów do przystrojenia głowy. Helenka miała lat szesnaście i ładnie jej było w różach, a miała serce poczciwe — to było dotąd całym jej rozumem i główną zasługą.

Ojciec Piotr lepiej od Helenki rozumiał co się działo w sercu Janusza.

— Nic to nie jest — odpowiedział zamyślony Helence, gdy mu się raz zwierzała z troski spowodowanej Januszem — skrzydła mu rosną jak ptakowi, chce żyć, musi iść między ludzi, moje dziecko, musi nas opuścić.

— Opuścić? — powtórzyła biedna Helenka — tak nam dobrze razem.

— A módl się Helenko, aby przeszedł nieskażony przez to życie, w którym go czeka pierwsza walka i pierwsze niebezpieczeństwo.

— Mój Boże! i jakież czekać go może niebezpieczeństwo? może... może...

— Nie rozumiesz jeszcze tego — łagodnie mówił ojciec Piotr, i po chwili milczenia mówił dalej. — Czy pamiętasz powieść o Danielu, którego Bóg w jaskini lwów zachował nienaruszonym, i o tym młodzieńcu, który wyszedł zwycięsko z gorących płomieni? może i naszemu Danielowi nic się nie stanie, bo ma do walki z życiem dwie bronie kosztowne, pracę i modlitwę, i jak ów z biblii młodzieniec, ma serce czyste, prawe, żadnym nie dotknięte fałszem; obetrzyj łyż Helenko i bądź spokojna.

IV.

Ludwik przyjechał do wuja nad wieczorem po kilkodzienną, nieprzerwaną prawie podróż. Hrabia, ojciec Piotr i domownicy, między którymi był Janusz, nie mogli dość się napatrzyć odzyskanemu dziecku. Ludwik jak był, tak został, małą doskonałością; powierzchowność jego zawsze była ujmująca, staranne ubranie uwydatniało kształtną choć niską figurę, a w twarzy młodzieńca łatwo było odnaleźć rysy dzieciinne; najmniej zmienił się głos, który zachował pewną dziecienną modulacją. Ludwik był ślicznie wychowany, każdego

ujął od razu stosownym, jak dla kogo, uściskiem ręki, serdecznem słowem, uśmiechem lub ukłonem; a jeżeli doskonałości mogą mieć swoje wady, to wadą Ludwika było chyba to, że za często ziewał. Hrabia zaś znalazł, że siostrzeniec źle wygląda; ale i ziewanie i bladość można było kłaść na karb podróży — i pan Leonard dalsze uwagi odłożył do jutra, gdy Ludwik się przespi i odpocznie.

Ale Ludwik przespał się, odpoczął i został takim jakim był pierwszego dnia, był bledszy, mizerniejszy i mniej mówiący jeszcze jak za lat dziecinnych, nigdy prawie się nie ożywił. Zresztą kart nie lubił, do stajni wuja nie zajrzał, lubił leżeć godzinami całemi w ogrodzie na ławce, i podłożywszy pod głowę jedwabną poduszkę grzać się na słońcu i ziewać.

Hrabia czas jakiś znosił to cierpliwie, ale wreszcie uznał, że leżenie i ziewanie nie jest żadnem stałem zajęciem dla młodzieńca. Chciał więc zdać przed nim rachunki, a gdyby Ludwik zechciał gospodarować, osadzić go na majątku o pół milki odległym od miasteczka, w Strzelnie. Za pierwszym słowem opiekuna o rachunkach, Ludwik pocałował go w rękę, papiery schował do szuflady i więcej do nich nie zajrzał, a co do wyboru karyery, oświadczył wujowi, że mu wszystko jedno, że się do jego woli zupełnie zastósuje. Mógł obrać karyerę dyplomatyczną, co było matki życzeniem, chociaż to uciążliwe i nudne, albo wstąpić do urzędu — wprawdzie i to niezabawne, wreszcie i do gospodarstwa nie miał tak dalece wstrętu ani zamiłowania.

— Podróżowałbym może — rzekł — ale nie wiem gdzie; Paryż znam, Londyn znam, Włochy widziałem dwa razy, może na Wschód, jak wuj myśli?

Pan Leonard z pewnem politowaniem spojrział na Ludwika. — Powinieneś się ożenić — rzekł wreszcie tonem jakby chciał powiedzieć: Przespij się moje dziecko i wróć rozbudzony. Oczy Ludwika nieco się ożywiły.

— Ożenić się? — powtórzył — jest to wprawdzie i mojej matki życzeniem, właściwie na to kazała mi wrócić do kraju, i do Warszawy na karnawał pojechać, gdzie i panna będzie.

— A! i dopiero teraz mi to mówisz? — zawołał hrabia

zrywając się z miejsca — a to najpierwsza rzecz — to mnie interesuje, z kimże, jak, co ?

— Kochany wuj wszystko tak do serca bierze.

— A jakżeż nie brać proszę cię, kiedy to idzie o całe życie.

— Ale nic zrobionego nie ma, jeszcze się namysle, zobaczę.

— A znasz pannę? — mówił hrabia z żywym zajęciem.

— Cała rzecz tak się ma — rzekł Ludwik, ziewając — właśnie to, że ją znam, ale znam tak, jak oto tę parę rękawiczek. Razem bawiliśmy się w piasku, patrzyłem na to jak rosła, jak jej podłużali sukienek, kochałem się w niej mając lat 12. Irena już dla mnie żadnego uroku nie ma.

Hrabia przypomniawszy sobie często wymieniane w listach siostry imiona pani Teresy i jej córeczki Irenci. — A więc to ona — zawołał — a to dobrze, bardzo dobrze, ród pocziwy, zacny, podobna mi się ten związek, a żeście się razem w piasku bawili, że się znacie, no! to się zawsze bliżej poznać po ślubie, a najstalsza ta miłość, co na przywiązaniu oparta. A jak z posagiem?

— Nie wiem — odparł Ludwik — ale chyba nie wielkie rzeczy. Pani Teresa jest najpocziwsza kobieta, ale zna się na tem, jak przepuszczać pieniądze, i widać, że źle, kiedy Paryż opuszcza i chce córeczkę za męża wydać.

— No to jeszcze nie najważniejsza rzecz majątek, a ładna ta panna Irenka?

— Alboż ja wiem, chyba nie brzydka, może nawet piękna, dziecko jeszcze.

Myśl ożenienia Ludwika nie dała już spać hrabiemu, wytłómaczył sobie, że brak życia w siostrzeńcu pochodzi z braku zajęcia, że jak się ożeni i zacznie zarządzać majątkiem, wychowywać dzieci i wieść życie obowiązkowe i użyteczne, wtedy i energia w nim się rozbudzi. Hrabia już widział u boku przybranego syna młodą i piękną synową, a stary pałac rozweselony i ożywiony dziecinnymi głosami. Nadzieje, którym nie zupełnie odpowiadał Ludwik, już przechodziły na te urojone dziecinnie główki. Nie każdy chodzić może wśród życia bez światła, a wiele razy piękne słońce nadziei ma się ku za-

chodowi, już myśl nasza wschodu sięga, upatrując brzasku nowej jutrzeńki.

Hrabia aż odżył na myśl, że się Ludwik ożeni; nawet wiadomość o problematycznym posagu panny była mu obojętną, bo interesa swego pupila tak rozwikłał, że Ludwik, jako właściciel Strzelna mógł żenić się, nie patrząc majątku. Zresztą — myślał hrabia — i ja majątku z sobą do grobu nie wezmę.

Gdyby nie wuj, byłby może Ludwik zupełnie o projekcie matki zapomniął; na czas jakiś zasmakowało mu życie w samotnym pałacu; odkrył w sobie żyłkę do polowania, od rana brał fuzę na plecy i wracał późnym wieczorem, najczęściej bez zwierzyny, dzień cały przepędziwszy w lesie albo na łąkach. Odnowił dawną przyjaźń z Januszem i wołał na obiad zachodzić do plebanii, niż wracać do wuja, który mu ciągle o Irenie mówił. W plebanii musieli przyznać wszyscy, że paniec jest dobry, pocziwy, tylko do rany go przyłożyć; małem się zadawałniał, kanarkowi jeść dawał, ojcu Piotrowi się sprzeciwiał, chodził na drzewa, by strząsać owoce w fartuszek Helenki, i z góry wśród gałęzi odkrył kiedyś, że Helenka ma ładne oczy.

Ludwik bawił się czas jakiś w sielankę; kilka tygodni przepędził z Januszem w plebanii, z wyżem w lesie lub w pustej sali pałacu, gdzie tylko kilkanaście starych portretów było mu towarzystwem; wreszcie spostrzegł, że i to go nudzić zaczyna. Nie opierał się więc, gdy go Hrabia przywołał do rzeczywistości przypomnieniem, że już zima za pasem, i czas jechać do miasta; pożegnał przyjaciół, podziękował wujowi za gościnność i nazajutrz był już na drodze do Warszawy, ale zaledwie ujechawszy ćwierć mili, już tęsknił za Tebaidą, od której uciekał.

Hrabia zostawszy sam miał wszelki czas marzyć i rozmyślać pomiędzy jedną pocztą a drugą, przynoszącą mu wiadomość o Ludwiku; nigdy wyraźnie nie wypowiedział swej myśli, w ogóle przyznał się tylko ojcu Piotrowi, że tegoczesnej młodzieży nie lubił i że jej nie rozumiał. Ot i Ludwiś — mówił — pisze, a z listów trudno poznać co myśli, stara się niby to, i znowu nie stara, i chce i nie chce, a więcej ma rozwagi, rozumu, przezorności odemnie starego.

Zły humor pana Leonarda powiększył się bardziej jeszcze, gdy odebrał wiadomość, że Ludwik na ostatki na balu mocno się przeziębził, i że go doktorzy z wiosną wysyłają do wód; to nie tylko, że nie było korzystnym wstępem w świat dla młodego człowieka, ale mogło przerwać nawiązane już nici konkurencyj o rękę Ireny.

W dzień odebrania listu, obiad w pałacu zszedł w milczeniu, dopiero przy czarnej kawie hrabia obrócił się do ojca Piotra.

— Miałem dziś wiadomość od Ludwisia — rzekł — ma jechać do wód.

— Młody hrabia chory, broń Boże?

— Chory nie chory, jakiś tam katar czy djabeł wie co, te nowomodne choroby człowiekowi przez gardło nawet przejść nie chcą.

— A! westchnął ojciec Piotr.

— I ta cała dzisiejsza młodzież — mówił zachmurzony hrabia — co to warte — bez życia, bez ducha, a na balu gdy się zapomni do białego dnia, już chore; mój Ludwiś biedne dziecko, nie o nim mówię, tak go już siostra wychowała, ale zresztą jeden w drugiego wyprowadzić za stodołę i kulką w łeb jak choremu koniowi, aby przynajmniej nie zarażał stajni.

Ksiądz nie znalazł odpowiedzi stosownej; zadzwonił zamysłony w tabakierkę, a tak był swemi myślami zajęty, że złego humoru hrabiego nie zauważył.

— Mamy przecież młodzieńca — rzekł — pan hrabia może zauważył, stoi podczas mszy pod chórem, gdy był dzieckiem nieraz wołano go do zabawy młodego hrabiego i teraz hrabia Ludwik był łaskaw na niego; chłopiec obiecujący, bardzo obiecujący, pan profesor gimnazjalny przepowiada mu przyszłość znakomitą.

Pocziwy ksiądz Piotr w czasie tej przemowy krztusił się, gdyż nie mówił bez celu, a w sztuce Machiawela, w wykrętach dyplomatycznych nie był biegły.

— Uczył się doskonale — mówił dalej od razu heroicznie przystępując do rzeczy — skończył wszystkie klasy, i póki mogłem, póty dawałem, ale na wyższe nauki zabrakło; szkoda, widzę że chłopcu tęskno do świata, do światła.

Ojciec Piotr wyciągnął chustkę, otarł czoło i czekał.

— I czemu chce być ten protegowany Waści — wybuchnął hrabia w złej chwili zaczepiony — pewnie ministrem?

Ojciec Piotr zapomniał języka. — Niewiem, może — pokornie odparł — t. j. nie, nje, nie ministrem, może profesorem, ale to przyszłość daleka, chciałby do Warszawy jechać, na uniwersytet chodzić, pisać, pracować. Przepowiadają mu panowie uczeni, że z niego może być historyk znakomity.

— Coraz lepiej — zawołał hrabia — historykiem, a czemuże on był, jego ojciec czym był?

— Szewcem, panie hrabio.

— Nie jestem hrabią; więc, co synowi szewca do historii? niech skóry garbuje, książkom da pokój, to trucizna subtelniejsza od kwasu pruskiego. Po co mu być uczonym, uczeni świat gubią, oto i mój Ludwiś uczony. Uczonych mamy dosyć i wielkich ludzi, ale porządnego człowieka na lekarstwo nie znaleźć. Powiedz mu to odemnie, powiedz mu, niech książki pali, a wróci do szydła.

Ojciec Piotr tak głęboko uczuł tę mowę hrabiego, że przez cały tydzień nie pokazał się w pałacu i byłby może Janusz poszedł w zapomnienie, gdyby nie to, że widać Bóg nad nim czuwał; nie chciał, aby światło ginęło pod korcem. Książd Piotr w kilka dni po owej rozmowie z hrabią został wezwany do pałacu; pan Leonard na ganku czekał na niego, z rozjaśnioną twarzą, źle utajonem wzruszeniem. — A niechże cię uściskam — zawołał, skoro z daleka spostrzegł nadchodzącego — u Bogaś mi twemi modlitwami wyrobił taką łaskę, mam wiadomości, i jakie wiadomości, Ludwiś zdrowszy, pojedzie może do wód, ale już z temi paniami, oświadczył się, jest przyjęty, księżę, księżę, jest przyjęty, żeni się, będziemy na ślubie, będziemy mieli wnuków, to będą porządni ludzie. Hrabia po chwili dopiero uspokoił się i opowiedział dalsze projekta. Od lat wielu nie wyjeżdżał już z domu, ale w tak ważnej okoliczności postanowił wybrać się do Warszawy, tam pobłogosławić siostrzeńca, po staropolsku służyć mu za swata. Ojciec Piotr długo słuchał rozmaitych planów hrabiego, aż nareszcie przeszedł pan Leonard na rzecz bliżej go obchodzącą.

— Bóg mnie wysłuchał, rzekł, ześle mi największe błogosławieństwo pod dach mój, bo młodość i miłość:

trzeba się Bogu zasłużyć. Byłem niesprawiedliwy któregoś dnia, gdyśmy mówili o twoim ministrze — *mea culpa* — o rozgrzeszenie proszę, przyjrzałem się temu chłopcu w kościele; w samej rzeczy jest na tem młodem czole jakaś iskra znamionująca wybrańca; nie pożałuję kieszeni na jego wychowanie. Słuchajże mnie, drogi ojcze, za trzy dni jadę do Warszawy, na bryce będzie miejsce dla twego uczonego, tylko żadnych podziękowań, niechaj będzie gotów z pakunkiem o ósmej przed bramą, ale o ósmej; nie będę czekać na niego ani minuty, ani sekundy i — żadnych podziękowań.

Ojciec Piotr pocałował hrabiego w ramię i pospieszył z dobrą nowiną do plebanii. Już był wieczór, lampa paliła się na stoliku, Janusz czytał a Helenka kończyła dzienną robotę. Wiadomość z pałacu różnie została przyjętą. Janusz podniósł się z nad książki i gorący rumieniec oblał twarz jego wyrazistą, a biedna Helenka musiała schylić się nad robotą; nie wiedziała, co się z nią stało, nie zakłuła się igłą, lampa jasno się paliła, przecież uczuła wyraźnie ból dziwny i ciemno jej się w oczach zrobiło, jakby wszystkie światła w pokoju pogasły.

— I powiedział hrabia, kończył tymczasem ojciec Piotr, abyś o ósmej rano we środę czekał na niego przed bramą; no cóż? oniemieliście dzieci czy co? jakby na was piorun spadł; podziękujmy oto Bogu, że pocziwiej pracy błogosławi.

W dwa dni potem Janusz o 5tej godzinie stał już na umówionem miejscu, położył na kamień małą podróżną torbę i stał zamyślony patrząc na wschodzące słońce, które powoli z za drzew się wychylało. Nie zwracał uwagi na ruch i hałas na podwórzu; stangret czyścił podróżny powozik; skrzypiał żuraw wielkiej studni, u której konie pojono; Janusz stał zapatrzonej w słońce ogniste, które było jakby obrazem tych nadziei, które wschodziły w jego młodem sercu.

Poranek był piękny, wiosenny; koło drogi przechodzili parobcy i dziewczęta z błyszczącą kosą na ramieniu i żegnali pana Janusza serdecznem uściśnięciem dłoni i słowem „niech Bóg prowadzi“. Wreszcie z po za stodoły nieśmiało wysunęła się Helenka w chwili, gdy właśnie nikogo nie było na podwórzu. Helenka miała na sobie jasną sukienkę; ale chociaż różowa chusteczka krzyżowała się na jej piersiach, a jej białą

szyję otaczały sznury koralu, w tych ptersiach było bardzo żałośnie i ły ją dusiły. Położyła małe zawiniątko koło podróżnej torby Janusza. — Miałam po matce dwa pierścionki i mały krzyżyk złoty, rzekła cicho, zdawało mi się, kochany Januszu, tam podobno duże miasto, ludzie wiele potrzebują, mój Boże! mój Boże! kiedy ja cię zobaczę. Helenka tak drżała, że Janusz musiał ją posadzić na małej ławeczce i sam usiadł przy niej; ła gorąca spadła mu na rękę. Serce ich było tak pełne, że nie mieli co powiedzieć sobie. — Czemu mnie nie pocałujesz na pożegnanie? pytał Janusz bardzo wzruszony. Helenka tylko zakryła oczy rękoma, a gdy odchodziła, Janusz nie usłyszał tych słów, które zamarzy jej na ustach. Nie mógł zrozumieć, czemu tak zimno go pożegnała, czemu po dawnemu nie zarzuciła mu rąk na szyję, a przecież ły jej musiały być szczerze; poczcziwe dziecko udawać nie umiało.

V.

Ludwik siedział w pokoju hotelowym patrząc bezmyślnie na zapyłone szyby i nie myśląc dokończyć na wpół zaczętego cygara, które tlało w jego rękach; nie obejrzał się, gdy zapukano w drugim pokoju, bo wizyty były u niego rzeczą zwyczajną; miał dużo przyjaciół, chociaż ich przyjmował leżąc, i nie tając się z tem, że go nudzą, ale ich słuchał cierpliwie, nigdy nie był przeciwnego zdania i nie sprzeczał się nigdy, co było główną jego zaletą. Na widok hrabiego, za którym nieśmiało na progu stanął Janusz, Ludwik przypomniał sobie dopiero, że żyje, i zerwał się z kanapy. Hrabia uściskawszy go serdecznie, zawołał w pierwszym uniesieniu:

— Spisałeś mi się mój chłopcze, no, a kiedyż ślub? — idziemy zaraz do narzeczonej, przedstawiś mnie tym paniom.

Gdyby był hrabia mniej wzruszony, byłoby go musiało uderzyć to, że Ludwik ani słowem nie odpowiedział na pytanie o ślubie, zajął się tylko zdjęciem z niego przyborów podróżnych, z Januszem się przywitał, poczem zadzwonił na lokaja, aby podał herbatę. Przeszedł się kilka razy po pokoju, szukając słów, które mu szły oporem.

— Kochany wuj zrobił mi prawdziwą łaskę przyjeżdżając, rzekł wreszcie.

— A któżby cię ostatecznie oświadczył? — piszesz mi: żenię się — ja wskok do ciebie, bo mi pilno było uściskać ciebie a poznać pannę. Przywiozłem ci też towarzysza.

Ludwik uśmiechnął się do Janusza, ale wnet znowu się zachmurzył. Mogę otwarcie mówić przy tobie Januszu, rzekł, tak wuju, żenią mnie ludzie.

Hrabia zdziwiony spojrział na siostrzeńca.

— Chcieli mnie koniecznie ożenić i była nawet chwila, żem się dał opanować; oświadczyli mnie o rękę Ireny, byłem przyjęty i doniosłem pod pierwszem wrażeniem wszystko wujowi. Bogu dzięki, wszystko zerwane.

Pan Leonard zerwał się na równe nogi. Co? jak? dlaczego? co ty pleciesz? po słowie — i zerwane — a to mi się podoba! Czemuż panna zrywała?

— Właściwie, cedził Ludwik przez zęby, nie panna zrywała. Ja odesłałem pierścionek — po co mi się żenić? namyśliłem się, brać obowiązki na siebie! z wszystkiego się kochanemu wujowi wytłómaczę.

— No, ale cóż, czy garbata, wstrętna, brzydka?

Za całą odpowiedź wskazał Ludwik na małą miniaturę, która jeszcze była w jego posiadaniu, przedstawiającą prześliczny biust kobiecy i dodał lakonicznie: szesnaście lat!

Hrabia ledwie nie zgniótł w rękę miniatury, rzucił ją na stół w najwyższem oburzeniu. Ją, ją odrzuciłeś? zawołał, ją? tak jak tu jest? ale to żarty; za kołnierz cię biorę, jadę do panny i wszystko naprawiamy.

— Mój wuju, rzekł Ludwik, mówmy rozsądnie — ja jej nie kocham.

— Nie kochasz? wolno powtórzył hrabia, biorąc znowu miniaturę i przyglądając jej się uważnie.

— To dziecko bezmyślne, zresztą nie wiem, małżeństwo we mnie budzi wstręt nie do opisania; znudziłbym się na śmierć, nikt się nie żeni na tydzień, a ja z żadną kobietą dłużej jak tydzień dotąd nie wytrzymałem. A zresztą los już rzucony, Irena możeby się jeszcze skłoniła do mnie, ona żadnej woli nie ma, ale pani Teresa przebłagać się już nie da — napijmy się herbaty, kochany wuju.

Pan Leonard już ani słowa nie wyrzekł, ale nazajutrz nie zjawił się u siostrzeńca i nie powiedział mu, gdzie stanął. Dwa dni czekał Ludwik cierpliwie, wreszcie przez Janusza dowiedział się o mieszkaniu wuja i poszedł go przebłagać.

Zastał hrabiego chodzącego po pokoju i na pierwsze wejście poznał, jaki gniew wrzał w jego piersiach. Na pierwsze słowa, które chciał wyrzec, zamknął mu usta ręką: Nie tłumacz się, zawołał, nie możesz nic powiedzieć ku swemu uniewinnieniu; dowiadywałem się o wszystkim, postąpiłeś haniebnie.

Ludwik pobladł.

— Bywałeś u tych pań całą zimę? tak czy nie?

Ludwik milczał.

— Pozwoliłeś, aby wszyscy mówili że się starasz? bywałeś ciągle w domu? na żadnym balu nie odstałeś panny na krok?

Pan Leonard po chwili, widząc, że siostrzeniec nie myśli zaprzeczać, mówił dalej: I wreszcie — oświadczyłeś się? no, oświadczyłeś się — gadaj. — „Przez głowę mi nie przechodziło żadne ożenienie, niecierpliwie rzekł Ludwik. Bywałem, bo tak wypadało po dawnej przyjaźni z matką; asystowałem Irenie, bo z nią nie potrzeba dużo mówić, i było mi z nią wygodnie, a że mnie ludzie oświadczyli...”

Hrabia założył ręce na piersiach i roześmiał się. I to mi młody człowiek! zawołał — co bywa u kobiet, bo tak wypada: co pod zimę się podkocha, aby się odkochać na wiosnę; całą zimę asystuje pannie, bo mu z tem wygodnie, oświadcza się, bo go namówili, wreszcie zrywa, bo co? bo co? nie, żeby miał inną namiętność w sercu, nie, aby zajrzał w głąb swej duszy i wśród tego śmiecia nie dojrzał uczucia godnego, by się niem z młodą kobietą podzielił; nie, zrywa, bo się namyślił, bo go to nudzi, bo deszcz pada, bo mu się tak podobą — szkaradnie, niehonorowo postąpiłeś sobie Ludwiku.

— Wuju, przerwał młodzieniec zmienionym głosem: pierwszy raz z czyich ust słyszę ubliżające słowa; nauczyłem się szanować ciebie — odchodzę.

Pan Leonard zatrzymał go, ciężko kładąc rękę na jego ramieniu: Słuchaj! rzekł ostro, byłem u tych pań, zastałem tam boleść prawdziwą — matkę, której serce ciężko cierpi

nad tem, że jej dziecko opuszczono; a córka, anielskie dziecko — nie mówmy o niej — ona poznaje skutki twego postępowania po próżni, która się koło niej robi po salonach. Mówią, że za długo trwała wasza znajomość, mówią, Boże! czego mi wstyd powtarzać, czegoby ona nawet nie zrozumiała. Dziś te panie wydają wieczór, tu i owdzie słyszałem szydercze zdanie, że się chwytają sposobu zrujnowanych państw, chcących na nowo ustalić kredyt. Chcesz? za godzinę jedziemy na ten wieczór; idź się ubierać, przyjedziemy najwcześniej i matka przedstawi gościom narzeczonego córki; — cóż? wahasz się jeszcze?

— Nie pojedę, zimno odparł Ludwik, to byłoby nierozsądnie.

Hrabia już nie zatrzymał siostrzeńca; z pewną pogardą odprowadził go wzrokiem aż do drzwi. — Ha! rzekł już zupełnie spokojnie i odzyskawszy panowanie nad sobą — kiedy taki jesteś rozsądny, to pozwólże mnie być szalonym.

Nazajutrz Janusz został wezwany do hrabiego i zastał go znowu chodzącego, z zachmurzonym czołem, tak jak gdyby od dnia wczorajszego nie znalazł jeszcze uspokojenia dla wzburzonych nerwów. Pan Leonard skinął głową, nie przerywając spaceru i przez dobre pół godziny zdawało się, że zapomniał o jego istnieniu. Aha! rzekł wreszcie, podnosząc głowę i zwracając się ku niemu, a Janusz dopiero wtedy spostrzegł, że był bardzo zmieniony — to ty, to ty!

Janusz nisko się sklonił.

— Dobrze, żeś przyszedł. Cóż chcesz odemnie?

— JW. pan raczył przed chwilą przysłać po mnie.

— A! prawda, uderzył się hrabia w czoło; już i pamięć tracę. Zadzwoń na kamerdynera tak gwałtownie, że dzwonek w jego rękę został: „Przynieść tu kufer i rzeczy pakować, rzekł, a po wyjściu sługi dodał krótkim i suchym tonem do młodzieńca: Mam interes do waści; jutro wyjeżdżam, wyjeżdżamy z Warszawy — żenię się.

Janusz mimo całego szacunku, jaki miał dla hrabiego, nie mógł ukryć ruchu zdziwienia.

Hrabia stał naprzeciwko lustra, pogładził ręką bujne włosy, podniósł dumnie ramiona, jakby uznawał, że siwiejące włosy nic nie ujmowały piękności wspaniałej postaci.

— Będę restaurować mój dworek przy Wiejskiej ulicy, dawno nie już zamieszkały; chciałbym, aby ktoś doglądał postępu roboty i donosił mi o tem; pomyślałem o waści, a przytem dobrze się składa, bo Mu wyznaczyłem na mieszkanie pokój w oficynie przy pałacyku. Robota musi iść spiesźnie, a na pana budowniczego spuścić się w zupełności nie mogę. Przyślę mój adres z Rzymu i wymagam częstych listów z szczegółowem doniesieniem o robotach; żadnych podziękowań, jam twoim dłużnikiem.

Janusz widząc, że hrabia urwał i milczał, chciał odejść skłoniwszy się, lecz pan Leonard odwołał go od progu. Mości Januszu, rzekł nieco łaskawiej, potrafiłeś wzbudzić we mnie zaufanie, lubię młodych, którym z oczu skry się sypią i krew się burzy, tak jak tobie w tej chwili; chętnie położę na twoje dalsze nauki; — zapisz się na kursa, ucz się, zdawaj egzamina, tylko, dodaj z pewnem wzruszeniem, nie zmarnuj mi nad lichą książką tej pięknej młodości, nie oducz się żyć i kochać i nie dziękuj — nie masz za co dziękować.

Janusz już nie zobaczył hrabiego przed wyjazdem, gdyż nazajutrz odjechał towarzysząc pani Teresie i młodej narzeczonej. Życzeniem obu stron było, aby ślub odbył się cicho za granicą, poczem hrabia miał jechać do Rzymu i nie wracać przed zimą do miasta.

Według rozkazu swego dobrodzieja przeniósł się Janusz do wskazanego mu mieszkania w małej oficynie na podwórzu pałacowem. Zrazu uczuł się bardzo samotnym. Na dwanaście godzin, dziewięć przepędzał sam wśród książek, jedyny bowiem przyjaciel Ludwik zaczął go unikać, nie tyle dla niego samego, jak dla mieszkania jego, które mu niemiłe nasuwało myśli. Niestety Ludwika należało do nieszczęść śmiesznych; nie wiedział jak nosić ten krzyż, który mu spadł na ramiona. Wprawdzie majątkowe jego stosunki nie ucierpiały tak dalece na małżeństwie hrabiego; zostawało mu Strzelno i znaczny zapis, którego pan Leonard nie wymazał z testamentu, ale to dla Ludwika było obojętne; raczej to go nudziło, że Irena zostanie jego ciotką, i jak na nieszczęście przypominał sobie, że jest piękna. Wolał tedy nie myśleć o niej i unikać wszystkiego, coby mu przypominało nowy stopień pokrewieństwa pomiędzy nim a młodą hrabiną. Janusz zaś mieszkał w oficynie

i okna jego izdebki wychodziły na podwórze, w głębi którego wznosił się ów dworek, przyszła zimowa siedziba państwa młodych. Ludwik musiał przyznać, że ten widok nie bawi go i rzadko odwiedzał przyjaciela. Janusz został sam w wielkiem mieście, które mogło być dwadzieścia rodzinnych jego miasteczek pochłonać i w którem nie znał nikogo.

(Dokończenie nastąpi).

Z. D.

HENRYKA SIEMIRADZKIEGO

„ŻYWE POCHODNIE NERONA.“

Przyznać należy, że świat artystyczny wiedeński nie mało poruszony został zjawieniem się na wystawie tutejszej obrazu p. Siemiradzkiego. Poprzedzone pogłoską o powodzeniu, na jakie już w Rzymie i Monachium miały sobie zasłużyć, potrafiły „Żywe pochodnie Nerona“ nie tylko obudzić zawczasu powszechną publiczności uwagę, ale wywołać nawet u niejednego ze znakomitszych malarzy prawie w zadróść przechodzące zaciekawienie.

I tak twierdzą wtajemniczeni, że sam nawet wielki mistrz palety nowoczesnej, Makart, zdawał się być rozgłosem zapowiedzianego utworu prawie zaniepokojonym. Czyż mogło zdarzyć się co pochlebniejszego dla młodego artysty, jak tego rodzaju oczekiwanie? Ale czyż mogła zarazem gotować się dla niego cięższa do przebycia próba jak ta, na którą go wystawiała do tego stopnia rozbudzona ciekawość? Otóż trzeba z góry powiedzieć, że z grożącego mu niebezpieczeństwa wyszedł obronną ręką obraz pana Siemiradzkiego; to samo już o niezaprzeczonej jego wartości stanowi; a że tak jest, dowodzą najwyraźniej krytyki i sądy wyrzeczone o jego dziele; dowodzą mniej może jeszcze pochwały, jak czynione mu przez znawców same nawet zarzuty.

Pomysł do nowego utworu nastreścił panu Siemiradzkemu ustęp z *Annalów* Tacyty, tego niezrównanego w swoim

rodzaju malarza i potężnego na ciemnem tle kolorysty. Wiadomo, że za panowania Nerona większą część Rzymu pochłonał pożar na rozkaz podobno samego władcy wzniecony. Pośród gruzów palącego się miasta przechadzał się nocą ze swoim orszakiem Cezar chciwy pełnego zgrozy i strasznej wspaniałości widoku. Chwilę tę niezrównanego w dziejach ludzkości rozbestwienia uchwycił pędzlem niepospolitego talentu malarz, którego obraz na wystawie wiedeńskiej głębokie na widzach wywierał wrażenie. Lecz nie poprzestała na tem, w wynajdywaniu rozkosznych dla siebie okrucieństw dziwnie bujna, młodego despoty imaginacya. Wieść rozpuszczona pomiędzy ludem, jakoby sprawcami nakazanego pożaru byli znienawidzeni przez rzymskie społeczeństwo chrześcijanie, nasunęła mu pomysł, na który zdobyć się jeden tylko Neron był zdolny. Whitych na pal, w płótno namoczone smołą obwiniętych męczenników, kazał okrutny Cezar wieczorem podpalać, by z nich mieć widok gorejących na powietrzu pochodni.

Ten to niesłychany wybryk Nerońskiej fantazyi postanowił przedstawić nam w swoim obrazie pan Siemiradzki. Pomysł to zaiste śmiały, pełen oryginalności, świadczący sam przez się o niepospolitej sile twórczości u młodego kompozytora; temat olbrzymi, którego sam wybór przynosi zaszczyt niezrażonemu wielkością przedsięwzięcia artyście.

Rozmiary obrazu odpowiadają stosunkowo wielkości szczęśliwie pojętego przedmiotu. Ponieważ obejmują one całą środkową część ściany głównej sali „Künstlerhausu,” wrażenie, jakiego się doznaje już zdaleka wchodząc, na widok tego lśniącemi kolorami ożywionego, a z góry silnie oświetlonego obszaru, jest niezaprzeczenie wielkie. Obraz dzieli się na dwie części. Z lewej strony, po piętrzących się schodach Cezarowego pałacu widać roztaczający się tłumnie różnolity orszak Nerona, którego wraz z Poppaeą w złotej lektyce wynoszą na peron żółto ubrani murzyni. Na znak dany czerwoną chustką przez stojącego w głębi aparytora, ma się rozpocząć przygotowane dla rozrywki znudzonego Cezara owe straszne z żywych pochodni przedstawienie. Z prawej strony naprzeciwko zaciekawionych widzów, sterczą właśnie, profilując się długim rzędem w głąb obrazu, do wysokich i gir-

landami kwiatów ozdobionych pali przywiązane, szarem od ługu płótnem pookręcane ofiary. Te to postacie, a raczej cała przez nie objęta przestrzeń obrazu, stanowią prawdziwą wartość utworu pana Siemiradzkiego. Jest ona oryginalną, w niczem nie naśladowaną, owszem całkiem samodzielnie wymyśloną, w prawdziwym tego słowa znaczeniu — kreacją. Wystające z jej głębi cyprysy, niebo szare, ołowianemi zaciągnięte chmurami, o których Racine powiedział:

Les cieux par lui fermés et devenus d'airain,
to niebo, z którego Bóg już nie przemawia do swoich, te chmury, przez któreby się nie przedarły wołające nawet głosy męczenników, cały ten ton, cały nastrój przebijający się w tej drugiej połowie obrazu, jest niezawodnie najpiękniejszą jego stroną, najbardziej godną uwagi i całkowitego uznania kompozycją — nie licząc, że w tej części obrazu znajduje się także może najznakomitsza pod względem układu i odrysowania postać niewolnika czekającego u stóp pierwszej ofiary na zapaloną pochodnię. Tu pan Siemiradzki pokazał się niezależnym myślicielem i twórcą, tu był on samym sobą. Nie odejmą mu bynajmniej tej zasługi drobiazgowo uwagi, jako to, że samem, już bardzo szczęśliwem ustawieniem swoim uwydatnione postacie męczenników, nie odpowiadają całkowicie dramatyczności położenia; że twarze ich mogłyby mieć trochę więcej wyrazu i być nieco silniej scharakteryzowane; że pale, możnaby prawie powiedzieć tyki, na których wznoszą się te postacie, są zanadto cienkie i zdają się chwiać pod swoim ciężarem. Te usterki nikną wobec całości uchwyconej gamy, wobec jeśli nie uczutej głęboko, to przeczutej jednak, a chociażby odgadnionej tylko, byle już dosłyszanej prawie ze świata nadziemskiego nuty. My wolimy poczytać panu Siemiradzkiemu za zasługę, że nas uchronił od widoku kurczących się wśród płomieni i z cierpieniem czysto fizycznem pasujących się męczenników: wołał, i bardzo słusznie, przedstawić ich przed rozpoczęciem straszliwej katuszy, w chwili, gdy ostatniem wysileniem „wzbijając ducha wiary“ błagają zachmurzone nieba o zesłanie im siły potrzebnej do zniesienia z godnością niesłychanych męczarni, do zwalczania ludzkiej natury, do wyzucia się jeszcze przed śmiercią z cielesnej ducha powłoki. Była to najstosowniejsza

chwila do odmalowania tych nadludzkich uczuć, w których oddaniu włoscy religijni malarze nieuchwyconą misterność swojej sztuki tak daleko posunęli, a których może tutaj nie dość łatwo dopatrzyć się na twarzach wyznawców. Mimo to jednak, jeszcze raz powtarzamy, jest to tylko ujemna strona kompozycji prawie całkiem pięknie pomyślanej. Ten w powietrzu zawieszony dramat podwójnie gorejącej ofiary jest utworem niezaprzeczenie nowym, poczętym w głowie, którą choć przelotnie trąciło już przecie swem śnieżnem skrzydłem natchnienie.

Wszelako, jeśli się nie mylimy, nie na tę stronę obrazu chciał główny nacisk położyć artysta. Przeciwnie całą swoją sztukę, całe bogactwo swej przepysznej palety, cały zasób malarskich efektów, cały zbiór historycznych podań a nawet materiałów przez archeologią badaczowi przeszłości dostarczonych, całą, że tak powiem, forszę swego talentu i wiedzy skoncentrował pan Siemiradzki w pierwszej połowie obrazu, w tej właśnie, gdzie tłumny orszak Nerona ma widzowi dać wyobrażenie o stanie ówczesnego społeczeństwa.

Tu na pierwszą uwagę zasługuje układ mas architektonicznych złotego pałacu (*domus aurea*) Nerona, służących jako tło do tej części obrazu. Motywa pięknie dobrane są jednak może nieco naładowane. Łamiące się trzykrotnie schody nie dostarczają przestrzeni niezbędnej do jasnego ugrupowania tylolicznych postaci. W tej mierze mógł pan Siemiradzki od Paola Veronese mianowicie wziąć przykład czarującej prawdziwie sztuki, z jaką wenecki malarz umiał za pomocą kolumn i przedłużających się arkad przestrzeni swoich obrazów wzdłuż i wszerz rozeprzeć, zapewniając sobie tym sposobem całkowitą swobodę w układzie porozrzucanych z tak dziwną obfitością i łatwem urozmaicheniem figur. Otóż gmach dość złożony, który się wznosi przed nami, zdaje się raczej zasłaniać, niż odkrywać dla oka obszar danej tutaj przestrzeni; mimo że perspektywa, trzeba przyznać, jest z nadzwyczajnie wielką dokładnością zachowana, co dzisiaj, jak wiadomo, u największych nawet mistrzów nie zawsze znaleźć można. Ale technika nie wystarcza do wywołania zadawalniającego wrażenia; potrzeba na to czegoś więcej; tego co Francuzi, którzy zwykli się tak jasno wyrażać, nazywają

sami „le je ne sais quoi;“ tego właśnie, co w przytłumionej zgrozie jakby wydartej z ksiąg martyrologii chrześcijańskiej karty przewiewać nam się zdawało, a co w natchnionym przez Tacyta obrazie nieco trudniej odgadnąć.

Czemże się to dzieje? Miałożby to źródło być przypadkiem mniej obfite w odpowiednie dla malarza materiały? Nie sposób. Gdzież znaleźć silniejszą obrazowość, jak w skupionym boleśnie, a przez to tak pełnym goryczy lakonizmie autora nieśmiertelnych *Annali*? Jakaż epoka mogłaby bardziej pobudzić do malowniczych utworów młodą wyobraźnię, jak ta, w której ojciec satyryków, Juvenalis, przyznaje, że gdy mu natchnienie swej pomocy odmawia, facit indignatio versum, samo oburzenie wiersz za niego dokończy? Wszakże nie jeden już malarz, nie mówiąc o Kaulbachu i o Pilottim, u tego źródła z korzyścią czerpał swoje natchnienie. I nie jest to bez wątpienia jedną z mniej charakterystycznych cech epoki teraźniejszej, że nowocześni malarze z takim upodobaniem wracają do scen przedstawiających upadek społeczeństwa rzymskiego. W pałacu paryskiego Luxemburgu podziwiać można kilka obrazów oddających z prawdziwie głębokiem i pełnem bolesnej dokładności pojęciem przedwczesną zwiędłość młodocianych twarzy, podejrzanym rumieńcem zaognione lica, niepokojący płomień w oczach rozkoszą upojonych dziewic, skamieniałą bezmyślność starców, wzrok ich osłupiały i martwy, bezwstydne wyuzdanie młodych i nikezemną dla przeszłości pogardę, wreszcie gdzie niegdzie, wśród ogólnej rozpusty, oniemiałą a tem wymowniejszą rozpacz szlachetnej lecz bezsilnej duszy i wstyd otaczającym go spodleniem zbolatego serca. Są to niewyczerpane temata, dające się w nieskończoność urozmaicać wyobraźni współczesnego malarza. Miał tu pan Siemiradzki obszerne pole do rozwinięcia zdolności, którą niezawodnie posiada, w scharakteryzowaniu ludzkiego oblicza. Ale mało ze sposobności skorzystał. Z pośród tłumu tylolicznych postaci kapłanów, niewiast, tancerzy, senatorów, mało która głowa odznacza się wybitniejszym wyrazem twarzy. Prawda, że panująca nuta na tych wszystkich obliczach miała nibyto być obojętność spektatorów oddawna z krwawemi igrzyskami cyrku oswojonych. Lecz i w tej ogólnej gamie można było

bardziej uwidocznąć rozmaite odcienia i nadać osobiście niektórym postaciom więcej spójności z odbywającym się nieopodal a niewidzianem jeszcze dotąd (przecie sam Tacyt to poświadcza) nawet za tych groźnych czasów przedstawieniem. I tak Neron na przykład, trzymający na złotym łańcuchu prześlicznego tygrysa, nie zdradza nawet najmniejszego dla tak bliskiej sceny zaciekawienia. Jeden z krytyków, widząc w tem chwalebłą intencją, porównywał go do człowieka oddającego się całkiem przyjemności trawienia po dobrym objedzie (*Verdauungsarbeit*). To już chyba tylko zbyt wyrachowany ze strony kompozytora efekt. Tak samo gest leżącej obok niego pod złotym baldachinem Poppei, która nie mniej ni więcej tylko palcami się bawi, nie jest już nawet oburzającym, bo w takim razie dopiąłby był swojego celu, ale po prostu nieprawdopodobnym, przez co, zamiast żeby był dodatnim czynnikiem, osłabia przeciwnie tylko siłę odebranego z ogólnej kompozycji wrażenia. Na dole znowu, przy ślicznie odmaltowanym basenie, widać grającego w kości ze śmiejącym się dziewczęciem senatora. Podobna scena dałaby się łatwiej przypuścić przy rozrzuconych bardziej proporcjach epizodycznego przedstawienia. Tutaj jest ona tylko zbyt rażącym przeciwstawieniem.

Wszystkie te usterki, przekraczające w skutku cel przez artystę założony, zdradzają pewien brak równowagi nie całkiem jeszcze umiarkowanego talentu. Natomiast znajdują się bardzo sympatyczne i ładnie ustawione postacie: taką jest, oparta z wielką swobodą naprzód o balustradę pod cesarską lektyką w jasno niebieskim płaszczu młoda dziewczyna; taką zwłaszcza na pierwszym planie skromnie rozciągnięta na ziemi z lutnią w ręku nader ujmująca Greczynka. Ta ostatnia postać owiana jest nawet pewną poezią. Jest ona bliską krewną ociemniałej sieroty, w której młodocianych piersiach Bulwer, opisując ostatni dzień Pompei, rozniecił płomień przedwczesnej dla Glaukusa miłości. Ona także, jak owe nieszczęsne dziecko fantazyi angielskiego romansopisarza, jest córką już od wieków ujarzmionej wprawdzie, ale wyższością swej cywilizacji nad własnym zwycięzcą panującej zawsze dotychczas Hellady.

Graecia capta ferum victorem cepit, et artes
Intulit agresti Latio.

Jej los nie całkiem jest różny od losu prześladowanych po całym imperium chrześcian; jej uczucia o wiele wznioślej-sze od tych, które w nikczemnem jej otoczeniu odczuwałby się kiedykolwiek mogły, mają coś wspólnego z nauką przez nowych wyznawców roznoszoną po świecie; ona już jest na tym stopniu, żeby była godną przyjąć tę wiarę, za którą święci bohaterowie wśród okrutnych męczarni przed nią życie niebawem położy. To też błękitne jej oko śledzi z uwagą przygotowującą się zwolna ofiarę, i „drży nieć“ niewidzialna, która łączy między sobą te dwa przyciągające się nawzajem i już zbliżone do siebie duchowe prądy.

W podobnej myśli acz z odrębnym odcieniem pojęta jest postać opartego o fontannę gladiatora. Tu już nie pokrewień-stwo uczuć, ale wspólność grożących życiu niebezpieczeństw i podobieństwo w danym razie położenia stanowi spójnię mię-dzy temi nierównymi zaślepionego pogaństwa ofiarami. Podo-bnie jak chrześcijański męczennik, gladiator rzymski staje się w danej chwili przedmiotem krwawej igraszki dla rozbestwio-nego narodu. Może i ten gladiator, co tu stoi przed nami, za-znał już pod stopą tryumfującego rywala dławiącego przera-żenia haniebnego zgonu; tylko podniesione do góry dłonie litościwych westalek nikczemne życie mu darowały. To też w osłupiałym jego wzroku przebija coś nakształt braterskiego współuczucia dla skazanych na straszliwe katusze wyznawców niezrozumiałej dla niego wiary.

Są to niezaprzeczenie z wielką delikatnością uczucia na-znaczone odcienia; są to dwa jakby świeżo ocienione przy-stanki dla oka olśnionego prawie żywym blaskiem kolorów, które tę lewą połowę obrazu prześlicznie zresztą urozmaicają. W tej części chciał nam oczywiście pan Siemiradzki dowieść siły i bogactwa swojego pędzla; chciał się pokazać godnym antagonistą współczesnych mu kolorystów pp. Matejki, Ma-karta, Fortunia, Geroméa i innych co najślawniejszych. Czy dopiął swojego celu? To już tylko specjaliści w tej mierze znawcy potrafią ocenić. Ale wysilenie młodego artysty w tę stronę jest widoczne. Przyémiona czerwonosć porfiru, blask

świecący złota, na wpół przeżółkła zieloność spleśniałej na kamieniach wody, różowo niebieskawemi żyłkami odbijający się połysk perłowej macicy (na lektyce Nerona), brunatność zwietrzałego marmuru, różnolitość kobiecych strojów i kwiatów, rozmaite karnacye ludzkiego ciała, wszystkie te pełne ciepła a razem wdzięcznej świeżości kolory sprawiają w rzeczy samej zadziwiające dla oka wrażenie. Do tego dodać należy ważną bardzo okoliczność, że to wszystko jest swobodnym i szerokim pędzlem malowane. Cóż, kiedy pod tym względem sztuka w ostatnich właśnie dziesięciu latach doszła do tak niesłychanej misterności, że w tej mierze krytyka ze stanowiska czysto estetycznego sama przez się ustaje. Potrzeba być z fachem malarskim bardzo dobrze obeznanym, aby rozróżnić rozmaite sposoby nakładania, rozcierania, mięszania lub rozprowadzenia farby, przytłumienia lub ożywienia jej blasku. Ogół sądzącej o utworach malarskich publiczności jest przekonany, że w tym kierunku dojść dzisiaj do oryginalności jest rzeczą prawie niepodobną. Czy okazał się tutaj pan Siemiradzki samodzielnym i niezależnym artystą, za jakiegośmy w kompozycyi prawej połowy obrazu uznać go się nie zawahali, o tem, powtarzamy, specjalista tylko mógłby wyrzec całkiem uzasadnione zdanie.

Dla nas na większe zasługuje uznanie rzadsza daleko dzisiaj, nawet u największych malarzy, a nadewszystko ważna, poprawność rysunku; stanowi ona niezawodnie, z przyjemnością przychodzi nam to powiedzieć, górującą u pana Siemiradzkiego zaletę, a jeśli gdzie czasem nie dopisuje, to chyba tylko przez pośpiech i zaniedbanie. To ostatnie czuć się daje niestety w tak niesłychanie ważnem dla malarza zadaniu, w traktowaniu nagiego ciała; a tu właśnie jest najsłabsza strona obrazu: niektóre części są całkiem jakby niewykończone, mianowicie plecy w tył zwracającej się prawie na samym środku niewiasty; inne tak niespodzianie znikają pod fałdami zarzuconej jakiej draperyi, że ich kierunku nawet domysleć się niepodobna. Szczęściem, że te ujemne strony nie robią wrażenia, jak gdyby były skutkiem jakiegoś ograniczenia w talencie młodego artysty, ale po prostu niedopełnieniem już i tak olbrzymiej a z odwagą, trzeba przyznać, przedsięwziętej roboty.

Zajmującą nareszcie stronę wystawionego obrazu jest wielka dokładność szczegółów archeologicznych. Widać na każdym kroku, że dłuższy pobyt wśród starożytnych Wiecznego Miasta zabytków zostawił głębokie ślady na wrażliwej wyobraźni młodego artysty. Wszędzie czuć się daje ściślejse obcowanie z przeszłością i badanie na miejscu najdrobniejszych jej pozostałości. Nie mówiąc już o całości architektonicznej dekoracji, pojedyncze nawet motywa są żywcem wzięte z wykopalisk dokonanych w ostatnich dziesięciu latach na Palatynie, na tym właśnie pagórku, gdzie, według Tacyty, odbywała się scena przedstawiona na obrazie. Obznajmione ze wzorami oko natychmiast je z przyjemnością poznaje. Tu przyozdabiająca schody balustrada jest ta sama, którą do dziś dnia widać na galeryach pozostałych części pałacu Nerona; tam karty poprzyczepiane do pali u stóp każdego z męczenników (*christianus incendiator urbis Romae*), noszą ślady wyskrobanych przez żołnierzy napisów i karykatur, które się dotąd na pozostałych ścianach cesarowskich komnat zachowują; ślicznie oddana *en trois quarts* ponad fontanną płaskorzeźba jest niezawodnie także skopioną z jakiej odłamanej marmurowej płyty; mniej fortunny ponad tą płaskorzeźbą znowu wysuwający się olbrzymi palec od lewej nogi zapowiada kolosalną statwę słońca, w której się sam Neron kazał wyobrazić, a która rzeczywiście, według topograficznych podań, obok jego pałacu wznosić się była powinna. Oprócz tego staranna dokładność szczegółowych ozdób i strojów, instrumentów muzycznych i podręcznych naczyń, świadcząc o sumienności pracowitego artysty, nie mało się przyczynia do ogólnego uroku, jakim już i tak zajmująca z tyłu stron kompozycja dokładniej wpatrującego się widza coraz bardziej przejmuje.

Tak się przedstawia w pobieżnym zarysie bilans niepopolitych zalet i mało znaczących usterek, których każdy może łatwo dopatrzeć w nowym utworze znanego już przedtem poehlebnie autora *Jawnogrzeszniczy*. Na tych kilku spostrzeżeniach możnaby bezpiecznie zamknąć obecne sprawozdanie, gdyby mała na pozór okoliczność, uchodząca prawie całkiem powszechnej zwiedzających uwadze, nie rzuciła nagle niespodzianego światła na pomysł niezrażonego żadnem przedsię-

wzięciem artysty, „nieznającego żadnej trwogi rycerza“. Do tej pory odkryliśmy w panu Siemiradzkim szczęśliwego kompozytora, biegłego kolorystę, znakomitego rysownika a nawet delikatnego poetę. To mu nie wystarcza. On już dziś po wyższe sięga wawrzyny, a raczej, że tak powiem, surową z dębowego liścia koroną chciałby uwieńczyć swe skronie. On pragnie być czemś więcej, i sam to nam oznajmić postanowił. Na gustownych bardzo ramach, które stanowią wcale piękną do wielkiego obrazu oprawę, złotemi literami wypisane czytać można następujące wyrazy: *Et lux in tenebris lucebat, et tenebrae eam non comprehenderant* — a światło świeciło w ciemnościach, a ciemności się na niem nie poznały. . . .

Komuż, na tak niespodziany w tem miejscu widok tych parabolicznych słów z ewangelii św. Jana, nie zda się jakoby zakrywająca przeminięte wieki zasłona w jednej chwili przed oczami od góry do dołu się rozdarła? jak gdyby nie już z zwiastującej dobrą nowinę przepowiedni, lecz z Apokalipsy raczej, wiejące zgrozą natchnienie w mgnieniu oka rozproszyło chmury odwiecznie nad ubiegłych pokoleń przeznaczaniem wiszące. Tu już oko ludzkie ledwie zmierzyć zdolne obszary, które się przed niem nagle otwierają. Noc i dzień zawarte razem w jednej, nieograniczonej przestrzeni; szare przy zachodzie słońca niebo obok brzasku zapowiedzianej jutrzeńki; zagadkowa ciemność u starożytnych narodów obok światłości rozpoczętej już nowej dla ludzkości epoki; z jednej strony niepojęte zaślepienie pogańskiej cywilizacji, która w własnem łonie nosi przez tyle czasu bezwiednie światło objawienia Boskiego; która nie przypuszcza nawet, że pod jej stopami cały świat podziemny żyje, rozkładając potajemnie te właśnie podwaliny, na których ona tak bezpiecznie spoczywa; która wyrzuca gwałtownie ze swego łona to, coby najbardziej przywłaszczyć sobie powinna; która odpycha ze wstrętem to jedno, coby ją wyratować mogło; — z drugiej, nieugaszony tyłu potokami krwi płomień gorejącej wiary, oraz odniesione nad światem zwycięstwo i władza zdobyta bezprzykładnem zaparciem się wszystkich właśnie tego świata pobudek.

Te to są niezmierzone antytezy i olbrzymie kontrasty, które natychmiast wywołuje przed oczy treściwa Apostoła legenda. Przy światłości, którą naokoło rzuca, ogrzany jej promieniem, sam nawet tekst Tacyty, cieplejszego jeszcze, rzecz dziwna, nabiera kolorytu i niespodzianej całkiem nabywa doniosłości. Ta sama bowiem treść opowiadania, te same prawie wyrazy, w każdym razie te same nazwiska, które od ośmnastu wieków przez gorące usta niezliczonych milionów chrześcijan w rzewnych modlitwach bywały i są dziś jeszcze powtarzane, znajdują się stalowym wyryte stylem na tablicach pogańskiego historyka cesarstwa. Ustęp ten jest zbyt ciekawy, byśmy go sobie nie pozwolili przytoczyć. „Chcąc zapobiec pogłoskom (o nakazanym przez niego „pożarze) Neron podał za winnych i skazał na najwymyślniejsze męczarnie tych, których z powodu ich wszetecznych „obyczajów znienawidzonych lud chrześcijanami nazywał; ten, „od którego pochodziło to nazwisko, *Chrystus*, pod panowaniem Tyberyusza, przez prokuratora *Poncyusza Piłata na „ukrzyżowanie skazany został...*“ Czy nie dziwnie brzmią dla naszego ucha te tak zimne u zwięzłego historyka wyrazy, które nam z małą odmianą co dzień gorliwie odmawiać nasze Credo nakazuje? Czy nie zadziwiający jest ten niczem nienaruszony spokój bezpiecznego Rzymianina w chwili, gdy ze zwykłą sobie ścisłością, zapisuje do swoich nieśmiertelnych roczników najgroźniejsze jakie mogło zajść dla własnego społeczeństwa zdarzenie? Czyż mogła rzeczywiście nie zadrzeć jego ręka w chwili, gdy kreśliła to imię, które przygłuszając najrozleglejsze chwały, całemu światu przez wieki miało służyć za miano? Jednakże tak jest. W niczem się nie zdradza u niego przecucie przyszłych a tak blizkich przecie, co mówię odbywających się już nawet obok niego, w ludzkiej rodzinie przeistoczeń. Tak głęboki jak on badacz ludzkiego serca patrzy a jednak nie widzi, dotyka się a jednak nie czuje, ma przed sobą to światło, a jednak się na niem nie poznaje! Gdzie tam, odwraca się od niego ze zgrozą! Słuchajmy Tacyty opowiadającego dalej tę sprawę. „Tym sposobem, przytłumiony na jakiś czas ohydny zabobon, „znowuż się rozprzestrzenił nietylko po Judei, która jest źródłem tego złego, ale i po Rzymie, gdzie ścieka zewsząd co-

„kolwiek jest potwornego i haniebnego na świecie; zatem „pochwyceni najprzód ci, co się przyznawali, następnie, za „ich śladem, niezmierna liczba tych, na których nie tyle skarga „o wzniesienie pożaru jak *nienawiść rodzaju ludzkiego do- „wiedziona została...*“ Odio generis humani convicti! Oto jest najwymowniejszy komentarz do słów z ewangelii św. Jana. Jakże ścisłej dokładności nabierają obok tego ustępu z Annali paraboliczne na pozór tylko Apostoła wyrazy! Te dwie karty zbliżone razem rzucają na siebie zobopólnie światło, uzupełniają się naturalnie, tworzą całość tytanicznej wielkości.

Z jednej więc strony Tacyt, z drugiej św. Jan apostoł, w takim to towarzystwie odważył się dzisiaj wystąpić przed światem artystycznym pan Siemiradzki. Co za krok, co za skok raczej zrobiony od tego czasu, w którym do epizodu z życia samego Zbawiciela wyjątego, czerpał młody artysta swoje natchnienie w poemacie Tolstoja! Co za przepaść już dzisiaj między „Jawnogrzesznicą“ a „Żywemi pochodniami Nerona!“ Ta sama, jaka zawsze podobno przedzielać będzie Rzym od Petersburga. Widok wiecznego miasta nie mógł oczywiście mniej głęboki wpływ wywrzeć na tak szczodre od natury obdarzoną organizacją. Ale tu właśnie niech nam wybaczy p. Siemiradzki, jeżeli zauważymy, że się zbyt raptownie chciał przerzucić w wręcz przeciwną ostateczność. O ile wybór czysto historycznego momentu uchwyconego w dziejach rzymskiego cesarstwa, o ile mianowicie pomysł zasilenia swej palety ciemnym kolorytem najbardziej może malowniczego ze wszystkich dziejopisarzy autora Annałów, zasługiwał tylko na najzupełniejsze uznanie — o tyle znowu odwołanie się, i to jeszcze w ten sposób uczynione do Pisma Świętego, ustrojenie, że tak powiem, swojego obrazu girlandą słów od Apostoła Miłości zapożyczonych, przedstawiało zanadto wielkie dla jego utworu niebezpieczeństwo. Jeżeli kiedy to tutaj nabiera całkowitego znaczenia znane francuskie przysłowie: *La lettre tue, l'esprit vivifie*. Tak jest: duch ożywia, duch krzepi, duch wiary zwłaszcza góry nawet przenosi; ale sama litera pozbawiona życia i treści, ze swej ognistej duszy wyzuta i martwa, tak groźna zwłaszcza litera jak ta, która na złotych ramach obrazu wypisana taka litera niezawodnie

tylko zabija. I jakżeż by inaczej być mogło? Jużemy i tak przedtem zauważali, że scharakteryzowanie ludzkiego oblicza i wyrazu twarzy nie jest najwybitniejszą stroną talentu pana Siemiradzkiego; że owa jednostajna nieco obojętność głów a nawet i całkowitych postaci zdradza może coś więcej u niego, jak powzięte tylko z góry postanowienie przedstawienia nam *bezczułości* współczesnego Neronowi społeczeństwa. Wszakże już sam tekst Tacyty, z którego czerpał swoje natchnienie, dozwalał mu ożywić nieco silniej grupy i wprowadzić w ich ustawienie więcej dramatyczności. W zwięzłem bowiem opowiadaniu rzymskiego historyka odzywa się mianowicie jedna nuta, którąbyśmy byli bardzo pragnęli widzieć oddaną przez odważnego malarza, a z którejby mógł być niezaprzeczenie wydobyć nadzwyczaj przejmujące i wdzięczne dla tak szerokiego utworu efekta. Ta nuta, podobna do ostatniego przedłużonego *fermato*, którem zakończyć zwykli swoje symfoniczne utwory kompozytorowie, przebija właśnie w ostatniej uwadze, którą zamyka Tacyt ten zagadkowy paragraf swoich Annalów. Wróćmy do przerwanej cytaty. „Ginącym (mówi dalej historyk o tych, na których nienawiść rodzaju ludzkiego już dowiedziona została), dodano igraszki, jako to, żeby „okryci skórą dzikich zwierząt przez rozwścieczonych psów po- „szarpani zostali (także temat, którego się niedługo może który z dzisiejszych malarzy pochwyci), albo do krzyżów poprzy- „czepiani, albo do spalenia przeznaczeni byli, i po zachodzie „słońca ku nocnemu oświetleniu służąc, w płomieniach gorzeli. „Na to przedstawienie Neron ogrody swoje ofiarował i nakazał „igrzyska w cyrku; sam, przebrany za woźnicę, mieszał się z tłumem albo na wozie przejeżdżał; z kąd, aczkolwiek dla winnych „i na bezprzykładne jeszcze dotąd męczarnie (novissima exempla) zasługujących, *budziła się litość*, jakoby nie powszechnego „pożytku, ale okrucieństwa jednego ofiarami byli.“ Miseratio oriebatur! Co za słowo, co za głos, co za krzyk, możnaby prawie powiedzieć, wyrwany mimowolnie z żelaznych piersi niewzruszonego na pozór Rzymianina i zimnego sprawozdawcy! Ile tu stłumionej boleści, przyduszonej zgrozy, skupionej gorczy w tych ostatnich tak *skurczonych*, powiedziałyby Skarga, wyrazach! Jeźli z tych przerażających słów stworzył p. Siemiradzki pięknie oświetlony i piękny obraz, jakże mógł na

chwilę ludzić się, że stworzy dzieło prostające natchnienie autora Apokalipsy. Wszakże to wypisane na ramach jego obrazu, najgłębiej może ze wszystkich wtajemniczonego w sprawy duchowe apostoła orędzie, zapowiadaćby się zdawało jakąś jakby w przepowiedniach proroków widzianą transfiguracją myśli, wszakże miało nadać obrazowi charakter religijno-symbolicznego utworu, czegoś naksztalt fresk zapełniających stanzę Heliodora (jak n. p. niezrównana w tym rodzaju msza Bolseńska) w Watykanie! Tu musimy znowu przeprosić pana Siemiradzkiego, ale jesteśmy mocno przekonani, że na podobnego rodzaju dzieło nietylko on sam, ale żaden z dzisiejszych malarzy porwać się nie ma dostatecznej siły. Darma: nie jest się bezkarnie synem swojego wieku. Kto tak dobrze widzi zewnętrzne tylko natury i zmysłowe manifestacye, czyje oko tak jedynie jest czułe na wdzięk wyszukanych farb i jasno przedewszystkiem oświetlonych kolorów, dla kogo szczegóły złotego lub mosiężnego naczynia, blask metalu, odcienia sukiennej lub aksamitnej materii przedstawiają tę samą a może i większą wartość co karnacya ciała, przezroczysta głębokość oka, powyrzeźbiane na twarzy dłutem czasu ślady wewnętrznych uniesień, kształt rąk (których wyrazistość jest prawie tak wymowna jak wyraz samego oblicza, czego dowodem jest Wieczera Leonarda da Vinci) pełne myśli czoło, wyrazistość nareszcie nawet pod draperią ustawionych członków, temu bardzo trudno malując oddać myśl tak głęboką i wymowną, u tego kolorowane nawet z największą misternością kształty prawdziwie widza nie poruszają, temu nie łatwo wnikać w tajniki ducha. To, co tu mówimy, stosuje się może jeszcze mniej do samego kompozytora „Żywych pochodni“ jak do wszystkich jego dzisiaj współzawodników. Na nas sztuka nowoczesna sprawia takie wrażenie, jak gdybyśmy wchodząc do salonu ujrzeli gdzie w głębi siedzącą, piękną w istocie, jeszcze piękniej ubraną, drogiemi kamieniami i koronkami z gustem przyozdobioną damę, której twarz nawet ujmująca i ożywione ruchy zdają się zapowiadać dowcipną i przyjemną rozmowę. Zbliżyliśmy się, prosimy kogoś, żeby nas przedstawił; grzeczna pani oddaje nam z wdzięcznym uśmiechem ukłon, zachęca, żebyśmy przy niej usiedli; lecz, gdy uszczęśliwieni uprzejmością, pierwsze

do niej przemówimy słowa, zdziwiona daje znak prześliczną swoją rączką, że jest... głuchoniemą. Otóż takiego bolesnego wrażenia dozna niezawodnie każdy, kto w bliższą z utworami nowoczesnej sztuki spróbuje wejść rozmowę.

Zkądże pochodzi u dzisiejszych malarzy ta przestraszająca oniemiałość? Zkąd się wzięło to nieuleczone kalectwo? Oto ztąd, że idąc za prądem czasu, i *widzialnym* światem całkowicie zajęci, obcym sobie zupełnie świat fantazyi uczynili. W pierwszej swojej o Miltonie krytyce, znakomity historyk angielski, Macaulay, zdaje się paradoxalne wypowiadać przypuszczenie, gdy twierdzi, że do niezrównanej obrazowości wieszcza Raju Utraconego przyczyniła się niepomału jego ślepotą. Nie przywiązując zaraz zbyt sztywnie do tego orzeczenia wartości, trudno zaprzeczyć jednak, żeby nie było w niem wiele prawdy. I tak, gdy zlatujących na ziemię aniołów Pańskich opisując legiony, powiada Milton, że spuszczają się oni „ciężkim i jakby utrudnionym lotem,“ albo gdy przy stworzeniu świata pokazuje nam tego lwa, który już rykiem swoim przeraża, kiedy nie otrząsł się jeszcze z tego błota, z którego dopiero co zlepione zostały jego członki (porównanie, które pan Villemain ślicznie do Mirabeauta zastosował) przyznać trzeba, że są to jakby *niewidzialne* obrazy, których tylko wśród „świecących ciemności“ swej okropnej nocy mógł się dopatrzyć genialny poeta.

To samo zdanie inny, niemniej wielki na polu fantazyi, sam o sobie wypowiada myśliciel. Podczas swej włoskiej podróży, jadąc statkiem z Neapolu do Palermo, Goethe natrafił na dość przykrą przeprawę: brzydki czas i zakłócone morze nie pozwalało cieszyć się z pokładu precudownym widokiem; trzeba było się zamknąć w kajucie: „von der äusserlichen Welt abgeschlossen, powiada Goethe, liess ich die innere walten;“ i wziął się do swojego Egmonta.

Od poezyi do malarstwa jeden tylko krok. Czyż nie stawia obydwóch tych sztuk obok siebie najwytrawniejszy w rzeczach gustu w starożytności znawca, Horacyusz, gdy mówi:

Pictoribus atque poetis

Quidlibet audendi semper fuit aequa potestas.

Ale wiersz rzymskiego satyryka ważniejszą jeszcze dla nas w tej chwili zawiera w sobie naukę, gdy, uznając dla malarza równie nieograniczoną, jak dla poety, wolność w wytwarzaniu własnych pomysłów, otwiera mu przez to samo na rościęz cały świat fantazyi i ideału. Ten świat i dzisiaj stoi dla naszych malarzy otworem. Lecz podobny do owych czarodziejskich zamków, których progi tylko z zawiązanymi oczyma może przestąpić zabłąkany wędrownik, jest on dla tych tylko myślicieli przystępny, którzy, jak Goethe i Milton, potrafią w chwili kreacyi od widoku zewnętrznego świata całkiem oczy oderwać.

To tę niezbędną władzę odgradzenia się zupełnego od otaczających ich naokoło ziemskich przypadłości, posiadali w najwyższym stopniu dziś tak niedostatecznie cenieni średniowieczni malarze. Ich dążenie, całkiem dzisiejszemu prądowi przeciwnie, i dlatego mało przez kogo w naszym wieku zrozumiane, skierowane było wyłącznie ku nieskończonemu zgłębianiu życia duchowego ludzkości. Obdarzeni dziwnie niezależną i samodzielną fantazyą, która dla nich była niejako pośredniczką pomiędzy idealnym a rzeczywistym światem, przyswoili oni sobie z czasem rozmaite abstrakcyjne przedstawienia wszelkiego rodzaju duchowych uniesień. Za pomocą jak najwyżej uszlachetnionych kształtów wysilali się jak mogli, aby ten świat wewnętrzny, któremu właśnie pierwszeństwo nad zewnętrznym dawano, do zrozumiałego wyrażenia doprowadzić. Ztąd na początku te poranione postacie, ztąd ich szeroko pootwierane oczy, w których jakby gorączkowy płomień błyszczeć się nam zdaje. Od tych oczu do ożywienia całkowitej twarzy pozostawał im jeszcze wielki krok do zrobienia; lecz i ta zaporą niebawem znikła, gdy objawienie się duszy człowieka odkryto w jego obliczu. Z czasem, gdy i to pole wyczerpanem zostało, zaczęła natura służyć do odzwierciadlania ludzkich namiętności.

Wręcz przeciwny kierunek przybrała sztuka nowoczesna. Podczas, gdy wieki średnie wynajdywały kształty do wyrażenia swych myśli, dzisiejsze malarstwo szuka przedmiotów do zużytkowania nagromadzonych form i wynalezionych sposobów. Co pierwsi malarze musieli w technice z mazołem sobie wyrabiać, to nasi artyści już od dawna mają pod ręką. Ale

tego właśnie, w co tamci duchowo opływali, tego naszym najzupełniej braknie. U pierwszych nawet myśli i uczucia do bijały się tylko do zewnętrznego wcielenia w jakąbądź byle wymowną formę; u tych myśl byle jak ujęta, służy za pozór do wystawnego efektów sztuki i technicznych zasobów popisu. Tam dzielność ducha wyłamała się oporem z pod materyalnych przeszkód i trudności; tu bogactwo nagromadzonych materyałów nieprzełamaną znowu przy wejściu do przybytku ducha stanowi zagrodę.

W tym stanie sztuki i z takim usposobieniem ogółu, jakież na seryo dzisiaj malarz mógłby pomyśleć o symboliczno-religijnym utworze, w prawdziwym i całkowitem tego słowa znaczeniu? Czy pomiędzy przedstawicielami nowożytniej sztuki wielu jest takich, którzy sobie zdają sprawę z tego, co to jest religijny obraz? Posłuchajmy na chwilę, jak w szesnastym wieku opisuje ten rodzaj malarstwa Victoria Colonna, ta, która miała szczęście widzieć u stóp swoich Michała Anioła, powierniczka zatem najwznioślejszych jego myśli i wyobrażeń, a wnet będziemy mogli osądzić, czy coś podobnego mogłoby się dzisiaj okazać.

„Czasoby mi brakło ¹⁾, mówi piękna Margrabina, prędzej, niżli przedmiotu do wychwalania tej enoty! (Tak nazywa religijne malarstwo!). Ona rozwesela smutnych, daje poznać nędkę ludzką roztargnionym, pobudza do upamiętania się upartych, powołuje do skruchy światowych, myślących zaś do bojaźni i żalu. Ona nam przedstawia męczarnie i niebezpieczeństwa piekła, a o ile możności chwałę i spokój błogosławionych, oraz nieujętą postać Najwyższego Stwórcy. Ona nam pokazuje najlepiej, skromność świętych, stałość męczenników, czystość dziewic, piękność aniołów i miłość, jaką goreją serafi. Ona porywa i unosi naszego ducha ponad gwiazdy i słońce i otwiera nam obszary wieczystego państwa...”

Nie, w tak odległe okolice nie miał zapewne p. Siemiradzki pretensyj nas zaprowadzić. Jeśliśmy się sami zabłąkali w te strony, winne temu czarodziejskie słowa, które nieostrożnie kazał na złotych ramach wypisać. Wracając więc do

¹⁾ Manuscrit de François de Hollande publié par le Comte Athanase Raczyński en 1846.

jego obrazu, (bo to jest obraz, do którego się często powraca), trzeba całkiem zapomnieć o tej inwokacyi Ewangelisty, a podziękować artyście, że choć treścią swojego utworu, wzniosłą szlachetnością zamiaru pozwolił nam zapuścić się na chwilę w te odwieczne, piękne i niezem niezakłócone dziedziny sztuki przezrocza. Czy nie mieliśmy słuszności, mówiąc na początku: że same nawet czynione mu zarzuty więcej mu zaszczytu przynoszą niż przyznawane najskwapliwiej pochwały? Artysta w jego wieku, co rozwiązaniem tak nadzwyczajnie trudnego zadania podobne tylko u swoich krytyków wywołuje wymagania, może z dumą i spokojem iść naprzód. „Żywe pochodnie Nerona“ nie są tylko wielką pracą, są one już wielkiem dziełem. To już jest więcej jak obietnica, to jest już prawdziwy, szczerzły zadatek całkiem wyjątkowego talentu, który zapewnia p. Siemiradzkiemu w przyszłości jedno z najpierwszych miejsc pomiędzy przedstawicielami nowoczesnej sztuki.

Wiedeń d. 15 listopada 1876.

C.

Do „Reformy Stosunków Wiejskich.”

Kiedy przed niedawnym czasem jeden z współpracowników naszych w rzeczy na pozór mało ważnej, bo w komedyi, znalazł popęd do głębszego wejrzenia w smutne „*nasze stosunki*,” a z roztrząsań tych wyciągał wnioski, że pierwszym i najkonieczniejszym środkiem na naszą niemoc jest „*reforma stosunków wiejskich*,” zdarzyło nam się nieraz słyszeć pytanie: co on przez te słowa rozumiał. Co to jest „reforma stosunków wiejskich?” na czem zawisała? jaki jej zakres i warunki? od czego ma się zacząć i jakimi praktycznymi sposobami dojść do tego końca, który wieńczy dzieło? Słowem, reforma stosunków wiejskich to pojęcie nieokreślone, w które każdy wkładać może jakie zechce znaczenie. Jeżeli to słowo nie było tylko na wiatr rzuconym marnym dźwiękiem, ale miało chęć i możliwość stania się ciałem, to należało zrobić je tak jasnem i ścisłem iżby każdy rozumiał i wiedział co ono znaczy.

Co ono znaczy? Można nie chcieć zrozumieć lub nie módz zrozumieć. Znaczyło ono przecież że należy się przede wszystkim, szczerze i bezzwłocznie zająć wsią naszą i urządzeniem jej stosunków. Co zaś przez wyraz reforma rozumiano, nie może być wątpliwem dla dziesięcioletnich czytelników *Przeglądu*; rozumian to co tak wyraźnie, może dla wielu zbyt wyraźnie, powiedzianem jest w owym artykule „*konkluzye Emigracyi Chłopskiej*” prowadzą wprost do reform administracyjnych, objętych wnioskiem p. Dunajewskiego, nakazując dążyć

do gminy zbiorowej, której zdaniem naszym, zbornym punktem ma być parafia, nakazują mnożyć szkoły oparte na podstawie chrześcijańskiej, usunąć lichwę, pijaństwo i karczmę taką, jaką ona jest dzisiaj, a to wszystko w celu zapewnienia wyższym warstwom należnego im na wsi wpływu moralnego, przywrócenia w niej harmonii społecznej, równowagi ekonomicznej, ulżenia ciężarów niższemu warstwowi i uratowania ziemi polskiej od nowego rozbioru i zaboru.“

Oto co dla nas znaczą wyrazy: *Reforma stosunków wiejskich*. Lecz nie w rozbiórze jednego teatralnego dzieła było miejsce na dokładne i szczegółowe opisanie tego, co rozumiemy przez poprawę naszych stosunków wiejskich; tam nadała się tylko sposobność podniesienia myśli a teraz zasłużylibyśmy słusznie na powyżej przytoczony zarzut, gdybyśmy nie rozwinęli tej myśli, gdybyśmy nie wypowiedzieli naszego zdania o każdym ogniwie tego programu, o każdej części składowej tej ogólnej i ważnej reformy. Chwytny więc w lot ów zarzut, którego niepodobna było uprzedzić, aby go uniknąć, radzi zacząć o niego to, co od dawna powiedzieć chcemy, a co powiedzieć może jeszcze nie jest po czasie.

Naprawa naszych stosunków wiejskich, jak się już z powyżej przytoczonego ustępu okazuje, zbyt wiele szczegółowych spraw i kwestyj obejmuje, sięga w nie zbyt głęboko, iżby od razu jednym zamachem pióra określić się dała. Jeżeli ma być prawdziwą i skuteczną, musi postępując cierpliwie ale odważnie i nieustannie dążyć do wielkiego celu, którym jest społeczny ład i jego wynik, polityczna siła. Czemkolwiek byliśmy dawniej, to pewna że dziś jesteśmy organizmem rozprzężonym, elementami, składowymi częściami, z których naród i państwo być mogły, i jeszcze (wierzymy) być mogą, ale nie możemy dziś z dobrą wiarą powiedzieć, iżbyśmy w tej chwili byli narodem prawdziwym to jest zupełnym. Że zaś z natury i od początku naszego życia jesteśmy narodem osiadłym głównie na wsi, że lud wiejski jako najliczniejszy jest pierwszym czynnikiem naszej siły materyjalnej i narodowej, że ziemianin (szlachcic lub nie) właściciel większego majątku jest z mocy całej przeszłości reprezentantem i przechowawcą nie tylko większego światła ale i narodowego ducha, i że te dwa żywioły w tej części Polski więcej niż w innych są od siebie oddalone,

przeto w dziele przywrócenia (lub może nadania dopiero) rozłożonym częściom narodu tej organicznej jedności, bez której nie ma całkowitości, dwa te żywioły i ich do siebie stosunek mają największe znaczenie; od nich, ale od nich obudwóch, musi się począć, z nich tylko może wyjść harmonia i siła. A mówiąc to nie zapominamy wcale o miastach, ani o ich ważności, ani o koniecznej potrzebie ich wzrostu, ani wreszcie o tem co w ich stanowisku w narodzie jest złem, czy to nie wykształconem jeszcze czy też już skrzywionem. Ale miasta u nas są w tem szczęśliwem położeniu, że nie ma żadnej sprzeczności pomiędzy niemi a jakimkolwiek narodowym interesem ani inną jaką częścią narodu. Dlatego choć widzimy potrzebę i pragniemy nie jednej zmiany i na tem polu także, nie uważamy kwestyi miast za tak nagłą, tak konieczną do podjęcia, jak jest dla całej naszej przyszłości kwestya stosunków wiejskich. I to wszystkich bez wyjątku, ekonomicznych, od których zależy byt ziemianina, możność zostania czem jest i zatrzymania ziemi w swoim polskim ręku: administracyjnych, na których zawisł jego spokój, bezpieczeństwo i pomyślność, moralnych, które pospołu z tamtymi a więcej od tamtych są warunkiem jego cywilizacyi. Wszystkie razem zmienione na lepsze mogą dopiero doprowadzić do tej społecznej harmonii, do tej prawdziwej organizacyi społeczeństwa, o którą nam chodzi.

Dlatego zapytani: co rozumiemy przez reformę stosunków wiejskich odpowiadamy: to, do czego zawsze dążyliśmy, to co wyraźnie wskazał artykuł *O Naszych Stosunkach*. A jak rozumiemy? Odpowiedzieć jednym słowem nie możemy, lecz dopiero szeregiem artykułów. Rozumiemy przez nią bardzo wiele, można powiedzieć wszystko: radę i na ten brak zasobów kapitału a często rachunku, który większego właściciela przyprawia o utratę własności i podobną nieogłędność, podobną pochopność do wydatków, które z pomocą lichwy z jednej strony a pijaństwa z drugiej niszczą włościanina; radę i na martwą nieczynność gminy i na czynność nie zawsze dość skuteczną Rady Powiatowej: i zły wpływ karczmy, i wpływ dobry szkoły i kościoła, bo wszystko to, i gospodarstwo i gmina i szkoła i kościół i karczma, to są koła na których posuwają się nasze wiejskie stosunki, a kiedy koła czy pope-

kane, czy krzywe, czy obręczą mocno nie trzymane, czy na osi nadłamaney, wóz nim ujdzie kawałek drogi, musi się załamać i połamać. Chodzi nam więc o to, by te koła obejrzyć co któremu z nich jest, a potem opatrzyć i naprawić.

To za wiele: „*qui trop embrasse mal étreint*,” mówi przysłowie, a nauka historyi dodaje, że kiedy coś się popsło tak iż potrzebuje być „*reformandum in capite et membris*,” to próżno chcieć wszystko naraz poprawić, bo tylko czas i częścicowe powolne usuwanie złego mogą zrobić „ze starego gołębnika nowy.” Żądać od sejmu żeby w jednej a chociażby w sześciu sesjach zastawszy kraj podupadły i próchniejący zostawił go murowanym, jak Kazimierz Polskę, to żądać od niego niepodobieństwa: myśleć zaś, że ta lub owa kwestya poruszona w piśmie peryodycznem da się przez to łatwiej rozwiązać w praktyce, to złudzenie naiwne jeżeli nie zarozumiałe pochlebianie sobie. Wszystkie tak zwane bieżące kwestye krajowe znane są dostatecznie, obrabiały je wszystkie dzienniki, pracowały komisye i umyślne zebrania biegłych, rozprawiwały i uchwalały poprzednie sejmy, każdy więc wie co o nich myśli, a nikt nie nowego nie powie. Najmniej zaś ten, kto z góry zapowie, że chce mówić o wszystkim, o administracyi i o stanie ekonomicznym, o rządzie i o samorządzie, o szkołach i o wyłączeniu, o stosunku naszym do żydów i stanowisku duchowieństwa, *de omnibus rebus et quibusdam aliis*.

Każdy robi co może: biegli rozpoznają, komisye pracują, sejmy stanowią prawa, a pisma piszą, bo od tego są a nie innego robić nie mogą. Kiedy zaś zdaniem ich sejm, który w bliskiej przyszłości ma się zebrać, będzie tak ważnym i stanowczym jak może żaden przed nim, i kiedy zdaniem ich tylko to, co w skutkach prowadzić może do porozumienia między dworem a gromadą jest zabezpieczeniem naszej przyszłości, i kiedy w mocy sejmu jest uchwalić nie jedną ustawę, która może stać się porozumienia tego podstawą, rzecz prosta, że te pisma chcą o tych kwestiach pisać, zanim przyszły sejm zacznie o nich radzić. Dlatego postanowiliśmy i my zabrać głos o tem, co nam się do naprawy naszych stosunków wiejskich potrzebnem i pomocnem wydaje, o tem co dziś nie dobre wymaga rady i zmiany. Za takie złe uważamy naprzód dzisiejszy zakres autonomicznego zarządu i dzisiejszą jego organizacyą,

czy to w gminie, czy w powiecie, czy wreszcie u samej góry, w statucie Wydziału krajowego; za złą uważamy dalej naszą ustawę Gminną: za zły i przestraszający ten proces przechodzenia gruntów włościańskich w obce ręce, który jeżeli potrwa, skończyć się może chemicznem przetworzeniem kraju i jego ludności: za złe uważamy te ustawy, które nie zupełnie sprawiedliwe i jedną czy drugą stronę zbyt obciążające utrzymują podejrzliwość i niechęć wzajemną; za więcej jak złą bo zabójczą na wsi lichwę, za więcej jak złe, bo trujące pijactwo — te dwie plagi, na które przecież sam rząd zwrócił uwagę, za co nie ociągamy się wyrazić mu wdzięczność najzupełniejszą.

A kiedy już mowa o wiejskich sprawach i częściach składowych wiejskiego społeczeństwa, więc zdaje nam się rzeczą potrzebną zapytać: czy wpływ i stanowisko duchowieństwa są dość silne i dość skuteczne, a jeżeli nie to z jakiego powodu. Wydaje nam się potrzebnem zwrócić uwagę na stosunek żydów do naszego całego ale zwłaszcza do wiejskiego społeczeństwa. Chcemy więc mówić o wszystkich tych sprawach po kolei, nie w myśli zarozumiałej, jakobyśmy o nich lepiej od innych mówić mieli, ani jakobyśmy dla każdej z nich wynaleźli dobre rozwiązanie, ale dlatego żeby każdą z nich przypomnieć, każdą ile możemy uwadze powszechnej polecić. Łatwo być może, że my przed otwarciem sejmu całego tego szeregu spraw przejść nie uspieszmy, a być prawie musi, że sejm wszystkich pod obrady wziąć nie zdała. Ale gdyby ci, co budowali Kraków, byli odstąpili od zamiaru, dlatego że go odrazu zbudować nie mogli, nie byłoby Krakowa. Może podobnie z tych cegieł które my dziś choć późno zniesiemy, stanie kiedyś jaki Ratusz albo jaki Zamek.

I.

O administracyjnej Reorganizacji kraju, czyli „o wniosku posła Dunajewskiego.“

Nie zdziwi to zapewne nikogo, że zamierzywszy dać przypomnienie tych pomysłów lub spraw, które bądź już były

wzięte pod obrady sejmu, bądź przyjść pod nie powinny, zaczynamy od tego urządzenia władz administracyjnych, które jest dziś w ustach jeżeli nie w łaskach każdego. Wniosek, którym sejm ostatni wiele się zajmował, który tak zwrócił na siebie uwagę powszechną, że stał się niemal przy wyborach pierwszym pytaniem wyborców i pierwszym punktem tak zwanego „wyznania wiary“ kandydatów, ani wątpić, że będzie podjętym na nowo i stanie się jednym z ważnych przedmiotów przyszłej prawodawczej pracy. Tak zaś wiele zmienia on w naszym prawie publicznem, tak przetwarza wzajemny stosunek władz, ich zakres, nawet ich istotę, uchwalony sprowadziłby taką różnicę w naszym rządzie, że najobszerniejszy ze wszystkich spraw stojących na naszym porządku dziennym, i zapewne najtrudniejszy z nich, jest on niewątpliwie najważniejszym. Wszystkie inne kwestye obejmują jakąś stronę, jakąś część naszych stosunków, i są bądź społecznej bądź prawnej natury. Ten zmienia sam rząd, całość rządu od dołu do góry, i nie tylko całość ale i dzisiejszy skład, dzisiejszy charakter Rządu. Administracyjny w swoich postanowieniach, jest on w swojej myśli i w swoich następstwach politycznym. I dla tego, jak najtrudniejszym i najważniejszym, tak wydaje nam się i najpilniejszym do załatwienia. Mówi się zwykle, że zmiany w rządzie są ostatnie właśnie, do których brać się trzeba, bo rząd jest szczytem a fundamentem społeczeństwo. Zatem to oświecić, to podnieść moralnie, to z bogacić i to do równowagi ustawić, a potem dopiero myśleć o nowem urządzeniu władz, o innem ich opisanu, bo i najlepsza najmańdrzej opisana władza nie zda się na nic, jeżeli pod nią nie ma dobrze zorganizowanego społeczeństwa. Jest to logiczne i słuszne, ale tylko tam, gdzie stan jest normalny, złe nie wielkie, a czasu dużo. Kto zupełnie bezpieczny dostrzega dopiero pierwszych symptomatów złego, które skończyć się może chroniczną chorobą i rozkładem krwi, ten niech się o polityczne reformy nie troszczy, tylko niech zawczasu i przezornie usuwa złe principium z narodowego organizmu. Kto już śmiertelnie zagrożony ma nóż na gardle a nogę nieprzyjaciela na piersiach, ten niech zmiany polityczne odłoży do czasu, aż się z pod nieprzyjaciela wydobędzie, i najgorszego nawet cesarstwa niech nie zamienia choćby na najlepszą republikę. Ale kto chory, jednak nie

umierający, może niebawem przejść w stan niebezpieczniejszy, jeżeli się doraźnemi i energicznemi środkami leczyć nie będzie, ten niech naprzód przetnie chorobę gwałtowną, a na chroniczne cierpienia niech się leczy potem, czyli, niech się ratuje polityczną reformą prędszą do wykonania i doraźniejszą w skutkach, bo na reformę społeczną trzeba tyle czasu, iż go w końcu zupełnie braknąć może. I to jest właśnie stan Galicyi. Niewłaściwe urządzenie administracyi nie jest powodem jej choroby, ale tę chorobę wzmacnia: poprawiwszy je nie będziemy odrazu zdrowi, ale postąpimy przynajmniej o tyle, że będziemy się mogli wziąć do polepszenia ogólnego stanu naszego zdrowia. A kto wie, czy się nie pokaże po niedługim nawet czasie, że przez same zmiany administracyjne poprawił się i nasz stan społeczny. Prawodawstwo oparte na teorii (żeby nie rzec na doktrynie), przywiązane do jednostajności, jak żeby ona była potrzebną jednolitością lub jak żeby ją zastąpić mogła, nadało nam instytucye jakby wyrachowane na to, iżby jedności organizmu nigdy nie wyrobiły i nie dopuściły. Wszędzie, gdzie spojrzeć, od dołu do góry, rozdzielenie każdej naturalnej jedności na dwa pierwiastki, z których żaden sam przez się zupełnym nie jest i tylko w połączeniu z drugim nabiera żywotnej siły, i wszędzie od góry do dołu instytucye nie powstałe naturalnie z tego organizmu samego, lecz sztucznie i tylko mechanicznie z nim połączone. Dwoistość w samej już podstawnej jedności, w gminie, gdzie dwór osobno a osobno gromada, i dwoistość w całym porządku administracyjnym, przez wszystkie jego stopnie, od gminy aż do centralnego rządu. Zupełnie jak żeby zasada dualizmu, która przecięła sztucznie monarchią austryacką na dwie połowy, była się odbiła we wszystkich postanowieniach austryackiej konstytucyi i administracyi, jak żeby między pierwiastkami składowemi społeczeństwa, między prawem rządu do rządzenia i prawem poddanych do rządzenia sobą były jakieś fikcyjne Litawy dowolnie przyjęte i uznane za granicę fikcyjnych dowolnych kreacyi. Kreacją dowolną i fikcyjną jest dzisiejsza gmina: dowolną i niezgodną z pojęciem gminy, jest obszar dworski; dowolnym i również w teorii nie uzasadnionym jak nie praktycznym w rzeczywistości, jest rozdział władzy między urzędy rządowe i krajowe. Pojmujemy podział władzy jak i podział pracy, ale pod jednym

warunkiem, to jest, żeby władza drugiemu oddana była w swoim zakresie, jakimkolwiek, choćby najmniejszym, zupełną, to jest stanowiącą i wykonującą. Ale jeżeli prawo uchwalania nie będzie równe prawu wykonywania, jeżeli się potworzą jakieś ciała na pół obradujące a na pół administracyjne, jeżeli jeszcze w wykonywaniu tych atrybucyi nie przyzna im się niezależności, ale każe jej się szukać pomocy w innej jakiejś równoległej władzy, wtedy naturalnie i koniecznie powstać musi i jakaś dla tej władzy samej niemożność i nieskuteczność działania, i w podwładnych brak zaufania i potrzebnej powagi, i wreszcie pomiędzy temi różnemi władzami czasem niechęć i antagonizm, często mieszanina wkraczających w siebie kompetencyi, zależność jednej od drugiej, osłabienie obudwóch. Wiemy, że przez sprężystość i poświęcenie pojedynczych ludzi, pomimo organicznych błędów instytucyi wiele spraw idzie dobrze i z wielkim dla kraju pożytkiem tak w Wydziale krajowym jak i w niejednej Radzie Powiatowej. Przecież jest jakiś powszechny w kraju brak wiary we władze autonomiczne, nie w ludzi ale w instytucye, nie w uczciwość i chęć działania, ale w możność zdziałania. Ten brak wiary w oświeceńszych objawia się obojętnością, u ludu niechęcią lub narzekaniem. A jego powód? szukajmy go gdzie chcemy, w nieufności ludu do szlachty i jej rządów, w jego wstręcie do nieuniknionych powiatowych podatków, w niezdolności ludzi, gdziekolwiek, ostatni i stanowczy powód znajdziemy tylko w trafnym instynkcie ludzkiej natury, który nas wszystkich ostrzega, że nie można wierzyć we władzę, która władzą nie jest. Słuchamy jej, pracujemy pod nią, jedni z musu drudzy z uczucia obowiązku i patryotyzmu, ale za władzę, uderzmy się w piersi, jej nie uważamy. I to jest sam rdzeń, samo jądro rzeczy. Ani w Radzie Gminnej ani w Wydziale Powiatowym ani w Wydziale krajowym władzy istotnie nie ma: przy zakładaniu ich, w ich pojęciu nie było prawdy. Nie twierdzimy jakoby założyciele umyślnie chcieli byli stworzyć pozory jakichś władz bez ich istoty, ale że pomylili się w pojęciu rzeczy, kiedy rozdzielili atrybucye między urzędy rządowe i autonomiczne, tak, że w żadnym zakresie i na żadnym szczeblu administracyi władzy pełnej nie ma nikt. Instytucye zaś, jak konstytucye, jak prawa, jak zasady, jak wszystko, w których nie ma prawdy,

atrybucye i prawa bez możności wykonania, muszą być nie-
płodne i bezskuteczne. Częściowo, wyjątkowo, z wielkim mo-
zołem, mogą pracować i funkcyonować skutecznie w szczegó-
łach, ale działać ustawicznie wszędzie i we wszystkich kie-
runkach, zakorzenie się w gruncie, kwitnąć i wydawać plon
w właściwym czasie i w normalnej mierze, tego nie mogą.
I to jest historia naszych władz autonomicznych. Niektórzy
pracują jak w pługu i otrzymują skutki największe zapewne,
jakie się otrzymać dają, ale usiłowaniom nie odpowiednie.
Ogółem wzięte nasze instytucye autonomiczne, żyją słabem
życiem, bo mają w sobie defekt organiczny. Bo gmina, jak ją
opisano i złożono, nie jest zdolna pełnić funkcyi, jakie jej przy-
znano, bo tak zwany obszar dworski nie jest niczem, chyba
workiem do zbierania pewnych podatków i prestacyi, bo ani
Rada Powiatowa w powiecie ani Wydział krajowy w kraju
nie mogą na prawdę rządzić temi sprawami, które pod ich
zarząd oddano. Wynika z tego, co wynikać musi: dużo kosz-
tów i czynności, a czynności zmarnowanych i mało skutecznych;
za temi idzie zniechęcenie lub nawet niechęć ludności, oboję-
tność lub nawet lekceważenie względem instytucyi samych.
Wynika dalej brak dostatecznego rządu i w gminie i w po-
wiecie i w kraju, odbijający się smutno na wszystkich spra-
wach administracyjnych i wszystkich ekonomicznych stosun-
kach. A jeżeli dziwnym jakimś wypadkiem porządek publiczny
dotąd na tem nie ucierpiał, to porządek społeczny przytem
wyrobić się nie może. Dodajmy do tego, że dla narodu jak
nasz we wszystkich jego warstwach niebezpiecznem jest wszy-
tko, co trąci nierządem i przyzwyczajają nas patrzeć na rząd
z boku, z krytyką, podejrzeniem, nieuszanowaniem lub szy-
derstwem, a będziemy mogli łatwo dodać cyfry i otrzymać
ogólną sumę tych szkód różnego rodzaju i porządku, jakimi
grożą nam instytucye wyrosłe z mylnego pomysłu i zamknięte
w źle opisanym zakresie działania.

A zaledwo zarysy i zasady dzisiejszej ustawy gminnej
i powiatowej dostały się z Rady państwa do naszego sejmu
dla wypełnienia ich bliższymi postanowieniami, znalazło się
wielu, którzy ten wrodzony błąd, tę teoretyczną dowolność
zasad dostrzegli, i przewidzieli przyszłą niemoc władz na tem
prawie powstać i działać mających. Kto pamięta rozprawy

o prawie gminnem z roku 1866, temu z pewnością przytomne są wszystkie argumenta stawiane przeciw z góry przewidzianemu a dziś rzeczywistemu stanowi rzeczy ustawą tą stworzonemu. „Gmina tak opisana i urządzona musi mieć ten błąd organiczny, że nie tylko nie jest formą zarządu własną, przyrodzoną, przez społeczeństwo samo wytworzoną, ale nadto że gminą być i zadania jej pełnić nie potrafi. Obszar dworski zaś — sama ta nazwa „obszaru“ szukana, nienaturalna, oznaczająca przestrzeń tylko a przez to od pojęcia gminy tak odległa — „obszar“ dworski jest potwornym wymysłem teorii, niodorzecznością w pojęciu a niczem w praktyce. „Jeden człowiek i pewna ilość morgów, mówił ś. p. Adam Potocki, mają razem składać i stanowić gminę.“ Na tem też prawie gminnem rozdzieliła się wyraźnie i stale opinia kraju na dwie połowy. Za przykładem sejmu, którego komisya wystąpiła z dwoma różnemi wnioskami, większości i mniejszości, jedna część dziennikarstwa i kraju oświadczyła się za tem co podówczas nazywano *Gminą Zbiorową*, druga, liczniejsza i silniejsza obstawała za uchwaleniem i zachowaniem rozdziału, który znieść będzie można później jeżeli się w praktyce szkodliwym okaże. Nie myślimy powtarzać wszystkich przebiegów i zwrotów tej sprawy: wystarczy przypomnieć, że po za sejmem myśli najgłębsze o gminie były stawiane i najenergiczniej bronione przez *Czas*, nie bez porozumienia zapewne z ś. p. Leonem Rzewuskim, który choć tak odzywać się nie lubił, przecież zabrał głos parę razy (raz nawet i w tem naszym piśmie) głównie po to, by powiedzieć, o czem zbyt zapomniano, że ani jedna gromada, ani tem bardziej gromada oddzielnie od dworu, nie może być siłą i władzą administracyjną, bo nie jest organiczną skończoną jednością społeczną, i że za taką, zatem za podstawę organizacyi gmin dobrze u nas służyć może parafia. Myśl raz zwyciężona w sejmie, nie uznała się za zwyciężoną na zawsze i broni nie złożyła. Afirmowała się przy każdej sposobności, nie pozwoliła sobie pójść w przedawnienie, a niebawem praktyka dała jej swoje silne poparcie. Doświadczenie pokazało, że Gmina swoich czynności policyjnych nie sprawuje, bo ich sprawować nie może: poszły więc za tem nowe wnioski i uchwały, wyłomy w ustawie gminnej, nowelle odwołujące ten lub ów paragraf a zastępujące go odmiennem rozporządzeniem,

środki uśmierzające ale nie leczące, częściowe naprawy, które jak się dowodnie pokazało nie wiele naprawiły: na złem dziurawem suknie łąty z nowego i mocnego, które jak już Ewangelia uczy, są marną stratą sukna i roboty.

Doszło do tego, że kraj cały nie ma wiary do swojej organizacyi gminnej. Ale nie do tej jednej tylko. W r. 1866, jakkolwiek przewidywano, że organizacya powiatowa nie okaże się doskonałą, przecież ufano jej i spodziewano się po niej wiele. Praktyka nie wielu lat przekonała wszystkich, że jeżeli pomimo wadliwej zasady Rady powiatowe zasługą niektórych ludzi mogą coś dobrego zrobić, to ten zgubny w nich pierwiastek rozdwojenia władzy i zależność od władz rządowych w wykonaniu tego co uchwalą, musi sprawić że lepsze i czynniejsze Rady Powiatowe nie zdołają działać tak skutecznie jakby chciały i mogły, a gorsze, opieszałe, zdziałają bardzo mało lub nic wcale. Nie sama więc gmina jak z początku, ale i powiat także okazał się potrzebującym reformy, reorganizacyi, i dawna myśl gminy zbiorowej musiała się stosownie do tego rozszerzyć, objąć w żądaniu zmiany całość naszych autonomicznych urzędzeń.

Ze zrozumienia tej potrzeby wyszedł w roku 1871 zbiorowy projekt takiej zmiany, owoc długich i gruntownych badań i rozmyśłów kilkunastu ludzi, których widząc zajętych pracą tej natury i wagi, można było wziąć za zaród tego tak wiele upragnionego stronnictwa, składającego się na polu i na zasadzie administracyjnej i społecznej organizacyi kraju. Byli między niemi Juris Periti i ekonomiści, właściciele ziemscy z natury rzeczy najlepsi znawcy wiejskich stosunków, i ludzie polityczni posłowie w Sejmie i w Radzie Państwa, byli wreszcie urzędnicy doskonale świadomi spraw administracyjnych i patrzący na rzecz z praktycznego stanowiska rządu i rządzenia, słowem wszystkie te pierwiastki siły i wiadomości, które projekt do prawa dobrze osądzić mogą a na ułożenie jego wpływać powinny. Projekt ten dostał się do rąk publiczności jako „*Zarys organizacyi władz administracyjnych dla Galicji*“ a pod obrady Sejmu jako „*wniosek posła Dunajewskiego*.“

Wiadomo powszechnie, bo aż wyborcom włościańskim w dalekich zakątkach kraju, że wniosek ten dzieli się na trzy

części, a raczej trzy stopnie władz administracyjnych obejmuje i jednoczy. Zamiast dzisiejszej gminy tworzy okrąg gminny, zamiast Rady powiatowej obwodową pod prezydencją Starosty, zamiast Wydziału krajowego, wydział osobny z wyborów powstały przy Rządzie centralnym. Nie będziemy się tu wdawać we wszystkie poszczególne postanowienia tego projektu. Chcemy tylko przypomnieć powody jakie wnioskodawcę i jego współpracowników do postanowień takich skłoniły, niektóre zarzuty projektowi całemu dotąd czynione, wreszcie powtórzyć co zdaniem naszym stanowi jego zasługę, a wskazać to, co nam się wydaje potrzebującym odmiany.

„Galicja dzieli się na okręgi gminne; okrąg gminny składa się z gromad wiejskich, z obszarów dworskich, z miast i miasteczek do okręgów tych wcielonych.“ Oto pierwszy artykuł i kamień węgielny projektu, i pierwszy, przeciw któremu odzywają się różne z różnych stron głosy. Włościanie mówią: to złe, bo i odrębność gromady zniknie i sprawy jej w zbiorowym okręgu zbyt znacznie zależeć będą od Panów. Panowie, więksi właściciele mówią: to złe, bo połączeni z gromadami będziemy zbyt znacznie od nich zależeć. a niektórzy dodają z żalem, że w takiej organizacyi zniknie ta naturalna ludowi znana i upodobana geograficzna i społeczna jedność wsi, gromada. Inni, że we wschodniej połowie kraju żywioł i interes polski mógłby narażonym być w okręgu na szwank, przy licznej przewadze włościan prowadzonych przez ludzi niechętnych, im i nam zarówno na zdradzie stojących.

Nie pochlebiamy sobie, byśmy jednych lub drugich zaspokoić mogli, ale jednym i drugim odpowiedzieć musimy, że się mylą i do obawy powodu nie mają. Naprzód co do obaw włościańskich o zatarcie odrębności gromadzkiej i o zbytnią przewagę „panów“ w Radzie okręgowej, jeden rzut oka wystarczy, iżby się przekonać, że są płonne. Wszakże punkt 6 wniosku stanowi wyraźnie, że gromady zachowują swoją odrębność i swój charakter, swój majątek i swój własny zarząd majątkowy, że same wybierają sobie wójta czy sołtysa i Radę gromadzką czyli przysiężnych. Jest więc czem uciszyć obawy i skargi, że gromada pochłonięta przez okrąg gminny traci swoją słuszną i potrzebną indywidualność: bo gromada zostaje sobą, zostaje czem zawsze była, w tej samej formie i w tym

samym zakresie. Przestaje tylko być tem, czem na przekór przyznanemu sobie prawu nie była nigdy, Gminą. Te zaś jej prawa i obowiązki, którym ona podołać nie może, te tylko, a nie jej własne, przyrodzone, osobiste żeby tak rzec atrybucye i czynności przenoszą się na okręg gminny.

Ale czy w tym okręgu, to druga obawa, „Panowie“ — jak mówią jedni — „nie wezmą nas za łeb“ albo czy, jak mówią drudzy, szlachta nie utonie w większości włościan i nie pójdzie w niewolę do chłopów? Na to odpowiadają najlepiej cyfry. Rada okręgu gminnego ma się składać podług wniosku z piętnastu członków. Na tych piętnastu, pięciu tylko wybierają ci z mieszkańców, którzy płacą co najmniej sto złr. podatków stałych, czyli właściciele więksi: wszyscy zaś inni dziś do wyborów gminnych uprawnieni, czyli lud (wiejski czy inny) wybierają radnych dziesięciu. Mają więc zabezpieczony nie tylko wpływ, ale przewagę, bo mogą jeżeli nie zechcą nie wybrać ani jednego szlachcica, ani jednego *surdutowego* i w dziesięciu włościan bronić się skutecznie i bezpiecznie, gdyby ich tamci chcieli „brać za łeb.“

A więc na to znów wychodzi, że słuszną jest obawa strony drugiej, że w okręgu pokrzywdzonym i uciśnionym będzie większy właściciel, szlachcic, posyłający do Rady tylko jedną trzecią członków. Nie: pokrzywdzonym ani uciśnionym on nie będzie. Naprzód, do równej liczby reprezentantów w Radzie Gminnej on sobie prawa rościć nie może, bo cokolwiek byłoby zasadą prawa wyborczego, nie już liczba głów, ale suma czy podatków czy gruntów w okręgu, zawsze suma ta podatków i gruntów włościańskich okaże się większą od zsumowanej razem większej własności, zatem równość głosów odpowiadająca nierówności ciężarów, byłaby niesprawiedliwością. Wpływ zaś i interes większych właścicieli zabezpieczony jest dostatecznie przez owych pięciu radnych, których sami wybierają. Bo ci naprzód, jako oświeceńsi i radniejsi, dojdą łatwo do znacznego wpływu w Radzie, bo następnie znajdują pomoc i oparcie w proboszczach członkach z urzędu Rad okręgowych, bo wreszcie nic im nie przeszkadza starać się o to, by ich włościanie do Rady wybierali, i stosunek głosów przez to stanowczo na swoją stronę przechylić. Nie mamy więc żadnej wątpliwości co do jednej połowy kraju, zachodniej. Ina-

czej z wschodnią. Tu, wyznajemy, obawy i trudności są większe. Wybory oczywiście opierać się muszą na tej samej zasadzie: a tymczasem stosunek głosów może tam wypaść zupełnie inaczej. Naprzód dostać się do Rady przez wybór wiejski będzie tem trudniej, i można liczyć na dziesięć głosów dobrze jeszcze jeżeli czysto włościańskich w każdej Radzie. Powtóre, głosy wirylne duchownych, które po San będą zawsze dobre, za Sanem rzadko kiedy nie będą chciały szkodzić szlachcicowi i Lachowi i włościanina na niego podżegać. Jest to trudność, którą projekt mądrze przewidział. Stanowi on, że gdzie w okręgu mieści się więcej niż jedna parafia, wchodzi do Rady pleban najstarszy wiekiem. Nie wszyscy zatem ale jeden. Postanowienie, które powinnyby uspokoić tych, którzy się obawiają zbytniego wpływu księży ruskich siedzących jak wiadomo na małych ale bardzo gęstych parafiach. Czy mimo to nie wypadłoby ze względu na odmienne stosunki, zostawić w przyszłej ustawie niejakich dowolności chroniących ją od zupełnej a może istotnie gdzie niegdzie szkodliwej jednostajności? Roztrząśnienie tego pytania zostawiamy temu z naszych współpracowników, który na tem miejscu wkrótce mówić ma o sprawie gminnej w szczególności; dodamy tu od siebie tę uwagę, że pięciu ludzi oświeconych mogłoby przecie i powinnyby znaczyć w Radzie gminnej tyle, iżby mogli zyskać wpływ nad dziesięciu ciemniejszymi. Jeżeli gdzie zaś, to właśnie we wschodnich obwodach takie (zrazu tylko mechaniczne) zbliżenie szlachcica i włościanina wydaje nam się koniecznem, jako sposób jedyny, żeby z czasem włościanina wyswobodzić z pod złego wpływu pod jakim on dziś zostaje.

A do tego jeszcze jedno uboczne szczegółowe pytanie. Organizacya i Rady i Wydziału, stosunek głosów, sposób wyboru i zatwierdzenia naczelnika okręgu, atrybucye Rady, wreszcie zgodność terytoryalna okręgu gminnego z parafią wszystko to, z wyjątkiem może zbyt wielkiej rozległości okręgów wydaje nam się słusznem i dobrem. Ale pytamy tylko, czy wydział okręgowy złożony z naczelnika i dwóch tylko ławników da sobie radę i nastarczy wszystkim czynnościom, jakie nań spadną, jeżeli okręg obejmować będzie 6000—10000 ludności? Wiemy, że ciała zarządzające liczne są ciężkie wiekomowe a mało działające, wszędzie, a dopiero w Polsce,

a dopieroż jeszcze na wsi polskiej, i pojmujemy, dla czego autor projektu chciał wydział swój złożyć z jak najmniejszej liczby osób. Przecież czy ta nie jest za małą? czy zdoła wszystko należycie, szybko, na czas załatwić? Niech sądzą ludzie praktycznie obeznani z czynnościami gmin i ze sposobem ich prowadzenia. Nam tylko nasunęła się wątpliwość, o której objaśnienie prosimy.

Słyszeliśmy też i nieraz zdanie, że tak utworzony okręg gminny byłby równie sztucznym, równie ludowi obcym i narzuconym jak dzisiejsza gmina, że mądry prawodawca stara się nie nowości wprowadzać ale to, co dawne, znane i zrozumiałe, poprawiać. Że choćby była lepszą, organizacya ta nie przyjmie się i korzeni nie zapuści, bo lud zrażony a z natury zmianom niechętny do niej nie przylgnie. Czy zaś w zasadzie i w praktyce dobrze jest zmuszać go do instytucyi, choćby zbawiennych, których on nie rozumie i niechce? Czy się jego podejrzliwość i niechęć przez to nie wzmoże a upragniona społeczna zgoda nie odwlecze?

Przypuszczamy, wiemy nawet, że zmiany tej gdyby w życie wchodziła, lud wiejski odrazu z chęcią i zaufaniem nie przyjmie. Ale jest to właśnie jeden z tych wypadków, w których trzeba się wznieść nad jego zdanie dzisiejsze i odwołać się z góry do jego zdania przyszłego. Zrobić mu przykrość, choćby mu się i narazić, żeby niebawem pokazać mu rzetelne i dotykalne korzyści. Jak on zobaczy, że porządek, bezpieczeństwo, wygoda gromad w okręgu są większe niż były, jak zobaczy, że w swoich sprawach gromadzkich jest zupełnie niezależnym a w gminnych nie tylko nie gnębionym ale skutecznie wspieranym przez „Fanów“, przywyknie, przywiąże się do tej nowej formy zarządu, a może i do swoich w niej kolegów.

Tylko trzeba oczywiście, żeby te korzyści widział. Ale czy je zobaczyć może? Oto pytanie główne, *cardo rei*, od którego zależeć musi pożytek lub szkodliwość Okręgów gminnych, najgłębszy przeciw nim zarzut i najważniejsza strona rzeczy.

Niektórzy twierdzą, że okręgi byłyby bardzo kosztowne: tak kosztowne, że kraj z trudnością, a gminy z największą niechęcią i narzekaniem znosiłyby ten ciężar. Dzisiejsza gmina,

prawda, że nie nie robi, ale też i wsi nie nie kosztuje. A nowem urządzeniem gromada ponosiłaby zawsze te koszta, które dziś łoży jako gmina, a na urząd okręgowy i na sprawowanie czynności musiałaby łożyć nowe. Koszta te obliczają w przybliżeniu na 2000 mniej więcej złr. rocznie, oprócz kosztów wystawienia i utrzymania budynku gminnego. Że zaś okręgów miałoby podług projektu być 400—500, przeto przybyłby krajowi wydatek mniej więcej miliona, wydatek przy dzisiejszem przeciążeniu ludności wiejskiej za wielki.

Z tego punktu widzenia pokazany Okręg gminny staje w nowem odmiennem nieco świetle i potrzebuje nowego namysłu. Jednak jeżeli on sam w sobie jest dobry, to nie należy go odstępować i porzucać, ale szukać gdzieindziej takich ulżeń i oszczędności, któreby ludności pozwoliły ciężar ten ponieść, a nie uczuć go dotkliwie. Zostawiając na później, kiedy będzie mowa o gminach w szczególności, roztrząśnienie tego ważnego pytania, musimy na teraz powiedzieć, że dzisiejsze gminy nie są tak mało kosztowne jak się to niektórym zdaje. *Obszar dworski*, prawda, który funkcyi żadnych nie pełni, nie przysparza też wydatków większemu właścicielowi. Ale Gmina? cóż znaczą te ogromne dodatki do podatków, które gminy na siebie nakładają a sejm co roku zatwierdza? Każdy widzi, że to co gminy za otrzymany w ten sposób fundusz robią, nie jest w stosunku z jego cyfrą, zatem część bardzo znaczną tych znacznych kosztów pochłaniać musi administracja gminna. I *okręg gminny* właśnie byłby oszczędnością w wydatkach, bo gdyby ich wymagał tyle, gdyby nawet więcej, to potrafiłby lepiej funduszami gminnymi rządzić, i ze złożonych pieniędzy cośby przynajmniej było, uciążliwe dodatki do podatków nie marniałyby tak jak dzisiaj. I to właśnie jest jednym z celów pomysłu, to w przekonaniu jego autorów jedną z jego największych zalet. Zalety te wydają nam się niewątpliwe i wielkie, a zamiast rozwodzić się nad niemi sami, wolimy przytoczyć tu i przypomnieć proste związane ale pełne treści słowa, któremi autorowie *Zarysu* tych wszystkich zmian tłómaczą ich powody.

„Gmina rzeczywista jest geograficzną jednostką, odgraniczoną od innych. Jest ekonomiczną całością, w której różnorodne interesa gospodarskie znajdują swoje uzupełnienie. Jest

„ona nareszcie prawdziwą miniaturą państwa, łącząc obywateli „gminy w wspólnym interesie porządku i bezpieczeństwa.

„Dawniejsze dominia dostarczały przynajmniej niektórych „z wyż wymienionych warunków. Siłę kapitału i umysłowego „wyszktałcenia przedstawiała własność ziemska, siłę pracy wło- „ściaństwo. Jedno drugie uzupełnia, jedno bez drugiego obejść „się nie może.

„Ustawodawca podzielił dawniejsze dominium, z gromady „utworzył gminę, a z własności dawniejszego zwierzchnika tak „zwany, obszar dworski, nadając każdej z tych części chara- „kter jednostki administracyjnej.

„Prawodawca tworząc z gromad gminy, nadał im obszer- „ne atrybucye, zapominając, że im nie może dać poczucia obo- „wiązków publicznych i sił umysłowych do wykonania tychże „obowiązków koniecznych.

„Obszary zaś dworskie, prawdziwe monstra polityczne, są „ostatecznie nie czem innem, tylko własnością prywatną z cha- „rakterem Instytucyi administracyjnej.

„Gmina fizycznie działać może, ale działać nie umie i nie „chce. Dwór umie i chce, ale nie może.

„Jak w świecie fizycznym z rozbitcia mechanicznego może „się wywijać rozkład chemiczny, tak i w politycznem życiu „narodu dzielenie i rozdrabnianie nie jest drogą do żywotności

„Trzeba więc utworzyć ciała większe, złożone z osad wiej- „skich, miejskich i obszarów dworskich, takiej obszerności, iżby „władze gminne tak pod względem gospodarczym jak i polity- „cznym, skutecznie i sprężyste funkcyonować mogły... Gdy „zaś najdawniejszy podział w kraju jest na parafie, w których „najważniejsze stosunki mieszkańców i różne interesa materyal- „ne gminy się łączą, przeto w tworzeniu okręgów gminnych „względem na istniejące parafie pomijać nie należy. W ten spo- „sób około czterysta do pięciuset okręgów gminnych zajęłoby „miejsce dawniejszych gmin i obszarów dworskich.“

Pomijamy objaśnienia szczegółowe, acz ważne i mądre, któremi wytlómaczony jest sposób wyboru naczelnika okręgu, lub głos wirylny duchownych w Radzie okręgowej. Nie możemy wszakże odmówić sobie przyjemności przytoczenia tu słów, które przed laty, w chwili kiedy *Zarys* wychodził z pod prasy, a sesya sejmowa roku 1871 otwierać się miała, pisał

na ten samem miejscu towarzysz nasz p. Józef Szujski. To, co on wtedy mówił za gminą zbiorową i za zniesieniem dualizmu w powiecie, jest dla nas i dziś najważniejszym względem do obstawania za „reorganizacją władz administracyjnych w Galicyi.“

„Po kilkuletniem trwaniu dualistycznego systemu w gminie i powiecie czas wielki, aby zapewnić krajowi więcej rządu, „mniej tarcia władz a więcej wspólnej pracy. Nie taimy sobie „bynajmniej, że praca w gminie zbiorowej wyda się z początku „ciężką, trudną i na wiele narażającą przykrości, że lud nie- „chętny zarówno zmianom, jak i dzisiejszemu stanowi, z razu „nieprzychylnie się zachowa przeciw nowej organizacyi, że upły- „nie czas niejaki, zanim z potrzeby i przymusu nowej ustawy, „rozwiną się konieczne dla niej zalety i cnoty w naszych zie- „mianach, w szczególności zaś odwaga cywilna i poradność, że „i nasi urzędnicy, oderwani nagle od rutyny biórokratycznej „i pozbawieni atmosfery fascykułowej, nie od razu się znaleźć „potrafią na nowych samodzielniejszych stanowiskach, jako wy- „konawcy prawa przy gminach; ależ wszystkie te względy są „przechodowemi, które sama zmiana położenia, sama potrzeba „usunie, są względami, które nie zginą ani w przyszłym roku, „ani w dziesięć lat, a usunięte być mogą tylko inną praktyką „życia społecznego. Kto chce pływać, musi wejść w wodę, kto „chce postępu życia społecznego, musi go szukać, musi zrzec „się prohibicyjnych i protekcyjnych środeczków, które zalepiają „zewnątrznie dawne rany, ale ich nie leczą. Mniemać zaś, że „wolność sama łączy się gmin w większe całości, wystarczy „z czasem do zmiany dzisiejszego niezdolnego stanu, jest to „albo żartować z wolności, albo jej nie rozumieć. W praktyce „nie było prawie przykładu podobnych połączeń, przeciwnie: „były wielostronne domagania się odłączeń, związanych w jedną „gminę gromad. Wolność nigdy i nigdzie nie była pierwiast- „kiem twórczym, ale rozwijającym i pobudzającym te żywioły „i dążenia, które zastaje; u ludu naszego rozbudziła ona jego „niechęć ku kupieniu się w wspólnych interesach, jego chęć jak „największego oddalenia od własności większej. Chłop sobie, „pan sobie, stało się przysłowiem zgubnem, pokrywającym po- „zorną obojętnością dawną zawiść społeczną. Władza wójta, „z obszernem co do paragrafów a niezrozumiałem dlań zakre-

„sem działania, bez poparcia zbliżka, bez władzy wykonawczej
„a ograniczona parlamentem rady gminnej, która zwykle prze-
„mieniała się w despotyczną a często w zarządzie majątkiem
„nieuczciwą oligarchią, w rękach sumiennych niedostateczna,
„w niesumiennych dająca obszerne do nadużyć pole: nie mogła
„z natury swojej żadnego rządu na wsi zapewnić, była jako
„rzecz niezmiernie skomplikowana rzeczą teoretyczną, w rzeczy-
„wistości niewykonalną. Pozostawić tę władzę w dzisiejszym
„kształcie dla nieuszkodzenia w teorii wolności gminy, spodzie-
„wać się dłużej, że wolność wytworzy sama pragnienie lepszej
„organizacji i sprężystszego rządu, byłoby to zadaleko posuwać
„doktrynerstwo liberalne, byłoby to oczekiwać z świadomością
„powszechnego zdżyczenia naszych społecznych stosunków.

Zamiast dzisiejszych siedmiudziesiąt czterech powiatów Galicya ma się dzielić jak dawniej na dwadzieścia obwodów. Każdy z nich ma jak dziś powiat mieć Radę obwodową, złożoną z wybranych reprezentantów każdego okręgu gminnego. Wydział tej Rady, w którym przewodniczyć ma starosta, wykonywa jej uchwały i za nią działa; oto główne postanowienia wniosku co do drugiego stopnia władz administracyjnych.

Nie ma co mówić, zmiana jest ogromna, zupełna. Nie dość, że przewraca cały dzisiejszy podział administracyjny kraju, ale co więcej sięga głęboko w samą naturę i wzajemny stosunek władz, kiedy powstały z wyborów wydział obwodowy poddaje pod przewodnictwo starosty, urzędnika państwa. Ztąd te strachy i te narzekania, że wniosek niszczy i tępi ostatnie resztki i ślady naszej autonomii i skrępowaną oddaje ją w ręce rządu na jego łaskę i niełaskę. Ztąd nawet w łonie sejmowej komisji obawa taka, że dla tego postanowienia głównie, większość jej, gotowa przyjąć i okręgi gminne i podział na obwody i połączenie Wydziału krajowego z namiestnictwem, na przyjęcie całości wniosku p. Dunajewskiego zgodzić się nie mogła. Gdyby tak było, byłby to istotnie wielki grzech przeciw naszej wolności, pomyślności i narodowej sile. Ale czy tak jest? Spróbujemy odpowiedzieć na niektóre zarzuty czynione przeciw tej części wniosku.

Najmniej odzywa się ich przeciw zniesieniu powiatów a przywróceniu dawnych obwodów. Znać pamiętamy jeszcze i rozumiemy dobrze, zkad się wzięła ta wielka liczba powia-

tów i do czego służyć miała. Był przed laty wyniesiony do steru władzy następstwami rewolucyi roku 1848 Rabagas na duże rozmiary, od Rabagasa komedyi o tyle większy, o ile Austria większą jest od księstwa Monaco, który miał tę zręczność i szczęście, że się przy władzy utrzymał, a jak każdy rewolucjonista, który do niej doszedł, nie cierpiał wolności politycznej, jak każdy dawnego etatu urzędnik w Austrii nie cierpiał wolności narodowej. Namiętność biurokratyczna i germańska kazała mu dążyć do unifikacyi Austrii, do rozłożenia i stopienia składających ją różnych krajów i ludów; namiętność rewolucyjna, poparta przykładami z historyi wziętemi, kazała mu centralizować. Rewolucya francuska podzieliła kraj na departamenty i tym sposobem w krótkim czasie zatarła dawną prowincjonalną odrębność Burgundyi, Normandyi lub Delfinatu; czemużby syn rewolucyi wiedeńskiej, zostawszy ojcem reakcyi, nie mógł tym samym sposobem dokazać tej samej sztuki, i rozbiwszy całe terytoryum państwa na jak najmniejsze administracyjne okręgi, zatrzeć nieprzyjemne narodowe wspomnienia zachcenia i sumienia czy Czech, czy Galicyi, czy chociażby Węgier. Ta piękna teoria zrodziła *Bezirki*, które jak u nas miały jeszcze tę wielką zaletę, że mogły dobrze bo zbliska pilnować nielicznych źle myślących *Schlachtzitzen*, a energicznie i łatwo, bo zbliska i często włóścian na na nich podzegać. Teoria, która krajom i państwu przysporzyła niezmiernie podatków i wydatków, pierwszym przyniosła zapewne wiele szkody, ale drugiemu nie pomogła do osiągnięcia zamierzonego celu. Oto powód i cel naszych stusiedmudziesiąt *Bezirków*, które zaraz przy pierwszej sposobności ściągnęliśmy do skromniejszej liczby siedmdziesięciu czterech. Tych, które ubyły, z pewnością żałować nie mamy powodu; ale pytanie, czy tych, które zostały, nie jest jeszcze za wiele?

Odpowiada na to wnioskodawca wsparty na nauce i na doświadczeniu, że władza administracyjna powinna administrować na prawdę, we wszystkich kierunkach, że zaś nasze starostwa powiatowe zrobić tego nie mogą właśnie dlatego, że są liczne, a przez to, ze względów oszczędności; nie są opatrzone we wszystkie potrzebne organa, w urzędników, którym i czas i specyalne wykształcenie pozwalałyby zajmować się czynnie i stale sprawami czy szkół, czy komunikacyi, czy policyi le-

karskiej itp. Czas i możność fizyczna dają im ledwie załatwiać sprawy ściśle rządowe, rekrutacyjne, podatkowe itd., a to co należy do dobrego stanu powiatu, musi bez ich winy nawet iść w zaniedbanie. Gdyby tych powiatów było mniej, to każdy z nich byłby silniejszym, mógłby być zaopatrzony w organa potrzebne mu do pełnienia czynności w całym zakresie, urzędników administracyjnych, skarbowych, szkolnych, technicznych i sanitarnych. Z tych powodów zaleca wniosek przywrócenie dawnych obwodów, które mają i to jeszcze za sobą, że trwały długo i że ludność nasza tak się do nich przyzwyczaiła, że do dziś dnia znamy i pamiętamy je lepiej od nowych powiatów. Mieszkamy w Jasielskiem naprzykład, choć nasz powiat będzie w Ropczycach lub nawet w Rzeszowie, jesteśmy z Tarnopolskiego lub Brzeżańskiego, choć ten obwód dawno rozpadł się na kilka mniejszych powiatów. Za dawnym więc obwodem przemawia i ten wzgląd jeszcze, że autonomiczna rada i wydział w większej liczbie powołanych łatwiej znajdują także i większą liczbę zdolniejszych; że ci wydziałowi zwłaszcza, podług wniosku na miejscu w środkowym punkcie obwodu zamieszkali i płatni, będą urzędnikami kraju zmuszonymi niejako do czynności, a nie jak dziś dyletantami, z których jedni prowadzą swoje sprawy z wielkiem poświęceniem i gorliwością, a drudzy z łaski, jak i kiedy im się podoba. Źle wyszłyby na tej zmianie tylko te miasteczka, które dziś są powiatowemi. Nie jest to rzecz mała, upadek znaczny a nieunikniony pięciudziesiąt i czterech miasteczek, które dziś jako siedziby urzędów powiatowych ściągają do siebie ludność mnóstwem interesów, są środkowemi punktami okolic, zarabiają, podnoszą, cywilizują się widocznie, a tej korzyści pozbawione, przestać będą musiały na tej jedynie słabej sile życia, jaką mają same w sobie. Ale nie uważając wcale tych miasteczek za macoszynę dzieci, nie można przecież poświęcać ich dobru dobra całego kraju, a nadto spodziewać nie można napewno, że jeżeli na takiej zmianie nie mogą nie stracić, to znowu nie popadną w ten stan ospałości, ekonomicznego i umysłowego letargu, w jakim wegetowały przed utworzeniem powiatów. Środek administracyjny przeniósłby się prawda na inne miejsce, ale zostałyby im zawsze sądy, szkoły, urzędy podatkowe, nie rzadko urzędy techniczne. Przeszło lat kilka od czasu jak sto miasteczek mu-

siało się poddać tej bolesnej dla nich amputacji; jednak, czy bardzo od tego czasu podupadły? czy znać na nich ubytek sił i życia? Te które znamy przynajmniej wydają nam się dziś w takim samym stanie, w jakim były kiedy miały w sobie urząd powiatowy. Te, które w przyszłości musiałyby się go wyrzec, ludniejsze, silniejsze pod każdym względem, naturalne centra swoich okolic, bo takie tylko wybierano starannie na siedziby urzędów przy ostatnim administracyjnym podziale kraju, uczułyby tę zmianę mniej od tych mniejszych i słabszych, które przecież wytrzymają ją lepiej, niż się można było spodziewać.

Taki więc powrót do dawnego podziału na obwody obiecuje korzyści wiele i zdaje się mało mieć w kraju nieprzyjaciół. Przynajmniej rzadko się zdarzy słyszeć lub czytać gwałtowne, namiętne przeciw niemu zarzuty. Inaczej ma się rzecz z drugą kardynalną zmianą, zawartą w tej części wniosku, ze stosunkiem władz autonomicznych do rządowych w powiecie.

Narzekać przez sto lat na urzędników państwa, przypisywać im, i słusznie, wielką część złego, jakie kraj nasz trapiło, skarżyć się na niewolę i wykluczenie z rządu wszystkiego co polskie, potem, po stu latach dostać wreszcie instytucje administracyjne, wolne bo z wyborów powstałe, odrębne, niezależne, bez jednego cesarskiego urzędnika, a dostawszy je, wołać że są złe, to rzecz zepsutych dzieci, które same nie wiedzą czego chcą; mówić, że bez obecności i pomocy tego cesarskiego urzędnika one sobie rady nie dadzą, to przyznawać się do słabości i niedołążności niepojętej, haniebnej i większej niż jest w istocie; a chcieć je zmienić tak, iżby z cesarskim urzędem złączone, poddane były pod jego przewodnictwo, to jeszcze gorzej, bo to wypierać się wszystkiego, co się przez te lat sto mówiło i robiło, rzekać się dobrowolnie prawa rządzenia sobą, składać w ręce państwa nie tylko swoją odrębność, sposób nabycia i ćwiczenia swoich sił, ale abdykować także ze swoich narodowych praw i aspiracji, poddać się dobrowolnie pod cudze zwierzchnictwo, wyznać, że się jest do życia i rządu niezdolnym i prosić o wiekuistą nad sobą kuratelę, to złożyć za jednym razem i broń i koronę.

To mówią przeciwnicy wniosku, a przyznać nam zechcą, że ich rozumowania i zarzuty streściliśmy sumiennie, nie uj-

mując nic z ich wagi w treści ani z ich energii w formie. Powtórzmy jeszcze za nimi i zgodnie z nimi, że uczynek taki jeżeli jest, jest ciężkim grzechem przeciw sprawie narodowej, gotowiśmy nawet pójść dalej niż wszyscy, wymówić słowo dotąd nie wymówione i oznaczyć go mianem zdrady kraju. Tylko musimy pierwiej rozważyć, czy ten uczynek jest.

A więc naprzód czy nasz dzisiejszy udział w administracyjnym zarządzie kraju jest rzeczywistym albo nie? Zupełnie rzeczywistości jego zaprzeczyć nie można, skoro Wydział krajowy zarządza drogami, szpitalami i niektórymi innemi rzeczami jeszcze, skoro wydziały powiatowe zarządzają tak samo w swoim zakresie, w powiecie. Ale jaki wpływ, jakie znaczenie, pytamy, ma ta nasza autonomiczna administracja wobec drugiej administracji rządowej? Czy starosta powiatowy jest obowiązany wykonać każdą uchwałę, jaką rada powiatowa w przyznanym sobie zakresie poweźmie? Czy w tym zakresie jest jej podwładnym organem, obowiązany do posłuszeństwa i wykonywania jej uchwał i poleceń? Czy zachodzi stosunek podobny wyżej, między Wydziałem krajowym a Namiestnikiem? Podobno nie. A jeżeli nie, to cóż ztąd wynika? Oto, że są to dwie władze równoległe: jedna z nich jest zależną od drugiej, bo sama bez niej nic w swoim zakresie wykonać nie może. Ale tamta nie jest od niej nawzajem i równo zależną. Czyli że nasze władze krajowe dla władz rządowych władzami nie są. Że zaś w tych rzeczach rozstrzygającym jest pojmowanie zobowiązanie i stanowisko tego kto mocniejszy, więc w ostatecznej konkluzji pokazuje się, iż ustawa dała naszym instytucjom autonomicznym pozory władzy, ale nie dała im ich treści. Rzeczywistość więc naszego udziału w administracyjnym zarządzie kraju jest naprzód bardzo ograniczoną, jest bardzo zależną, jest nadewszystko bardzo niepewną.

Że jest ograniczoną i zależną, to przyznać musi każdy radca powiatowy, znający z doświadczenia, jak jego rada pozbawiona wszelkiej egzekutywy, we wszystkim musi odnosić się do starostwa i na nie się zdawać. Co zaś do niepewności, dziś jesteśmy w dobrem porozumieniu z rządem, mamy niewątpliwie dobrych, dobrze myślących i chcących namiestników i starostów, a sam rząd państwa w Wiedniu, jeżeli nam nie bardzo sprzyja, to nas drażnić, gniewać i gnębić nie potrze-

buje i nie chce. Ale wyobraźmy sobie, że ten stan rzeczy się zmienia, że łatwa zawsze i najłatwiejsza w świecie zmiana osób stawia na czele rządu krajowego jakiego nowego barona Kriega lub hrabiego Mensdorffa, na czele powiatów nowych nie już Breindłów, ale tylko Summerów, Merklów, Wolfarthów, i że z Wiednia jakiś nowy Bach lub Schmerling daje im poufny *Wink*, iżby jak niegdyś zachowali się nieprzyjaźnie względem wszystkiego co polskie. Cóż wtedy, sądzimy, stałoby się z naszą autonomią? Czy okazałaby się rzeczywistą? o tyle zapewne, że rady powiatowe mogłyby dalej radzić jak dziś radzą, że Wydział krajowy zasiadałby zawsze. Ale czy jedno i drugi zdołałyby robić nie więcej ale tyle dobrego, ile dziś robią? czy mogłyby jakiemu zamierzonemu złemu przeszkodzić? Ani jedno, ani drugie. Jedno nie, bo wszelkie wykonanie ich uchwał poruczone jest prawem organom rządowym i zależy od ich dobrej woli; a drugie także nie, bo te organa rządowe są od naszych władz autonomicznych na wszystkich ich stopniach zupełnie niezawisłe, mogą robić co im się podobą, o nie się nie troszcząc, i jeżeli nie chcą, słuchać ich wcale nie potrzebują. Przeciwnicy wniosku mówią, że na ten ostatni wypadek, który do niemożliwości nie należy, dopiero bylibyśmy zupełnie bez broni i bez sposobu, gdybyśmy autonomiczną odrębność poświęcając poddali wydziały powiatowe pod starostwa. Jak cała machina administracyjna będzie w ręku rządu, jedno pociśnienie sprężyny wystarczy, żeby ją przeciw nam obrócić i resztki wolności i samorządu zatracić. Na to odpowiadamy, że na gwałt i przemoc rady nie ma i z tą czy inną organizacją administracyjną mieć jej nie będziemy, dopóki nie będziemy mocniejsi, bo na przemoc jest tylko jeden środek na świecie, moc. Ale taka zmiana frontu będzie nierównie trudniejszą do wykonania, kiedy urzędy cesarskie będą miały w sobie żywioł kontrolujący, protestujący w potrzebie i opatrzone atrybucjami, potrzebnymi do wstrzymania ich w szkodliwym działaniu aniżeli dziś, kiedy na czynności rządu nie mają żadnego wpływu, nie mogą im w niczem się oprzeć ani nie polecić.

Oto rzeczywistość i rzetelność naszego krajowego własnego zarządu, niepewna zaiste i mniemana. Na jego zasadniczych ustawach znać, że był dany z potrzeby, jako koncesya,

ale jako koncesya, którą się robi z potrzeby i z musu: „Ustępuję bo muszę, ale ustępuję tak, iżbym naprawdę prawie wszystko w rękę zatrzymał, a jak się pora zdarzy, wszystko napowrót mógł w rękę uchwycić.“ To uczucie, ta nieufność i niechęć rządu od wieków absolutnego do wolności i do udziału poddanych w rządzie, i podejrzliwość rządu niemieckiego względem Polaków z jednej strony, a z drugiej teoria i doktryna, składały się na napisanie naszych ustaw gminnych, powiatowych i naszych statutów krajowych. Liberalna teoria wprowadziła do władz administracyjnych a nawet prawodawczych za wiele nieoświeconych żywiołów, germańska i centralistyczna namiętność odmówiła władzom administracyjnym egzekutywy, prawodawczym słusznego zakresu, a siebie i swój interes zachowała w zupełnej od jednych i drugich niezależności.

Nie tak robi, kto organizację kraju głęboko pojmuje i chce ją słusznie urządzić. Taki uważa udział rządzonych w rządzie nie za wymuszoną koncesyę, którą się daje jak natrętnemu żebrakowi jałmużnę, ale za swoją własną potrzebę i swoje dobro: taki nie poprzestaje na przyznaniu pewnego wymiaru praw, ale przypuszcza też w pewnej mierze do władzy, taki nie o tem myśli jakby swoją władzę od wszelkiej zależności zabezpieczył, ale zależność tę przyjmuje a o to się stara, żeby w tej wzajemnej zależności była na obie strony słusność i obustronna zgoda, taki nie dzieli rzeczy z natury i z konieczności jednej, Rządu, ale w swoim rządzie daje miejsce rządzonym.

I oto czego nie ma w naszej autonomii, i oto co w nią chce wprowadzić wniosek, o którym mówimy.

Poddanie Wydziału powiatowego pod przewodnictwo starosty pozbawia nas, jak mówimy, odrębności i niezależności naszej władzy i z samoistnego administracyjnego ciała robi ten Wydział jakąś przyboczną Radą dodaną starości. Najczęściej odzywają się z tego powodu wstrętne wspomnienia i nawet nazwa tak zwanych w swoim czasie *Beirathów*. Zapewne radą przyboczną byłby Wydział obwodowy i Rada obwodowa, takimi są z natury rzeczy wszystkie ciała kontrolujące. Ale wspomnienie rzeczy złej nie powinno nas odrażać od dobrej i zupełnie innej. Jakimże to *Beirathem* bowiem byłaby ta nowa instytucja, czy podobnym do tego, którego pamięć tak słu-

sznie budzi w nas lekceważenie, odrazę i pogardę? Bynajmniej. Znoszą się prawda pewne pozory odrębności i niezależności, skoro prezes powiatowy jużby tylko posiedzeniom Rady przewodniczył, a stanowisko jego działające przeszłoby na cesarskiego urzędnika. Ale to znosząc, znosi wniosek także tę rzecz, która całą naszą autonomię robi pozorną i marną, rozszczepienie rządu, równoległość władz i niezależność władz rządowych od naszych. Przez tę jedną zmianę, przez to pozorne poświęcenie odrębności i mniemanej udzielności i samodzielności Rad i Wydziałów powiatowych, wniosek wprowadza nas w sam środek rządu, czyni nas jego integralną, składową częścią. Nie w tem znaczeniu jakoby członkowie Wydziału stawali się obwodowymi komisarzami, ale że Wydział staje się wykonawczym, a jego prezes, starosta staje się jego organem obowiązany uchwały jego we właściwym zakresie wypełniać. Zarząd autonomiczny wychodzi ze sfery swojej na pozór tylko samoistnej i niezależnej działalności, a wchodzi w sferę działalności rzeczywistszej i praktycznej. Nie wcielony w starostwo, staje się prawda zależnym od starosty, ale też i jego czyni zależnym od siebie. Rada powiatowa na pozór niby w udzielności swojej obcięta, wywiera w swoim zakresie tylko, ale wywiera istotnie kontrolę nad organem rządowym i wykonawczym. Czyli: władze autonomiczne powiatowe nie stoją na boku odo sobnione, odłączone od władz wykonawczych i tem odłączeniem paraliżowane, ale przybliżone do władz rządowych stają się w swojej mierze rządzącymi na prawdę.

I gdzież tu uszczerbek lub zgola utrata własnego zarządu? gdzie zrzeczenie się narodowej myśli lub narodowego dobra i znaczenia? Co więcej warto, czy stać na boku i cieszyć się pozorami udzielności i władzy, której nikt wykonywać nie może i w którą nikt nie wierzy, albo poświęcając te pozory udanej niezależności należeć na prawdę do władzy rzeczywistej? Teorya polityczna równie jak interes polski mówią wyraźnie, że lepsze jest to ostatnie. Pierwsza mówi, że udział rządzonych w rządzie, że wolność wtedy dopiero są prawdziwe, kiedy reprezentanci rządzonych kontrolować mogą organa rządzące we wszystkich ich czynnościach i na wszystkich stopniach ich hierarchii. Interes kraju i interes narodu mówi, że wtedy dopiero możemy być pewni administracyi dobrej i w dobrym

duchu prowadzonej, kiedy się staniemy jej częścią, kiedy będziemy mogli na nią wpływać, kiedy nie tylko my od niej, ale i ona od nas będzie zależną. Wejść do rządu, i to nie jako indywidua, jako urzędnicy Polacy, ale jako ludność polska przez swoich reprezentantów, na mocy prawa objąć część władzy, może małą ale prawdziwą, mieć do pewnego stopnia władzę nad organami rządowymi, to dopiero zabezpieczenie polskich sił i polskiego dobra w tym kraju. Nie mówimy już o tem jak błędem w pojęciu i jak w praktyce zgubnem jest dzielenie spraw administracyjnych i dzielenie władzy: autorowie *Zarysu*; i później pan Dunajewski, kiedy swój wniosek objaśniał i uzasadniał, dostatecznie powiedzieli, że i dla czego władza powinna być jedną. My dodamy tu tylko, że w myśl wniosku ta władza, która ma być jedną, ma być zarazem i polską, i dla tego jedną być ma, żeby się na wskrós i na zawsze polską stała. Bo nie łudźmy się: dotychczas zarządzamy niektórymi sprawami, ale nie jesteśmy ani rządem, ani nawet w rządzie, ani nawet przy rządzie, wpływu na rząd nie mamy żadnego. Jesteśmy zamknięci jak dzieci w swoim dzieciennym ogródku, gdzie wolno im kopać i grabić i sadzić, ale do ogrodu, po którym państwo chodzą, swobodnie wejść im nie wolno. Otóż chodzi o to, by zwalić płot między ogródkiem a ogrodem, żeby i w ogrodzie także wolno nam było chodzić, kopać, sadzić, siać, pleć i zbierać.

W blizkiej przyszłości zapewne spodziewać się tego nie można. „Dzisiejszy rząd“ — powtórzmy tu to, co nasze piśmo mówiło w chwili, kiedy wniosek był stawianym („Przegląd“, kwiecień 1876 str. 158) — „wniosku, który dąży do „wzmocnienia rządu i administracji, który z tak zwanej autonomii dużo poświęca i na rodzaj spólrządu czynników autonomicznych z rządowymi ją zamienia, nie uczyni podstawą przedłożenia swego. On woli samorząd, który za pociśnięciem sprężyny „rządowej stanie się bezwładnym, niż dopuszczenie do władzy „i rządu tych, którymi chce rządzić bez bliskiej, kontroli. Tyle „tam siły na obwodzie w tym wniosku, że nie zechcą go ci „którzy lubią tylko siłę w centrum. I tu właśnie siła, tu żywotność tego wniosku, tu prawdziwa przyjemność, że z galicyjskiego sejmu pochodzi. Wśród Polaków zjawia się projekt „urządzenia kraju, który chce rządu silniejszego niż dotąd,

„a do funkcji administracyjnych zgłasza się z pomocą żywiołów krajowych, autonomicznych. Projekt też ten przyjęty przez większość sejnu, przez kraj, popierany przez delegacyę w Wiedniu jako godny polecenia dla krajów austriackich, mógłby niezmiernie przyczynić się do podniesienia stanowiska Polaków: a skuteczny do przebudowy dzisiejszego administracyjnego budynku złożonego ze starej biurokracji i nieporadnego w rządzeniu liberalizmu, mógłby wywołać z czasem spokojne normalne przetworzenie sięgające w polityczną sferę“.

Stawiany już dawniej a dziś pod obrady Rady Państwa wzięty wniosek Göllericha dowodzi, że nie w Galicyi tylko czują ludzie błędy dzisiejszej organizacyi władz administracyjnych i domagają się zmiany, a przez to służy za poparcie i obronę wnioskowi pana Dunajewskiego i przed rządem i przed tymi ze swoich, którzy nań patrzą niechętnie. I to niemniej powinno by dodać mu powagi i zaufania, że nie jest w teorii tylko wymyślonym, ale wypróbowanym w praktyce, opiera się bowiem na urządzeniach gminnych i powiatowych belgijskich i pruskich; te zaś kraje mają sławę najlepszej w Europie administracyi. Gdyby sejm ostatni był wniosek ten uchwalił, niezawodnie dziś byłby on odegrał znaczną rolę przy rozprawach nad wnioskiem Göllericha, i dopomógł wiele do poczęcia na dobrym duchu i zasadach dzieła Reformy władz administracyjnych w Austrii i nasze w niej stanowisko znaczeniem swoim wyżej podniósł. Ale nie o to głównie tu chodzi. Nie o możliwy jego wpływ na uregulowanie stosunków austriackich, choćbyśmy tego lekko nie ważyli, lecz o skutek, jaki on wyrzucić może na stosunki nasze, o to, iżby po raz pierwszy od rozbioru Polacy w tej części kraju dostali się na prawdę do rządu, nie jako indywidua, ale jako naród. To jest w naszych oczach główna zaleta wniosku, i taka, że dla niej samej już byśmy za nim obstawać musieli, gdzie, jak i kiedy tylko byśmy mogli.

Dodajmy do tego, że Rady obwodowe prawdziwie działające i na przekonanie ludu wiejskiego silnie wpłyną, a zatem do harmonii między nami znacznie przyczynić się mogą i nas samych do działania przyuczą i wprawią. O innych czysto administracyjnych korzyściach mówić nie chcemy, bo są, zda nam

się, zbyt widoczne i jasne. Więc powtórzywszy jeszcze raz, że na tę część wniosku godzimy się zupełnie, z całego serca i z głębi polskiego sumienia i przekonania, zapytamy tylko, czy dosyć jest, aby Rada obwodowa zbierała się raz na rok tylko? a Wydział jej żeby składał się z czterech tylko członków? czy ci czterej w dużym obwodzie podołają wszystkim swoim czynnościom i obowiązkom? Oto jedyne dwa szczegóły, dwa drobiazgi, względem których mamy niejakię wątpliwość czy są dobrze wymyślane i praktyczne czy nie.

Zasada ta sama; zniesienie dwoistości władz, doprowadzona do szczytu, sprowadza zmiany, których słusność i potrzebę przyznać musi kto się zgodził na zmiany projektowane w dwóch pierwszych szczeblach administracyi, które jednak w praktyce i wyobrazić sobie i wykonać trudniej. Rząd krajowy, zastępujący dzisiejsze Namiestnictwo, ma się składać z Namiestnika, Rady Namiestniczej i z sześciu Wydziałów rządowych. Z tych sześciu pierwszy (Wydział dla spraw prawodawczych, administracyjnych, spornych i fundacyj krajowych), miałby zastępować nasz dzisiejszy Wydział krajowy. Powstawałby on w ten sposób, że na każde w nim miejsce Sejm proponowałby trzech kandydatów, a z tych trzech cesarz mianowałby jednego. W tem oczywiście ukrócenie autonomii, zrzeczenie się nieograniczonego prawa wybierania Wydziału krajowego. Za to wszakże jest wynagrodzenie w atrybucyach tego Wydziału. Każdy z jego członków zasiada w jednym z Wydziałów rządowych z głosem stanowczym, i ma prawo zawiesić uchwałę tego Wydziału i poddać ją pod orzeczenie Rady Namiestniczej (złożonej z naczelników wszystkich sześciu Wydziałów).

Czy jest godnie, czy jest roztropnie i czy jest warto zrękać się instytucyi tak wysokiej jak Wydział krajowy na to, by przyjąć za nią taką miarę udziału w rządzie?

Pozory są nieprzyjemne, wyznajemy, tak że sami potrzebowaliśmy dużo czasu na to, by się do tej myśli przyzwyczaić. Wszelako, z całym uszanowaniem dla Wydziału krajowego i z przywiązaniem szczerem, jakie dla instytucyi tej wyrobili zasiadający w niej ludzie, musimy powiedzieć, że zmiana ta, co ujmuje zewnętrznej Wydziału krajowego powadze, to mu oddaje w rzeczywistym wpływie i władzy. Wydział staje się

przez to władzą kontrolującą wszystkie czynności rządowe we wszystkich departamentach, tak dalece, że nawet uchwały tych departamentów może powstrzymać. Swoje zaś dzisiejsze czynności sprawuje sam, wprawdzie nie jako osobny i zwierzchny, ale jako pierwszy z Wydziałów rządowych. Ale jego działanie w zakresie dzisiejszym może być oczywiście skuteczniejszem przez to, że on będzie częścią władzy wykonawczej; ta zaś wspomniana wyżej kontrola nad wszystkimi postanowieniami i krokami rządu samego w sprawach skarbu, administracyi i policyi bezpieczeństwa, wyznań, oświaty i policyi lekarskiej, gospodarstwa krajowego i budowli publicznych, daje mu taki zakres i taką rzeczywistość znaczenia, taką moc niedopuszczenia złego a skutecznego działania na korzyść kraju, jakiej on dziś nie ma. Prostu Wydział krajowy, czyli Sejm, czyli kraj, wejdzie tym sposobem do rządu w jego najwyższej instancyi, czyli samorząd stanie się prawdą od góry do dołu.

Że skoro ci reprezentanci kraju mają należeć do rządu, więc rząd na wybór i mianowanie ich ma sobie przyznać pewną miarę wpływu, tego wymaga już sama sprawiedliwość; i interes równie jak prawo stron obu wydaje nam się dostatecznie zabezpieczonem, skoro Sejm wybiera, a cesarz z pomiędzy wybranych mianuje.

Najwięcej może zarzutów spada na dwa ostatnie punkta wniosku, te które mówią o odpowiedzialności Namiestnika. Zarzuty teoretyczne naprzód: Namiestnik jest urzędnikiem podwładnym, odbiera rozkazy od ministra, słuchać go musi, odpowiedzialnym zaś może i powinien być tylko ten zwierzchnik, który rozkazuje i poleca. Następnie, rozdział odpowiedzialności? Namiestnik ma być odpowiedzialnym Sejmowi krajowemu „za wykonanie ustaw krajowych, a mianowicie za ścisłe przestrzeganie budżetu krajowego“. Co do tego, może on ściśle pilnować się budżetu i nawet wykonywać ustawy krajowe, a w zakresie ogólnych ustaw państwa być krajowi nieprzyjaczny i działać na jego szkodę ustaw krajowych nie przekraczając i nie naruszając budżetu. Więc za jedno będzie odpowiadał a za drugie, i może gorsze, nie? A czy da się nawet dokładnie oznaczyć granica między odpowiedzialnością namiestnika a jego nieodpowiedzialnością? W każdej odpowiedzialności urzędnika podwładnego, choćby najwyższego w prowincyi, jest za-

wsze wrodzona nielogiczność, i oprócz ministeryalnej trudno jest innej zrozumieć. To zaś ograniczenie czy przepołowienie odpowiedzialności namiestnika nie usuwa sprzeczności tkwiącej w naturze rzeczy.

Oprócz tych dwóch zarzutów zasadniczych są jeszcze dwa inne praktycznej natury. Pierwszy, że rząd nigdy na odpowiedzialność Namiestnika nie pozwoli i Reforma cała o ten jeden punkt się rozbije. Drugi, że sobie samym dość ufać nie możemy, iż nie nadużyjemy nigdy tego prawa pociągania namiestnika do odpowiedzialności.

Co się tyczy sankcyi, to tej nie ten jeden punkt wniosku ale wiele innych w dzisiejszym stanie rzeczy przy dzisiejszem ministeryum spodziewać się nie może, i wniosek cały nie stanie się prawem aż przy szczęśliwszych okolicznościach. Robi się zaś dla tego, żeby przy nadejściu tych okoliczności był gotów, żeby, może, powtarzamy, przyśpieszył je lub wywołał. Wtedy zaś i to rozporządzenie mogłoby znaleźć łaskę u ministrów prawdziwych ludzi stanu patrzących na państwo więcej niż na poszczególne interesa, kwestye i stronnictwa.

Ale czy my sami nie zrobilibyśmy złego użytku z tego prawa? Z naszym usposobieniem drażliwym, z naszą łatwością uprzedzania się i pochopnością do potępiania łada rzecz mała mogłaby wystarczyć do oskarżenia namiestnika, łada jawny lub ukryty nieprzyjaciel jego mógłby oskarżenie takie wywołać. Nie możemy zaprzeczyć, że nadużycie takie zdarzyłoby się mogło, i że dopuścić do niego nie należy.

Co do przytoczonych powyżej dwóch pytań zasadniczych, oto poważne bardzo argumenta, któremi usuwają je bezwarunkowi zwolennicy tej części projektu. Odpowiedzialność Namiestnika jest koniecznem dopełnieniem tego udziału w Rządzie, tego dozoru nad czynościami Rządu, za który kraj zrzekłby się części swojej autonomii. Bez tej możności wywierania czynnej i skutecznej kontroli na górze, nie ma istoty rzeczy, i system cały w praktyce stałby się złudzeniem i nieprawdą. Niechodzi zaś o to by Namiestników prześladować i za łada pozorem wlec ich przed kratki trybunału. Cała historia rządów parlamentarnych w Europie dowodzi, że ciała reprezentacyjne, rzadko, roztropnie, i tylko w ostateczności robią użytek ze swego prawa oskarżenia Ministrów, ale dlatego

właśnie że to prawo mają, dlatego tak rzadko potrzebują je wykonywać. W praktyce rzadko używane, jest ono moralną rękojmnią bardzo skuteczną przeciw nadużyciom władzy. Prawda że zupełnie logiczną i słuszną jest tylko odpowiedzialność Ministrów, i gdyby Rząd w swoim czasie był Galicyi przyznał kanclerza lub osobnego dla spraw jej ministra, niktby dziś o odpowiedzialności Namiestnika nie myślał. Że jednak ani o tem, ani o odpowiedzialności Ministrów Państwa przed sejmami krajowemi mowy być nie może, przeto w odpowiedzialności Namiestnika szuka się choć częściowej na to rady, szuka się pośredniej wprawdzie, częściowej, i tylko moralnej, ale przecież nie zupełnie bezskutecznej odpowiedzialności Ministrów za prowadzenie spraw krajowych. Przez odpowiedzialność Namiestnika bowiem rząd centralny byłby rzeczywiście trzymany na wodzy a to dwoma sposobami. Pierwszy jest ten, że nie łatwo znalazłby na tę posadę człowieka gotowego przekraczać i gwałcić ustawy krajowe, a drugi, że gdyby takiego znalazł, toby go długo na czele rządu krajowego utrzymać nie zdołał.

Czy zaś ograniczenie odpowiedzialności do spraw czysto krajowych da się w prawie ściśle określić, a w praktyce ściśle wykonać? Nie musi to być rzecz tak niemożliwa i pomysł tak niewykonalny, skoro zjawia się nie u nas tylko, ale i w innych krajach monarchii, i w głowach ludzi z praktyką rządzenia obeznanych bo sami zarządzili, żeby przytoczyć tylko hr. Hohenwarta, jedyne go w Austrii od dawnych czasów ministra, w którym są zdolności i rozmiary prawdziwego męża stanu.

Uznajemy zupełnie powagę i argumentów i ludzi, wszelako powtórzyć musimy raz jeszcze, że w całym projekcie ten punkt budzi w nas najwięcej wątpliwości, i on jeden ze wszystkich z naszym widzeniem rzeczy się nie zgadza.

Pojmujemy potrzebę odpowiedzialności rządu krajowego przed sejmem, i odpowiedzialności tej chcemy. Ale nie możemy pragnąć, żeby ona przywiązana była do osoby Namiestnika. Nie dla tego, jakobyśmy bardzo lękać się mieli nadużyć. Możliwe one są, ale nie sądzimy, iżby u nas zdarzać się miały częściej niż gdzieindziej. Ale są względy ważniejsze. Jeżeli chcemy, żeby projekt stał się kiedyś ustawą, to powinniśmy usunąć z niego to wszystko, co z pewnością sankcyonowaniu jego przeszkodzi. Nietylko zaś Rząd dzisiejszy, ale żaden,

nam najprzychylniejszy nawet, na to się nie zgodzi, choćby dla tego tylko powodu, że Namiestnik reprezentuje w kraju osobę Cesarza, i dla tego samego podług wszystkich pojęć konstytucyjnych odpowiedzialnym być nie może. Powtórę odpowiedzialność jego byłaby takim ukróceniem i osłabieniem naczelnej władzy, jakiego ona nie powinna nawet dopuścić, a my nie powinniśmy żądać. Jeżeli zaś odpowiedzialność jest potrzebna i konieczna, a Namiestnik dźwigać jej nie może i nie powinien, więc gdzież ją umieścić i jak ją w ustawę i w życie wprowadzić? Sposób wydaje nam się wskazanym przez sam wniosek. Wszakżeż jest ten wydział zastępujący dzisiejszy krajowy, którego członkowie zasiadają we wszystkich departamentach Rządu, z obowiązkiem i w celu kontrolowania, nie dopuszczania, iżby Rząd zboczył na złe drogi, przestrzegania, iżby on nie przekraczał ustaw krajowych ani budżetu. Wybór tych wydziałowych będzie oczywiście wyrazem sejmowej większości: będzie więc analogia między nimi, a Ministrami branymi z parlamentarnych większości. Byłoby zatem zgodnem z pojęciami konstytucyjnymi, i silnym nawet środkiem do utworzenia prawdziwego konstytucyjnego życia w kraju, gdyby odpowiedzialnym był ten Wydział, i jego poszczególni członkowie. Przy nich Namiestnik musiałby rządzić w duchu i myśli sejmowej większości, bo w razie przeciwnym oni samem podaniem się do dymisji robią stanowisko jego niemożliwem. Gdyby zaś oni sami z Namiestnikiem razem działali niezgodnie z zamiarami sejmu, wtedy votum nieufności zmusiłoby ich do dymisji, jego do zmiany w dalszem postępowaniu.

Zdaje nam się, że ta forma odpowiedzialności jest i w teorii słuszniejsza, i dla Rządu łatwiejsza do przyjęcia, dla sejmu dostateczna.

Naszem zadaniem ten punkt wniosku potrzebuje zmiany, nie tylko ze względów praktycznych, ale sam w sobie. Przecież, i to jest naszą konkluzją, kiedy się zdarza pomysł jak ten, pomysł całkowitej reorganizacji kraju, który w większości swoich zasad i postanowień jest dla kraju dobry, a jest tak wielki i trudny, że rychło ustawą stać się nie może, to ludzie których przekonaniom on odpowiada, choćby w jakim szczególe lub nawet w jakiej zasadzie pisać się na niego nie mogli, powinni dziś przyjąć go jak jest, w całości, obstawać przy

nim i popierać go wszelkimi siłami, na to, by przestał tułać się po świecie w broszurach, artykułach i rozmowach, a stał się przedmiotem prawodawczych rozpraw i czynności w sejmie. Wtedy i tam będzie czas zmieniać w nim i poprawiać co się komu nie jasnym lub niedoskonałym wydaje. Na dziś wystarcza wątpliwość, jaką kto ma ogólnie wypowiedzieć, a należy pomimo niej popierać całość usilnie i stale.

St. Tarnowski.

Przegląd polityczny.

Kraków 30 listopada.

Tak ważne wypadki polityczne i w takiej mnogości zaszły w ciągu listopada, że chcąc szczegółowo przebieg ich opisać, wypadłoby grubą poświęcić im książkę. Wypadki te, jak i liczne dokumenta, noty dyplomatyczne, mowy monarchów i ministrów, relacye posłów już teraz wiadome, tworzą materiały ogromny. A jednak miesiąc jeden stanowi krótki okres w toku głównej sprawy europejskiej, jaką jest kwestya wschodnia. W niej też wszystkie inne sprawy toną, z jej położenia wszystkie dają się oceniać, a sprawa ta odbija się nawet aż w lokalnych interesach różnych państw i krajów, sięga zarówno najbliższych czasem i położeniem, jak i bardzo odległych.

Z dniem 1 listopada zaczął się właśnie nowy jej okres. Jest to właśnie data dwumiesięcznego zawieszenia broni w dotychczasowej wojnie między Turcyą a Serbią i Czarnogorą, a zarazem data, od której sprawa ta straciła resztę swojej cechy lokalnej, aby wyrósć w ogólną kwestyę europejską. Sprawa ta miała już wprowadzić taki ogólny zakrój od chwili wdania się mocarstw w walkę powstańców Bośni i Hercegowiny z Portą, przez wysłanie do Mostaru agentów konsularnych sześciu mocarstw podpisanych na traktacie paryskim z r. 1856 dla wysłuchania i zbadania skarg powstańców przeciw rządowi tureckiemu. Interwencya ta pozbawiła już Portę niepodległości, przyznanej jej w pomienionym traktacie, który wprowadził Portę do tak zwanego „koncertu“ europejskiego i dał jej stanowisko równorzędne z państwami chrześcijańskimi. Przywileju tego pozbawioną została już Porta przez ustanowienie śledztwa konsularnego mocarstw europejskich.

Od tej chwili powstanie chrześcijan tureckich zaczęło przybierać cechę sprawy ogólnej, a dla nadania jej rozleglejszych rozmiarów i charakteru militarnego, Serbia i Czarnogóra wypowiedziały Turcyi wojnę. Stanowisko pierwszej mało się różniło od stanowiska prowincyj tureckich, które rokosz podniosły, albowiem Serbia była krajem lennym, Porcie podległym, obowiązana nie tylko płacić jej haracz roczny, ale oraz ubiegać się o inwestyturę sułtańską dla swego panującego; Czarnogóra więcej faktycznie niż na mocy traktatów była niezawisłą od Porty, a niezawisłość jej miała za jedyną podstawę, opiekę to Rosyi, to niekiedy Austrii. W wojnie Serbii i Czarnogóry z Turcyą stała się ważnym czynnikiem pośrednia pomoc Rosyi udzielana w pieniądzach, ambulansach, broni i amunicyi, a wreszcie w oddziałach zbrojnych, które wbrew neutralności manifestowanej przez Austrię i Rumunię, dostawały się obu temi drogami do Serbii. Mimo tych posiłków, wojska tureckie przemogły, i w ostatnich dniach października trzeba było nacisku wszystkich mocarstw europejskich, aby skłonić Turcyę do zawieszenia broni w chwili, gdy wojsko tureckie mogło było zalać Serbię. Wprawdzie Porta widziała grożące jej niebezpieczeństwo w razie przedłużenia boju, przewidując możność wypowiedzenia jej wojny przez Rosyę, i dlatego żądała naprzód bezzwłocznego traktowania o pokój, a następnie długiego, bo półrocznego rozejmu, któryby dawał pewne rękojmie ułożenia się co do warunków pokoju; ale gdy Rosya tak długiego rozejmu odmówiła, zmuszoną została Porta przystać na zawieszenie broni od sześciu tygodni do dwóch miesięcy.

Zawieszenie broni rozpoczęło się d. 1 listopada i trwać ma do końca grudnia. Uciszył się więc huk dział a miejsce jego zajmuje niemniej groźna akcja dyplomatyczna, rozsyłając wojownicze depesze i zapowiadając w mowach i odezwach wojnę. Zebrały się wprawdzie komisye konsularne i wojskowe, delegowane ze strony mocarstw w celu naznaczenia linii demarkacyjnej dla stron wojujących, jak niemniej zwołaną została do Konstantynopola konferencya w celu ułożenia warunków pokoju, i zapewne zbierze się w pierwszych dniach grudnia; ale gdy na teatrze wojny lubo bez oznaczenia pasa neutralnego, nie ma obawy ponowienia kroków nieprzyjacielskich, tak znów na polu działania dyplomatycznego nic dotąd nie zapowiada pokoju.

Kampanię dyplomatyczną podjazdowo prowadzoną, otworzył ogniem dział ciężkich lord Beaconsfield mową na uczcie u lorda-majora londyńskiego d. 9 listopada, a odpowiedział na nią nazajutrz car Aleksander z taką siłą, iż odtąd stracono nadzieję pojednania się. Już nie wojna Serbii z Turcyą, którą ma konferencya zakończyć, ale wojna Rosyi z Anglią, nie stojąca na programie, ma rozstrzygnąć o losach półwyspu Bał-

kańskiego. Mowa cara Aleksandra położyła taki nacisk na rękojmię, których Rosya domagać się będzie dla zapewnienia żądanej przez się autonomii Bośni, Hercegowiny i Bułgarii, że o ten skopuł rozbić się mogą wszelkie rokowania pokojowe. Z depesz angielskich dowiedzieliśmy się, że Rosya po prostu oświadczyła, iż nie widzi innych rękojmi prócz okupacy i że chciała się podzielić w tej mierze robotą z Austryą, zostawiając jej Bośnię, a zajmując sama Bułgarię. Widząc jednak, że Austrya nie okazuje się pochopną do tego kroku i że wywołałby on bezzwłocznie wojnę, do której nie wszystko było jeszcze przysposobione, przynajmniej ze względu na rozległe rozłożenie wojsk po całym państwie, chciała czas zyskać i żądanie rękojmi postawić ma na konferencyi. Są one tego rodzaju, iż położyłyby koniec panowaniu tureckiemu w prowincjach słowiańskich i mieszanych; odrzucenie ich zaś może dać pobudkę do wypowiedzenia wojny w porze, której wybór zdoła sobie Rosya zostawić i kiedy już będzie w stanie zebrać dostateczne siły u granic południowych. Pod względem militarnym żąda bowiem Rosya rozbrojenia mieszkańców, odwołania wojska nieregularnego, zamknięcia wojska regularnego w pewnych oznaczonych punktach, wyciągnięcia z Europy Czerkiesów, oddania administracyi, policyi i skarbowości w ręce krajowców chrześcijan na drodze wyborów, mianowania gubernatorów chrześcijan, zniesienia dzierżawy podatku dziesięciny a zaprowadzenia systemu opodatkowania, opartego na produkcji i własności, zaprowadzenia lokalnych narzeczy jako urzędowych języków, wreszcie kontroli ze strony państw zagranicznych pod względem zaprowadzenia i wykonywania tych reform. Rátować chce Porta panowanie swoje przez konstytucyę centralistyczną z parlamentarną formą rządu, chociaż z zachowaniem administracyi lokalnej i prowincjonalnych rad, niby sejmów krajowych, biorąc za wzór obecne urządzenia Austrii, ale samorząd tak rozległy, któryby wypadło zastosować niebawem także do ziem greckich podległych Turcyi, musiałby przywieść do rozbicia i upadku państwo rządzone dotychczas przez kastę zdobywcą, różniącą się od ludów podbitych wiarą, językiem, obyczajem, ustrojem społecznym. Jedynym rysem wspólnym u obu, u zdobywcy i ujarzmionego jest dzikość i okrucieństwo, wynikłe u Turków z fanatyzmu religijnego i despotycznego charakteru, u Słowian tureckich z długiej niewoli i wyradzającej się z niej zemsty, niewoli dawniejszej od pobytu Turków w Europie, bo sięgającej najdawniejszych czasów cesarstwa Wschodniego. Ale właśnie to podobieństwo czyni rządzących i rządzonych nieprzejednanymi wrogami.

Wszakże jeden z organów rządu rosyjskiego *Nord* przyznawszy prawdziwość wspomnianych żądań rosyjskich, dodał znaczący do nich komentarz: słusznie bowiem twierdzi, że

chcąc rozbroić ludy słowiańskie Turcyi, trzeba obsadzić obcem wojskiem ziemie ich, jak się to stało na Libanonie. Zawsze więc okupacya wygląda jak szydło z worka. I nie ma innego sposobu rozbrojenia, jeśli rozbrojenie ma nastąpić, jeśli te same ludy, których Turcyja nie mogła od roku uśmierzyć, nie mają na nowo powstać, skoro kraje ich z wojsk ogołocone będą. Weźmy bowiem Bośnię. Każdy nosi tam broń: i szlachcie Słowianin sturczony, który jak rycerz średnich wieków uznaje wprawdzie władzę zwierzchnika, ale ma się tylko za jego lennika, pod którego chorągwiami ciągnie na wojnę, a nie płaci mu podatku, bo od tego są jego poddani; nosi broń i chłop chrześcijanin, bo to jedyna jego obrona od zuchwałych kawasów i zuchwalszych rozbójników i jeszcze zuchwalszych do niedawna sąsiadów serbskich, z którymi w ciągłych żyje zatargach.

Przemowa cara Aleksandra d. 10 listopada była pierwszą głośną na całą Europę zapowiedzią wojny. Odtąd symptomata codziennie się wzmaczały i właśnie w przeddzień niemal otwarcia konferencji, kiedy te słowa piszemy, przygotowania wojenne w Rosyi przybrały tak ogromne rozmiary, iż przypuścić nie można, aby Rosya cofnąć się chciała za lada jakie koncesye jej uczynione, aby nawet cofnąć się mogła bez upokorzenia, nie odzyskawszy zwrotu strat poniesionych w widokach korzyści militarnych. „Życzenie, Panowie, naczelnemu wodzowi najlepszego powodzenia!“ — zawołał cesarz Aleksander do oficerów na paradzie d. 15 listopada. Tym wodzem jest W. ks. Mikołaj, brat Cara. Toć on nie do prostej dywersyi przeznaczony, ale chyba ma zdobyć sobie lub któremu z swych krewnych tron nowy na Wschodzie, pewnie nie paszalik, ale sekundo-geniturę. W. ks. Konstanty Pawłowicz był za młodu przeznaczony na cesarza Greckiego. Myśl nie zmieniła się, ale tylko forma. Traktat 1856 r. odciał Rosyi przystęp bezpośredni do Turcyi, Rumunia dostała się do rąk Hohenzollerna, chociaż tak dalekiego krewnego domu panującego w Niemczech, że historycy o pokrewieństwie i tożsamości nazwiska powątpiewają, ale gdy abdykacya z jednej, adoptacya z drugiej strony oddały Prusom Sigmaringen, oddały im także Rumunię. Ścisła przyjaźń Rosyi i Niemiec, której podstawą nietylko przeszłe interesa, ale prawdopodobnie i przyszłe projekta, musi tę jedyną dla wojsk rosyjskich otworzyć drogę do Turcyi, prowadzącą przez Rumunię, któredy ciągnęły posiłki ochotników rosyjskich do Serbii. Tą samą drogą pójdzie Rosya zdobywać dla siebie nowe prowincye a choćby tylko lennicze kraje.

Wprawdzie mowa tronowa księcia Karola przy otwarciu Izb rumuńskich jak i adres w odpowiedzi na nią, zapewniają zachowanie neutralności; ale nie można tych słów brać tak ścisłe, bo inaczej nie rozumielibyśmy przejazdu kolejami rumuńskimi i Dunajem do Serbii tysięcy ochotników zbrojnych

w pełnem umundurowaniu, przewozu dział, ręcznej broni i amunicji. W Berlinie zresztą a nie w Bukareszcie rozstrzyga się kwestya neutralności rumuńskiej. Przyznać się zawczasu, rzecz zbyteczna a niekiedy nieroztropna; mogłoby to ściągnąć blokadę Galaczu. Rumunia zbroi się nad siły, nie dla wstrzymania przecież wojsk rosyjskich, gdy te nadciągają będą, więc nie dla obrony swej neutralności. Przeciwnie, uzbrojenie to świadczy, iż Rumunia w danym razie czynny weźmie udział w wojnie, aby miała prawa do korzyści. Jakie one będą? Utrzymuje się mniemanie, że przedewszystkiem tytuł królestwa niepodległego, a oraz część pomorza Czarnego od Dobruczy do wału Trajana. Przyszłe to królestwo Dakickie — imiona historyczne bywają niekiedy wskrzeszane w celu uprawnienia pewnych roszczeń — może się następnie rozrastać, o ile sił mu stanie i o ile to słabość albo kłopoty sąsiedzkie ułatwią. W Czerniowcach przytrzymano temi dniami podburzające pismo rumuńskie.

Z chwilą zawieszenia broni między Turcyą a Serbią, ta ostatnia przestała odgrywać rolę polityczną. Zrobiła, czego od niej żądano, dała się złudzić; dziś misya jej skończona. Książę Milan Obrenowicz nie został królem, czeka go może przyszłość książąt Gruzjijskich i Armeńskich, którzy tak jak on zaufali Rosji. Nie trzeba nawet czekać na późniejsze wykrycia historyczne, aby zrozumieć cały przebieg wypadków, który spowodował słowa nagany Serbów i ich rządu z ust Cara Aleksandra a marzenia Serbów w niwecz obrócić. Tak jak dopomogła niegdyś Rosya chrześcijańskiemu książętom Azji wyswobodzić się z pod zwierzchnictwa Persyi, już tylko tytularnego, tak samo przyrzekła Serbii dopomódz do niepodległości, łudząc ją odyskaniem dawnej potęgi carstwa a przynajmniej rozpostarciem granic pod Bałkan.

Zgromadzenia prawodawcze w tym miesiącu otwarte, znalazły sposobność zabrania także głosu w sprawie wschodniej. Wygodnie to dla rządu angielskiego, że teraz zwykła pora feryj parlamentarnych. Jakaż bowiem moc niezliczona pytań groziłaby ministrom w obu Izbach zasiadającym, zwłaszcza, że opozycja liberalna uciekała się nawet do środków nieparlamentarnych, chcąc rezolucjami na meetingach zastąpić wota nieufności w Izbach wnoszone. Książę Bismark odzwyczaił zaś reprezentację Niemiec od zabierania głosu w sprawach polityki zagranicznej, mianowicie odmówił jej udzielania dokumentów; parlament też niemiecki zwrócił się głównie i przede wszystkim do organizacyi administracyi i sądownictwa w celu ujednostajnienia tak kodeksów jak postępowania sądowego i wreszcie urządzeń administracyjnych w całych Niemczech. Jest to dalsza praca unifikacyi, po której ukończeniu państwa niemieckie będą już miały atrybucye tylko prowincyj a panu-

jacy ich nie będą się różnili od medyatyzowanych niegdyś książąt Rzeszy. Ciało prawodawcze francuskie nie zasługuje nawet na pobieżną wzmiankę, tak mało znaczącemi zajmuje się sprawami, które niekiedy wyrastają z pomocą zbyt wielkiej ilości fermentu drożdżowego w wielkie ale nadęte i puste pieczywo, a jako pokarm niezdrowe. A jednak byt gabinetu Dufaure'a jest zagrożony.

Parlament włoski wyszedł z nowych wyborów wcale odmiennej formie i pierwszą swoją rozpoczął sesję jako reprezentant różnych odcieni liberalizmu, sięgających aż do barwy radykalnej. Zaledwie piąta część deputowanych może się liczyć do rzędu umiarkowanych, nie sięgając nawet do partykularystów. Gabinet Depretisa znalazł się więc zmuszony iść dalej, niżby zamierzył z Izłą w innym składzie, a politykę swoją wypowiedział był w mowie tronowej w duchu antykatolickim, a to zapowiadając ścieśnienie ustaw o tak zwanych „rękojmiach papieństwa“, jak i reformę wychowania elementarnego. Doktryna Cavoura: „wolny kościół w wolnem państwie“ nieurzeczywistniona w kardynalnej podstawie swojej przez utrzymanie przywileju *placetum regium*, już teraz nie ostoi się nawet w zewnętrznych formach swoich, bo na model pruski zdają się być wykowane te projekty ustawodawcze, które mowa tronowa zapowiada pod względem stosunku kościoła do państwa. Wprawdzie zaprzeczono półurzędownie istnieniu aktu żądającego określenia stanowiska państwa Włoskiego w razie zawakowania Stolicy Apostolskiej, ale żaden z podpisanych na tym akcie nie wyparł się swego podpisu. Ogłaszano także tajne przymierze włosko-niemieckie, o którym przestano już mówić, a jednak odpowiada ono naturze rzeczy i położeniu politycznemu. *Italia fara da se* okazało się być zawsze mylnem, a Włochy są zawsze w tem położeniu, że mogą coś zarobić, gdy się inni swarzą. W kwestyi wschodniej są one jeszcze niemą figurą, ale gdy zawezwane będą dać głos swój, dadzą go mocniejszemu i usprawiedliwią ten krok swój — patryotyzmem.

Z wielką ciekawością wyglądano otwarcia parlamentu niemieckiego d. 30 października; zdawało się bowiem, że mowa tronowa rzuci jasne światło na położenie ogólne Europy, osobliwie ze względu na sprawę wschodnią. Zawiedziono się jednak: ani Cesarz ani kanclerz niemiecki nie zagaili parlamentu, a w odczytanem zagajeniu sprawa wschodnia była bardzo lekko dotknięta, jakby mimochodem, odpowiednio do przyjętego przez ks. Bismarka stanowiska obojętnego Niemiec w obec spraw Wschodu. Inna natomiast strona tej mowy miała wielkie znaczenie polityczne, którego doniosłość da się kiedyś ocenić; mianowicie natrącono tam o mogących zejść między sąsiadami nieporozumieniach, w których cesarz Niemiecki przyjmuje rolę sędziego arbitra. O przymierzu trójcesarskiem nie wspomniała niemiecka mowa tronowa, albowiem w tej trójcy czy trójce

Niemcy uważały się za głównego czynnika a politykę swoją tak kierowały, żeby dwaj inni współnicy albo nie mogli się przeciw nim związać, albo też nie znaleźli powodu do zrobienia takiej koalicji. W kwestyi też wschodniej, w której najbliżej dotknięte są interesa Rosyi i Austrii, Niemcy zastrzegły sobie prawo rozstrzygania, jeśliby jakie nieporozumienie dzieło oba te mocarstwa.

Jakież jednak interes mogą mieć Niemcy, aby pozwolić Rosyi działać na własną rękę i skłonić Austryę, jeśli nie do pomagania planom Rosyi, to przynajmniej do niestawiania jej przeszkód na drodze? Jest to jedna z wielkich zagadek przyszłości, a dziś dla tego nie dająca się rozwiązać, że Niemcy nie były dotąd zniewolone do przedsięwzięcia jakichkolwiek kroków ku zrealizowaniu tajnych zamiarów swoich. Zamiary niemieckie leżą bowiem dopiero na drugim planie obrazu, który z mdłego podmalowania wyjdzie aż wtedy w jaśniejszych zarysach, gdy wystąpią wyraziście i twardo postacie na pierwszym planie działające. Nie dla przyjacielskich sympatyj ani pokrewnych związków wspierają Niemcy Rosyę i nawet podtrzymały wahającą się w chwili bardzo niebezpiecznej, kiedy zagrażała Rosyi odosobnienie a nawet cesarz Aleksander pod brzemieniem odpowiedzialności chciał już ustąpić, tak mu idea panslawistyczna wyrosła nad głowę, tak ruch umysłów w Rosyi wyszedł z karbów konwencyonalnych i przybrał rozmiary narodowego prądu, z którym można dążyć razem, ale mu trzeba dorównać krokiem, żeby nie zostać prześcigniętym i zapomnianym. albo nawet zwalonym, jeśli go się zechce powstrzymać. Wtedy to cesarz Wilhelm wahającego się siostrzeńca pokrzepił i rzekł mu: „możesz na mnie liczyć!“

Czy pomoc ta Prus, choćby nie militarna, lecz dyplomatyczna, nie materyalna, lecz moralna, a jednak potężna, bo całym ciężarem olbrzyma nowoczesnego środkowej Europy ciśnąca na wypadki i stosunki polityczne, może być bezinteresowną? Nie, gdyż inaczej byłaby poświęceniem dla cudzego dobra i szkodą dla siebie . . . Nie mogłyby przecież Niemcy pragnąć, aby Rosya zagarnęła cały Wschód Europy i aby ciężyla na wszystkich swoich sąsiadach, aby zbudowała państwo wszechsłowiańskie, jeśliby Niemcy pozostały w dzisiejszych swoich granicach, nie dokonawszy jeszcze dzieła zjednoczenia, i nie posiadając dostatecznych sił morskich, aby być pierwszym mocarstwem w Europie. Tak więc sama logika wprowadza na myśl różne kombinacje, w którychby Niemcy mogły szukać dla siebie zrównoważenia wzrostu potęgi Rosyi.

Polityka kompensat przychodzi tu na myśl mimowolnie. Tam, gdzie polityczne formacje państw nie polegają na naturalnych narodowych żywiołach, albo na wspólności interesów, albo na podstawach historycznego ustalenia się, gdzie względy

strategiczne albo jeograficzne naznaczają granice, a miarę żądań daje siła, najpotworniejsze kombinacye mogą być przypuszczone. Pycha i chciwość bywały po różne czasy pobudkami dla dążeń do państwa uniwersalnego, czy ono było państwem Rzymskiem, monarchią Austryacko-Hiszpańską, systemem kontynentalnym z cesarstwem Francuskim. Miałyżby Rosya i Niemcy chcieć się podzielić starą Europą, jak niegdyś Hiszpania i Portugalia panowaniem w Nowym Świecie, nakreśliwszy prostą linię, co miała im służyć za granicę? O tem nikt dziś myśleć nie może. Ale są inne podziały i zamiany: jest linia Wisły, która już w zeszłym wieku rozgraniczała sąsiadów; są posiadłości wysokiej dla Niemiec ceny, którychby posiadać nie mogły, dopóki Anglia czuwa u wrót ich. Niechby jednak Anglia wdała się w wojnę na Wschodzie, któraby ją całą zająć musiała, któżby ochronił Holandję od pożądliwości pruskiej? A nie jest to bynajmniej czczą mrzonką. Pewne premissa mogą być do tej kwestyi holenderskiej dostarczone.

Za daleko nam może sięgać do r. 1831, który dał początek oderwania się Belgii, ale od owego szczególniejszego czasu dwór pruski utrzymywał ścisłe związki z Hagą, które ułatwiły węzły familijne i wspólność wiary, a stosunek królów Holenderskich jako książąt Luxemburgskich dawał nawet Holandji głos w niemieckim Bundestagu. Pierwszy ślad usiłowań rządu pruskiego do hegemonii w Niemczech okazuje się w tworzeniu związku celnego, którego doniosłości nie objął gabinet wiedeński, ale też przy swoim protekcyjnym systemie celnym nie mógł użyć tego środka do zespolenia interesów materyalnych. Sam jeden Hanower nie poddał się wtedy na północy supremacyi pruskiej, założywszy przeciw związkowi celnemu, związek podatkowy, odmienny system grupy handlowej. Wtedy to wielkie czynione były z Berlina usiłowania dla wciągnięcia Holandyi w pruski związek celny. Kolonialne interesa Holandyi i nadzieja złączenia się napowrót z Belgią, stawały temu na przeszkodzie, ale nalegania z Berlina były tak natarczywe, że od tej chwili datuje się pewna nieufność w Hadze ku Prusom, i to tak dalece, że kiedy dom królewski w Holandyi chciał się pozbyć Luxemburga, jako ciężaru, z cesarzem Napoleonem a nie z Prusami o to księstwo traktował. Prusy cierpią dotąd na brak floty: pomorze Bałtyckie ledwie wychowa żeglarzy po-brzeżnych, ale nie majtków, co by kiedyś mogli dostarczyć załogi dla okrętów wojennych. Zatoka Jahde nabyta od Oldenburga, mogła służyć chyba za schronienie dla takiej flotylki, z jaką niegdyś jeden z książąt pruskich poniósł porażkę na brzegach Afryki od piratów Riffu. Nawet po zaborze większej części półwyspu Cymbryjskiego — dzięki Anglii, która w początkach tego wieku zniweczeniem floty duńskiej wśród pokoju, bez żadnej przyczyny, podkopała siły Danii i rozbroiła ten kraj —

Kiehl dostawszy się w ręce Prus, nie wystarcza, a ta garstka rybaków na wyspach i przylądkach Szlezwiku i Holsztynu nie stworzy korpusu marynarzy dla mocarstwa pierwszego rzędu. Tylko te kraje mogą mieć flotę wojenną, które mają flotę kupiecką. Taką flotę kupiecką posiada Holandia; Holandia posiada również wielkie kolonie zamorskie, ale szczupłe jej zasoby jako państwa, nie zdołają nawet dźwigać ciężaru takiego, jak Sumatra i Jawa. Holendrzy są narodem bogatym, może stosunkowo do liczby mieszkańców najbogatszym, ale Holandia jest za ubogą, aby prowadzić wojnę nawet z Aczynem i zmuszoną jest ogromne czynić nakłady w tej wojnie nie dla własnej potęgi, lecz aby garstka bogatych kupców mogła dostawać pieprz tanio. Nie tajne Prusom to położenie Holandyi, zwłaszcza, że już posiadacze kantorów ogłędają się, gdzieby szukać opiekuna, i nawet na wyspach indyjskich chodziły wieści o korzyściach mogących spłynąć, gdyby jakie mocarstwo, n. p. Anglia, opieką swoją osłoniła handel holenderski. Dla czegożby nie miało podjąć się tej misyi cesarstwo Niemieckie, którego poddani coraz bardziej osiedlają się w Holandyi, tak że Rotterdam jest dziś napół już niemieckim a i w Amsterdamie nie brak Niemców. Ren w rękach niemieckich aż do ujścia! Niemcy posiadają bogate kolonie w Azji! Flota niemiecka krąży po wszystkich wodach Oceanu! Czyż to wszystko nie jest dość pojętnem, aby nalegać na Rosyę do coraz śmielszych kroków na Wschodzie, któreby wciągnęły Anglię w wojnę wschodnią? Nie dopuścili Anglicy zabrać Antwerpii Francuzom, którzy ją zdobywszy, musieli oddać Belgii, ale Holandję można zabrać lądem, a w tęgiej zimie i po zamarzłych kanałach dostać się wszędzie, jak to uczynił był niegdyś generał Pichegru.

A jeżeli nie Holandia ma być kompensatą dla Niemiec, to już chyba lewy brzeg Wisły. Nie pierwszy raz myśl takiego sprostowania granicy swej od wschodu podsuwały Prusy, aby wschodnie Prusy przestały być jakby przyczepką do monarchii. Nawzajem Rosya ofiarowała niegdyś grube pieniądze za Gdańsk, a gdy napotkała odmowę, usiłowała ściśsem zamknięciem granic zuobożyć prowincję pruską. Obaj więc sąsiedzi i przyjaciele nie zawsze żyli z sobą w szczerzej zgodzie. Prusy też zbudowały twierdze od granic wschodnich, tak dalece nie dowierzały sąsiadowi. Teraz jednak Rosya ich przychylności kupić sobie musi: albo więc odda Niemcom dawną granicę rozbiorową po Wisłę, na przypadek, gdyby Holandia nie dostała się Prusom, albo da im tę część Polski w zastaw. Aby zaś usprawiedliwić w oczach świata tę nową wiwisekcyę, rozpuszczono z Berlina i Petersburga kłamliwe wieści o spiskach polskich, mających wybuchnąć w chwili zajęcia Rosyi na Wschodzie, o znalezieniu broni na ten cel przygotowanej. Na mocy traktatu między państwami rozbiorowemi poręczającego zabory,

winny sobie trzy państwa wzajemną pomoc, jeśliby zachodziła potrzeba utrzymania spokojności w ich polskich posiadłościach. Na tej podstawie ładajaka burda, wywołana choćby przez *agents provocateurs*, mogłaby uprawnić powołanie przez Rosję pomocy pruskiej. Zniesienie Unii po prawym brzegu Wisły, *Kulturkampf* po lewym brzegu a w ogóle zagłada narodowości polskiej i języka ojczystego, co to za wspaniały widok dla nowoczesnych Herostratów! Zresztą, ostateczna ugoda kiedyś, po kampanii tureckiej, a tymczasowo Niemiec gospodarujący w Polsce dla Moskali... Baczność zatem! Jeśli nie zdolamy uniknąć klęski, nie dajmy przynajmniej pozoru, żeśmy sprowadzenie jej ułatwili.

Tak w austriackim jak w węgierskim parlamencie poruszoną była sprawa wschodnia w formie interpelacji, pytającej rządu, jakie ten zajmie stanowisko w sprawie wschodniej. Długie toczyły się rozprawy nad wymijającą, ale zastrzegającą neutralność odpowiedzią rządu, a z rozpraw tych to głównie wpływało, że większość obu ciał prawodawczych okazała się przeciwną wszelkiemu udziałowi monarchii Austro-Węgierskiej, a mianowicie przeciwną zamiarom zaborczym, które podsuwano Austrii. Parę głosów w obu tych zgromadzeniach stanęło lubo nie dość wybitnie w duchu słowiańskich interesów Austrii na półwyspie Bałkańskim, albo po prostu ze stanowiska terytoryalnej aneksyi; wszelako były to głosy odosobnione. Deputowani polscy w wiedeńskiej Radzie państwa nie zabrali wcale głosu, jakkolwiek rozmaite względy zdawały się za tem przemawiać; gdy przeciwnie milezenie ich dałoby się chyba tem usprawiedliwić, że nie chcieli przeciw neutralnemu zachowaniu się rządu przemawiać. Ale do naznaczenia odrębnego stanowiska polskiego w sprawach międzynarodowych, ale do wyświecenia, czem jest idea słowiańska w ręku Rosyi, jaką pojęciu Słowiańszczyzny nadać chce Rosya doniosłość naprzeciw Turcyi a wobec Austrii i Węgier, których większość ludów jest pochodzenia słowiańskiego, dla wszystkich tych względów należało Polakom oświadczyć się, im tylko jednym, którzy nie uznają konglomeratów plemiennych, a przyznają prawo do wolności wszystkim uciśnionym. Dwie drogi zostawały do wyboru deputowanym polskim w Wiedniu: mogli obrać albo jedną z nich, albo drugą, a mogli nie pominąć żadnej z nich; jedna austriacka, druga polska, jedna oparta na aktualności położenia, druga na prawie i sprawiedliwości. Nie dla popisania się kilkoma wielkodusznemi wyrażeniami, ale dla rzucenia przed zmateryalizowany i siłę tylko hołdujący świat tegoczesny, gorzkich wyrzutów zasłużonych, nie dla ostrzeżenia zaślepionych, którzy nie widzą, jak z tego budynku politycznego, co go systemem europejskim nazwano, usuwają się jedna cegła po drugiej, rysuje się sklepienie i zwalić się może na głowy tych,

co mniemają, że szpary dadzą się zalepić nowemi protokołami traktatów, a wypaczone ściany sąsiedzkim murem podtrzymywać; ale że wszędzie i zawsze powinien dawać o sobie świadectwo, aby Pan nie powiedział o nim: „Nim kur zapieje, trzy razy zaprzesz się mnie Piotrze!“ Są powinności, których nawet mandat deputowanego do Rady państwa nie zdolny jest pozbawić...

Długie rozprawy nad interpelacyami w wiedeńskiej Radzie państwa i w sejmie peszteńskim o odpowiedziach ministrów na te interpelacye, obracały się około jednej osi, a była nią neutralność. Rządowi obu i wspólnemu rządowi monarchii Austro-Węgierskiej mogła być na rękę ta niemal jednozgodność, dodała mu ona bowiem siły wobec sąsiadów i sprzymierzeńców. A potrzebowała Austria i pewnej zręczności i pewnej siły, aby się od nalegań Rosyi uchylić, która ją wciągała do interwencji zbrojnej. W notach lorda Loftusa do hr. Derbego znalazł się na to dowód, iż Rosya zamierzała wciągnąć Austryę i oddawała jej Bośnię, sama poprzestając na Bułgarii, a o Serbii nie mówiąc, bo ta już dobrowolnie przyjęła nad sobą zwierzchnictwo Rosyi; Hercegowina zaś miała niejako stanowić pas neutralny między obu sąsiadami. Od Anglii żądała Rosya równocześnie demonstracyi przeciw Konstantynopolowi.

Myśl zajęcia Bośni mającyla nieraz w Wiedniu. Uśmiechało się wcielenie tego niegdyś królestwa, cesarzom Greckim hołdowniczego, o którego stolicy Banialuce dziwne w średnich wiekach krążyły po Polsce gadki, gdyż Bośnia nadawała obok Dalmacyi pewne znaczenie posiadłościom austryackim na półwyspie Bałkańskim, wzmacniała ich pozycyę militarną, a zresztą byłby to pierwszy nabytek po stracie ziem włoskich. Ale nie dał się przewyciężyć upór madiarski rządu węgierskiego. Nie dosyć Węgrom kłopotów z trójjednem królestwem, nie dosyć z niechęcią Słowaków, żeby jeszcze wzmacniać Bułgarami żywioły słowiańskie. Jak Madiarowie robią w Węgrzech, tak Niemcy w Austrii — i musiano zaniechać aneksyi ofiarowanej bez kosztów. Ale z tego a nie z innego powodu znalazła się tak wielka liczba przeciwników interwencji, która tym razem pokonała ponętę *Drang nach Osten*. Przebrzmiały też bez echa obrady parlamentów wiedeńskiego i peszteńskiego; niemniej jednak stanowisko Austro-Węgier do kwestyi wschodniej nie zmieniło się. Jest ono zawsze chwiejne, niepewne, bo w ogóle zbywa rządowi na inicjatywie, a wpływy sąsiadów zbyt są przeważne, aby można prowadzić politykę na własną rękę.

Jeszcze raz mogłaby w parlamencie austryackim wystąpić kwestya wschodnia z okazji obrad nad budżetem ministerstwa to spraw zagranicznych, to wojny. Ale dotychczasowy

preliminarz budżetu nie nastęcza zmian takich, któreby znie-
walały rząd do szukania nadzwyczajnego kredytu. Jedna tylko
sprawa funduszu podoficerskiego, wynoszącego przeszło 30 mi-
lionów, nastęczałaby sposobność do zbadania obrotu i użycia
tego funduszu, który jest jakby zapasowym funduszem wojen-
nym. Prowadzić wojnę mogłaby Austria, i snadniej niż Rosya,
bo jest odpowiednio zaopatrzoną, ale nigdy Austria nie spo-
sobiła się do wojny zaczepnej i tylko zmuszona brała za broń.
Ani w obronie Turcyi nie stanie, ani oprze się domniemanym
kombinacyom prusko-rosyjskim czy to pod względem ziem pol-
skich, czy Rumunii albo Serbii; więc też co najwyżej, obser-
wacyjne i neutralne zajęłaby stanowisko.

W przeglądzie politycznym tego miesiąca, mówiąc zwła-
szcza o wiedeńskiej Radzie państwa, niepodobna pominąć wnio-
sku Göllichera, który dziś już historycznym materyałem, a
nietylko zajmował długi czas w wysokim stopniu wszystkie umy-
sły polityczne, ale echem odzywać się będzie jeszcze nieraz, czy
to w parlamencie, czy w sejmach krajów koronnych. Wniosek
to dawny, bo z roku zeszłego, w styczniu tego roku posta-
wiony na porządku dziennym, dostał się dopiero w listopad-
zie pod obrady. Wniosek ten żądał rozgraniczenia władz au-
tonomicznych od rządowych, nadania pierwszym właściwej
egzekutywy, a wreszcie ustaw w tym duchu z inicjatywy rzą-
du wniesć się mających. Komisya dla tego wniosku wybrana,
również tylko ogólnikowe postawiła desideria, żądając uzupeł-
nienia ustawy z d. 19 maja 1868. Reforma administracyi —
zadanie olbrzymie, dla którego godziłoby się zwołać *ad hoc*
konstytuantę, i żeby cały szereg ustaw stworzył nowe ustawo-
dawstwo! Ale Rada państwa nie mogła już przez to samo
przyjść do końca, że nie było w jej łonie zgody co do głów-
nych zasad organizacyi. Bo też w izbie, gdzie przewazają po-
jęcia centralistyczne i gdzie zasiada wielka liczba wychowań-
ców systemu biórokratycznego, nie mogła przyjąć się myśl
samorządu dla całej piramidalnie ustawionej budowy polity-
cznej, od gminy, przez powiaty, obwody, kraje. Pewne upro-
szczenia, pewne ulepszenia dałyby się wprowadzić, ale bez
zmiany systemu; radykalna jednak reforma nie leżała w sfe-
rze Rady państwa. Hr. Hohenwart mówił o reformie i wska-
zywał drogi, któremi dojść do niej zamierzył, a mówił jak
ten, coby mógł się podjąć tej pracy; poseł Dunajewski roz-
winął cały program odpowiedni zarysowi, jaki wyszedł był
w Krakowie z koła kilku ludzi myślących i obeznanych z pra-
ktyką życia publicznego w innych także dzielnicach polskich
i z tradycjami dobrej szkoły administracyjnej i z wzorami po-
rządnie administrowanych krajów i z studjami w tej gałęzi
umiejętności politycznych. Dlatego w mowie jego było tyle
prawd, prosto i jasno wypowiedzianych, że zarówno wnioski

komisyi znalazły się podminowane, jak i system dotychczasowy. Gdy zaś mniej pracy i kłopotów utrzymać to co jest, niż stworzyć coś nowego, przeto upadły wszystkie projekta a utrzymał się stan dotychczasowy, nieco tylko skrytykowany i upośledzony. Wzmiankę o tym wniosku wstawiamy tu przeto w formie tylko epizodu i kończymy jak zaczęliśmy, sprawę wschodnią.

Właśnie pełnomocnik angielski na konferencyi w Stambule margr. Salisbury, objechawszy stolice europejskie oprócz Petersburga, opuścić miał Europę i popłynąć na miejsce swej misyi. W ciągu tej podróży wyrażał się z ufnością w pokój, wierzył wszystkim zapewnieniom rosyjskim i w ten sposób utorował sobie drogę do zagajenia konferencyi, czego mu zapewne nie zaprzeczą inne rządy. Anglii wiele na tem zależało, aby zdobyć sobie przewodnie stanowisko w obradach i ten zdaje się być główny cel tej objazdowej podróży z Londynu do Konstantynopola na Paryż, Berlin, Wiedeń i Rzym.

W przeddzień niejako otwarcia konferencyi język półrządowych dzienników rosyjskich jest bardzo pokojowy. Gabinet petersburski tak dobrze nie pokazuje nieufności, jak gabinet londyński; owszem, współzawodniczą oba z sobą w chęci zagodzenia sprawy z obopólnem zadowoleniem. Miałożby więc przyjść do umowy opartej na okupacyi, jak żąda Rosya, lub na kontroli konsularnej, jak domagała się Anglia? Jakiegokolwiek przyjdzie rozwiązanie i z czyjakolwiek korzyścią, bliskim staje się koniec panowania Turków w Europie. Nie ma już ani moralnej ani materyalnej siły, coby zdołała podźwignąć upadający kalifat. A choćby Azya Mniejsza, Arabia i Egipt zesłały do Europy najdziksze hordy swoje, mogą one roznieść rzeź i pożogę po brzegi Dunaju, ale niezdolne stworzyć organizmu państwa, który miał swoją właściwą podstawę społeczną, militarną i polityczną w Koranie. Dziwna rzecz, iż oba mocarstwa europejskie, które zawładnęły w Azyi w krajach mahometańskich, spotykają się na krańcach Europy, w ostatnim przytułku półksiężyca w tej części świata, jako przeciwnicy, nie zaś jako wspólnicy, co się łupem podzielić mają, ani jako współzawodnicy, co się nawzajem ubiedz pragną. Natura ich przeciwieństwa leży w charakterze ich narodowym, w historycznym ich rozwoju. Ale kiedy w Azyi dopiero kiedyś u wrót Afganistanu spotkają się z sobą, dziś przedzieleni górami, w Europie może stoczą pierwę walkę o wyższość panowania na lądzie czy na morzu. Czy zdoła jednak Anglia naprawić błąd, jaki popełniła opuszczając Francję, nie już tylko osłabioną i podkopaną w ostatnich czasach przed jej upadkiem, ale Francję potężną, której zazdrościła przewagi w Europie? Gdy Francyi nie ma już na przedzie państw kontynentalnych, u kogo przyjdzie szukać teraz Anglii pomocy? Kwe-

stya wschodnia jest następstwem błędów polityki angielskiej od lat przeszło dwudziestu, od wzbraniania się jej, aby wojnę z Rosyą przenieść na północ, gdzieby zmienił się jej właściwy charakter i zadanie; kwestya wschodnia jest następstwem rozdzielenia się Anglii i Francji skutkiem umowy w Soledad w sprawie meksykańskiej; kwestya wschodnia jest wreszcie następstwem odmowy interwencji w r. 1863. Dziś już nie powiedzie się utworzyć koalicję przeciw przewadze jednego państwa, bo kiedy Anglia zamknęła się w ramach tak ścisłej neutralności, postawiła doktrynę *intervention for non intervention* i obojętnie patrzyła, jak naprzód Austria a potem Francya, dwie jej najbezpieczniejsze różnemi czasy przyjaciółki, uległy losowi wojny, odtąd mogły już Prusy i Rosya kuć pęta na wolność Europy, aż wreszcie zamierzyły podzielić się panowaniem świata. Kwestya wschodnia ma ku temu prowadzić. I dlatego wnosić trzeba, że Anglia nie zaniecha wszelkich środków dla zapobieżenia takiemu kwestyi wschodniej rozwiązaniu, choćby miała zdobyć się na największe ofiary. Tu nie idzie jej o Turcyę, tu idzie już o nią samą. Położenie jednak jest tem rozpaczliwsze, że choćby się drugi Pitt znalazł, nie ma w Europie materiału na koalicję.

Aleksander Szukiewicz.

KRONIKA ŻAŁOBNA.

Dnia 13 listopada umarł **Maurycy Mann**. Jeżeli śmierć tego znakomitego publicysty była dla „Czasu“ stratą rodzinną, to dla nas była ona także bliską i dotkliwą, a i dla całego kraju bardzo bolesną. Nad trumną czystego i mądrego pracownika zeszły się wszystkie stronnictwa, wszystkie szczerzy oddały mu hołd i uznanie. Po tych głosach, które zewsząd się odezwały, nie byłoby już na czasie podawać krótkie tylko wspomnienie. **Mann** zasłużył na sumienne studium o życiu i pracach swoich, skreślone na tle historii dziennikarstwa polskiego. Studium to podamy później.

Warszawa straciła d. 8 listopada **Bolesława Podczaszyńskiego**, uczonego architekta, sumiennego autora, pracowitego zbieracza zabytków archeologicznych — a Kraków d. 25 b. m. **Kazimierza Fryderyka Skobla**, profesora Uniwersytetu, członka Akademii i gorącego miłośnika mowy ojczystej, nad której oczyszczeniem z obcych naleciałości pracował gorliwie i z zapalem.

Zaprawdę smutno bardzo, że w czasach tak dla nas ciężkich tyle otwiera się grobów. Obyż przynajmniej w pocziwej i niestrudzonej pracy młodsze pokolenie zabłysła nadzieja.

Redakcja.

PRZEGLĄD EKONOMICZNY.

Po długich korowodach nareszcie otwartym został *Instytut techniczno-przemysłowy* w Krakowie w miejsce dotychczasowej techniki. Nie jest na czasie i byłoby zbyt cennym wznawiać jeszcze spory o charakter i zakres tego instytutu; natomiast pożądanem jest rozpoznanie jego programu i celu, jaki mu zakresłono. W tym względzie z góry trzeba przyznać, że program tego instytutu jest w zakresie trzech oddziałów, tj. szkół budownictwa, chemii i mechaniki, *zupełnym*, tem samem ma instytut zakresłony sobie zakres wcale inny, niż szkoły przemysłowe (Gewerbeschulen) w Czerniowcach i w Białej, które, jak zrazu straszono, miały być dla niego wzorem.

Instytut nasz ma usposabiać *młodzież dojrzałą* na ludzi fachowych, specjalistów w praktycznych zawodach, a tego nam właśnie potrzeba. Jedna akademja politechniczna, wydająca t. z. inżynierów, we Lwowie, zupełnie na cały kraj wystarcza, a zresztą kształcący się na inżynierów zwykle dokończają nauki w zakładach zagranicznych — a nadto po większej części szukać jeszcze muszą zajęcia i losu za granicą, nierzadko aż w Ameryce ¹⁾. Dwie zatem akademje politechniczne byłyby zbyt cennymi i mnożyłyby chyba proletaryat *najwyższej* inteligencyi technicznej, dla której u nas jeszcze mało jest pola do działania, a natomiast miejsca niejako średnie, są albo zajmowane prawie wyłącznie przez

¹⁾ Czytaliśmy niedawno w listach p. Wł. Klugera ogłaszanych w *Czasie*, że w Peruwii np. najwyższe posady naukowe i praktyczne w zakresie technicznym zajmują Polacy.

Niemców sprowadzanych, albo wcale nie są zajęte, jak np. w zakresie techniki chemicznej; gdyż przemysł chemiczny u nas ledwie że się poczyną. Weźmy zakłady przemysłowe istniejące dotąd u nas: młyny, gorzelnie, tartaki, cukrownie, browary, krochmalnie, kościarnie, fabryki machin itd., wszędzie prawie maszyniści, werkfirerzy, dyrektorowie techniczni są Niemcy — przemysł tkacki i sukienniczy w kraju lnu i konopi jest nader prymitywny, o fabrykach kondensowanych pokarmów, cykoryi, pudrety, o papierniach, o dystylarniach nafty, o eksploatacyi wszelkich kopalń, mechanicznej i chemicznej itd. wcale nie albo ledwo słyhać — bo nie ma ludzi usposobionych, wszelka inicjatywa natrafia na za wielkie koszta z braku ludzi. Potrzeba nam było instytutu, któryby do praktycznych zawodów przemysłowych w miarę potrzeb kraju usposabiał.

Ażeby instytut nowy zadaniu temu odpowiedział, zależeć to będzie od usilności i *ambicyi* tych, których do utworzenia go powołano, a w których zdolności, dobrą wolę i ambicyą wątpić nie ma powodu. Program instytutu: „nowy zakład reprezentować ma wyższy stopień nauk technicznych w *kierunku praktycznym*“ do skutecznej pracy wszelkie im pole otwiera. Plan nauk, jak już wspomniałem, zupełny, obejmuje nauki niezbędne dla każdego praktycznego przemysłowca, z których atoli w programach innych zakładów podobnych o mniejszym zakresie, niejedno brakuje, jak np. technologia materiałów budowlanych, encyklopedia maszyn, technologia mechaniczna, rachunkowość i ustawy przemysłowe; brakuje jedynie metalurgii. Żałujemy, że program nazywa tylko przedmioty, a nie podaje, jak to jest w programach szkół t. r. pruskich, szczegółowego rozkładu na kursa każdej nauki, kolejnego jej rozwoju i postępu, lecz zapewne nastąpi to w przyszłych latach, gdy instytut już cały w życie wejdzie. Jest to bowiem wielce potrzebne dla oryentowania się młodzieży dojrzalszej, niemniej jak i opiekunów jej.

Oprócz tego kilka jeszcze uwag program nowego instytutu nastęrcza.

Jeżeli ma to być zakład specjalny, do czego w naszym wieku wszystko dąży, wynika z tego, że z planu nauk powinno być wykreślone wszystko, co z techniczną specjalnością nie ma związku, a czas młodzieży zabiera. Potrzebnym jest dla każdego przemysłowca niemal nieodzownie język niemiecki, lecz umieszczenie jego nauki w planie nauk, jako przedmiotu wykładowego, obowiązkowego, jest zbyteczne i powinno być pozostawione samym uczniom. Stawienie znajomości języka niemieckiego, niemniej geografii i historii, jako warunku przyjęcia do instytutu, niemniej nam się wydaje niewłaściwem i niczem nieuzasadnionem. Albo świadectwo szkol-

ne, albo egzamin wstępny z *przedmiotów ściśle z zakresem instytutu związanych*, więc: matematyka, fizyka, nauki przyrodnicze, rysunki — powinien zupełnie wystarczać. Mogą być ludzie zdolni, samouki, mogący znakomicie pokonać instytut, którym więc z braku języka lub wiadomości humanitarnych, kariery technicznej zamykać nie należy. Prawo zdawania egzaminu wstępnego specjalnego nie powinno też wcale być zależnem od kończenia jakichkolwiek szkół — jak z drugiej strony obowiązkowość nauki i stosowanie się do planu — uważamy za nader pożyteczne.

Nie znajdujemy w programie wcale określenia, jakie patentu instytut będzie wydawać i jakie znaczenie i moc prawną patentu te w Austrii mieć będą. W tej mierze ściśle określenie jest koniecznie potrzebnem, gdyż rozstrzygać ono będzie właśnie o frekwencyi w instytucie i o losie jego wychowalców. Zdawałoby nam się tu odpowiedniem postępowanie takie, jak np. w seminariach nauczycielskich. Ukończeni uczniowie otrzymują świadectwa dojrzałości, a następnie dopiero po odbyciu pewnej praktyki składają ponowny, dodatkowy, praktyczny egzamin, który ich uzdalnia do samodzielnego prowadzenia zakładów naukowych, lub zajmowania odpowiednich posad przy zakładach publicznych. W ten sam sposób ukończony uczeń instytutu mógłby i powinien mieć prawo do zajmowania samodzielnie lub w zakładach przemysłowych miejsca budowniczego, werkfirera, dyrektora technicznego i do ubiegania się o posady tego rodzaju, rządowe i krajowe. I zdaje nam się, że nie naruszając wcale ustawy instytutu, który zakrojony jest na to, co w Niemczech nazywają Gewerbe-Academie, możnaby połączyć z nim i (Gewerbe-Schule) szkołę przemysłową, któraby wydawała i kwalifikowała majstrów murarskich, maszynistów i czeladników (Vorarbeiter, contremaitre). W tym celu należałoby otworzyć także i kursa przygotowawcze, do których dawałoby przystęp ukończenie *szkół ludowych*, a następnie tylko niektóre przedmioty z planu nauk miałyby być obowiązkowe *dla tych*, którzy tylko powyższą kwalifikacyę otrzymaćby mieli. Byłyby więc rozmaite stopnie i rodzaje egzaminów i patentów, stosownie też do tego musiałyby być rozłożony i wykładany każdy przedmiot, a prócz tego należałoby obok ekskursyj do fabryk, na place budowy itp. utrzymywać w samymże instytucie pewne warsztaty, tak jak się utrzymuje zbiory i laboratoria. Warsztaty takie służyłyby wogóle dla wszystkich uczniów. Jestto sprawa trudna i dosyć kosztowna, mająca na celu poznanie z wszelkimi narzędziami i machinami pomocniczymi, oraz pewną praktykę — lecz jeżeli gdzieindziej się to dzieje, czemużby i u nas być nie mogło; „*potuerunt hi et haec, cur non ego?*“ W ten spo-

sób instytut odpowiadałby w zupełności potrzebom kraju, w którym nie ma wcale szkół rękodzielniczych... (*ecoles professionnelles*) i które zresztą dopiero równocześnie z rozwojem przemysłu powstawać mogą, co może kiedyś nastąpi.

Rozumie się, że to zupełne odpowiedzenie potrzebom kraju odnosić się może tylko do tych trzech szkół, które instytut składają — pozostaje więc jeszcze zupełnie nieuwzględniona potrzeba i *szkoła czwarta: górnictwa i hutnictwa*, o wiele potrzebniejsza nawet *na razie*, niż szkoła chemiczna. Uzupełnienie instytutu tym czwartym oddziałem pozostaje więc postulatem kraju, który ma prawo o niego się ciągle u rządu dopominać, a zarazem utworzenie go i z swojej strony ułatwić. Prawda, że z każdym rokiem większe wydatki budżet krajowy obciążają, lecz trzeba zważyć, że ułatwienie rozwoju przemysłu, zwłaszcza rolniczego i domowego, a z kolei fabrycznego, będzie zwolna i bogactwo kraju podnosić i fundusze na potrzeby krajowe znaleźć się muszą. Zresztą uposażenie dodatkowe takiego czwartego oddziału może wymagać rocznie z 5.000 złr. — suma która dla wspólnych sił państwa i kraju nie powinna *żadnej* stanowić trudności. Byłe zapobiegliwość i przezorność ekonomiczna chroniła kraj od niespodziewanych, nadzwyczajnych wydatków głodowych, pożarnych, powodziowych, byle posłowie nie nakładali na budżet krajowy wydatków nieprodukcyjnych, a będzie się mógł kraj zdobyć na to, żeby pewnem przyczynieniem się z swojej strony skłonić rząd do uzupełnienia instytutu nowego oddziałem czwartym górniczno-hutniczym i zaopatrzenia go w sposób, któryby pozwalał na ową podwójną jego działalność wyższą i niższą, o której była mowa powyżej. I zdaje nam się, że sprawy tej naglącej nie należałoby zasypiać, ale podnieść ją i poprzeć zaraz na najbliższej sesji sejmowej — i powtarzać usiłowania corocznie, niemniej i w rajchsracie aż do skutku.

Zwróćmy jeszcze uwagę na jedną delikatną okoliczność. Uczniom nowego instytutu przyznano t. z. akademickie prawa, lecz niezupełnie, z wyjątkiem bowiem wolności uczenia się. Jest to stanowisko uzasadnione, lecz mogłoby stwarzać pewne trudności, jako dwoiste. Potrzeba zatem wielkiego taktu ze strony kierowników i nauczycieli, ażeby harmonią pomiędzy sobą, a przyjacielskiem, lecz niemniej poważnem obcowaniem z *uczniami*, zdołali wytworzyć odpowiednie zwyczaje i tradycje instytutu, żeby nie dopuścili do niesnasek z tytułu obrażonej jakoby godności *śluchaczy*, pamiętając, że lubo młodzież wszelka jest łatwo zapalną i drażliwą — lecz słowo i obejście się uprzejme i ojcowskie, zawsze pełne miłości, nawet kiedy trzeba stanowczości i surowości — zawsze łatwo sobie poradzi z młodzieżą polską. Potrzeba więc umieć roz-

budzić wszystkie, tak obfite, szlachetne popędy tej młodzieży, a nie dopuści się możliwości odezwania się jakichbądź złych skłonności, jeżeli się ich niczem nie pobudzi i nie wywoła. Dokładne rozpatrzenie się w początkach nowego instytutu, na którym kraj wielkie pokłada nadzieje, nasunęło nam te uwagi, które oby okazały się zbytecznymi.

W tym czasie rozstrzygają się też losy krakowskiego *Muzeum techniczno-przemysłowego* — tego królewskiego daru Dr. Baranieckiego, którem Kraków uposażył --- a za jego wzorem powstały już publicznymi siłami także Muzea we Lwowie i w Warszawie. Idzie obecnie o umieszczenie stałe, własne dla Muzeum: czy przeznaczyć na to połowę Igo piętra Sukiennic, czy całe. Dr. Baraniecki wykazał, że potrzeba podobno 22 sal — naprzeciw temu podniosły się głosy: że kursa urządzone przy Muzeum gminę nie obchodzą, że sala wykładowa jest zbyteczną, że zbiory archeologiczne, etnograficzne, ceramiki itp. są zbyteczne, że laboratorium chemiczne jest zbyteczne itp.

Idzie tu o instytucją bardzo ważną, o jedyną w takich rozmiarach u nas, a do której Kraków przyszedł za darmo; jest to sprawa wcale nielokalnego znaczenia, dlatego *pokróćce* na owe zdania odpowiemy.

Kursa przy Muzeum są utrzymywane osobistem tylko staraniem Dr. Baranieckiego — są prywatne, tak, lecz czyż mogą gminę i kraj cały nie obchodzić? Czy podnoszący zarzut byli tam kiedy? czy przypatrywali się tej mrówczej pracy, jaka się tam od rana do wieczora odbywa w zakresie nauk przyrodniczych, do czego zbiory muzealne pomagają, historycznych, literackich; a dalej handlowych — *jedyna* w Krakowie nauka rachunkowości (buchalteryi) — a dalej całego gospodarstwa kobiecego domowego, ogrodowego itd., jedyna u nas w ogóle — a dalej oddział sztuki: malarstwo, odlewnia gipsowa, której wyroby (ornamentów np. ze zamkowych kaplic) najznakomitsze muzea europejskie na swoje wymieniają — drzeworytnictwo... Czy oglądaliście artystyczne prace uczennic, — drzeworyty do przekładu Odysei p. L. Siemieńskiego, do wielu dzieł naukowych itd. Czyż takie kursa i takie już osiągnięte rezultata są rzeczą prywatnej natury! czyż nie jest to dopiero właściwem wyzyskaniem istnienia Muzeum. Czyż frekwencya z każdym rokiem liczniejsza — a istnieją kursa już lat 7 (!) — nie świadczy o tem, że są potrzebne, a ktoby chciał się przekonać, jakie to i z kąd pochodzą w znacznej części uczennice tej *ecole libre*, w najlepszym znaczeniu, uznałyby niewątpliwie, że błogosławioną była myśl otwarcia

tych kursów i ogromną jest zasługą ich utrzymywanie. Zamknijcie dzisiaj te kursa, a zamknięcie możność wykształcenia się w ogóle, albo uzupełnienia wykształcenia corocznie dla kilkadziesiąt dziewcząt, a dla wielu z nich zamknięcie możność specjalnego usposobienia się zawodowego, do użytecznej pracy na życie, w zawodach, które u nas wcale nie mają pracowników; bo np. oprócz drzeworytniczek wyuczonych w Muzeum, nie ma w Krakowie *ani jednego* zresztą drzeworytnika. Więc nie należałoby o tych kursach mówić jakby z partesu, bo to dzieło poważne, potrzebne i dzieło ofiary. Ale przypuśćmy, żeby tych kursów nie było, czyliż dlatego mogłoby się Muzeum obejść bez sali wykładowej, bez czytelnicy?! A do czegożby wtedy służyło? wszakżeż zadaniem jego jest, aby jego zbiory w okazach i w rycinach, wyroby przedstawione od surowego materiału aż do najwyższych przerabiań — książki specjalne w każdej gałęzi — były przystępne technikom, przemysłowcom, rękodzielnikom, żeby sale w godzinach wieczornych i w święta były otwarte, żeby tam każdy pracownik znalazł wzór, naukę, informację — żeby doprowadzić do tego, iżby czeladź rękodzielnicza nie włóczyła się, ale nabrała ochoty do rozrywek szlachetnych, *mogąc je po raz pierwszy* u nas znaleźć w salach muzealnych, na wykładach i doświadczeniach, odbywanych tam w święta i niedziele (o co już i teraz Dr. Baraniecki się stara). Będzie zrazu tych chętnych mało, lecz za nimi pójda inni — a już dzisiaj „chłopey,” terminatorzy garną się tłumnie na te niedzielne wykłady, a jeżeli w nich zasmakują, będą umieli i chcieli korzystać i później, jak ich wyzwolą, z tego, co im Muzeum dla ich rękodziela, a zarazem dla ich umysłu nastrocza. Kto widział, jak się rzeczy odbywają w Muzeum kensingtońskim w Londynie, albo w Muzeum für Kunst- und Industrie w Wiedniu, ten zapewne dla krakowskiego nie będzie skąpił sal na wykłady i na czytelnicy; ten będzie wiedział, że okazy archeologiczne, etnograficzne, ceramiki itd. należą do Muzeum, nie ze względu na archeologię i etnografię, ale jako wyroby, ze względu na przemysł, z *tego* ich charakteru, gdyż należą do historii rękodzieł, przemysłu i smaku, jako okazy pracy i używanych materiałów.

I pomyślmy, przypuśćmy, że tak istniejące jak i nowe gałęzie przemysłu u nas przecież się rozwijają, a pomagać ma do tego Muzeum, bo inaczej byłoby martwym zbiorem — w takim razie rozwinię się i przemysł chemiczny, górniczy i hutniczy... więc pytamy się, gdzież np. farbiarz, brązownik, górnik uda się, chcąc doświadczyć nowych wynalazków, nowych sposobów, użycia nowych materiałów surowych, chcąc przekonać się o wartości glin rozmaitych, ziem cementowych, ziem i drzew farbiarskich, o wartości zalecanych z zagranicy

rzeczy i prac itd. itd., jak sobie poradzą np. przyszli wychowawcy Instytutu nowego techniczno-przemysłowego, jeżeli przy Muzeum nie będzie laboratorium chemicznego, gdzieby mogli sami (nie mogąc przecież mieć swojego laboratorium) robić doświadczenia, i gdzieby dyrektor laboratorium na żądanie, nawet za wynagrodzeniem wszelkie *praktyczne* doświadczenia odbywał? Poradzą sobie tak jak dotychczas: „nie nie było“ to już chyba i „nie nie będzie.“ A tymczasem z laboratorium przy Muzeum powinna wychodzić nadto niejedna inicjatywa nawet, w nowem, a *praktycznem* zastosowaniu do rękodzieł i przemysłu nauki chemii. Gabinety chemiczne przy szkołach i w uniwersytecie nie ten mają cel; tam idzie albo o początki nauki, albo o teorye i badania *naukowe*, a nie o zastosowanie ich do praktyki życia i przemysłu. A zresztą, czyliż światła i ognisk jego może być za dużo? Zaprawdę, „nie gaście światła!“ nie żałujcie sali na laboratorium chemiczne.

Nakoniec jedna tu zachodzi okoliczność jeszcze: jeżeli nie będzie miejsca na *wszystkie* zbiory, na bibliotekę, na laboratorium, (które teraz mieści się w prywatnem mieszkaniu dyrektora i który je sprawił i zaopatrzył), to nie pozostanie nic innego, jak żeby ten, który je ofiarował pod warunkiem i *wyłącznie* dla Muzeum, jak skoro do Muzeum nie będą wcielone, rozporządził niemi jako swoją własnością — i chyba podarował je do Lwowa lub Warszawy! Więc lubo miasto Kraków znajduje się w tej sprawie niejako w pewnem *embarras de richesse*, jednak nie ma rady: ani pozbawić się tego co już jest, ani zniszczyć tego nie można, więc *trzeba* — *można* i *warto* dać dla Muzeum to i tyle, ile instytucya ta wymaga. Boć i zapominać nie należy, że Muzeum nie może zostać *mumią* nietkniętą, jeżeli ma być zakładem żywym. Więc trzeba, aby się dalej rozwijało, bogaciło, wzrastało — więc trzeba to przewidywać z góry i z góry umożliwić.

Mówi się dzisiaj u nas wiele i poniekąd zaczyna czynić dla przemysłu domowego — zajmujemy się też od czasu do czasu rozmaitemi wystawami, które wiele kosztują. Otóż sprawa urządzenia Muzeum stoi z tem w bezpośrednim związku.

Muzeum bez sal *wystawowych* nie odpowiada swojemu celowi, a cel ten w tym jednym kierunku jest *potrójny*:

W każdym takim Muzeum za granicą przedmioty nie są zamknięte w szafach i gablotach, (jakby cwancygiery w garnku u chłopa) — nie mogą też *wszystkie* zbiory naraz być wystawione dla oglądania ich, a przez to do użytku — więc co kilka tygodni cały zewnętrzny pozór Muzeum się zmienia, peryodycznie Muzeum urządza swoją wystawę wyrobów, rękodzieł i przemysłu artystycznego według grup,

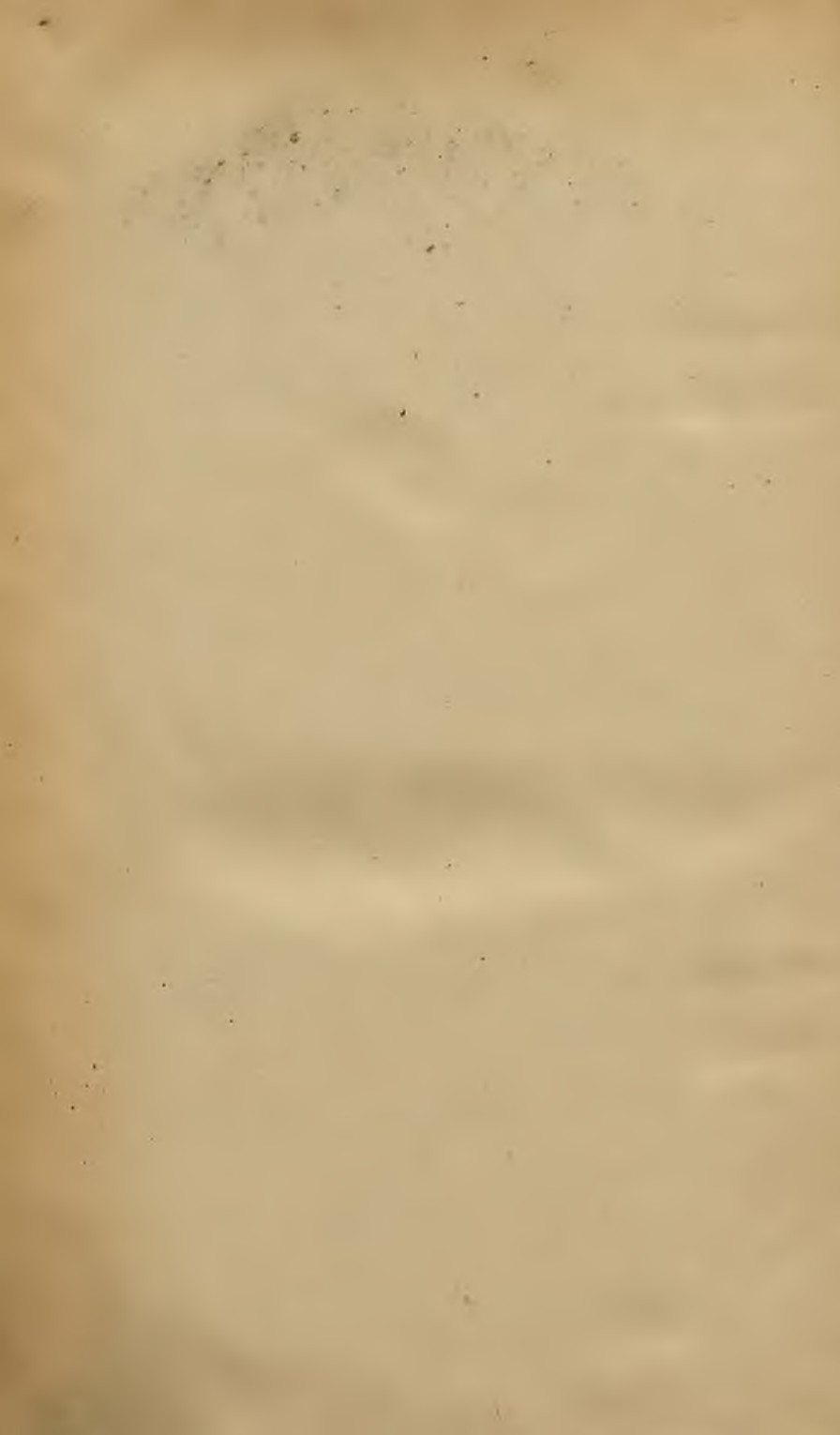
a przez to dzieje się, że i miejscowa publiczność ma zawsze interes w zwiedzaniu ciągle zmieniającej się wystawy w Muzeum, i obcy turyści (którzy i dziś je zwiedzają) będą tam spieszyć; więc nareście i wzgląd na dochód za wstęp może tu być argumentem. Pówtóre: jedynie stała wystawa w Muzeum jest miejscem właściwem dla okazywania wyrobów przemysłu domowego: koszyków, kapeluszy słomianych, koronek, tkanin itd., który to przemysł nie ma innego sposobu zapoznania ludności z swoją wartością i któremu wystawami ogólnemi, urządzanemi co kilka lat, nic się nie pomoże. Również każdy rękodzielnik zdolniejszy, który wyrabia ładne, nowe i użyteczne rzeczy, gdzież je umieści? do jego izby publiczność nie pójdzie, anonsów opłacać nie ma czém, a przecież pomódz mu trzeba i warto; więc tylko na stałej wystawie w Muzeum mogą takie prace się pojawiać i znajdować przez to zbyt i być zachętą dla innych. Po trzecie: tak jak Akademia umiejętności wymieniają nawzajem swoje nakłady, tak Muzea użyzczają sobie nawzajem na kilka tygodni swoich szczególnych i rzadkich okazów, aby poznanie ich szeroki mogło wywierać wpływ. Muzeum nasze ma takie okazy już teraz i w ogóle już jest bogato uposażone; profesor Virchow (!) uważał za potrzebne przyjechać tu i zapoznać się z naszymi zbiorami, radca ministeryalny, Dr. Hermann ¹⁾, pracował niedawno temu w Muzeum od godziny 8 rano do 3 po południu bez przerwy; więc jeżeli chcemy, żeby Muzeum nasze nie było *zaściankowem*, żeby komunikowało się z innemi, żeby miało *należący mu się charakter europejski*, żebyśmy przez pośrednictwo naszego Muzeum mogli z *wszystkich europejskich* Muzeów korzystać, to dajmy mu *sale wystawowe*.

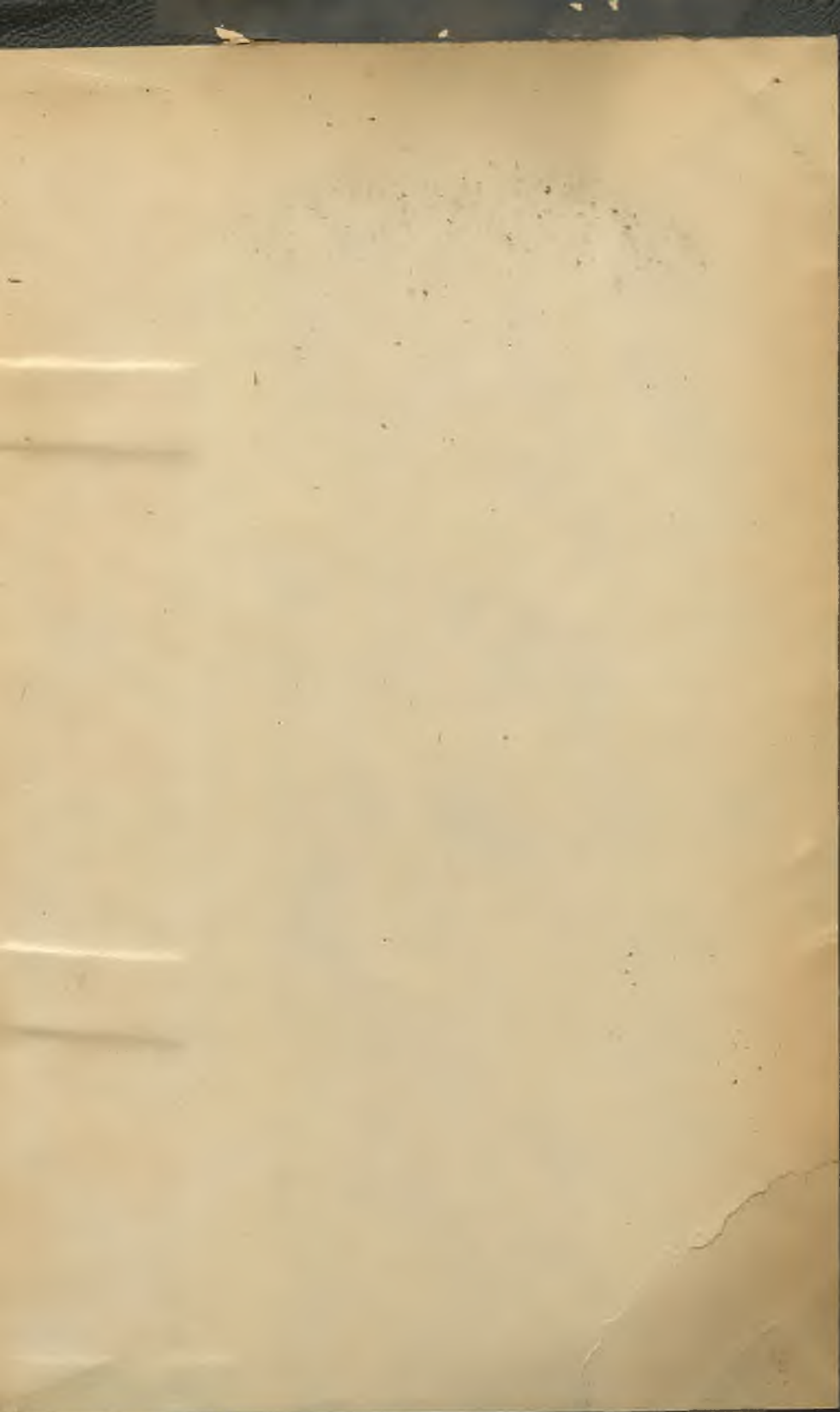
Może do pomyślnego rozstrzygnięcia tej sprawy przyczynią się w czem te słowa nasze, a lubo przedmiot ten wymaga obszerniejszej obrony i nastęrcza do niej niezmiernie mnóstwo argumentów; jednak, ażeby słowom tym zapewnić chętniejszych czytelników, staraliśmy się z umysłu przedstawić rzecz *jak najkrócej*, dotykając zaledwo najważniejszych punktów. Lecz mamy nadzieję, że to wystarczy.

¹⁾ Referent wszystkich spraw domowego przemysłu i szkół specyalnych w min. handlu. (P. a.)

Alfred Szczepański.







Biblioteka Śląska w Katowicach

ID: 0030002007713



II 4501/11/1-2/1876